

Piętnastowieczna Anglia w niespokojnych czasach Wojny Dwu Róż. Tron zdobyli Yorkowie, ale walka o koronę trwa nadal. Ryszard Neville, zwany Twórcą Królów, pragnie, by sięgnęły po nią jego córki: Izabela i Anna. Ryszard Neville pomógł Yorkom pokonać Lancasterów i osadził na tronie Edwarda IV, licząc na możliwość kierowania młodym królem. Jednak Edward, zauroczony piękną wdową, Elżbietą Woodville, samodzielnie podejmuje decyzję o małżeństwie i raczej słucha rad swej żony oraz jej licznej rodziny niż dotychczasowego doradcy. Pozbawiony wpływów Neville jawnie występuje przeciw królowi. Nie doczekawszy się syna, czyni ze swych córek pionki w rozgrywce politycznej i planuje ich małżeństwa z potomkami obu zwaśnionych rodów.

Anna Neville szybko przeistacza się z ufne go i naiwnego dziecka w pełną obaw młodą kobietę. Wie, że ona sama oraz jej posag są kartą przetargową w ręku bezwzględnych graczy. Wydana za mąż za syna obalonego Henryka VI, po roku zostaje wdową. Jej ojciec, który sprzymierzył się z Lancasterami, traci życie, pokonany przez Yorków. Matka chroni się w klasztorze, a siostra jest żoną wroga. Osamotniona Anna lęka się utraty majątku i zemsty królowej. Zdana tylko na siebie próbuje pokierować swym losem i wbrew intrygom rodziny ponownie wyjść za mąż. Spełnienie ambicji ojca staje się jej celem, ale także przekleństwem.

1465



EDYNBURG

SZKOCJA

Durham

Barnard Castle

Middleham

Sherrif Hutton

York

Pontefract

ANGLIA

Nottingham

Fotheringhay

Ludlow

Worcester

Warwick

Northampton

Tewkesbury

Grafton

Chepstow

Severn

Bristol

Oksord

Sandwich

Farleigh

Hungerford

Heytesbury

LONDYN

Beaulieu

Southampton

Calais

Cerne Abbey, Weymouth

Dartmouth

Amiens

Barfleur

Harfleur

Reims

Valognes

Skwara

PARYZ

KANAŁ ANGIELSKI

Rennes

FRANCJA

Angers

Amboise



DRZEWO GENEALOGICZNE ANNY NEVILLE  
LATEM 1465 ROKU

Ryszard Plantagenet = Cecylia Neville  
książę Yorku 1411–1460 1415–

Ryszard = Anna Beauchamp  
hrabia Warwick 1428– 1426–

Małgorzata = Henryk VI  
Andegaweńska 1429– 1421–

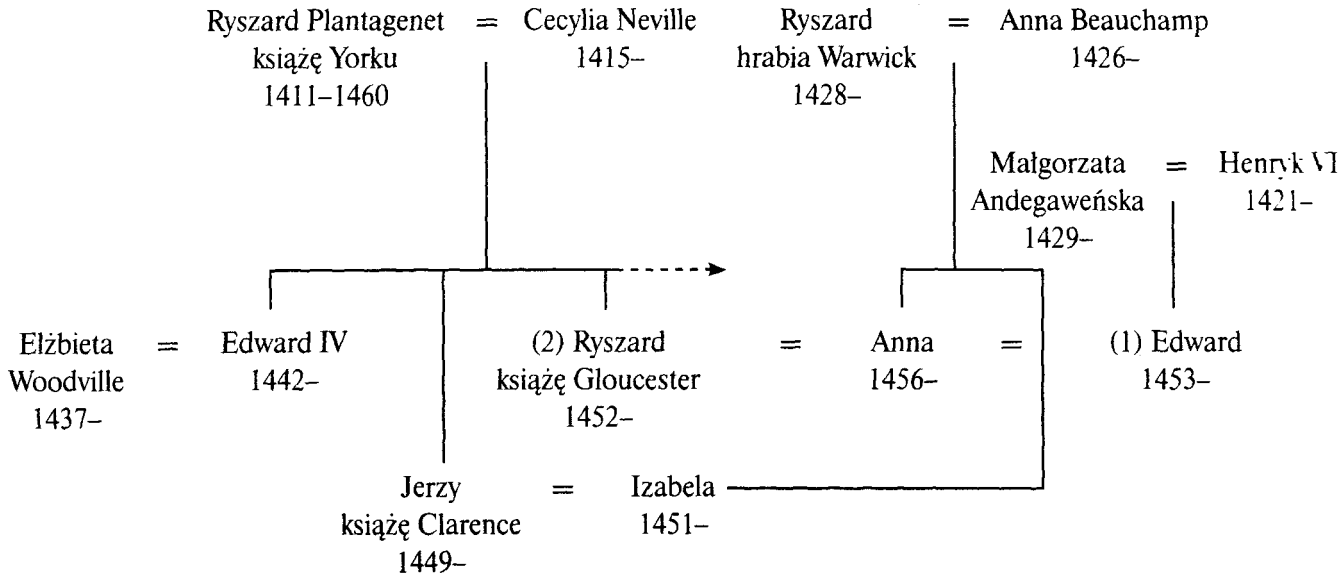
Elżbieta = Edward IV  
Woodville 1437– 1442–

(2) Ryszard  
książę Gloucester 1452–

= Anna =  
1456–

(1) Edward  
1453–

Jerzy = Izabela  
książę Clarence 1449– 1451–



## TOWER, LONDYN MAJ 1465 ROKU



Pani matka kroczy na przedzie, dziedziczka wielkiego majątku i małżonka najznacniejszego poddanego króla. Za nią idzie Izabela, ponieważ jest starsza. Dalej ja: na końcu, zawsze na szarym końcu. Niewiele widzę, gdy zmierzamy do przestronnej sali tronowej Tower, a potem pani matka podprowadza moją siostrę do tronu i odchodzi na bok. Izabela dyga głęboko, tak jak nas uczono, albowiem król pozostaje królem, nawet jeśli jest tylko młodzikiem, któremu koronę na głowę włożył nasz ojciec. A jego żona to królowa, cokolwiek byśmy o niej myśleli. Następnie i ja się wysuwam, aby dygnąć przed parą królewską, i wtedy właśnie po raz pierwszy widzę w całej okazałości niewiastę, dla której zjawiłyśmy się w Londynie.

Czuję, jak z wrażenia zapiera mi dech w piersi — to najpiękniejsza białogłowa, jaką kiedykolwiek ujrzały moje oczy. Natychmiast pojmuję, dlaczego król na jej widok zatrzymał marsz swojej armii, po czym poślubił ją w ciągu zaledwie paru tygodni. Królowa ma anielski uśmiech, który budzi się stopniowo do życia, by w końcu rozgorzeć promiennie na jej twarzy. Widywałam posagi, które przy niej byłyby nieciekawe, i namalowane Madonny, których rysy zdawałyby się toporne przy jej świetlistej urodzie. Prostuję się z ukłonu i gapię na nią, jakby była prześliczną ikoną, wprost nie potrafię oderwać od niej wzroku. Pod moim spojrzeniem wyraz jej twarzy łagodnieje jeszcze; królowa oblewa się rumieńcem i uśmiecha do mnie. Nie umiem się powstrzymać i odpowiadam szerokim uśmiechem. Śmieje się w głos, jakby mój zachwyt wydał jej się zabawny, i w tej samej chwili dociera do mnie, że pani matka mierzy mnie gniewnym wzrokiem. Pośpiesznie zajmuję miejsce u boku rodzicielki, gdzie na domiar złego beszta mnie moja siostra Izabela.

— Gapiłaś się jak sroka w gnat — syczy. — Przyniosłaś nam wszystkim wstyd. Co powiedziałyby na to pan ojciec?

Król zstępuje z podwyższenia i przyjaźnie całuje panią matkę w oba policzki.

— Czy miałaś jakieś wieści od mego drogiego przyjaciela, swego męża? — pyta ją.

— Służy ci wiernie, miłościwy panie — zapewnia pani matka bez chwili zwłoki.

Ojciec mój i Izabeli nie bierze udziału w dzisiejszej uczcie i obchodach, ponieważ spotyka się z królem Francji we własnej osobie oraz z księciem Burgundii, jak równy z równymi, zawierając pokój z tymi mocarzami chrześcijaństwa, kiedy wreszcie śpiący król został pokonany i myśmy wyrosli na nowych władców Anglii. Pan ojciec to ważna persona; za granicą reprezentuje nowego króla i całą Anglię.

Król, nowy król — nasz król — kłania się śmiesznie Izabeli, a mnie klepie po policzku. Zna nas, odkąd byłyśmy małymi dziewczynkami, których nikt nie zapraszał na podobne uczty, to jest jeszcze od czasów, gdy mieszkał z nami jako podopieczny naszego ojca. Tymczasem pani matka rozgląda się dokoła, jakby była u siebie, na zamku w Calais, doszukując się śladów jakiejś przewiny służby. Przypuszczam, że bardzo by chciała dopatrzeć się czegoś, co by świadczyło, że ta cudnej urody królowa nie nadaje się do swojej roli, i co by mogła później przekazać panu ojcu w charakterze zarzutu. Jednakże z jej kwaśnej miny domyślam się, że nic takiego nie znajduje.

Nikt nie darzy sympatią nowej królowej, nie powinnam więc jej tak podziwiać. Nie powinno mieć znaczenia, że uśmiecha się ciepło do mnie i do mojej siostry, że podnosi się ze wspaniałego tronu i zstępuje z podwyższenia, aby ująć naszą matkę za ręce. Nikt z nas nie może jej darzyć sympatią. Pan ojciec zaplanował dobre małżeństwo dla tego króla, świetną partię w osobie księżniczki francuskiej. Czynił zabiegi, przygotowywał grunt, sporządził wstępny szkic umowy małżeńskiej, przekonał tych, którzy nienawidzą Francji, że taki ruch okaże się korzystny dla kraju, zagwarantuje pozostanie Calais w angielskich rękach, może nawet przywróci nam Bordeaux — wszystko to na nic, skoro Edward, nasz nowy król, zabójczo przystojny i olśniewający nowy król, nasz umiłowany Edward, będący niczym młodszy brat dla mego i Izabeli ojca, dla nas zaś niczym dobry

wuj, powiedział równie lekko, jakby zamawiał dania na wieczerzę, iż już jest żonaty i nic na to nie poradzi. Już żonaty? Tak — z nią!

Bardzo źle postąpił, podejmując działanie, nie zasięgnąwszy rady pana ojca — wszyscy to wiedzą. Zachował się tak po raz pierwszy od początku długiej, zakończonej sukcesem kampanii, która zdjęła z jego rodu odium wstydu, kiedy to Yorkowie musieli błagać o łaskę śpiącego króla i żłą królową, i doprowadziła do ich zwycięstwa i panowania w Anglii. Pan ojciec przez cały ten czas był u boku Edwarda, doradzał mu i kierował nim, dyktując każdy jego krok, oceniając, co jest dla niego najlepsze. Król, mimo że teraz zasiada na tronie, jest tylko młodym mężczyzną, który wszystko zawdzięcza memu ojcu. Nigdy nie zdobyłby korony, gdyby pan ojciec nie udzielił mu wsparcia, nie nauczył przewodzić wojsku, nie stoczył kolejnych bitew w jego imieniu. Rodzic mój i Izabeli ryzykował własne życie najpierw dla ojca Edwarda, a potem dla samego Edwarda. A tu proszę... ledwie śpiący król i żła królowa uciekli i Edward został koronowany, co miało stanowić początek świetlanej przyszłości dla nas wszystkich, nowy król wziął i potajemnie się ożenił, i to z nią!

Właśnie ona ma nas teraz poprowadzić do wielkiej sali. Damy dworu ustawiają się za nią w skrupulatnym porządku, albowiem niezwykle istotne jest, aby każdy zajmował należne mu miejsce. Mam już prawie dziewięć lat, jestem więc wystarczająco duża, aby to rozumieć, a przecież od maleńkości kładziono mi do głowy, kto poprzedza kogo. Jako że nazajutrz ma się odbyć jej koronacja, dzisiaj będzie szła przodem przed nami wszystkimi. Od tej pory już zawsze będzie najpierwsza w całej Anglii. Zawsze będzie kroczyć przed panią matką, co jak widzę, rodzicielce bardzo się nie podoba. Za nią powinna iść matka króla, lecz jest nieobecna. Poprzysięgła dozgonną wrogość uroczej Elżbiecie Woodville i zapowiedziała, że nie będzie świadkiem na koronacji zwykłej plebejki. Wszystkim wiadomo o tym rozłamie w rodzinie królewskiej, toteż siostry króla zajmują rządkiem swoje miejsce w orszaku pozbawione nadzoru swej macierzy. Wyglądają na nieco zagubione bez przewodnictwa szlachetnej księżnej Cecylii i nawet król chmurnieje na moment i traci swoją pewność siebie, widząc lukę w miejscu, gdzie powinna stać jego matka. Nie mam pojęcia, jak śmie sprzeciwiać się księżnej, która jest równie przerażająca jak moja matka. Nikt nie sprzeciwia się panu ojcu ani jego ciotce, księżnej. Myślę sobie, że nowy król musi być bardzo zakochany w swojej żonie

i królowej, skoro poważył się postąpić wbrew jej woli. Musi być bardzo, ale to bardzo zakochany.

Natomiast matka królowej jest obecna — nie ma mowy, żeby przegapiła ten moment tryumfu. Ustawia się w orszaku, mając za sobą legion synów i córek, a u swego boku urodziwego męża. Ryszard Woodville otrzymał tytuł barona Rivers, co przyczyniło się do żartu, że jego rodzina jest na fali. Po prawdzie, przytłacza liczba Woodville'ów. Za Elżbietą, najstarszą z rodzeństwa, widać siedem sióstr i pięciu braci. Nie mogę oderwać wzroku od młodego Jana Woodville'a kroczącego obok swej świeżo poślubionej żony — wyglądają razem jak wnuczek i sędziwa babka. Oblubienicą Jana jest wdowa po księciu Norfolk, moja przeciota Katarzyna Neville. To czysty skandal, jak mówi pan ojciec. Moja przeciota jest zabytkiem, bezcenną ruiną: zbliża się do siedemdziesiątki, którego to wieku dożywają bardzo nieliczne niewiasty. Jan Woodville zaś to niespełna dwudziestolatek. Pani matka powiada, że odtąd tak już właśnie będzie — bo czego innego się spodziewać, jak nie diabelskich sztuczek, skoro na tronie Anglii zasiada córka niewiasty, której niedaleko do czarownicy. Kiedy łakomczucha zostaje królową, nic dziwnego, że chce wszystko pożreć.

Odrywam spojrzenie od znużonej życiem, pomarszczonej twarzy mej przecioty i skupiam się na swoim zadaniu. Do mnie należy stać obok Izabeli, za panią matką, i pilnować się, by nie nadepnąć na jej tren, w żadnym razie nie nadepnąć na jej tren. Mam ledwie osiem lat, więc wymaga to ode mnie trochę wysiłku. Izabela, która ukończyła już trzynasty rok życia, wdycha, gdy widzi, że trzymam wzrok wbity w posadzkę i co rusz szuram nogami, wsuwając stopy pod mięsisty brokat, ażeby uniknąć choćby szansy przydepnięcia go. W dodatku Jakobina, matka królowej, matka łakomczuchy, zerka do tyłu, na swoje dzieci, aby się upewnić, że jesteśmy na właściwym miejscu, że nie zaszła żadna pomyłka. Rozgląda się, jakby z troską, i widząc mnie za panią matką, obok Izabeli, rzuca mi uśmiech równie promienny jak przedtem jej córka, przeznaczony specjalnie dla mnie, po czym odwraca się i ująwszy urodziwego męża pod ramię, rusza za królową, pławiąc się we wspólnym tryumfie.

Kiedy już przeszliśmy środkiem wielkiej sali na oczach setek osób, które na stojąco wiwatowały na cześć pięknej nowej królowej, i wszyscyśmy już zajęli miejsca za stołami, mogę podnieść spojrzenie na dorosłych siedzących na podwyższeniu. Nie ja jedna gapię się na królową, która skupia na

sobie powszechną uwagę. Ma najpiękniejsze migdałowe oczy w kolorze łupku, a gdy SIĘ śmieje, spuszcza wzrok, zupełnie jakby śmiała się do siebie z jakiegoś pysznego sekretu. Król Edward usadził ją obok siebie, po swej prawej ręce, i kiedy szepcze jej coś na ucho, królowa nachyla się ku niemu, jakby zaraz mieli się pocałować. Takie zachowanie nie przystoi niewieście, a jednak — co widzę — matka królowej spogląda na parę małżonków pobłażliwie, wyraźnie szczęśliwa, że są młodzi i zakochani. Nie sprawia wrażenia ani trochę zawstydzonej.

Wszyscy jej krewni są niesłychanie urodziwi. Nie da się zaprzeczyć, że wyglądają tak, jakby w ich żyłach płynęła najbłękitniejsza krew. A ilu ich!... Sześcioro Riversów i dwóch synów królowej z pierwszego małżeństwa to jeszcze dzieci — i wszyscy siedzą przy naszym stole, jakby byli królewskiego rodu i mieli prawo zasiadać z nami, córkami hrabiny. Dostrzegam, że Izabela rzuca kwaśne spojrzenia czterem uroczym córkom barona Rivers, począwszy od najmłodszej Katarzyny Woodville, która ma siedem lat, a skończywszy na najstarszej Marcie, która jest już piętnastolatką. Wszystkie cztery Riversówny będą naszymi rywalkami. Wszystkie one potrzebują mężów, wian, majątków, a obecnie w Anglii nie ma ich pod dostatkiem, gdyż od dziesięciu lat z okładem toczy się wojna między skłóconymi rodami Lancasterów i Yorków, która odebrała życie wielu mężczyznom. Można odnieść wrażenie, że dwór zalała fala młodych wodnych boginek o cerze błyszczącej niczym świeżo wybita moneta, perlistym głosie i wyjątkowych manierach. Można odnieść wrażenie, że to inwazja czarownic istot: rzeźb, które zniemacka zyskały życie, ptasząt, które sfrunęły z nieba, ryb, które wdzięcznie wyskoczyły ponad powierzchnię morza. Kiedy przenoszę spojrzenie na panią matkę, widzę, że siedzi rumiana z irytacji, zgrzana i rozeźlona niczym żona piekarza. Na jej tle królowa jaśnieje na podobieństwo radosnego anioła, z głową wiecznie przechyloną w stronę młodego króla, z wargami lekko rozchylonymi, jakby chciała go wdychać niczym powietrze.

Ta wspaniała uczta to niezwykle ekscytujące dla mnie wydarzenie, albowiem przy naszym stole, u przeciwnych krańców, zasiadają królewscy bracia: Jerzy i Ryszard. Matka królowej, Jakobina, spogląda ku nam szeroko uśmiechnięta, z czego wnoszę, iż sama to zaplanowała, uznawszy, że miło spędzimy razem czas, równocześnie honorując starszego z królewskich braci, Jerzego, miejscem u szczytu stołu. Izabela



wierci się jak nie przymierzając strzyżona owca, mając obok siebie obu książąt królewskiej krwi. Nie potrafi się zdecydować, na którego patrzeć, taka jest chętna zrobić wrażenie na obydwóch. Co gorsza, dwie najstarsze Riversówny, Marta i Eleonora, bez trudu ją przyćmiewają. Obie są niebywale piękne, pewne siebie i roześmiane. Izabela czyni zbyt rozpaczliwe wysiłki, a ja — jak zwykle pod karcącym spojrzeniem pani matki — wpadam w popłoch. Tymczasem Riversówny zdają się naprawdę cieszyć chwilą, jak gdyby czekały je same przyjemności, nie napomnienia i kary. Bije z nich pewność siebie i pragnienie zabawy. To oczywiste, że księżęta zwrócą uwagę na nie, nie na nas. Jerzy zna nas od dzieciństwa; ani ja, ani Izabela nie jawimy mu się nieznajomymi pięknosciami. Ryszard w dalszym ciągu pozostaje pod opieką pana ojca, jest jednym z półtuzina dobrze urodzonych młodzików, którzy mieszkają pod naszym dachem. Widuje nas przy każdym posiłku. To oczywiste, że będzie wodził wzrokiem za Martą Woodville, która jest wystrojona, nowa na dworze królewskim i w niczym nie ustępuje urodą swej siostrze królowej. Mimo wszystko denerwuje mnie, że Ryszard nie zwraca na mnie uwagi nic a nic.

Piętnastoletni płowowłosa i wysoki Jerzy jest równie przystojny jak jego starszy brat, król.

— Anno, to chyba twoja pierwsza uczta w Tower, nieprawdaż?...

— mówi do mnie.

Jestem zarazem wstrząśnięta i zachwycona tym, że zaszczycił mnie swoją uwagą, i naturalnie spiekam raka. Jakimś cudem udaje mi się jednak odpowiedzieć mu wyraźnie:

— Tak.

Siedzący naprzeciwko niego Ryszard jest o rok młodszy od Izabeli i nie przewyższa jej wzrostem, aczkolwiek odkąd jego brat został królem, wydaje mi się wyższy i przystojniejszy. Zazwyczaj twarz Ryszarda zdobi wesoły uśmiech i łagodne spojrzenie, lecz tym razem — przy okazji uczty koronacyjnej bratowej — zachowuje się powściągliwie i nad wyraz poważnie. Izabela, w próbie nawiązania z nim rozmowy, zmienia temat i pyta, czy nie pamięta przypadkiem naszego kucyka z zamku w Middleham. Uśmiechając się beztrzesko, moja siostra dodaje jeszcze:

— Czyż to nie było zabawne, gdy Pieprzyk wierzgnął i zrzucił cię z grzbietu?

Ryszard, który niczym kogucik zawsze był przeczulony na punkcie własnej dumy, odpowiada, że nie, nie pamięta niczego takiego, po czym odwraca się do Marty Woodville. Izabela usiłuje wyrzucić na stołownikach wrażenie, jakobyśmy my, Warwickówny, i młodzi Yorkowie byli najlepszymi z przyjaciół, lecz prawda jest taka, że Jerzy i Ryszard zaliczali się do półtuzina podopiecznych pana ojca za starych dobrych czasów, gdy w Anglii panował pokój. Moja siostra chce wmówić Riversównom, że stanowimy jedną szczęśliwą rodzinę, a one są tutaj intruzami, niemniej w rzeczywistości my, dziewczęta, pozostawałyśmy pod opieką pani matki, podczas gdy chłopcy polowali i stawali w szranki pod okiem pana ojca.

Izabela może sobie stroić fochy, ja wszakże nie pozwolę, aby coś zepsuło mi humor. Mamy większe prawo tutaj zasiadać niż ktokolwiek inny, a już na pewno większe niż urokliwe Riversówny. Jesteśmy najbogatszymi dziedziczkami w Anglii, nasz ojciec zawiaduje Kanałem Angielskim i całym wybrzeżem. Wywodzimy się z wielkich Neville'ów, strażników północy kraju; w naszych żyłach płynie prawdziwie królewska krew. Nasz ojciec jest opiekunem Ryszarda, a także mentorem i doradcą samego króla. Nie jesteśmy gorsze od nikogo na tej sali, w gruncie rzeczy zaś posiadamy więcej niż niejeden z obecnych, nawet król, i z całą pewnością jesteśmy lepiej urodzone niż nowa królowa. W niczym nie ustępujemy królewskim braciom, ponieważ bez naszego ojca ród Yorków by przepadł, sromotnie przegrał wojnę z Lancasterami, którzy nadal by władali Anglią, a Jerzy, przystojny i noszący się isticie po książęcemu Jerzy, byłby teraz młodszym bratem nikogo ważnego i synem zdrajcy.

Uczta koronacyjna trwa w nieskończoność, aczkolwiek jutrzejsza wieczerza będzie jeszcze dłuższa. Dziś na wysoki stół wjeżdżają trzydzieści dwie potrawy, z których część królowa posyła nam w dowód łaski. Jerzy wstaje i ukłonem wyraża podziękowanie, po czym częstuje nas ze srebrnych pater. Widząc, że śledzę jego każdy ruch, mruga do mnie i obdziela dodatkową łyżką sosu. Od czasu do czasu pani matka rzuca mi spojrzenie niczym latarnia morska rozświetlająca ciemne morze. Ilekroć czuję na sobie jej oczy, podnoszę głowę i uśmiecham się do niej. Jestem pewna, że nie może mi niczego zarzucić. W ręku trzymam widelec, za rękawem mam ukrytą chusteczkę, zupełnie jakbym była francuską damą obeznaną z najnowszą modą. W zasięgu prawej dłoni

mam kielich z rozcieńczonym wodą winem i posiłam się tak, jak mnie uczono: subtelnie i bez pośpiechu. Skoro Jerzy, królewski brat, obdarza mnie swoją uwagą, nie widzę powodu, dla którego miałyby tego nie robić czy ktokolwiek miałby się temu dziwić. Niewątpliwie ja nie czuję się ani trochę zdziwiona.

Gdy w noc poprzedzającą koronację królowej gościmy u króla w londyńskiej Tower, dzielę łożę z Izabelą, podobnie jak w domu, w Calais, i każdej innej nocy w moim życiu. Zostaję odesłana na spoczynek godzinę przed nią, mimo że i tak nie będę mogła zasnąć z rozpięającego mnie podniecenia. Zmawiam modlitwę, po czym kładę się i nasłuchuję dźwięków muzyki dolatujących z wielkiej sali w dole. Tańce trwają; król i jego żona uwielbiają tańczyć. Kiedy ujmuje ją za rękę, wyraźnie widać, że musi się hamować, aby nie przyciągnąć jej bliżej do siebie. Ona spuszcza wzrok, lecz on nie przestaje na nią patrzeć gorącym spojrzeniem, tak że w końcu odwzajemnia mu się tym samym i jeszcze lekkim uśmiechem pełnym tajonej obietnicy.

Mimowolnie zastanawiam się, czy dawny król, śpiący król, dziś czuwa w ostępach północnej Anglii. Przerażające jest wyobrazić go sobie śpiącego, a zarazem świadomego we śnie wszystkiego: odbywających się tańców, uczyty, tego, że Edward i Elżbieta zajęli jego miejsce i że już jutro Elżbieta włoży koronę jego żony... Pan ojciec zapewnia mnie, że nie mam się czego bać, że zła królowa zbiegła za Kanał Angielski, gdzie nie zdobędzie pomocy swych francuskich przyjaciół, ponieważ on osobiście spotyka się z królem Francji po to, aby nikt jej nie pomógł. Dawna królowa jest naszym wrogiem, wrogiem Anglii. Pan ojciec zamierza się upewnić, że nie będzie dla niej miejsca we Francji, podobnie jak nie ma dla niej tronu w Anglii. Tymczasem jej mąż, śpiący król bez swojej królowej, bez swego syna i dziedzica, ukryty w jakimś przytulnym zameczku na granicy ze Szkocją przedrzemie swoje życie niczym pszczoła, która zapadła w zimowe odrętwienie. Zdaniem pana ojca dawny król i dawna królowa będą spać i płonać z gniewu dopóty, dopóki oboje się nie zestarzeją i nie pomrą, tak więc nie mam w ogóle powodów do strachu. W końcu to mój rodzony ojciec dzielnie strącił śpiącego króla z tronu i włożył koronę Anglii na skronie Edwarda. To mój rodzony ojciec stawił czoło złej królowej, wilczycy

gorszej niż wszystkie wilki francuskie, i pokonał ją. Mimo wszystko nie lubię myśleć o dawnym królu Henryku, na którego zamkniętych powiekach kładzie się światło księżycy, podczas gdy ludzie, którzy doprowadzili do jego upadku, tańczą w wielkiej sali niegdyś należącej do niego. Nie lubię myśleć o złej królowej, hen daleko we Francji, poprzysięgającej nam zemstę, przeklinającej nasze szczęście i zarzekającej się, że wróci tutaj, do swego — jak mówi — domu.

Kiedy Izabela wreszcie się zjawia, klęczę w wąskiej ambrazurze i wyglądam przez okno na księżyc odbijający się w wodzie, rozmyślając o królu śniącym w jego blasku.

— Powinnaś już spać — rzecze moja siostra ważnym tonem.

— Nie dosięgnie nas, prawda?

— Kto? Zła królowa? — Izabela natychmiast się domyśla, że chodzi mi o Małgorzatę Andegaweńską, która położyła się cieniem na dzieciństwie nas obu. — Nie. Została pokonana pod Towton. Pan ojciec rozgromił jej siły raz na zawsze. Uciekła. I już nigdy nie wróci.

— Na pewno?

Izabela obejmuje moje wątłe ramiona.

— Przecież wiesz, że na pewno. Wiesz, że jesteśmy bezpieczne. Obłąkany król zasnął, a zła królowa została pokonana. Wymyślasz wymówki, byle nie kłaść się spać.

Posłusznie wracam do łóżka i naciągam kołdrę po samą brodę.

— Już śpię... Prawda, że było cudownie?

— Niespecjalnie.

— Twoim zdaniem nie jest prześliczna?

— Kto? — pyta moja siostra, jak gdyby nie wiedziała, jak gdyby nie było oślepiąco jasne, kto dzisiejszego wieczora był najśliczniejszą niewiastą w całej Anglii.

— Nowa królowa. Królowa Elżbieta.

— Cóż, moim zdaniem nie nosi się dość po królewsku — odpowiada, przybierając ton głosu taki, jak nasza matka w chwilach największej pogardy. — Nie mam pojęcia, jak przebrnie przez koronację i turniej, i ucztę, skoro do tej pory była tylko żoną szlachetki i córką zwykłego giermka. Skąd będzie wiedzieć, jak powinna się zachować?

— A ty? Jak ty byś się zachowała? — pytam, usiłując przeciągnąć rozmowę.

Izabela jest o tyle ode mnie mądrzejsza, ma pięć lat więcej niż ja, ulubienica obojga rodziców, którzy chowają dla niej w zanadrzu dobrą partię, bo jest już niemal dorosłą niewiastą, podczas gdy ja wciąż pozostaję tylko dzieckiem. I w dodatku patrzy z góry na królową!

— Ja nosiłabym się ze znacznie większą godnością. Nie poszeptywałabym z królem i nie poniżała się tak jak ona. Nie rozsyłałabym potraw i nie machała do ludzi tak jak ona. Nie ciągałabym wszędzie za sobą rodzeństwa tak jak ona. Zachowywałabym się dystyngowanie. Nie rzucałabym uśmiechów na prawo i lewo, nie kłaniałabym się nikomu. Byłabym prawdziwą królową, królową śniegu, bez krewnych i przyjaciół.

Tak mnie fascynuje ten obraz, że zrywam się na nogi. Ściągam z łóżka futrzane przykrycie i podaję je siostrze, nalegam:

— Pokaż mi, Izabelo. Pokaż!

Izabela narzuca sobie przykrycie na ramiona, jakby to była peleryna, zadziera mocno brodę, prostuje się na całą wysokość — cztery stopy i sześć cali — po czym zaczyna sztywno przemierzać niewielką komnatę, kiwając głową wymagowanym dworzanom.

— *Comme ça* — oznajmia. — Taka bym była, wyniosła i nieprzystępna.

Wyskakuję z łóżka, porywam szal, który narzucam sobie na głowę, po czym ruszam za Izabelą, naśladując jej wszystkie gesty, roztaczając równie królewską aurę.

— Jak się miewasz, milordzie? — mówię do pustego krzesła. Milczę, jakby wysłuchując prośby o przysługę. — Och, bardzo mi przykro. Nie mogę nic zrobić dla twojej córki. Tę godność podarowałam już mej siostrze.

— Memu ojcu, baronowi Rivers — dopowiada Izabela.

— Memu bratu Antoniemu... och, jaki on przystojny!

— Memu bratu Janowi i siostrze. Dla was nic już się nie ostało. Mam rozległą rodzinę — kontynuuje Izabela, udająca nową królową. — Wszyscy moi krewni muszą dostać zaszczyty i stanowiska. Nielicze zaszczyty i stanowiska.

— Wszyscy — podkreślam. — A są ich tuziny. Nie widzieliście, ilu za mną weszło do wielkiej sali? Gdzie mam znaleźć tytuły i ziemie dla nich wszystkich?

Zataczamy koła, a mijając się, każdorazowo skłaniamy głowę z dostojnością i obojętnością.

— A ty to kto? — pytam w pewnym momencie oziębłe.

— Królowa Anglii — odpowiada Izabela, bez uprzedzenia zmieniając reguły zabawy. — Jestem Izabela, królowa Anglii i Francji, świeżo poślubiona królowi Edwardowi. Zakochał się we mnie bez pamięci z powodu mej urody. Szaleje za mną. Oszałał na moim punkcie zupełnie, zapominając o swych przyjaciółach i powinnościach. Pobraliśmy się w wielkiej tajemnicy, a teraz czeka mnie koronacja.

— Nie, nie, to ja byłam królową Anglii! — protestuję, odrzucając szal. — Jestem królową Anglii! Anna królowa Anglii! Król Edward wybrał mnie!...

— Nigdy by tego nie zrobił, jesteś młodsza ode mnie.

— Właśnie że tak! Właśnie że tak! — Czuję, jak rośnie we mnie złość, i wiem, że zaraz popsuję całą zabawę, lecz nie mogę pozwolić, aby Izabela znowu miała pierwszeństwo przede mną, choćby chodziło o zwykłą grę w udawanie w zaciszu naszej komnaty.

— Nie możemy obie być królowymi Anglii — rzecze całkiem rozsądnie moja siostra. — Ty bądź królową Francji, bądź sobie królową Francji. Francja też jest ładna.

— Nienawidzę Francji! Chcę być królową Anglii! Anglii!

— To niemożliwe — wzbrania się Izabela. — Ja jestem od ciebie starsza. I pierwsza wybrałam. Zatem jestem królową Anglii. Edward kocha mnie.

Brak mi słów w obliczu tej zdrady. Izabela zagarnia wszystko, odwołując się do swego starszeństwa. Niewinna zabawa przerodziła się w rywalizację. Tupię nogą, na twarzy mam rumieniec, w oczach pieką mnie łzy.

— Ja jestem królową Anglii! Ja!

— Wiecznie tylko wszystko psujesz. Dzieciuch z ciebie — oświadcza Izabela.

I okręca się na pięcie, gdy za nią otwierają się drzwi i do środka wchodzi Małgorzatka.

— Pora spać, moje panny. Dobry Boże! Co wyście zrobiły ze swoim przykryciem?

— Izabela nie pozwala mi... — zaczynam. — Ona jest taka podła...

— No już, nieważne — przerywa mi Małgorzatka. — Wskakujcie do łóżka. Opowiecie mi o wszystkim jutro.

— Ona jest chytruska! — Przełykam słone łzy. — Nigdy niczym się ze mną nie dzieli. Bawiłyśmy się, ale w pewnym momencie ona...

Izabela wybucha krótkim śmiechem, jakby moje rozżalenie ją bawiło, po czym wymienia z Małgorzatką spojrzenia mówiące, że dzidzia znowu dostała napadu złości. To dla mnie za dużo. Uderzam w bek i rzucając się twarzą na poduszkę. Nikomu na mnie nie zależy, nikt nie chce dostrzec, że bawiłyśmy się jak siostry, jak równe sobie, dopóki Izabela nie sięgnęła po coś, co jej się nie należało. Powinna wiedzieć, że trzeba się dzielić. To niesprawiedliwe, że zawsze jestem na końcu, na szarym końcu.

— To niesprawiedliwe! — łkam. — To takie niesprawiedliwe!...

Izabela odwraca się plecami do Małgorzatki, która zabiera się do rozsznurowania gorsetu, po czym opuszcza suknię nisko, aby moja siostra mogła przez nią przestąpić niedbale, jak królowa, jaką przed chwilą udawała. Małgorzatką przekłada suknię przez oparcie krzesła, przyszykując ją do jutrzejszego szcztokowania i pudrowania, Izabela zaś wkłada przez głowę koszulę nocną i pozwala Małgorzatce rozczesać i zapleść włosy.

Unoszę zapłakaną twarz z poduszki, żeby spojrzeć na nie, i Izabela — przechwyciwszy spojrzenie moich smutnych zaczerwienionych oczu — stwierdza:

— Już dawno powinnaś spać. Zawsze się mażesz, jak jesteś zmęczona. Dzieciuch z ciebie. W ogóle nie powinnaś była iść na tę ucztę. — Przenosi spojrzenie na Małgorzatkę, dojrzałą dwudziestoletnią niewiastę, i prosi: — Małgorzatko, powiedz jej.

— Proszę spać, panienko — rzecze łagodnie Małgorzatka. — Nie ma o co kruszyć kopii.

Przewracam się na bok i wbijam wzrok w ścianę. Małgorzatka nie powinna tak do mnie mówić; jest dworką pani matki i naszą przyrodnią siostrą i powinna mieć dla mnie więcej serca. Jednakże nikt nie odnosi się do mnie z szacunkiem, a rodzona siostra mnie nienawidzi. Słyszę skrzypienie łóżka, gdy Izabela kładzie się obok mnie. Nikt nie każe jej zmówić modlitwy, przez co z pewnością pójdzie do piekła.

Małgorzatka szepcze:

— Dobrej nocy, śpijcie smacznie, Bóg z wami.

Moment później gasną świece i zostajemy w komnacie same.

Nagle czuję, że Izabela szarpnięciem zdiera ze mnie kołdrę.

— Płacz sobie, ile chcesz — rzuca mściwie — ale i tak ja będę królową Anglii, a nie ty!

— Jestem córką Neville'a! — piszczę.

— Małgorzatka również — oznajmia rzeczowym tonem Izabela. — Tyle że nieślubną córką, uznanym przez pana ojca bękartem. Dlatego nam służy i poślubi jakiegoś pocziwego mężczyznę, podczas gdy ja wyjdę za co najmniej księcia... Skoro już o tym mowa, ty chyba też jesteś nieślubna i zostaniesz moją dworką.

W gardle wzbiera mi szloch, lecz tłumię go obiema dłońmi przyłożonymi do ust. Nie dam Izabeli tej satysfakcji, nie rozpłaczę się przy niej głośno. Będę sobie popłakiwać w ciszy. Gdybym potrafiła wstrzymać oddech, uczyniłabym to bez wahania, a potem napisaliby do pana ojca, że znaleziono mnie rano martwą i zimną, i może Izabeli zrobiłoby się przykro, że udusiłam się przez nią, a nasz ojciec winiłby ją za utratę córeczki, którą kochał ponad wszystko inne w świecie.

W każdym razie powinien mnie kochać ponad wszystko inne w świecie... W każdym razie bardzo bym chciała, aby tak było...



## L'ERBER, LONDYN LIPIEC 1465 ROKU



Wiem, że szykuje się coś wyjątkowego, gdyż pan ojciec, wróciwszy do naszej wspaniałej londyńskiej siedziby, zbiera na dziedzińcu gwardzistów i chorążych, a wszyscy mężczyźni, którzy są pod dachem, wyprowadzają ze stajni swoje konie i zajmują miejsce w szyku. Nasza siedziba w niczym nie ustępuje królewskim pałacom; pan ojciec ma gwardię liczącą trzystu ludzi, a w domu jest więcej służby niż gdziekolwiek indziej, wyłączywszy dwór króla Anglii. Niektórzy powiadają, że nasi ludzie są lepiej wyszkoleni i karniejsi niż królewscy; bez wątplenia są lepiej wykarmieni i wyposażeni.

Stercę przy drzwiach wiodących na dziedzińcu, ponieważ pan ojciec będzie tędy przechodził i być może zauważy mnie i powie mi, co się dzieje. Izabela jest na piętrze, gdzie się właśnie uczy; nie zamierzam po nią iść. Niech ten jeden raz coś ją ominie. Słyszac ciężkie kroki ojca na kamiennej posadzce, odwracam się i dygam, w oczekiwaniu, iż gestem błogosławieństwa położy mi dłoń na głowie, lecz ku swemu rozdrażnieniu widzę, że jest z nim pani matka i jej dworki, i na domiar złego Izabela. Moja siostra pokazuje mi język i wszystkie zęby w uśmiechu.

— A, tu się schowałeś... Chciałeś zobaczyć, jak wyruszam na czele oddziału?

Pan ojciec dotyka czubka mojej głowy, po czym schyla się, aby spojrzeć mi prosto w twarz. Wydaje mi się równie wielki i wspaniały jak zawsze; gdy byłam mała, sądziłam, że jego pierś jest z metalu, ponieważ widywałam go tylko w zbroi. Teraz, z gęstą szatynową brodą schludnie przystrzyżoną, uśmiecha się do mnie swymi ciemnobrazowymi oczyma wyzierającymi spod wypolerowanego na wysoki połysk hełmu. Wygląda jak ucieleśnienie walecznego rycerza, boga wojny.

— Tak, papo — odpowiadam. — Musisz znowu wyruszyć w pole?  
— Mam do wykonania ważne zadanie — rzecze uroczystym tonem.  
— Wiesz jakie?

Kręcę przecząco głową.

— Kto jest naszym największym wrogiem? — pyta mnie. To łatwe pytanie.

— Zła królowa.

— I tu się nie mylisz, bardzo bym chciał mieć ją w garści. Ale zastanów się... kto poza nią jest naszym najgorszym wrogiem?

— Śpiący król — odpowiadam.

Pan ojciec się śmieje.

— Tak ich nazwałeś? Złą królową i śpiącym królem? Cóż, jest w tym trochę racji. Bystra z ciebie panienska... — Zerkam na Izabelę, żeby sprawdzić, jak tej, która nazywa mnie głuptaską, podobają się słowa pana ojca. Tymczasem on kontynuuje: — Zatem jak myślisz, kogo nam wydano, pojmano i tak jak przewidywałem, sprowadzono w pętach do Londynu?

— Czy śpiącego króla?

— Owszem — potwierdza. — Dlatego jadę z moimi ludźmi, żeby przeprowadzić go przez ulice Londynu do Tower, gdzie pozostanie do końca swych dni.

Podnoszę na niego wzrok — przy czym muszę zadrzeć mocno głowę, gdyż góruje nade mną niebotycznie — nie śmiem się jednak odezwać.

— O co chodzi, Anno?

— Czy... czy wolno mi z tobą pojechać, papo?

Wybuchu śmiechem.

— Jesteś odważna niczym mały giermek, powinnaś była się urodzić chłopcem. Ale nie, nie wolno ci ze mną pojechać. Wszakże potem, w Tower, będziesz mogła popatrzeć na niego przez dziurkę od klucza, żeby się przekonać, iż już nic nigdy ci z jego strony nie grozi. Odkąd król stanie się moim więźniem, jego żona królowa nie będzie mogła nic zrobić.

— Tylko że w Londynie będzie dwóch królów — odzywa się Izabela z mądrą miną, chcąc pokazać, że też nie brak jej inteligencji.

Pan ojciec potrząsa głową.

— To nieprawda. Będzie tylko jeden król. Król Edward. Ten, którego osadziłem na tronie. Ma do korony Anglii wszelkie prawo, a poza tym odniósł zwycięstwo.

— Jak go przeprowadzisz? — pyta pani matka. — Wielu wylegnie na ulice, aby go zobaczyć.

— Spętanego — odpowiada krótko pan ojciec. — Jadącego na własnym koniu, lecz ze stopami związanymi w kostkach pod końskim brzuchem. To przestępca, który wystąpił przeciwko nowemu królowi Anglii i przeciwko mnie. Nie zasługuje na nic innego.

Pani matka wypuszcza głośno powietrze z płuc na taką oznakę braku szacunku.

— Ostatnio spał w górzystych ostępach północy — dopowiada pan ojciec. — Raczej nie będzie miał królewskiej postawy. Nie żyje jak wielki pan, tylko jak zwykły wyrzutek. Uwięzienie w Tower położy kres jego dalszym upokorzeniom.

— Wszyscy zobaczą, że ty go wieszysz, imponujący niczym król... — zauważa pani matka.

Pan ojciec ponownie się śmieje i rzuca okiem na dziedziniec, gdzie czekają na niego zbrojni w liberii, wcale nie gorsi od królewskiej gwardii, po czym kiwa z aprobatą głową na widok rozwijanej chorągwi ukazującej niedźwiedzia i podrapany pień. Wpatruję się w niego jak w obraz, olśniona jego potęgą i otaczającą go aurą władzy.

— Tak, to ja zawiodę króla Anglii do więzienia — przyznaje. Klepie mnie po policzku, uśmiecha się do pani matki i wychodzi na zewnątrz.

Jego rumak, jego ulubiony rumak zwący się Północą z powodu czarnej lśniącej sierści, stoi przy kłocu użytecznym przy wsiadaniu, trzymany oburącz za uzdę przez stajennego. Pan ojciec wskakuje na siodło, obraca się do swych ludzi i unosi rękę, aby dać znak do wymarszu. Wierzchowiec drze ziemię kopytem przedniej nogi, okazując gotowość do drogi; pan ojciec trzyma go krótko, wolną dłońią gładząc po szyi.

— Dobry konik — mówi. — Mamy do wykonania ważne zadanie, trzeba dokończyć to, cośmy pozostawili niedokończone pod Towton, a to bez wątpienia był wielki dzień dla nas obu.

Następnie wyprowadza oddział pod kamiennym łukiem bramy na ulice Londynu, którymi dostanie się do Islington, gdzie czeka na niego eskorta strzegąca śpiącego króla. Pan ojciec postara się, aby król Henryk już nigdy nie trafił Anglii swymi złymi snami.

**ZAMEK BARNARDA,  
HRABSTWO DURHAM  
JESIEŃ 1465 ROKU**



Obydwie, Izabela i ja, zostajemy wezwane przed oblicze pana ojca w jednej z naszych siedzib na północy kraju, w zamku Barnarda. To moje ulubione miejsce: forteca przycupnięta na klifie górującym nad rzeką Tees; z okna swojej komnaty mogę rzucać kamyki do kotłującej się wody hen w dole. Zamek jest nieduży, lecz otacza go wysoki mur, za nim fosa i wreszcie zewnętrzne kamienne ogrodzenie, do którego przytuliło się miasteczko. Mieszkańcy Barnard Castle padają przed nami na kolana, ilekroć przejeżdżamy. Pani matka powiada, że ród Neville'ów jest niczym bóstwo dla ludzi północy i że nas i poddanych więżą przysięgi złożone sobie wzajemnie u zarania czasu, gdy na świecie roiło się od czartów, węzów morskich i smoków. Neville'owie poprzysięgli wtedy chronić swych ludzi przed istotami z dna piekieł i przed Szkotami.

Pan ojciec zjawił się tu, aby wymierzać sprawiedliwość, tak więc podczas gdy on przesiaduje w wielkiej sali, rozsądzając sąsiedzkie kłótnie i wysłuchując petycji, ja z Izabelą i podopiecznymi papy, w tym z Ryszardem, bratem króla, wyprawiamy się popołudniami na konne przejażdżki. Urządzamy polowania z sokołem na bażanty i kuropatwy, zapuszczając się głęboko we wrzosowiska, które ciągną się tutaj całymi milami, aż do Szkocji. Ryszard i pozostali chłopcy przez pół dnia przebywają pod okiem swych nauczycieli, jednakże później, po posiłku, mogą zadawać się z nami. Wszyscy oni są synami wielmożów, jak Francis Lovell, albo przynajmniej potomkami znacznych rodów, wdzięcznymi za miejsce pod dachem Neville'a, po części kuzynami i krewnymi, którzy żyją z nami przez rok czy dwa, aby nauczyć się władać i przewodzić. Robert Bra-

ckenbury mieszkający po sąsiedzku nie odstępował Ryszarda ani na krok, niczym wierny giermek swego rycerza. Oczywiście moim ulubieńcem jest Ryszard, królewski brat. Choć wzrostem nie przewyższa Izabeli, waży się na wszystko, za co bardzo go podziwiam. Jest drobnej budowy ciała i ma ciemne włosy i szczerzy zamiar wyrośnięcia na wspianą rycerza. Już teraz zna wszystkie opowieści o Camelocie, które czasami mi czytuje, jakby to były historie o prawdziwych ludziach.

Za każdym razem powtarza tonem poważnym, abym nie wątpiła w jego słowa:

— Anno, nie ma w świecie nic ważniejszego od honoru. Prędzej umrę, niż stracę honor!

Dosiada swego kucyka pewnie, jakby brał udział w kawaleryjskiej szarży; jego największym pragnieniem jest dorównać siłą i sprawnością dwóm starszym braciom, wybić się na czoło wśród podopiecznych papy. Doskonale to rozumiem, ponieważ sama wiem, jak to jest być na szarym końcu i musieć wiecznie rywalizować z rodzeństwem. Jednakże nigdy nie okazuję mu swego zrozumienia — Ryszard jest niesłychanie drażliwy na punkcie swojej dumy i zniechęciłby mnie jak nic, gdyby się dowiedział, że rozumiem jego położenie, podobnie jak mnie nie podobałoby się, gdyby zaczął mi współczuć tego, że jestem młodszą niż Izabela, brzydszą niż Izabela, no i przede wszystkim, że jestem dziewczynką, kiedy wszyscy w rodzinie oczekiwali syna i dziedzica. O pewnych sprawach lepiej nie mówić głośno: oboje wiemy, że aspirujemy do wielkości, lecz wiemy też, że nikomu nic do tego.

Właśnie siedzimy w jednej komnacie z chłopcami, przysłuchując się ich lekcji greki, kiedy zjawia się Małgorzatka z wiadomością, że pan ojciec pragnie nas pilnie widzieć. Obydwe jesteśmy przerażone. Papa nigdy nas nie wzywa do siebie.

— Na pewno nie chodzi o mnie? — pyta Ryszard.

— Nie, wasza miłość — odpowiada mu.

Ryszard szczerzy się do nas. Zakłada, tak samo jak my, żeśmy coś przeskrobały.

— Pewnie czeka was chłosta.

Zazwyczaj tutaj, na północy, jesteśmy pozostawiane same sobie i widzimy rodziców wyłącznie przy wieczerzy. Pan ojciec ma mnóstwo zajęć. Zaledwie rok temu odbijał północne zamki, które opowiedziały się za

śpiącym królem. Pani matka zjeżdża do naszych siedzib tylko po to, by zaprowadzać porządki w sprawach, które wymknęły się spod kontroli pod jej nieobecność. Skoro papa chce nas widzieć, znalazłyśmy się w tarapatkach, aczkolwiek z ręką na sercu nie mam pojęcia, co takiego uczyniłyśmy.

Gdy wślizgujemy się do jego komnaty, pan ojciec siedzi za stołem na swoim krześle przypominającym tron. Pisarczyk układa przed nim kolejne kartki, na których papa — za pomocą zaostrzonego pióra — stawia wyraźne W, skrót od „Warwick”, co jest najważniejszym z jego tytułów. Inny klerk, trzymający się z boku, pochyla się z zapaloną świecą w jednym ręku i z lakiem w drugim, by nakropić na dokument czerwonej stygnącej mazi w formie zgrabnego kółka, do którego pan ojciec przyciska swój pierścień, by zrobić pieczęć. Jego życzenia są wcielane w czyn jakby za sprawą magii. Gdy tak stoimy w cieniu drzwi, czekając, aż nas zauważy, myślę sobie, jak wspaniale musi być wydawać rozkazy na piśmie, wiedząc, że ktoś natychmiast je spełni. Gdybym była mężczyzną, wydawałabym polecenia od rana do wieczora, takie to musi być przyjemne.

Pan ojciec podnosi wzrok, dostrzega nas i pisarczyk prędko zabiera dokumenty, a papa kiwa na nas zachęcająco. Postępujemy naprzód i dygamy, jak nam przystoi, on zaś unosi dłoń w geście błogosławieństwa, po czym odsuwa się razem z krzesłem od blatu i przywołuje nas za stół, abyśmy mogły stanąć bliżej niego. Wyciąga do mnie rękę, podchodzę więc i czuję, jak klepie mnie po głowie, zupełnie jakbym była jego wierzchowcem. Nie jest to szczególnie miłe, ponieważ papa ma ciężką rękę i każde klepięcie miażdży mi sztywny czepek ze złotej siateczki, ale przynajmniej nie przywołuje do siebie Izabeli. Moja siostra stoi nieopodal i przygląda się tej scenie, a ja korzystając z okazji, odwracam się do niej z uśmiechem, albowiem papa klepie mnie, nie ją, i to ja opieram się o podłokietnik jego krzesła, jak gdybym czuła pełną swobodę, nie zaś przerażenie z powodu tych niespotykanych przejawów ojcowskiej łaski.

— Jesteście grzeczne i uczycie się pilnie? — pyta znienacka.

Obydwie potakujemy skinieniem. Niewątpliwie jesteśmy grzeczne i pilnie się uczymy pod okiem własnego nauczyciela, zgłębiając tajniki logiki w poniedziałki, gramatyki we wtorki, retoryki w środy, języka francuskiego i łaciny w czwartki oraz muzyki i tańca w piątki. Oczywiście najbardziej lubimy piątki. Chłopcy mają jeszcze nauczyciela greki i ćwiczą pod okiem zbrojmistrza, ucząc się dzierżyć miecz i pojedynkować. Ryszard uczy się

bardzo dobrze i wyteża wszystkie sity w szrankach. Izabela umie więcej ode mnie i będzie się uczyła jeszcze tylko przez rok, do swych piętnastych urodzin. Twierdzi, że niewieścia głowa nie jest stworzona do retoryki i że kiedy wreszcie zostanie zwolniona z obowiązku nauki, będę siedzieć z nauczycielem sama dopóty, dopóki nie dojdę do końca podręcznika. Wizja samotnej nauki napawa mnie takim strachem, że zaczynam się zastanawiać, czyby nie napomknąć o tym papie i nie poprosić go, ażeby i mnie zwolniono z obowiązku nauki, skoro już zdaje się taki przystępny i dobrze usposobiony. Zaraz jednak spoglądam na jego poważną twarz i myślę sobie: „Oj, może lepiej nie...”.

— Wezwałem was do siebie, ponieważ królowa zażądała waszej obecności na swym dworze — oznajmia gromko.

Izabela sapie z wrażenia i aż różowieje na puciołowatej twarzy, przez co przypomina dojrzałą malinę.

— Naszej obecności? — bąkam, nie posiadając się ze zdumienia.

— To zaszczyt, który wam się prawnie należy z uwagi na moją pozycję w królestwie, ale też zasłużyłyście sobie na niego swoim zachowaniem podczas wizyty na dworze. Królowa mówi, że zwłaszcza ty, Anno, byłaś czarująca na jej koronacji.

Słowo „czarująca” na moment przesłania mi wszystko inne. Sama królowa Anglii — nieważne, że to tylko królowa Elżbieta, która wcześniej nazywała się Elżbieta Woodville i była właściwie nikim — uważa mnie za czarującą! I do tego powiedziała to mojemu ojcu! Czuję, że puchnę z dumy, i odwracam się szybko do papy, obdarzając go — mam nadzieję — absolutnie czarującym uśmiechem.

— Królowa jest zdania, całkiem słusznie zresztą, że będziesz ozdobą na jej dworze — rzecze pan ojciec.

Uczepiam się słowa „ozdoba” i zaczynam rozważać, co dokładnie miała na myśli królowa. Czy to, że będziemy zdobiły jej komnaty, upiększając je niczym tapiserie zawieszane na niedomytych ścianach? Czy to znaczy, że będziemy musiały stać bez ruchu ciągle w tym samym miejscu? A może mam być czymś w rodzaju wazonu?...

Pan ojciec wybuchł śmiechem na widok mojej zdumionej miny i zwraca się do Izabeli.

— Wytłumacz młodszej siostrze, co ma robić.

— Będziesz panną dworską — oświeca mnie sykiem Izabela.

— Aha.

— Co wy na to? — pyta nas pan ojciec.

Oczywiście widzi, co na to Izabela, która aż dyszy z ekscytacji, strzelając na wszystkie strony roziskrzonymi błękitnymi oczyma.

— To wielki honor... — wyrzuca z siebie, szukając właściwych słów.

— To honor, którego się nie spodziewałam. Jestem zaszczycona. Rzecz jasna, przyjmuję propozycję.

Papa przenosi spojrzenie na mnie.

— A ty, Anno? Moja maleńka? Też jesteś zachwycona jak twoja siostra? Też aż się rwiesz, by służyć nowej królowej? Chcesz zawirować w pobliżu tej świecy?

Coś w tonie jego głosu mówi mi, że to nie byłaby właściwa odpowiedź, chociaż faktycznie zapamiętałam królową tak, jak olśniony akolita mógłby zapamiętać święty obraz przystrojony z jakiejś ważnej religijnej okazji. Nie potrafię sobie wyobrazić niczego cudowniejszego od służenia jej jako panna dworska. W dodatku królowa mnie lubi. Jej matka uśmiechnęła się do mnie, a ona sama uważa mnie za czarującą! Jestem gotowa pęknąć z dumy na to wszystko. Zachowuję jednak ostrożność.

— Zrobię, cokolwiek mi każesz, papo — mówię. Spuszczam wzrok na własne stopy, po czym zadzieram głowę i patrzę mu prosto w ciemne oczy. — Czy teraz już ją lubimy?

Pan ojciec śmieje się w głos.

— Boże, miej nas w swojej opiece! Jakich to plotek się nasłuchiwałaś? Oczywiście, że kochamy i szanujemy Elżbietę. To żona króla i nasza królowa. Król Edward wybrał ją spośród wszystkich księżniczek świata. Wyobraź sobie tylko! Mógł się ożenić z dosłownie każdą córką królewskiego rodu chrześcijaństwa, a jednak wywyższył ją. — Ton nadal ma lekko prześmiewczy, a zarazem twardy. Słyszę lojalne słowa, które wypowiada, ale słyszę też coś pod nimi: jakąś nutę, która zadziwiająco przypomina tę w ustach Izabeli, gdy się nade mną znęca. — Głuptaska z ciebie, że w ogóle o to pytasz. Wszyscyśmy złożyli jej hołd i zaprzysięgli wierność. Nie wyłączając ciebie.

Izabela kiwa głową w moją stronę, jakby dla potwierdzenia.

— Jest za mała, żeby rozumieć takie sprawy — stwierdza ponad moją głowę. — W ogóle nic nie rozumie.

Czuję się tak, jakby ktoś dźgnął mnie ostrogą.



— Rozumiem, że król nie postąpił, jak radził mu papa! Mimo że to papa osadził go na tronie! Narażając własne życie w walce przeciwko złej królowej i śpiącemu królowi!

Mój wybuch prowokuje śmiech pana ojca.

— Zaiste przemówiły niewiniątka... — Wtem wzrusza ramionami.  
— Tak czy siak, nigdzie nie pojedziecie. Żadna z was nie będzie służyć na dworze tej królowej. Udacie się z panią matką na zamek w Warwick, gdzie nauczycie się zawiadywać prawdziwym pałacem. Nie sądzę, aby jej wysokość królowa mogła was nauczyć czegokolwiek, czego wasza macierz nie umie od urodzenia. Byliśmy krewniakami rodziny królewskiej, gdy obecna monarchini zbierała jabłka w sadach Groby. Wasza macierz przyszła na świat w rodzie de Beauchamp, wżeniła się w Neville'ów, nie wydaje mi się więc, aby ktokolwiek musiał uczyć ją i jej córki, jak powinna zachowywać się angielska dama... a już z pewnością ktoś taki jak Elżbieta Woodville — zakończył ciszej.

— Ale papo... — Izabela jest tak zasmucona, że nie potrafi się postrzymać. — Czy nie powinnyśmy służyć królowej, skoro o to prosi? Albo przynajmniej czy ja nie powinnam jej służyć? Anna jest za mała, ale ja chyba powinnam udać się na dwór...?

Pan ojciec rzuca jej takie spojrzenie, jakby gardził nią za tę chęć, by żyć w miejscu, gdzie rozgrywa się tyle wydarzeń, przebywać na dworze królowej, w sercu królestwa, gdzie co dzień widuje się króla, zamieszkuje w królewskich pałacach, chodzi w przepięknych sukniach, a wszystko to pośród osób, które świeżo doszły do władzy, w komnatach przepełnionych muzyką, zawieszonych bogatymi tapiseriami, gdzie wszyscy są zadowoleni i świętują swój tryumf.

— Anna może i jest mała, lecz ma lepszy ogłąd sytuacji niż ty — rzecze lodowato pan ojciec. — Czyżbyś podważała moje zdanie?

Izabela dyga przed nim głęboko, zwieszając głowę.

— Skądże, papo. W życiu. Przenigdy.

— Możecie odejść — mówi pan ojciec, jakby się nami znudził.

Wymykamy się z jego komnaty niczym myszy, które poczuły na ofu-trzonym karku oddech kota zabójcy. Kiedy już jesteśmy bezpieczne za drzwiami, odwracam się do Izabeli i z pewną siebie miną oznajmiam:

— A widzisz? To ja miałam rację. Wcale nie lubimy nowej królowej!

## ZAMEK W WARWICK WIOSNA 1468 ROKU

Nie lubimy nowej królowej. W początkach małżeństwa z królem Elżbieta namawia Edwarda, żeby zwrócił się przeciwko panu ojcu: jego najstarszemu i najlepszemu przyjacielowi, człowiekowi, który uczynił go królem i podarował mu królestwo. Odbierają wielką pieczęć memu stryjowi Jerzemu, którego następnie usuwają ze stanowiska lorda kanclerza, oraz wysyłają mego ojca z posłannictwem do Francji, tylko dla stworzenia pozorów, gdyż równocześnie za jego plecami zawierają przymierze z Burgundią. Papa wścieka się na króla i wini królową i jej bliskich o doradzanie mu wbrew jego najlepszym interesom, za to z korzyścią dla jej burgundzkich krewniaków. Co gorsza, król Edward oddaje swą siostrę Małgorzatę na żonę księcia Burgundii. Wszystkie starania pana ojca na dworze potężnej Francji idą na marne wskutek tego niespodziewanego sojuszu z wrogiem. Edward opowiada się przeciwko Francji, zaprzeczając długotrwałą pracę papy.

Co za małżeństwa wymyśla królowa, żeby umocnić pozycję swojej rodziny! Ledwie poczuła koronę na skroniach, zaczęła wynajdywać zaможnych młodych arystokratów na mężów dla setki swych siostr. Młody Henryk Stafford, książę Buckingham, którego rodzice upatrzyli dla mnie, dostaje się jej siostrze Katarzynie — dziewczynce, która siedziała z nami przy stole podczas uczty koronacyjnej. Dziecko urodzone i wychowane w wiejskim dworku w Grafton otrzymuje tytuł księżnej. Chociaż oboje są w moim wieku, królowa doprowadza do ich małżeństwa i ściąga na swój dwór w charakterze podopiecznych, tym samym zachowując majątek Stafforda do własnej dyspozycji. Pani matka powiada, że Staffordowie, którzy są chyba najdumniejszym rodem w całej Anglii, nigdy jej tego nie

wybaczą, podobnie jak my. Mały Henryk chodzi skwaszony, jakby go ktoś strut. Wywodzi swą genealogię od królów Francji, a skończył jako małżonek Katarzyny Woodville, otrzymując za teścia męzczyznę, który do niedawna był zwykłym giermkim.

Swoich braci królowa żeni z niewiastami zamożnymi bądź utytułowanymi (najprzystojniejszy z nich wszystkich Antoni dostaje żonę, która czyni go baronem Scales). Jednakże ani słowem nie wspomina o mnie i o Izabeli. Zupełnie jakbyśmy — z chwilą, gdy pan ojciec zabronił nam udać się na dwór Elżbiety — przestały dla niej istnieć. Nie podsuwa nam żadnego kandydata. Wprawdzie pani matka rzekła w rozmowie z papą, że nigdy byśmy się nie zniżyły do któregoś z Riversów — i to bez względu na to, jak się wywyższają — lecz w efekcie nie mam narzeczonego, chociaż w czerwcu skończę dwanaście lat. Izabela jest w jeszcze gorszej sytuacji, skazana na bycie dworką pani matki, mimo że skończyła już szesnaście lat i dawno powinna mieć męża na oku. Jako że nasza matka została zaręczona jeszcze w kołysce, a wydana za mąż i rozdzielona w wieku lat czternastu, Izabela z każdym dniem bardziej się niecierpliwi, z obawy że pozostanie w tyle w tym wyścigu do ołtarza. Można by pomyśleć, że zniknęłyśmy niczym dziewczęta z bajki pod wpływem zaklęcia, podczas gdy królowa Elżbieta wydaje wszystkie swoje siostry i kuzynki za ostatnich liczących się synów wielmożów w kraju.

— Może wyjdiesz za zamorskiego księcia — mówię, starając się pocieszyć Izabelę. — Jak wrócimy do Calais, papa znajdzie ci francuskiego księcia. Z pewnością planują dla nas coś takiego...

Przebywamy na zamku w Warwick i oddajemy się rysowaniu. Izabela naszkicowała udany widoczek, odwzorowanie krajobrazu rozciągającego się za oknem, ja natomiast nagryzmoliłam coś, co powinno być bukietem pierwiosnków, świeżo zerwanych na brzegu rzeki Avon i ustawionych obok lutni Ryszarda.

— Jakaś ty niemądra! — wyrokuje Izabela. — Co by nam przyszło z francuskich książąt? Nam trzeba powiązań z rodziną królewską Anglii. Na tronie zasiada nowy król, któremu żona rodzi same córki. Powinnyśmy mieć swoje miejsce w kolejce do tronu. Powinnyśmy się znaleźć tak blisko tronu, jak się da. A ty prawisz jakieś bzdety niczym gęsiarka!

Nawet się nie jeżę na tę obelgę, tylko pytam:

— Po co nam powiązania z rodziną królewską?

— Papa nie osadził Yorka na tronie Anglii, aby mu służyć — wyjaśnia mi siostra. — Osadził go tam, aby nim powodować. Pragnął rządzić Anglią z tronu Yorka. Edward był mu niczym młodszy brat, papa mógł być jego panem. Każdy to wie.

Każdy oprócz mnie. Ja sądziłam, że pan ojciec dopomógł Yorkowi w zdobyciu korony, ponieważ był on prawowitym następcą, gdy królowa Małgorzata Andegaweńska okazała się złą kobietą, a król Henryk zasnął.

Izabela kontynuuje wyjaśnienia:

— A teraz, kiedy król Edward słucha wyłącznie swojej żony i jej bliskich, musimy wejść do tej rodziny, aby móc na niego wpływać. Dlatego obydwie wyjdziemy za królewskich braci, o ile pani matce uda się to dla nas załatwić.

Czuję, że się czerwienię.

— Czy to znaczy, że poślubię Ryszarda?

— Nie mów, że ci się podoba! — Izabela wybucha śmiechem. — On jest taki śniady, kruczowłosy i niezgrabny...

— Ryszard jest silny — mówię pierwsze, co mi przychodzi do głowy. — I potrafi dobrze jeździć konno. Jest odważny i jeszcze...

— Skoro ci się uśmiecha mąż, który jest dobrym jeźdźcem, czemu nie poślubisz stajennego?

Znowu ignoruję jej przytyk.

— Jesteś pewna, że tak będzie? Kiedy wyprawia nam wesela?

— Papa się zawiązał — informuje mnie, zniżając głos do szeptu — lecz królowa zaparła się, aby pokrzyżować mu szyki. Nie podoba jej się pomysł, aby królewscy bracia ożenili się z kimś spoza kręgu jej rodziny i przyjaciół. Nie chce nas widzieć na swoim dworze, bobyśmy ją zawstydzaly, pokazując, jak zachowuje się prawdziwa angielska dama. Robi co może, żeby odciągnąć króla Edwarda od papy, ponieważ wie, że papa mówi mu samą prawdę i udziela dobrych rad, nastawiając go przeciwko niej.

— Czy pan ojciec poprosił już o zgodę? Na nasz ślub z księżętami?

— Zrobi to, kiedy wróci na dwór królewski — rzecze Izabela. — Przecież nie teraz, nie dziś, nie w tej chwili. Ale w końcu obydwie będziemy zaręczone, i to z kim!... Z królewskimi braćmi! Zostaniemy księżnymi. Prześcignemy matkę królowej, Jakobinę, i matkę króla, Cecylię. Będziemy pierwszymi damami w Anglii zaraz po królowej.

Gapię się na nią z rozdziawionymi ustami.

— A ty co sobie myślałaś? — pyta. — Zapomniałaś, jaką pozycję ma pan ojciec? To oczywiście, że musimy być pierwszymi damami w Anglii.

— Jeżeli królowi Edwardowi nie urodzi się syn — zastanawiam się na głos — to po jego śmierci panowanie obejmie jego starszy brat, Jerzy.

Izabela ściska mnie mocno z zachwytu.

— Tak! Właśnie! Jerzy księżę Clarence. — Śmieje się w głos z radości.

— On będzie królem Anglii, a ja królową!

Zamieram z wrażenia na myśl, że moja siostra zostanie królową.

— Królowa Izabela... — mówię z podziwem.

Potakuje skinieniem.

— Od dawna uważam, że to świetnie brzmi.

— Och, będziesz taka wspaniała!

— Wiem — ucina, po czym dodaje wspaniałomyślnie: — A ty będziesz księżną, pierwszą damą na mym dworze... Ależ będziemy miały stroje!

— I jeżeli i ty pożyjesz długo i nie urodzisz syna, a potem umrze Jerzy... wówczas królem zostanie Ryszard, a królową będę ja! Królowa Anna.

Uśmiech spełza z twarzy mojej siostry.

— Och, to niezbyt prawdopodobne. W gruncie rzeczy całkiem niemożliwe.

Pan ojciec wraca z dworu królewskiego z kamienną twarzą. Siadamy do wieczerzy w wielkiej sali zamku, gdzie mieści się parę setek ludzi. Jest rojno i gwarno: słychać szcęk naczyń, szurgot ław, stukot noży o deski do krojenia, jednakże przy wysokim stole, skąd papa wodzi chmurnym spojrzeniem, panuje zupełna cisza. Pani matka siedzi po jego prawej stronie, wpatrując się w stół dworek, łasa na najłżejszy przejaw złych manier. Po lewej pan ojciec ma Ryszarda, czujnego i spokojnego. Izabela siedzi jak trusia obok matki, a ja znajduję się na końcu, jak zwykle na szarym końcu, i nie mam pojęcia, co się wydarzyło. Muszę znaleźć kogoś, kto mi powie.

Dopadam naszej przyrodniej siostry, Małgorzatki. Choć jest ona nieślubnym dzieckiem papy, już w maleńkości została uznana przez pana ojca, a pani matka doglądała jej wychowania, by potem umieścić wśród swych dam dworu jako zaufaną powiernicę. Obecnie Małgorzatka

jest żoną jednego z dzierżawców papy, niejakiego Ryszarda Huddlestona. Ma już dwadzieścia trzy lata i orientuje się we wszystkim, a także — w odróżnieniu od innych — nie tai niczego przede mną.

— Małgorzatko, co się stało?

— Król odmówił naszemu ojcu — rzecze ponuro w odpowiedzi, gdy już znalazłam ją w naszej komnacie, gdzie nadzoruje służącą, która wkłada szkandełę do zimnego łóżka, oraz pazia, który dla naszego bezpieczeństwa wraża miecz między materace. — Powinien się wstydić. Zapomniał, że ma dług; zapomniał, skąd się wywodzi i kto pomógł mu zdobyć koronę. Słyszałam, że król rzucił naszemu ojcu prosto w twarz, że nigdy się nie zgodzi, abyście poślubiły jego braci.

— Ale dlaczego? Papa musiał się na niego bardzo rozgniewać...

— Ponoć wynalazł dla nich inne kandydatki, Francuzki, Niderlandki, Flandryjki, a może Niemki. Kto to może wiedzieć? Z całą pewnością marzą mu się księżniczki na bratowe. Z kolei królowa bez wątpienia rozgląda się za jakimiś swoimi krewniaczkami w Burgundii, które mu potem podsunie. Nasz ojciec czuje się zelżony.

— Wszyscy tak się czujemy — zapewniam, po czym dodaję: — Prawda?

Małgorzatka potakuje zamasztywym skinieniem, gestem odprawiając sługi.

— Prawda. Nigdzie nie ma piękniejszych dziewcząt dla książąt, nawet w Jerozolimie. Król Edward, niech Bóg ma go w swojej opiece, obrał sobie złych doradców. Takich, co go zniechęcają do was i namawiają do odwrócenia się od hrabiego Warwick, dzięki któremu jest dziś tym, kim jest.

— Kto go do tego namawia? — pytam, mimo że znam już odpowiedź.

— Kto tak źle mu doradza?

Małgorzatka odwraca głowę i spluwa w płomienie.

— Ona — rzecze.

Nawet ja wiem, kogo ma na myśli.

Gdy wracam do wielkiej sali, widzę, że Ryszard, brat króla, jest pogrążony w rozmowie ze swym nauczycielem — zapewne wypytuje go o wieści, podobnie jak przed chwilą ja wypytywałam Małgorzatkę. Zerka na mnie i nagle czuję pewność, że rozmawiają o mnie i że

nauczyciel właśnie mu powiedział, iż jednak nie dojdzie do naszych zaręczyn, ponieważ królowa, która sama wyszła za mąż z miłości, zamierza narzucić nam na małżonków osoby, jakich nie znamy ani o jakie nie dbamy. W wypadku Ryszarda będzie to zamorska księżniczka. Zauważam z niejaką irytacją, że Ryszarda wcale to nie martwi. Wygląda tak, jakby ani trochę się nie smucił z powodu tego, że nikt mu nie każe poślubić niskiej, brązowowłosej, jasnonicej chudej dziewczynki, która nie olśniewa smukłością ni płowymi włosami ani nie ma choćby zaczątków piersi, uporczywie pozostając szczupła jak wrzeciono. Odrzucam głowę do tyłu, prostując się, jak gdybym i ja wcale się nie martwiła. Zresztą nie wyszłabym za niego, nawet gdyby wszyscy mnie o to błagali. A kiedy już wyrosnę na wielką piękność, Ryszard będzie żałował, że mnie utracił!

— Słyszałaś już? — pyta, podszedłszy do mnie z nieśmiałym uśmiechem. — Mój brat król zadecydował, że nie pobierzemy się. Ma co do mnie inne plany.

— Ani przez chwilę nie chciałam być twoją żoną — odpowiadam urażona. — Lepiej więc nie myśl, że tak było.

— Twój ojciec osobiście zwrócił się z prośbą... — stwierdza.

— Cóż, najjaśniejszy pan z pewnością ma już na oku kogoś dla ciebie — mówię rozżalona. — Najpewniej którąś z siostr królowej. Albo kuzynek... bądź może jakąś przeciotę, bezzębną staruszkę z haczykowatym nosem... Swego brata Jana ożeniła z moją przeciotą, więc lepiej uważaj, żeby i ciebie nie oddała jakiejś szlachetnie urodzonej czarownicy. Diabelska sztuczka, ot co...

Ryszard kręci głową.

— Mój brat znajdzie dla mnie księżniczkę — mówi z wielką pewnością siebie. — Jest dla mnie dobry i wie, że poszedłbym za nim w ogień. Poza tym ja już jestem w wieku odpowiednim do żeniaczki, a ty nadal tkwisz w komnacie dziecięcej.

— Mam skończone jedenaście lat — odpowiadam z godnością. — A wy, Yorkowie, myślicie, że jesteście tacy wspaniali. Myślicie, żeście wysoko urodzeni, równi wielkim panom. Nie zapominajcie, że wszystko zawdzięczacie memu ojcu!

— Ja o tym nie zapominam — rzecze. Przykłada dłoń do serca, jakby był rycerzem z bajki, i kłania mi się, jakbym była prawdziwą damą.

— Przykro mi, że nie będziemy małżeństwem, Anno. Żywię przekonanie, że byłaby z ciebie doskonała księżna. Mam nadzieję, że wyjdiesz za jakiegoś księcia albo nawet zamorskiego króla.

— No dobrze — bąkam, czując się nagle dziwnie. — W takim razie ja nie życzę ci ożenku ze starą czarownicą.

Tego wieczora Izabela wpada do naszej komnaty cała podekscytowana. Klęka w nogach łóżka, aby się pomodlić, a ja słyszę, jak szepcze:

— Niech tak będzie, dobry Boże. Och, Panie Boże, proszę, żeby się spełniło...

Czekam w milczeniu, kiedy zdejmuje suknię i wślizguje się pod przykrycie, by po chwili przewracać się z boku na bok niespokojnie.

— Co się dzieje? — pytam szeptem.

— Wyjdę za niego.

— Jak to?

— Tak to. Papa mi powiedział. Pojedziemy do Calais, gdzie ksiązę dołączy do nas w tajemnicy.

— Król zmienił zdanie?

— Król o niczym nie wie.

Zakrywam dłonią usta.

— Chyba nie chcesz poślubić królewskiego brata bez królewskiej zgody!

Izabela chichocze z przydechem, po czym obie leżymy w ciszy.

Pierwsza odzywa się Izabela.

— Ależ będę miała suknie... I futra... I klejnoty...

— Czy Ryszard też pojedzie? — pytam z drżeniem głosu. — Bo on myśli, że ożeni się z kimś innym.

Moja siostra otacza mnie ramieniem w ciemnościach i przyciąga bliżej siebie.

— Nie — odpowiada. — Ryszard nigdzie nie pojedzie. Znajdą ci na męża kogoś innego. Nie Ryszarda.

— Ja bynajmniej za nim nie przepadam...

— Wiem. Po prostu sądziłaś, że go poślubisz. To moja wina, naopowiadałam ci różnych rzeczy. Nie powinnam była.

— Ale skoro ty wychodzisz za Jerzego...



— Wiem — przerywa mi łagodnie. — Powinniśmy wydać się za mąż jednocześnie, poślubiając obu królewskich braci. Ale nie bój się, nie opuszczę cię. Poproszę pana ojca, abyś mogła zamieszkać z nami, gdy już będę księżną na dworze. Możesz zostać moją dworką.

— Rzec w tym, że wolałabym być księżną.

— Tak, no cóż... Niestety nie możesz nią być.

## ZAMEK W CALAIS 11 LIPCA 1469 ROKU



Izabela ma na sobie suknię z olśniewającego białego jedwabiu przybraną rękawami ze złotogłowiu. Jej głowę zdobi wysoki kornet udrapowany białym welonem z bezcennej koronki, przez co moja siostra wygląda, jakby mierzyła sześć stóp i była gigantką albo boginką. Jerzy — pan młody — występuje w aksamicie barwy głębokiej purpury, koloru zarezerwowanego dla cesarzy. Są obecni prawie wszyscy angielscy dworzanie. Nawet jeśli król o niczym nie wiedział, musiał się zorientować, obudziwszy się pewnego dnia w opustoszałym pałacu. Jego rodzona matka, księżna Cecylia, żegnała młodą parę w Sandwich, dając swoje błogosławieństwo ulubieńcowi Jerzemu zamiast krnąbrnemu Edwardowi.

Ryszard został z nauczycielem i przyjaciółmi na zamku w Warwick; papa nie powiedział mu, dokąd się udajemy ani nawet tego, że będziemy świętować wesele. Ciekawe, czy jest mu przykro. Mam nadzieję, że bardzo żałuje przepuszczenia takiej okazji, i złości się, że został wystrychnięty na dudka. Izabela może i jest na razie lepszą partią z nas dwu, tą ładniejszą, wdzięczniejszą i umiejącą się zachować w każdej sytuacji, lecz ja mam nie mniejszy majątek niż ona i mogę kiedyś dorównać jej urodą. Wtedy Ryszard na pewno pożałuje, że taka urodziwa i bogata żona przeszła mu koło nosa, i żadna parszywa hiszpańska księżniczka go nie pocieszy. Z przyjemnością rozmyślam o tym, jaki żal będzie czuł, gdy zaokrąglę się tam gdzie trzeba i nabiorę kształtów, a moje włosy zjaśnieją i nawet będę miała uśmiech królowej, a do tego zamożnego księcia za męża i kufer pełen futer — wtedy z pewnością zrozumie, co stracił i że przepadłam dla niego jak Ginewra dla Lancelota.

Ale to nie tylko wesele; to obchody potęgi naszego ojca. Nikt, kto widzi zgromadzony tu na jego zaproszenie cały dwór, ludzi kłaniających mu się w pas, jakby sam był królem, przechadzającym się po galeriach zamku w Calais położonego na terenie ufortyfikowanego miasta, którego bronił przez lata w imieniu Anglii, zupełnie nikt nie może powątpiewać, że potęgą Ryszard Neville dorównuje królowi Edwardowi, a może nawet go przewyższa. Jeśli Edward nadal będzie ignorował rady Neville'a, wielu faktycznie dojdzie do wniosku, że papa jest potężniejszy, a już na pewno bogatszy i lepiej uzbrojony. W dodatku jest tutaj królewski brat, mający zakaz ożenku, a jednak swobodnie ujmujący moją siostrę za rękę i uśmiechający się do niej czarująco w trakcie wypowiedzania słów przysięgi.

Uczta weselna ciągnie się przez całe popołudnie, długo w noc; służący wynoszą z kuchni danie za daniem, wszystkie ogłaszane przez fanfary wygrywane przez muzykantów; są to kolejno: mięsa i owoce, pieczywa i słodkości, ciężkie angielskie puddingi i lekuchne francuskie smakołyki. Przy tej uczcie błędnie nawet uczta koronacyjna królowej Elżbiety. Pan ojciec prześcignął króla Anglii, przyćmił go bogactwem i potęgą. Zamek w Calais to obecnie w gruncie rzeczy konkurencyjny dwór, wspanialszy od dworu Edwarda i jego żony plebejki. Papa w niczym nie ustępuje księciu Burgundii, ba, samemu królowi Francji. Izabela siedzi na eksponowanym miejscu pod baldachimem pośrodku wysokiego stołu i gestami posyła kolejne potrawy do niższych stołów, które wypada zaszczyścić. Jerzy, urodziwy jak prawdziwy książę, przekłada na jej talerz kaski mięsiwa, pochyla się ku niej i szepcze jej na ucho, uśmiechając się do mnie, jakbym i ja dostawała się pod jego opiekę. Nie potrafię się powstrzymać przed odwzajemnieniem uśmiechu; Jerzy w ślubnym stroju, taki przystojny i pewny siebie, sprawia wrażenie panującego króla.

— Nie obawiaj się, moja malutka, ty też będziesz miała takie wesele — pociesza mnie szeptem pan ojciec, przechodząc za stołem, przy którym siedzę z innymi dwórkami.

— Myślałam...

— Wiem, co myślałaś — przerywa mi. — Ale Ryszard jest lojalny wobec swego brata króla, nigdy nie wystąpiłby przeciwko Edwardowi. Nie mogłem się do niego zwrócić. Za to Jerzy... — zerka ku wysokiemu

stołowi, gdzie mój swak właśnie częstuje się kolejnym pucharem małmazji — Jerzy kocha nade wszystko siebie i robi zawsze to, co jest najlepsze dla niego. Wiążę z nim naprawdę wspaniałe plany.

Czekam, czy powie coś więcej, lecz papa tylko klepie mnie delikatnie po ramieniu.

— Zaprowadzisz siostrę do jej komnaty sypialnej — dodaje — i przygotujesz do nocy, gdy macierz da ci znak.

Podnoszę wzrok na panią matkę, która obrzuca baczny spojrzeniem całą wielką salę, oceniając pracę służby, obserwując gości. Gdy kiwa do mnie głową, wstaję, a Izabela w tej samej chwili błędnie, zdawszy sobie sprawę, że uczta weselna dobiegła końca i pora szykować się na skonsuowanie małżeństwa.

Rozweselony, hałaśliwy orszak wiedzie oblubieńców do komnaty sypialnej panny młodej; przez szacunek dla pani matki obywa się bez specjalnej rubasznosci, jednakże oficerowie garnizonu wykrzykują swoje zachęty, a goście weselni sypią obojgu pod nogi płatki kwiatów i błogosławią im. Moja siostra i jej świeżo poślubiony mąż zostają wpuszczeni do łoża przez arcybiskupa, dwadzieścia druzhen i pięciu rycerzy Orderu Podwiązki, wśród chmury kadzidła z trybularzy trzymanych przez tuzin księży i do wtóru życzeń pomyślności wypowiedzianych stentorowym głosem przez papę. Ja i pani matka ostatnie wychodzimy z komnaty; gdy oglądam się za siebie, widzę Izabelę siedzącą sztywno i bardzo błada, jakby czuła strach. Jerzy spoczywa wygodnie na poduszkach, nagi do pasa, z jasnymi włoskami lśniącymi mu na piersi i pewnym siebie uśmiechem.

Waham się. To ma być pierwsza noc, którą spędzimy oddzielnie. Chyba nie chcę zostać sama, chyba nie chcę spać bez otulającej mnie ciepłem siostry; wątpię też, aby Izabela naprawdę pragnęła zostać sam na sam z Jerzym, takim rozhukanym, takim pijanym, takim promieniejącym. Izabela ma taką minę, jakby chciała coś powiedzieć. Pani matka, wyczuwając łączącą nas siostrzaną więź, kładzie mi dłoń na ramieniu i kieruje ku drzwiom.

— Anno, nie odchodź — mówi cicho Izabela. Kiedy znów się oglądam, moja siostra dygocze jak w febrze. Wyciąga do mnie rękę, jakby mogła mnie w ten sposób zatrzymać choć na moment dłużej. — Anno! — mówi natarczywiej.

Nie potrafię nie zareagować na nutę przerażenia w jej głosie. Obracam się w stronę łoża, lecz w tej samej chwili pani matka ujmuje mnie zdecydowanie za rękę, by zaraz zamknąć za nami drzwi.

Tej nocy śpię sama, odmawiając towarzystwa którejś z panien dworskich — skoro nie mogę być ze swoją siostrą, nie chcę być z nikim. Leżę w zimnej pościeli i wsłuchuję się w ciszę: nie ma obok mnie nikogo, kto by przypomniał wydarzenia dnia, kto by się droczył, kto by mnie dręczył. Albowiem nawet gdyśmy walczyły niczym kocięta w koszyku, cieszyłam się z bliskości Izabeli. Podobnie jak mury zamku w Calais moja siostra stanowi tło mego życia. Urodziłam się i wychowałam w jej cieniu; na zawsze miałam pozostać tą drugą po niej, po rodzinnej piękności. Wiecznie stapałam za moją ambitną, pewną swego, wygadaną starszą siostrą. Teraz nagle zostałam sama. Leżę bezsennie przez długi czas, wpatrując się w ciemność i zastanawiając, jak odtąd będzie wyglądało moje życie: teraz, gdy zabrakło w nim Izabeli, która mówiła mi, co mam robić. Spodziewam się, że jutrzejszy ranek wstanie dla mnie całkowicie inny.

## ZAMEK W CALAIS 12 LIPCA 1469 ROKU



Ranek wstaje jeszcze dziwniejszy, niż go wyśniłam podczas pierwszej w życiu samotnie spędzonej nocy. Wszyscy są na nogach już o świcie. Turkot kół na bruku dziedzińca kuchennego, pokrzykiwania dobiegające ze zbrojowni oraz zamęt na przystani i w porcie wskazują, że pan ojciec — zamiast dalej świętować wesele starszej córki — wyrusza w morze.

— Zaatakowali nas piraci? — pytam swego nauczyciela, który akurat przechodzi korytarzem, niosąc pulpity do komnat papy. — Mistrzu, powiedzcie, czy to piraci?

— Nie, nie piraci — odpowiada z obliczem pobladłym ze strachu. — Gorzej... Niech panienka poszuka matki. Nie mam teraz czasu. Muszę się stawić przed ojcem panienki.

Co może być gorszego od piratów? Chyba tylko Francuzi. Francuzi nas zaatakowali! Wybuchła wojna z Francją i połowa angielskiego dworu znalazła się na zamku oblężonym przez wroga! To faktycznie najgorsze, co mogło się przytrafić. Biegnę do komnat pani matki na złamanie karku, tymczasem tam wszystko jest jak zawsze. Panuje idealny spokój. Pani matka siedzi obok Izabeli, odzianej w nową suknię, lecz nie słyhać szebiotki szczęśliwej panny młodej. Moja siostra wygląda na rozwścieczoną, a dworki, które siedzą kręgiem i szyją koszule, milczą w czymś w rodzaju gorączkowego wyczekiwania. Dygam nisko przed macierzą.

— Pani matko... — zaczynam nieśmiało. — Co się dzieje?

— Powiedz jej — rzecze chłodno do Izabeli.

Szybciotko przysuwam sobie zydel i siadam przy siostrze.

— Dobrze się czujesz? — pytam ją szeptem.

— Tak — odpowiada. — Nie było tak źle.

— Bolało?

Kiwa głową.

— Okropnie. Najpierw było okropnie, a potem obrzydliwie.

— Co się teraz dzieje?

— Pan ojciec rusza na wojnę z królem.

— Niemożliwe! — krzyczę tak głośno, że pani matka musi mnie skarcić ostrym spojrzeniem. Prędko nakrywam usta dłonią, wiedząc, że ponad kneblującymi palcami wybałuszam oczy ze zdumienia i niedowierzania.

— Izabelo... — mówię ciszej — jakże to?

— Wszystko było zaplanowane — opowiada wściekłym szeptem. — Łącznie z weselem. Zapewniał, że ma wielkie plany. Sądziłam, że chodzi o mój ślub. Nie miałam pojęcia, że chodzi o to...

Przenoszę spojrzenie na kamienne oblicze pani matki, która patrzy na mnie tak, jakby zdrada była chlebem powszednim i okazywanie zdziwienia stanowiło wykroczenie przeciw dobrym manierom.

— Pani matka wiedziała? — pytam szeptem. — Czy usłyszała dopiero później?

— Wiedziała od samego początku — rzece gorzko Izabela. — Wszyscy wiedzieli. Wszyscy oprócz nas.

Wprost brak mi słów. Rozglądam się po komnacie, po dworach szyjących koszule dla biednych, jakby to był dzień jak każdy inny, jakbyśmy nie szykowali się do wojny z królem Anglii, któregośmy sami osadzili na tronie przed ośmiu laty.

— Właśnie zbroją flotę. Lada chwila postawią żagle.

Tym razem wydaję bezwiedny jęk, taka jestem wstrząśnięta, natychmiast jednak gryzę się w dłoń dla opanowania.

— Chodźmy stąd, tutaj nie da się swobodnie rozmawiać — stwierdza Izabela, podrywając się na nogi i dygając płytko przed panią matką.

Ciągnąc mnie za rękę, wychodzi do antyszambry, skąd kręconymi kamiennymi schodami udajemy się na blanki, aby przyjrzeć się zamieszaniu panującemu w dole. Kursujący w tę i w tę ludzie wnoszą na pokład okrętów uzbrojenie i wprowadzają wierzchowce. Spostrzegam Północ, wielkiego czarnego rumaka papy, z narzuconym na łeb kapturem, dzięki czemu w miarę spokojnie stąpa po trapie. Jednakże nawet to nieustraszone zwierzę stawia kroki ostrożnie, strzygąc nerwowo uszami na dźwięk

echa podków stukających o drewniany trap. Jeśli nawet Północ się boi, w powietrzu musi wisieć niebezpieczeństwo.

— To naprawdę się dzieje — mówię, nie wierząc własnym oczom.  
— Pan ojciec naprawdę wyrusza ku brzegom Anglii. Ale co z matką króla, księżną Cecylią? Przecież o wszystkim wiedziała. Machała nam na pożegnanie w Sandwich. Czyż nie ostrzeże własnego syna?

— Ona też wie — wzrusza ramionami chmurna Izabela. — I to od dawna. Wygląda na to, że wszyscy wiedzą oprócz króla... oraz nas. A księżna Cecylia nienawidzi królowej, odkąd usłyszała, że Edward ją poślubił. Teraz ma okazję zwrócić się przeciwko obojgu równocześnie. Plany były snute od długich miesięcy. Papa opłacał ludzi na północy i w środkowej Anglii, przekupując ich. Moje wesele miało być sygnałem do powstania. Tylko pomyśl: zdradził im, kiedy wezmę ślub, aby mogli się zbuntować we właściwym momencie. I tak jak sobie życzył papa, wzniecił bunt, który wygląda na samoistne powstanie. Zamydlili królowi oczy do tego stopnia, że bierze rebelię za lokalne zamieszki i właśnie maszeruje na północ od Londynu, aby przywrócić porządek. Gdy papa przybije do brzegów Anglii, król będzie daleko od Londynu. Nie mając pojęcia, że moje wesele nie było zwykłym weselem, tylko wezwaniem do powstania. Ani że goście weselni już płyną, aby go pokonać. Papa wykorzystał mój ślubny welon, aby ukryć swoje plany rebelii.

— Król? Król Edward? — pytam niemądrze, jakby nasz dawny wróg, śpiący król Henryk, mógł się nagle przebudzić i wstać ze swego łóżka w Tower.

— Oczywiście, że król Edward.

— Ale papa go miłuje...

— Miłował — poprawia mnie Izabela. — Jerzy wyjaśnił mi to dziś rano. Wszystko się zmieniło. Papa nie potrafi wybaczyć królowi tego, że wywyższa Riversów. Nikt inny nie może zarobić złamanego pensa, nikt inny nie ma szans choćby na skrawek ziemi, ponieważ co było do wzięcia, zabrali Riversowie i to oni decydują, co w Anglii jest do postanowienia. Riversowie, a zwłaszcza Elżbieta...

— Jest królową — przypominam. — Jest najcudowniejszą królową... Izabela mi przerywa.

— Elżbiecie nie przysługują żadne prawa.

— Ale rzucenie rękawicy królowi? — zastanawiam się na głos. — Czy to nie zdrada?



— Papa nie zamierza rzucać wyzwania królowi bezpośrednio — tłumaczy mi starsza siostra. — Zażąda tylko, aby oddalił złych doradców, to znaczy Riversów, i przywrócił w ich miejsce tych, którzy doradzali mądrze, czyli nas. Odzyska urząd lorda kanclerza dla naszego stryja Jerzego Neville'a. Sprawি, że król znowu będzie go pytał o radę. Od tej pory papa będzie miał ostatnie słowo w sprawie polityki zagranicznej. Znajdziemy się znów na należnym nam miejscu, będziemy doradcami i faktycznymi władcami stojącymi za tronem królewskim. Jednego tylko nie rozumiem... — głos nagle jej się łamie pośrodku tej twardej przemowy, zupełnie jakby w końcu zgubiła maskę — jednego nie wiem... — Bierze głęboki oddech. — Nie wiem...

Obserwuję, jak wielkie działo jest wtaczane na pokład okrętu.

— Czego? — dopytuję. — Czego nie wiesz?

Twarz ma wykrzywioną strachem jak wtedy, gdyśmy z panią matką zostawiały ją w komnacie sypialnej sam na sam ze świeżo poślubionym mężem i gdy szeptała rozpaczliwie: „Anno, nie odchodź”.

— Nie wiem, czy to przypadkiem nie jakaś sztuczka — szepcze tak cicho, że muszę nachylić ku niej głowę, by cokolwiek usłyszeć. — Czy to nie sztuczka podobna do tych, jakie robili śpiącemu królowi i złej królowej. Ty jesteś za mała, żeby to pamiętać, lecz ja wiem, że ojciec Edwarda i nasz papa nigdy nie rzucali wyzwania bezpośrednio królowi. Nigdy otwarcie się przeciw niemu nie buntowali. Powtarzali tylko, że powinien mieć lepszych doradców. I stawali na czele armii przeciwko niemu, domagając się prawa do udziału w jego radzie. Tak to zawsze wyglądało...

— A kiedy pokonali go na polu bitwy...

— Wtrącili go do Tower, przysięgając, że nigdy stamtąd nie wypuszczą — dokańcza za mnie. — Odebrali mu koronę, choć wcześniej twierdzili, że pragną mu tylko dopomagać w sprawowaniu władzy. Co będzie, jeśli papa i Jerzy zamierzają to samo uczynić królowi Edwardowi? Powtarzając to, co papa i Edward uczynili śpiącemu królowi? Co będzie, jeśli papa zdradził króla Edwarda i chce go wtrącić do Tower i trzymać tam razem z królem Henrykiem?

Rozmyślam o pięknej królowej, takiej pewnej siebie i uśmiechniętej podczas uczty koronacyjnej, i wyobrażam ją sobie uwięzioną w Tower zamiast panującej w pałacu i tańczącej do białego rana.

— Papa nie może tego zrobić, przysięgał królowi wierność — mówię o tępiąca od nadmiaru informacji. — Wszyscy przysięgaliśmy mu wierność i lojalność. Wszyscyśmy uznali w nim prawowitego króla, namaszczonego władcę. Wszyscyśmy ucałowali dłoń królowej Elżbiety. Utrzymywaliśmy, że król Edward ma większe prawo do korony Anglii niż śpiący król. Twierdziliśmy, że król Edward jest kwiatem rodu Yorków i że dzięki niemu zaczniemy żyć w słodko pachnącym ogrodzie Anglii. Tańczyliśmy na koronacji Elżbiety, która wyglądała tak pięknie i była taka szczęśliwa. Edward to nasz król, Elżbieta nasza królowa. Nie może być innej pary monarszej.

Izabela potrząsa głową ze zniecierpliwienia.

— Twoim zdaniem wszystko jest takie proste? Takie oczywiste? Przysięgaliśmy wierność, ale wtedy papa sądził, że będzie mógł powodować Edwardem. Teraz uważa, że łatwiej mu będzie powodować Jerzym i może rządzić Anglią poprzez niego i poprzez mnie.

— Uczyni cię królową Anglii? — zdumiewam się. — Włoży ci na głowę jej koronę? Usadzi na jej tronie? Nie czekając, aż Edward umrze? Ot tak, zabierze im wszystko?

Izabela nie wydaje się tak zachwycona jak wtedy, gdy bawiłyśmy się w królowe. Wydaje się zdumiona. Wydaje się przestraszona.

— Tak. Właśnie tak — odpowiada szeptem.

## ZAMEK W CALAIS LATO 1469 ROKU



Świeżo poślubiony mąż Izabeli, Jerzy, pan ojciec oraz wszyscy mężczyźni zgromadzeni na zamku w charakterze gości weselnych okazują się armią ludzi, którzy poprzysięgli sobie lojalność i gotowość do inwazji na Anglię, i rzeczywiście stawiają żagle, przybijają do brzegów hrabstwa Kent i podejmują marsz ku wnętrzu kraju. Z mijanych przez nich miast i osad wylęgają zaciężni, porzucając swoje zajęcia w warsztatach i na polach, i dołączają do maszerującego wojska. Papa został zapamiętany jako przywódca, który uwolnił kraj od przekleństwa śpiącego króla, i nadal jest wielbiony jako ten, który strzeże Kanału Angielskiego, utrzymując piratów i Francuzów z dala od wybrzeży Anglii. Wszyscy mu wierzą, gdy mówi, że pragnie tylko nauczyć młodego króla sprawowania rządów i uwolnić go spod wpływów żony: jeszcze jednej zdeterminowanej niewiasty, jeszcze jednej rwącej się do władzy złej królowej, która przyczyni się do nieszczęścia Anglii, jeśli jej się w tym nie przeszkodzi.

Anglicy znienawidzili poprzednią złą królową, Małgorzatę Andegaweńską. Na samą myśl o kolejnej niewieście, zdeterminowanej, aby u boku królewskiego małżonka władać krajem, czują się urażeni w męskiej ambicji. Mój stryj Jerzy, któremu król z królową odebrali urząd lorda kanclerza, przechwytuje Edwarda w drodze do jego wojsk, bierze w niewolę i pod eskortą odsyła do naszej siedziby: na zamek w Warwick. Pan ojciec chwytą rodzzonego ojca królowej i jej brata, gdy wjeżdżają do Walii. Wysyła oddział do Grafton w hrabstwie Northampton, aby porwać z rodzinnego dworku matkę królowej, Jakobinę. Wypadki następują po sobie zbyt szybko nawet jak dla króla Edwarda. Papie udaje się wyłapać większość Riversów, zanim się zorientują, że stali

się zwierzyła łowną. To koniec dotychczasowej władzy króla, koniec jego złych doradców. Nade wszystko — koniec Riversów. Spośród tej rozległej rodziny papa ma w ręku troje najważniejszych członków: ojca, matkę i brata Elżbiety.

Dopiero później, powoli, wywołując rosnące przerażenie, zakrada się do nas świadomość, że pan ojciec wcale nie chce dać nauczki królowi. Nie pojmał bynajmniej jego powinowatych dla okupu, jak w zwyczajnej rodowej utarczce; on wypowiada wojnę Riversom. Oskarża ojca Elżbiety i jej przystojnego młodego brata Jana o zdradę i nakazuje ich egzekucję. Bez poszanowania prawa, bez procesu z prawdziwego zdarzenia każe ich przewieźć z Chepstow do naszej warowni w Coventry, gdzie zostają straceni, nie mając możliwości obrony ani łaski, wprost pod surowymi szarymi murami. Przystojny młodzieniec, żonaty z niewiastą na tyle starą, że mogłaby być jego babką, umiera przed swą wiekową oblubienicą, z głową na katowskim pieńku i ciemnymi lokami pochwyconymi w dłoń mistrza małodobrego. Baron Rivers daje głowę w kałużę synowskiej krwi. Królowa, porażona żałobą, z dala od męża, w strachu o swoje życie, ukrywa się wraz z córkami w londyńskiej Tower i bojąc się, że zostanie sierotą, posyła po swą matkę.

Nie udaje się jej osiągnąć. Jakobina, która postarała się o osobny stół dla nas, dzieci, podczas uczty koronacyjnej i uśmiechnęła się do mnie, przebywa pod okiem pana ojca na zamku w Warwick. Papa urządza tam salę sądową i wzywa świadków, aby zeznawali przeciwko niej. Jedni przez drugich donoszą, że widzieli światła płonące nocą w sieni jej dworku, że słyszeli, jak szepcze do rzeki płynącej w pobliżu; opowiadają o krążących plotkach, że księżna wdowa słyszy głosy i że kiedy ma umrzeć ktoś jej bliski, otrzymuje przestrożę w postaci śpiewu, niezmiernie śpiewu pośród nocy.

W końcu dochodzi do przeszukania dworku w Grafton, skąd zostają przywiezione dowody na uprawianie sztuki nekromancji: dwie figurki odlane z ołowiu, zespolone w diabelskiej unii za pomocą złotego drucika. Najwyraźniej jedna z nich przedstawia króla, a druga córkę Jakobiny, Elżbietę Woodville. Najwyraźniej ich sekretny ślub był wynikiem uprawiania czarów, a król Edward, który zachowywał się jak szaleniec, odkąd jego wzrok padł na wdowę z hrabstwa Northampton, znalazł się pod zaklęciem. Matka królowej to czarownica, która doprowadziła do tego małżeństwa za pomocą czarów, a zatem królowa jest córką czarownicy i na wpół

czarownicą. Wszystko wskazuje na to, że papa zamierza postąpić zgodnie z nakazem Biblii — „Nie pozwolisz żyć czarownicy”<sup>1</sup> — skazać Jakobinę na śmierć, wypełniając wolę bożą i własną.

Opisuje to wszystko w swoim liście do pani matki, która odczytuje go swym równym głosem, podczas gdy otaczające ją dworki siedzą z otwartymi ze zdumienia ustami i zapominają o trzymanym w rękach szyciu. Naturalnie marzy mi się, aby Północ przemierzył całe królestwo swoim zgrabnym krokiem, niemniej nie potrafię się cieszyć na myśl, że młody przystojny Jan złożył głowę na katowskim pieńku. Pamiętam, że przypominał jagnię wleczone na rzeź w trakcie uczty koronacyjnej, gdy kazano mu iść pod rękę z wiekową oblubienicą — tymczasem obecnie faktycznie stał się ofiarnym zwierzęciem, skoro zmarł taką śmiercią, i to przed staruszką żoną. Mój ojciec wystąpił nie tylko przeciwko prawom królestwa, ale też przeciwko prawu naturalnemu. Matka królowej, Jakobina, która tak miło uśmiechnęła się do mnie na uczcie koronacyjnej, za sprawą mojego ojca została wdową. Nadal pamiętam ich oboje, wchodzących do wielkiej sali ze splecionymi dłońmi, i to, jak duma i radość były z nich niczym blask z nowej świecy. A teraz, przez mojego ojca, nie żyje jej przystojny młody syn oraz jej mąż. Królowa stała się pólsierotą — czy ma też stracić matkę? Czy mój ojciec rozkaże spalić na stosie Jakobinę, baronową Rivers?

— Ona jest naszym wrogiem — argumentuje Izabela. — Wiem, że królowa jest piękna i że sprawiała wrażenie miłej, ale jej krewni są zachłanni i służą królowi złą radą, dlatego papa musi ich zniszczyć. Wszyscy są naszymi wrogami. Powinnaś o nich myśleć w ten sposób.

— Dobrze — odpowiadam, mimo iż wspominając ją w białej sukni z wysokim kornetem i welonem z koronki, wcale tak o nich nie myślę.

Przez większość lata żyjemy w wielkim napięciu i podnieceniu, odbierając kolejne wiadomości z Anglii o tym, że Edward, niegdysiejszy król, mieszka z przymusu na zamku w Warwick i że pan ojciec włada królestwem w jego imieniu oraz że reputacja wszystkich Riversów znacznie ucierpiała. Papa obwieszcza wszem wobec, że dowody zebrane w trakcie procesu

**1** Księga Wyjścia 22:17, Biblia Tysiąclecia, wyd. V, Pismo Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych; oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2008.

matki królowej świadczą jasno o tym, że do małżeństwa pary królewskiej doszło wskutek czarów i że Edward przez cały ten czas znajdował się pod wpływem uroku. Papa ocalił go, ukrył w bezpiecznym miejscu i teraz zamierza pozbyć się czarownicy, przełamując zaklęcie.

Pani matka już kiedyś wyczekiwała wieści z Calais, a my czekałyśmy razem z nią, gdy papa toczył boje z armią śpiącego króla. Teraz wydaje się nam, że tamte świetne dni pełne zwycięstw powróciły i że Ryszard Neville znów jest niepokonany. Obecnie ma w ręku innego króla i zamierza osadzić na tronie inną kukłę. Francuzi, którzy kręcą się po Calais, nazywają mojego ojca *faiseur de rois*, Twórcą Królów, i mawiają, że nikt nie utrzyma się na tronie Anglii bez jego zgody.

— Twórcą Królów — mruczy pani matka, rozkoszując się tym określeniem. Uśmiecha się do swych dworów; uśmiecha się nawet do mnie. — Na Boga, jakież głupstwa niektórzy wygadują...

Wreszcie statkiem z Anglii przypląwa cały pakiet listów, z którymi na zamek przychodzi sam kapitan, aby rozmówić się z panią matką na osobności i przekazać jej, iż po Londynie rozeszła się wieść o tym, że król Edward jest dzieckiem z nieprawego łoża, nie spółzonym przez Ryszarda Plantageneta, lecz zrodzonym z lędźwi angielskiego łuczника. To by znaczyło, że nigdy nie był prawowitym dziedzicem rodu Yorków. I że jest niskiego stanu. I jeszcze że w żadnym razie nie powinien nosić korony...

— Naprawdę mówi się, że księżna Cecylia zległa z prostym łucznikiem? — pytam na głos, kiedy dworki zaczynają sobie przekazywać plotkę z ust do ust. Matka króla, moja i Izabeli przeciota, jest jedną z najbardziej zasadniczych niewiast w całym królestwie, tak że chyba tylko głupiec dałby wiarę podobnym pogłoskom o niej. — Księżna Cecylia? Z prostym łucznikiem?

Jednym zwinnym ruchem pani matka naciera mi uszu tak, że zaczyna mi dzwonić w głowie, a mój czepek ląduje po przeciwnej stronie komnaty.

— Precz z moich oczu! — woła rozgniewana. — A następnym razem dobrze się zastanów, zanim zaczniesz lżyć starszych i lepszych od siebie! Żeby nigdy więcej nie słyszała takich niestworzonych rzeczy!

Przemykam na drugą stronę komnaty po czepek.

— Pani matko... — próbuję przeprosin.

— Pójdiesz do siebie — rozkazuje mi. — A potem udasz się do księdza i poprosisz, aby wyznaczył ci pokutę za to, że śmiałaś plotkować.

Wyślizguję się z komnaty ze spuszczoną głową, zmięty czepek trzymając nadal w dłoni, po czym dopadłszy swej komnaty, zastaję w środku Izabelę.

— Co się stało? — pyta mnie siostra, dostrzegłszy czerwoną pręgę na mojej twarzy.

— Pani matka — odpowiadam krótko.

Izabela sięga do rękawa, skąd wydobywa swą wyjątkową ślubną chusteczkę, abym miała czym otrzeć zapłakane oczy.

— No już... — mówi łagodnie. — Za co natarła ci uszu? Chodź, usiądź tutaj, to uczeszę ci włosy.

Tłumię płacz i zajmuję miejsce przed małym srebrnym lustrem, pozwalając, aby wypięta mi szpilki z włosów i rozczesała loki grzebieniem z kości słoniowej, który dostała od męża w prezencie po jedynej małżeńskiej nocy.

— Opowiadaj.

— Powiedziałam tylko, że to nie do wiary, by księżna Cecylia przyprawiła rogi swemu mężowi i do księżęcej kołyski włożyła nieślubne dziecko — powiadam obronnym tonem. — Nawet gdyby ktoś chciał mnie zabić na śmierć, nie powiedziałabym, że mogę w to uwierzyć. Nasza przeciota? Księżna Cecylia? Kto śmiałby rozpuszczać o niej takie pogłoski? Przecież to wielka dama. Kto śmiałby zwrócić się przeciwko niej? Że też jeszcze mu nie obcięto języka! A co ty o tym myślisz?

— Myślę, że to kłamstwo — rzecze sucho moja siostra, zaplatając mi włosy w warkocz i upinając je na czubku głowy pod czepek. — I że dlatego pani matka natarła ci uszu. Rozgniewała się, ponieważ jest to kłamstwo, którego jednak nie mamy podważać. Nie mamy go ani powtarzać, ani kwestionować. Albowiem jest to kłamstwo, które nasi ludzie rozprowadzają w całym Londynie, a także w Calais, i którego my nie będziemy prostować.

Mam mętlik w głowie.

— Dlaczego nasi ludzie rozprowadzają coś takiego? Dlaczego im tego nie zakazemy? Dlaczego pozwalamy, aby oczerniali księżną Cecylię? Po co w ogóle twierdzić, że nasza przeciota przyprawiła rogi swemu mężowi i pohańbiła siebie?

— Pomyśl — rzuca Izabela.

Siedzę zapatrzona we własne odbicie, w refleksy na moich brązowych lśniących włosach schludnie upiętych przez Izabelę, w me młode czoło

przecięte marsem zastanowienia. Izabela cierpliwie czeka, aż przebrną mozolną ścieżkę knowań naszego ojca.

— Papa pozwala, aby ludzie tak mówili?

— Tak — potwierdza Izabela.

— Ponieważ skoro Edward jest nieślubnym dzieckiem, prawdziwym dziedzicem jest Jerzy? — dodaje po namyśle.

— Prawdziwym dziedzicem i prawowitym królem Anglii — uściśla moja siostra. — Wszystkie drogi prowadzą do tego, żeby Jerzy zasiadł na tronie ze mną u swego boku i żeby papa mógł władać krajem poprzez nas oboje. Wiesz, że nazywają go Twórcą Królów. Uczynił królem Edwarda, a teraz strąca go z tronu, by zrobić miejsce dla Jerzego. — Odbicie jej twarzy w lustrze jest nad wyraz poważne.

— Sądziłam, że spodoba ci się bycie królową — odzywam się ostrożnie. — I to, że papa walczy o koronę dla ciebie...

— Gdyśmy byli małe i tylko się bawiły w królowe, nie wiedziałyśmy, jaką cenę musi zapłacić niewiasta. Teraz już wiemy. Poprzednia królowa, zła królowa Małgorzata Andegaweńska, na klęczkach błaga króla Francji o pomoc, z dała od męża, który tkwi zamknięty w Tower, mając przy sobie wyłącznie młodego syna, księcia Walii pozbawionego swego księstwa. Obecna królowa, królowa Elżbieta, ukrywa się w Tower, osierocona przez ojca i brata, którzy dali głowę na szafocie niczym pospolici przestępcy, i drżąca o życie matki, której grozi spalenie na stosie za uprawianie czarów.

— Izabelo, powiedz, że papa nie każe spalić Jakobiny Woodville — szepczę.

— Właśnie że każe — odpowiada z ponurą miną. — Po co inaczej by ją więził i oskarżał? Kiedy pragnęłam być królową, sądziłam, że będzie pięknie jak w bajce, jak w legendzie, i myślałam tylko o cudnych strojach i przystojnych rycerzach. Teraz już wiem, jakie to było żałosne. Prawda jest okrutna. Toczy się gra w szachy, a ja jestem jednym z pionków naszego ojca. Na razie stoję jeszcze na szachownicy, lecz w każdej chwili mogę zostać z niej strącona, a wtedy pan ojciec nie poświęci mi nawet jednej myśli, przenosząc całą swoją uwagę na inną figurę.

— Boisz się? — pytam szeptem. — Boisz się, że zostaniesz strącona?

— Tak — odpowiada mi.



## ANGLIA JESIEŃ 1469 ROKU



Pan ojciec trzyma Anglię w garści. W poczuciu zwycięstwa posyła po nas, abyśmy uczestniczyły w jego tryumfie. Pani matka, Izabela i ja wypływamy z Calais na najlepszej jednostce ojcowskiej floty i przybywamy do Londynu otoczone atmosferą dostojeństwa należną niewiastom z królewskiego rodu. Poprzednia królowa, Elżbieta, nadal czai się w Tower, papa zaś przenosi byłego króla Edwarda na nasz inny zamek, w Middleham, aby odtąd tam go przetrzymywać. Pod nieobecność dworu królewskiego stajemy się ośrodkiem życia w stolicy, ba, w całym królestwie. Pani matka oraz księżna Cecylia wszędzie pokazują się razem, z Izabelą drepczącą za nimi: dwie największe damy Anglii oraz panna młoda, która na najbliższym posiedzeniu parlamentu zostanie okrzyknięta królową.

To zaiste moment tryumfu dla nas: Twórca Królów pozbył się jednego króla, który go znużył, i zastąpił go innym, własnym zięciem. Ryszard Neville de facto panuje w Anglii. Ryszard Neville decyduje o tym, kto będzie zasiadał na tronie. A Izabela, która nosi w łonie dziecko, wywiązując się z poleceń naszego ojca, także jest na swój sposób Twórczynią Królów — pod jej sercem właśnie rośnie następny król Anglii. Pani matka codziennie rano modli się do posagu Najświętszej Paniенki o chłopca, księcia Walii, który w przyszłości włoży koronę. Jesteśmy rodziną tryumfatorów pobłogosławioną przez Boga płodnością. Były król, Edward, ma tylko trzy córki, nie ma ani jednego syna, który byłby jego dziedzicem; w królewskiej komnacie dziecięcej nie było małego księcia, mogącego utrudnić Jerzemu drogę do tronu. Jego piękna żona, taka zdrowa i płodna, daje mu same córki. Tymczasem nowa rodzina królewska, tuż po wkroczeniu do Anglii, może się pochwalić brzemienną przyszłą królową. Noszącą pod sercem

dziecię spłodzone w noc poślubną, jedyną, którą małżonkowie spędzili dotąd razem. Czyż to nie objaw łaski? Któż mógłby wątpić, że naszym przeznaczeniem jest przejąć koronę, a przeznaczeniem papy ujrzeć wnuka, który narodzi się do bycia księciem i w swoim czasie królem?

Pan ojciec wzywa nas na zamek w Warwick, dokąd udajemy się, zmierzając na północ wśród wirujących kolorowych liści i drogocennych drzew ze złota, brązu i miedzi. Trakty są suche i dobrze ubite po długim ciepłym lecie; za naszym orszakiem unosi się chmura kurzu. Na przedzie podąża Izabela, umieszczona w powozie ciągnionym przez dwa białe muły. Nie zamieszka w Londynie u boku zwycięskiego małżonka. Nie muszą już być razem, skoro spodziewa się dziecka. W rodowej siedzibie odpocznie i przygotowuje się do koronacji. Tymczasem papa zwoła parlament w Yorku, gdzie Jerzy zostanie publicznie ogłoszony królem, a jego żona królową. Potem odbędzie się huczna koronacja w Londynie. Moja siostra ujmie w dłoń berło, które złoży na wypukłym brzuchu — już teraz wiadomo, że jej szaty koronacyjne będą suto marszczone z przodu, aby podkreślić brzemiennosć.

Na północ jadą także skrzynie z dobrami zabranymi z pałacowych apartamentów. Izabela i ja otwieramy je z niecierpliwością dzieci wyciekających noworocznych podarków, na środku najlepszej komnaty zamku, po czym rozsypujemy zawartość na posadzce, nie mogąc nacieszyć oczu koronkami ze złotej nici i tkaninami wysadzanymi kosztownymi klejnotami pobłyskującymi w świetle kominka.

— Zrobił to — sapie z wrażenia Izabela, patrząc na skrzynie, które papa również jej przysłał. — Pan ojciec odebrał jej wszystko. To pewnie jej futra... — Wtula twarz w puszyste futro, po czym znów sapie, tym razem z zachwytem. — Powąchaj! Wciąż pachnącej perfumami! Mam jej futra, niebawem będę także miała jej perfumy! I będę ich używać! Papa mówi, że mam sobie podbić jej futrami wszystkie swoje szaty. I że jeszcze przyśle mi klejnoty, brokaty, suknie ze złotogłowiu, które trzeba będzie tylko na mnie dopasować. Zrobił to... — powtarza.

— Chyba nie wątpiaś, że tak będzie? — pytam, gładząc kremowe futro gronostaja w ciemniejsze plamki, takie, jakie mogą nosić tylko monarchowie. Niebawem wszystkie peleryny Izabeli będą lamowane tymi gronostajami. — Papa pokonał króla Henryka i umieścił go w Tower. Teraz pokonał też króla Edwarda i umieścił go pod kluczem. Czasami

wyobrażam go sobie, jak siedząc wysoko na siodle Północy, jeździ po całej Anglii niepokonany...

— Dwaj królowie pod kluczem i trzeci na tronie? — podchwytuje Izabela, odkładając futra na bok. — Jak to możliwe? Czy ten trzeci król może czuć się pewniej od tamtych dwóch? A co będzie, jeśli papa zwróci się przeciwko Jerzemu, tak jak zwrócił się przeciwko Edwardowi? Co będzie, jeśli nasz ojciec ma w planach nie tylko strącenie mnie z szachownicy, lecz wręcz wystąpienie przeciwko mnie? Co będzie, jeśli Twórcy Królów zachce się nowego monarchy na tronie?

— Nie martw się o to. Papa myśli teraz wyłącznie o was dwojgu: o tobie i o Jerzym. Przecież masz urodzić jego wnuka, księcia — pocieszam ją. — Wszystko, co uczynił, uczynił dla ciebie, Izabelo. Osadzi cię na tronie i utrzyma na nim, gdyż tylko dzięki temu następnym królem Anglii zostanie Neville. Gdyby zrobił coś takiego dla mnie, byłabym przeszczęśliwa. W całej Anglii nie byłoby szczęśliwszej osoby ode mnie...

Jednakże moja siostra nie tryska szczęściem. Ani pani matka, ani ja nie rozumiemy, dlaczego Izabela się nie raduje. Uznajemy, że mężczyą brzemienność, ponieważ nie chce spacerować w rześkie słoneczne poranki i nie cieszy jej złotojesienna aura. Czuje niepokój, mimo że wszyscy domownicy pękają z dumy, świętując nasze dojście do władzy. W końcu pewnego dnia przy posiłku zostaje zaanonsowany koniuszy pana ojca, jego najbardziej zaufany i spolegliwy człowiek. Kiedy wkracza do wielkiej sali, w pomieszczeniu zapada cisza i słycać tylko szelest przekazywanego nad stołem listu. Pani matka odbiera wiadomość, zdziwiona, że koniuszy wszedł tutaj brudny od kurzu drogi, domyśla się jednak z poważnej miny mężczyzny, że wieści są pilne. Spojrzawszy na pieczęć — ojcowskiego niedźwiedzia z podrapanym pniem — bez słowa podnosi się ze swego miejsca i przez tylne drzwi sali przechodzi do świetlicy, pozostawiając nas wszystkich w milczeniu.

Moja siostra, ja i dworki pani matki spożywamy dalej posiłek, jakby nic się nie stało, starając się sprawiać spokojne wrażenie pod czujnym spojrzeniem domowników, lecz kończymy wcześniej niż zwykle i wycofujemy się do połączonej ze świetlicą komnaty dziennej, gdzie prowadzimy pozornie bez troskie rozmowy, boleśnie świadome zamkniętych drzwi i przerażającej ciszy za nimi. Czy gdyby papa zginął, pani matka by płakała? Czy ona kiedykolwiek płacze? Czy właściwie w ogóle umie płakać? W życiu nie

widziałam płaczącej pani matki. Zaczynam się zastanawiać, czy jest zdolna do płaczu czy w każdej sytuacji zachowuje kamienną twarz i suche oczy.

Z kolei gdyby koniuszy przekazał jej wiadomość, w której pan ojciec wzywa nas wszystkie do Londynu na koronację Izabeli, czyż nie powinna wybiec ze świetlicy i radośnie podzielić się z nami dobrą nowiną? A może płacze z radości?... Zastanawiam się, czy kiedykolwiek widziałam ją pijaną szczęściem... Zachodzące na czerwono słońce przemieszcza się na nieboskłonie, oświetlając to jedną, to drugą scenę na tapiseriach, lecz w komnacie nadal panuje cisza i bezruch.

Wreszcie pod wieczór, gdy robi się ciemno i służący zaczynają wnosić świece, drzwi otwierają się i pani matka wychodzi przez nie, trzymając w dłoni list.

— Sprowadź konstabla — poleca któregoś z dworek — i dowódcę gwardii. A także szambelana, ochmistrza i koniuszego.

Siada na wspaniałym krześle pod baldachimem haftowanym w jej herb rodowy i czeka, aż wezwani mężczyźni pojawią się, pokłonią i postoją chwilę w wyczekującym milczeniu. Najwyraźniej wydarzyło się coś bardzo ważnego, aczkolwiek z obojętnej twarzy pani matki nie sposób się domyślić, czy spotkała nas chwała czy raczej klęska.

— Zapytaj ją — mamrocze do mnie Izabela.

— Nie, ty ją zapytaj.

Nadal stoimy cicho obok równie milczących dworek. Pani matka nadal siedzi niczym królowa na tronie. Nie prosi, aby przyniesiono krzesło dla Izabeli, co jest bardzo dziwne. Zupełnie jakby jej wnuk nie zapowiadał się na wielkiego księcia i króla; zupełnie jakby jej córka nie była o krok od tronu Anglii. Rozkazy padają, dopiero gdy wszyscy trzej mężczyźni stoją przed nią rzędem.

— Otrzymałam wiadomość od mego małżonka, a waszego pana — zaczyna głosem twardym i wyraźnym. — Píše w niej, że przywrócił na tron Anglii króla Edwarda. Mój małżonek, a wasz pan, doszedł do zgody z królem Edwardem, który w przyszłości będzie korzystał z rad wielmożów tego królestwa. W jego radzie nie będzie odtąd żadnych nuworzyszy.

Nikt nic nie mówi. Ci trzej mężczyźni służą memu ojcu od wielu lat; brali udział w jego sukcesach i porażkach i raczej nie można się po nich spodziewać, aby zechcieli komentować równie złowróżbną wiadomość. Niemniej dworki zaczynają kręcić głowami i poszeptować między sobą.

Któraś posyła współczujące spojrzenie mojej siostrze: Izabela jednak nie będzie królową i może przestać się tak puszyć. Pani matka nie poświęca nam w ogóle uwagi; ze wzrokiem wbitym w tapiserie ponad naszymi głowami kontynuuje głosem, który ani przez moment nie drży.

— Udajemy się do Londynu dla okazania przyjaźni i lojalności prawowitemu królowi Edwardowi i jego rodzinie — rzecze. — Moja córka księżna spotka się tam ze swym mężem Jerzym księciem Clarence. Oczywiście będzie mi też towarzyszyć jej siostra, Anna. W liście jest jeszcze jedna dobra wiadomość: nasz bratanek Jan zostanie zaręczony z królewską córką, księżniczką Elżbietą York.

Zerkam na Izabelę. To wcale nie jest dobra wiadomość; to katastrofa w czystej postaci. Pan ojciec właśnie wziął sobie innego pionka, dokładnie takjak obawiała się moja siostra. Wżenia swego bratanka w rodzinę królewską; swata go z dziedziczką króla Edwarda, małą księżniczką Elżbietą. Papa osadzi Neville'a na tronie tym czy innym sposobem. To właśnie jest ten inny sposób. Izabela należy do przeszłości i tak oto została strącona...

Moja siostra przygryza dolną wargę. Sięgam ku niej ręką, po czym — dzięki bogatym fałdom jej sukni — splatamy ciasno palce.

— Jan otrzyma tytuł księcia — ciągnie pani matka rzeczowo. — Odtąd będzie księciem Bedfordu. W dowód swej dobrej woli król zaszczyca tak oto Jana, dziedzica mego małżonka, a waszego pana. Okazując nam przyjaźń i wdzięczność za udzielenie mu gościny i opieki. Boże, chroń króla i błogosław rodowi Warwicków.

— Boże, chroń króla i błogosław rodowi Warwicków — powtarzają wszyscy, jak gdyby było możliwe spełnienie tych przeciwstawnych życzeń jednocześnie.

Pani matka powstaje i kiwa głową na Izabelę i na mnie, abyśmy udały się za nią. Kroczę za moją siostrą, okazując szacunek należny żonie królewskiego brata — żonie królewskiego brata, lecz nie królowej. Izabela straciła szansę na koronę w okamgnieniu. Nikt nie będzie dbał o to, że jest księżną, skoro nasz kuzyn Jan ożeni się z dziedziczką dynastii Yorków, najstarszą córką króla. Kuzyn Jan zostanie księciem, czym król Edward pokazał swemu bratu, że z łatwością może powołać nowych książąt, a nawet wprowadzić ich do rodziny. Papie nie brak nowych pionków, jakie może postawić na szachownicy.

— Co będziemy robiły w Londynie? — pytam szeptem Izabelę, poprawiając jej welon.

— Zapewne okazywały swą przyjaźń — odpowiada mi siostra. — Oddając futra królowej, a szaty koronacyjne do pałacowej garderoby. A także trzymały kciuki, aby naszemu ojcu wystarczyło wżenienie Jana w rodzinę królewską... aby nie chciał znowu występować przeciwko królowi.

— Czyli nie będziesz królową — stwierdzam ze smutkiem.

Czuję niegodziwe zadowolenie z tego, że moja siostrajednak nie włoży gronostajów, nie będzie pierwszą damą w królestwie, królową Anglii i ulubienicą papy, córką, która spełnia jego największe ambicje, pionkiem, dzięki któremu zrobił najważniejszy ruch, zgarniając wszystko.

— Nie... na razie nie.

## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN BOŻE NARODZENIE 1469-1470



Ponownie moja siostra i ja wkraczamy do komnat królowej chore ze strachu. Elżbieta zasiada na wspانياłym krześle, jej matka Jakobina stoi za nią niczym wykuta z lodu rzeźba. Nasza matka kroczy za Izabelą, lecz przede mną. Żałuję, że nie jestem już na tyle mała, by ukryć się pod jej trenem i tam przeczekać najgorsze. Dziś nikt nie pomyśli, że jestem czarująca. Izabela, choć mężatka i jątrew królowej, trzyma głowę spuszczoną i wzrok wbity w posadzkę, zupełnie jak dziecko, które znalazło się w niełasce i chciałoby, aby niemiła chwila minęła jak najszybciej.

Pani matka dyga głęboko, jak przystoi w obecności królowej Anglii, po czym prostuje się i staje naprzeciwko Elżbiety z rękoma splecionymi przed sobą, spokojna tak, jakby znajdowała się na własnym zamku w Warwick. Królowa obrzuca ją spojrzeniem z góry na dół, a oczy ma równie ciepłe jak szary łupek w zamieci śnieżnej.

— A, hrabina Warwick — rzecze jej królewska mość głosem lekkim i zimnym jak płatki śniegu.

— Najjaśniejsza pani... — odpowiada nasza matka, hrabina Warwick, przez zaciśnięte zęby.

Matka królowej, odrętwiała z żalu, odziana na biało, to jest w kolor królewskiej żałoby, spogląda na nas tak, jakby najchętniej ścięła nas na miejscu. Nie śmiem patrzeć na nią dłużej; zerkam tylko i natychmiast znowu wbijam wzrok w podłogę. Podczas uczty koronacyjnej uśmiechnęła się do mnie, lecz teraz sprawia wrażenie, jakby uśmiech już nigdy nie miał zagościć na jej twarzy. Chociaż jak dotąd w życiu nie widziałam złamanego serca wymalowanego na obliczu żadnej niewiasty, od razu

wiem, że właśnie ono wyziera z poszarzałych rysów Jakobiny Woodville. Pani matka tymczasem skłania głowę.

— Wasza miłość — rzecze cicho — niezmiernie mi przykro z powodu twojej straty.

Wdowa milczy. My we trzy stoimy bez ruchu, skute jej lodowatym spojrzeniem. Przekonuję się w duchu, że zaraz coś powie — musi powiedzieć coś w stylu: „Takie są koleje wojny” albo: „Dziękuję za wyrazy współczucia” bądź: „Połączył się z Bogiem” czy też cokolwiek innego, co mówią wdowy, gdy ich mężowie giną na polu bitwy. W Anglii wojna domowa toczy się od czternastu lat. Wiele niewiast spotyka się, wiedząc, że ich mężowie byli dla siebie wrogami. Wszyscy zdążyli przywyknąć do zmiennych sojuszy. Wygląda jednak na to, że Jakobina, wdowa po Ryszardzie Woodville'u, baronie Rivers, nie ma pojęcia o obowiązującej konwencji — milczy bowiem nadal, nie ułatwiając nam niczego. Patrzy na nas tak, jakbyśmy byli jej wrogami na śmierć i życie, jakby przeklinała nas w duchu, jakby to był początek waśni rodowej, która nigdy się nie skończy... Zaczynam drżeć pod jej spojrzeniem bazyliuszka, przełykam ciężko ślinę i zastanawiam się, czy zaraz zemdleję.

— Był niezwykle dzielnym mężczyzną — odzywa się znów pani matka.

W obliczu kamiennej Jakobiny i jej żałoby ta uwaga zdaje się wręcz frywolna.

Po długiej chwili milczenia wdowa mówi:

— Zginał śmiercią zdrajcy, ścięty przez kowala z Coventry, pierwiej będąc świadkiem śmierci mego ukochanego syna Jana. Obydwaj niczym nie zawinili w całym swoim życiu. Jan miał tylko dwadzieścia cztery lata i zawsze okazywał posłuszeństwo swemu ojcu i królowi. Mój mąż, choć bronił namaszczonego i korowanego władcy, został oskarżony o zdradę i ścięty na rozkaz twego małżonka. To nie była chwalebna śmierć na polu bitwy. Mimo że brał udział w dziesiątkach bitew, wracał zawsze cały i zdrow do mnie, do domu. Taką mi złożył obietnicę: że wróci do domu bezpiecznie z każdej wojny. Nie złamał danego słowa. Niech Bóg ma go za to w swojej opiece... Mój mąż dał głowę na szafocie, nie na polu walki. Nigdy o tym nie zapomnę. Nigdy tego nie wybaczę.

Zapada przerażająca cisza. Każdy w komnacie przygląda się nam, wysłuchując echa słów Jakobiny, która właśnie poprzysięgła nam wrogość do końca życia. Podnoszę spojrzenie i widzę, że Elżbieta patrzy



lodowatym, pełnym nienawiści wzrokiem prosto na mnie. Prędko spuszcza oczy.

— Takie są koleje wojny — dodaje pani matka niezręcznie, jakby to było jakieś usprawiedliwienie.

Następnie Jakobina czyni coś dziwnego i zarazem strasznego. Ściąga wargi w ciup i gwizdże, długo i przejmująco. Gdzieś na zewnątrz trzaska okiennica, w komnacie zrywa się nagły przeciąg. Świece migoczą jedna po drugiej, jakby zawiał zimny wiatr. Wtem płomień świecy stojącej najbliżej Izabeli słabnie i gaśnie. Izabela wydaje cichy okrzyk przestachu. Jakobina i Elżbieta mają takie miny, jakby najchętniej zdmuchnęły nas wszystkie, przegnały precz niczym marny kurz.

Groźna zazwyczaj pani matka kurczy się na to niezrozumiałe i niespotykane zachowanie. Nigdy jeszcze nie widziałam, aby nie przyjęła wyzwania, tymczasem teraz unika go, skłaniając głowę i odchodząc w stronę okna. Nikt nas nie wita, nikt nie przełamuje ciszy, która nastąpiła po tym upiornym gwizdnięciu, nikt się nawet nie uśmiecha. A są tutaj ludzie, którzy tańczyli na weselu w Calais, gdzie puszczono w ruch ów straszliwy plan; patrząc na nich tu i teraz, można by pomyśleć, że nas nie znają. Stoimy więc samotnie, sromotnie, podczas gdy powiew powietrza zamiera powoli i w końcu ginie nawet echo gwizdu Jakobiny.

Otwierają się drzwi i do komnaty wchodzi król, z naszym ojcem u jednego boku, a u drugiego z Jerzym, starszym z braci. Ryszard, najmłodszy z Yorków, trzyma się nieco z tyłu, z dumą unosząc wysoko głowę. Ma wszelkie powody do zadowolenia z siebie: jest tym bratem, który nie zdradził króla; tym, którego lojalność została poddana próbie i który wyszedł z próby zwycięsko. Na tego brata spłyną wszelkie łaski, kiedy my będziemy pogrążeni w niełasce. Zerkam ku niemu, aby sprawdzić, czy nas dostrzeże i uśmiechnie się... ale chyba stałyśmy się dlań niewidzialne, podobnie jak dla reszty dworzan. Ryszard wyrósł na mężczyznę; lata chłopiące pod naszym dachem ma już dawno za sobą. Pozostał wierny królowi, gdyśmy zdradzili.

Jerzy zbliża się wolno do naszego kącika, odwracając wzrok, jak gdyby się nas wstydził. Pan ojciec podąża za nim swym długim, skoczny krok. Papa nie stracił pewności siebie, uśmiech ma wciąż śmiały, piwne oczy lśniąco, gęstą brodę schludnie przyciętą, nawet otaczająca go aura władczości nie ucierpiała pomimo porażki. Obie z siostrą kłękamy, aby

odebrać od niego błogosławieństwo, i czujemy lekki dotyk jego dłoni na swoich głowach. Gdy wstajemy, papa ujmuje panią matkę za rękę, a ona obdarza go wåtłym uśmiechem i wszyscy udajemy się do wielkiej sali pałacu na wieczerzę, idąc za królem, jakbyśmy nieprzerwanie byli jego drogimi przyjaciółmi i zaprzysiężonymi sojusznikami, a nie pokonanymi zdrajcami.

Po wieczerzy odbywają się tańce. Król jest radosny, urodziwy i pełen optymizmu jak zawsze — niczym główny aktor na maskaradzie odgrywający rolę wesołego dobrodusznego władcy. Klepie papę w bark, obejmuje Jerzego za ramiona. Przynajmniej on jeden zachowuje się tak, jakby nic nie zaszło. Pan ojciec, nie mniej przebiegły od swego dawnego sojusznika, również czuje się swobodnie: rozgląda się wokół siebie, pozdrawia znajomych, którzy doskonale wiedzą, iż jesteśmy zdrajcami, co znaleźli się tutaj tylko dzięki dobrej woli króla oraz temu, że mamy na własność połowę Anglii. Jednakże za naszymi plecami szydzą z nas, z ich głosów przebija śmiech. Nie podnoszę spojrzenia, aby zobaczyć uśmiechy na ich twarzach; nie odrywam wzroku od podłogi. Wstyd mi, tak bardzo mi wstyd z powodu tego, cośmy uczynili.

Najgorsze zaś jest to, że ponieśliśmy klęskę. Pojmaliśmy króla, lecz nie zdołaliśmy go utrzymać. Wygraliśmy potyczkę, ale nikt nie udzielił nam wsparcia. Nie wystarczyło przetrzymywanie króla na naszym zamku w Warwick, a potem w Middleham — Edward najzwyczajniej w świecie sprawował rządy stamtąd, zachowując się tak, jakby był naszym honorowym gościem, a w końcu wyjechał, kiedy mu najbardziej pasowało.

— A Izabela musi dołączyć do dworek królowej — rzecze głośno król, na co pan ojciec odpowiada bezzwłocznie, nie nabrawszy nawet powietrza do płuc:

— Tak, tak, oczywiście, będzie wniebowzięta.

Zarówno królowa, jak i Izabela słyszą tę wymianę zdań i obie podrywają oczy w tej samej chwili, tak że ich spojrzenia się spotykają. Izabela sprawia wrażenie kompletnie zaskoczonej i przestraszonej, już rozchyła wargi, jak gdyby chciała poprosić pana ojca, aby odmówił królowi. Jednakże czasy, gdy mogliśmy utrzymywać, że jesteśmy zbyt dobrze urodzeni, aby służyć na królewskim dworze, dawno minęły. Izabela będzie musiała

zamieszkać w komnatach dworek i usługiwać Elżbiecie każdego dnia. Królowa tylko odwraca głowę z pogardą, jakby nie mogła znieść naszego widoku, jakbyśmy byli nieczyste, trędowate... Pan ojciec w ogóle na nas nie patrzy.

— Zostań ze mną — prosi natarczywym szeptem Izabela. — Musisz ze mną zostać, skoro mam jej służyć. Zostań w pałacu ze mną, Anno. Daję słowo, że sama tego nie zdzierzę.

— Papa nie pozwoli — odpowiadam prędko. — Nie pamiętasz, że poprzednio pani matka odmówiła jej prośbie? Ty musisz zostać, ponieważ jesteś jej jątrwią, ale ja nie mogę, pani matka nie pozwoli, zresztą nigdy bym nie chciała...

— I mała Anna także — dodaje król błaho.

— Oczywiście — potakuje skwapliwie pan ojciec. — Czegokolwiek wasza królewska mość sobie życzy.

## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN STYCZEŃ 1470 ROKU



Królowa nie okazuje nam swej wrogości. Jest znacznie gorzej. Traktuje nas jak powietrze. Jakobina w ogóle się do nas nie odzywa, a gdy mija nas na galerii czy w korytarzu, odsuwa się pod samą ścianę, jak gdyby nie chciała pozwolić, byśmy otarły się choć o skraj jej sukni. Gdyby zesłała mi z drogi inna niewiasta, uznałabym to za przejaw szacunku. Jednakże w tym wypadku odnoszę wrażenie, że księżna, schodząc na bok i nawet na mnie nie patrząc, chroni się przed czymś brudnym albo śmierdzącym. Panią matkę widzujemy wyłącznie przy wieczerzy i później, kiedy zasiada z innymi dworskami otoczona całunem nieprzyjaznej ciszy, podczas gdy reszta niewiast rozmawia miło ze sobą. Całymi dniami usługujemy Elżbiecie, towarzysząc jej przy porannej toalecie, w komnacie dziecięcej, gdzie odwiedza swe trzy córeczki, w kaplicy, dokąd chodzi się modlić, przy śniadaniu, na polowaniach... Jesteśmy przy niej obecne praktycznie bez chwili przerwy, a mimo to ona w żaden sposób, ni słowem, ni gestem, nie daje poznać, iż zauważa naszą obecność.

Dworski ceremoniał nakazuje nam nieraz iść tuż za nią, ale nawet wtedy pozostaje na nas ślepa i prowadzi rozmowy z damami dworu ponad naszymi głowami. Jeśli zdarzy się czasem, że znajdziemy się z nią sam na sam, zachowuje się tak, jakby w ogóle nie miała towarzystwa. Kiedy niesiemy jej welon, kroczy równie szybko jak wtedy, gdy nikogo za nią nie ma, przez co musimy truchtać, głupio przy tym wyglądając. Podając nam rękawiczki, nie sprawdza nawet, czy któraś z nas jest gotowa je przyjąć. Jeśli zdarzy mi się upuścić którąś, nie zniża się do tego, by skomentować moją niezgrabność. Zupełnie jakby wolała pozwolić bezcennej pachnącej, wyszywanej delikatnej skórcie leżeć w błocie, aniżeli odezwać się do mnie.

Gdy muszę jej coś podać, na przykład księgę czy list, bierze to do ręki tak, jakby pojawiło się samo w powietrzu przed nią. Odbierając ode mnie bukietek czy chusteczkę, stara się nie musnąć opuszkami mych palców. Nigdy nie prosi mnie o podanie modlitewnika czy różańca, a ja nie śmiem sama ich tknąć. Obawiam się, że uznałaby je za zbezczeszczone przez moje skrwawione ręce.

Izabela tonie w bladolicyj posępnosci, robi co do niej należy i siedzi w milczeniu, nigdy nie włączając się do ożywionych rozmów dworek. W miarę jak brzuch mojej siostry się powiększa, królowa ma dla niej coraz mniej zadań, aczkolwiek nie przez wzgląd na jej odmienny stan. Pogardliwym wyęcieniem warg podsumowuje niezdatność Izabeli do służenia na dworze; wzruszeniem ramion pokazuje, że nie nadaje się do roli dworki, co najwyżej jest maciorą zdolną rodzić młode. Izabela zazwyczaj siedzi z dłońmi na brzuchu, jakby chciała ukryć jego wydatność albo bała się, że królowa rzuci urok na jej dziecko.

Mimo wszystko nie potrafię postrzegać królowej jako wroga, gdyż mam silne wrażenie, że to ona jest w prawie, nie my, i że zasłużyliśmy sobie na okazywaną nam przez nią jawną pogardę przez to, co zrobił pan ojciec. Czuję zbyt wielki wstyd, aby móc się na nią gniewać. Ilekroć widzę, jak się uśmiecha do swoich córek czy śmieje w głos z mężem, przypomina mi się chwila, w której ujrzałam ją po raz pierwszy i uznałam za najpiękniejszą niewiastę na świecie. Elżbieta pozostała piękną, jednakże ja nie jestem już pełnym zachwytem dzieckiem; jestem córką jej wroga, mordercy jej ojca i brata. Bardzo żałuję tego, co się stało — wszakże nie mogę jej o tym powiedzieć, skoro na każdym kroku daje do zrozumienia, iż nie życzy sobie mnie słuchać.

Po miesiącu takiego życia nie potrafię jeść przy wspólnym stole z innymi dworkami. Jedzenie staje mi w gardle. Źle sypiam; ciągle mi zimno w pałacowej komnacie, gdzie jak mi się wydaje, panuje wieczny przeciąg. Ręce zaczynają mi drżeć, przez co stawiam nierówne ściegi i kłuję się w palce, płamiąc delikatne płótno kroplami krwi. Proszę panią matkę, aby pozwoliła mi wrócić do Warwick albo Calais, mówię jej, że jestem chora... że życie w pałacu pośród naszych wrogów czyni mnie chorą.

— Nie narzekaj — ucina moje skargi. — Ja muszę przesiadywać wieczorami obok jej matki, zmrożona do szpiku przez lód w spojrzeniu tej czarownicy. Twój ojciec postawił wszystko na jedną kartę i przegrał.

Nie zdołał utrzymać króla w niewoli, gdy inni wielmoże go nie poparli. Mamy szczęście, że Edward nie kazał go stracić. Co więcej, trafiliśmy na dwór królewski, twoja siostra jest żoną królewskiego brata, a twój kuzyn Jan został zaręczony z królewską córką. Mamy koronę na wyciągnięcie ręki. Służ królowej i ciesz się, że twój ojciec nie dał głowy na szafocie, tak jak jej rodzic. Bądź wdzięczna, że pan ojciec szuka kandydata do twojej ręki i że sama królowa pobłogosławi twoje małżeństwo.

— Nie potrafię — mówię słabym głosem. — Naprawdę, pani matko... nie potrafię. Nie chodzi o to, że nie chcę czy że okazuję nieposłuszeństwo tobie i papie. Po prostu nie potrafię... Prędyj się przewrócę, niż zdołam kroczyć za nią w orszaku. Nie umiem nawet jeść, kiedy na mnie patrzy.

Pani matka zwraca na mnie kamienne oblicze.

— Wywodzisz się ze wspaniałego rodu — przypomina mi. — Twój ojciec wiele ryzykował dla dobra całej rodziny i twojej siostry. Izabela powinna być mu wdzięczna za to, że uznał ją wartą zachodu. Być może nasza sytuacja nie jest teraz najlepsza, ale to się zmieni. Musisz udowodnić panu ojcu, że też jesteś warta zachodu, gdy przyjdzie co do czego. Nie zawieźdź, Anno, nie okazuj słabości. Urodziłaś się, aby być wielką damą. Bądź nią.

Chyba dostrzega, że blednę i zaczynam bardziej drżeć, bo dodaje:

— Och, rozchmurz się! Niebawem wyruszmy do Warwick, gdzie twoja siostra będzie oczekiwać przyjścia na świat potomka. Tam wszystko będzie prostsze. Żadna z nas nie czerpie z tego przyjemności, Anno. Moje położenie jest równie złe jak twoje. Postaram się, abyśmy zostały w Warwick tak długo, jak się da. Może nawet cztery miesiące...

## ZAMEK W WARWICK MARZEC 1470 ROKU



Sądziłam, że nastrój będzie się nam poprawiał z każdym dniem spędzonym z dala od pałacu; tymczasem zaledwie parę tygodni po naszym powrocie do domu papa wzywa nas do siebie. Wchodząc do jego komnaty, Izabela opiera się ciężko o moje ramię, podtrzymując pokaźny brzuch, jak gdyby chciała przypomnieć wszystkim, że nadal nosi w łonie dziecko dziedzica tronu Anglii mające się narodzić w przyszłym miesiącu.

Papa siedzi na rzeźbionym krześle, którego oparcie wystające aż nad jego głowę jest ozdobione herbem przedstawiającym niedźwiedzia i podrapany pień. Podnosi wzrok i celując we mnie piórem, mówi:

- Ty nie.
- Panie ojcze...?
- Zostań przy drzwiach.

Izabela puszcza się mnie prędko i bez trudu staje o własnych siłach, ja zaś posłusznie zajmuję miejsce w tyle pomieszczenia, chowając ręce za siebie, by móc wodzić palcami po żłobkowanej boazerii, i czekając, aż wolno mi będzie przemówić.

— Wyznam ci sekret, Izabelo — odzywa się pan ojciec. — Twój mąż ksiązę i ja wyruszamy, aby dołączyć do króla Edwarda, który zamierza stłumić powstanie w hrabstwie Lincolnshire. Czynimy to, aby okazać lojalność wobec niego.

Izabela mamrocze jakąś odpowiedź. Nie słyszę, co mówi, lecz to nie ma najmniejszego znaczenia. Nikogo nie interesuje, co myślą niewiasty; to mężczyźni snują plany i wcielają je w czyn. Wydarzenia toczą się bez względu na nasze opinie.

— Gdy król stanie do walki, zwrócimy się przeciwko niemu — kontynuuje pan ojciec bez ogródek. — Jeśli ustawi nas z tyłu, zaatakujemy jego ariergardę, jeśli na skrzydłach, przypuścimy atak równocześnie z obu stron, miażdżąc go w naszym uścisku. Mamy przeważające sity i nie planujemy brania jeńców. Tym razem nie okażę się litościwy i nie będę się z nim układał. Król nie przeżyje tej bitwy. Zakończymy wszystko na polu walki. Edward już jest martwy. Przeszyję go własnym mieczem. Zadam śmierć własnymi rękoma, jeśli będzie trzeba.

Zamykam oczy. Nie spodziewałam się czegoś aż tak straszego. Słyszę, jak Izabela sapie z wrażenia.

— Ależ papo...!

— Z Edwarda nie jest król Anglii, tylko król Riversów — ciągnie pan ojciec. — Chodzi na pasku swojej żony. Nie stawialiśmy na szali swego życia i majątku, aby przekazać władzę Riversom i osadzić na tronie ich potomka. Nie straciłem tylu lat i pieniędzy, żeby teraz ta niewiasta szarogęsiła się w Anglii niczym ladacznica w pożyczonych aksamitach z przyfastrygowanymi do kołnierza gronostajami. Twoimi gronostajami, Izabelo...

Nogi krzesła skrzypią na posadzce, gdy pan ojciec wstaje i obszedłszy stół, zbliża się do niej. Nie zważając na ciężący jej brzuch, Izabela opada na klęczki przed papą.

— Bo robię to dla ciebie — mówi cicho pan ojciec. — Uczynię cię królową Anglii, a dziecko, które nosisz... jeśli jest chłopcem... będzie księciem, a potem królem tego kraju.

— Będę się za ciebie modlić — odpowiada ledwie słyszalnym szeptem Izabela. — I za mego męża też.

— Dzięki tobie na tronie Anglii zasiądzie mój potomek, moja krew, jeden z nas, Neville'ów — stwierdza papa z satysfakcją w głosie. — Edward zamienił się w głupca, niemrawego głupca. Zawierzył nam, a my go zdradzimy, pokonamy na polu bitwy jak jego ojca, który również był głupcem. No, córko, wstawaj. — Ujmuje ją pod łokieć i niezgrabnie dźwiga na nogi. Następnie kiwa na mnie. — Opiekuj się swoją siostrą — dodaje z uśmiechem. — Przyszłość naszej rodziny spoczywa w jej brzuchu. Być może nosi tam kolejnego króla Anglii. — Całuje Izabelę w oba policzki. — Gdy znów się spotkamy, będziesz już królową Anglii i to ja będę klękał przed tobą. — Wybuchła śmiechem. — Pomyśl tylko, Izabelo!... Ja będę klękał przed tobą.



Domownicy gromadzą się w zamkowej kaplicy i modlą o zwycięstwo papy. Myśląc, że papa wyruszył walczyć za króla, a przeciwko buntownikom; nie rozumiejąc prawdziwego zagrożenia i czyhających nań niebezpieczeństw; nie mając pojęcia, że rzuca wyzwanie królowi Anglii w jego własnym królestwie. Niemniej papa przygotował dobrze grunt: w hrabstwie Lincolnshire roi się od buntowników, jeden z naszych krewniaków poderwał swoich ludzi, którzy skarżą się na złe rządy i złych doradców króla. Jerzy ma za sobą małą armię, zaprzysiężoną stać po jego stronie bez względu na to, za kim się opowie. Żołnierze papy poszliby za nim nawet w ogień. Jednakże koleje wojny bywają zmienne, a Edwardowi nie można odmówić zdolności taktycznych. Izabela i ja modlimy się o sukces papy co rano i co wieczór, za dnia wyczekując wieści.

Właśnie siedzimy w jej komnacie. Izabela spoczywa na łożku i żali się na ból brzucha.

— To jakby kurcze — opowiada. — Całkiem jak po przejedzeniu.

— Może faktycznie się przejadłaś — reaguję bez cienia współczucia.

Moja siostra robi żalostną minę.

— Jestem prawie w ósmym miesiącu — przypomina mi płaczliwie.

— Gdyby papa nie wyruszył w pole, byłabym od tygodnia w komnacie niewieściej. Spodziewałam się raczej, że ty, rodzona siostra, okażesz mi trochę zrozumienia.

Zgrzytam zębami.

— Wybacz — mówię. — Może zawołam dworki albo panią matkę?...

— Nie — zabrania mi. — Pewnie jednak za dużo zjadłam. Mam ciasno w brzuchu, a za każdym razem jak dziecko się porusza, tracę oddech.

— Odwraca głowę. — Co to za hałas?

Podchodzę do okna. Widzę żołnierzy zbliżających się do zamku; nie idą w karnym szyku, przypominają raczej zmęczony tłum zamiast oddziału. Na przedzie, bardzo wolno, posuwają się konni. Dostrzegam rumaka papy, Północ, który wlecze się ze zwieszonym łbem i krwawiącą raną na łopatce.

— Pan ojciec wraca — przekazuję Izabeli.

Moja siostra zrywa się z łożka w okamgnieniu, po czym obie biegniemy kamienną klatką schodową na dół, do wielkiej sali, i otwieramy szerokie

drzwi na oścież w tej samej chwili, gdy służący wysypują się z bocznych wyjść na powitanie powracającej armii.

Papa wprowadza swoich ludzi za bramy i jak tylko wszyscy są już bezpieczni za murami, każe podnieść most zwodzony i opuścić kratę, która opada ze szczękiem. Dopiero wtedy pan ojciec i jego zięć, przystojny książę, zsiadają ze swoich koni. Izabela natychmiast wspiera się na mnie, przykładając dłoń do brzucha, ucieleśnienie macierzyństwa, ja wszakże nie myślę o tym, jak się prezentujemy, tylko przyglądam się bacznie twarzom żołnierzy. Na pierwszy rzut oka widzę, że przegrali. Bezszelestnie stają za nami pani matka, której cichy okrzyk potwierdza moje przypuszczenia: ona także ujrzała znużenie i porażkę armii. Papa ma ponurą minę, a Jerzy jest biały jak prześcieradło z nieszczęścia. Pani matka już się prostuje, szykując na kłopoty, po czym wita papę zdawkowym pocałunkiem w policzek. Izabela idzie w jej ślady i tak samo wita swojego męża. Ja dygam przed nimi oboma, po czym wszyscy przechodzimy do wielkiej sali, gdzie papa wkracza na podwyższenie.

Dworki, które ustawiły się w szeregu, dygają przed przechodzącym panem ojcem. Za nimi postępują starsi domownicy, którzy także wysłuchają wieści. Za nimi wysypują się ciekawscy słudzy, gwardziści oraz ci z żołnierzy, którzy mogą się poruszać o własnych siłach. Pan ojciec odzywa się głośno i wyraźnie, aby wszyscy go usłyszeli.

— Wyruszyliśmy w pole, mając poparcie naszego krewniaka Ryszarda Wellesa i jego syna Roberta, którzy podobnie jak ja są zdania, że król znalazł się pod wpływami żony i jej rodziny oraz że złamał dane mi słowo, tym samym udowodniając, iż nie nadaje się do roli monarchy.

Rozlega się pomruk zgody; nikt z obecnych nie pochwała wpływów Riversów na dworze. Jerzy wdrapuje się na podwyższenie i staje obok pana ojca jakby dla przypomnienia, że stanowi alternatywę dla łamiącego dane słowo króla.

— Baron Welles nie żyje — obwieszcza papa. — Ten farbowany król wyciągnął go z sanktuarium... wyciągnął go z sanktuarium — powtarza, podkreślając zbrodnię dokonaną przeciwko Bogu i ludziom — i zagroził mu śmiercią. Gdy syn barona, Robert, stawił się na polu bitwy, farbowany król zabił barona Wellesa, zanim rozpoczęła się walka, zabił bez uczciwego procesu, wprost na polu, gdzie stali...

Jerzy potakuje skinieniem z poważną miną. Złamanie świętości sanktuarium to naruszenie posad Kościoła, wystąpienie przeciwko samemu

Bogu. Człowiek, który dotyka ołtarza świątyni, ma prawo czuć się bezpieczny. Miłosierny Bóg bierze takiego człowieka pod swą opiekę. Skoro więc król nie respektuje świętości sanktuarium, musi się uważać za potężniejszego od Boga. Co czyni zeń heretyka, bluźniercę. Taki król powinien spodziewać się w każdej chwili bożego gniewu.

— Zostaliśmy pokonani — mówi uroczystym tonem pan ojciec. — Oddział barona Wellesa został rozgromiony podczas szarży Edwarda. Musieliśmy się wycofać.

Czuję, że Izabela chwyta mnie za rękę.

— Przegraliśmy? — pyta niedowierzająco. — Przegraliśmy?...

— Udamy się do Calais i tam przegrupujemy siły — oznajmia pan ojciec. — Ta przegrana to jeszcze nie klęska. Dzisiejszej nocy odpoczniemy na zamku, a jutro spakujemy się i ruszymy w drogę. Niech nikt jednak nie wątpi w to, że od teraz tak zwany król Anglii, Edward York, i ja prowadzimy ze sobą wojnę. Prawowitym królem Anglii jest Jerzy z dynastii Yorków, na którego koronacji będę świadkiem.

— Jerzy! Jerzy! — krzyczą wszyscy zebrani, wyrzucając w górę pięści.

— Boże, chroń króla Jerzego! — dopowiada pan ojciec.

— Król Jerzy! — podchwytną ludzkie. Prawda jest taka, że uwierzyliby we wszystko, co powiedziałby Ryszard Neville.

— *A Warwick!* — wykrzykuje swoje zawołanie wojenne papa, a za nim powtarzają wszyscy obecni:

— *A Warwick!*

## DARTMOUTH, HRABSTWO DEVON KWIECIEŃ 1470



Poruszamy się w powolnym tempie dostosowanym do prędkości mułłów ciągnących powóz z Izabelą. Zwiadowcy pana ojca pilnujący naszych tyłów donoszą, że Edward nie zamierza przegnać nas ze swego królestwa. Zdaniem papy Edward to niemrawy głupiec, który wrócił do żoniego łóża w Londynie. Podróżujemy nie niepokojeni przez nikogo aż do Dartmouth, gdzie czekają na nas okręty pana ojca. Izabela i ja stoimy na przystani, przyglądając się załadunkowi wozów i wierzchowców. Morze wygląda jak jezioro, takie jest spokojne; panuje niezwykły jak na kwiecień upał; w górze zataczają kręgi nawołujące się mewy. W powietrzu unosi się przyjemny zapach portu: mieszanina soli, wyschniętych wodorostów, smoły. Czujemy się tak, jakby był środek lata i pan ojciec szykował dla nas jakąś atrakcję.

Bojowy koń papy zostaje wprowadzony po trapie jako jeden z ostatnich. Na łbie ma worek, żeby nie widział pochyłej deski i wody pod spodem. Mimo to Północ wie, że wchodzi na pokład statku. Po wielokroć przekraczał Kanał Angielski; dwakroć dokonywał inwazji na Anglię. To weteran licznych bitew pana ojca, a jednak tym razem zachowuje się jak nerwowy żrebak — cofa się z trapu i staje dęba, rozpędzając przerażonych ludzi, dopóki nie zostaje ujęty w nosidło i przeniesiony na pokład wbrew swej woli.

- Boję się — mówi Izabela. — Nie chcę płynąć.
- Morze jest płaskie jak stół. Można by je pokonać wpeław.
- Ten koń czuje, że coś jest nie tak.
- Nieprawda. Koń papy zawsze stroi fochy. Poza tym teraz już jest w swoim boksie pod pokładem i wcina siano. Daj spokój, Izabelo, nie wstrzymuj odbicia od brzegu.

Moja siostra ani drgnie. Trzyma mnie przy sobie, gdy na okręt wsiadają kolejno wszystkie dworki i pani matka. Już podnoszą żagle, słysząc wykrzykiwane polecenia i komendy. Uchylają się zapraszająco drzwi królewskiej kajuty. Jerzy mija nas, ignorując obawy Izabeli; pan ojciec rzuca ostatnie rozkazy do kogoś w porcie, po czym marynarze zaczynają odwiązywać cumy od wielkich żelaznych kół przystani.

— Lada moment mam rodzić...

— Nic ci nie będzie, zobaczysz — zapewniam ją. — Położysz się na wygodnej koi i nawet nie zauważysz, że to nie twoje własne łóżko.

Izabela nadal się waha.

— A co będzie, jeśli ona przywoła wiatr?

— Słucham?

— Co będzie, jeśli królowa i jej matka czarownica przywołają wiatr? Czarownice to potrafią, prawda? Może już go przywołały i teraz czeka na nas w otwartym morzu...

— Królowa nie potrafi takich rzeczy, Izabelo. To zwykła niewiasta.

— Jest zdolna do wszystkiego. Nigdy nam nie przebaczy śmierci ojca i brata. Jakobina nam to powiedziała wprost.

Nagle wyrasta przy nas papa.

— Wsiadajcie już.

— Izabela jest przestraszona... — mówię mu.

Papa spogląda na nią, na swą pierworodną, starszą córkę, lecz choć Izabela ma dłoń na nabrzmiętym brzuchu, a twarz bladą jak płótno, obrzuca ją spojrzeniem twardych ciemnych oczu, jak gdyby była przeszkodą dla jego nowych planów. W pewnym momencie zerka w stronę lądu, jakby spodziewał się tam zobaczyć powiewające królewskie sztandary i armię Edwarda zmierzającą ku wybrzeżu.

— Wsiadajcie — powtarza tylko i idzie przodem po trapie, nie oglądając się na nas. Wydaje rozkaz odbicia od brzegu, gdy jesteśmy w pół drogi za nim.

Marynarze zrzucają za burtę grube liny, które chwytają czyjś ręce w dole, na pokładzie barek mających nas odholować na pełne morze. Wioślarze pochylają się do przodu i wyteżają wszystkie mięśnie, gdy młody chłopiec zaczyna miarowo uderzać w bęben, nadając im rytm. Po chwili oddalamy się już od wybrukowanej przystani i dostajemy w nurt rzeki. Żagle trzepoczą i łapią wiatr, kadłub chwieje się pośród kołyszących

się fal. Nasz ojciec jest uwielbiany w hrabstwie Devon, we wszystkich portach, za to, że od dawna broni Kanału Angielskiego, i teraz żegnają go tłumy ludzi: machających, posyłających całusy i wykrzykujących błogosławieństwa. Jerzy, który bezzwłocznie wchodzi na kasztel rufowy, by stanąć obok niego, przybierając królewską postawę, unosi rękę we władczym geście, podczas gdy papa przywołuje do siebie Izabelę, by objąć ją i lekko obrócić tak, żeby było widać jej wystający brzuch. Pani matka i ja stoimy na dziobie. Pan ojciec nie woła mnie, nie potrzebuje mnie koło siebie. To Izabela będzie następną królową Anglii — choć teraz udaje się na wygnanie, bez wątpienia powróci do kraju, święcąc tryumfy. To Izabela nosi w łonie dziecko, które jak wszyscy mają nadzieję, będzie chłopcem, a w przyszłości królem Anglii.

Gdy docieramy do otwartego morza, marynarze rzucają liny na pokład barek i zaczynają refować żagle. Płótno nadyma się na lekkiej bryzie i rozlega się trzeszczenie drewna, gdy wiatr bierze okręt w posiadanie, pchając go po błękitnym przestworze. Dziób pruje wodę. Obie z siostrą zawsze bardzo lubiliśmy żeglować. Izabela także teraz zapomina o swoich obawach i staje ze mną przy burcie, rozglądając się za delfinami w czystej toni. Na horyzoncie widnieje rząd chmur przypominających sznur mglistych pereł.

Pod wieczór mijamy Southampton, gdzie na kotwicy czeka reszta floty pana ojca, wypatrując sygnału do wypłynięcia. Papa wysłała do portu łódkę z rozkazem przyłączenia się do nas. Kołyszając się na burzliwych wodach cieśniny The Solent, spoglądamy ku lądowi, gdzie spodziewamy się w każdej chwili ujrzeć las masztów, naszą dumę i nasze bogactwo, źródło władzy pana ojca na morzach. Jednakże naszym oczom ukazuje się tylko para okrętów. Zrównują się z nami, lecz papa i tak musi się niebezpiecznie wychylić, aby usłyszeć, co wołają do niego z drugiego pokładu. Okazuje się, że Riversowie przejrzeni nasze plany — chyba tylko dzięki przekłętej zdolności jasnowidztwa powszechnej w tej rodzinie — i syn barona, Antoni Woodville, galopując jak szalony na czele małej armii, dotarł do portu przed nami, po czym przejął dowodzenie nad częścią załóg, resztę aresztował, część wybił, w każdym razie teraz ma w garści okręty papy, w tym nowiuteńki flagowiec Trójca Święta. Antoni Woodville dowodzi flotą Ryszarda Neville'a! Riversowie zagrabili naszą flotę, tak jak wcześniej zabrali nam króla i jak wkrótce wszystko nam odbiorą...

— Zejdź pod pokład! — krzyczy do mnie papa. — Powiedz matce, że w Calais będziemy o poranku, ale mam zamiar potem wrócić po swój flagowiec i pozostałe okręty i sprawić, że Antoni Woodville szczerze pożałuje tego, iż wyciągnął po nie rękę.

Cały wieczór i całą noc, wyprzedzając wiatr, będziemy płynąć po Kanale Angielskim, by w końcu przybić do portu w Calais. Papa doskonale zna te wody, a jego załoga żeglowała tędy i walczyła na tych głębinach nieraz w przeszłości. Nasz okręt jest nowy, wyposażony jak na jednostkę bojową przystało, aczkolwiek z kajutami godnymi króla. Kierujemy się na wschód, wiatr nam sprzyja, a niebo jest czyste. Izabela zajmie królewską kajutę na głównym pokładzie, a ja dotrzymam jej tam towarzystwa. Rodzice wybrali dla siebie dużą kabinę w kasztelu rufowym. Jerzemu przypadła kajuta pierwszego oficera. Niedługo podadzą do stołu, a po wieczery zagramy w karty przy blasku świec migoczących w rytm kołysania okrętu. Wreszcie pójdziemy spać; zasnę ukołysana ruchem fal, przysłuchując się trzeszczeniu drewna i oddychając słonym morskim powietrzem. Błądząc myślami, uświadamiam sobie nagle, że jestem wolna: moja służba u królowej dobiegła końca. Już nigdy nie ujrzę Elżbiety Woodville. Już nigdy nie będę musiała jej obsługiwać. Ona nigdy mi nie wybaczy, lecz ja już nigdy nie będę musiała znosić jej milczącej pogardy.

— Wiatr przybiera na sile — zauważa Izabela, gdy przed wieczera robimy sobie spacer po głównym pokładzie.

Unoszę głowę. Sztandar u szczytu masztu powiewa szaleńczo; niebo w górze jest puste — mewy, które towarzyszyły nam od brzegu, zawróciły w stronę Anglii. Perłowe chmury zdobiące horyzont skłębiły się i teraz ciężko zalegają nad linią widnokregu niczym masa szarych piór.

— To nic — bagatelizuję. — Chodź, wejdziemy do środka. Nigdy dotąd nie miałyśmy najlepszej kajuty tylko dla siebie.

Podchodzimy do drzwi wiodących z głównego pokładu, lecz w chwili gdy Izabela kładzie dłoń na gałce z brązu, pokład umyka nam spod stóp i moja siostra zatacza się i uderza w skrzydło drzwi, które ustępuje nagle, sprawiając, że zamiast wejść — wpada do kajuty z impetem. Zatrzymuje się dopiero przy koi. Niezgrabnie podążam za nią, by pomóc jej wstać.

— Nic ci się nie stało?

Kolejna ogromna fala posyła nas na drugą stronę kajuty, przy czym Izabela wpada na mnie i przygniata mnie do ściany.

— Połóż się — radzę.

Podłoga znów się unosi, gdy brniemy ku koi, lecz Izabeli udaje się uchwycić za brzeg. Ja także czegoś się łapię. Próbuje się roześmiać z tego kołysania, przez które wyglądamy jak para błaznów, jednakże moja siostra wrzeszczy:

— To sztorm, sztorm, tak jak mówiłam!

Oczy ma rozszerzone z przerażenia, co widać nawet w półmroku kajuty.

— Niemożliwe. To tylko mocniejsza fala. — Wyglądam za bulaj. Chmury, które jeszcze niedawno szarzały na horyzoncie, przypominając brudną pierzynę, pociemniały jeszcze i teraz czarno-światlistymi pasami przesłaniają słońce, które z kolei poczerwieniało, mimo że nie skończyło się jeszcze popołudnie. — I zwyczajnie się chmurzy — dodaje, starając się nadać głosowi wesołe brzmienie, chociaż w życiu nie widziałam podobnego spektaklu na niebie. — Położysz się, żeby trochę odpocząć? Dobrze by ci to zrobiło...

Pomagam Izabeli ułożyć się w chyboczącej się koi, gdy wtem okręt wpada w rynnę między grzbietami fal i siłą nagłego zderzenia z powierzchnią wody posyła mnie na kolana.

— Ty też się połóż — nalega Izabela. — Połóż się przy mnie. Robi się zimno. Tak mi zimno...

Zzuwam do połowy buty, po czym się waham. Zamieram w oczekiwaniu i wszystko także jakby czekało. Jest spokojnie, zupełnie jakby świat stanął w miejscu. Okręt przestaje trzeszczeć, unosi się tylko na balsamicznym morzu, a wiatr, który gnał nas w stronę domu, na wschód, wydaje znużone westchnienie i cichnie. W tej ciszy słyszymy, jak żagle trzepoczą po raz ostatni, po czym wiotczeją na masztach. To przeraźliwa, złowróżbna cisza.

Ponownie wyglądam za bulaj. Wody są spokojne jak w głębi ładu, okręt niemrawy jak w delcie rzeki. Powietrze stoi martwe. Chmury napierają brzuchami na maszty, na fale... Panuje bezruch. Nie ma ani jednej mewy. Ktoś siedzący na salingu głównego masztu krzyczy: „Słodki Jezu, ocal nas!” i nie czekając na odpowiedź, złazi po takielunku na pokład. Echo jego głosu dźwięczy dziwnie, jakbyśmy zostali uwięzieni pod gigantyczną szklaną misą.

— Słodki Jezu, ocal nas... — powtarzam.

— Zwijać żagle! — grzmi kapitan, przerywając upiorną ciszę.



Rozlega się tupot bosych stóp po deskach pokładu i marynarze zaczynają związać żagle. Powierzchnia morza lśni niczym lustro, odbijające niebo, które na moich oczach zmienia barwę z granatowej w czarną i zaczyna się burzyć, miedlić...

— Bierze oddech — odzywa się Izabela. Twarz ma nawiedzoną, spośród bladej odcinają się wyraźnie tylko jej oczy.

— Co takiego?

— Królowa bierze oddech.

— Och, nie — zaprzeczam, usiłując nadać głosowi pewne brzmienie, lecz nieruchomość powietrza i słowa Izabeli napędzają mi strachu. — To nie takiego, ot, zwykła chwila ciszy na morzu.

— Bierze oddech, by potem zagwizdnąć — mówi dalej Izabela. Odwraca się ode mnie i układa na wznak, przez co jej brzuch wydaje się jeszcze ogromniejszy i krągły. Wyciąga obie ręce na boki i ucupia pięknie rzeźbione brzegi koi, równocześnie prostując się i sięgając stopami do nóg posłania, jakby spinała się wewnętrznie w oczekiwaniu na nadejście zagrożenia. — Jeszcze chwila i zagwizdże...

Staram się mówić radosnym tonem.

— Nie, nie, skądże znowu...

Przerywa mi ryk wiatru, który wytłacza resztkę powietrza z mych płuc. Wyjąc potępieńczo niczym zjawa zwiastująca czyjąś śmierć, upiorny wiatr dmie wprost z pociemniałego nieba, powodując, że okręt przechyla się, a następnie — gdy woda pod nami niespodziewanie wzbiera — wyskakuje wysoko w górę, ku chmurom, które w tej samej chwili przecina trupio blada błyskawica.

— Zamknij drzwi! Nie waż się jej wpuścić! — drze się Izabela, kiedy wskutek nagłego ruchu okrętu podwójne drzwi do kajuty otwierają się z hukiem.

Sięgam ręką, by je zamknąć, i zamieram z osłupienia. Przed kajutą jest dziób okrętu, za którym powinny być fale. Tymczasem widzę tylko pokład, wznoszący się coraz wyżej, jak gdyby okręt stawał dęba na rufie, a dziób wrywał się ku niebu nade mną. W końcu zaczynam rozumieć, dlaczego tak się dzieje. Z przodu kotłuje się potężna fala, wyższa niż mury zamku, i nasz niepozorny okręt stara się na nią wspiąć. Jeszcze chwila, a grzbiet fali, lodowato biały na tle czarnego nieba, przełamie się i tony wody runą na nas, myślę i już czuję, jak zaczyna padać grad,

tłukąc się o deski pokładu i w okamgnieniu zamieniając je w zaśnieżone pole. Pieką mnie ramiona, piecze mnie twarz; pod stopami mam masę chrzęszczącego lodu.

— Zamknij te drzwi! Zamknij...! — nie przestaje się wydierać Izabela.

Dopadam obu skrzydeł w tym samym momencie, gdy fala zaczyna opadać prosto na nas i ściana wody uderza o pokład, wywołując dreszcz całego okrętu. Wszystko się chybcze. Dziób znowu się zadziera do góry na kolejnej wznoszącej się fali, po czym drzwi na powrót się otwierają na oścież, zapraszając do środka wysoką do pasa ścianę wody, której nic nie jest w stanie powstrzymać. Skrzydła łomoczą, Izabela wrzeszczy, okręt drży, walcząc o pozostanie w jednym kawałku pod naporem masy wody, marynarze usiłują zapanować nad żaglami, czepiają się bomów, wisząc niczym kukiełki z dyndającymi nogami i myśląc tylko o tym, jak ocalić własną skórę; okręt znowuż zaczyna stawać dęba, kapitan wykrzykuje rozkazy, aby utrzymać jednostkę na kursie, choć teraz wiatr wieje z naprzeciwka, siekąc nieprzyjazne fale i posyłając je w naszą stronę niczym łańcuch połyskliwych czarnych wzgórz.

Przy kolejnym raptownym tapnięciu — mimo moich wysiłków — drzwi raz jeszcze się otwierają i do środka wpada pan ojciec ociekający kaskadami wody; z peleryny na jego ramionach ściekają strumienie, barki ma całe pokryte zmarzniętym śniegiem. Zatrząskuje za sobą drzwi i chwytą się kurezowo futryny.

— W porządku? — pyta krótko, wbijając wzrok w Izabelę.

Izabela trzyma się za brzuch.

— Mam bóle! Mam bóle! — krzyczy. — Ojcze! Doprowadź nas do portu!

Papa przenosi spojrzenie na mnie. Wzruszam ramionami.

— Wiesznie skarży się na bóle — stwierdzam. — Co z okrętem?

— Pożeglujemy ku francuskiemu wybrzeżu — odpowiada mi.

— Schronimy się w jakiejś zatoczce. Opiekuj się siostrą. Nie pozwól jej zmarznąć. Na razie pogasiliśmy ogień, ale jak znowu zapłoną płomienie, przyślę wam trochę doprawionego grzanego piwa.

Okrętem znowu miota, i to tak, że oboje z ojcem przelatujemy na drugi kraniec kajuty. Izabela woła ze swojej koi:

— Papo?

Podnosimy się z trudem na nogi i opierając o ściany, brniemy w stronę koi. Gdy jestem już blisko, mrugam powiekami, sądząc, że wzrok poraziły mi błyskawice za bulajem, albowiem wydaje mi się, że pościel Izabeli jest czarna. Przecieram oczy mokrą ręką, kosztując soli z twarzy i dłoni. Dopiero wtedy widzę, że pościel nie jest czarna i wcale mnie nie oślepiło. Pościel mojej siostry przybrała krwawy odcień. Odeszły jej wody.

— Moje dziecko... — Łka Izabela.

— Przyślę tu waszą matkę — rzecze pośpiesznie papa i wyskakuje za drzwi, zatrzaszkując je za sobą.

Na zewnątrz szaleje sztorm. Chwilami błyskawice podświetlają padający grad, przez co przypomina on mur jednolitej bieli, kiedy indziej znów wszystko czernieje. Ta czarna nicość jest najgorsza ze wszystkiego.

Łapię Izabelę za rękę.

— Dostałam bóli — skarży się żałośnie. — Anno, dostałam bóli. Dostałam bóli... — Wtem wykrzywia twarz i uczepia się mnie, jęcząc. — Ja nie udaję, Anno. Nie staram się przydać sobie wagi. Cierpię, bardzo cierpię... Boli mnie, Anno...

— Dziecko się rodzi — mówię jej.

— Nie! Nie! To za wcześnie! Nie może się urodzić tutaj, na okręcie...

Zerkam rozpaczliwie na drzwi. Pani matka z pewnością już tu idzie? I Małgorzatka też nas chyba nie zawiedzie? Przyjdzie z resztą dworek? Nie może być, że moja siostra i ja tulimy się do siebie pośród sztormu i jej dziecko się rodzi bez niczyjej pomocy...

— Mam przecież pas... — szepcze. — Poświęcony pas, który dopomaga w połogu...

Wszystkie nasze skrzynie trafiły do luku ładunkowego. W kajucie Izabeli nie ma nic poza małym kuferkim ze zmianą bielizny.

— I jeszcze święty obrazek, i medaliony pątnicze... — ciągnie. — Wszystko jest w moim rzeźbionym kufrze. Potrzebuję tych rzeczy, Anno. Proszę, zdobądź je dla mnie. Ochroń mnie i... — Przychodzi kolejny skurcz i Izabela przerywa, ściskając mi dłoń.

Drzwi za moimi plecami otwierają się i do środka wpada chlusta wody i powiew wiatru oraz nasza matka.

— Ach tak — stwierdza pani matka oziębło. Zwracając się do mnie, dodaje: — Idź do kambuza i powiedz, że muszą rozpalić ogień. Trzeba nam tu wrzątku i grzanego piwa. Powiedz, że takie wydałam polecenie.

I poprosz o coś, na czym mogłaby zacisnąć zęby, może być drewniana łyżka, jeśli nic innego nie mają. I jeszcze każ moim służącym przynieść tyle czystego lnu i płótna, ile znajdą.

Wielka fala wyrzuca okręt w górę, posyłając nas na drugi koniec kajuty. Pani matka chwyta się brzegu koi.

— No idź — ponagla mnie. — I znajdź kogoś, kto pomoże ci przejść po pokładzie. Nie daj się zmyć za burtę.

To ostrzeżenie sprawia, że nie mam odwagi otworzyć drzwi i wyjść na szalejący za nimi sztorm.

— Idźże — rzuca ostro pani matka.

Nie mając wyjścia, kiwam głową i opuszczam kajutę. Na zewnątrz woda sięga po kolana, przetacza się z lewa na prawo i z powrotem. Co rusz rozbijają się o nas nowe fale, dziób zadziera się, po czym opada gwałtownie, wprawiając cały okręt w drżenie. Moim zdaniem coś takiego nie może trwać wiecznie; prędzej czy później kadłub nie wytrzyma i przełamie się w pół. Gdy z mroku wyłania się jakaś postać, łapię ją za ramię.

— Zaprowadź mnie do kabiny dworek, a potem do kambuza! — przerykuję wycie wiatru.

— Boże, miej nas w swojej opiece... Boże, miej nas w swojej opiece... Jesteśmy zgubieni! — Marynarz wyrwa się z mojego uścisku.

— Zaprowadź mnie do kabiny dworek, a potem do kambuza! — powtarzam, podnosząc głos. — Rozkazuję ci to zrobić. Moja matka ci rozkazuje.

— To nie jest zwykły wiatr — oznajmia, wzbudzając we mnie na nowo strach. — Pojawił się, jak tylko na pokład weszły niewiasty. Niewiasty na pokładzie, w tym jedna na łożu śmierci, oznaczają sztorm jak amen w pacierzu... Diabelski sztorm... — Cofa się przede mną, jakbym była szatanem.

Okręt drży pod moimi stopami, pokład z równego robi się pochyły i czuję, jak wbrew sobie zjeżdżam po nim ku jednej z burt. Czepiam się kurczowo relingu, widząc, jak przed dziobem statku wzbiera potężna fala, która następnie opada z hukiem na nas dwoje. Woda mnie porywa, zwała z nóg, jednakże nie zabiera z sobą, gdyż w odruchu rozpaczę chwytam się lin, a moja suknia szczęśliwie zaczepia się o knagę. Wszelako dla marynarza nie ma ratunku. Na moich oczach idzie pod wodę; w kotłowaniu zielonkawej toni obraca się szaleńczo, machając rękami i nogami, otwiera-

jąc i zamykając blade usta niczym przeklinająca ryba. Znika, zanim zdążę się spostrzec, zresztą kolejne tapnięcie całkowicie odwraca moją uwagę.

— Człowiek za burtą! — krzyczę, przyszedłszy do siebie.

Mój głos zdaje się piszczeniem fujarki na tle dudniącego bębnienia sztormu. Rozglądam się dokoła siebie. Marynarze poprzywiązywali się gdzie który mógł — nikt nie zamierza pomóc biedakowi. Woda przetacza się nieprzerwanie po pokładzie, sięgając mi już za kolana. Dopadam burty i patrzę w dół, lecz mężczyzna już dawno zniknął w bezdennej głębinie. Morze połknęło go na jeden raz, nie został nawet ślad. Okręt przez moment kolebie się w rynnie między falami, lecz z przodu już piętrzy się kolejny potwór, który może okazać się naszą zgubą. Wtem niebo przecina błyskawica i w jej świetle dostrzegam drzwi do kambuza. Rozdzieram suknię zaczeponą o knagę, która uratowała mi życie, i pędzę w kierunku drzwi.

Ogień został zalany, w pomieszczeniu unosi się tylko dym i para; naczynia brzęczą, kiwając się na swych haczykach to w tę, to we w tę; kuk siedzi wciśnięty między ścianę i stół.

— Musisz rozpaścić ogień — wyrzucam z siebie słowa. — Potrzebujemy grzanego piwa i wrzątku.

Mężczyzna śmieje mi się prosto w nos.

— Toniemy — informuje mnie z wisielczym humorem. — Toniemy, a ty przychodzisz tutaj i domagasz się grzanego piwa!

— Moja siostra zaczęła rodzić! Potrzebny nam wrzątek!

— A na co? — pyta, jak gdybyśmy bawili się w zagadki. — Jak ją ocalicie, urodzi dziecko, które i tak skończy jako przynęta dla ryb. Bo wszyscy się potopimy, ty, twoja siostra, niemowlę...

— Rozkazuję ci mnie posłuchać! — mówię przez zaciśnięte zęby. — Ja, Anna Neville, córka Twórcy Królów, rozkazuję ci!...

— Cóż, jaśnie panienska będzie musiała sobie poradzić bez wrzątku i bez piwa. — Kuk wzrusza ramionami, jakby stracił mną wszelkie zainteresowanie. Jeszcze nie skończył mówić, gdy czuję, jak okrętem szarpie nagle, po czym drzwi do kambuza z trzaskiem się otwierają. Spieniona woda spływa po schodkach, zalewa wygasły ogień.

— Daj mi chociaż trochę płótna — upieram się przy swoim. — Ścierki, cokolwiek. I drewnianą łyżkę.

Zebrawszy się w sobie, kuk sięga pod stół i wydobywa stamtąd kosz z bielonym lnem.

— Czekaj — mówi, po czym skądinańd wyjmując drewnianą chochlę, a z kredensu obok butelkę z ciemnego szkła. — Brandy — wyjaśnia. — Napój nią siostrę. Sama też możesz się napić, ładna dziewczuszko, równie dobrze możesz utonąć wesoła.

Chwytam oburącz kosz i zaczynam wspinaczkę po schodkach. Nagłe szarpnięcie powoduje, że wystrzelam jak z procy i szybciej, niżbym chciała, znajduję się na zewnątrz, pośród szalejącego sztormu. Nie mając wolnej choćby jednej ręki, gnam ku naszej kajucie, zanim kolejna fala spadnie na pokład.

W środku pani matka nachyla się nad Izabelą, która miarowo pojękuje. Zatrząskuję za sobą drzwi, na co pani matka się prostuje.

— W kambuzie nie ma ognia? — pyta na mój widok.

Potakuję milcząco. Okręt drży i trzeszczy, a my kołyszemy się i zataczamy razem z nim.

— Siadaj — mówi do mnie pani matka. — To trochę potrwa. Czekaj nas długa i ciężka noc.

Przez całą noc potrafię myśleć tylko o tym, że jeśli uda nam się przeźreć przez to morze, jeśli uda nam się przeżyć, u krańca tej podróży czeka na nas rozległa zatoka Calais i schronienie na lądzie. Znajoma przystań, gdzie nas wypatrują, niecierpliwie wyczekując z naszykowanymi gorącymi napojami i suchymi strojami, i skąd prędko znajdziemy się na zamku. Izabela trafi do komnaty sypialnej z prawdziwego zdarzenia, będzie mogła owiązać się poświęconym pasem i przypiąć medaliony pątnicze do sukni.

Spędzimy z Izabelą nieco czasu w odosobnieniu komnaty niewieściej. A potem moja siostra wyda na świat potomka w otoczeniu półtuzina akuserek na każde jej skinienie i lekarzy czekających w gotowości. Na niemowlę będzie czekać deszczułka, kołyska, mamka i ksiądz, który natychmiast je pobłogosławi i okadzi komnatę.

Tymczasem drzemię na krześle, podczas gdy Izabela przysypia z leżącą obok na koi panią matką. Co jakiś czas Izabela krzyczy głośno i wtedy pani matka wstaje, żeby pomacać jej brzuch, który wydaje się kanciasty niczym skrzynia. Moja siostra z płaczem mówi, że dłużej już nie wytrzyma bólu, a pani matka trzymając jej zaciśnięte w pięści dłonie, zapewnia, że

ból minie. Faktycznie po jakimś czasie mija i Izabela znów kładzie się na wznak, skomląc cicho. Sztorm ustępuje, lecz wciąż nas otacza; horyzont co rusz rozjaśniają błyskawice, zewsząd dobiegają grzmoty. Chmury wiszą tak nisko, że nie widzimy skrawka lądu, chociaż słyszymy, że fale rozbijają się o francuskie skały.

Nadchodzi świt, lecz wcale się nie przejaśnia, a niestrudzone fale miarowo rzucają okręt to w jedną, to znów w drugą stronę. Marynarze, nie puszczając się relingu, idą na dziób, gdzie leży zerwany żagiel i na miejscu tną go na mniejsze kawałki, te zaś wyrzucają za burtę. Kukowi udaje się rozpałić ogień w kambuzie, dzięki czemu każdy dostaje odrobinę gorącego grogu, a do naszej kajuty trafia dzban grzanego piwa. Pojawiają się trzy dworki pani matki z naszą przyrodnią siostrą Małgorzatką, która przynosi czyste giezło dla Izabeli i zabiera zakrwawioną pościel. Izabela śpi, póki nie obudzą jej bóle; jest już tak zmęczona, że budzi się tylko przy najsilniejszych skurczach. W pewnym momencie zaczyna majaczyć. Przykładam dłoń do jej czoła, które płonie od gorączki. Na twarz występują jej intensywnie czerwone rumieńce, mimo że poza tym jest blada jak śmierć.

— Co z nią? — pytam Małgorzatkę. Odpowiada mi, milcząco potrząsając głową. — Rozchorowała się? — zwracam się do pani matki.

— Dziecko się zaklinowało — oznajmia pani matka. — Jak tylko przybijemy do brzegu, akuszerka będzie musiała je przekreślić.

Patrzę na nią z otwartymi ustami. Nie mam pojęcia, o czym ona mówi.

— Czy to coś złego? Takie przekreślanie dziecka? Nie brzmi to dobrze...

— Tak — potwierdza pani matka bez ogródek. — To nic dobrego. Widywałam to wcześniej. Ból przy tym jest nieopisany. Idź zapytać ojca, kiedy będziemy w Calais.

Ponownie wychodzę z kajuty na zewnątrz. Wciąż pada, ale teraz z ciemnego nieba leje się zwykły deszcz. Morze pod nami rwie bystro, dzięki czemu poruszamy się naprzód, choć wiatr wieje z przeciwka. Papa stoi na pokładzie przy sterniku, obok nich dwóch czuwa kapitan.

— Pani matka pyta, kiedy będziemy w Calais — odzywam się niepytana.

Papa opuszcza spojrzenie i po jego oczach widzę, że jest wstrząśnięty moim wyglądem. Zgubiłam gdzieś czepek i mam rozpuszczone w nieładzie włosy, suknię podartą i poplamioną krwią, do tego jestem bosa i przemoczona na wskroś. Do tego z pewnością robię rozpaczliwą

minę — przez większą część nocy czuwałam i usłyszałam, że moja siostra może umrzeć. A jedyne, co byłam w stanie dla niej zrobić, to przebrnąć przez wodę do uda i przynieść jej z kambuza drewnianą łyżkę, na której by mogła zacisnąć zęby.

— Za godzinę lub dwie — odpowiada. — Już wkrótce. Jak się miewa Izabela?

— Potrzebna jej akuszerka.

— Za godzinę lub dwie będzie ją miała — mówi papa, uśmiechając się ciepło. — Przekaż jej to ode mnie. Powiedz, że dałem słowo. Wieczerzę zjemy u siebie na zamku. W komnacie niewieściej zajmą się nią najlepsi medycy Francji.

Te słowa podnoszą mnie na duchu, odwzajemniam więc uśmiech.

— Doprowadź się do porządku — rzecze na odchodnym. — Jesteś siostrą królowej Anglii. Włóż buty, zmień suknię...

Dygam i biegiem wracam do kajuty.

Czekamy. Godziny dłużą się niemiłosiernie. Poprawiam na sobie suknię; nie mam pod ręką niczego na zmianę, mogę jednak zapleść włosy i nałożyć znaleziony czepek. Izabela na przemian pojękuje, zapada w sen i budzi się pod wpływem bólu. W końcu z pokładu dobiega okrzyk:

— Brzeg na horyzoncie! Po sterburcie! Calais!

Zrywam się z krzesła i dopadam bulaju. Dostrzegam znajomy zarys murów miasta, sklepiony dach budynku Gildii Kupieckiej, wieżę katedry, wreszcie zamek na szczycie wzgórza, blanki i okna rozjaśnione blaskiem. Mrużąc oczy, wypatruję okno naszej komnaty sypialnej, zapraszająco otwarte okiennice, nawet sobie wyobrażam zapalone świece... Już wiem, że jesteśmy bezpieczni. Dotarliśmy do domu. Ulga, która mnie ogarnia, nie może się z niczym równać. Czuję, jak z barków spada mi ogromny ciężar, i uświadamiam sobie, że przez cały ten czas przygniatało mnie brzemień strachu. Jednak udało nam się dotrzeć do domu. Mojej siostrze nic już nie grozi.

Rozlega się potworny zgrzyt i łoskot. Skupiam wzrok na murach i widzę, że dziesiątki mężczyzn z mozołem obracają wielkim kołowrotem, którego zębata brzęczy i jęczy przy każdym powolnym obrocie. Przed nami, u wejścia do zatoki, z głębin podnosi się łańcuch oblepiony szlamem i wodorostami. Szczipione metalowe ogniwa barykadują nam drogę.



— Prędko! — krzyczę, jakby można było pośpieszyć żaglowiec i przepłynąć nad łańcuchem, zanim zawiśnie na odpowiedniej wysokości.

Zaraz jednak zdaję sobie sprawę, że wcale nie musimy się śpieszyć. Jak tylko strażnicy rozpoznają nasz okręt, jak tylko ujrzą sztandar Warwicków, opuszczą łańcuch, pozwalając nam płynąć do zatoki. Papa to ukochany przez wszystkich dowódca tutejszej twierdzy. Calais to jego miasto, nie Yorków ani Lancasterów, tylko jego. To mój dom rodzinny. Obrzucam spojrzeniem mury zamku i widzę, że tuż pod oknem naszej komnaty wszczynają się ruch, w otworach strzelniczych migają sylwetki ludzi wtaczających działa, po chwili wysuwają się jedna po drugiej opasie lufy, jak gdyby twierdza szykowała się do odparcia ataku.

To pomyłka, tłumaczę sobie. Zapewne pomyłono nas z flotą króla Edwarda. Ale potem przenoszę wzrok wyżej. Ponad blankami powiewa nie sztandar z niedźwiedziem i podrapanym pniem, lecz ten z białą różą Yorków, a obok niego sztandar królewski. Calais dochowało wierności Edwardowi i dynastii Yorków, mimo że my przeszliśmy na drugą stronę. Papa przedtem ogłosił, że Calais będzie lojalne wobec Yorków, i tak najwyraźniej pozostało. Calais nie zmienia barw w zależności od tego, jak powieje wiatr. Jest lojalne lojalnością, która i nam kiedyś nie była obca, tylko że teraz to my staliśmy się wrogiem...

Sternik dostrzega niebezpieczeństwo w porę i wykrzykuje ostrzeżenie. Kapitan zaczyna wydawać rozkazy załodze. Papa rzuca się na koło sterowe i wspólnie ze sternikiem kręci nim, aby okręt nie wpadł w śmiertelną pułapkę napiętego łańcucha. Żagle łopoczą groźnie, gdy okręt nagle zmienia kurs; dodatkowo kołysanie fal grozi wywróceniem jednostki.

— Dalej, dalej, refować żagle! — ryczy pan ojciec.

Wreszcie okręt z jękiem zawraca. Od strony zamku dobiega przyprawiająca o mdłości eksplozja i moment później tuż obok dziobu uderza kula armatnia. Mają nas na muszce. Jesteśmy w ich zasięgu. Zatopią nas, jeśli nie uciekniemy.

Nie mogę uwierzyć, że mieszkańcy Calais zwrócili się przeciwko nam, jednakże pan ojciec bez wahania daje rozkaz odpłynięcia. Już w bezpiecznej odległości każe zrefować żagle i rzucić kotwicę. Nigdy nie widziałam go bardziej rozgniewanego. Na jego polecenie jeden z oficerów przesiada się na łódkę i płynie do dowódcy garnizonu z wiadomością od papy, w której ten domaga się wpuszczenia do por-

tu. Pozostaje nam tylko czekać. Morze burzy się i kołtuję, wiatr dmie niestannie, przez co łańcuch kotwiczny napręża się, a okręt szarpie jakby ze złością, to zanurza się niebezpiecznie, to znów podskakuje z kołysaniem. Opuszczam kajutę i przeszedłszy na burtę, spoglądam ku domowi. Nadal nie potrafię uwierzyć, że Calais nie dało nam wstępu. Wciąż nie wierzę, że jednak nie wbiegnę po kamiennych schodach, wołając na służbę, by szykowała gorącą kąpiel i czyste ubranie. Wytężając wzrok, widzę, że od strony portu płynie mała łódź. Słyszę głucho uderzenie, gdy dociera do kadłuba, i pokrzykiwania marynarzy zrzucających liny. Po chwili na pokładzie znajduje się parę antałów wina, a także trochę sucharów i sera dla Izabeli. I to wszystko. Żadnej wiadomości; mieszkańcy Calais nie mają nam nic do powiedzenia. Wioślarze zawracają ku brzegowi. Na nic więcej nie możemy liczyć. Wino i ser są oznaką litości.

— Anno! — woła mnie pani matka, przekrzykując świszczanie wiatru.  
— Chodź tutaj!

Stawiając niepewnie kroki na umykającym mi spod nóg pokładzie, wracam do kajuty. Zanim zamknę za sobą drzwi, słyszę, jak łańcuch kotwiczny protestuje skrzypieniem, po czym nagle grzechocze na pokładzie. Okręt znów jest wolny. Kadłub jęczy boleśnie pod naporem wiatru i wody, skazany na łaskę żywiołów. Nie mam pojęcia, jaki kierunek obierze papa. Nie mam pojęcia, dokąd możemy się udać po tym, jak wzbroniono nam wstępu do własnego domu. Do Anglii wrócić nie możemy, to pewne; tam wszyscy mają nas za zdrajców. Mieszkańcy Calais nie chcą nas widzieć. Zatem dokąd popłyniemy? Czy jest gdziekolwiek bezpieczna przystań dla nas?

Izabela w kajucie już nie leży na wznak, lecz tkwi na koi na czworakach, rycząc jak zarzynane prosię. Patrzy prosto na mnie przez płątaninę włosów oczyma w czerwonych obwódkach wyzierających z bladej twarzy. Ledwie ją poznaję; wygląda ohydnie jak umęczone zwierzę. Pani matka zadziera jej spódnice, odsłaniając zakrwawioną bieliznę. Prędko odwracam wzrok.

— Musisz włożyć ręce i przekręcić dziecko — oznajmia pani matka.  
— Ja mam za duże dłonie. Nie dam rady.  
Wbijam w nią przerażone spojrzenie.  
— Co?

— Nie ma akuszerki, więc musimy przekręcić dziecko same — wyjaśnia niecierpliwie pani matka. — Izabela jest ciasna i moje dłonie się nie mieszczą. Ty będziesz musiała to zrobić.

Patrzę na własne smukłe dłonie o długich palcach.

— Ale ja nie wiem, co trzeba zrobić — protestuję słabo.

— Wszystko usłyszysz ode mnie.

— Pani matko, ja... ja jestem dziewczyną... nie powinnam tu nawet być...

Przerywa mi wrzask Izabeli, która tracąc siły, opiera się o koję czołem.

— Anno, na miłość boską! Pomóż mi. Wyjmij je! Wyjmij je ze mnie!

Pani matka bierze mnie za rękę i ciągnie w jej stronę. Małgorzatka zadziera poplamione gieżło Izabeli. Całą tylną część ciała ma okropnie zakrwawioną.

— Wciśnij tu dłoń — instruuje mnie pani matka. — Pomacaj. Co czujesz?

Izabela krzyczy z bólu, gdy wsuwam dłoń między fałdy jej miękkiego ciała i zaczynam gmerać. Co czuję? Wstręt — czuję wyłącznie wstręt, i rozgrzane ciało, i strach. Wtem jeszcze coś obrzydliwego... chyba nóżkę.

Izabela dostaje skurczu, ścisną mi dłoń jak w imadle, miażdżąc palce. Wołam do niej:

— Nie rób tak! Sprawiasz mi ból!

Moja siostra sapie jak dogorywająca krowa.

— To jest silniejsze ode mnie, Anno. Proszę, wyjmij je ze mnie...

Śliska nóżka wierzga pod moim dotykiem.

— Mam. Chyba nóżkę, a może rączkę.

— Zdołasz wymacać drugą?

Kręcę przecząco głową.

— To nic. Ciągnij i tak — rzecze pani matka.

Przyglądam się jej wstrząśnięta.

— Musimy je z niej wyjąć, Anno. Ciągnij, tylko delikatnie.

Zaczynam ciągnąć. Izabela wrzeszczy. Ja zagryzam wargi. Co za obrzydliwe, przerażające zajęcie; moja siostra napawa mnie obrzydzeniem i przerażeniem przez to, że tak się zachowuje... jak jakaś tłusta źrebiąca się klacz albo... albo jak jakaś ladacznica. I jeszcze zmusza mnie do czegoś podobnego!... Nagle stwierdzam, że potwornie się krzywię i odchylam głowę, byle tylko nic nie widzieć. Stoję tak daleko, jak się da: od koi, od niej, mojej siostry, tej bestii, macając ją bez cienia współczucia, trzymając

za ucapioną wiotką kończynę, jak kazała pani matka, mimo że w środku wszystko aż się we mnie burzy.

— Zdołasz wsunąć drugą dłoń?

Zerkam na panią matkę, żeby sprawdzić, czy nie oszalała. Wsuniecie jednej dłoni było nieprawdopodobieństwem; dodanie drugiej to czysta niemożliwość.

— Postaraj się wsunąć drugą dłoń i złapać dziecko oburącz.

Zupełnie zapomniałam, że chodzi o dziecko. Oszołomił mnie wszechobecny odór i nieprzyjemne doznanie śliskiej kończyny wymykającej mi się z dłoni. Posłusznie próbuję wcisnąć do środka drugą dłoń. Mam wrażenie, że ciało ustępuje pod moim dotykiem, i nagle samymi opuszkami palców czuję coś, co może być ramieniem bądź barkiem.

— Rączka? — mówię. Zaciskam szczęki, żeby nie zwymiotować.

— Odepchnij ją, pomacaj niżej i złap drugą nóżkę. — Pani matka wykręca sobie palce, najwyraźniej pragnąc, aby to się już skończyło. Miarowo klepie Izabelę po plecach, jakby to nie była jej córka, tylko chory pies.

— Mam drugą nóżkę — informuję.

— Na mój znak pociągniesz obie nóżki równocześnie — oznajmia zdecydowanym tonem. Odstępuje na bok i ujmuje głowę Izabeli w dłonie. — Gdy poczujesz, że nadchodzi następny skurcz, zaczniesz przecieć — mówię do mojej siostry. — Przyj mocno.

— Nie mam siły — szlocha Izabela. — Nie mam siły, pani matko. Nie mam siły...

— Musisz znaleźć siły. Po prostu musisz. Powiedz mi, gdy zacnie się zbliżać następny skurcz.

Zapada chwila ciszy, po czym jęki Izabeli przybierają na sile, aż wreszcie moja siostra wrzeszczy:

— Teraz! Zaczyna się!

— Przyj! — mówi do niej pani matka. Dworki łapią ją za zaciśnięte pięści i ciągną za ręce, jakbyśmy próbowały rozerwać jej ciało na dwoje. Małgorzatka wsuwa łyżkę między zęby Izabeli, która z przeraźliwym rykiem zagryza drewno. — Ciągnij dziecko! — krzyczy do mnie pani matka. — J u ż . Ostrożnie. Ciągnij!

Zaczynam ciągnąć, skoro każe, i niemal od razu czuję, jak coś strzela i poddaje się już przy pierwszym szarpnięciu.

— Nie! Nie mogę! Coś się złamało, złamało!

— Mimo to ciągnij! Ciągnij, słyszysz?!

Pociągam jeszcze raz. Bucha krew i niestworzony smród, po czym widzę, że z ciała Izabeli dyndają dwie wątłe nóżki. Moja siostra dyszy i krzyczy na przemian.

— Jeszcze. — Pani matka nie daje nam złapać oddechu. W jej głosie słyszę nutki tryumfu, aczkolwiek ja czuję wyłącznie przerażenie. — J u ż prawie po wszystkim. No, jeszcze raz, Izabelo. Jak tylko nadejdzie skurcz.

Izabela jęczy i cała się spina.

— Ciągnij, Anno! — drze się pani matka.

Łapię za dwie wątłe i śliskie nożyny i znowu ciągnę, ale przez całą wieczność zupełnie nic się nie dzieje. Wtem wyłania się jedno ramionko, potem drugie, po czym Izabela rozdziera się w dwójnasób, gdy przechodzi główka — krzyczy wniebogłosy, a zarazem pęka, jakby dziecko skrywało się nie w fałdach jej ciała, tylko karmazynowopurpurowego brokatu, a może to jest tkanka i żyły. Za główką ciągnie się oślizgła pępowina. Upuszczam niemowlę na pościel, odwracam głowę na bok i zwracam zawartość żołądka wprost na podłogę.

Okręt kołysze się silniej, a my wszystkie razem z nim. Pani matka przesuwając się ostrożnie, nie puszczając brzegu koi, i w końcu podnosi niemowlę, by zaraz owinać je w czyste płótno. Cała się trzęsę, nerwowymi ruchami wycieram zakrwawione dłonie o jakieś szmaty, pozbywam się z ust wymiocin, ale mimowolnie czekam na słowa, które powiedzą mi, że jednak stał się cud. Czekam na pierwszy świadczący o cudzie płacz.

Panuje cisza.

Izabela nadal pojękuje. Kątem oka widzę, że krwawi, lecz nikt nie rzuca się, by ją opatrzyć. Pani matka trzyma na ręku ciepło okutane niemowlę. Jedna z dwerek podnosi spojrzenie zapłakanych oczu i uśmiecha się z nadzieją. Wszystkie wyczekujemy niemowlęcego płaczu, uśmiechu pani matki.

Pani matka nie zmienia wyrazu poszarzałej twarzy.

— Chłopiec — rzecze, chrypiąc. Wszystkie na to czekałyśmy. Dlaczego w takim razie w jej głosie nie ma radości?

— Chłopiec? — powtarzam.

— Tak, chłopiec. Ale martwy. Urodził się martwy.

## NA SEKWANIE, FRANCJA MAJ 1470 ROKU



Marynarze zdejmują żagle i odwożą je do żaglomistrza do naprawy, szorują deski kajuty królewskiej splamione przez krew Izabeli i moje wymiociny. Twierdzą, że tylko cudem uniknęliśmy zatopienia podczas sztormu, opowiadają o swym przestרחu, gdy ujrzeli podnoszący się łańcuch u wejścia do zatoki Calais. Utrzymują, że tylko dzięki pomocy hrabiego Warwick udało się zawrócić okręt w porę. Zarzekają się, że nigdy więcej nie chcą odbyć takiej podróży, lecz gdyby przyszło im powtórzyć tę przygodę, chcą mieć na pokładzie Warwicka. Ich zdaniem to on nas ocalił. Niemniej w życiu nie wezmą na pokład niewiast. Na samą myśl o tym kręcą gwałtownie głowami. W życiu nie wsiądą na okręt, na którym mają płynąć niewiasty ścigane przez diabelski wiatr. Są szczęśliwi, że tym razem przeżyli. Ale uważają, że na ich okręt padła klątwa przez położnicę i martwe niemowlę. Wszyscy zgodnie powiadają, że sztorm powstał na gwizdnięcie królowej czarownicy, która chciała nas zagnać do piekła. Gdziekolwiek na pokładzie się znajdem, wszędzie zapada absolutna cisza. Marynarze boją się, że diabelski wiatr nadal nam towarzyszy. Obwiniają o wszystko nas.

Niemniej wyciągają naszą skrzynię z luku, dzięki czemu nareszcie możemy się umyć i przebrać. Izabela, mimo że wciąż krwawi, również wstaje i zmienia suknię, która dziwnie na niej wisi. Kragłość brzucha, z którą się dumnie obnosiła, zniknęła i teraz moja siostra wygląda tylko grubo i marnie. Na domiar złego w skrzyni, obok szkatułki z klejnotami, znajduje się też jej poświęcony pas i pątnicze medaliony, których miała użyć w komnacie niewieściej. Izabela nawet ich nie wyjmuje z kuferka, tylko bez słowa odstawia w nogach koi. Zapanowało między nami niezręczne

milczeniu. Wydarzyło się coś strasznego, coś tak strasznego, że żadna z nas nie potrafi o tym rozmawiać. Izabela napawa mnie wstrętem, napawa siebie wstrętem, lecz oczywiście nie mówimy o tym na głos. Pani matka wynosi martwe dziecko w jakiejś skrzynce i ktoś — jak myślę — zmawia nad nim krótką modlitwę, po czym wyrzuca do morza. Jednakże nikt nic nam nie mówi, a my nie pytamy. Jestem pewna, że moje niewprawne dłonie spowodowały zwichnięcie stawu biodrowego dziecka, skąd jednak mogę wiedzieć, czy to ja je zabiłam. Nie mam pojęcia, czy Izabela tak uważa ani czy pani matka to wie. W każdym razie nikt ze mną nie rozmawia, a ja nie mam najmniejszego zamiaru się odzywać. Ani teraz, ani kiedykolwiek. Obrzydzenie i strach zalegają mi na dnie żołądka niczym uporczywe nudności.

Izabela powinna spędzić sześć tygodni w komnacie niewieściej, po czym powinna przejść ceremonię oczyszczenia. Tyle że nie ma żadnych prawideł, które by obowiązywały w wypadku narodzin martwego dziecka na środku morza pośród diabelskiego wichru. Nic nie odbyło się tak, jak powinno. Jerzy składa wizytę swojej żonie, gdy kajuta jest już czysta i na koi leży świeża pościel. Izabela akurat odpoczywa, gdy pojawia się Jerzy. Nachyla się nad koją i całuje moją siostrę w blade czoło.

— Przykro mi z powodu twojej straty — mówi.

Izabela nawet na niego nie patrzy.

— Naszej straty — poprawia go. — To był chłopiec.

Jego przystojna twarz pozostaje obojętna. Domyślam się, że pani matka już mu o tym powiedziała.

— Będą inne dzieci — stwierdza Jerzy. W jego ustach brzmi to raczej jak groźba niż pociecha.

Zanim się spostrzeżemy, już jest przy drzwiach, jakby chciał tak prędko opuścić kajutę. Zastanawiam się, czy woniejemy, czy czuć od nas śmiercią i strachem?

— Gdyby nie to, że nieomal zatonęliśmy podczas sztormu, to dziecko by żyło! — odzywa się ze zjadliwą gwałtownością Izabela. — Na zamku w Warwick miałabym do pomocy akuszerki. Miałabym swój poświęcony pas i księdza, który by się za mnie modlił. Gdyby nie to, że wyruszyłeś z moim ojcem przeciwko królowi i wróciłeś pobity, urodziłabym w domu i dziecko by żyło! — Izabela milknie. Jerzy nie zmienia wyrazu twarzy. — To wszystko twoja wina — dodaje moja siostra zapalczywie.

— Słyszałem, że królowa Elżbieta znowu jest przy nadziei — mówi Jerzy, jakby to była odpowiedź na rzucone przez nią oskarżenie. — Prośmy Boga, aby urodziła kolejną dziewczynkę albo nawet martwe dziecko. Musimy mieć syna przed nią. To, co się stało, to niepowodzenie, a nie koniec wszystkiego. — Uśmiecha się do niej z przymusem. — To jeszcze nie koniec wszystkiego — powtarza, wychodząc.

Izabela spogląda na mnie pustymi oczyma.

— To koniec mojego dziecka — s z e p c z e . — To z całą pewnością koniec mojego dziecka...

Nikt poza papą nie wie, co się naprawdę dzieje. Mimo że najwyraźniej nie mamy się gdzie podziać i dryfujemy u ujścia Sekwany, on chodzi z zadowoloną miną. Okazuje się, że jego flocie stacjonującej w Southampton udało się uciec — okręty, w tym flagowiec Trójca Święta, już płyną, aby do nas dołączyć. Papa znowu będzie miał kim dowodzić. Pisze list za listem i wysyła posłańców do króla Ludwika Francuskiego, jednakże nie opowiada nam się ze swoich planów. Zamawia dla siebie nowe stroje i każe je uszyć wedle francuskiej mody, na gęstych szatynowych włosach nosi nakrycie głowy z aksamitu. Przenosimy się do Valognes, aby flota mogła się przygotować do inwazji na Anglię z Barfleur. Izabela podczas przeprowadzki jest milcząca. Ona i Jerzy dostają piękne komnaty na górnym piętrze dworku, lecz niewiele czasu spędzają razem. Izabela przesiaduje razem ze mną w komnacie pani matki, gdzie otwieramy okna, by wpuścić świeże powietrze, i zamykamy okiennice w obronie przed słońcem, by siedzieć całymi dniami w przyjemnym półmroku. Jest bardzo gorąco, co Izabela dotkliwie odczuwa. Skarży się na ciągły ból głowy i zmęczenie nawet rankami, zaraz po tym, jak wstanie z łóżka. Przy jakiejś okazji mówi, że nic nie ma sensu, lecz gdy ją pytam, o co jej właściwie chodzi, potrząsa głową i przymyka powieki, spod których ciekną łzy. Dla zabicia czasu, klęcząc na kamiennej ławie w ambrazurze, wyglądamy przez okno na rzekę i na zielone pola w oddali i po prawdzie obie uważamy, że nic nie ma sensu. Nie rozmawiamy ze sobą o dziecku, które pani matka zabrała w skrzynce, by wrzucić je do morza. Nie rozmawiamy o sztormie ani o wichrze, ani o morzu.



Prawie w ogóle nie rozmawiamy. Milczymy, gdyż o pewnych sprawach lepiej nie rozmawiać.

— Chciałabym być z powrotem w Calais — rzecze niespodziewanie Izabela któregoś upalnego ranka, a ja domyślam się, że tak naprawdę chce powiedzieć, iż wolałaby, aby nic z tego się nie wydarzyło: ani rebelia przeciwko śpiącemu królowi i złej królowej, ani zwycięstwo papy, ani rebelia przeciwko królowi Edwardowi, ani małżeństwo z Jerzym... Takie marzenia to chęć wymazania prawie całego naszego dzieciństwa, to przekreślenie triumfów papy w jego dążeniu do wielkości.

— Co innego mógłby zrobić papa? — pytam bezradnie.

To zrozumiała, że walczył przeciwko śpiącemu królowi i złej królowej. Był przekonany, że nie mają racji, musiał ich zepchnąć z tronu. A potem, gdy już ich pokonał i stracił, nie potrafił znieść tych, którzy zajęli ich miejsce. Nie potrafił żyć w Anglii, w której panoszyli się Riversowie; musiał rzucić rękawicę królowi Edwardowi. Pragnieniem papy jest ujrzeć Anglię pod panowaniem dobrego władcy, któremu my będziemy doradzać. Zatem królem powinien zostać Jerzy. Pojmuję, że papa nie może zarzucić swych planów. Jako jego córka zdaję sobie sprawę, że reszta mego życia upłynie pod znakiem niekończącej się walki o przywrócenie nam należnego miejsca tuż za tronem. Izabela też powinna to rozumieć. Obie urodziłyśmy się córkami Twórcy Królów; naszym przeznaczeniem jest władać Anglią.

— Gdyby papa nie zwrócił się przeciwko królowi, urodziłabym dziecko w domu — żali się. — Gdybyśmy nie wypłynęli tamtego dnia, gdybyśmy nie wpadli w sztorm, urodziłabym żywe dziecko. Trzymałabym swego syna w ramionach. A tak nie mam nic. Nic nie mam i o nic nie dbam...

— Będziesz miała dzieci — zapewniam, tak jak kazała mi pani matka. Izabeli trzeba przypominać, że może urodzić następne dzieci. Nie wolno pozwolić, aby pograżyła się w rozpacz.

— Nic nie mam — powtarza.

Nie zwracamy specjalnej uwagi, gdy rozlega się łomot do drzwi i gwardzista wpuszcza do środka jakąś niewiastę. W końcu Izabela podnosi spuszczoną głowę.

— Przykro mi, pani matki tutaj nie ma — m ó w i . — A my nie możemy przyjmować petycji w jej imieniu.

— Gdzie hrabina? — dopytuje niewiasta.

— Z naszym ojcem — odpowiada Izabela. — Ktoś ty?

— A gdzie znajdę waszego ojca?

Tego nie wiemy, ale żadna nie chce tego przyznać.

— Wyjechał. Ktoś ty? — powtarza natarczywie Izabela.

Niewiasta odrzuca kaptur. Ze zdumieniem stwierdzam, że stoi przed nami jedna z dworek Elżbiety Woodville: baronowa Sutcliffe. Zrywam się na nogi i staję przed Izabelą, aby ją chronić.

— Co tutaj robisz? Czego chcesz? Królowa cię przysłała? — Nagle ogarnia mnie strach, że pojawiła się tutaj, aby zabić nas obie, i szybko patrzę na jej dłonie, które jednak ukryła pod peleryną, jakby trzymała nóż.

Baronowa uśmiecha się do nas.

— Przyjechałam zobaczyć się z wami dwiema i porozmawiać z księciem.

— O czym? — pyta obcesowo Izabela.

— Wiesz, co twój ojciec teraz planuje?

— Co?

Niewiasta zerka na mnie, jakbym jej zdaniem była za młoda na takie rozmowy.

— Może twoja siostra powinna udać się do swej komnaty?

Izabela łapie mnie za rękę.

— Anna nigdzie nie pójdzie. A ciebie nie powinno tu w ogóle być.

— Przebyłam długą drogę z Londynu, aby cię ostrzec... aby ostrzec was obie. Sam król nie wie, że tu jestem. Twoja świekra, księżna Cecylia, przysłała mnie tutaj dla twego dobra. Kazała mi cię ostrzec. Z pewnością wiesz, jak bardzo jej zależy na tobie i jej ukochanym synu Jerzym, twoim mężu. Kazała mi przekazać wam, że obecnie wasz ojciec spiskuje z wrogiem Anglii, Ludwikiem Francuskim. — Nie zważając na zdziwienie malujące się na naszych twarzach, ciągnie: — Gorzej nawet, sprzymierza się z Małgorzatą Andegaweńską. Zamierza wypowiedzieć wojnę prawowitemu królowi, Edwardowi, i przywrócić na tron króla Henryka.

Bezwiednie kręcę przecząco głową.

— Niemożliwe. Papa nigdy by nie zrobił czegoś takiego...

Dorastałam, słuchając opowieści o zwycięstwach pana ojca nad złą królową, Małgorzatą Andegaweńską, i śpiącym królem, Henrykiem VI; zastępowały mi bajki. Jego nienawiść do jednego i pogarda dla drugiego były moimi kołysankami. Pan ojciec toczył bój za bojem, aby strącić ich z tronu i zastąpić prawowitym dziedzicem dynastii Yorków. Nigdy

nie sprzymierzyłyby się z nimi. Jego rodzony ojciec zginął, walcząc z nimi; Małgorzata Andegaweńska kazała nadziać głowy mego dziada i stryja i umieścić je na murach Yorku, jakby byli zwykłymi zdrajcami. Nigdy jej tego nie przebaczymy. Nigdy byśmy jej tego nie przebaczyli, nawet gdybyśmy zdzierżyli jej zepsucie i zło. Niemożliwe, by papa chciał zawrzeć z nią sojusz po czymś takim. Przez całe dzieciństwo drżałam ze strachu przed Małgorzatą Andegaweńską; to nasz wróg po kres naszych dni.

— Papa nigdy by się z nią nie sprzymierzył — mówię pewniejszym głosem.

— A właśnie że tak — stwierdza baronowa i znów zwraca się do Izabeli. — Przybywam w przyjaznych zamiarach, by przestrzec twego męża Jerzego księcia Clarence. Przywożę też zapewnienia. Jerzy może wrócić do Anglii. Jego królewski brat przyjmie go z otwartymi ramionami. Postarała się o to księżna Cecylia, która chętnie zobaczy także ciebie. Oboje jesteście ukochanymi członkami dynastii Yorków, teraz i na wieki. Jerzy jest następcą tronu, nic się w tej sprawie nie zmieniło. Jeżeli królowi i królowej nie urodzi się syn, możesz włożyć koronę pewnego dnia. Ale... przemyśl to sobie dobrze... jeśli twój ojciec przywróci starego króla na tron, będziesz nikim i całe twoje cierpienie pójdzie na marne.

— Nie możemy sprzymierzyć się z Lancasterami — odzywam się praktycznie do siebie. — Niemożliwe, żeby papa brał to pod uwagę.

— Oczywiście, że nie możecie — podchwytuje baronowa. — Sam ten pomysł jest śmieszny. Wszyscy to wiemy... wszyscy oprócz waszego ojca. Stąd ostrzeżenie, które wam przynoszę. Wam, nie bezpośrednio księciu. Ty, jako jego żona, musisz z nim porozmawiać i pozwolić mu zdecydować, co jest dla niego najlepsze. Księżna Cecylia, twoja świekra, pragnie, abyś wiedziała, że w każdej chwili możesz wrócić do domu, gdzie będzie ci jak druga matka, nawet jeśli twój ojciec pozostanie wrogiem dynastii Yorków i całej Anglii. Zaprasza cię pod swój dach, gdzie zostaniesz otoczona opieką. Była wstrząśnięta... wszyscy byliśmy wstrząśnięci tym, co spotkało cię na morzu. Nikt z nas nie pojmuje, jak twój ojciec mógł cię narazić na takie niebezpieczeństwo. Księżna niezmiernie ci współczuje i opłakuje stratę swego wnuka. Byłby to jej pierwszy wnuk. Ukryła się w swej komnacie i przez całą noc modliła się za jego duszyczkę. Musisz wrócić do domu i pozwolić, abyśmy roztoczyli nad tobą opiekę.

W oczach Izabeli wzbierają łzy, gdy słyszy, że księżna Cecylia modliła się za duszę jej dziecka.

— Chcę wrócić do domu — szepcze.

— Nie możemy nigdzie jechać — mówię od razu. — Musimy być przy panu ojcu.

— Proszę, przekaz jej wysokości księżnej moje podziękowanie — mówi niechętnie Izabela. — Jestem wdzięczna za jej modlitwy. Co zrozumiałe jednak, nie wiem, co... Będę musiała postąpić tak, jak każe mi mój oj... Zrobię to, czego zażyczy sobie mój mąż.

— Obawiamy się, żeś pogrążona w żałobie — rzecze łagodnie baronowa. — W żałobie i samotności...

Izabela mruganiem przepędza łzy, które z taką łatwością ją nachodzą ostatnimi czasy.

— Oczywiście, że silnie odczuwam stratę — odpowiada z godnością. — Mam jednak przy sobie siostrę.

Baronowa Sutcliffe dyga.

— Udam się teraz do twego męża, aby go przestrzec przed planami hrabiego Warwick. Księżę Jerzy musi zadbać o siebie i uchronić ciebie przed królową Lancasterów, Małgorzatą Andegaweńską. Nie wspominajcie swemu ojcu o mojej wizycie. Gniewałby się, że ze mną rozmawiałyście i że teraz już wiecie, jaki z niego wiarołomca.

W pierwszej chwili chcę głośno zaprotestować, że pan ojciec nie jest żadnym wiarołomcą i że nie mamy przed nim tajemnic. Niemniej uświadomiam sobie, że nie mam pojęcia, gdzie się podziewa w swych nowych szykownych francuskich strojach ani tym bardziej co tak naprawdę planuje.

## ANGERS, FRANCJA LIPIEC 1470



Pan ojciec rozkazuje nam stawić się w Angers i nawet przysyła przystojnego gwardzistę, który stanowi naszą eskortę podczas długiej podróży. Nie raczy jednak wyjawić powodu, dla którego chce nas widzieć, ani nie informuje, gdzie właściwie będziemy mieszkały. Gdy po pięciu dniach w kurzu i upale docieramy do Angers, wita nas przed murami miasta, prezentując się dumnie na grzbiecie swego wierzchowca i z konnym gwardzistą u boku, po czym prowadzi nas za bramy, przez ulice, gdzie ludzie zrywają czapki z głów na nasz widok, aż na dziedziniec wspaniałego dworku przy rozległym głównym placu, który najwyraźniej zajął na swoje potrzeby. Choć Izabela słała się ze zmęczenia, nie pozwala jej odpocząć w zaciszu komnaty sypialnej, tylko domaga się, abyśmy udały się prosto na wieczerzę.

W wielkiej sali czeka na nas pani matka — wypatruje nas zza ław ustawionych w kwadrat i suto nakrytych, jakby szykowała się uczta. Całuje nas na powitanie i obdarza swoim błogosławieństwem, po czym przenosi spojrzenie na pana ojca. Ów po jednej stronie usadza Izabelę, do której po chwili dołącza Jerzy, witając się mrukliwie. Wszyscy skłaniamy głowy, by odmówić modlitwę dziękczynną, po czym papa uśmiecha się szeroko i gestem zaprasza do rozpoczęcia posiłku. Słowem nie dziękuje Izabeli, że podjęła się dalekiej drogi, ani nie wychwala jej dzielności przed Jerzym.

Komplementuje za to mnie; twierdzi, że moja uroda rozkwitła we Francji — jak to możliwe, że wyładniałam wskutek wypadków, które doświadczyły tak ciężko moją siostrę? Nalewa mi najlepszego wina, usadza między sobą i panią matką. Porcjując mięso, odkłada dla mnie

najsoczystsze kąski, które następnie stolnik przynosi mi na talerz pierwszej, ignorując Izabelę, ignorując panią matkę. Patrzę na cienkie plastry i nie śmiem ich tknąć. Jak mam rozumieć to, że wszyscy tak mi nadskakują? Znienacka, przeżywszy całe dotychczasowe życie w cieniu Izabeli i pani matki, nagle jestem pierwsza.

— Panie ojczy?... — podnoszę na niego wzrok.

Papa uśmiecha się do mnie, a ja czuję, że pod ciepłym jego spojrzeniem odwzajemniam uśmiech.

— Moja ty bystrzacho — rzecze pieszczotliwie. — Od małego byłaś bystrzejsza. Zastanawia cię teraz z pewnością, jakie mam co do ciebie plany...

Boję się spojrzeć na Izabelę, po tym jak papa przy niej nazwał mnie bystrzejszą. Boję się spojrzeć na Jerzego. I na panią matkę, ale to akurat jest normalne. Wiem, że Jerzy spotkał się w sekrecie z baronową Sutcliffe i że strachem napawa go myśl, iż pan ojciec mógł o tym usłyszeć. To nagłe okazywanie przez papę względów mnie, zamiast Izabeli, być może jest sygnałem, aby nie ważył się nas zdradzić. Kątem oka dostrzegam, że dłonie Izabeli zaczynają drżeć i że chowa je szybko pod blat.

— Ułożyłem twoje małżeństwo — obwieszcza pan ojciec jakby nigdy nic.

— Proszę?

Spodziewałam się wszystkiego, tylko nie tego. W szoku odwracam się do pani matki. Odpowiada mi spokojnym spojrzeniem — najwyraźniej dla niej to żadna nowina.

— Doskonałe małżeństwo — kontynuuje papa. Z jego głosu przebija podniecenie, które jednak trzyma na wodzy. — Najdoskonalsze, jakie mogłabyś sobie wymarzyć. Jedyne możliwe w obecnej sytuacji. Przypuszczam, że domyślasz się, o kim mowa?

Widząc moje zdumienie, wybucha wesołym śmiechem. Śmieje się nam wszystkim prosto w nos.

— No zgadnij — zachęca.

Zerkam na Izabelę. Przez moment myślę, że wrócimy do domu, pogodzimy się z Yorkami i zostanę żoną Ryszarda. Zaraz jednak zmieniam zdanie. Naburmuszona mina Jerzego mówi mi, że nie może o to chodzić. A więc o co?...

— Panie ojczy, ja... ja nie wiem — odpowiadam.

— Córko, wyjdiesz za księcia Edwarda Lancastera i zostaniesz następną królową Anglii.

Rozlega się brzęk, gdy Jerzy upuszcza nóż na ziemię. Zarówno on, jak i Izabela tkwią bez ruchu, jakby ktoś rzucił na nich zaklęcie, i wpatrują się niemo w pana ojca. Uświadamiam sobie, iż Jerzy łudził się — rozpaczliwie się łudził — że baronowa Sutcliffe rozpusza bezpodstawne pogłoski. Wygląda na to, że mówiła tylko częściową prawdę i że w rzeczywistości sytuacja przedstawia się gorzej, niż ktokolwiek z nas mógłby przypuszczać.

— Za syna złej królowej? — pytam dziecinnie.

Z nagłą opadają mnie wszystkie stare historie i strachy. Dorastając, uważałam Małgorzatę Andegaweńską za bestię, wilczycę, która przewodziła hordom dzikusów siejących zniszczenie, targaną ambicją i ciągnącą wszędzie ze sobą uśpionego króla, którego nic nie wzruszało, nawet gdy jego żona rozdzierała Anglię, mordowała mego dziada i mego stryja i usiłowała zamordować mego ojca, najpierw w kuchniach za pomocą różna, potem w pałacu już zwyczajnie, mieczem. Jednakże mój ojciec ją pokonał, on i Edward — nasz Edward — na zboczu, pośród zamieci śnieżnej, w najstraszniejszej bitwie, jaką widzieli Anglicy. Później, jakby sama była śnieżycą, rozwiąła się na wietrze i krwi i znalazła schronienie na lodowatej północy. Nasi ludzie pojмали jej męża i pozwolili mu śnić swoje sny w Tower, gdzie nie może nikomu uczynić krzywdy, lecz ona i jej syn, spółdzony w niewyjaśnionych okolicznościach przez matkę wilczycę i ojca śpiocha, zniknęli.

— Za księcia Edwarda Lancastera, syna Małgorzaty Andegaweńskiej — poprawia mnie pan ojciec sucho. — Oboje żyją teraz we Francji, gdzie udziela im wsparcia jej rodzic, René Andegaweński, będący królem Węgier, Majorki, Sardynii i Jerozolimy. Ją samą łączą więzy krwi z Ludwikiem Francuskim, który pomoże nam najechać Anglię. Pokonamy dynastię Yorków, uwolnimy króla Henryka z londyńskiej Tower, po czym zostaniesz wyniesiona do godności księżnej Walii. Król Henryk wespół ze mną będzie panował do swojej śmierci... Boże, chroń króla!... a potem będę doradzała tobie i księciu Edwardowi Lancasterowi, którzy zostaniecie nową parą monarszą. Twój syn, mój wnuk, zasiądzie na tronie Anglii, a może nawet Jerozolimy. Wyobrażasz to sobie?

Jerzy krztusi się, jakby wino zalewało mu płuca. Wszyscy obracamy się ku niemu. Parska i prycha, nie mogąc złapać tchu. Papa czeka, aż atak ustąpi, przyglądając się bez cienia współczucia.

— To niedogodność dla ciebie, Jerzy — przyznaje otwarcie. — Niemniej pozostaniesz drugi w kolejce do tronu po księciu Edwardzie i będziesz szwagrem króla Anglii. Nie zejdziesz na dalszy plan, zachowasz swą obecną pozycję, ale pozbędziemy się Riversów. Będziesz miał wielkie wpływy, czekają cię wspaniałe nagrody... — Papa kiwa mu przyjaźnie głową. Nawet nie patrzy na Izabelę, która swego czasu miała być królową Anglii, a teraz będzie musiała ustępować mi miejsca. — Dopilnuję, abyś zatrzymał swój tytuł i ziemię. Twoje położenie nie pogorszy się ani na jotę.

— Ale moje tak — zauważa cicho Izabela. — Właściwie już się pogorszyło. Straciłam dziecko na darmo.

Nikt nie reaguje. Zupełnie jakby stała się tak nieważna, że nikt nie musi reagować na jej słowa.

— A jeśli król wciąż śpi? — pytam. — W Tower, w Londynie? Jeśli nie zdołacie go dobudzić?

Papa wzrusza ramionami.

— To bez znaczenia. Czy śpi, czy nie, będę sprawował władzę w jego imieniu do czasu, aż książę Edward i — uśmiecha się do mnie — księżna Anna obejmą panowanie i zostaną koronowani.

— To oznacza przywrócenie dynastii Lancasterów! — woła Jerzy, zrywając się z miejsca. Ma małmazję na wargach, twarz poczerwieniałą z gniewu, cały aż się trzęsie. Izabela ostrożnie wyciąga rękę i dotyka jego zaciśniętej pięści. — Po tośmy się tyle trudzili, żeby przywrócić panowanie dynastii Lancasterów? Po tośmy tyle ryzykowali na lądzie i na morzu, żeby Lancasterowie byli znowu górą? Zdradziłem brata i opuściłem szeregi Yorków, żeby osadzić na tronie Lancastera?

— Lancasterowie mają silne prawo do tronu — rzecze lekko pan ojciec, przekreślając sojusz z Yorkami, który ukuli jego przodkowie i którego od dwóch pokoleń bronią wszyscy Neville'owie. — Natomiast pretensje twego brata nie mają uzasadnienia, skoro... jak sam twierdzisz... jest dzieckiem z nieprawego łoża.

— Okrzyknąłem go bękartem, aby utorować sobie drogę do tronu! — odpowiada zapalczywie Jerzy. — Walczyliśmy o panowanie dla mnie! Zmieszaliśmy Edwarda z błotem, aby wzmocnić moje prawo do tronu. Nigdy nie wypowiadaliśmy się przeciwko mojemu rodowi, nigdy nie rzucaliśmy pomówień na Yorków! Nie było mowy o tym, by ktoś inny został królem. Ja miałem nim być!



— Nie dało się tego zrobić — powiada papa z umiarkowanym żalem, jakby mówił o odległej w czasie batalii, która rozegrała się w jakimś obcym kraju, a nie w Anglii tej wiosny. — Dwa razy próbowaliśmy, jak wiesz. Edward okazał się zbyt silny, po jego stronie stanęło zbyt wiele ludzi. Lecz dzięki królowej Małgorzacie opowie się za nami połowa kraju, wszyscy starzy lancasterowie zgromadzą się wokół nas, cała szlachta, która nigdy nie przepadała za twoim bratem. Małgorzata Andegaweńska zawsze miała mocne poparcie na północy i w środkowej części Anglii. Jasper Tudor jest gwarantem lojalności Walii. Edward nie zdoła pokonać naszych sprzymierzonych sił.

Dziwnie się czuję, słysząc, że imię tej niewiasty jest wymieniane pośród sojuszników, a nie wrogów. Do niedawna miewałam o niej koszmary, a teraz proszę — zamieniła się w naszego poplecznika.

— Anno — pan ojciec zwraca się znów bezpośrednio do mnie — czeka cię wizyta u szwaczek. Pójdiesz z panią matką i Izabelą... jeśli zechce. Wszystkie dostaniecie nowe suknie z okazji zaręczyn.

— Moich zaręczyn? — pytam słabym głosem.

Papa uśmiecha się, jakby był przekonany, że mnie uszczęśliwia.

— Do zaręczyn dojdzie bezzwłocznie, a ślub odbędzie się, jak tylko uzyskamy dispensę od papieża.

— Bezzwłocznie?

— Tak, pojutrze.

## KATEDRA W ANGERS 25 LIPCA 1470 ROKU



Przy ołtarzu katedry stoją dwie milczące postacie, trzymające się za ręce i ślubujące sobie wierność. Blask słońca wpadający przez witraż za nimi rozświetla ich poważne twarze. Niewiasta i mężczyzna nachylają się ku sobie, jakby przyrzekali sobie nie tylko wierność do grobowej deski, ale również uczucie. Ściskają sobie wzajemnie dłonie, jakby chcieli się upewnić co do swojej obecności. Ktoś przyglądający się z boku mógłby pomyśleć, że to małżeństwo z miłości, przez tę intensywność spojrzeń i chętną postawę.

Tymczasem to zaprzysięgli wrogowie, mój ojciec i Małgorzata Andegaweńska, jedno obok drugiego. Składają sobie obietnicę przymierza: jej syn i jego córka własnymi ciałami przypieczętują śluby rodziców. Małgorzata Andegaweńska kładzie dłoń na drzazdze z Krzyża — tego prawdziwego, przywiezionego tu z Jerozolimy — i głosem tak czystym i wyraźnym, że słysząc go na drugim krańcu katedry, recytuje słowa przysięgi składanej memu ojcu. Potem zamieniają się rolami. Papa kładzie dłoń na drewnie, a ona nakrywa ją swoją, jakby chciała się upewnić, że wszystkie jego palce przylegają do kawałka Krzyża; jakby nawet teraz, w trakcie przysięgi mającej ich połączyć przymierzem, nie dowierzała mu do końca. Papa powtarza słowa przysięgi, po czym wymieniają pocałunek pojednania. Odtąd są sojusznikami, sojusznikami aż po grób, ponieważ złożyli uroczystą przysięgę w świątyni i nic nie może ich rozłączyć.

— Nie mogę tego zrobić — szepczę do Izabeli. — Nie mogę poślubić jej syna. Nie mogę być snechą złej królowej, śpiącego króla... A jeśli on jest tak szalony, jak mówią? Jeśli mnie zamorduje, każe ściąć, tak jak kazał ściąć tamtych dwóch wielmożów, którzy strzegli jego ojca? Słyszałam,

że to potwór o rękach splamionych krwią od dzieciństwa. Słyszałam, że zabija ludzi dla przyjemności. Co będzie, jeśli każe odrąbać mi głowę tak jak naszemu dziadowi?

— Ciii — odpowiada Izabela, ujmując moje zimne dłonie i rozcierając je delikatnie. — Zachowujesz się jak dziecko. Odwagi. Gdy to wszystko się skończy, będziesz księżną.

— Nie mogę być księżną dynastii Lancasterów!

— Możesz być — rzecze Izabela. — Musisz być.

— Powiedziałaś kiedyś, że twoim zdaniem papa wykorzystuje cię niczym pionka na szachownicy.

Wzrusza ramionami.

— Naprawdę tak powiedziałam?

— Tak. I jeszcze, że obawiasz się strącenia...

— Skoro masz zostać królową Anglii, nie musisz się obawiać strącenia — zauważyła przenikliwie. — J a k o przyszłą królową Anglii papa będzie cię kochał i otaczał opieką. Zawsze byłaś jego ulubienicą, teraz powinnaś się cieszyć, że jesteś osiã jego planów.

— Izabelo... — ściszam głos. — Ty byłaś osiã jego planów, a mimo to niemal postradałaś życie podczas sztormu.

Jej twarz wydaje się zielona w mdłym świetle zalegającym we wnętrzu katedry.

— Wiem... — odpowiada żałośnie.

Waham się, nie mając pojęcia, jak ją pocieszyć, i właśnie w tej chwili podchodzi do nas pani matka.

— Pozwól ze mną, Anno... Przedstawię cię jej wysokości królowej Małgorzacie.

Idę za panią matką długą nawą; witraże malują barwny kobierzec u mych stóp, czuję się przez to tak, jakbym deptała symbol słońca w splendorze. Dociera do mnie, że to już drugi raz pani matka wiedzie mnie przed oblicze królowej Anglii. Przy pierwszej okazji ujrzałam najcudowniejszą niewiastę, jaką kiedykolwiek widziały moje oczy. Przy tej — patrzę na najzacieklejszą. Królowa zauważyła, że zdążamy ku niej, i odwraca się, zamierając w oczekiwaniu („Niczym pajak w sieci”, myślę sobie), aż pokonam schodki prowadzące do ołtarza. Pani matka dyga głęboko, a ja idę w jej ślady. Gdy się prostuję, mam przed sobą niską pulchną niewiastę, wspaniale odzianą, w brokacie i złotogłowi, wysokim

spiczastym kornecie z welonem i złotym pasie spoczywającym nisko na jej szerokich biodrach.

Pyzate oblicze ma surowe, ładnie wykrojone wargi przypominające pączek róży zacięte.

— *Tu es Anne* — stwierdza po francusku.

Skłaniam głowę.

— Tak, wasza wysokość.

— Wyjdiesz za mego syna — przechodzi na angielski. — Będziesz moją córką.

Ponownie uginam karku. Jak widać, nie interesuje jej moje szczęście. Kiedy znów podnoszę na nią wzrok, twarz ma jaśniejącą z poczucia tryumfu.

— Anno, obecnie jesteś nikim, ale ja uczynię cię królową Anglii. Zasiądziesz na moim tronie i będziesz nosić moją koronę.

— Moja córka została wychowana do tej roli — wtrąca pani matka.

Małgorzata Andegaweńska nie zwraca na to najmniejszej uwagi. Robi krok naprzód i ujmuje mnie za obie dłonie, jak gdybym miała jej zaraz złożyć hołd lenny.

— Nauczę cię, jak być królową — rzecze cicho. — Nauczę cię wszystkiego, co wiem, o odwadze, o władzy. Mój syn będzie królem, lecz ty będziesz stać u jego boku, gotowa bronić jego korony z narażeniem własnego życia, będziesz taką królową, jaką ja byłam: zdolną do wydawania rozkazów, przewodzenia mężczyznom, zawierania i utrzymywania sojuszy. Kiedy przybyłam do Anglii, byłam młodą niewiastą niewiele starszą od ciebie, lecz bardzo szybko zrozumiałam, że aby utrzymać się na tronie, trzeba trwać przy mężu i walczyć, walczyć bez końca, Anno. Bez końca. Przekuję cię na angielski miecz, podobnie jak uczyniono to ze mną. Pokażę ci, jak stać się sztyletem ciętym na zdradę.

Słucham jej i myślę o koszmarze, jaki zesłała na Anglię za sprawą swych faworytów i swych ambicji. Przypominam sobie, jak pan ojciec twierdził, że król zapadł w trans, ponieważ nie był w stanie zdzierżyć na jawie życia z nią. Wspominam lata, gdy mój ojciec władał Anglią, a ta niewiasta biedowała w Szkocji, zbierając armię, która ostatecznie przekroczyła granicę i napadła na nas: bandę obdartusów, rabusiów, gwałcicieli i morderców, którzy parli przed siebie dopóty, dopóki cały kraj nie poprzysiągł, że nie chce na tronie tej królowej, i dopóki londyńczycy nie zamknęli przed nią

bram i nie poprosili Jakobiny Woodville, by kazała jej zabrać swą armię i wracać na północ, gdzie jej miejsce.

To, o czym myślę, musi znajdować odzwierciedlenie na mojej twarzy, gdyż królowa wybucha krótkim śmiechem i rzecze:

— Dzierlatkom łatwo kręcić nosem. Żebrakom łatwo mieć zasady. Lecz gdy jest się dojrzałą niewiastą i ma się syna, którego przeznaczeniem jest zasiadanie na tronie, gdy jest się królową i chce się zatrzymać koronę, człowiek jest gotowy na wszystko. Przekonasz się, że będziesz w stanie zabić, zabić niewiniątka, jeśli będzie trzeba. I wtedy podziękujesz mi za moje nauki. — Uśmiecha się do mnie nagle. — Jeśli będziesz zdolna uczynić wszystko, byle zachować koronę i męża na należnym mu miejscu, zrozumiesz, że zawdzięczasz tę zdolność mnie. Dopiero wtedy staniesz się w pełni moją córką.

Czuję do niej wstręt, czuję przeraźliwy strach. Nie śmiem wypowiedzieć ani słowa.

Małgorzata Andegaweńska odwraca się do ołtarza. Dostrzegam drobną postać stojącą obok mego ojca. Książę Edward. Nieopodal stoi biskup z mszałem otwartym na nabożeństwie ślubnym.

— Chodź — rzecze do mnie zła królowa. — Uczynj pierwszy krok. Ja pokieruję wszystkimi następnymi... — Ujmuje mnie za rękę i prowadzi do ołtarza.

Mam czternaście lat, jestem córką zdrajcy ukrywającego się na wygnaniu, ponieważ za jego głowę wyznaczono nagrodę. Zaraz zostanę zaręczona z chłopcem prawie trzy lata ode mnie starszym, synem najbardziej przerażającej niewiasty, jaką nosiła angielska ziemia. Dzięki mojemu małżeństwu pan ojciec przywróci tę wilczycę — jak ją nazywają — nieszczęsnej Anglii. Od tej chwili ja będę musiała nazywać tę bestię świekłą. Matką.

Oglądam się do tyłu, na Izabelę, która wydaje się taka odległa... W półmroku katedry widzę, że usiłuje posłać mi uśmiech pełen otuchy, lecz twarz ma bladą i napiętą, niezdolną uczynić najlżejszy grymas. Pamiętam, jak w swą noc poślubną powiedziała do mnie: „Anno, nie odchodź”. Samym ruchem warg mówię teraz to samo do niej, po czym odwracam się i robię krok w stronę ojca, aby spełnić jego wolę.

## AMBOISE, FRANCJA ZIMA 1470 ROKU



Nie potrafię uwierzyć, jakie życie mnie czeka. W chłodzie zimowych poranków budzę się obok Izabeli i leżąc nieruchomo, rozglądam się po kamiennych ścianach komnaty zawieszonych tapiseriami, które zdają się nijakie w słabym szarym świetle; muszę sobie przypominać, gdzie jestem, jak daleko zaszłam i co jeszcze czeka mnie w przyszłości. Zaraz jednak powtarzam sobie: pozostałam Anną Neville, córką hrabiego Warwick. Ale jestem zaręczona z Edwardem Lancasterem, jestem księżną Walii, póki żyje stary król, a w dniu jego śmierci zostanę królową Anglii...

— Znowu mamroczesz — złości się Izabela. — Mamroczesz jak jakaś wariatka. To żałosne. Zamknij się, słyszysz?

Zaciskam wargi, żeby żadne słowo więcej nie opuściło mych ust. Nabrałam tego zwyczaju i przestrzegam go niczym porannej mszy. Nie potrafię rozpocząć dnia bez litanii ostatnich zmian, które zaszły w moim życiu. Jak gdybym nie była w stanie uwierzyć, że naprawdę tu jestem, nie wypowiadając na głos swych oczekiwań, swych nadziei. Gdy otwieram oczy, widzę, że nadal znajduję się w jednej z najlepszych komnat pałacyku w Amboise. Gościmy pod bajkowym dachem człowieka, którego dotąd uważaliśmy za naszego największego wroga: Ludwika Francuskiego, obecnie naszego największego przyjaciela. Jestem narzeczoną syna złej królowej i śpiącego króla; muszę pamiętać, by zwracać się do niej per „pani matko”, a swego świekra nazywać królem Henrykiem. Izabela jednak nie zasiądzie na tronie Anglii, Jerzy nie włoży korony. Moja siostra będzie najpierwszą damą na mym dworze, ale to ja będę królową. Co najważniejsze, papa z marszu najechał Anglię i ruszył prosto na Londyn, gdzie uwolnił z Tower śpiącego króla — króla Henryka — i na oczach podda-

nych ogłosił ponownie panującym władcą, zwrócił ludowi, przywrócił na tron. Anglicy nie mieli nic przeciwko temu. Nie do wiary, że my tutaj, we Francji, świętujemy tryumf dynastii Lancasterów, powiadamy „my”, mając na myśli czerwoną różę; nie do wiary, że wszystko, co znałam, stanęło na głowie, naszych sojuszy nie wyłączając.

Królowa Elżbieta, z obawy że mogłaby się spotkać z otwartą wrogością papy, znowu poszukała schronienia w sanktuarium razem ze swoją matką i córkami, i nienarodzonym jeszcze dzieckiem, pozostawiona sama sobie przez męża. Teraz już nie ma znaczenia, czy urodzi chłopca czy dziewczynkę, czy też poroni, czego życzył jej Jerzy — jej syn i tak nigdy nie zasiądzie na tronie Anglii, albowiem dynastia Yorków upadła. Elżbieta ukrywa się w sanktuarium, a jej mąż — urodziwy i niegdyś wszechpotężny król Edward, nasz dawny przyjaciel, nasz dawny bohater — uciekł z kraju jak ostatni tchórz w towarzystwie swego wiernego brata Ryszarda i paru innych osób. Są gdzieś we Flandrii, drżą o swe życie i nie mają nic do roboty. Pan ojciec zamierza im wypowiedzieć wojnę w przyszłym roku. Wytropi ich i zabije jak zwykłych wyrzutków, którymi w gruncie rzeczy się stali.

Królowa, tak piękna w chwili tryumfu, tak nieprzejednana w chwili nienawiści, znalazła się w punkcie wyjścia. Znowu jest tylko ubogą wdową bez widoków na przyszłość. Powinien mnie cieszyć ten rewanż na niej za setki upokorzeń, które spotkały z jej strony mnie i Izabelę, wszakże z jakiegoś powodu nie potrafię jej wyrzucić z myśli, nieustannie się zastanawiam, czy zdoła przeżyć połów w trzewiach opactwa westminsterskiego i czy kiedykolwiek znów będzie wolna.

Papa podbił Anglię — wyraźnie odzyskał formę i tak jak kiedyś odnosi zwycięstwo za zwycięstwem. Jerzy wspiera go przez całą kampanię mimo pokusy zdrady na rzecz dynastii Yorków. Pan ojciec wywiązuje się ze wszystkich obietnic. Dołączę do niego już niedługo, zaraz po ślubie z księciem Edwardem, jak tylko uzyskamy dyspensę papieską potwierdzającą ważność naszych zaręczyn. Już jako małżonkowie popłyniemy do Anglii, gdzie zostaną proklamowana księżną Walii. Znajdę się pod skrzydłami królowej Małgorzaty Andegaweńskiej, przewodniczki i mentorki. Raz jeszcze odbierzemy gronostaje Elżbiecie, tylko że tym razem ozdobią one moje suknie.

— Zamknij się! — powtarza ostrzej Izabela. — Przestań mamrotać!

— Nie potrafię uwierzyć we własne szczęście. Nie pojmuję tego, co się dzieje — tłumaczę się siostrze. — Muszę mówić to sobie na głos, żeby wreszcie uwierzyć...

— Już wkrótce będziesz mamrotać w łóżnicy męża i wtedy zobaczysz, czy mu się spodoba wysłuchiwanie szeptów szalonej dziewczyny — rzecze z brutalną szczerością. — A ja nareszcie będę mogła się wyspać.

Słowa Izabeli zgodnie z jej zamiarem uciszają mnie natychmiast. Co dzień widuję swego przyszęłego małżonka, gdy popołudniami przychodzi do swej matki i gdy wieczorem udajemy się na wieczerzę. Biorą się za ręce, a ja stąпам za nimi. Małgorzata Andegaweńska kroczy pierwsza, ponieważ jest królową. Ja jestem tylko przyszęłą księżną. Edward jest ode mnie trzy lata starszy, może więc dlatego zachowuje się tak, jakby nie miał dla mnie czasu. Zapewne myślał o moim ojcu w podobny sposób jak ja o jego matce — z nienawiścią i przerażeniem — i być może przez to okazuje mi taką oziębłość. W każdym razie czuję, że jesteśmy sobie obcy, niemal wrodzy.

Edward ma po matce jasne, niemal ryże włosy. Ma jej pyzată twarz i małe zacięte usta. Jest zwinny i silny, od wczesnego dzieciństwa wdrażany do jazdy konnej i walki w polu, nie brak mu odwagi, co wiem stąd, że dobrze sobie radzi w szrankach. Był świadkiem niejednej bitwy, co bez wątpienia przyczyniło się do twardości jego serca, przez co nie można oczekiwać, by okazywał uczucie jakiegóś tam dziewczynie, do tego córce jego niedawnego wroga. Krąży plotka, że w wieku siedmiu lat rozkazał ściąć yorkistowskich rycerzy, którzy pilnowali jego ojca podczas bitwy. Nie wiem, czy to prawda. Może powinnam spytać kogoś z dworu jego matki, czy to do niego podobne, czy coś takiego w ogóle miało miejsce, czy mały chłopiec faktycznie beztrósco skazał na niezasłużoną śmierć prawych ludzi. Nie śmiem zapytać Małgorzaty Andegaweńskiej, czy faktycznie poprosiła swego siedmioletniego syna o wyznaczenie kary dla dwóch rycerzy. Tak naprawdę prawie wcale z nią nie rozmawiam.

Edward sprawia wrażenie wiecznie mającego się na baczności, oczy przesłania rzesami, na mnie prawie nie patrzy, często odwraca wzrok. Gdy ktoś go zagadnie, spuszcza spojrzenie, jakby sam sobie nie ufał. Swobodniej zachowuje się jedynie w obecności matki, tylko ona potrafi wywołać na jego twarzy uśmiech. Czasami myślę, że mają zaufanie wyłączenie do siebie nawzajem.



— Od maleńkości słyszał, jak ludzie odmawiają mu prawa **do tronu**, niektórzy nawet zaprzeczali, jakoby był synem króla — wyjaśnia nu Izabela. — Wielu twierdziło, że spłodził go ksiązę Somerset, faworyt królowej.

— Tę pogłoskę rozpuścił nasz dziad — przypominam jej — żeby zdyskredytować Małgorzatę Andegaweńską. Tak mi powiedziała. Właśnie dlatego zatknęła jego głowę na murach Yorku, jak mówi. Mówi też, że życie królowej to pasmo niekończących się obelg, przed którymi trzeba się bronić samej. I mówi jeszcze...

— Królowa powiedziała! Królowa mówi! — przedrzeźnia mnie Izabela. — Czyżbyś nikogo innego nie słuchała? Buzia ci się na jej temat nie zamyka, a przecież jeszcze niedawno prześladowały cię przez nią koszmary. Budziłaś się z krzykiem, że nadchodzi wilczyca, bałaś się, że schowała się w skrzyni w nogach naszego łóżka. Domagałaś się, żebym cię opatulała kołdrą i mocno trzymała, byle ona cię nie dopadła. Czy to nie dziwne, że teraz spijasz słowa z jej ust i jesteś narzeczoną jej syna, a o mnie całkiem zapomniałaś?!

— Nie wydaje mi się, aby Edward chciał zostać moim mężem — wyrzucam z siebie.

Izabela wzrusza ramionami. Mało co ją ostatnio interesuje.

— Bo pewnie nie chce — stwierdza. — Pewnie musi robić, jak mu każą, tak jak i my. Ale może wam ułoży się lepiej niż innym...

Bywa, że Edward przygląda mi się, gdy tańczę z dworkami, jednakże nie podziwia mej zgrabności, w jego oczach nie ma w ogóle ciepła. Patrzy na mnie tak, jakby mnie oceniał, jakby chciał mnie przeniknąć i zrozumieć. Jakbym była zagadką, którą trzeba rozwiązać. Dworki królowej wychwalają moją urodę: ponoć jestem uosobieniem piękna, istną królewną. Zachwycają się naturalną falistością moich kasztanowych włosów, błękitem oczu, dziewczęcą sylwetką i zdrowym kolorytem cery. On jednak nigdy nie powiedział nic, co by świadczyło, że mu się podobam.

Czasami wyprawiamy się na wspólne przejażdżki. Wtedy jedzie obok mnie, lecz nigdy się nie odzywa. Radzi sobie w siodle bardzo dobrze, równie dobrze jak Ryszard. Zerkam na niego z bliska i przekonuję się, że jest całkiem przystojny. Próbuję się do niego uśmiechać, zagajać rozmowę. Powinam być zadowolona, że pan ojciec wybrał mi na męża kogoś w zbliżonym do mnie wieku, w dodatku prezentującego się świetnie na

**koniu.** Księcia Walii, który w przyszłości obejmie panowanie w Anglii. Tylko że od Edwarda wionie chłodem...

Och, rozmawiamy ze sobą codziennie, lecz nie padają między nami żadne istotne słowa. Nigdy nic jesteśmy sami, zawsze jest przy nas jego matka, która — gdy nie dosłyszysz czegoś, co do niego powiedziałam — woła:

— O czym tam szepczesz, Anno?

Wtedy muszę powtórzyć głośniejszym głosem, na przykład:

— Właśnie pytałam jego księżęcą mość, czy w fosie są ryby.

Albo:

— Właśnie mówiłam jego księżęcą mości, że lubię pieczone pigwy.

Ileokroć mówię coś takiego, Małgorzata Andegaweńska uśmiecha się do syna z niedowierzaniem, że przyjdzie mu spędzić resztę życia z kimś tak niewymownie głupiutkim. Jej twarz nabiera ciepła pod wpływem rozbawienia i zdarza się, że Edward wybucha krótkim śmiechem. Patrzy na niego jak prawdziwa wilczyca na swe młode, z zacieklą zaborczością. Edward jest dla niej wszystkim; uczyniłaby dla niego wszystko. Co do mnie zaś... kupiła mu mnie, a poprzez mnie kupiła sobie jedyne dowódcę, który jest w stanie pokonać króla Edwarda Yorka — jego dawnego opiekuna, mężczyznę, który uczył go sztuki rycerskiej i wojaczki. Syn wilczycy, książę Edward, musi poślubić nudną śmiertelniczkę, gdyż tylko w ten sposób Lancasterowie odzyskają koronę Anglii. Tolerują mnie więc, gdyż jestem ceną, którą muszą zapłacić za usługi wielkiego dowódcy, Ryszarda Neville'a. Wszelako Małgorzata Andegaweńska zamierza mnie wyszkolić, abym była dobrą żoną dla jej syna, dobrą królową dla Anglii.

Opowiada mi o bitwach, które stoczyła w obronie korony swego męża — dziedzictwa Edwarda Lancastera. Mówi, że zhardziała i nauczyła się cieszyć ze śmierci swoich wrogów. Przekonuje mnie, że królowa powinna postrzegać każdą przeszkodę na swej drodze jako ofiarę.

— Opatrzność często dopuszcza przeżycie tylko jednej osoby: ciebie albo twojego wroga; twojego dziecka albo dziecka twojego wroga. Gdy stajesz przed takim wyborem, oczywiście przedkładasz swoje życie, swoją przyszłość, życie swojego dziecka ponad wszystko inne, i to bez względu na koszt.

Czasem spogląda na mnie z uśmiechem i rzece:

— Anna Neville, mała Anna Neville! Kto by pomyślał, że zostaniesz moją snechą, a twój ojciec będzie moim sprzymierzeńcem?

Jej słowa brzmią niemal identycznie jak moje szeptane mamrotanie. Przy którejś okazji odważam się zauważyć:

— Prawda, że to wprost nie do pomyślenia? Po tym wszystkim, co przeszliśmy...

Jej niebieskie oczy lodowacieją na tę moją impertynencję.

— Nie masz pojęcia o tym, co przeszliśmy. Bawiłaś się w komnacie dziecięcej i miałłaś zapewnioną ochronę zdrajcy, gdy ja walczyłam o własne życie, próbując zachować koronę pomimo przeciwności i wiarołomców. Widziałam, jak koło fortuny wznosi się i opada, czułam, jak miażdży mnie na proch. Ty nic nie widziałaś, nic nie wiesz...

Spuszczam głowę pod wpływem jej ostrego tonu, a Izabela, która siedzi obok, pochyla się lekko, dotykając mnie ramieniem dla okazania wsparcia, abym czuła mniejszy wstyd, odebrawszy reprimendę na oczach wszystkich dworek, w tym pani matki.

Kiedy indziej znów wzywa mnie do swej komnaty prywatnej, gdzie przekazuje mi wiedzę, którą jej zdaniem powinnam posiadać. Za którymś razem zastaję mapę królestwa rozłożoną na blacie.

— To... — rzecze, wygładzając płachtę dłonią — to zaiste cenna rzecz.

Patrzę na stół. Pan ojciec ma rozliczne mapy w swojej komnacie na zamku w Warwick, w tym jedną Anglii, ale mniejszą niż ta tutaj i ukazującą tylko środkową część kraju, to jest nasze rodzinne strony. Tymczasem mapa Małgorzaty Andegaweńskiej ukazuje południowe wybrzeże Anglii zwrócone ku Francji. Porty najbardziej na południu są wyrysowane starannie, lecz im dalej na zachód i północ, tym ryciny bardziej przypominają niewyraźne szkice. Na lądzie widnieją znaki mówiące, czy okolica jest w stanie wyżywić armię albo zaprowiantować flotę, natomiast na morzu, u wejścia do portów, są podane informacje na temat mielizn i ujść rzek.

— Tę mapę sporządził dla mnie Ryszard Woodville, baron Rivers, mój przyjaciel — rzecze, przykładając palec do wymyślnego podpisu. — Zrobił inspekcję południowych portów, kiedyśmy się obawiali, że twój ojciec dokona inwazji. Podówczas Jakobina Woodville była moją najdroższą przyjaciółką i dworką, a jej mąż był gotów mnie bronić za cenę własnego życia.

Zwieszam głowę ze wstydu. Ale taka jest prawda: mój ojciec był jej największym wrogiem. Nic więc dziwnego, że większość opowieści,

które od niej słyszę, sprowadzają się do wrogich działań przeciwko niemu.

— Tak... baron Rivers był moim najdroższym przyjacielem, a Jakobina była mi niczym siostra... — powtarza w zamyśleniu Małgorzata Andegaweńska, a ja nie śmiem nic powiedzieć.

Jakobina zmieniła barwy, tak jak wszyscy inni po klęsce Małgorzaty Andegaweńskiej, i dobrze na tym wyszła. Teraz jest matką królowej, jej wnuczki są księżniczkami, a nawet ma wnuka księcia — Elżbieta urodziła w sanktuarium chłopca i nadała mu imię Edwarda po ojcu, królu na wygnaniu. Jakobina Woodville i Małgorzata Andegaweńska rozstały się po bitwie pod Towton, gdzie pan ojciec odniósł zwycięstwo dla dynastii Yorków. Woodville'owie poddali się na polu walki i przeszli na drugą stronę, opuszczając szeregi lancasterów. Później Edward wziął sobie ich owdowiałą córkę za żonę. To wtedy postąpił samodzielnie, nie radząc się mego ojca; to wtedy popełnił swój pierwszy błąd; to był początek jego końca.

— Przebaczę Jakobinie — obwieszcza królowa. — Po przybyciu do Londynu spotkam się z nią i przebaczę jej. Zajmie miejsce u mego boku, znajdzie u mnie pocieszenie po straszliwej stracie... — Patrzy na mnie z wyrzutem. — Twój ojciec zamordował jej męża — przypomina mi niepotrzebnie — a ją oskarżył o uprawianie czarów.

Przełykam ciężko i mówię:

— Zarzuty zostały z niej zdjęte.

— Cóż, miejmy nadzieję, że Jakobina potrafi to docenić — rzuca sarkastycznie królowa. — Pierwsza dama królestwa i moja najdroższa przyjaciółka czarownica? — Potrząsa głową. — Co za nedorzecznosc!

Milczę. Ja też nigdy nie wierzyłam, że Jakobina uprawia czary.

— Wiesz, jak pokazać koło fortuny? — pyta mnie znienacka Małgorzata Andegaweńska.

Kręcę przecząco głową.

— A ja wiem od Jakobiny. Powiedziała mi, że zaznam życia na samym szczycie i upadnę bardzo nisko. Najwyraźniej teraz znów pnę się w górę. — Wyciąga palec wskazujący, jakby w coś celowała, po czym zatacza nim kółko w powietrzu. — Szczyt i upadek — rzecz. — Dobrze ci radzę: miej się na baczności, rosnąc w siłę. i niszczyć swoich wrogów, nawet tracąc wpływy.

Nareszcie, wskutek ponawianych prób, otrzymujemy dyspensę od papieża, dzięki czemu Edward i ja, dalecy kuzyni, możemy się pobrać. Odbywa się skromna uroczystość, po której nasze matki prowadzą mnie do łóża małżeńskiego. Świekra napawa mnie takim przerażeniem, że idę do komnaty sypialnej bez protestów, nie myśląc ani o księciu, ani o nocy poślubnej. Siadam sztywno w łóżu i czekam. Gdy Edward wchodzi, nie zwracam na niego większej uwagi, ponieważ nieprzerwanie wpatruję się w sępią twarz jego matki, gdy zdejmuje mu pelerynę z ramion i szeptem życzy dobrej nocy, po czym opuszcza komnatę. Wzdrygam się od tego, jak na niego patrzy — zupełnie jakby chciała zostać tutaj i przyglądać się nam...

Po wyjściu ostatniej osoby robi się bardzo cicho. Przypominam sobie, że zdaniem Izabeli noc poślubna jest straszna. Czekam, żeby Edward powiedział mi, co mam robić. On jednak milczy. Wchodzi do łóżka, sprawiając, że gruby materac z pierza ugina się po jego stronie, napinając sznurowe liny pod spodem. Drewno trzeszczy, ale Edward wciąż nic nie mówi.

— Nie wiem, co mam robić — odzywam się niezręcznie. — Przykro mi. Nikt mi nie powiedział. Pytałam siostrę, ale nie dostałam odpowiedzi. Panią matkę bałam się spytać...

Edward wzdycha, jakby miał przed sobą jeszcze jeden obowiązek nałożony na niego przez sojusz naszych rodziców.

— Nic nie masz robić — odburkuje. — Wystarczy, że będziesz leżeć.

— Ale...

— Leż i milcz — powtarza głośniej. — Najlepsze, co możesz zrobić w tej chwili, to milczeć. W żadnym razie nie przypominaj mi, kim jesteś. Nie potrafię znieść tej myśli... — Zanim skończy mówić, unosi się nade mną i opada całym ciężarem, równocześnie wdzierając się we mnie tak, jakby przesywał mnie sztyłem.

## PARYŻ BOŻE NARODZENIE 1470 ROKU



Król Francji, Ludwik XI, jest tak zadowolony z naszego ślubu, że zaprasza nas do Paryża na święta. Tańczę w pierwszej parze, siedzę po jego prawicy podczas uct. Oczy wszystkich są skierowane na mnie: córkę Twórcy Królów, która w przyszłości będzie królową Anglii.

Izabela kroczy za mną jak cień. Gdziekolwiek idziemy, podąża moim śladem, czasem schylając się, by uwolnić mój tren, który zaczepił się o próg albo zaplątał w wonne trociny. Usługuje mi bez uśmiechu na twarzy, przez co jej zazdrość i żal są widoczne dla każdego. Małgorzata Andegaweńska, którą odtąd nazywam panią matką, śmieje się z nadąsanej miny Izabeli, klepie mnie po rękę i powiada:

— Sama widzisz. Gdy niewiasta dociera na szczyt, staje się wrogiem reszty niewiast. Gdy walczy o to, by pozostać na szczycie, wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i niewiasty, pałają do niej nienawiścią. Pozieleniałe oblicze twojej siostry jest dowodem twego tryumfu.

Zerkam na bladą Izabelę.

— Ona nie pozieleniała...

— Mówię w przenośni — odpowiada ze śmiechem królowa. — Zresztą nieważne. Jutro już jej tu nie będzie.

— Jutro? — powtarzam. Odwracam się do Izabeli, która siedzi za mną w okiennej ambrazurze. — Wyjeżdżasz jutro?

Izabela jest równie zaskoczona jak ja.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— O, tak — wtrąca gładko królowa. — J e d z i e s z do Londynu, do męża. My podążymy wkrótce, z armią.

— Pani matka nic mi nie mówiła. — Izabela rzuca wyzwanie królowej.  
— Nie jestem gotowa do drogi.

— Możesz się spakować wieczorem — odpowiada królowa. — Tak czy owak wyruszysz już jutro.

— Proszę o wybaczenie — rzecze słabym głosem moja siostra, podnosi się na nogi i dyga przed królową, a następnie również przede mną, aczkolwiek dość zdawkowo.

Ja też dygam i wybiegam z komnaty. Widzę, że Izabela pędzi galerią w stronę naszych apartamentów. Doganiam ją przy jednym z cudnych wykuszowych okien.

— Izabelo!

— Nie podołam kolejnemu sztormowi! — napada na mnie. — Raczej się zabiję, niż wsiądę znów na statek!

Mimo wcześniejszej pewności siebie odruchowo przykładałam dłoń do brzucha, jakbym się bała, że i ja jestem brzemienna i moje dziecko również trafi do skrzynki, którą ktoś wrzuci do ciemnej, kłębiącej się wody, tak jak to było w wypadku Izabeli i jej pierworodnego.

— Nie wygłupiaj się — sarka Izabela. — Nie jesteś przy nadziei, a już na pewno nie jesteś bliska rozwiązania. Ale ja nie powinnam była wtedy płynąć. Powinnam była odmówić. A ty powinnaś była mi pomóc. Moje życie legło w gruzach, a ty... ty na to pozwoliłaś.

Kręcę głową.

— Izabelo, jakżebyś mogła odmówić papie? Ty też nie możesz mu odmówić...

— A zatem mam wrócić do Anglii, do niego i do męża, i zostawić cię tutaj? Z nią?

— Co innego można zrobić? — pytam smutno. — Co można powiedzieć?

— Nic — odpowiada z nagłą pasją. Odwraca się i odchodzi.

— Dokąd idziesz? — wołam za nią.

— Wydać polecenia służbie — rzuca przez ramię. — Panny dworskie muszą spakować moje rzeczy. Jeśli o mnie chodzi, mogą też zabrać całun. Nie dbam o to, czy tym razem pójdziemy na dno.

Król Ludwik Francuski oferuje ładniutki niewielki okręt handlowy, którym Izabela płynie do domu w towarzystwie paru dworak. Pani matka, królowa i ja stoimy na brzegu, by się z nią pożegnać.

— Nie mogę, naprawdę. Nie mogę płynąć sama... — w ostatniej chwili mówi na stronie Izabela.

— Twój ojciec życzy sobie, abyś była przy mężu — oznajmia pani matka twardo. — Domaga się twej obecności niezwłocznie.

— Sądziłam, że popłyniemy razem z Anną. Powinnam z nią zostać, pilnować jej manier. Jestem jej dworką, potrzebuje mnie...

— To prawda — potwierdzam.

— Teraz królowa decyduje o losach Anny, a Anna jest gwarantem dotrzymania przez królową umowy. Dzięki swej obecności tutaj, dzięki małżeństwu z księciem Edwardem. Nic więcej nie musi robić. Niepotrzebne jej niczyje rady, wystarczy, że będzie dawała posłuch królowej. Ale ty musisz popracować nad Jerzym — dodaje pani matka. — Musisz utrzymać go po naszej stronie, z dala od jego krewnych. Przechwytnij wszystkie wiadomości kierowane do niego, upewnij się, że dochowa wierności twemu ojcu. W razie czego przypomnij, że związał się przysięgą i z nim, i z tobą. My przypłyniemy w ciągu paru dni. Lecz nie masz się czego bać: twój ojciec święci tryumfy w Anglii.

Izabela łapie mnie za rękę.

— Och, dałabyś spokój! — irytuje się pani matka. — Przestań tak lgnąć do siostry. Spójrz na to tak... Będiesz w Londynie, z ojcem, spędzając miło czas w pałacu, podczas gdy my dopiero będziemy na wybrzeżu hrabstwa Dorset, zaczynając podróż do stolicy. Ty w Westminsterze, my w drodze...

Marynarze podnoszą jej skrzynie.

— Nie odchodź — szepczę. — Nie zostawiaj mnie samej ze złą królową i jej synem...

— Jakżebym mogła odmówić? — pyta. — Pamiętaj, żeby nie rozniewać żadnego z nich i robić, co ci każą. Zobaczymy się w Londynie. Wtedy już nic nas nie rozdzieli. — Uśmiecha się z trudem. — Pomyśl tylko, Anno... zostaniesz księżną Walii!

Uśmiech szybko gaśnie na jej twarzy. Przez chwilę patrzymy na siebie pustym wzrokiem.



— Muszę już iść — rzecze, widząc, że pani matka czyni niecierpliwy gest.

Wraz z naszą przyrodnią siostrą Małgorzatką i dwiema innymi dwor-  
kami rusza ku okrętowi. Ogląda się za siebie, stąpając po trapie, i macha  
mi ręką. Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek się przejmował tym, że Izabela  
źle znosi morskie podróże.

## HARFLEUR, FRANCJA MARZEC 1471 ROKU



Niesprzyjające wiatry więżą nas w zatoce, mimo że powinniśmy byli postawić żagle już przed ponad dwoma tygodniami. Moja świekra, Małgorzata Andegaweńska, niecierpliwi się coraz bardziej i co dzień rano wykłóca z kapitanami swojej floty. Wszyscy zapewniają, że skoro wiatr wiejący od morza zmusza nas do pozostania w porcie, to samo spotyka flotę króla Edwarda, stacjonującą nieopodal we Flandrii, i że jego okręty zamiast płynąć ku brzegom Anglii, stoją uwięzione między skałami jak my.

Albowiem okazało się, że król Edward nie marnował czasu na wygnaniu. Podczas gdy pan ojciec brał Anglię we władanie, uwalniał króla Henryka z londyńskiej Tower i powtórnie go koronował, przywracając do chwały lancasterskich wielmożów i ogłaszając ślub mój i księcia Edwarda, król wygnaniec zebrał o pieniądze, szukał okrętów i zbierał szemrane wojsko, by teraz tak jak my czekać na pomyślne wiatry, które przywiodą go do kraju. Wszyscy jęli go nagle popierać, gdy królowa Elżbieta za murami sanktuarium wydała na świat syna, i traktując to jako znak opatrności, namawiać do zakłócenia ładu, który zaprowadził w Anglii mój ojciec. Dlatego musimy dotrzeć do kraju, zanim on to uczyni, i wesprzeć siły pana ojca przeciwko inwazji planowanej przez Edwarda Yorka. Musimy przybić do brzegów Anglii przed nim samym, przed jego wiernym bratem Ryszardem, przed jego poplecznikami i przed jego armią. To konieczność, nie kwestia wyboru; tak po prostu trzeba. A jednak wiatr dmie od morza, jak na złość. Tkwimy przez to w porcie już szesnasty dzień; blada na twarzy królowa wyładowuje złość na swoich kapitanach, księżę chodzi z dłońmi zaciśniętymi w pięści i oboje patrzą na mnie tak, jakbym była balastem na pokładzie podczas ciężkiej przeprawy.

Małgorzata Andegaweńska żałuje pozostania we Francji do czasu mojego ślubu. Uważa, że powinniśmy byli wyruszyć od razu, równocześnie ze zwycięskimi siłami pana ojca. Gdybyśmy tak uczynili, teraz byłibyśmy w Londynie, odbierając od wielmożów hołdy lenne. Jednakże królowa nie ufała memu ojcu ani nie ufała mnie. Zwlekała, aż biskup pobłogosławi moje małżeństwo z jej synem, musiała bowiem dostać dowód na to, że papa się nie wycofa, przyszpilić mnie niczym piórko do kapelusza. Wyłącznie skonsumowane małżeństwo ich dzieci gwarantowało, że żadne z dwojga nie zdradzi. Co więcej, Małgorzata Andegaweńska skrycie pragnęła tej zwłoki. Chciała się przekonać, że papa rzeczywiście jest zdolny do podbicia Anglii, zanim ostatecznie zmarnowała swego syna na kogoś takiego jak ja. A teraz, ponieważ wyczekała do ostatniej chwili, by nabrać niezachwianej pewności, znajduje się po niewłaściwej stronie Kanału Angielskiego i musi czekać na pomyślne wiatry.

## HARFLEUR, FRANCJA 12 KWIETNIA 1471 ROKU



— Odpłyniemy jutro o świcie. — Małgorzata Andegaweńska rzuca mimochodem, przechodząc obok mnie i pani matki, gdy jak zwykle, jak co dzień, stoimy na przystani zapatrzone w morze. Od dwóch tygodni wszyscy robią tylko to: wbijają wzrok w horyzont i czekają, aż zmieni się wiatr, a może się uspokoi. — Kapitanowie zapewniają mnie, że wiatr ucichnie jeszcze tej nocy. Nawet jeśli tak się nie stanie, odpłyniemy. Nie możemy dłużej zwlekać.

Czekam, aż mój mąż powie jej, że nie wolno nam ryzykować przeprawy podczas sztormu, on jednak stoi milczący i z zaciętym wyrazem twarzy. Ma taką minę, jakby wolał się utopić, niż zmitrzyć choćby jeszcze jeden dzień.

— Dzięki temu będziemy mogli go przywitać, gdy wyląduje u naszych brzegów — podchwytuje książe Edward. — Jak tylko ten samozwaniec postawi stopę na piasku, poczuje na karku miecz i legnie u naszych stóp. Zatkniemy jego głowę na Moście Londyńskim.

— Nie powinniśmy stawiać żagli, jeśli wiatr nam nie sprzyja — odzywam się.

Mój mąż nie zmienia wyrazu twarzy.

— Pożeglujemy mimo wszystko — rzecze hardo.

Nazajutrz wiatr faktycznie cichnie, lecz fale wciąż się pienią i morze poza zatoką jest ciemnoszare i wzburzone, jakby szykował się sztorm. Mam złe przeczucie, jednakże nie mogę o nim nikomu powiedzieć, zresztą kto by mnie słuchał.

— Kiedy spotkamy się z papą? — pytam panią matkę.

Przywołuję na pamięć tryumfy, które święci pan ojciec po przeciwnej stronie Kanału Angielskiego, bo tylko to pozwala mi ze spokojem myśleć

o czekającej nas przeprawie. Tak bardzo chciałabym przy nim być... Pragnę, by wiedział, że wywiązałam się ze swojej części zadania, poślu-  
biłam księcia, którego mi znalazł, i oddałam mu się z własnej woli; nie  
protestowałam ani u ołtarza, ani w łożu. Mój mąż nadal nie rozmawia ze  
mną, tylko wypełnia obowiązki małżeńskie z sumiennością taką, jakbym  
była kłaczą, która musi się ożrebić. Uczyniłam wszystko, czego zażądał  
ode mnie pan ojciec, a nawet — nazywając złą królową „panią matką”  
i klękając po jej błogosławieństwo — robię więcej, niż ktokolwiek mógłby  
prosić. Jestem gotowa zasiąść na tronie, który dla mnie wywalczył. Jestem  
jego córką, jego dziedziczką, zrobię wszystko, nawet pokonam morze, które  
napawa mnie takim strachem, byle go nie zawieść. Stanę się królową taką  
jak Małgorzata Andegaweńska, z wolą prawdziwej wilczycy.

— Czy będzie na nas czekał na brzegu? — dopytuję.

— Zobaczymy się z nim w Londynie — odpowiada pani matka.

— Postarał się o to, abyśmy mogły godnie wkroczyć do stolicy. Poddani  
będą ci rzucać pod nogi kwitnące gałązki i płatki kwiatów, poeci będą  
wychwalać twe zalety, a król Henryk powita cię na schodach pałacu west-  
minsterskiego. Z okazji twego przybycia do stolicy będą procesje, żywe  
obrazy i fontanny tryskające winem. Nie martw się, twój ojciec o wszystkim  
pomyślał. W końcu jesteś ukoronowaniem jego ambicji. Zdobył to, o co  
walczył przez długie lata. Nareszcie zdobył dla siebie to, co wcześniej  
wywalczył dla innych. Gdy urodzisz syna, twój ojciec dopilnuje, aby ten  
chłopiec... Warwick... Neville... zasiadł na tronie Anglii. Zaiste jest Twórcą  
Królów, ty zaś będziesz matką króla...

— Mój syn, wnuk mego ojca, zostanie królem Anglii — powtarzam.  
Wciąż nie potrafię w to uwierzyć.

— Gwidon. — Pani matka wymienia imię założyciela naszego rodu.

— Ochrzczisz go imionami: Gwidon Ryszard, ale będzie znany jako książę  
Gwidon z dynastii Lancasterów i Warwicków.

Przerywa nam przenikliwy gwizd bosmana, który w ten sposób daje sy-  
gnał, że czas w drogę. Pani matka kiwa głową na stojące w pobliżu dworki.

— Wsiadajcie na pokład — mówi do nich. — Tam jest nasz statek.

— Zwracając się do mnie, dodaje: — Ty pożeglujesz z królową.

— Bez ciebie? — ogarnia mnie nagły strach. — Chyba nie zostawisz  
mnie samej, pani matko?

Kwituje moje obawy śmiechem.

— Chyba zdołasz przepłynąć Kanał Angielski bez trzymania za rączkę?  
— pyta. — Królowa udziela ci nauk na przyszłość. Jesteś w nią zapatrzona jak w obraz. Nie sądzę, aby którejs z was mnie brakowało...

— Ja... — Nie mogę jej powiedzieć, że bez niej i bez Izabeli czuję się opuszczona. Tytuł księżnej Walii to żadna pociecha, nauki udzielane przez szaleńczo ambitną niewiastę nie zastąpią troski okazywanej przez rodzoną matkę. Mam zaledwie czternaście lat, boję się wzburzonego morza, boję się własnego męża i jego zapalczywej matki. — Może jednak popłynęłybyśmy razem?...

— No dalej, nie mitręż — rzuca pani matka. — Idź do królowej i siedź u jej stóp jak małpka, przecież wiecznie to robisz.

To powiedziawszy, wstępuje na trap wiodący na jej statek i nawet się nie ogląda, jakby już o mnie zapomniała. **Śpieszno** jej dołączyć do małżonka, śpieszno jej do Londynu; chce zobaczyć papę tam, gdzie jego miejsce: po prawicy króla Anglii. Rozglądam się za swoim mężem, który spaceruje pod ramię z królową, zaśmiewając się z czegoś. Gestem nakazuje mi wejść na pokład, co czynię, trzymając się liny i ślizgając podszwami na wilgotnym drewnie. Okręt jest mały i słabo wyposażony, nie umywa się do flagowca papy. Krewniak Małgorzaty Andegaweńskiej, król Ludwik Francuski, podarował go z myślą o transporcie żołnierzy i koni, a nie o naszych wygodach. Wraz z dworkami królowej udaję się do wskazanej kajuty, gdzie wszystkie siadamy na prostych zydlach w ciasnej przestrzeni, pozostawiając jedyne krzesło dla królowej. Siedzimy w milczeniu. Czuję w nozdrzach zapach własnego strachu, mimo że mam na sobie świeżą suknię.

Właśnie dolatują nas okrzyki marynarzy, którzy rzucają cumy, gdy drzwi kajuty otwierają się z impetem i do środka wkracza królowa o obliczu jaśniejącym ekscytacją.

— Płyniemy! — woła. — Będziemy na miejscu przed Edwardem!  
- Śmieje się nerwowo. — To znaczy... musimy być przed nim, musimy zebrać oddziały, które stawią mu czoło w walce. Z pewnością też podnosi **żagle**, nie tracąc czasu, lecz my koniecznie musimy go wyprzedzić. Zaczął się wyścig i to my musimy wygrać.

## CERNE ABBEY, WEYMOUTH 15 KWIETNIA 1471 ROKU



Królowa siedzi pod baldachimem w wielkiej sali opactwa, książe Edward stoi za jej krzesłem, jakby był jej osobistym gwardzistą, trzymając dłoń na ramieniu matki i przybierając urodziwą twarz w wyraz powagi. Ja siedzę obok niej na mniejszym krześle — tak naprawdę na zydłu — jakbym była maskotką, która ma wszystkim przypominać, że w tym przedsięwzięciu bierze udział nazwisko i majątek Warwicków. Czekamy, aż lancasterscy wielmoże przywitają nas w kraju. Na pierwszy rzut oka musimy sprawiać wrażenie monolitu. Brakuje tylko mojej matki, ponieważ jej statek, podobnie jak kilka innych, przybił do wybrzeża Anglii kawałek dalej, w Southampton. Dołączycy do nas po krótkiej podróży łądem.

Wtem otwierają się podwójne drzwi na końcu sali i do środka wchodzi dwaj bracia Beaufortowie. Królowa powstaje, po czym najpierw podaje dłonie, a następnie policzek do ucałowania Edmundowi księciu Somerset, synowi mężczyzny, który jak głosi plotka, był jedyną miłością jej życia; w drugiej kolejności wita jego brata: Jana markiza Dorset. John Courtenay, hrabia Devonu, klęka przed nią. Ci mężczyźni byli jej lojalnymi sprzymierzeńcami, gdy zasiadała na tronie, i pozostali jej wierni, gdy przebywała na wygnaniu, a także pośpieszyli z pomocą mojemu ojcu.

Spodziewałam się, że wpadną radośni, pełni podniecenia, tymczasem wyglądają ponuro, a członkowie ich świty oraz inni wielmoże, którzy wysypali się wielkiej sali za nimi, również nie tryskają szczęściem. Na widok ich chmurnych obliczy zaczynam rozumieć, że wydarzyło się coś złego. Królowa w mgnieniu oka traci różany koloryt. Ekscytacja towarzysząca powitaniom opuszcza ją, pozostawiając cerę bladą, a minę kamienną.

A zatem Małgorzata Andegaweńska też już się domyśla, choć dalej wita kolejnych mężczyzn, do niektórych zwracając się po imieniu, innych wypytując o bliskich i przyjaciół. Nazbyt często muszą kręcić głową, jak gdyby nie byli w stanie wypowiedzieć na głos słów: „Nie żyje”... Ciekawi mnie, czy to jakaś świeża sprawa, czy doszło do ataku na stolicę, a może zasadzki po drodze. Nasi goście sprawiają wrażenie przepełnionych nowymi obawami, nową żałobą. Co tu się stało, kiedyśmy czekali we francuskim porcie? Co zaszło, kiedyśmy byli w morzu?

Królowa podejmuje decyzję, aby mieć to jak najszybciej za sobą, odwraca się zamasyście, z furkotem trenu, i zajmuje na powrót swoje miejsce na tronie. Splata dłonie na podołku, zaciska zęby. Widzę, że zbiera się na odwagę.

— Mówcie — rzuca krótko. — Wskazuje na swego syna i nawet na mnie. — Opowiedzcie nam wszystko.

— Yorkistowski samozwaniec, Edward, przybił do północnego wybrzeża przed miesiącem — zaczyna Edmund Beaufort.

— Przed miesiącem? To niemożliwe. Wiatr z pewnością zatrzymał go w porcie...

— Postawił żagle w samym środku sztormu i niemal zginął, tracąc z oczu większość swojej floty, lecz potem odnaleźli się na lądzie i ruszyli prosto na York, a potem na Londyn. Jak zwykle pomagała mu ta czarownica... Już to, że rozproszyli się na morzu, a potem odnaleźli, o tym świadczy...

Księżę Edward spogląda na matkę takim wzrokiem, jakby go zawiodła. Królowa powtarza:

— To niemożliwe. Warunki na morzu z pewnością zatrzymały go w porcie tak jak nas.

— Niestety nie.

Królowa czyni ręką nieznaczny gest, jakby chciała odepchnąć od siebie złe wiadomości. Mimo to pyta:

— A hrabia Warwick?

— Dochował ci wierności. Zwerbował ludzi i ruszył przeciwko Edwardowi. Wszelako został zdradzony.

— Kto zdradził? — To raczej prychnięcie rozżłoszczonej kotki niż pytanie.

Edmund Beaufort rzuca mi ukradkowe spojrzenie.



— Jerzy księżę Clarence zmienił barwy i przeszedł na stronę swojego starszego brata, samozwańca Edwarda. Środkowy brat, Ryszard, zbliżył ich znów do siebie. Pojednali się wszyscy trzej. Ponownie zajaśniały trzy słońca Yorków i armia Jerzego przeważała szalę na korzyść Edwarda. Każdy, kto popierał Jerzego, poszedł w jego ślady i udzielił poparcia Edwardowi. Nie ma już podziałów wśród Yorków.

Królowa wbija we mnie pałające spojrzenie, jakby cokolwiek z tego było moją winą.

— Twoja siostra Izabela! Posłaliśmy ją przodem, aby go pilnowała! Miała się postarać, żeby dotrzymał danego słowa!

— Wasza wysokość... — zaczynam i milknę. Wzruszam ramionami. Wiem, że Izabela nic nie mogła zrobić, skoro Jerzy zmienił zdanie.

— Ich drogi skrzyżowały się pod Barnet, nieopodal północnego traktu...

Zamieramy w milczeniu. Jest coś fascynującego w powolnym rozwijaniu się tej historii przed nami. Fascynującego i zarazem przerażającego. Muszę wbić sobie paznokcie w ciało, by nie zakrzyknąć: „Tak, tak, ale kto wygrał?!“.

— Mgła snuła się wszędzie, jakby chmury spadły z nieba nocą. Byli tacy, co twierdzili, że to sprawka tej czarownicy. Panowała tak zła widoczność, że żołnierze nie widzieli ręki wyciągniętej przed sobą. Nie było mowy o tym, aby cokolwiek zobaczyć. W każdym razie my nie widzieliśmy przeciwnika...

Czekamy, tak jak oni czekali na polu bitwy.

— Ale oni jakoś nas wypatrzyli. O świcie, gdy wyłonili się z mgły, byli znacznie bliżej, niż podejrzewaliśmy... praktycznie byli tuż-tuż. Przez całą noc czaili się w oparach mgły o rzut kamieniem od nas. Przez cały czas znali nasze pozycje, choć my poruszaliśmy się po omacku. Przez wiele godzin z rzędu celowaliśmy z armat ponad ich głowami. Starliśmy się w boju i już myśleliśmy, żeśmy górą, gdy wtem w ciągu dnia coś się zmieniło na polu walki i choć trzymaliśmy Edwarda w szachu, hrabia Oksfordu, nasz lojalny sojusznik, przełamał się przez jego linie, po czym straciwszy orientację we mgle, zawrócił w naszą stronę, a my... my uznaliśmy, że zdradził i rzucił się na nas. Niektórzy sądzili, że to posiłki Edwarda nadciągające gdzieś z tyłu, ponieważ jak wiadomo, to jego częsta taktyka. Tak czy owak wielu naszych złamało szyk i armia poszła w rozsypkę.

— W rozsypkę? — powtarza królowa, jakby nie z r o z u m i a ła . — W rozsypkę?

— Tysiące poległy. Ale reszta uciekła do Londynu. Edward zwyciężył.

— Edward zwyciężył?

Mężczyzna przykłęka na jedno kolano.

— Najjaśniejsza pani, z bólem serca muszę cię poinformować, że Edward odniósł zwycięstwo w pierwszym starciu. Pokonał twego dowódcę, hrabiego Warwick. Mimo to czuję pewność, że go pokonamy. Zgromadziliśmy znowu armię, oddziały są już w drodze.

Czekam. Spodziewam się, że królowa zaraz zapyta, gdzie jest mój ojciec, kiedy się pojawi z niedobitkami armii, którym udało się przeżyć. Tymczasem ona zwraca się do mnie.

— Zatem twoja Izabela nic dla nas nie uczyniła, mimo że posłaliśmy ją przodem, aby dołączyła do swego męża. Nie dopilnowała, by Jerzy dochował nam wierności — rzecze ze złościwością w głosie. — Zapamiętam to sobie. Ty też lepiej to zapamiętaj. Twoja siostra zdradziła cię, mnie, waszego ojca. Jest złą córką i złą siostrą oraz kiepską żoną. Pożałuje tego. Osobiście się postaram, by pożałowała dnia, w którym Jerzy zmienił zdanie.

— Papa — szepczę. — Czy papa już tu jedzie?

Dostrzegam, że Edmund Beaufort robi grymas i zerka pytająco na królową.

— Mój ojciec? — mówię głośniej. — Co z moim ojcem?

— Poległ — odpowiada cicho Beaufort. — Przykro mi.

— Poległ? — powtarzam głucho. — Hrabia Warwick nie żyje?

— Tak.

Królowa zaczyna się uśmiechać, jakby w tej informacji było coś zabawnego.

— Z ręki Edwarda? — pyta.

Mężczyzna skłania głowę, potakując.

Królowa nie wytrzymuje. Wybucho śmiechem i choć zaraz zasłania sobie dłońią usta, nie potrafi przestać się śmiać.

— Kto by pomyślał? — wyrzuca z siebie słowa. — Kto by zdołał przewidzieć coś takiego? Na Boga! Koło fortuny, zaiste... Hrabia Warwick zabity przez własnego protegowanego! Hrabia Warwick występujący przeciwko swoim ukochanym podopiecznym i ginący z ich ręki... Do

tego Edward z oboma braćmi u boku... znowu. Mimo naszych czynów i przysiąg... — Z wolna ustępuje i śmiech, i ten potok słów. — A mój mąż, król Henryk? — Zadaje następne pytanie, jakby mój ojciec nie zasługiwał na dłuższe zainteresowanie.

— Jak zginął? — dopytuję, jednakże nikt mi nie odpowiada.

— Co z moim mężem, królem? — powtarza zniecierpliwiona królowa.

— Jest bezpieczny w Londynie, za murami Tower. Znaleźli go po bitwie i zabrali spętanego.

— Jak się czuł? — pada szybko kolejne pytanie.

Edmund Beaufort poprawia się, jakby mu było niewygodnie.

— Śpiewał — mówi w końcu. — W swoim namiocie.

Syn obłąkanego króla i jego żona wymieniają spojrzenia.

— Czy mój ojciec poległ na polu bitwy? — domagam się odpowiedzi.

— Bracia Yorkowie zawrócili do Londynu w glorii chwały, lecz po odpoczynku i dozbrojeniu przyjdą tutaj — ostrzegają Beaufort. — Zapewne już słyszeli o twym przybyciu, wieści rozchodzą się bowiem szybko. Być może już maszerują w naszą stronę.

Królowa potrząsa głową.

— Och, na Boga! Gdybyśmy tylko przypłynęli rychlej!

— Nawet wtedy Jerzy książę Clarence mógłby zdradzić, a hrabia Warwick zginąć — tłumaczy jej spokojnie Beaufort. — Tymczasem teraz dzięki tobie, wasza wysokość, mamy posiłki, dopiero co przybyłe. Poza tym wielu poddanych myśli o przejściu na twoją stronę. Edward ruszał na wojnę i walczył już tyle razy... Wykorzystał wszystkie swoje atuty, zwołał wszystkich swoich przyjaciół, nie pozostał mu już nikt. Do tego ostatnio stoczył ciężką bitwę, stracił wielu żołnierzy, a ci, którzy przeżyli, mają dość. Miarka się przebrała. Tym lepiej dla nas.

— Twoim zdaniem jego armia zmierza tutaj?

Obecni w wielkiej sali goście potakują jak jeden mąż; chyba nikt w całej Anglii nie ma wątpliwości, że Edward York jest gotów postawić wszystko na jedną kartę.

— Do nas?

— Tak, najjaśniejsza pani — potwierdza Edmund Beaufort. — Pora się zbierać.

Królowa milczy przez chwilę, tylko jej pierś się porusza w górę i w dół, gdy bierze potężny oddech, a potem ręką kreśli kółko w powietrzu przed sobą.

— Koło fortuny... — mówi nieomal rozmarzonym tonem. — Tak jak przepowiedziała mi Jakobina. Jej zięć zamierza mnie zaatakować, po tym jak uśmiercił mego sprzymierzeńca. Jej córka i mój syn rywalizują o koronę Anglii. A my... my oddaliśmy się od siebie tak bardzo... Przypuszczam, że odtąd jesteśmy wrogami na śmierć i życie.

— Mój ojciec... — odzywam się ponownie.

— Zabrali jego ciało do Londynu — rzecze Beaufort c i c h o . — Edward przechwycił zwłoki twego ojca i twego stryja, markiza Montagu. Przykro mi. Zamierza je wystawić na widok publiczny, aby wszyscy wiedzieli, że nie żyją, a ich sprawa jest przegrana.

Zamykam oczy. Pamiętam głowę mojego dziada na murach Yorku zatkniętą tam przez tę królową. A teraz ciało mego nieżyjącego ojca zostanie wystawione w Londynie ku uciesze gawiedzi przez młodzieńca, którego papa kochał jak rodzonygo syna.

— Chcę do mojej matki — mówię. Odchrząkuję i powtarzam: — Chcę do mojej matki!

Królowa mnie ignoruje.

— Co doradzasz? — zwraca się do Edmunda Beauforta.

Obracam się do mego męża, młodego księcia.

— Chcę do swojej matki. Muszę jej powiedzieć. Muszę jej powiedzieć o śmierci papy. Muszę do niej pojechać. Muszę ją znaleźć...

Edward słucha słów Beauforta; na mnie nawet nie patrzy.

— Trzeba wyruszyć na północny zachód, dołączyć do Jaspera Tudora w Walii. I to natychmiast, by uprzedzić samozwańca. Gdy już się wzmocnimy o siły Tudora, wrócimy do Anglii i wypowiemy Edwardowi bitwę w miejscu przez nas wybranym. Najważniejsze jednak to zwerbować nowych ludzi.

— Mamy wyruszyć natychmiast?

— Jak tylko będziesz gotowa, najjaśniejsza pani. Musimy się śpieszyć. Edward jest znany ze swej szybkości, dlatego musimy go ubiec i trzymać się z przodu. Trzeba nam dotrzeć do Walii, zanim odetnie nam drogę.

Na moich oczach zachodzi w Małgorzacie Andegaweńskiej przemiana: nie jest już niewiastą, która wysłuchuje wieści i przestrog, jest królową, która szykuje się do przejścia dowodzenia nad swoją armią. W przeszłości nieraz wiodła żołnierzy do boju, nieraz stała na czele wojska. Teraz także bez trudu staje na wysokości zadania, nie okazując strachu.

— Już jestem gotowa! Wydaj rozkazy ludziom. Zdażyli zejść na ląd, najeść się i odpocząć. Nic nie stoi na przeszkodzie, by utworzyli armię. Każ dowódcom formować oddziały.

— Muszę zobaczyć się z matką — mówię jeszcze raz. — Wasza wysokość, muszę zobaczyć się z matką, która być może nie wie nic o śmierci swojego męża... Powinnam być przy niej. — Głos mi drży jak u małego dziecka. — Chcę do mojej matki! Mój ojciec nie żyje! Muszę być z matką...

W końcu zwraca na mnie uwagę. Nie odrywając spojrzenia od Edmunda Beauforta, pyta:

— Jakie wieści o hrabinie Warwick?

Jeden z jego ludzi występuje przed innymi i szepcze mu coś na ucho. Po chwili Beaufort odpowiada mi:

— Twoja matka została poinformowana o tym, że jej mąż poległ. Jej statek przybił do brzegu tu nieopodal i wszyscy, którzy byli na pokładzie, przyłączyli się do nas. Od nich to usłyszeliśmy, że do Southampton dotarły wieści o wyniku bitwy. Zatem twoja matka już o wszystkim wie.

Podnoszę się na nogi.

— Muszę się z nią zobaczyć. Proszę o wybaczenie...

— Hrabina Warwick nie zjawiła się razem ze swymi ludźmi.

Królowa cmoka z irytacji.

— Och, na miłość boską! Gdzie ona jest?

Mężczyzna znów mówi coś do Beauforta przyciszonym głosem.

— Poszukała schronienia w klasztorze w Beaulieu. Przesłała wiadomość, że nie będzie ci towarzyszyć. Zamierza wieść życie zakonne.

— Moja matka? — Nie jestem pewna, czy aby dobrze rozumiem. — W klasztorze w Beaulieu? — Przenoszę spojrzenie od Edmunda Beauforta, przez królową, do mego małżonka. — A co ja mam począć? Czy mnie też odstawicie do klasztoru?

Edward kręci głową.

— Nie. Nie ma na to czasu.

— Twoja matka cię opuściła — rzecze królowa. — Nie pojmujesz? Ukrywa się, by ratować własną skórę. Najwyraźniej uznała, że samozwaniec zwycięży, i woli nie być z nami, kiedy będziemy przegrywać. Nie pozostaje ci nic innego, jak pojechać z nami.

— Ja nie...

Naskakuje na mnie z twarzą pobielającą z gniewu.

— Zrozum, dziewczyno! Twój ojciec został pokonany, jego armia poszła w rozsypkę. Twoja siostra nie zdołała zatrzymać Jerzego po naszej stronie. Twoja matka chowa się za murami klasztoru. Wasze nazwisko nic nie znaczy, ty nic nie znaczysz. Nie masz przy sobie nikogo z rodziny. Pozwoliłam na twoje małżeństwo z moim synem, mając nadzieję, że Warwick pokona Edwarda, lecz to Edward pokonał jego. Sądziłam, że Ryszard Neville jest zdolny doprowadzić do zniszczenia dynastii Yorków... chyba nie na darmo zwano go Twórcą Królów!... jednakże jego protegowany wziął nad nim górę. Obietnice twego ojca przestały mieć jakąkolwiek wartość, on sam jest zimnym trupem. Twoja siostra zdradziła, a twoja matka stchórzyła, kiedy my wszyscy musimy walczyć o życie i przetrwanie. Jeśli chcesz wstąpić do klasztoru, droga wolna. Nie będę po tobie płakać. Jedź do Beaulieu i czekaj tam, aż przyjdą cię aresztować za zdradę. Czekaj na żołdaków Edwarda, którzy się zjawiają, by gwałcić zakonnice. Albo też ruszaj w drogę z nami, którzy mamy nadzieję na zwycięstwo.

Zaczynam się trząść pod tym jej nagłym atakiem.

— Decyzja należy do ciebie — dodaje jej syn obojętnie, jak gdybym nie była jego żoną związaną z nim przysięgą na wieki. — Zdołamy przydzielić ci kilkuosobową eskortę. W późniejszym czasie przeprowadzimy unieważnienie małżeństwa. A zatem czego chcesz?

Myślę o papie, który oddał życie, torując mi drogę do tronu, walcząc z armią, która wyłoniła się prosto z mgły. Myślę o pałacej go od zawsze ambicji, by jedna z jego córek włożyła angielską koronę, spłodziła następnego króla Anglii. Zrobił to dla mnie. Dla mnie się poświęcił. Zatem ja też muszę zrobić coś dla niego.

— Pojadę z wami — decyduję.

Wyruszamy w mozolny marsz, werbując ludzi na każdym postoju. Wciąż są tacy, co z chęcią zaciągają się pod nasze sztandary. Królowa cieszy się popularnością w zachodnich hrabstwach, a jej poplecznicy od dawna obiecywali, że przybije do tych brzegów i poprowadzi armię przeciwko Edwardowi Yorkowi. Kierujemy się na północny zachód. W Bristolu otrzymujemy wsparcie w postaci pieniędzy i dział; mieszkańcy wylegają tłumnie na ulice, przynosząc nam złote monety w czapkach. Posuwają-

cy się naszym śladem samozwaniec musi sobie radzić w okolicy, która nigdy nie przepadała za Yorkami. Dochodzą nas słuchy, że jest zdany sam na siebie, jego żołnierze są coraz bardziej zmęczeni, a odległość między naszymi armiami stopniowo się zwiększa. Zwiadowcy donoszą, że oddziały Yorków zwalniają i topnieją; szanse na to, że nas dogonią, są z każdą chwilą mniejsze. Małgorzata Andegaweńska raduje się i pod koniec długiego dnia jazdy zeskakuje z siodła niczym mała dziewczynka. Ja gramolę się na ziemię, czując ból we wszystkich kościach; pośladki i uda mam poobcierane do krwi.

Odpoczywamy tylko kilka godzin. Zasypiam wprost na ziemi, opatulona peleryną, i śnię o tym, że papa — obszedłszy ostrożnie strażę — zbliża się do mnie i mówi, że mogę już wracać do Calais, gdyż zła królowa i śpiący król zostali pokonani i nic już nie stoi na przeszkodzie, bym poszukała bezpiecznego schronienia za wysokimi murami twierdzy na brzegu morza. Budzę się z uśmiechem na twarzy i rozglądam za panem ojcem. Zaczął kropić deszcz, jestem zmarznięta i mam wilgotną suknię. Muszę wstać i wgramolić się z powrotem na nasiąkniętą wodą siodło, by pojechać dalej o pustym żołądku. Nikt nie chciał tracić czasu ani ryzykować rozpalenia ognia.

Poruszamy się szeroką doliną rzeki Severn; po wschodzie słońca bardzo szybko robi się gorąco, a na otwartej przestrzeni nie ma drzew i dającego wytchnienie cienia. Rozległe pola zdają się ciągnąć w nieskończoność, nie przecinają ich trakty z prawdziwego zdarzenia, tylko ścieżki z wyschniętego mułu, tak więc wierzchowce wzbijają w powietrze tumany kurzu, dławiące wszystkich, którzy jadą z tyłu. Konie pospuszczały łby i potykając się o kamienie, brną zrezygnowane przed siebie. Gdy docieramy do strumienia, ludzie pędzą ile sił w nogach, kładą się na brzuchach i starają zaspokoić pragnienie, zanim zwierzęta zapaskudzą wodę. Jakiś gwardzista przynosi mi pełny kubek, upijam łyk, lecz czuję w ustach nieświeży posmak; w dodatku wszędzie roi się od much, które pchają mi się do oczu i nosa. Mój wierzchowiec co rusz potrząsa łbem w obronie przed dokuczliwymi owadami, a ja bez końca przecieram dłonią twarz i szyję, czując rozgrzaną skórę, pot i takie zmęczenie, że najchętniej po prostu zsunęłabym się z siodła, jak czynią to niektórzy żołnierze, zaległa w rowie i pozwoliła armii się wyminąć, gdyż powoli zaczyna mi być wszystko jedno.

— Na drugi brzeg przejdziemy w Gloucester — postanawia królowa. — Wtedy naprawdę zostawimy samozwańca w tyle. Nie odważy się napaść na nas w Walii. Jak tylko pokonamy rzekę, będziemy bezpieczni. — Wybuchu krótkim, podnieconym śmiechem. — Co więcej, będziemy w pół drogi do zwycięstwa. Jasper Tudor zwerbuję dla mnie ludzi i wrócimy do Anglii, wbijając się niczym miecz w serce. — Dosłownie promienieje z radości i uśmiecha się nawet do mnie. — Tak wygląda życie królowej wojowniczkii — mówi mi. — Nie zapomnij tego. Bo czasami trzeba walczyć o to, co się słusznie należy. Czasami trzeba być gotowym na wszystko.

— Jestem zmęczona — wyrzucam z siebie.

Znowu się śmieje.

— To także postaraj się zapamiętać. Jeśli wygramy, już nigdy nie będziesz musiała wędrować z armią. Pozwól, by to zmęczenie, by ten ból wsiąknęły w twoją duszę. Przyrzeknij sobie, że już nigdy więcej nie będziesz walczyć o koronę. Że wygrasz raz na zawsze.

Zbliżamy się do Gloucester od południa i już z pewnej odległości widzimy, jak wielkie bramy miasta zamykają się przed nami. Przypominam sobie, jak papa raz opowiadał, że kiedyś londyńczycy zamknęli bramy przed tą królową i błagali ją, aby zabrała swoją armię dzikusów. Tutaj burmistrz wychodzi na blanki wieży bramnej i wykrzykuje przeprosiny, lecz ma rozkaz od samozwańca Edwarda — którego nazywa królem Edwardem — i zamierza się do niego zastosować. Nawet w trakcie marszu, nawet w trakcie zaciągu, nawet znużony i spragniony Edward nie zapomniał o wysłaniu ludzi przodem aż do Gloucester, dopominając się wywiązania ze złożonej przysięgi. Bezwiednie rozciągam wargi w uśmiechu. Nie kto inny, tylko mój ojciec nauczył Edwarda planowania i postrzegania wojny niczym partii szachów. Warwick miał w zwyczaju nie tylko zabezpieczyć sobie z wyprzedzeniem przeprawę przez rzekę, ale również uniemożliwić ją przeciwnikowi.

Somerset występuje na przód, aby się wykłócać, lecz z murów spogląda nań skierowana w dół lufa działa i burmistrz powtarza jeszcze raz rozkazy króla. Most wiodący na drugą stronę rzeki Severn znajduje się w zachodniej części miasta, stanowiąc przeciwległą bramę — można się do niego dostać wyłącznie przez Gloucester. A nie ma innej drogi na drugi brzeg niż most w Gloucester. Musimy po nim przejść. Somerset kusi pieniędzmi, laskami, wdzięcznością niewiasty, która niegdyś była królową Anglii



i będzie nią znów niebawem. Wszyscy widzimy, że burmistrz potrząsa przecząco głową. Wszyscy wiemy, że most leży w granicach miasta i że jeśli mieszkańcy nas nie wpuszczą, nie dostaniemy się na drugi brzeg rzeki Severn, przynajmniej nie tutaj. Nie zanosi się na to, by mieli nas wpuścić. Królowa zagryza wargi.

— Ruszamy dalej — wydaje krótki rozkaz.

Zabijam czas liczeniem kroków mojego konia. Pochylam się w siodle do przodu, aby ulżyć obolałym pośladowcom i udom. Wplątuję palce w grzywę wierzchowca i zaciskam zęby. Przed sobą widzę królową, jadącą z wyprostowanymi plecami, nieugiętą, niezmordowaną. Gdy zaczyna się robić ciemno, zapadam w otępienie ze zmęczenia, a potem — gdy na niebie są już gwiazdy, a koń powłóczy nogami — słyszę, jak Małgorzata Andegaweńska mówi:

— Pokonamy rzekę w Tewkesbury. Przez tamtejszy bród.

Koń staje, a ja wyciągam się na nim, przylegając twarzą do jego szyi. Nie czuję własnego ciała, nie dbam o to, gdzie jesteśmy. Słyszę, jak zwiaadowca rozmawia nagłym tonem z królową, Edmundem Beaufortem i młodym księciem. Dolatują mnie strzępki zdań... Edward jest tuż-tuż, depte nam po piętach, żaden śmiertelnik nie byłby w stanie tak szybko się poruszać, chyba sam diabeł...

Podnoszę głowę.

— Jakim cudem nas dogonił? — pytam. Nikt mi nie odpowiada.

Nie ma czasu na odpoczynek, nie możemy sobie pozwolić na utratę ani chwili. Ale nie możemy też pokonać brodu w ciemnościach — trzeba się poruszać od łachy do łachy, trzymając się płyczn. Nie sposób wkroczyć do zimnej, miejscami głębokiej wody po omacku. Czyli jednak się nie wymkniemy... Edward dopadnie nas na niewłaściwym brzegu rzeki, będziemy musieli stoczyć walkę tutaj, jak tylko wstanie świt. Nie wolno nam zapomnieć, że Edward potrafi błyskawicznie przegrupować swoich ludzi, przygotować się do bitwy pośród gęstego mroku, zwyciężyć we mgle, na śniegu. Ma przecież żonę czarownicę, która dla niego przywołuje gwizdnięciem wicher, wydycha mgłę, zamienia lodowatą nienawiść w śnieg. Musimy zewrzeć szyki, musimy się szykować do boju o poranku. Pomimo zmęczenia, pragnienia i głodu żołnierze muszą być gotowi do walki. Somerset wsiada na koń i zaczyna wydawać rozkazy, gdzie dowódcy mają rozstawić swoje oddziały. Większość pada z nóg ze zmęczenia tam,

gdzie kazano im stać; rzucają na ziemię tobołki i moment później już śpią. Nad wszystkimi górują ruiny starego zamku.

— My pojedziemy kawałek dalej — rzecze królowa.

Zwiadowca posłusznie ujmuje jej wierzchowca za uzdę, po czym prowadzi go w dół zbocza, nieco za miasto, do niewielkiego klasztoru, gdzie mamy spędzić noc. Wjeżdżamy na dziedziniec stajenny, ktoś pomaga mi zsiąść z siodła, lecz kolana uginają się pode mną. Czuję jeszcze, jak ktoś — chyba jałmużnik — na wpół prowadzi, na wpół niesie mnie na kwaterę, gdzie wreszcie mogę pograć się w nieświadomości na skromnym łożku zasłanym szorstką, ale czystą pościelą.

**TEWKESBURY,  
HRABSTWO GLOUCESTERSHIRE  
4 MAJA 1471 ROKU**



Jak tylko zaczyna świtać, zwiadowcy co godzinę przynoszą najświeższe wiadomości, jednakże trudno się rozeznąć, co właściwie się dzieje zaledwie o kilka mil od nas. Królowa przemierza tam i z powrotem niewielkie pomieszczenie klasztoru, które zajęła. Najpierw słyszymy, że armia samozwańca pokonuje wzgórze, podczas gdy nasze siły są rozlokowane korzystnie, w na wpół zrujnowanych murach starego zamku. Potem dochodzą nas sły chy, że wróg się zbliża: Ryszard księżę Gloucester na skrzydle, a Edward York w środku, mając u swego boku drugiego brata, Jerzego, zaś wiernego druha, Wilhelma Hastingsa, na tyłach, by bronił go przed ewentualną zasadzką.

Zastanawiam się, czy Izabela przyjechała z mężem i czy tkwi gdzieś w pobliżu, czekając na wieści z pola walki tak jak ja. Z pewnością krąży jej po głowie podobne myśli. Nieomal wyczuwam jej obecność, jej niepokój. Wyglądam przez okno klasztoru, jakbym się spodziewała, że ujrzę ją na drodze, zmierzającą ku mnie. Niepodobieństwem wydaje się to, że choć jesteśmy sobie tak bliskie, nie przebywamy razem. Królowa rzuca mi oziębłe spojrzenie, gdy dowiaduje się, że oddział Jerzego stanowi trzon nacierającej armii.

— Zdrajca — mówi pod nosem.

Zbywam to milczeniem. Nie potrafię zrozumieć, że moja siostra jest żoną zdrajcy, że w gruncie rzeczy jest moim wrogiem, że jej mąż usiłuje pozbawić życia mojego męża, że Izabela porzuciła sprawę, dla której zginął nasz ojciec. Nic z tego nie ma przecież sensu. Nie potrafię uwierzyć, że papa nie żyje. Nie potrafię uwierzyć, że moja matka mnie opuściła, a moja

siostra zdradziła. Nade wszystko jednak nie potrafię uwierzyć w to, że Izabela i ja nie jesteśmy razem, choć znajdujemy się o parę mil od siebie.

W końcu zwiadowcy przestają przynosić wiadomości. Nie mamy pojęcia, jak przedstawia się sytuacja. Wychodzimy do małego zielnika przy klasztorze, gdzie docierają straszne odgłosy wystrzałów armatnich, przypominające letnie grzmoty — nie możemy jednak wiedzieć, czy to nasi działonowi, dostrzegłszy emblematy białej róży, koszą je równo, czy raczej samozwańcowi udało się zaciągnąć armaty aż tutaj, z tak daleka, przy takiej prędkości marszu, i to on teraz celuje do naszych żołnierzy stojących na grzbiecie wzgórza.

— Książę Somerset jest doświadczonym dowódcą — oznajmia królowa. — Wie, co robić.

Żadna z nas nie mówi na głos tego, że hrabia Warwick choć był znacznie bardziej doświadczony i wygrał niemal wszystkie swoje bitwy, został pokonany przez młodego podopiecznego. Nareszcie naszych uszu dobiega tętent końskich kopyt i na dziedzińcu stajenny wpada jeździec w barwach Beaufortów. Biegniemy, by mu otworzyć bramę. Mężczyzna nie zeskakuje z siodła, nawet nie wprowadza wierzchowca za bramę, pozwalając mu drzeć ziemię i stawać dęba; sam ocieka potem i nie może złapać oddechu.

— Mości książę kazał mi pogalopować do was, najjaśniejsza pani, jeśli na moje oko zaczniemy przegrywać. No więc jestem. Musicie uciekać.

Małgorzata Andegaweńska rzuca się naprzód z zamiarem schwywania wodzy, lecz goniec opuszcza rękę z batem, zasłaniając się przed nią.

— Nie zostanę. Obiecałem, że was ostrzeżę, i dotrzymałem słowa. Ale teraz już jadę.

— Gdzie mości książę?

— U mknął z pola!

Zdumienie sprawia, że jej głos przybiera świdrujące tony.

— Książę Somerset umknął z pola?

— Zgadza się. Zmykał jak zając.

— A samozwaniec?

— Nadchodzi! — odkrzykuje mężczyzna, już zawracając konia i pędząc tam, skąd przyjechał, tak że iskry sypią się z podków.

— Musimy uciekać — rzecze głucho królowa.

Ta nagła wiadomość o klęsce poraża mnie do cna.

— Jesteś pewna? Nie chcesz zaczekać na księcia Edwarda? Być może ten człowiek się mylił...

— O, nie — odpowiada z goryczą. — Nie mam wątpliwości co do tego, co trzeba uczynić. Nie pierwszy raz jestem zmuszona uciekać po bitwie, ani też zapewne nie ostatni. Każ przyprowadzić konie. Ja pójdę po swoje rzeczy.

Biegnie ku budynkom, ja gnam do stajni, gdzie budzę starego stajennego i rozkazuję mu natychmiast siodłać nasze wierzchowce.

— Gwałtu, rety! — Starczy bezżębny uśmiech, który wykwita na jego twarzy, sprawia, że przybywa mu z tysiąc zmarszczek. — Co to, zrobiło się za gorąco dla młodej panienki? **Śpieszno** panience zmykać? A mnie się zdawało, że tylko czekacie, coby otrąbić zwycięstwo.

— Szykuj konie! — rzucam tylko.

Dobijam się do drzwiczek wiodących na stryszek stajni, gdzie odpoczywają dwaj gwardziści stanowiący naszą eskortę, i mówię im, że mają być raz-dwa gotowi do drogi. Potem biegnę za królową po pelerynę i rękawiczki. Podskakując najpierw na jednej, a potem na drugiej nodze, wzuwam w pośpiechu buty do jazdy konnej. Wypadam z powrotem na dziedziniec, z lewą rękawiczką na dłoni, a prawą wciąż w rękę, lecz zanim zdążę zakrzyknąć, by podprowadzono mi konia do kłoca, z którego się wespnę na grzbiet, zza bramy dolatuje donośny tętent i nagle na dziedzińcu pojawia się co najmniej pięćdziesięciu jeźdźców, pomiędzy którymi dostrzegam kruczoczarne kręcone włosy Ryszarda księcia Gloucester, towarzysza dziecięcych zabaw, podopiecznego papy i brata Edwarda Yorka. U jego boku, jak widzę, trwa Robert Brackenbury, niezmiennie lojalny. Gwardziści oddali już halabardy, teraz zdejmują kurty, najwyraźniej zadowoleni, że mogą zrzucić barwy Lancasterów, herb czerwonej róży i emblemat mego małżonka, księcia Edwarda, w postaci sylwetki łabędzia.

Ryszard podjeżdża na swym ogromnym siwku do kłoca drewna, na którym stoję jak jakaś męczennica, i ustawia się tak, jakby sądził, że wskoczę na siodło za niego, aby mógł mnie uwięzić niczym branekę. Wszelako oblicze ma nieskażone uśmiechem.

— Anno... — mówi na powitanie.

— Książno Anno — poprawiam go słabym głosem. — Zostałam księżną.

Ryszard ściąga nakrycie głowy.

— Księżno wdowo... — rzecze.

Znaczenie tych słów nie od razu do mnie dociera. Dopiero po chwili chwiję się jak od uderzenia, a on wyciąga rękę, by nie pozwolić mi upaść.

— Mój mąż zginął?

Ryszard potakuje skinieniem.

Rozglądam się w poszukiwaniu matki młodego Edwarda. Jeszcze nie wyszła z klasztoru. Jeszcze o niczym nie wie. Czuję się zdrętwiała z przerażenia. Jestem pewna, że Małgorzata Andegaweńska wyzionie ducha, gdy usłyszy, jaki los spotkał jej syna. Nie mam pojęcia, jak ja jej o tym powiem.

— Z czyjej ręki?

— Poległ w walce. Umarł z godnością, rycerską śmiercią. Moim obowiązkiem jest roztoczyć nad tobą opiekę na życzenie mego brata króla Edwarda.

Nachylam się ku siwkowi, kładę na jego grzywie dłoń w błagalnym geście i spoglądam prosto w łagodne piwne oczy Ryszarda.

— Na miłość boską, na miłość mego ojca, który cię kochał jak własnego syna, pozwól mi zobaczyć się z panią matką. Z tego co wiem, przebywa w klasztorze stojącym w miejscowości, która zwie się Beaulieu. Papa nie żyje. Pozwól mi być z moją matką. Tam stoi mój koń, pozwól mi go dosiąść i pojechać do niej...

Jego młodzieńcza twarz pozostaje poważna i zacięta, jakbyśmy byli sobie obcy, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział na oczy.

— Przykro mi, księżno wdowo. Moje rozkazy są jasne. Mam roztoczyć opiekę nad tobą i jej wysokością Małgorzatą Andegaweńską.

— A co z moim mężem?

— Zostanie pochowany tutaj. Obok setek, tysięcy innych.

— Muszę powiadomić jego matkę — odzywam się zdecydowanym tonem. — Powiedzieć, jak umarł. Co mam jej zatem rzec?

Ryszard ucieka spojrzeniem, jakby się obawiał popatrzeć mi prosto w oczy, co tylko potwierdza moje podejrzenia. Tak samo wyglądał, kiedy został na czymś przyłapany w domu.

— Ryszardzie! — ponaglam go.

— Że poległ w walce — powtarza.

— Kto go zabił? Ty? Czy Edward? A może Jerzy?

Trzej bracia ponownie stają za sobą murem.

— Poległ w walce. Umarł z godnością. Jego matka może być z niego dumna. Ty także możesz... A teraz już wskakuj na siodło, pora w drogę...

W tym momencie odrzwia klasztoru otwierają się ze skrzypnięciem i Ryszard przenosi spojrzenie na Małgorzatę Andegaweńską, która powoli schodzi po stopniach, wyłaniając się z mroku budynku w blask słońca. Pelerynę ma przerzuconą przez ramię, w wolnym ręku trzyma sakwę ze swymi rzeczami — gdyby się trochę pośpieszyła, odjechałybyśmy przed przybyciem oddziału. Na widok pół setki jeźdźców odszukuje mnie spojrzeniem, obrzuca wzrokiem ponurą twarz Ryszarda i natychmiast się domyśla, jakie wieści przywiózł. Bezwiednie wyciąga rękę, aby oprzeć się o framugę, lecz nie trafia i opuszcza dłoń na taką wysokość, na jakiej zwykła trzymać za rączkę syna, gdy wciąż była królową Anglii, a on pozostawał jej drogim jedynakiem.

— Co z mym synem, jego wysokością księciem Walii? — pyta, czepiając się tego tytułu, skoro już wie, że nigdy więcej nie uściśnie młodzieńczego ciała syna.

— Z żalem muszę przekazać, że Edward Westminster poległ w walce — rzecze Ryszard. — Mój brat, król Edward, zwyciężył. Twoi dowódcy zginęli bądź poddali się albo zbiegli z pola. Przesłano mnie, abym zabrał was do Londynu.

Zeskakuję z drewnianego kloca i ruszam ku niej z rozpostartymi ramionami, chcąc ją objąć, wszakże nawet mnie nie widzi. Bładniebieskie oczy ma twarde jak kamień.

— Nigdzie nie pojedę, znajdujemy się na święconej ziemi, w sanktuarium. Jestem księżniczką francuską i angielską królową, nie waż się mnie tknąć. Moja osoba jest uświęcona. Księżna wdowa pozostaje pod moją opieką. Pozostaniemy tutaj, dopóki nie zjawi się Edward, żeby paktować. Do tego czasu nie będę z nikim rozmawiać.

Ryszard ma osiemnaście lat, urodził się najmłodszym synem księcia Yorku. Małgorzata Andegaweńska nie tylko jest od niego dwakroć starsza, ale przyszła na świat w rodzinie królewskiej i przez ponad połowę życia była królową Anglii. Pod twardym spojrzeniem jej oczu Ryszard spuszcza wzrok. Wtedy Małgorzata okręca się na pięcie i pstryknięciem palców daje mi znak, że powinnam wejść za nią do budynku. Posłusznie idę w jej ślady, mając świadomość, że Ryszard patrzy za mną, i zastanawiając się, czy uda nam się wygrać w tej potyczce prestiżu z potęgą.

— Wasza wysokość — odzywa się cicho Ryszard — wsiądziesz na konia i pojedziesz ze mną do Londynu z własnej woli albo każę cię związać, zakneblować i wrzucić do powozu.

Małgorzata Andegaweńska odwraca się gwałtownie.

— Poszukałam schronienia w sanktuarium! Ile razy mam powtarzać? Tutaj nie możesz mnie tknąć!

Oblicze Ryszarda chmurnieje jeszcze bardziej.

— W chwili gdy rozmawiamy, nasi żołnierze wyciągają wrogów z opactwa w Tewkesbury i podrzynają im gardła wprost na kościelnym dziedzińcu. — Mówi, nie podnosząc głosu, nie okazując wstydu. — Dla zdrajców nie ma miejsca w sanktuarium. Takie ustanowiliśmy nowe zasady. Powinnaś dziękować Bogu, że Edward pragnie cię mieć za tło swego tryumfalnego wjazdu do stolicy, gdyż w przeciwnym razie już leżałabyś w piachu, a z twego karku sterczałby trzonek topora.

W okamgnieniu zmienia taktykę wobec niego, zbiega ze stopni i przykładła dłoń do wodzy. Zwraca ku niemu miłą, przyjazną twarz.

— Jesteś jeszcze młody... — mówi łagodnie. — Potrafisz walczyć, potrafisz dowodzić, ale... póki żyje Edward, póty będziesz nikim: wiecznie najmłodszym bratem, po nim i po Jerzym. Przejdź na moją stronę, a wyznaczę cię na swego dziedzica, pomóż nam stąd uciec, a wydam za ciebie księżną Annę, obwołam cię księciem Walii, następcą tronu. Zwróc mi koronę, a dostaniesz ode mnie cały majątek Neville'ów, a w końcu zasiądziesz na tronie mego męża.

Ryszard wybucha głośnym śmiechem. Śmieje się długo i szczerze, co stanowi pierwszy od dość dawna przyjemny dla ucha dźwięk w tym miejscu. Potrząsa głową, nie mogąc się nadziwić jej uporowi i temu, że do ostatka odmawia przyznania się do przegranej.

— Wasza wysokość, urodziłem się Yorkiem... Moje motto brzmi: „Loyaute me lie”. Jestem wierny bratu i samemu sobie. Niczego nie cenię wyżej niż honoru. I prędzej oddałbym koronę Anglii wilkowi niż tobie.

Przez moment nic się nie dzieje. Jednakże Małgorzata Andegaweńska musi słyszeć potwierdzenie swej klęski w echu słów Ryszarda Yorka, ponieważ w końcu opuszcza ręce i odwraca się. Przykłada dłoń do serca, a ja wiem, że wspomina ukochanego syna, którego spuścizną przed chwilą frymarczyła w swej ostatniej desperackiej próbie.

Ryszard spogląda na mnie ponad jej głową.



— A co do księżnej wdowy i mnie, mamy własne plany — oświadcza, zadziwiając mnie do głębi.

Mija mnóstwo czasu, zanim królowa będzie gotowa. Wiem, że godzinami klęczy przed krucyfiksem, w milczeniu opłakując syna; błaga zakonnice, aby odmawiały mszę za jego duszę, odnalazły ciało, jeśli to tylko możliwe, obmyły je, owinęły całunem i złożyły w ziemi z honorami należnymi księciu. Zmusza mnie, abym zażądała od Ryszarda wydania zwłok — gdy to robię, słyszę w odpowiedzi, że książe zostanie pochowany na terenie opactwa w Tewkesbury, gdy żołnierze doczyszczą posadzkę z krwi i kościół zostanie na nowo poświęcony. Yorkowie splamili świątynię krwią lancasterskich męczenników i teraz mój mąż musi spocząć pod skrwawioną kamienną podłogą. Co znamienne, Tewkesbury należy do Neville'ów od pokoleń, a tutejszy kościół jest miejscem ich wiecznego spoczynku. Toteż tak się składa, że mój młody małżonek zostanie złożony do grobu u boku mych przodków, w zaszczytnej krypcie pod stopniami prezbiterium, a jego kamień nagrobny będzie się kapał w blasku światła słonecznego przenikającego przez nasze witraże.

Królowa każe przetrząsnąć klasztor w poszukiwaniu dwu sukien utrzymanych w bieli — czyli w barwie żałoby na francuskim dworze. Do tego wkłada białą podwikę i biały kornet, przez co jej twarz zdaje się pozbawiona wszelkiego koloru, a ona sama rzeczywiście przypomina królową lodu, jak niegdyś ją nazywano. Ryszard trzykrotnie posyła kogoś pod drzwi jej komnaty z żądaniem, by wreszcie wyszła, i po trzykroć dostaje odmowną odpowiedź. Koniec końców jednak Małgorzacie Andegawieńskiej braknie wymówek.

— Chodź — rzuca do mnie. — Pojedziemy z nimi, ale jeśli zechcą nas związać, sprzeciwiemy się stanowczo. Bierz przykład ze mnie i słuchaj mnie we wszystkim. Nie waż się otworzyć ust, jeśli nie dam ci wyraźnej zgody.

— Pytałam go, czy mogę zobaczyć się z matką — mówię.

Obdarza mnie twardym spojrzeniem.

— Głupiaś! — syczy. — Mój syn nie żyje, wdowa po nim musi zapłacić należną cenę. Mój Edward nie żyje, a ty jesteś zhańbiona.

— Mogłabyś poprosić w moim imieniu...

— Dlaczego miałabym cokolwiek dla ciebie robić? Mój syn nie żyje, moja armia jest rozgromiona, wszystko, o co walczyłam, przypadło. Będzie lepiej, jeśli zabiorę cię ze sobą do Londynu. Samozwaniec rychelej udzieli nam łaski, widząc przed sobą dwie niewiasty pogrążone w żałobie.

Idę za nią na dziedziniec. Nie mogę odmówić jej racji, poza tym nie bardzo mam co ze sobą zrobić. Eskorta już czeka, Ryszard dosiada siwka na uboczu. Ma poczerwieniałą z gniewu twarz i drży z upokorzenia na to opóźnienie; odruchowo zaciska dłoń na rękojeści miecza.

Małgorzata Andegaweńska spogląda nań przelotnie, jakby był upartym pachółkiem, którego fochy są jej obojętne.

— Jestem gotowa — oświadcza. — Możesz jechać przodem. Księżna wdowa będzie się trzymać mego boku. Eskorta pojedzie z tyłu. Nie życzę sobie tłoku.

Ryszard kiwa krótko głową. Królowa pierwsza dosiada wierzchowca, po czym podprowadzają mego. Wskakuję na siodło, a jedna ze starszych zakonnice poprawia mi skraj pożyczonej białej sukni, tak aby równo opadał po obu stronach, zakrywając moje znoszone buty. Zadzierając głowę, szepcze:

— Powodzenia, księżno. Jedźcie z Bogiem i dotrzyjcie bezpiecznie do kresu podróży. Niech dobry Pan Bóg ma cię w swojej opiece, biedactwo... ledwieś dzieckiem w okrutnym świecie.

Ten przejaw dobroci spada na mnie tak znieca, tak nieoczekiwanie, że do oczu napływają mi łzy i muszę kilkakrotnie zamrużyć, aby je przepędzić.

— Wymarsz! — woła Ryszard księżę Gloucester. Kiwa na królową.

Gwardziści zajmują swoje miejsca przed nią, za nią i po obu jej stronach, na co królowa wyraźnie chce zaprotestować, lecz Robert Brackenbury nachyla się i wyjąwszy wodze z jej rąk, pociąga za sobą wierzchowca. Po chwili ze stukotem podków przechodzą pod łukiem bramy. Zbieram wodze i uderzam boki mego konia piętami, aby ruszyć za nimi, jednakże Ryszard ustawia swego siwka między kawalkadą a mną, po czym także się nachyla i kładzie rękę w rękawicy na moich złączonych drobnych dłoniach.

— O co chodzi?

— Ty z nią nie pojedziesz.

Królowa odwraca się, by rzucić mi spojrzenie. Gwardziści zwarli szyki wokół niej, tak więc nie słyszę jej głosu, choć widzę, że woła moje imię. Wyrwam mu się i mówię:

— Daj spokój, Ryszardzie. Nie wymyślaj. Muszę być przy niej. Kazała mi.

— Właśnie że nie musisz — sprzeciwia się. — Nie zostałam aresztowana tak jak ona. Nie trafisz do Tower tak jak ona. Twój mąż nie żyje, nie należysz już do rodu Lancasterów. Znowu jesteś Neville'ówną. Masz wybór.

— Anno! — słyszę krzyk królowej. — Chodź tu zaraz!

Macham do niej i ruchem brody pokazuję, że Ryszard trzyma moje wodze. Królowa chce przedrzeć się przez kordon, lecz gwardziści znają się na rzeczy i zmuszają ją do ruszenia naprzód. Moment później na trakcie unosi się chmura kurzu wzniesionego końskimi kopytami. Oddalający się orszak przypomina stłoczone stadko łabędzi odpływających w siną dal. Małgorzata Andegaweńska, zła królowa, moja świekra, udaje się do Londynu beze mnie.

— Muszę jej towarzyszyć, jestem jej snechą — nalegam. — Przysięgałam jej wierność, muszę służyć jej poleceń.

— Ona zmierza do Tower — rzecze z prostotą Ryszard — gdzie dołączy do swego pogrążonego we śnie małżonka. Jej życie właśnie się skończyło, jej syn i dziedzic zginął, ich sprawa jest przegrana.

Potrząsam głową. Zbyt wiele się ostatnio wydarzyło; zbyt wiele i zbyt szybko.

— Jak on umarł?

— To bez znaczenia. Liczy się to, co będzie z tobą.

Spoglądam na niego, czując, że opuszczają mnie resztki woli.

— Ryszardzie, nic już nie wiem...

Nie reaguje w żaden sposób. Tego dnia naoglądał się takich potworności, że moje łzy go nie wzruszają.

— Zatem twierdzisz, że nie powinnam jechać z królową?

— Nie powinnaś.

— A czy mogę zobaczyć się z panią matką?

— Nie. Poza tym czeka ją proces o zdradę.

— Nie mogłabym więc zostać tutaj?

— Nie.

— W takim razie co mam zrobić?

Uśmiecha się, jak gdybym nareszcie zrozumiała, że muszę się go radzić, że tak naprawdę wcale nie jestem wolna. Stałam się pionkiem w rękach innego gracza. Rozpoczęła się nowa rozgrywka i Ryszard właśnie zamierza wykonać swój ruch.

— Pojedziesz ze mną do swej siostry Izabeli.

## WORCESTER MAJ 1471 ROKU



Naturalnie Izabela jest teraz górą. Izabela należy do dynastii Yorków jako wierna żona przystojnego brata króla Edwarda. Izabela dzieli łożnicę ze zwycięzcą spod Barnet, spod Tewkesbury. Jej mąż Jerzy jest następnym w kolejce do tronu po nowo narodzonym synu Edwarda i Elżbiety — od największych zaszczytów dzieli go tylko dwa uderzenia serca, rzecz by można. Gdyby Edward zginął, robiąc porządek w królestwie, gdyby nie przeżył jego syn — a królowa i jej dzieci nadal są pod oblężeniem w Tower, gdyż wielmoże lojalni wobec Lancasterów przypuścili jeszcze jeden straceńczy atak — wówczas królem Anglii zostałby Jerzy, a Izabela nareszcie spełniłaby ambicje naszego ojca i własne, dopełniając swego przeznaczenia. Przypuszczam, że dzięki temu śmierć papy nie poszłaby na marne. Jego córka zasiadałaby na tronie Anglii. Nie byłabym to ja, tylko Izabela. Ale papie to by nie przeszkadzało. Nie dbał o to, która z nas włoży koronę, byle była to Neville'ówna.

Izabela wita mnie w swej komnacie prywatnej, otoczona przez najbliższe dworki. Żadnej z nich nie znam. Czuję się jak na spotkaniu z obcą osobą, i to w niezręcznych okolicznościach. Wchodzę do środka i dygam; moja siostra przechyla lekko głowę.

— Izabelo.

Chyba ogłuchła, gdy znalazła się na szczycie. Nic nie mówi, wyłącznie patrzy na mnie.

— Izabelo — powtarzam natarczywiej.

— Jak mogłaś zrobić coś takiego? — wyrzuca z siebie. — Jak mogłaś się z nią skumać i napaść na nas? Jak mogłaś, Anno? Od początku byłaś skazana na klęskę, na pohańbienie albo nawet śmierć.

Przez moment jestem tak zdumiona, jakby mówiła w obcym języku. Ale widząc pilnie przysłuchujące się nam damy dworu, pojmuję, że odgrywamy przedstawienie na użytek dynastii Yorków. Stanowimy żywy obraz przedstawiający Lojalność i Skrucę. Moja siostra wcieliła się w Lojalność; mnie przypadła rola Skrucy.

— Siostró, nie miałam wyboru — odpowiadam cicho. — Pan ojciec ułożył moje małżeństwo z synem Małgorzaty Andegaweńskiej, która z kolei rozkazała mi udać się razem z nimi. Z pewnością pamiętasz, że nie paliłam się do ślubu, wymógł go na mnie papa. Jak tylko przybiliśmy do brzegów Anglii, zażądałam spotkania z panią matką. Mam na to świadków.

Sądziłam, że wzmianka o naszej matce przebywającej w sanktuarium zmiękczy serce Izabeli, lecz okazuje się, że się myliłam. Oblicze mojej siostry ciemnieje z gniewu.

— Nasza matka została oskarżona o zdradę. Stracił ziemie i majątki. Wiedziała o spisku przeciwko królowi Edwardowi i nie uczyniła nic, aby go ostrzec. Zdradziła — wydaje wyrok.

Jeśli naszej matce wszystko odbiorą, my dwie zostaniemy pozbawione naszego dziedzictwa. Wszystko, co posiadał papa, przepadło na polu bitwy. Pozostał tylko majątek pani matki. Niemożliwe, aby Izabela chciała to odrzucić, uczynić się żebraczką. Ślę jej zaniepokojone spojrzenie.

— Pani matka zawiniła tylko posłuszeństwem okazywanym swojemu mężowi — mówię.

Izabela marszczy brwi.

— Nasz ojciec zdradził swego króla i przyjaciela. Nasza matka zawiniła na równi z nim. Zdamy się na łaskę i mądrość Edwarda. Boże, chroń króla!

— Boże, chroń króla! — powtarzam.

Izabela gestem odprawia dworki, po czym zaprasza mnie, abym usiadła obok niej. Opadam na niski zydeł i czekam, aż powie mi, co mam robić, co to wszystko znaczy. Czuję się tak zmęczona, tak znużona ostatnimi wydarzeniami, że mogłabym złożyć głowę na jej kolanach jak w czasach dzieciństwa i pozwolić się ukołysać do snu.

— Izabelo — zaczynam z nieszczęśliwą miną. — Nie mam już sił. Co my teraz poczniemy?

— Dla pani matki nic nie możemy zrobić — odpowiada cichym głosem.

- Sama dokonała wyboru. Skoro schroniła się w klasztorze, pozostanie tam do końca swych dni.

— Do końca...?

— Nie zgrywaj głupiej! Nie twierdzą, że tam umrze, twierdzą, że sama skazała się na zamknięcie w sanktuarium. Trudno, żeby teraz wyszła stamtąd jakby nigdy nic, gdy już przetoczyło się najgorsze, i podjęła swoje dawne życie, prawda?

— A co będzie z nami?

— Jerzy znajduje się w łaskach króla, jest jednym z Yorków. Walczył po właściwej stronie w dwu bitwach. Tak więc mnie nic złego nie spotka.

— A mnie?

— Ty zamieszkas z nami. Dyskretnie z początku, dopóki nie ucichnie wrzawa wokół Edwarda Lancastera i ostatniej potyczki. Będiesz moją damą dworu.

Widzę, że upadłam tak nisko, by cieszyć się z możliwości służenia swojej siostrze, która należy do dynastii Yorków.

— A, zatem teraz moja kolej na usługiwanie tobie — zauważam.

— Tak — potwierdza krótko. — Oczywiście.

— Słyszałaś coś więcej o bitwie pod Barnet, gdzie poległ papa?

Wzrusza ramionami.

— Niezupełnie. Zresztą nie wypytywałam. Papa nie żyje, racja? Co za różnica, jak zginął?

— A jak zginął?

Izabela przygląda mi się i rysy jej twarzy łagodnieją, jakby pod maską zhardziałej na wojnie młodej niewiasty wciąż ukrywała się siostra, która nie przestała mnie kochać.

— Wiesz, co zrobił?

Kręczę głową.

— Ponoć chciał udowodnić swoim ludziom, że nie odjedzie i nie zostawi ich samym sobie. Nawet zwykli żołnierze wiedzą, że wielcy panowie zostawiają swoje wierzchowce na tyłach pod opieką stajennych, tak aby mogli po nie posłać, gdy szala zaczyna się chylić na ich niekorzyść, i uciec. Każdy to wie. Wielmoże zostawiają piesze wojsko i odjeżdżają konno.

Kiwam głową.

— Papa zapowiedział, że stawi czoło śmierci razem z nimi. Mogli mieć pewność, że podejmie takie samo ryzyko jak oni. Posłał po swego pięknego konia bojowego...

— Chyba nie mówisz o Północy?

— Właśnie o nim. O wspaniałym i odważnym czarnym ogierze, którego szczerze kochał za to, że wyniósł go cało z tyłu bitew. No więc posłał po niego, a potem na oczach wszystkich swoich ludzi, wszystkich zwykłych żołnierzy, którzy w razie przegranej nie mieli szans uciec, dobył ciężkiego miecza i zatopił ostrze w wiernym sercu zwierzęcia. Północ padł na kolana, a papa trzymał jego wielki łeb, dopóki nie zdechł. Gładził go po chrapach, kiedy zamykał czarne oczy...

Ogarnia mnie przerażenie.

— Naprawdę to zrobił?

— Kochał tego konia. Zabił go, aby pokazać, że to będzie walka na śmierć i życie dla nich wszystkich. Złożył łeb wierzchowca na ziemi, wstał i powiedział do swoich ludzi: „Teraz nic mnie od was nie różni. Jestem spieszony jak wy. Nie zdołam pogalopować przed siebie jak jakiś zdrajczyk. Będę walczył do ostatniej kropli krwi”.

— Co było później?

— Później walczyli do ostatniej kropli krwi. — Łzy płynącej ciurkiem po twarzy, lecz nawet nie próbuje ich ocierać. — Wiedząc, że ich nie zostawi. Papa nie chciał, aby ktokolwiek uciekł z pola bitwy. Pragnął, by to był ostatni bój. Ostatnia potyczka w wojnie kuzynów.

Zakrywam oczy dłońmi.

— Izabelo... od tamtego dnia na morzu wszystko szło nie tak, jak powinno...

Nie wyciąga do mnie ręki, nie obejmuje mnie ramieniem, nie spleta palców z moimi, mokrymi od łez.

— Już po wszystkim — mówi tylko. Wyjmuje chusteczkę z rękawa i osusza oczy, składa ją i ukrywa z powrotem. Pogodziła się z tym, co nas spotkało; pogodziła się z klęską i z żałobą. — Już po wszystkim. Walczyliśmy z Yorkami, ale to oni okazali się lepsi. Przewodzi im Edward, sprzyja czarownica, nie sposób ich pokonać. Teraz i ja należę do dynastii Yorków i modłę się, by panowali w Anglii po kres świata. Ty, mieszkając pod moim dachem, również będziesz wobec nich lojalna.

Przykładam dłoń do ust i szepczę tak, aby tylko ona mogła mnie usłyszeć.

— Jesteś pewna, że wygrali dzięki czarom?

— Przywołany przez czarownicę wiatr przyczynił się do śmierci mego dziecka i niemal nas zatopił na otwartym morzu — rzecze tak cicho, że



muszę się ku niej nachylać, by zrozumieć, co mówi. — Później taki sam wiatr szalał przez całą wiosnę, zatrzymując nas w porcie, a jednak pozwalając Edwardowi dotrzeć do brzegów Anglii. Pod Barnet armia Edwarda znalazła się pod osłoną mgły, której opary ukrywały skradających się do nas przeciwników do czasu, aż było za późno. Oddziały papy stały widoczne jak na dłoni. Co, jak nie czary, to sprawiło? Nikt nie pokona Edwarda, dopóki ona mu pomaga.

Waham się, lecz w końcu mówię:

— Nasz ojciec zginął, walcząc z nimi. Złożył na ołtarzu poświęcenia swego ukochanego konia...

— Nie mogę o tym teraz myśleć — przerywa mi Izabela. — Muszę o tym zapomnieć.

— Ja nie zapomnę — obiecuję sobie raczej niż jej. — Nigdy nie zapomnę. Ani papy, ani tego czarnego ogiera.

Izabela wzrusza ramionami, jakby moja obietnica nie miała większego znaczenia, po czym wstaje, wygładza suknię na zgrabnych biodrach i poprawia złoty pas.

— Musisz pokazać się królowi — rzecze.

Przerażenie niemal zwała mnie z nóg.

— M-muszę?

— Tak. A ja mam cię do niego zaprowadzić. Pilnuj się, żeby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego. Ani nie zrobić czegoś nieodpowiedniego. — Obrzuca mnie krytycznym spojrzeniem. — Nie płacz. Ani nie pyskuj. Postaraj się zachowywać jak księżna, którą nie jesteś.

Zanim zdążę jakoś odpowiedzieć, wzywa z powrotem swoje dworki i na czele małego orszaku wychodzi na korytarz. Idę tuż za nią, a trzy damy dworu podążają za nami. Uważam, aby nie nadepnąć na tren mojej siostry, gdy wiedzie mnie do apartamentów króla. Kraniec jej sukni ześlizguje się po stopniach, zamiata słodko pachnące trociny wielkiej sali. Nie spuszczam go z oczu całkiem jak głupiutkie kocię bawiące się kłębkim wełny.

Gwardziści przepuszczają nas bez słowa. Drzwi otwierają się szeroko, a za nimi czeka na nas Edward: wysoki, jasnowłosy i urodziwy siedzi za stołem zasłanym jakimiś dokumentami. Nie wygląda na człowieka, który niedawno stoczył krwawą bitwę, zamordował swego mentora, po czym powiodł wykończonych żołnierzy w długą drogę, ku jeszcze jednej walce na śmierć i życie. Wygląda kwitnąco. Na nasze pojawienie się odrywa

wzrok od dokumentów, spogląda na nas i uśmiecha się szeroko, jakbyśmy w dalszym ciągu byli dobrymi przyjaciółmi — tak samo jak za czasów, gdy nasz ojciec sprawował nad nim opiekę i gdy myśmy uważały go za najcudowniejszego starszego brata, o jakim marzą wszystkie małe dziewczynki.

— A, Anna — odzywa się, wstając zza stołu z wyciągniętą do mnie ręką.

Dygam nisko, on jednak podnosi mnie za łokcie i całuje w oba policzki.

— Moja siostra przysłała dopraszać się twojej laski, najjaśniejszy panie — mówi Izabela głosem drżącym ze szczerości. — Jest bardzo młoda, nie skończyła jeszcze piętnastu lat. Okazywała posłuszeństwo swoim rodzicielom, nie mając pojęcia, że pani matce brak roztropności, a pan ojciec porywa się na spiski przeciwko tobie. Obiecuję od teraz mieć ją na oku i dopilnować, aby pozostała twoją wierną poddaną.

Edward spogląda prosto na mnie. Jest urodziwy jak rycerz z bajki.

— Wiesz, że Małgorzata Andegaweńska przegrała i już nigdy nie ruszy w pole przeciwko mnie?

Kiwam głową.

— I że jej sprawa była niesłuszna?

Czuję, że Izabela wzdryga się z obawy, nawet na nią nie patrząc.

— Teraz już tak — odpowiadam ostrożnie.

Edward śmieje się krótko.

— To mi wystarczy — rzecze lekkim t o n e m . — Przysięgasz mi wierność jako swemu królowi i panu lennemu i obiecujesz wspierać roszczenia mego syna i dziedzica, księcia Walii Edwarda?

Na mgnienie przemykam oczy na dźwięk tytułu mego męża, imienia mego męża.

— Tak — odpowiadam, nie wiedząc, co innego mogłabym powiedzieć.

— Złóż mi hołd lenny — rzecze cicho król.

Izabela trąca mnie w ramię, na co klękam przed Edwardem, który był mi kolejno bratem, królem, wrogiem. Zerkam w górę, aby się przekonać, czy oczekuje ode mnie, żebym ucałowała czubek jego buta. Zastanawiam się, jak nisko przyjdzie mi upaść. Składam dłonie jak do modlitwy, u Edward obejmuje je swoimi rękami. Czuję, że są przyjemnie ciepłe.

— Przebaczam ci i udzielam ci swojej łaski — rzuca beztrąsko.

— Zamieszkaś ze swoją siostrą, po czym oboje z nią ułożymy twoje nowe małżeństwo, gdy upłynie rok twego wdowieństwa.

— Moja matka... — bąkam.

Izabela porusza się, jakby chciała mnie powstrzymać. Jednakże Edward unosi dłoń, nakazując ciszę nam obu, po czym z poważną twarzą oznajmia:

— Twoja matka nadużyła swej pozycji i wymówiła posłuszeństwo namaszczoneму władcy. W moich oczach jest martwa.

— W moich też — dodaje pośpiesznie Izabela, ta zdrajczyni.

## TOWER, LONDYN 21 MAJA 1471 ROKU



Odbywa się kolejne przedstawienie, tym razem odgrywane przez Yorków na użytek londyńczyków. Królowa Anglii, Elżbieta Woodville, zajmuje miejsce na wysokiej drewnianej platformie, stojącej na tle Białej Wieży, u swego boku mając wszystkie trzy córki oraz matkę, tę czarownicę Jakobinę, trzymającą na ręku malutkiego wnuka ubranego w sukienkę ze złotogłowi. Z drugiej strony królowej stoi Izabela, a ja — jak niemal zawsze — pozostaję w jej cieniu. Brat królowej, Antoni Woodville, który odziedziczył po ojcu tytuł barona Rivers, uratował siostrę z oblężenia w Tower i rozgromił resztki sił lancasterów, stoi u stóp platformy w otoczeniu swych gwardzistów. Straż Elżbiety znajduje się po przeciwnej stronie. Poza barierkami przystrojonymi wstążkami w barwach Yorków: niebieskimi i bordowymi, tkwią mieszkańcy Londynu, zachowujący się tak, jakby przyszli oglądać zawody rycerskie i nie mogli się doczekać początku turnieju.

Bramy Tower otwierają się ze skrzypieniem, most zwodzony z donośnym hukiem opada nad fosą i na dziedziniec wjeżdża na pięknym kasztanku Edward prezentujący się pysznie w błyszczącej zbroi i ze złotym otokiem na hełmie, na czele swoich wasali, z oboma braćmi po bokach i gwardzistami w tyle. Rozlegają się fanfary, sztandar Yorków powiewa na wietrze wiejącym znad rzeki, ukazując to białą różę, to emblemat słońca w splendorze. Oślepiają nas znów trzy słońca, widomy znak, że trzej bracia Yorkowie stanowią jednolity front. Za zwycięskimi Yorkami wjeżdża wóz obity srebrnogłowiem, ciągniony przez białe muły, z zasłonkami rozsuniętymi, tak aby każdy mógł zobaczyć, że w środku siedzi dawna królowa,

moja świekra, Małgorzata Andegaweńska, odziana w biel i z obliczem odartym z emocji.

Patrzę na własne stopy, na trzepoczące sztandary, wszędzie, byle nie na nią ze strachu, że napotkam wściekłe spojrzenie jej oczu.

Edward zeskakuje z siodła, przekazuje wodze giermkowi, po czym wstępuje po schodkach na platformę. Królowa Elżbieta wychodzi mu naprzeciw, on zaś ujmuje ją za obie dłonie i całuje w uśmiechnięte usta. Potem Jakobina robi krok do przodu, czemu towarzyszy donośny ryk aprobaty, gdy Edward bierze na ręce swego syna i dziedzica, z którym odwraca się do zebranego tłumu. Oto następca tronu Edward książę Walii, niemowlę w miejsce poległego księcia Lancasterów, którego pochówku nie mogłyśmy dopilnować ze świekrą. To dziecię kiedyś zasiądzie na tronie Anglii, a jego żona włoży koronę. Nie ja ani nie Izabela.

— Uśmiechnij się — podpowiada Izabela szeptem, na co natychmiast rozciągam wargi w uśmiechu i splatam dłonie, jak gdybym także czuła zachwyty ze zwycięstwa dynastii Yorków, zachwyty do utraty tchu.

Tymczasem Edward przekazuje niemowlę żonie i schodzi po stopniach, kierując się tam, gdzie przed chwilą zatrzymał się wóz. Dostrzegam, że najstarsza księżniczka, mała Elżbieta licząca sobie zaledwie pięć lat, Ignie do matki i chwyta w piąstkę materiał jej sukni, jakby nie czuła się bezpiecznie. Królowa kładzie łagodnym gestem dłoń na ramieniu córki. Ta dziewczynka również bez wątpienia nasłuchiwała się od kołyski opowieści o Małgorzacie Andegaweńskiej — a teraz niewiasta, przed którą tak długo drżała, stoi przed nimi w pętach. Edward zwycięzca podaje jej rękę, pomagając wysiąść z wozu, prowadzi na platformę i tam odwraca, jak gdyby była schwytaną w niewolę bestią mającą dołączyć do menażerii w Tower. Gdy zła królowa spogląda w tłum, znowu rozlega się ogłuszający ryk; wszyscy się cieszą z tego, że wilczyca w końcu została pojmana.

Małgorzata Andegaweńska spogląda ponad głowami zgromadzonych tłumnie ludzi prosto w błękitne wiosenne niebo z obojętną miną, jakby nie słyszała nieprzyjaznych okrzyków i nie dbała o nie. W każdym calu jest królową. Mimowolnie czuję dla niej podziw. To ona mnie nauczyła, że choć walka o koronę jest zacięta i może wiele kosztować obie strony, jest warta wszelkich poświęceń. Wyobrażam sobie, że nawet w chwili takiej jak ta Małgorzata Andegaweńska żałuje tylko jednego — przegranej. Nie czuje

żału z powodu tego, że walczyła i odmawiała złożenia broni. Uśmiecha się lekko pomimo klęski. Jej dłoń, trzymana pewnie ręką Edwarda, nie drży ani trochę; nawet jej welon spływający z wysokiego kornetu nie śmie zafalować na wietrze. To królowa wyciosana z bryły lodu.

Edward każe jej tak stać, aby wszyscy zobaczyli na własne oczy, że ma ją w swojej władzy; aby każdy ojciec zdążył wziąć na barana syna, który jeszcze swoim wnukom będzie opowiadał o ostatecznej porażce dynastii Lancasterów, zredukowanej do jednej bezradnej niewiasty na progu Tower oraz śpiącego króla ukrytego w trzewiach Białej Wieży niczym nietoperz. Wreszcie Edward skłania lekko głowę, okazując rycerskość, i gestem zaprasza Małgorzatę Andegaweńską do przejścia przez drzwi Białej Wieży, gdzie będzie mogła dołączyć do swego męża.

Moja świekra czyni jeden krok naprzód i nagle się zatrzymuje. Obrzuca nas wyniosłym spojrzeniem, po czym jakby pod wpływem impulsu mija nas wolno, spoglądając każdemu prosto w oczy. Przygląda się królowej, jej córkom i jej dworcom, jakbyśmy były gwardią honorową. To zaiste wspaniała, przeciągnięta w czasie obelga wymierzona w zwycięzców przez tę, która została rzucona przed nimi na kolana. Mała księżniczka Elżbieta kurczy się w sobie i chowa za matkę, aby ukryć twarz przed niezłomnym spojrzeniem białolicej niewiasty. Moja świekra tymczasem przenosi wzrok na Izabelę i na mnie, słabym kiwnięciem głowy dając znać, że rozumiem moje położenie, to że od teraz jestem częścią nowej rozgrywki, pionkiem w rękach nowego gracza. Mruży oczy na myśl, że jeszcze raz zostałam sprzedana i kupiona. Nieomal się uśmiecha, gdy dociera do niej, że jej porażka odarła mnie praktycznie z wszelkiej wartości; jestem przechodzoną towarem, nieświeżym towarem. Pomimo sytuacji nie udaje jej się ukryć rozbawienia.

Na koniec nieuchronnie, straszliwie patrzy wprost na Jakobinę, matkę królowej, niewiastę, której czary pogrzebały nasze nadzieje, zatrzymując nas w porcie na długie dni; czarownicę, która sprokurowała mgłę, aby ukryć armię Yorków pod Barnet; akuszerkę, która w pojedynkę przyjęła wnuka na świat, gdy wszystkie one chowały się za murami sanktuarium; osobę, która koniec końców wyszła obronną ręką ze wszystkich opresji.

Wstrzymuję oddech, aby nie uronić żadnego słowa z tego, co Małgorzata Andegaweńska zaraz powie do swej najdroższej w życiu przyjaciółki,

która opuściła ją podczas bitwy pod Towton i nie widziała aż do tej pory; której córka poślubiła jej wroga i zmieniła barwy; która sama stała się wrogiem Małgorzaty Andegaweńskiej i świadkiem jej poniżenia.

Obie niewiasty spoglądają na siebie, a z ich oczu wyziera młodość, którą razem przeżyły. Oblicze Małgorzaty Andegaweńskiej zdobi ledwie zauważalny uśmiech; spojrzenie Jakobiny Woodville przepełnione jest miłością. Zupełnie jakby lata, które minęły, rozwiały się niczym mgła pod Barnet lub stopniały jak śnieg pod Towton — w każdym razie przepadły bez śladu. Moja świekra wyciąga rękę, nie po to jednak, aby dotknąć przyjaciółki, lecz aby wykonać gest, sekretny, znany im obu gest, i na naszych oczach Jakobina czyni to samo. Patrząc sobie prosto w oczy, obie niewiasty równocześnie kreślą palcem wskazującym kółko w powietrzu przed sobą — tylko tyle. Później uśmiechają się do siebie, jakby całe życie stanowiło żart, psikus bez znaczenia, który mądra niewiasta zbywa śmiechem. Potem Małgorzata Andegaweńska w milczeniu znika w czeluściach Białej Wieży.

— Co to miało być? — wykrzykuje Izabela.

— Symbol koła fortuny — wyjaśniam szeptem. — Albowiem to koło fortuny wyniosło Małgorzatę Andegaweńską, dziedziczkę rodów królewskich Europy, tak wysoko, na tron Anglii, po czym sprowadziło ją na sam dół. Jakobina przestrzegła ją przed takim losem bardzo dawno temu. Obydwie od dawna wiedziały, że wielkość i upadek to dwie strony tego samego medalu i że jedyne, co człowiek może robić, to starać się...

Tej nocy trzech bracia Yorkowie, działający wspólnie niczym niewidzialny zabójca, udają się do komnaty śpiącego króla i zakrywają mu twarz poduszką, tym samym kończąc na wieki dynastię Lancasterów i sprowadzając pod własny dach zdradziecką śmierć, jaką szafują na polu bitwy. Edward York, nie zważając na obecność własnej żony i dzieci, wykonał wyrok na królu Anglii zajmującym pobliską komnatę. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero rano, gdy doszła nas wieść, że nieszczęsny król Henryk umarł — ze smutku, jak twierdzi Edward.

Nie trzeba jasnowidza, by się domyślić, że odtąd nikt nie zmruży oka spokojnie w pałacu królewskim. Takie oblicze przybrała wojna o koronę

Anglii. Od teraz walka toczy się na śmierć i życie, jak przepowiedział mój ojciec wtedy, gdy wbił miecz w wierne serce swego konia bojowego i własnoręcznie złożył jego łeb na polu pod Barnet. Dynastia Yorków jest żądna władzy i krwi, nie żywi respektu ni dla osób, ni dla miejsc. Obie z Izabelą musimy o tym pamiętać.



## L'ERBER, LONDYN JESIEŃ 1471 ROKU



Służę jako dworka mojej siostrze Izabeli w domu, który niegdyś należał do naszego ojca, a teraz przeszedł wraz z resztą majątku na własność mego swaka, Jerzego księcia Clarence. Otrzymuję wszelkie przywileje wynikające z pokrewieństwa z panią domu. Na razie nie muszę służyć na dworze królowej Anglii, ponieważ nie dobiegła jeszcze końca moja żałoba po mężu, lecz gdy minie ponura jesień, gdy miną święta Bożego Narodzenia i wreszcie nadejdzie wiosna, będę musiała udać się do pałacu, by służyć zarówno królowej, jak i siostrze. Tam też przesądzą się losy mojego drugiego małżeństwa, o którym zadecyduje król. Tytuł mego zmarłego małżonka przeszedł na syna królowej urodzonego w sanktuarium. Teraz to on jest Edwardem księciem Walii, zupełnie jak syn poprzedniej królowej. Utraciłam nie tylko męża, ale również swój tytuł.

Wspominam, jak za mojego dzieciństwa papa poinformował mnie i Izabelę o tym, że królowa życzy sobie naszej obecności w pałacu oraz że odmówił, gdyż nie chciał, abyśmy się zniżały do służenia na jej dworze. Tulę to wspomnienie do siebie niczym szkandele w chłodną noc.

Wszelako nie mam tylu powodów do dumy co mój ojciec w przeszłości. Czuję, że upadłam bardzo nisko i że nie ma mnie kto bronić. Zostałam pozbawiona majątku, rodziny, nawet nazwiska. Papa zginął śmiercią zdrajcy, pani matka w gruncie rzeczy jest więźniem. Żaden mężczyzna nie zechce mnie na żonę i matkę swych dzieci. Nie można mieć pewności, że w ogóle jestem zdolna do rodzenia synów, skoro pani matka wydała na świat tylko dwie córki, a ja w ogóle nie poczęłam w trakcie krótkiego małżeństwa z księciem. Gdy zbliża się koniec mojej żałoby, przypuszczam,

że król Edward wykroi niewielki kawałek majątku po moim ojcu i wraz z moją ręką odda go jakiemuś pośledniemu rycerzowi w ramach nagrody za godne pożałowania wyczyny na polu bitwy, w efekcie czego trafię na głuchą wieś, gdzie będę macać kury, doglądać owiec i rodzić dzieci, o ile jestem do tego zdolna.

Wiem, że nie takiej przyszłości chciał dla mnie papa. Oboje rodzice wyposażyli nas zasobnie, mnie i Izabelę. Do czasu byłyśmy najmajątniejszymi dziedziczkami w Anglii, jednakże teraz zostałam biedaczką. Wszystko, co należało do naszego ojca, przeszło na własność Jerzego, natomiast majątek naszej matki został skonfiskowany. Izabela bez słowa protestu pozwala, aby panią matkę okrzyknięto zdrajczynią i pozostawiono nas bez złamanego szeląga przy duszy.

Pewnego razu odważam się spytać ją dlaczego.

Śmieje mi się prosto w nos. Stoi nad pokazną tapiserią rozpiętą na krosnach i przewleka ostatnie nici własnoręcznie, podczas gdy jej dworki zachwycają się subtelnością wzoru. Oczywiście później tkaczki dokończą dzieła, Izabela tylko się bawi bezcenną złotą nicią. Odkąd została wysublimowaną księżną z dynastii Yorków, nabrała finezji.

— Ależ to oczywiste — odpowiada mi. — Oczywiście.

— Nie dla mnie — mówię, obstając przy swoim. — Bynajmniej nie jest to dla mnie oczywiste.

Ostrożnymi ruchami przewleka czółenko między rozpiętymi nićmi, pozwalając jednej z dworek gręplować. Po chwili wszystkie odstępują o krok i napawają się widokiem. Ja zgrzytam zębami z irytacji.

— Nie rozumiem, czemu pozwalasz naszej matce tkwić w klasztorze w Beaulieu, a królowi przejąć jej majątek. Dlaczego nie poprosisz go, aby podzielił wszystko równo między nas, skoro już musi ją obrabować? Dlaczego nie zwrócisz się do króla z prośbą, by oddał nam choć część ziem po papie? Jak to możliwe, że nie możemy zatrzymać nawet naszego domu rodzinnego, zamku w Warwick? Neville'owie zamieszkiwali tam od zarania czasu. Czemu godzisz się, aby na wszystkim położył rękę Jerzy? Zresztą jeśli nie odwołasz się do króla, ja to zrobię. Nie możemy pozostać z pustymi rękoma.

Izabela przekazuje czółenko i nić jednej z dworek i wzięwszy mnie pod ramię, odprowadza parę kroków, aby nikt nie mógł podsłuchać dalszego ciągu naszej rozmowy.

— Nie waż się zwracać królowi głowy. Decyzje już zapadły. Pani matka zasypywała listami i jego, i znaczące damy dworu, wszystko nadaremno. Klamka zapadła.

— Jak to?

Waha się z odpowiedzią.

— Po tym jak pan ojciec został uznany za zdrajcę, jego majątek przeszedł na własność króla.

— Wcale nie został uznany za... — zaczynam protestować.

Izabela szczypie mnie w ramię.

— O mało co został. Stracił życie po niewłaściwej stronie, więc na jedno wychodzi. W każdym razie król przekazał wszystko Jerzemu. A pani matce odebrano to, co posiadała we własnym imieniu.

— Ale dlaczego? Przecież jej nikt nie oskarżył o zdradę. Nie było nawet procesu.

— Nieważne. Majątek po niej przechodzi na jej dziedziczkę. Czyli na mnie. Chwilę mi zabiera zrozumienie tego, co mówi Izabela.

— A co ze mną? Obie jesteście dziedziczkami! Powinniśmy się wszystkim dzielić!

— Dostaniesz posag z chwilą zamażpójścia. Z mojego majątku.

Gapię się na Izabelę, która odrywa spojrzenie od widoku za oknem i zerka na mnie nerwowo.

— Nie zapominaj, że byłaś żoną uzurpatora. Musi spotkać cię kara.

— Ale to ty mnie karzesz!

Moja siostra potrząsa głową.

— Karzą cię Yorkowie. Ja jestem tylko księżną z tego r o d u . — J e j przebiegły uśmieszek przypomina mi, że znalazła się po stronie zwycięzców, podczas gdy ja wzeniłam się w rodzinę przegranych.

— Nie możesz mi odebrać wszystkiego i zostawić z niczym!

Wzrusza ramionami. Najwyraźniej może uczynić jedno i drugie.

Odskakuję od niej wzburzona.

— Izabelo, jeśli to zrobisz, przestaniesz być moją siostrą!

Ponownie ujmuje mnie za ramię.

— Ależ jestem twoją siostrą i dołożę wszelkich starań, żebyś wyszła korzystnie za mąż.

— Nie chcę wychodzić za mąż, chcę dostać swój spadek. Chcę ziem, które odziedziczyłabym po ojcu. Chcę majątku, który zostawiłaby mi matka!

— Jeśli nie chcesz zamażpójścia, jest inna droga... — urywa.

Czekam w milczeniu.

— Jerzy uważa, że mógłby otrzymać pozwolenie na twoje wstąpienie do klasztoru. Mogłabyś dołączyć do naszej matki w Beaulieu, gdybyś chciała.

Wpatruję się w nią szeroko otwartymi oczyma.

— Mało ci, że zamknęłaś rodzoną matkę za murami klasztoru, i teraz chcesz umieścić tam i mnie?

— Jerzy uważa...

— Nie obchodzi mnie, co uważa Jerzy. Twój mąż mówi to, co każe mu król, a król ma takie samo zdanie jak jego żona! Yorkowie są naszymi wrogami, a ty się z nimi sprzymierzyłaś! Jesteś nie lepsza od nich!

Gwałtownym ruchem przyciąga mnie do siebie i palcami zasłania mi usta.

— Zamknij się! Nie waż się tak mówić o nich! Ani teraz, ani w ogóle nigdy!

Nie namyślając się wiele, gryzę ją w rękę, na co Izabela wydaje okrzyk bólu i bierze zamach, aby wymierzyć mi policzek. Wrzeszczę, poczuwszy pieczenie, i odpycham ją od siebie, a ona pod moim uderzeniem zatacza się aż na ścianę. Dysząc, stoimy i patrzymy na siebie pałającym wzrokiem. Nagle dociera do mnie dźwięcząca cisza w pomieszczeniu i to, że dworki przyglądają się nam zachwycone. Izabela nie przestaje mnie mierzyć gniewnym spojrzeniem, twarz ma wciąż poczerwieniałą ze złości. Ze mnie powoli uchodzi powietrze. Czując się głupio, podnoszę wymyślny kornet z ziemi i podaję siostrze. Izabela poprawia na sobie suknię i ujmuje nakrycie głowy. Nawet na mnie nie patrzy.

— Idź do swojej komnaty — rozkazuje mi sykiem.

— Izabelo...

— Idź do swojej komnaty i módl się do Przenajświętszej Panienki o oświecenie. Chybaś całkiem oszalała, żeby kąsać jak wściekły pies. Nie jesteś godna przebywać w moim towarzystwie, nie jesteś godna przebywać w towarzystwie dam. Jesteś niemądrym dzieckiem, przekornym dzieckiem i nie chcę cię widzieć w swojej obecności!

Udaję się do swej komnaty, lecz nie pograżam się w modlitwie. Układam swoje rzeczy i zwijam je w tobołek. Ze skrzyni wydobywam monety i przeliczam je. Ucieknę od Izabeli i jej głupiego męża, żadne z nich nie będzie mi więcej mówiło, co mam robić, a czego mi nie wolno. Pakuję się gorączkowo. Byłam księżną, byłam snechą królowej wilczycy. Mam teraz pozwolić, żeby siostra i swak uczynili ze mnie biedaczkę, żebrzącą u nich o posag, zależną od narzuconego mi przez nich męża? Urodziłam się Neville'ówną, jestem z rodu Warwicków — jakżebym mogła tak nisko upaść?

Trzymam tobołek w dłoni, na ramionach mam podróżną pelerynę. Zakradam się do drzwi i nasłuchuję. Jak zwykle o tej porze z wielkiej sali dobiega rumor świadczący o przygotowaniach do wieczery. Słyszę, że pacholęta czyszczą paleniska i znoszą świeże drwa, ustawiają kozły i nakrywają je białymi, po czym z piskiem przesuwają ławy spod ścian. Mogę się wyslizgnąć nie zauważona przez nikogo.

Przez moment stoję w progu z walącym mi w piersi sercem, gotowa do ucieczki. Jednakże nie zrywam się do biegu. Nigdzie nie idę. Powzięte we wzburzeniu postanowienie i ekscytacja wyciekają ze mnie. Zamykam drzwi i wracam do swojej komnaty. Przysiadam na krawędzi łóżka. Nie mam dokąd pójść. Moja matka żyje na drugim krańcu Anglii, a ja ani nie znam drogi, ani nie mam eskorty, zresztą u kresu czekałyby na mnie mury klasztoru nie różniącego się wiele od więzienia. Król Edward, choć taki urodziwy i łaskawy, z miłą chęcią oddałby mnie pod klucz, uznając, że przynajmniej jeden problem ma z głowy. Na zamku w Warwick być może przywitaliby mnie wierni słudzy papy, lecz bardziej prawdopodobne jest, że Jerzy zdążył już oddać naszą siedzibę nowemu wielmoży, który by mnie pojmał, a następnie zwrócił Izabeli i księciu Clarence jak zgubiony przedmiot albo co gorsza, udusił w nocy poduszką.

Uświadamiam sobie, że choć nie jestem więźniem Tower, jak moja świekra Małgorzata Andegaweńska, ani też klasztoru, jak moja matka w Beaulieu, bynajmniej nie jestem panią siebie. W braku pieniędzy na wynajęcie gwardzistów, którzy zapewniliby mi bezpieczeństwo, w braku nazwiska, które budzi respekt, nie mam czego szukać w szerokim świecie. Skoro pragnę się wyzwolić spod przymusowej kurateli, muszę znaleźć kogoś, kto zapewni mi ochronę i będzie walczył o moje dziedzictwo. Potrzebny mi sojusznik, ktoś bogaty i wpływowy.

Upuszczam tobołek i siadam na łożku ze skrzyżowanymi nogami, zakrywając twarz dłońmi. Nienawidzę Izabeli za to, że dopuściła do czegoś takiego, ba, że coś takiego sprowokowała. Czuję gorycz porażki większą niż pod Tewkesbury. Tam toczyła się walka w otwartym polu, a ja byłam tylko jedną z wielu pokonanych. Tutaj jestem sama. Cierpię w samotności, wiedząc, że występuje przeciwko mnie własna siostra. Pozwoliła im mnie stłamsić, czego nigdy jej nie wybaczę.

## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN BOŻE NARODZENIE 1471 ROKU



Izabela i Jerzy biorą udział w tryumfalnej uczcie świątecznej w pałacu, przywróceniu do łask, czując się swobodnie pośród przyjaciół i polepników, na dworze będącym odzwierciedleniem piękna, rycerskości i królewskiej potęgi. Nikt w całej Anglii nie pamięta czegoś podobnego. Londyńczycy nie mogą się nachwalić elegancji i ekstrawagancji króla i królowej znów zasiadających na tronie. Edward wydaje majątek na nowe śliczne suknie dla swojej żony i małych księżniczek — rodzinę królewską zdobią szaty skrojone na najnowszą burgundzką modłę, poczynając od ciżemek z zadartymi noskami, a kończąc na sutych, cieszących oko barwami pelerynach. Elżbieta olśniewa drogocennymi klejnotami przy każdym posiłku. Służba podaje potrawy na złotej zastawie. Co dzień ma miejsce jakaś uroczystość podkreślająca pozycję Yorków. Odbywają się tańce, turnieje i przejażdżki łodziami po rzece. Są maskarady i inne rozrywki.

Brat królowej, Antoni baron Rivers, organizuje debatę uczonych w Piśmie teologów z tłumaczami arabskich tekstów. Król zakrada się do komnaty królowej, gdzie pośród pisków i udawanego przerażenia porwaworki niczym pirat i kradnie im klejnoty z dłoni i dekolców, zastępując jedne błyskotki innymi, jeszcze kosztowniejszymi. Królowa, z synem na rękę, matką u boku i księżniczkami za sobą, śmieje się z ulgą, w miarę jak upływają świąteczne dni.

Nie ma mnie przy tym. W Boże Narodzenie tkwię w komnatach Izabeli i Jerzego znajdujących się w tętniącym życiem pałacu westminsterskim, jednakże nie uczestniczę w ucztach — ani jako córka niegdysiejszego wielmoży, ani jako księżna wdowa. Trzyma się mnie na uboczu, z dala od oczu wszystkich, jako wdowę po uzurpatorze,

sierotę po zdrajcy. Zajmuję komnaty z widokiem na rzekę, nieopodal ogrodów, a posiłki spożywam w samotności. Dwakroć w ciągu dnia odwiedzam królewską kaplicę, gdzie siedzę za plecami Izabeli ze skromnie spuszczoną głową, okazując swoją skruchę, i nigdy nie zamieniam nawet słowa z królem ani z królową. Gdy mnie mijają, dygam nisko, żadne jednak nie zwraca na mnie uwagi.

Pani matka pozostaje więźniem za murami klasztoru w Beaulieu. Nikt już nie udaje, że wstąpiła do zakonu, szukając życia duchowego. Dla wszystkich jest jasne, że stała się zakładnikiem króla, który nie zamierza jej nigdy wypuścić. Małgorzata Andegaweńska nadal jest przetrzymywana w Tower, w tych samych komnatach, które przed śmiercią zajmował jej mąż. Powiadają, że codziennie modli się za jego duszę oraz za duszę poległego syna. Potrafię sobie wyobrazić, jaką rozpacz odczuwa, mimo że sama go nie kochałam. Ja zaś — ostatnia, która pozostaję na wolności spośród tych, co próbowali strącić z tronu Edwarda — egzystuję na granicy mroku i cienia, nie dopuszczana do prawdziwego życia przez własną siostrę, której jeńcem i podopieczną zarazem jestem. Miła dla ucha oficjalna wersja głosi, że Jerzy i Izabela roztoczyli nade mną opiekę, uratowawszy z pola bitwy, i że wiodę spokojne i wygodne życie pod bokiem rodziny. Ponoć pomagają mi dojść do siebie po bitewnych przeżyciach, po ciężkich doświadczeniach wymuszonego na mnie małżeństwa i spadłego jak grom z jasnego nieba wdowieństwa. Tak naprawdę jednak — o czym wie każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie — siostra i swak są moimi strażnikami, niewiele się różniącymi od osób pilnujących Małgorzaty Andegaweńskiej w Tower i pani matki w Beaulieu. Wszystkie trzy jesteśmy więźniarkami bez przyjaznej duszy, bez środków, bez nadziei. Pani matka pisze do mnie z żądaniem, abym zaniósła prośbę w jej imieniu do Izabeli, do Jerzego, do samego króla Edwarda. Odpowiadam, informując, że nikt nigdy ze mną nie rozmawia, a jedynie wydaje mi polecenia, i że będzie musiała sama się uwolnić, skoro na własną prośbę odcięła się od świata.

Jednakże mam tylko piętnaście lat i nadzieja jest moją drugą naturą. W niektóre popołudnia leżę na łóżku i z rozmarzeniem wyobrażam sobie, że mój książęcy mążnek nie poległ, lecz zbiegł z pola bitwy i niebawem po mnie przybędzie — wespnie się po murach, wejdzie przez okno i z roześmianą twarzą zapewni, iż na zewnątrz czeka wielka armia, która pokona Edwarda raz na zawsze, a ja zostanę wreszcie



królową Anglii, tak jak pragnął mój ojciec. Przy innych okazjach snuję marzenia, że żaden z nich nie poległ i teraz wspólnie gromadzą wojska na naszych ziemiach na północy, skąd przybędą wybawić mnie z opresji: papa wysoko na grzbiecie swego czarnego ogiera, z oczyma roziskrzonymi pod przyłbicą.

Czasami znowuż udaję, że w ogóle nic z tego nie miało miejsca, i obudziwszy się rankiem, trzymam powieki mocno zaciśnięte, aby nie widzieć ciasnej komnaty i dworki śpiącej ze mną, dzięki czemu mogę sobie wyobrażać, że jestem razem z Izabelą w Calais i że wkrótce zjawi się papa, by ogłosić zwycięstwo nad złą królową i zabrać nas do Anglii, gdzie będziemy najpierwszymi damami, o których rękę zaczną się ubiegać książęta z rodu Yorków.

Jestem młoda, muszę mieć nadzieję. Na duchu podnosi mnie trzask ognia w kominku. Kiedy otwieram okiennice i widzę na niebie białe obłoczki, wciągam mocniej chłodne powietrze i zastanawiam się, czy będzie padał śnieg. Nie wierzę, że moje życie się skończyło, że postawiłam wszystko na jedną kartę i przegrałam. Moja matka może sobie klęczeć w Beaulieu, moja świekra może całymi dniami wspominać syna, ale ja mam dopiero piętnaście lat i nie potrafię przestać łudzić się nadzieją — co dzień myślę: a nuż dziś coś się zmieni? A nuż dziś nadarzy się okazja? Przecież nie mogą mnie tu trzymać — bez nazwiska, bez majątku — w nieskończoność?

Właśnie wracam z kaplicy w towarzystwie dworek Izabeli, gdy zdaję sobie sprawę, że zostawiłam różaniec na posadzce, tam gdzie klęczałam. Rzucam słowo wyjaśnienia do moich towarzyszek i zawracam. Na własną zgubę, albowiem król dopiero opuszcza kaplicę, pod ramię ze swym druhem Wilhelmem Hastingsem; za nimi wysypują się pozostali: Ryszard i gromada popleczników i pochlebców.

Postępuję tak, jak mi kazano — cofam się pod ścianę, dygam nisko, trzymam oczy spuszczone. Robię wszystko, aby okazać swoją skrucę oraz to, że jestem niegodna stapać po tych samych trocinach co najjaśniejszy pan, choć on może się tu panoszyć tylko dlatego, że zabił mego ojca i mego męża na polu bitwy, a mego świekra zdradziecko udusił. Tymczasem Edward mija mnie z miłym uśmiechem i życzy mi dobrego dnia. Nie zwraca się jednak do mnie, używając mego tytułu, tylko zwyczajnie, po imieniu.

— Księżno wdowo — mamroczę do własnych stóp, poprawiając go, oczywiście tak cicho, aby nie usłyszał.

Pozostaję w tej samej pozycji, gdy mijają mnie kolejne pary wspaniałych trzewików z wytłaczanej skóry, po czym dopiero podnoszę głowę. I widzę, że Ryszard — dziewiętnastoletni brat króla — nie odszedł. Stoi, opierając się ramieniem o kamienną framugę, i uśmiecha się do mnie, jakby nareszcie sobie przypomniał, że niegdyś byliśmy przyjaciółmi, że on był podopiecznym mego ojca i co wieczór klękał przed moją matką po błogosławieństwo, jak gdyby był jej synem.

— Anno — odzywa się pierwszy.

— Ryszardzie — odpowiadam, także nie używając jego tytułu, skoro on nie używa mojego. Z tym że on jest bratem króla, księciem Gloucester, a ja jestem sierotą bez nazwiska.

— Będę mówił krótko — rzecze, zerkając w głąb korytarza, gdzie znika jego brat z wielmożami, rozprawiając o polowaniach i nowym psie, którego ktoś sobie przywiózł z Hainault. — Jeśli podoba ci się to, że musisz mieszkać z siostrą, bez złamanego szeląga i bez matki, nie powiem ani słowa więcej.

— Nie podoba mi się to — zapewniam pośpiesznie.

— Jeśli czujesz się więźniem, mogę cię uwolnić.

— Czuję się więźniem. Izabela i Jerzy to moi strażnicy, moi wrogowie. Nienawidzę ich obojga.

— Nienawidzisz własnej siostry?

— Jej nawet bardziej niż jego.

Ryszard kiwa głową, jakby go to nie dziwiło, jakby coś takiego rozumiało się samo przez się.

— Możesz w ogóle opuszczać swoje komnaty?

— Popołudniami przechadzam się w wewnętrznym ogrodzie.

— Sama?

— Nie mam tu przyjaciół.

— Czekaj na mnie w altanie pod cisami. Przyjdę tam dzisiaj.

Po południu moja siostra i jej dworki przygotowują się do maskarady i przymierzają stroje. Ja nie mam żadnej roli do wyuczenia ani żadnego kostiumu do włożenia. Gdy wszystkie zapominają o mojej obecności w ferworze przymiarek, wymykam się po cichutku i krętymi schodkami zbiegam do ogrodu, gdzie zmierzam prosto do altanki pod cisami.

Już z pewnej odległości widzę jego drobną postać na ławce, z ogarem u stóp. Pies obraca łeb i stawia uszy na chrzęst żwiru pod moimi stopami. Ryszard wstaje i dostrzega mnie.

— Czy ktoś wie, że tu przyszłaś?

Serce bije mi mocniej, gdy słyszę jego konspiracyjny ton.

— Nie — odpowiadam.

Uśmiecha się do mnie.

— Ile czasu mamy?

— Jakaś godzinę.

Ryszard wciąga mnie w głąb altany, gdzie jest chłodno i ciemno, lecz też nikt nie może nas wypatrzeć za gęstymi gałęziami. Ktoś musiałby stanąć u wejścia do kolistej altanki i zajrzeć do środka, aby zobaczyć, co jest w środku. Znajdujemy się jakby w małej zielonej komnacie. Opatulam się szczelniej peleryną i przysiadam na kamiennej ławie, spoglądając na Ryszarda wyczekująco.

Wybuch śmiechem na widok mego spojrzenia przepełnionego nadzieją.

— Zanim cokolwiek zaproponuję, muszę wiedzieć, czego ty pragniesz.

— Dlaczego miałbyś mi cokolwiek proponować?

Wzrusza ramionami.

— Twój ojciec był uczciwym człowiekiem, dobrze się mną zajął, gdy trafiłem pod jego opiekę. Ciebie też dobrze wspominam z czasów dzieciństwa. Pod waszym dachem czułem się szczęśliwy.

— I dlatego byłbyś skłonny mnie uwolnić?

— Uważam, że powinnaś sama o sobie decydować.

Patrzę na niego powątpiewająco. Chyba nie sądzi, że jestem aż taką głuptaską? Raczej nie miał na względzie mej wolności, gdy wiódł mnie z Worcester, aby przekazać w ręce Jerzego i Izabeli.

— W takim razie czemu mi nie pozwoliłeś pojechać do mojej matki, gdy zabierałeś Małgorzatę Andegaweńską?

— Wtedy nie miałem pojęcia, że będą trzymać cię pod kluczem. Sądziłem, że zabieram cię do krewnych, do domu.

— Chodzi o majątek — wyjaśniam mu. — Dopóki mieszkam pod ich dachem, Izabela może rościć sobie prawo do całego spadku.

— A dopóki Izabela nie zaprotestuje, nie uwolnią twojej matki. Jerzy ma ziemię po twoim ojcu, a ona po matce. Tym sposobem wielki majątek

znów jest jednością, lecz w rękach tylko starszej córki, do tego tak naprawdę w gestii jej męża, czyli Jerzego... — myśli na głos Ryszard.

— Mnie nie wolno nawet rozmawiać z królem, jakże więc mam zanieść do niego prośbę?

— Mógłbym zostać twoim rycerzem — podsuwa Ryszard, wypowiadając słowa z namysłem. — Gdybyś na to przystała, upomniałbym się u niego w twoim imieniu.

— Ale... dlaczego?

Ponownie obdarza mnie uśmiechem. W jego ciemnych oczach czai się zaproszenie.

— A jak myślisz? — pyta cicho.

„A jak myślisz?”... To pytanie chodzi za mną niczym refren ballady o miłości, nawet gdy wracam do komnat Izabeli. Dłonie mam zziębnięte, a nos czerwony, lecz nikt tego nie zauważa, gdy zrzucam pelerynę i zasiadam przy kominku, udając, że przez cały czas przysłuchiwałam się rozmowom o maskaradzie. W głowie wszakże mam wciąż jedno pytanie: „A jak myślisz?”...

Wreszcie przychodzi pora, by szykować się do wieczery. Usługuję Izabeli, gdy panny dworskie sznurują jej gorset sukni. Podaję buteleczkę z perfumami, otwieram szkatułkę z klejnotami. Ten jeden raz robię to bez niechęci, nie zwracając nawet uwagi, że najpierw prosi o sznur pereł, a potem zmienia zdanie, by po chwili wrócić do pierwotnej koncepcji. Po prostu wyjmuję kolejno naszyjniki i odkładam je na miejsce, by znów zaraz wyjąć ten, który już trzymałam. Nie obchodzi mnie, czy Izabela włoży dziś perły, które jej mąż komuś ukradł. Liczy się tylko to, że moja siostra już nigdy niczego mi nie odbierze, ponieważ nareszcie mam obrońcę.

Mam obrońcę, a jest nim brat króla, wcale nie gorszy od Jerzego. Mężczyzna z rodu Yorków, którego mój ojciec kochał i wychowywał jak własnego syna. A przy tym — tak się składa — następca tronu w kolejce zaraz po Jerzym, lecz bardziej niż Jerzy faworyzowany przez króla, gdyż wykazał się większą stałością i lojalnością. Z braci Yorków to Jerzy jest najurodziwszy, Edward najczarowniejszy, a Ryszard najwierniejszy.

„A jak myślisz?”... Zadając to pytanie, Ryszard posłał mi psotny uśmiech, a spojrzenie miał przy tym tak roziskrzony, jakby zamierzał

nawet puścić oko, jakbyśmy dzielili jakiś rozkoszny sekret, jakby to był nasz prywatny żarcik. Sądziłam, że wykazuję się dojrzałością i ostrożnością, pytając go o powód, dla którego jest gotów mi pomóc, tymczasem on popatrzył na mnie tak, jakbym sama z siebie doskonale znała odpowiedź. I rzeczywiście, było w jego pytaniu, w jego uśmiechu coś, co wtedy przywiodło mnie niemal do chichotków, a teraz — gdy moja siostra przegląda się w lustrze i ruchem głowy każe zapiąć sznur pereł na swojej szyi — sprawia, że prawie się rumienię.

— Co z tobą? — pyta oziębłe Izabela, krzyżując ze mną spojrzenia w tafli zwierciadła.

Natychmiast przywołuję się do porządku.

— Nic — odpowiadam prędko.

Izabela wstaje i rusza ku drzwiom. Jej dworki zajmują swoje miejsca, drzwi się otwierają, a na zewnątrz czeka na nią Jerzy ze swymi dworzakami. To moment, w którym powinnam udać się do swojej komnaty. Oficjalnie jestem pogrążona w tak głębokiej żałobie, że nie potrafię znieść mieszanego towarzystwa. Wyłącznie Jerzy, Izabela i ja wiemy, że to oni dwoje ustanowili tę zasadę: nie pozwalają mi nikogo widywać ani z nikim rozmawiać, trzymają w zamknięciu niczym dzikiego ptaka, który powinien fruwać wolno. Wiemy o tym tylko my: ja, Izabela i Jerzy — a także Ryszard. Ryszard domyślił się wszystkiego, ponieważ zna mnie i zna Izabelę. Był niczym rodzony syn dla mego ojca, dobrze więc poznał Warwicków. I tylko Ryszard o mnie pamiętał, tylko on zastanowił się, jak sobie radzę pod kuratelą siostry, tylko on przejrzał prawdę kryjącą się za fasadą opieki. A prawda jest taka, że duszę się w niewoli.

Dygam przed Jerzym, ale głowę trzymam nisko spuszczoną, aby nie zobaczył, że się uśmiecham. W głowie bez końca słyszę moje pytanie: „Ale... dlaczego?” i odpowiedź Ryszarda: „A jak myślisz?”.

Gdy rozlega się pukanie do drzwi mej prywatnej komnaty, otwieram, sądząc, że to służący przysłany przez podstolego i przynoszący mi wieczorny posiłek, jednakże za progiem nie ma nikogo, a komnata gościnną jest pusta, nie licząc Ryszarda odzianego w imponujący ciemnoczerwony dublet i bufiaste pludry, z peleryną lamowaną gronostajami narzuconą niedbale na ramiona.

Sapię z wrażenia.

— To ty?

— Pomyślałem, że złożę ci wizytę, podczas gdy oni są na wieczery — mówi, wkraczając do komnaty prywatnej i siadając na krześle Izabeli stojącym pod baldachimem przy kominku.

— Lada moment ktoś przyniesie mi jedzenie — przestrzegam go.

Zbývá to machnięciem ręki.

— Zastanawiałaś się nad naszą rozmową?

Przez każdą chwilę mijającego popołudnia.

— Tak.

— Chcesz, żebym został twoim rycerzem w tej kwestii? — Ponownie uśmiecha się tak, jakby proponował mi współudział w jakiejś przepysznej grze, zapraszał do tańca, a nie sugerował spisek przeciwko memu opiekunowi, jego bratu, i mej siostrze.

— Co by to oznaczało? — Usiłuję zachować powagę, lecz mimowolnie odwzajemniam uśmiech.

— O c h . . . — odpowiadasz e p t e m . — Z pewnością nasze częste spotkania.

— Naprawdę?

— Co najmniej raz dziennie. Żeby nam się udało, musiałbym cię widywać raz, może nawet dwa razy dziennie. Niewykluczone, że potrzebowałbym cię przez cały czas.

— I co byśmy wtedy robili?

Przyciąga nogą zydel i gestem pokazuje, że powinnam usiąść. Spełniam jego polecenie; ma nade mną kontrolę jak sokolnik nad ułożonym sokołem. Nachyla się ku mnie, jakby chciał mi coś powiedzieć na ucho, tak że czuję ciepło jego oddechu na nagiej szyi.

— Jakże co, Anno? Prowadzilibyśmy rozmowy.

Gdybym choć odrobinę obróciła głowę, jego wargi musnęłyby mój policzek. Siedzę bez ruchu, całą swoją siłą woli nakazując sobie nie obracać się.

Ryszard natomiast, udając zdziwienie, dodaje:

— A ty co myślałaś?

Odpowiadam mu w myślach: „Chciałabym robić właśnie to, całymi dniami bawić się w tę rozkoszną grę. Chciałabym, żebyś wodził za mną oczami bez końca; chciałabym się przekonać, że nasza dziecięca znajomość przemieniła się w miłość i kochanie”.

— Lecz jak rozmowy mogą pomóc w przywróceniu mojego spadku?  
— pytam.

— A tak, spadek — kiwa głową. — Racja, zapomniałem o spadku. No cóż, i tak najpierw muszę się dowiedzieć, czego dokładnie chcesz.  
— Znow nachyla się bliżej. — Żeby postępować zgodnie z twym życzeniem. Możesz mi rozkazywać, Anno. Jestem twoim rycerzem, twoim sługą... bo tego pragną wszystkie dziewczęta, prawda? Żeby życie przypominało balladę?

Jego wargi są tuż przy moim uchu, ciepły oddech parzy mi skórę.

— Dziewczęta potrafią być niemądre — zauważam, chcąc wykazać się dorobnością.

— Nie ma nic niemądrego w pragnieniu posiadania mężczyzny oddanego twojej sprawie, Anno. Gdybym znalazł damę gotową przyjąć mnie na służbę, gotową obdarzyć mnie swymi łaskami, damę bliską memu sercu, uczyniłbym wszystko, aby była bezpieczna i szczęśliwa. — Odsuwa się nieco, aby spojrzeć mi w twarz.

Nie umiem się powstrzymać i spoglądam prosto w jego ciemne oczy. Czuję, jak na policzki występuje mi rumieniec, a mimo to nie odrywam spojrzenia.

— A potem rozmówię się z moim bratem w twoim imieniu — przyrzeka. — Nie mogą cię przetrzymywać tutaj wbrew twojej woli, nie mogą przetrzymywać wbrew woli twojej matki.

— Czy król by cię posłuchał?

— Oczywiście. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Walczę u jego boku, odkąd po raz pierwszy uniosłem miecz. Jestem wobec niego lojalny. Kocham go i on mnie kocha. Łączą nas więzi krwi, więzi braterskie, ale jesteśmy też towarzyszami broni.

Przerywa nam stukanie do drzwi, na co Ryszard zrywa się jednym zwinnym ruchem i staje między ścianą a skrzydłem, tak że gdy służący otwiera je z hukiem i wchodzi, prowadząc za sobą pachółka niosącego pół tuzina dań i dzban słabego piwa, widzi w komnacie tylko mnie. Obydwaj mężczyźni krzątają się przy stole, rozkładając nakrycia i nalewając mi piwa, po czym zamierają w gotowości, czekając, aż wydam im polecenie.

— Możecie odejść — zwalniam ich z dalszej służby dzisiaj. — Nie zapomnijcie zamknąć za sobą drzwi.

Kłaniają mi się w pas i wychodzą, a Ryszard wtedy wyłania się z cienia i przysuwa sobie zydł do stołu.

— Czy mogę...?

Posilamy się razem we dwoje, tylko we dwoje. Na przemian pijemy z tego samego kielicha, jemy z tych samych talerzy. W niepamięć idą wszystkie poprzednie posiłki, spożywane przeze mnie w samotności, służące li tylko zaspokojeniu głodu, nie dające żadnej przyjemności. Dziś Ryszard wyszukuje najsmaczniejsze kaski gotowanej wołowiny i podaje mi je szarmancko, sam zaś wybiera gęsty sos kawałkiem pieczywa. Chwali dziczyznę i nalega, abym jej skosztowała, częstuje mnie pasztecikami. Nie ma między nami niezręczności, równie dobrze moglibyśmy znów mieszkać pod dachem pana ojca jako dzieci, tak często się śmiejemy i przekomarzamy, a jednak gdzieś na dnie, gdzieś w tle czai się coś nowego. Pożądanie.

— Lepiej już pójdę — oznajmia Ryszard w pewnej chwili. — Gdy wieczera dobiegnie końca, zaczną mnie szukać.

— Pomyśla, że zrobiłam się zachłanna — stwierdzam, pokazując na puste nakrycia.

Ryszard wstaje i ja też się podrywam. Dopiero teraz zaczynam czuć się nieswojo. Chciałabym zapytać, kiedy znowu się spotkamy, jak...? Po namyśle dochodzę jednak do wniosku, że nie wypada.

— Do zobaczenia jutro — rzuca Ryszard na odchodnym. — Będiesz na porannej mszy?

— Tak.

— Zostań dłużej po wyjściu Izabeli. Wtedy się pojawię.

Brak mi tchu.

— Dobrze.

Ryszard ma już rękę na klamce, gotów do wyjścia. Przykładam dłoń do jego rękawa, nie potrafię się opanować. Odwraca się do mnie z lekkim uśmiechem i powoli schyla głowę, aby pocałować czubki palców spoczywające na jego ramieniu. Tylko tyle, nic więcej. Muśnięcie warg, nawet nie pocałunek, z pewnością nie pocałunek w usta ani żadna pieszczota, wszelako to jedno dotknięcie sprawia, że we mnie gorzeje ogień. Zanim się spostrzeżę, Ryszarda już nie ma.



Odziana we wdowią granatową suknię udaje się za Izabelą do kaplicy, gdzie zerkam w stronę ławy rodziny królewskiej. Choć zazwyczaj wszyscy — król z królową i obaj książęta — wysłuchują co rano mszy, dzisiaj to miejsce świeci pustkami. Ogarnia mnie mdlące uczucie rozczarowania i myśl, że Ryszard zawiódł. Obiecał, że tu będzie, i nie stawił się. Klękam za plecami Izabeli i staram się skupić na nabożeństwie, lecz łacińskie słowa odbijają się ode mnie, jakby nic nie znaczyły czy raczej znaczyły co innego: „Do zobaczenia jutro. Będziesz na porannej mszy?”...

Gdy msza dobiega końca i Izabela powstaje z klęczek, ja nie idę w jej ślady, za to pochylam mocniej głowę, jakbym była zatopiona w modlitwie. Moja siostra obrzuca mnie zniecierpliwionym spojrzeniem, lecz zostawia w spokoju. Dworki podążają za nią gęsiego i po chwili słyszę trzask zamykanych za nimi drzwi. Ksiądz porządkuje przedmioty na ołtarzu, kiedy ja klęczę świątobliwie, ze złożonymi dłońmi i zamkniętymi oczyma, przez co nie zauważam Ryszarda wślizgującego się za ławkę i klękającego obok mnie. Jak odurzona, zaciskam powieki mocniej i pozwalam sobie najpierw go poczuć, zanim wreszcie otworzę oczy; dolatuje mnie zmieszana woń delikatnego mydła i świeżo wyprawionej skóry, z której uszyto jego buty. Słyszę szuranie, gdy opada na kolana, i słaby zapach lawendy, której główkę zgniół rzepką. Wreszcie, na koniec, czuję ciepło jego dłoni obejmującej moje złączone palce.

Powoli rozwieram powieki, jakbym się budziła, i widzę przed sobą jego uśmiechniętą twarz.

— O co się modlisz?

O tę chwilę, odpowiadam w myślach. O ciebie. O ratunek.

— O nic szczególnego — mówię na głos.

— Powinnaś się modlić o wolność dla siebie i swej matki. Chcesz, żebym zwrócił się z prośbą do Edwarda?

— Naprawdę poprosisz o wolność dla mojej matki?

— Mógłbym to zrobić. Gdybyś tego chciała.

— Oczywiście, że chcę. Jak myślisz, będzie mogła wrócić do Warwick? Bo to raczej nie będzie się dobrze czuła. A może mogłaby się udać do jakiejś innej naszej dawnej siedziby? Czy też uważasz, że pozostanie w Beaulieu nawet po tym, jak odzyska wolność?

— Gdyby postanowiła zostać za murami klasztoru, wybierając honorowe wyjście, mogłaby zachować swój majątek, a wtedy ty nadal nic byś nie

miała i musiałabyś mieszkać u siostry — rzecze cicho Ryszard. — Jeśli Edward jej przebaczy i puści ją wolno, twoja matka stanie się na powrót wielką damą, aczkolwiek niemile widzianą na dworze królewskim. Będzie kimś w rodzaju bogatej pustelniczki. Ty zaś będziesz musiała zamieszkać pod jej dachem i najwcześniej zobaczysz należną ci część majątku po jej śmierci.

Ksiądz wyciera kielich i z szacunkiem odkłada go do wyłożonej aksamitem skrzynki, przewraca kartki Biblii i umieszcza jedwabną zakładkę w wybranym miejscu, po czym skłania głowę przed krzyżem i wychodzi przez boczne drzwi.

— Izabela będzie na mnie wściekła, jeśli nie dostanie części spadku po matce.

— A jak tobie by się podobało klepanie biedy? — pyta.

— Mogłabym mieszkać z panią matką...

— Naprawdę odpowiadałoby ci życie pustelniczki? Nie miałabyś posagu z prawdziwego zdarzenia. Zaledwie to, co łaskawie by dla ciebie odłożyła. A może zechcesz wyjść powtórnie za mąż... — urywa, jakby ta myśl właśnie przysłała mu do głowy. — Bo chyba nie chcesz dożyć swych dni jako wdowa?

Patrzę na niego pustym wzrokiem.

— Z nikim się nie widuję. Nie pozwalają mi przebywać w mieszanym towarzystwie. Owdowiałam przed niespełna rokiem. Kto by mnie jednak wziął za żonę, skoro nikt mnie nie zna?

Nie odrywa spojrzenia od moich ust.

— Ja cię znam...

Widzę, że się uśmiecha.

— To prawda — szepczę. — A l e przecież nie ubiegasz się o moją rękę ani nie myślisz o ożenku ze mną.

Drzwi za nami otwierają się ze skrzypieniem i ktoś wchodzi do środka, aby się pomodlić.

— Może trzeba ci zarówno części spadku, jak i wolności — mówi niezmiernie cicho Ryszard. — Może twoja matka powinna pozostać tam, gdzie jest, a jej majątek powinien zostać rozdzielony równo między obydwie siostry. Wówczas mogłabyś żyć swoim życiem, dokonywać własnych wyborów.

— Nawet wtedy nie mogłabym żyć sama — oponuję. — Nikt by na to nie pozwolił. Mam piętnaście lat.

Znowu uśmiecha się do mnie i poprawia, tak że teraz nasze ramiona się stykają. Pragnę oprzeć się o niego, pragnę, aby mnie objął...

— Gdybyś była majątna, mogłabyś wyjść, za kogo byś chciała — ciągnie cichym głosem. — Przysporzyłabyś swemu małżonkowi ziem i bogactwa. Nie ma w Anglii mężczyzny, który by cię nie chciał za żonę. Większość aż się pali, żeby cię zdobyć... — Przerywa, pozwalając mi to przemyśleć. Po chwili odwraca się do mnie, spoglądając mi prosto w twarz piwnymi szczerymi oczyma. — Możesz mi wierzyć, Anno. Jeśli uda mi się przywrócić ci majątek, będziesz najlepszą partią w kraju. Twój mąż stanie się wielkim posiadaczem ziemskim, a do tego spowinowaci się ze starym angielskim rodem. To ty będziesz mogła przebierać jak w ulęgałkach.

Kolejna chwila milczenia.

— Niemniej mający uczciwe intencje mężczyzna nie poślubiłby cię dla twego majątku. Nie powinnaś więc oddawać ręki byle komu.

— Nie?

Ryszard kręci z powagą głową.

— Pamiętaj, że uczciwy mężczyzna poślubiłby cię wyłącznie z miłości — rzecze z prostotą.

Obchody świąt Bożego Narodzenia dobiegają końca i księżę Clarence, mój swak Jerzy, czule żegna się ze swym bratem królem, jeszcze czulej zaś z najmłodszym Ryszardem. Izabela ucałowuje królową, ucałowuje króla, ucałowuje Ryszarda, ucałowuje każdego, kto wydaje jej się dość ważny i chętny przyjmować jej pocałunki. Przez cały czas nie spuszcza oka ze swego męża, którego spojrzenie jest dla niej rozkazem. Moim zdaniem zachowuje się jak dobrze ułożony ogar, na którego jego pan nie musi gwizdać, wystarczy, że skinie głową lub uczyni gest ręką. Zaiste Jerzy wytresował moją siostrę. Jest mu obecnie tak oddana jak niegdyś panu ojcu — teraz to Jerzy jest jej panem i władcą. Izabela tak bardzo obawia się potęgi i mocy Yorków — na polu bitwy, na morzu, a także w tajemniczym świecie nieznanego — że trzyma się go kurczowo dla własnego bezpieczeństwa. Gdy opuściła Francję, aby do niego dołączyć, postanowiła iść zawsze za nim, zamiast zawalczyć o jego lojalność wobec nas.

Jej dworki dosiadają wierzchowców, pomiędzy nimi ja. Król Edward pozdrawia mnie uniesieniem dłoni. Nie zapomniał, kim jestem, aczkolwiek jego dwór nie ustaje w wysiłkach, by wyprzeć z pamięci wspomnienia o parze monarszej panującej w Anglii przed tą parą i o księciu Walii będącym następcą tronu przed obecnym księciem Walii w kołysce, a nawet o inwazji, o długotrwałym marszu i o ostatecznej walce. Królowa Elżbieta spogląda na mnie twardo swymi pięknymi szarymi oczyma przypominającymi dwa kawałki lodu. Nie zapomniała, że mój ojciec zabił jej ojca i brata. Takie są rachunki, które kiedyś przyjdzie nam wyrównać.

Poprawiam się w siodle, strzepuję suknię i ujmuję pewniej wodze. Sprawdzam, czy mam bat, i szcieszuję grzywę konia na jedną stronę. Robię wszystko, by odwlec moment, w którym zacznę rozglądać się za Ryszardem.

Stoi obok brata. Zawsze jest u boku brata — już dawno zrozumiałam, że łączy ich miłość i lojalność, których nic nigdy nie zmieni. Przechwytyjąc moje spojrzenie, uśmiecha się do mnie szeroko, z obliczem rozpromienionym szczerym uczuciem. Widzi to każdy, kto akurat na niego patrzy; Ryszard nie potrafi dochować dyskrecji. O, teraz jeszcze przykłada dłoń do serca, jakby ślubował mi wierność. Zerkam na lewo i na prawo, chwala Bogu, że nikt nie poświęca mu uwagi, wszyscy są zaabsorbowani czekającą nas podróżą, Jerzy książe Clarence krzykiem wydaje rozkazy gwardzistom. A Ryszard nieroztropnie stoi tam z ręką na sercu, wpatrzony we mnie, jak gdyby mu zależało, aby cały świat się dowiedział o miłości, którą do mnie czuje.

Ryszard mnie kocha.

Potrząsam głową, jakbym chciała udzielić mu reprimendy, po czym spuszczam wzrok na własne dłonie, poprawiając chwyt na wodzach. Gdy znów podnoszę spojrzenie, Ryszard nadal wlepia we mnie oczy, nadal przyciska dłoń do piersi. Wiem, że powinnam się odwrócić; wiem, że powinnam udawać pogardę — tak zachowują się damy w balladach. Ale jestem tylko młodą dziewczyną, osamotnioną i opuszczoną, na którą spogląda gorąco przystojny młodzieniec chcący być jej rycerzem.

Wtem jeden z gwardzistów płoszy konia, który wierzgając, potraça kogoś innego. Robi się zamieszanie, wszyscy patrzą w tamtą stronę, a król obronnym gestem obejmuje królową trzymającą na ręku syna. Ściągam rękawiczkę i jednym sprawnym ruchem rzucam ją Ryszardowi. Chwyta

ją w locie i umieszcza za połą dubletu. Nikt niczego nie zauważył. Nikt niczego nie podejrzewa. Gwardzista uspokaja swego wierzchowca, wskakuje na siodło, skinięciem głowy przeprosza dowódcę. Moment później członkowie rodziny królewskiej machają nam na pożegnanie.

Ryszard nie odrywa ode mnie spojrzenia, gdy z powrotem zapina na guzy poły dubletu; uśmiechem dodaje mi otuchy. Dostał ode mnie rękawiczkę, dowód moich względów. Złożyłam mu obietnicę z pełną świadomością tego, co robię. Albowiem nie chcę już nigdy więcej być czymś pionkiem. Odtąd sama będę decydowała za siebie. Wybiorę wolność i wybiorę męża.

## L'ERBER, LONDYN LUTY 1472 ROKU



Jerzy książę Clarence i jego żona Izabela wiodą wielkopańskie życie w Londynie, gdzie ich siedziba nie ustępuje pałacowi królewskiemu, zaopatrzona w służbę idącą w setki osób i w osobistą gwardię Jerzego w jego liberii. Mój swak szczyli się hojnością i jest znany z tego, że podobnie jak papa nie odprawia z kwitkiem nikogo, kto podczas wieczerzy stanie u kuchennych drzwi; wielu z tego korzysta i odchodzi z mięsiwem nadzianym gęsto na sztylet. W środku przelewa się niekończący się strumień petentów i dzierżawców w potrzebie, przed którymi Jerzy nie zamyka drzwi swej komnaty audiencyjnej, gdyż chce być dostępny nawet dla najuboższych mieszkańców swoich ziem. Chodzi o to, aby było powszechnie wiadome, że każdy, kto złożył hołd lenny Jerzemu, może w rewanżu liczyć na jego opiekę. Dzięki temu dziesiątki, ba, setki ludzi, w innych okolicznościach może mu obojętnych, zaczynają go uważać za dobrego pana, dobrego sojusznika, nawet przyjaciela, a to z kolei sprawia, że potęga i wpływy męża mojej siostry rozszerzają się niczym rwąca rzeka.

Izabela obnosi się ze swoją szczodrością, wspiera hojnie własną kaplicę, rozdaje datki jałmużnikom, wstawia się u Jerzego za najszabszymi, pod warunkiem że zostanie to dostrzeżone. Ja snuję się w jej cieniu niczym jeszcze jeden dowód jej dobroci na pokaz. Od czasu do czasu ktoś rzuca uwagę, jakimiż to wspaniałymi ludźmi są moi siostra i swak, którzy przyjęli zhańbioną i zubożałą pod swój dach i opiekują się nią z czystej dobroci serca.

Czekam na sposobność rozmowy sam na sam z Jerzym, ponieważ moim zdaniem Izabela nie ma nic do powiedzenia i robi wyłącznie to, co każe jej mąż. Wreszcie pewnego popołudnia nadarza się okazja, kiedy

akurat przechodzę koto stajni w tym samym czasie, jak Jerzy wjeżdża na dziedziniec i zeskakuje z siodła, a wokół niego nie ma zwykle się kłębiącego tłumu.

— Bracie, możemy porozmawiać?

Jerzy wzdyga się, ponieważ stoję w cieniu arkady, przez co myśląc, że jest zupełnie sam.

— Co? A, tak... siostró. Oczywiście. Zawsze miło cię widzieć. — Obdarza mnie tym swoim uroczym uśmiechem i wyćwiczonym gestem przejeżdża dłonią po gęstych jasnych włosach. — Co mogę dla ciebie uczynić?

— Chodzi o mój spadek — mówię bez ogródek. — Domyślam się, że pani matka pozostanie za murami klasztoru, i zastanawiam, co będzie z jej majątkiem.

Zerka na okna w górze, jakby miał nadzieję, że Izabela nas wypatrzy i pośpieszy mu na ratunek.

— Twoja matka postanowiła poszukać schronienia w klasztorze...

— rzecz ostrożnie. — Jej mąż został uznany za zdrajcę. Majątki ich obojga przeszły na własność Korony.

— Jego majątek przepadłby, gdyby dowiedziono mu zdrady — poprawiam Jerzego. — Tymczasem nawet otwarcie go nie oskarżono. I z tego co mi się wydaje, nie przeprowadzono konfiskaty zgodnie z wymogami prawa, król po prostu przekazał wszystko tobie, zgadza się? Wszedłeś w posiadanie majątku po mym ojcu dzięki szerokiemu gestowi króla, ot co.

Jerzy mruga zdziwiony. Nie miał pojęcia, że o wszystkim wiem. Rozgląda się, lecz w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby nam przerwać; są tylko stajenni, którzy kolejno biorą od niego wodze, pejcz i rękawiczki.

— Natomiast ziemie mojej matki nadal należą do niej — kontynuuję. — Nikt nie twierdzi, że jest zdrajczynią.

— Nie.

— Rozumiem więc, że twoim zamiarem jest przejąć je, by doglądać w przyszłości w imieniu Izabeli i moim?

— To męskie sprawy — rzuca. — Nie ma powodu, byś...

— Kiedy otrzymam przypadającą mi część?

Uśmiecha się do mnie, ujmuje mnie za łokieć i tak wyprowadza z dziedzińca, kierując się ku łukowatemu wejściu do budynku.

— Nie powinny cię zaprzętać takie kwestie — powiada, klepiąc mnie po dłoni. — Zostaw je mnie. Jako twój brat i opiekun zajmę się wszystkim...

— Jestem wdową — przypominam mu. — Nie mam opiekuna. Wolno mi dysponować własnym majątkiem, takie jest prawo każdej wdowy.

— Ty jesteś wdową po zdrajcy — mówi łagodnym tonem, jakby sprawa mu przykrość wyciąganie podobnych rzeczy na światło dzienne.  
— Przegranym zdrajcy.

— Książę nie może być zdrajcą we własnym kraju — stwierdzam hardo. — A ja, choć byłam jego żoną, nie zostałam oskarżona o zdradę. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, abym rozporządzała swoim majątkiem.

Wchodzimy do wielkiej sali, gdzie ku ogromnej uldze Jerzego zastajemy Izabelę z dworkami. Na nasz widok moja siostra wstaje i podchodzi bliżej.

— Co się stało?

— Spotkałem twoją siostrę przed stajniami. Obawiam się, że trapi ją żalność... Anna zamartwia się sprawami, które jej nie dotyczą.

— Pójdiesz teraz do swojej komnaty — zwraca się do mnie Izabela.

— Nigdzie nie pójdę, dopóki się nie dowiem, kiedy dostanę swoją część spadku — mówię butnie.

Widząc, iż stoję jak przymurowana i raczej nie można liczyć na to, że jak częstokroć w przeszłości dygnę posłusznie i wycofam się do prywatnej komnaty, Izabela zerka niespokojnie na męża, nie mając pojęcia, jak daleko powinna się posunąć, aby zmusić mnie do posłuszeństwa. Wyraźnie boi się, że znów wywołam awanturę, a przecież nie wypada, by kazała gwardzistom mnie obezwładnić i wywlec siłą.

— No, moje dziecko — odzywa się ponownie Jerzy, nie podnosząc głosu. — Zostaw wszystko mnie, tak jak mówiłem.

— Kiedy? — powtarzam głośniej. — Kiedy dostanę swoją część spadku?

Licznie obecni w wielkiej sali ludzie — dwór, którym otaczają się Izabela i Jerzy — skwapliwie przysłuchują się naszej wymianie zdań.

— Powiedz jej — mówi do męża cicho Izabela. — Urządzi scenę, jeśli jej nie powiesz. Zawsze musiała być w centrum zainteresowania, teraz też zacznie tupać nogą...

— Jestem twoim opiekunem, Anno — informuje mnie równie cicho Jerzy. — Wyznaczonym do tej roli przez króla. Chyba to rozumiesz? Jesteś wdową, ale i dzieckiem. Musisz gdzieś mieszkać, musisz mieć zapewnioną opiekę.

Kiwam głową.



— Wiem, że tak się mówi, ale...

— Na razie ja zawiaduję twoją częścią spadku — przerywa mi. — Mąż twojej matki zostanie podzielony między was dwie. Będę pilnował twoich spraw, dopóki nie wyjdiesz za mąż, po czym przekażę je twemu mężowi w dniu ślubu.

— A jeśli nigdy nie wyjdę za mąż?

— Wtedy zostaniesz z nami do końca życia.

— Ty zaś zatrzymasz dla siebie moje ziemie?

Nabieram pewności, że taki jest plan, gdy widzę, jak przez jego przystojną twarz przemyka wyraz winy.

— Zatem raczej nie wyrazisz zgody na moje zamażpójście? — pytam domyślnie, on jednak już skłania się przede mną wytwornie, przesyła żonie w powietrzu pocałunek i sztywno wychodzi z wielkiej sali.

Mężczyźni zrywają czapki z głów, niewiasty dygają — księżę Clarence jest wielkim i dobrym panem. Pozostaje wszakże głuchy na moje słowa, gdy powtarzam donośniej:

— Ja... Ja nie...

Izabela obdarza mnie lodowatym spojrzeniem.

— Dostyć tego — rzecze. — W przeciwnym razie każę cię zamknąć w twojej komnacie.

— Nie możesz mi rozkazywać, Izabelo!

— Jestem żoną twego opiekuna — wzrusza ramionami. — Jerzy każe cię zamknąć w komnacie, jeśli mu powiem, że nas oczerniasz. Przegrałaś swoją sprawę pod Tewkesbury, znalazłaś się po niewłaściwej stronie i twój mąż poległ. Musisz się pogodzić z tym, że poniosłaś klęskę.

W L'Erber wiecznie roi się od ludzi. Na rozkaz księcia bramy stoją otworem w ciągu dnia, a nocami wystawia się przed drzwi piecyki. Udaję się do wielkiej sali w poszukiwaniu pachółka, jakiegokolwiek pachółka — byle nie żebraka, byle nie złodzieja — który wyświadczy mi przysługę za szeląga. Pętają się ich tutaj dziesiątki; przychodzą co rano, żeby zarobić, wyrzucając gnój ze stajni lub wywożąc na wozach popiół z palenisk; niektórzy przynoszą z targu drobiazgi, które potem sprzedają pannom dworskim. Kiwam palcem na jednego, płowowłosego

urwisa w skórzanym kaftanie, po czym czekam, aż podejdzie i pokłoni mi się nisko.

— Wiesz, gdzie jest pałac westminsterski?

— No przecie, że wim.

— Zanieś to tam i oddaj komuś ze służby księcia Gloucester. Powiedz, że to musi trafić prosto do rąk księcia. Zdołasz tyle zapamiętać?

— No przecie...

— Nie dawaj tego nikomu innemu ani nic więcej nie mów, słyszysz?

— No przecie, że słyszem.

Wręczam mu złożony kawałek papieru. W środku stoi napisane:

***Muszę się z Tobą spotkać. A.***

— Jeśli uda ci się to doręczyć do rąk księcia osobiście, dostaniesz od niego drugiego szelaga — dodaję, wciskając mu w brudną dłoń monetę.

Urwis próbuje ją szerniałym zębem, żeby sprawdzić, czy nie jest fałszywa, po czym przykłada pięść do czoła, zamiast ukłonić się jak należy.

— List miłosny? — pyta impertynencko.

— To tajemnica — odpowiadam. — Dostaniesz drugiego szelaga, jeśli będziesz trzymał język za zębami.

Później pozostaje mi tylko czekać.

Izabela stara się być dla mnie miła. Pozwala mi jadać w towarzystwie swoim i swoich dworek, a nawet usadza mnie po prawicy. Nazywa mnie „drogą siostrą”, a któregoś dnia nawet prowadzi do swej garderoby, gdzie pozwala mi wybrać sobie nowe stroje. Mówi, że znużyło ją oglądanie mnie ciągle w granacie.

Obejmuje mnie ramionami.

— Pojedziesz z nami na dwór królewski — obiecuje. — Jak tylko dobiegnie końca twoja żałoba. A latem udamy się w objazd królestwa i kto wie, może nawet zatrzymamy się w Warwick? Cudownie byłoby znowu znaleźć się w domu, prawda? Chciałabyś tego, prawda? Odwiedzimy Middleham i zamek Barnarda. Z pewnością spodoba ci się pobyt w naszych dawnych siedzibach.

Nie odpowiadam.

— Jesteśmy siostrami — podejmuje Izabela. — Nigdy o tym nie zapominałam, Anno, więc nie bądź dla mnie zbyt surowa, nie bądź zbyt surowa

dla samej siebie. Wiele straciłyśmy, ale mamy nadal siebie nawzajem. Pozostaniemy przyjaciółkami. Pragnę żyć z tobą w zgodzie.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób Ryszard zaaranżuje nasze spotkanie, ufam jednak, że mu się to uda. Wszelako w miarę upływu czasu zaczynam się zastanawiać, co zrobię, jeśli mimo wszystko Ryszard się nie pokaże. W pewnym momencie czuję się jak złapana w potrzask.

W ponure i zimne dni lutego praktycznie nie opuszczam czterech ścian. Jerzy niemal codziennie wyprawia się do pałacu westminsterkiego albo do miasta. Czasami jacyś mężczyźni przychodzą do niego; wślizgują się bocznymi drzwiami i idą prosto do jego apartamentów, jak gdyby spotykali się w sekrecie. Mój swak nadal prowadzi wystawne życie, nie ustępujące wiele pałacowemu. Zastanawiam się, czy nie zamierza przypadkiem stworzyć konkurencyjnego dworu, czy nie ma nadziei na zgromadzenie takiego poparcia i tylu ziem, by móc się obwołać udzielnym księciem. Izabela prawie go nie odstępuje, zawsze wytwornie odziana, zawsze łaskawa niczym królowa. Towarzyszy mężowi podczas uczt w Westminsterze oraz Elżbiecie, gdy ta zażąda jej obecności pośród swoich dworek. Mnie nadal nikt nie zaprasza ani nie pozwala mi chodzić swobodnie.

Pewnego dnia oboje otrzymują zaproszenie do pałacu z jakiejś szczególnej okazji. Izabela odziewa się na szmaragdowo: w zieloną suknię z zielonym welonem, ozdobionym złotym pasem wysadzonym zielonymi kamieniami szlachetnymi. Pomagam się jej ubrać, sznuruję zielone tasiemki gorsetu, przewlekam przez małe dziurki zakończone złotą sznureczki spinające rękawy, przez cały czas zdając sobie sprawę ze swej nadaśanej miny odbijającej się w rozjaśnionym blaskiem świec zwierciadle. Wszystkie dworki mojej siostry ogarnęło podniecenie przed czekającą wizytą w Westminsterze; w L'Erber pozostaną tylko ja.

Spoglądam z okna mojej komnaty, gdy dosiadają wierzchowców na dziedzińcu. Izabela ma śnieżnobiałego rumaka ze sztywnym od nowości siodłem z zielonej skóry zdobionej aksamitem w tym samym kolorze. Jadący obok niej Jerzy ma odkrytą głowę, a jego jasne włosy w świetle pochodni zdają się błyszczeć jak korona ze szczerego złota. Uśmiecha się i macha do ludzi, którzy zgromadzili się za bramami i wykrzykują błogo-

sławieństwa. Orszak prezentuje się isticie po królewsku, a znajdująca się w jego centrum Izabela zdaje się królową, którą pan ojciec obiecał z niej uczynić. Cofam się od wąskiego okna w głąb opustoszałej komnaty. Za moimi plecami pojawia się służący.

— Dołożyć drew, wasza miłość?

— Nie trzeba — rzucam przez ramię.

Orszak minął już bramę i z dźwięczeniem rzędów przemierza Elbow Lane; zimowe słońce rozświetla chorągiew Jerzego, który kiwa głową na prawo i lewo, unosząc dłoń w odpowiedzi na wiwaty.

— Ale ogień dogasa — upiera się sługa. — Rozpalę go od nowa dla waszej miłości.

— Naprawdę nie trzeba — odburkuję niecierpliwie.

Odwracam się od okna, by spojrzeć na niego. Zdażył ją zdjąć czapę i zrzucić z ramion siermiężną pelerynę, pod którą ma szykowny dublet i rażąca bielą koszulę, bufiaste pludry i buty jeździeckie z miękkiej skórki. To Ryszard we własnej osobie, promieniejący uśmiechem na widok mego zaskoczenia.

Biegnę ku niemu, zanim zdążę pomyśleć. Lgnę do pierwszego przyjacielnego mi człowieka, jakiego widzę od świąt, i moment później już jestem w jego ramionach, a on ściska mnie mocno, całując po twarzy, powiekach i rozciągniętych w uśmiechu wargach, aż w końcu brak mi tchu i muszę oderwać się od niego.

— Ryszardzie! Och, Ryszardzie!...

— Przyszedłem cię stąd zabrać.

— Zabrać?

— Uratować — precyzuje. — Zamierzają trzymać cię na coraz krótszym pasku, dopóki nie położą rąk na majątku twojej matki, po czym odeślą cię do klasztoru.

— Wiedziałam! Jerzy utrzymuje, że jest moim opiekunem i że odda mi należną część majątku z chwilą zamążpójścia, ale ja mu nie uwierzyłam!

— Nie pozwolą ci wyjść za mąż — potwierdza moje przypuszczenia.

— Edward odda cię pod pieczę Jerzego, by mieć nad tobą nieograniczoną władzę. Jedyным wyjściem w twojej sytuacji jest ucieczka.

— Pójdę z tobą — podejmuję decyzję bez ociągania. — Choćby teraz.

Ryszard waha się, jakby nie do końca mi wierzył.

— Jesteś pewna?

— Nie masz przed sobą tej samej małej dziewczynki, którą zapamiętałeś — mówię mu. — Dorosłam. Małgorzata Andegaweńska nauczyła mnie pewności siebie, przygotowała na chwile, gdy w okamgnieniu trzeba dojrzeć najlepsze rozwiązanie i bez strachu obrać najwłaściwszą drogę, nie przejmując się innymi. Mój ojciec nie żyje, nie mam więc nikogo, kto mógłby za mnie decydować. Ani myślę pozwolić, żeby moim życiem kierowali Jerzy i Izabela.

— Zatem dobrze — rzecze Ryszard. — Zabiorę cię do sanktuarium...

— Czy będę tam bezpieczna? — pytam, przechodząc do ciasnego alkierza tuż przy komnacie gościnnej, a Ryszard podąża za mną bez cienia wstydu i od progu patrzy, jak otwieram skrzynię i wyjmuję szkatułkę z biżuterią.

— Nie poważą się złamać świętości sanktuarium w Londynie. Wystarałem się o miejsce dla ciebie w kolegiacie Świętego Marcina. Tam nic ci nie będzie groziło. — Bierze ode mnie szkatułkę. — Coś jeszcze?

— Moja ciepła peleryna — wymieniam na głos. — I buty do jazdy konnej.

Siadam na łóżku, zzuwam pantofle, a Ryszard kłeka naprzeciwko mnie, ujmując oba buty i podstawia mi pierwszy pod bosą stopę. Waham się; coś takiego nie przystoi młodej niewieście i mężczyźnie nie będącemu jej mężem. Spojrzenie, które rzuca mi Ryszard, mówi wyraźnie, że też jest tego świadom, wszelako postanawia zignorować konwenanse. Idę w jego ślady, napinam palce u stóp, przęcając podbicie, a on własnoręcznie nasuwa mi but na nogę. Następnie łapie luźne końce rzemyków i zacieśnia cholewkę najpierw w kostce, później na wysokości łydki, a wreszcie tuż pod kolaniem. Spogląda na mnie, nie wypuszczając mojej stopy z uścisku palców. Czuję ciepło jego ciała przez cienką skórkę. Aż podwijam palce z uciechy.

— Anno, wyjdiesz za mnie? — pyta jakby nigdy nic, nie zmieniając pozycji.

— Czy za ciebie wyjdę?

Potakuje skinieniem.

— Zabiorę cię do Świętego Marcina, a potem znajdziemy księdza. Możemy się pobrać w sekrecie. Dzięki temu będę mógł cię ochraniać i dbać o ciebie. Gdy zostaniesz moją żoną, Edward dostrzeże w tobie swoją bratową i przydzieli ci należną część spadku. Bo widzisz, mnie nigdy by nie odmówił.

Podstawia mi drugi but, nie czekając, co odpowiem. Napinam palce i wsuwam stopę. On tak jak przedtem zacieśnia cholewkę, kolejno w kostce, na wysokości łydki i tuż pod kolanem. Jest coś niezwykle zmysłowego w staranności, z jaką to robi, wędrując powoli w górę mojej nogi. Przyzymkam powieki, sekretnie łaknąc jego dotyku na wewnętrznej stronie mego uda. Wtem Ryszard łapie za skraj sukni i pociąga zdecydowanym ruchem, zasłaniając nawet obcas, jakby w ten sposób chciał bronić mej niewinności albo pokazać, że mogę mu ufać. Nadal klęcząc, kładzie obie dłonie na łożku po moich bokach i zadziera głowę, by spojrzeć na mnie oczyma przepełnionymi pożądaniem.

— Zgódź się — szepcze. — Wyjdź za mnie.

Waham się. Otwieram oczy.

— Tobie przypadnie mój majątek — zauważam trzeźwo. — Jeśli za ciebie wyjdę, wszystko co moje przejdzie na twoją własność. Tak jak było w przypadku Izabeli i Jerzego.

— Tym większą będziesz miała pewność, że go dla ciebie zdobędę — rzecze z prostotą. — Gdy nasze interesy będą się pokrywały, będziesz mogła być pewna, że o ciebie będę się troszczył nie mniej niż o siebie. Staniesz się moją rodziną. I przekonasz się, że potrafię zadbać o rodzinę.

— Dochowasz mi wierności?

— *Loyaute me lie* — powtarza swoje motto. — Nigdy nie łamię danego słowa.

Nadal nie wiem, jak postąpić.

— Och, Ryszardzie... Odkąd papa zwrócił się przeciwko twemu bratu, nic nie jest tak, jak powinno być. Moje życie od dnia jego śmierci to ciągłe pasmo żalu...

Ujmuję obie moje dłonie swoimi ciepłymi rękami.

— Wiem. Nie zdołam zwrócić ci ojca, ale mogę zwrócić cię światu. Zajmiesz należne ci miejsce na dworze królewskim, w pałacu, w kolejce do tronu... znajdziesz się tam, gdzie zawsze chciał cię widzieć twój ojciec. A kiedy odzyskam dla ciebie twoje ziemie, będziesz panią na swoich włościach, będziesz mogła wdrażać w życie jego plany.

Potrząsam głową, uśmiechając się przez zły.

— To niemożliwe. Papa miał wielkie ambicje. Marzyło mu się, abym zasiadła na tronie Anglii.

— Kto wie? — pyta retorycznie Ryszard. — Gdyby coś przytrafiło się Edwardowi i jego synowi, i Jerzemu... Boże, uchowaj... wtedy ja byłbym królem.

— Mało prawdopodobne — stwierdzam, czując się tak, jakby to papa podpowiadał mi słowa w tej rozmowie.

— Owszem — przyznaje Ryszard — mało prawdopodobne. Lecz ze wszystkich ludzi ty i ja wiemy najlepiej, jak trudno jest przewidzieć przyszłość. Żaden śmiertelnik nie wie, co może się wydarzyć. Dlatego skup się na tym, co w zasięgu ręki. Uczynię cię księżną z królewskiego rodu. Ty przysporzysz mi bogactwa. Dzięki mnie będziesz równa swojej siostrze i bezpieczna przed zakusami jej męża. Dochowam ci wierności. Bo... chyba już to wiesz, Anno, prawda?... kocham cię nad życie.

Mam wrażenie, że nazbyt długo żyłam w świecie pozbawionym miłości. Ostatnią przyjazną mi twarz widziałam, gdy papa żegnał się ze mną, zanim pożegłował ku brzegom Anglii.

— Naprawdę mnie kochasz?

— Tak. — Wstaje i jednym zwinnym ruchem podnosi mnie na nogi. Brodą sięgam mu do ramienia, na wysokości oczu mam kołnierz jego dubletu. Oboje jesteśmy drobnej budowy ciała, szczupli, młodzieńczy w wyglądzie. Pasujemy do siebie. — Wyjdiesz za mnie? — pyta natarczywym szeptem.

— Tak — odpowiadam.

Mój dobytek trafia do jednego tobołka, a Ryszard z drugiego wyjmuje pelerynę podkuchennej z obszernym kapturem, który mogę naciągnąć mocno na twarz.

Mimo to protestuję, gdy zarzuca mi ją na ramiona.

— Cuchnie zjełczałym tłuszczem!

Śmieje się w głos.

— Tym lepiej. Wymkniemy się jako śmierdząca para: pacholek i podkuchenna, i nikt nawet nie zwróci na nas uwagi.

Bramy są otwarte na oścież, w tę i we w tę jak zwykle przemieszczają się tabuny ludzi, tak że korzystając z rechwachu, wychodzimy na zewnątrz razem z kilkoma mleczarkami pędzącymi przed sobą krowy. Rzeczywiście nikt nie zwraca na nas uwagi i nikt nie powinien się spostrzec, że zniknę-

łam. Służący pomyślał, że udałam się do pałacu z siostrą i jej dworkami, i nie będą mnie szukali, a prawda wyjdzie na jaw dopiero za parę dni, gdy Izabela i Jerzy wrócą i zdadzą sobie sprawę z tego, że uciekłam. Wybucham śmiechem na tę myśl i Ryszard, który nawet na moment nie puszcza mojej ręki, kiedy przedzieramy się przez zatłoczone ulice, obraca się i uśmiecha, a po chwili także się śmieje, jakby czekała nas przygoda, jakbyśmy byli parą swawolnych dzieci uradowanych psikusem, który udało się wyciąć dorosłym.

Jest już ciemno, gdy docieramy do kolegiaty stojącej w cieniu katedry Świętego Pawia, lecz boczne drzwi nadal stoją otworem i wciąż przeciskają się przez nie ludzie. W środku znajdują się kramy z przeróżnymi towarami, ludzie tutaj handlują, czym się da, pieniądze przechodzą z rąk do rąk, w rogach odbywają się jakieś pokątne interesy. Wszyscy noszą kaptury i są szczelnie opatuleni przed chłodem ciągnącym od rzeki, a także przed wzrokiem postronnych. Każdy tutaj zdaje się pilnować własnego nosa.

Przystaję; ogarnia mnie nagła niepewność. Ryszard zerka na mnie.

— Czekasz na ciebie osobna izba, nie będziesz musiała stykać się z plebem — obiecuje. — Schronienia szukają tu ludzie wszelkiego autoramentu: przestępcy, fałszerze monet, zwykli złodzieje... Nie masz się jednak czego obawiać. Tutejsi duchowni szczytą się potęgą swego sanktuarium: jeszcze nigdy nie wydano tu nikogo, kto poprosił o azyl. Nawet jeśli Jerzy odkryje miejsce twego pobytu, Kościół nie wyda cię w jego ręce. Kolegiata Świętego Marcina słynie z niechęci do współpracy... — uśmiecha się krzywo. — Nawet mój brat król nie ma tutaj władzy.

Wkłada moją zmarzniętą dłoń pod swoje ramię i prowadzi mnie dalej. W chwili gdy przekraczamy próg, dzwony na wieży zaczynają bić, wzywając wszystkich na spoczynek, i z cienia wyłania się zakonnik, który rozpoznawszy Ryszarda, bez słowa wiedzie nas ku gościńcowi.

Wzmacniam uścisk na ramieniu Ryszarda.

— Będziesz tutaj bezpieczna — zapewnia mnie.

Zakonnik staje przy jakichś drzwiach, a Ryszard wprowadza mnie za nie, do niewielkiego pomieszczenia przypominającego mnisią celę. Z tyłu znajduje się jeszcze ciaśniejszy kącik z wąskim łóżkiem, nad którym wisi przybity do ściany gwoździem krucyfiks. Służka wstaje z zydła przy kominku i niezgrabnie dyga przede mną.



— Jam Megan — przedstawia się z tak ciężkim północnym akcentem, że ledwie ją rozumiem. — Książę pan kazali pomóc się panience rozgościć.

— Megan dotrzyma ci towarzystwa, a w razie potrzeby pośle po mnie albo sama mnie sprowadzi — wyjaśnia Ryszard. Palcami manipuluje pod moją brodą, walcząc z tasiemkami kaptura. Zdejmując mi pelerynę z ramion, w delikatnej pieszczocie gładzi mnie po policzku. — Tutaj nie spotka cię nic złego, a zresztą odwiedzę cię już jutro.

— Zorientują się, że uciekłam z L'Erber, jak tylko wrócą z pałacu — ostrzegam go przezornie.

Uśmiecha się szczerze rozbawiony.

— Wściekną się, to pewne — rzecze. — Niemniej nic nie będą mogli zrobić: ptaszyna uleciała i niebawem uwije sobie gniazdko gdzie indziej.

Pochyliła ciemnowłosą głowę i składa pocałunek na moich ustach. Na dotyk jego warg ogarnia mnie ochota na więcej, pragnę, by całował mnie tak jak wtedy, gdy do niego podbiegłam, kiedy zakradł się do mej komnaty w przebraniu niczym rycerz do damy swego serca w balladzie. Na myśl, że mnie uratował z opresji, biorę głębszy oddech i podchodzę bliżej. Ryszard obejmuje mnie ramionami i stoi przez chwilę bez najlżejszego ruchu.

— Wrócę jutro w południe — zarzeka się, po czym wychodzi, pozostawiając mnie samą w mój pierwszy dzień wolności.

Wyglądam przez okienko na rojne ulice w cieniu katedry. Jestem wolna, lecz nie mogę opuszczać tego kościoła, nie mogę nawet z nikim rozmawiać. Megan to moja służka, ale też moja strażniczka. Odzyskałam wolność, lecz dałam się zamknąć w sanktuarium, całkiem jak moja matka. Jeśli Ryszard jutro się nie zjawi, okażę się więźniem — tak jak Małgorzata Andegaweńska w Tower; tak jak pani matka w Beaulieu.

**KOLEGIATA ŚWIĘTEGO MARCINA,  
LONDYN  
LUTY 1472 ROKU**



Zjawia się, tak jak obiecał, nazajutrz w południe z młodzieńczą twarzą ściągniętą powagą. Całuje me dłonie, lecz nie bierze mnie w ramiona, mimo że stoję tuż obok i całą sobą łaknę jego dotyku. To cierpienie gorsze niż głód. Nie miałam pojęcia, że namiętność może tak wyglądać.

— Co się stało? — Nawet ja słyszę błagalne nutki w swoim głosie.

Obdarza mnie krótkim pocieszającym uśmiechem, po czym zasiada przy stolicku pod oknem, gestem zapraszając, abym zajęła miejsce naprzeciwko niego.

— Powstał kłopot — informuje rzeczowo. — Jerzy odkrył, że zniknęłaś, mówił o tobie z Edwardem i domaga się twego powrotu. Jest gotów pójść na ustępstwo, pod warunkiem że poślubiając mnie, wyrzekniesz się swego majątku.

Chwytam się za gardło.

— Tak szybko odkrył moją nieobecność? Co na to Izabela? Co na to król?

— Edward potraktuje nas sprawiedliwie. Wszakże nie może nastawić Jerzego przeciwko sobie ani zniechęcić go do siebie. Nasz brat ma nazbyt dużo władzy, nazbyt dużo zwolenników, abyśmy mogli zrobić sobie z niego wroga. Stał się niebezpiecznie silny. Niewykluczone, że spiskuje z twoimi krewniakami Neville'ami, szykując kolejny zamach stanu. Bez wątpienia przyjmuje licznych gości o najdziwniejszych porach. Edward mu nie ufa, ale musi mu okazywać swoje względy, jeśli chce mieć w nim poplecznika.

Przez moment boję się, że Ryszard w obliczu kłopotów wyrzeknie się mnie.

— Co uczynimy? Co możemy uczynić? — pytam.

Ryszard podnosi moją dłoń do ust i składa pocałunek na czubkach palców.

— Ty zostaniesz tutaj, całkowicie bezpieczna, i postarasz się o nic nie martwić. Ja zaproponuję Jerzemu urząd lorda szambelana.

— Oddasz mu swój urząd?

Krzywi się na takie postawienie sprawy.

— Tak, wiem. To wysoka cena. Byłem bardzo dumny z tego stanowiska, najwyższego... i najbardziej dochodowego... w Anglii, jednakże ta sprawa jest dla mnie więcej warta. — Poprawia się prędko: — Ty jesteś dla mnie więcej warta. Jesteś bezcenna. — Po kolejnej chwili milczenia dodaje: — Jest też drugi szkopał. Twoja matka wypisuje listy do każdego, do kogo może, twierdząc w nich, że ktoś przetrzymuje ją wbrew jej woli i chce odebrać jej majątkość. Domaga się uwolnienia. Źle to wygląda... Edward obiecał być sprawiedliwym władcą. Nie pozwoli, aby uważano go za zbrojnego, który okrada wdowę uwięzioną w sanktuarium.

Spoglądam na tego młodzieńca, który obiecał mnie wybawić z opresji, a teraz sam naraził się dwóm najpotężniejszym mężczyznom w królestwie, i to własnym braciom. Drogo go będzie kosztować lojalność wobec mnie.

— Nie wrócę do nich — zapowiadam. — Uczynię wszystko, czego sobie zażyczysz, ale nigdy nie wrócę pod dach Jerzego i Izabeli. Nie mogę. Odejdę sama, jeśli będę musiała, ale za nic w świecie nie wrócę do tamtego więzienia...

Ryszard kręci zdecydowanie głową.

— To nie będzie konieczne — zapewnia mnie. — Musimy tylko bezzwłocznie się pobrać. Wtedy nikt nie będzie mógł mi ciebie odebrać. Gdy będziesz moją żoną, nikt nie śmie tknąć cię choćby palcem, a o twój spadek mogę się równie dobrze upomnieć już jako twój mąż.

— Potrzebujemy dyspensy od papieża — przypominam mu. — Papa musiał dwukrotnie występować do Rzymu w wypadku Jerzego i Izabeli, którzy są spokrewnieni równie blisko jak my, z tym że nas teraz łączy jeszcze bliższe więzi. Jesteśmy nie tylko kuzynami, ale też powinowatymi: ty dziewierzem Izabeli, a ja świecią twego brata.

Ryszard marszczy czoło, bębni opuszkami palców po blacie.

— Wiem, wiem... Pomyślałem już o tym i zamierzam pchnąć posłańca do Rzymu. Ale to zabierze długie miesiące. — Nagle spogląda prosto na

mnie, jakby chciał ocenić siłę mej determinacji. — Zaczekasz? Zaczekasz tu, gdzie nic ci nie grozi, lecz gdzie również nie masz pełnej swobody, aż Ojciec Święty udzieli nam dyspensy?

— Zaczekam — obiecuję mu.

Przemawia przeze mnie młoda niewiasta, która po raz pierwszy w życiu czuje miłość do mężczyzny. Zarazem jednak w głębi duszy wiem, że nie mam się gdzie podziąć i że na całym świecie nie ma nikogo innego, kto byłby wystarczająco zamożny i potężny, aby uchronić mnie przed zakusami Jerzego i Izabeli.

**KOLEGIATA ŚWIĘTEGO MARCINA,  
LONDYN  
KWIECIEŃ 1472 ROKU**



W miarę jak dni stają się coraz dłuższe i jaśniejsze, ja — tkwiąc za murami sanktuarium — z coraz większą niecierpliwością wypatruję wolności. Uczestniczę w nabożeństwach odprawianych w kolegiacie, a do południa pogrążam się w lekturze ksiąg z tutejszej biblioteki. Mam pożyczoną od Ryszarda lutnię, na której grywam popołudniami, jeśli akurat nie szyję. Czuję się jak więzień, nudzę się i zamartwiam równocześnie. Jestem całkowicie uzależniona od Ryszarda — zarówno gdy chodzi o moje bezpieczeństwo, jak i o utrzymanie. On jeden składa mi tutaj wizyty. Niegdyś marzyłam o tym, aby być księżniczką, na którą ktoś rzucił zaklęcie i która musi czekać na ratunek księcia, jednakże teraz na własnej skórze się przekonuję, że w wypadku niewiasty nie jest to położenie godne pozazdroszczenia. Czuję się zupełnie bezradna i nawet nie mam się komu poskarżyć.

Ryszard odwiedza mnie codziennie; czasem przynosi bazie puszczone pączki, kiedy indziej znów naręcze żonkili, zaświadczające, że zbliża się wiosna, pora godów, i że niedługo raz jeszcze przywdzieję biały welon. Przysyła mi szwaczkę, która ma mnie wyposażyć na okazję naszego dnia ślubu, i wtedy cały ranek spędzam na przymiarkach sukni z bladego złotego aksamitu ze spódnicami z kremowego jedwabiu. Innym razem pojawia się tkaczka, której zadaniem jest ozdobić mój spiczasty kornet białą koronką przetykaną złotą nicią. Przeglądam się w przyniesionym przez nią zwierciadle i widzę smukłą dziewczę o zafrasowanym obliczu i ciemnoniebieskich oczach. Uśmiecham się do swego odbicia, wiedząc, że nigdy nie będę prawdziwie wesoła jak Elżbieta ani urocza jak jej matka, Jakobina; że nigdy nie dorównam żadnej niewieście z tego rodu. One nie

wychowywały się pośród wiecznych bojów, nie traciły co rusz pewności siebie — natomiast ja wiecznie się bałam, ich także. Służka odgarnia moje gęste kasztanowe włosy i upina je na czubku głowy.

— Będziecie, jasna pani, cudną panną młodą — słyszę.

Któregoś ranka Ryszard ma twarz chmurniejszą niż zwykle.

— Chciałem powiedzieć Edwardowi o naszych planach małżeńskich, ale dziecko królowej pośpieszyło się na świat i mój brat pojechał do Windsoru, aby być z nią.

Natychmiast przypomina mi się nasza przeprawa za Kanał Angielski i ciężki poród Izabeli na pokładzie — istny koszmar spowodowany przez wiatr wzbudzony przez czarownicę, która sprawiła, że okręt pana ojca podskakiwał na wzburzonym morzu niczym łupina orzecha rzucona dziecięcą ręką do strumyka i że moja siostra straciła pierworodnego syna, a papa pierwszego wnuka. Ani trochę nie współczuję królowej, lecz nie mogę tego okazać przed Ryszardem, który jest lojalnym bratem Edwarda i czułym dziecierem.

— Tak mi przykro — mówię nieszczerze. — Ale czyż jak zwykle nie towarzyszy królowej jej matka?

— Księżna wdowa jest chora — rzecze mi. — Powiadają, że na serce. — Zerka na mnie zażenowany. — Powiadają, że ma złamane serce...

Nie musi mówić nic więcej. Wszyscy wiedzą, że serce Jakobiny pękło, gdy papa kazał ściąć jej męża i ukochanego młodziutkiego syna. Mimo to dzielnie się trzyma — od tamtej pory minęły ponad dwa lata. Zresztą nie ona jedna straciła ukochane osoby. W tej samej wojnie oddali życie mój małżonek i mój ojciec. A czy ktokolwiek uzalił się nade mną?

— Tak mi przykro — powtarzam.

— Takie są koleje wojny. — Ryszard ucieka się do utartej formułki pomocnej w takich wypadkach. — W każdym razie nie zobaczyłem się z Edwardem, zanim odjechał. I nie zobaczę się przez jakiś czas, gdyż z pewnością pozostanie przy żonie i dziecku.

— Co zatem będzie? — Wygląda na to, że mamy związane ręce, że w dalszym ciągu nie mogę uczynić niczego bez zgody królowej, a raczej trudno uwierzyć, aby dała nam swoje błogosławieństwo, skoro wszyscy uważają, że jej matka umiera z żalości z powodu tego, co zrobił pan ojciec. — Ryszardzie, nie możemy czekać, aż królowa nastawi do nas przychylnie króla. Nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek miała przebaczyć mojemu ojcu.

Ryszard uderza dłonią na płask w blat stołu.

— Już wiem! Wiem, co zrobimy! Pobierzemy się i powiemy im po fakcie, a dyspensę papieską odbierzemy później!

Nie wierzę własnym uszom.

— Możemy tak postąpić?

— Czemu by nie?

— Ale czy małżeństwo będzie ważne?...

— Będzie ważne w oczach Boga, a ważnym w oczach człowieka uczyni je dyspensa papieska, która nadejdzie prędzej czy później!

— Ale papa...

— Gdyby twój ojciec wydał cię za księcia Edwarda, nie czekając na dyspensę, wypłynęlibyście wszyscy razem i zwyciężyli pod Barnet.

Nagły żal przesywa mi serce niczym sztylet.

— Naprawdę?

Ryszard potakuje skinieniem.

— Oczywiście. Dyspensa i tak nadeszła, a twój pobyt we Francji ani trochę jej nie przyspieszył. Za to gdybyście wszyscy, ty, Małgorzata Andegaweńska i książę Edward, wypłynęli razem z twoim ojcem, wtedy miałyby pod Barnet połączone siły. Pokonałyby nas dzięki posiłkom lancasterów, które przybyłyby pod sztandar twojej świkry. Oczekiwanie na dyspensę było wielkim błędem. Zwłoka rzadko kiedy wychodzi na dobre. Dlatego pobierzemy się teraz, a na dyspensę poczekamy, aby uczynić nasze małżeństwo ważnym w oczach ludzi. Zresztą przed Bogiem i tak liczą się tylko słowa przysięgi małżeńskiej wypowiedziane w obecności księdza.

Waham się.

— Chyba chcesz mnie poślubić? — Popatruje na mnie z domyślnym uśmiechem.

Doskonale wie, że tego pragnę i że moje serce zaczyna bić szybciej, ilekroć mnie dotyka tak jak choćby teraz; ilekroć nachyla się ku mnie i jego twarz jest tak blisko, że mógłby mnie pocałować, gdyby tylko chciał...

— Tak — odpowiadam.

Albowiem taka jest prawda: rozpaczliwie pragnę poślubić Ryszarda i skończyć z tym niby-życiem za murami sanktuarium. Poza tym to jedyne rozwiązanie w mojej sytuacji.

**KOLEGIATA ŚWIĘTEGO MARCINA,  
LONDYN  
MAJ 1472 ROKU**



Drugi raz w życiu sunę nawą kościoła ku ołtarzowi, gdzie czeka na mnie młody i przystojny narzeczony. Wbrew sobie wspominam księcia Edwarda, nie mającego w tamtej chwili pojęcia, że przypieczętowany naszym małżeństwem sojusz zawiedzie go w ramiona śmierci, że związek naszych ciał i dusz potrwa niespełna pół roku, zanim przyjdzie mu bronić praw do korony, wyruszyć w pole i nigdy nie wrócić do domu i do mnie.

Powtarzam sobie, że tym razem jest inaczej — tym razem to ja wybrałam sobie małżonka, zamiast słuchać bezmyślnie poleceń papy i napawającej strachem świekry. Tym razem sama kuję swój los, biorę swoje życie w swoje ręce. Mam piętnaście lat, zostałam wydana za mąż i owdowiałam, byłam snechą królowej Anglii i żoną księcia Walii. Byłam pionkiem w rękę papy, w rękę złej królowej, w rękę własnej siostry i swaka. Teraz jednak to ja rozdaję karty.

Naprzeciwko czekającego na mnie Ryszarda stoi nasz wspólny krewniak, arcybiskup Bouchier, trzymając mszał otwarty na liturgii małżeńskiej. Rozglądam się wokół. W kaplicy jest pusto jak na pogrzebie biedaka. Kto by pomyślał, że dziś odbywa się ślub księżnej wdowy i królewskiego brata? Nie ma przy mnie siostry — ta stała się moim wrogiem. Nie ma przy mnie matki — ta wciąż pozostaje uwięziona za murami sanktuarium. Nie ma przy mnie ojca — poległ i nigdy więcej go nie zobaczę. Umarł, walcząc o to, bym włożyła koronę Anglii, a wraz z nim przepadły wszystkie jego ambicje i marzenia. Kiedy idę nawą, przytłacza mnie brzemień samotności; skórzane podeszwy pantofli stukają na pamiątkowych płytach pod moimi stopami, przypominając mi,



że pod spodem, w nieskończonej ciemności, leżą ciała tych, którzy też kiedyś sądzili, że zagrają wedle własnych reguł...

Nie mamy dokąd pójść. Na tym polega ironia naszej sytuacji. Ja jestem najzamożniejszą dziedziczką w królestwie — z setkami dworców i kilkoma zamkami, które wniosłam w posagu memu mężowi, ten zaś z kolei jest bratem króla i czerpie dochody z paru znaczących hrabstw Anglii. A mimo to nie mamy dachu nad głową. Ryszard nie może mnie zabrać do zamku Baynarda, swej londyńskiej siedziby, gdyż tam żyje jego matka, siejąca postrach księżna Cecylia, na której widok truchlało mi serce, gdy była tylko świekrą Izabeli. Nie śmiem stanąć z nią oko w oko po sekretnym ślubie z jednym z jej synów wbrew woli i intencjom pozostałych dwóch książąt.

Co zrozumiałe, nie możemy wrócić do Jerzego i Izabeli, którzy wyjdą z siebie z gniewu, kiedy usłyszą o wypadkach dzisiejszego dnia. Uprzedzając propozycję Ryszarda, kategorycznie odmawiam powrotu do gościńca kolegiaty w mojej prześmierdłej zjełczałym tłuszczem pelerynie. Koniec końców nasz krewniak arcybiskup udziela nam gościny w swym pałacu, pozwalając zostać tak długo, jak będziemy chcieli. To czyni go jeszcze bardziej współwinnym tego małżeństwa, aczkolwiek Ryszard zapewnia mnie szeptem, że Tomasz Bouchier nigdy nie poprowadziłby nabożeństwa, gdyby nie uzyskał pierwiej zgody króla Edwarda. Jak widać, ostatnimi czasy w Anglii nie dzieje się nic bez wiedzy i przyzwolenia członków dynastii Yorków. Tak więc choć myślałam, że jesteśmy buntowniczymi kochankami działającymi w wielkiej tajemnicy, którzy pobrali się z miłości i szukają gniazdka na miesiąc miodowy, najwyraźniej bardzo się myliłam. I to od samego początku. Sądziłam, że planuję swoje życie bez udziału osób trzecich, tymczasem okazało się, że moi wrogowie, król i jego szarooka królowa, przez cały czas o wszystkim wiedzieli.

## PAŁAC W LAMBETH, LONDYN LATO 1472 ROKU



Lato należy do nas. Co dzień rano, budząc się, widzę delikatne złociste światło wpadające do środka przez wykuszowe okno z panoramą na rzekę oraz czuję ciepłą, intensywną obecność Ryszarda śpiącego w moim łóżku niczym mały chłopiec. Pościel jest skotłowana po naszych miłosnych zmaganiach, pięknie haftowana narzuta na wpół nas przykrywa, na wpół zwisa nad podłogą, ogień na kominku dawno wygasł, zostawiając tylko popiół, jako że Ryszard nie pozwala nikomu wchodzić do naszej komnaty bez wezwania. Tak mija nam lato...

Zaczynam rozumieć niewolnicze przywiązanie Izabeli do Jerzego. Zaczynam rozumieć namiętny związek króla i królowej. Zaczynam rozumieć Jakobinę, która umiera na złamane serce po utracie ukochanego męża. Dowiaduję się, że miłość do młodego, zaprawionego w bojach mężczyzny, który broni moich interesów, obdarza mnie swoim uczuciem z własnej woli i co noc zlega przy mnie, by dać mi radość, potrafi wyrzucić życie niewiasty do góry nogami. Choć byłam już przedtem zamężna, nigdy nie czułam takiego dreszczu, nikt nie dotykał mnie i nie podziwiał w taki sposób. Doświadczyłam bycia żoną, lecz nie kochanką. Przy Ryszardzie jestem wszystkim naraz: towarzyszką życia, towarzyszką łoża, towarzyszką podróży, towarzyszką broni, a nawet przyjaciółką i doradczynią. Przy Ryszardzie z dziewczyny przeistaczam się w dojrzałą niewiastę, połowicę w małżeństwie.

— Co z naszą dyspensą? — pytam leniwie któregoś ranka, gdy Ryszard obsypuje mnie pocałunkami, licząc na głos, ponieważ założył sobie, że musi dojść do pięciuset, zanim wstanie.

— Przerwałaś mi i muszę zaczynać od początku — skarży się żartobliwie. — O jakiej dyspensie mówisz?

— O tej od papieża. Dotyczącej naszego ślubu.

— A, o tej. Jest w drodze. Przecież wiesz, że takie sprawy ciągną się zwykle miesiącami. Złożyłem prośbę na piśmie i oczekuję na odpowiedź. Powiem ci, gdy ją dostanę... Przy ilu mi przerwałaś?

— Przy trzystu dwóch — podpowiadam.

Ryszard delikatnie przykłada wargi do mojej skóry.

— Trzysta trzy... — podejmuje.

Każdą noc spędzamy razem. Nawet kiedy musi złożyć wizytę w pałacu — czy w jednym z zamków hrabstwa Kent, gdzie tego lata przebywa król z królową — Ryszard wyjeżdża wcześniej rano z grupą bliskich przyjaciół: Brackenburym, Lovellem, Tyrrellem i jeszcze paroma innymi, po czym wraca do mnie o zmierzchu, spotkawszy się z bratem i bratową. Zarzeka się, że nic nas nie rozdzieli nawet na jedną noc. Co wieczór czekam na niego w obszernej komnacie gościnniej pałacu w Lambeth ze stołem nakrytym do wieczery, a on pojawia się wprost z drogi, jeszcze zakurzony, i posila się, jedząc, pijąc i rozmawiając równocześnie. Przy którejś z takich okazji dowiaduję się, że najmłodsze dziecko królowej zmarło i że Elżbieta ścichła i posmutniała. Jakobina odeszła tego samego dnia co niemowlę; niektórzy ponoć słyszeli pieśń lamentacyjną unoszącą się nad wieżami zamku. Ryszard przekazuje mi te pogłoski z powagą, czyniąc znak krzyża, po czym natychmiast śmieje się z siebie, że zamienił się w przesadnego łatwowiernego głupca. Nie zważając na jego słowa, pod stołem układam palce w gest mający bronić przed urokiem.

— Baronowa Rivers była wyjątkową niewiastą — oznajmia z pokorą mój mąż. — Pamiętam, że gdy ją poznałem jeszcze jako chłopiec, uważałem ją za najstraszliwszą i najpiękniejszą osobę, jaką w życiu widziałem. Potem, gdyśmy się spowinowacili po ślubie Elżbiety i Edwarda, pokochałem ją szczerze i zacząłem żywić dla niej podziw. Miała zawsze tyle ciepła dla dzieci, nie tylko swoich, ale wszystkich w pałacu, i była taka lojalna wobec Edwarda... gotowa dla niego na wszystko.

— Stała się moim wrogiem — rewanżuję się własnymi wspomnieniami — lecz wcześniej także byłam pod jej wielkim wrażeniem. I królowej też.

— Teraz byłoby ci żal Elżbiety — rzecze Ryszard. — Jest bardzo samotna po odejściu matki i śmierci najmłodszego dziecka.

— No tak, ale ma czworo udanych — wypominam hardo — w tym jednego syna.

— Yorkowie są znani z tego, że zakładają duże rodziny — uśmiecha się do mnie.

— A mówisz o tym, dlatego że...?

— Dlatego że moglibyśmy pójść do łóżka i sprawdzić, czy uda nam się począć małego markiza.

Czuję, że się rumienię, lecz nie okazuję wstydu z powodu swojej namiętności do niego.

— Może byśmy mogli... — odpowiadam, wiedząc, że Ryszard poczyta to za „tak”.

## ZAMEK W WINDSORZE WRZESIEŃ 1472 ROKU



Raz jeszcze czeka mnie przedstawienie parze królewskiej; raz jeszcze czuję mieszaninę strachu i ekscytacji. Tym razem nikt mnie nie poprzęda, nikt nie rwie się, aby mnie strofować. Nie muszę się obawiać, że niechcący przydepnę tren pani matki, albowiem ta nadal jest przetrzymywana w Beaulieu, a zresztą nawet gdyby była wolna i obecna tutaj, nie szłaby przede mną, gdyż teraz to ja jestem od niej ważniejsza. Wżeniłam się w ród królewski, jestem księżną, żoną brata króla. Niewiele jest niewiast w Anglii, które mogą kroczyć przede mną.

Nie muszę też obawiać się szorstkich słów Izabeli, ponieważ teraz w niczym jej nie ustępuję. Obie jesteśmy księżnymi z dynastii Yorków. Podzieliłyśmy się spadkiem, dzięki czemu nasi mężowie mogą się cieszyć naszą fortuną; podzieliłyśmy się również braćmi króla — Izabeli dostał się Jerzy, przystojniejszy z nich dwóch, za to mnie Ryszard, który jest lojalniejszy i bliższy sercu Edwarda. Mój mąż jest tu ze mną i właśnie dodaje mi otuchy ciepłym uśmiechem. Wie, że się denerwuję i że za wszelką cenę chcę zostać uznana na tym wspaniałym dworze królewskim za tę, kim się stałam: księżną Gloucester, jedną z najpierwszych dam królestwa.

Mam na sobie suknię utrzymaną w głębokiej czerwieni. Przekupiłam jedną z garderobianych Izabeli, aby się dowiedzieć, co moja siostra zamierza włożyć dzisiejszego wieczora, i okazało się, że wybrała suknię bladoliliową, a do niej ametysty. Mój strój sprawi, że zblednie przy mnie do nicości. Na dekolcie mam naszyjnik z rubinów, a cerę kremową na tle ciemnej sukni i lśniących krwiście klejnotów. Głowę przystroiłam kornetem tak wysokim, że góruje nade mną i moim mężem niczym iglica kościoła, do tego ciągnę za sobą szkarłatny welon. Skraj mej sukni jest lamowany

jedwabiem w ciemniejszym odcieniu, a rękawy są śmiało rozcięte, tak że pokazują biel moich nadgarstków. Wiem, że wyglądam ślicznie. Mam szesnaście lat i skórę niczym płatek róży. Elżbieta, ukochana żona króla Edwarda, wypadnie przy mnie staro i brzydko. Albowiem nadszedł moment mojego tryumfu, mój czas rozkwitu.

Drzwi przed nami otwierają się, Ryszard ujmuje mnie za rękę, spogląda na mnie z ukosa i rzuca komendę „naprzód marsz!”, jakbyśmy znajdowali się na polu bitwy.

Przestępujemy próg komnaty gościnnej na zamku w Windsorze. Jak zawsze w apartamentach królowej Elżbiety, w środku panuje jasność bijąca od najlepszych świec i wspaniałych strojów jej dam dworu. Toczy się właśnie gra w kule; sądząc ze śmiechu i aplauzu, zwyciężczynią jest oczywiście Elżbieta. Pod przeciwległą ścianą stoją grajkowie, do których melodii tańczą dworki ustawione w kręgu i trzymające się za ręce, by chwilami uformować pary i rzędy, nie przestając rzucać spod rzęs spojrzeń na ulubionych dworzan, którzy z kolei podpierają ściany i przyglądają się niewiastom, jakby to były konie myśliwskie pełnej krwi. Król zasiada w samym środku komnaty i zabawia się rozmową z Lodewijkem van Gruuthusem, który pozostał jego przyjacielem, kiedy wszyscy inni go opuścili, gdy mój ojciec jawił się pewnym zwycięzcą. Lodewijk zaprosił Edwarda na swój dwór we Flandrii, zapewnił mu ochronę i wsparcie podczas gromadzenia armii, okrętów i funduszy, umożliwiając skuteczny powrót do kraju. Za swoje zasługi Lodewijk otrzymał właśnie tytuł hrabiego Winchesteru, co stanowi pretekst do wielodniowych uroczystości. Edward znany jest z tego, że zawsze spłaca swoje długi i wynagradza faworytów. Oraz — co jest dobrą wiadomością dla mnie — czasami wybacza swoim wrogom.

Podnosi spojrzenie, gdy wchodzimy — jego ukochany brat i nowa bratowa — wydaje okrzyk radości i zrywa się z miejsca, aby nas powitać. Zazwyczaj zachowuje się swobodnie i miło wobec tych, których lubi i którzy dostarczają mu rozrywki, i teraz też sięga po moją dłoń i całuje mnie prosto w usta, jakby w ogóle nie pamiętał, że kiedyśmy widzieli się ostatnio, pozostawałam w niełasce i nie mogłam się doń nawet odezwać, zmuszona dygać w milczeniu, gdy przechodził obok.

— Patrz, kto przyszedł! — woła zachwycony do królowej.

Elżbieta zbliża się, aby odebrać od nas pokłony; pozwala Ryszardowi ucałować się w policzek, po czym odwraca się do mnie. Wszystko wskazuje

na to, że oboje z królem postanowili powitać mnie na swym dworze przyjaźnie, traktując jak siostrę, którą się dla nich stałam przez małżeństwo z Ryszardem. Jedynie słaby błysk złości w szarych oczach Elżbiety mówi mi, że bawi ją moja obecność tutaj, na najwystawniejszej uczcie całego roku wydanej na cześć wiernego sojusznika jej męża, do tego w glorii tryumfu po tym, jak zostałam rzucona na kolana.

— Anno — odzywa się do mnie suchym tonem — życzę ci wiele radości. Co za niespodzianka. Co za tryumf szczerego uczucia!

Obraca się i kiwa ręką na dworki za sobą, a mnie opuszcza cała odwaga, gdy widzę, że z tłumku występuje naprzód moja siostra Izabela. Mimowolnie szukam oparcia w ramieniu Ryszarda, mego męża, który trwa przy mnie, kiedy blade i pełna pogardy Izabela dyga przed nami zdawkowo.

— No i proszę — mówi królowa ze śmiechem — dwie Neville'ówny do pary na dworze królewskim, do tego księżne i moje siostry. — Kto by jeszcze niedawno pomyślał coś takiego? Wasz ojciec z za grobu dopiął swego. Ależ musicie być szczęśliwe!

Antoni Woodville, baron Rivers, rzucając takie spojrzenie, jakby mieli z nas niezły ubaw.

— Zaiste, co za radosne spotkanie dwu córek Warwicka — przynajmniej zgodnie.

Izabela robi krok do przodu i obejmuje mnie, jakby chciała serdecznie uściskać, a tak naprawdę po to, by syknąć mi do ucha:

— Zhańbiłaś siebie i ściągnęłaś wstyd na moją głowę. Nie mieliśmy pojęcia, co się z tobą dzieje. Żeby uciekać jak jakaś praczka! Wolę nie myśleć, co by powiedział papa...

Wyrwam się z objęć i spoglądam jej prosto w twarz.

— Przetrzymywaliście mnie pod swym dachem wbrew mojej woli i chcieliście okraść z majątku — przypominam zapalczywie. — J a k sądzisz, co papa powiedziałaby na to? Myślałaś, że położę uszy po sobie i będę wielbić Jerzego tak jak ty? A może życzyłaś mi śmierci, tak jak życzysz jej naszej matce?

Błyskawicznym ruchem unosi rękę, jednakże natychmiast ją opuszcza. Za późno, wszyscy widzieli, że chciała mi wymierzyć policzek. Królowa wybucha śmiechem, Izabela odwraca się do mnie plecami, Ryszard wzrusza ramionami, kłania się Elżbiecie i odciąga mnie na bok.

Ktoś widać doniósł Jerzemu, bawiącemu się w przeciwległej części komnaty, że doszło do sprzeczki, ponieważ podchodzi szybkim krokiem, staje przy Izabeli i mierzy mnie i Ryszarda pałającym spojrzeniem. Przez chwilę ja i siostra okazujemy sobie jawną wrogość, gapimy się na siebie jak dwie rozjuszone kotki, z których żadna nie zamierza ustąpić — Izabela u boku księcia Clarence, ja u boku księcia Gloucester. W końcu jednak Ryszard dotyka mego ramienia i odwracamy się, ażeby poznać hrabiego Winchesteru. Przez moment prowadzimy przyjemną pogawędkę, po czym gdy zaczyna brakować tematów do rozmowy, niemal bezwiednie odwracam się, jak gdybym sądziła, że Izabela zawoła mnie do siebie; jak gdybym miała nadzieję, że znów będziemy przyjaciółkami jak za dzieciennych lat. Moja siostra rozmawia właśnie z jedną z dworek królowej, głośno się śmiejąc.

— Izabelo... — szepczę.

Oczywiście mnie nie słyszy. Dopiero gdy Ryszard prowadzi mnie w stronę kogoś innego, wydaje mi się, że dolatuje mnie jej cichy głos:

— Anno...

Nie jest to jedyne spotkanie rodzinne, w którym biorę udział tej jesieni — czeka mnie jeszcze wizyta u dostojnej matki Ryszarda, księżnej Cecylii. Wybieramy się do Fotheringhay, jej siedziby, jadąc w ładny słoneczny dzień północnym traktem. Księżna Cecylia pędzi życie z dala od dworu królewskiego, praktycznie na wygnaniu, na które sama się skazała, okazując nieprzychylną swą snesze i tym samym tracąc okazję do uczestnictwa w większości dworskich uciecz; do tego jeszcze potem sprzymierzyła się z Jerzym podczas nieudanego zamachu stanu, tracąc resztki miłości swego pierworodnego. Wszyscy starają się utrzymać pozory: księżna Cecylia posiada w stolicy własną siedzibę i od czasu do czasu bywa w pałacu, aczkolwiek nikt nie wątpi, że ostatnie słowo zawsze ma królowa. Jej świekra nie jest mile widzianym gościem i musi się zadowolić zamkiem w Fotheringhay, od dawna pozostającym w stanie półruiny. Mimo to udaje się tam w dobrym nastroju, to znaczy dopóty, dopóki Ryszard nie mówi nagle:

— Wiesz, że będziemy musieli przejechać przez Barnet? Bitwa tam rozegrała się wzdłuż traktu...



Naturalnie, że o tym wiedziałam. Nie sądziłam jednak, że będziemy przejeżdżać wzdłuż tego samego traktu, przy którym zginął mój ojciec; gdzie Ryszard, walcząc ramię w ramię ze swym bratem, zdołał pomimo niesprzyjającego ukształtowania terenu wyłonić się niespodziewanie z mgły, zaskoczyć pana ojca i pozbawić go życia. To tam wspaniały czarny ogier papieża oddał swemu panu ostatnią przysługę, gdy pozwolił, by mieczem przeszył mu wierne serce i złożył jego ciężki łeb na ziemi, pokazując swym ludziom, że ani myśli o ucieczce z pola walki, ani myśli o poddaniu.

— Nadłożymy drogi i pojedziemy objazdem — decyduje Ryszard, widząc wyraz mojej twarzy.

Rzuca rozkaz i gwardziści zjeżdżają z drogi, a my za nimi. Opuszczamy północny trakt, żeby ominąć miejsce, w którym rozegrała się pamiętna bitwa; przedzieramy się przez pastwiska i ścierniska, po czym wkracamy znów na bitą drogę za miasteczkiem. Przy każdym stąpieniu mojego wierzchowca krzywię się, jakbym jechała po pękających pod kopytami kościach, i nie mogę przestać myśleć o swej zdradzie polegającej na tym, że podążam u boku mego męża, który był wrogiem papieża i jego nemezis.

— Jest tu niedaleko kapliczka — odzywa się Ryszard. — Barnet wciąż żyje w ludzkiej pamięci. Twój ojciec także... Są odprawiane msze za jego duszę, Edward i ja dbamy o to.

— Naprawdę? — pytam. — Nie miałam pojęcia... — Mówienie przychodzi mi z trudem. Rozdziera mnie poczucie winy, że wyszłam za mężczyznę z rodu będącego wrogiem papieża.

— Ja też go kochałem — dodaje Ryszard cicho. — Dał mi wychowanie, podobnie jak wielu innym podopiecznym, traktując nas wszystkich tak, jakbyśmy byli dla niego kimś więcej niż tylko chłopcami oddanymi pod jego opiekę za wynagrodzeniem. Był dobrym opiekunem... Edward i ja mieliśmy go za naszego mentora, starszego brata. Bez niego nie zaszlibyśmy tak daleko.

Kiwam głową. Nie mówię, że papa zwrócił się przeciwko Edwardowi wyłącznie z powodu królowej i jej zachłannych krewniaków, udzielających królowi złych rad. Gdyby Edward nie ożenił się z Elżbietą... gdyby nigdy jej nie spotkał... gdyby nie wpadł w jej sidła... gdyby we dwie z Jakobiną nie rzuciły na niego uroku... gdyby nie opanowały jego

zmysłów... Otrząsam się, wiedząc, że gdybanie nic nie da, przysłuży się jeno rozdrapywaniu ran.

— On również ciebie kochał — mówię tylko. — Ciebie i Edwarda.

Ryszard potrząsa głową, doskonale zdając sobie sprawę, kto zawinił, kto wciąż pozostaje winny: żona Edwarda.

— To prawdziwa tragedia — kwituje.

Potakuję skinieniem. Resztę drogi na zamek pokonujemy w ponurym milczeniu.

**ZAMEK W FOTHERINGHAY,  
HRABSTWO NORTHAMPTONSHIRE  
JESIEŃ 1472 ROKU**



Zamek, w którym przyszedł na świat Ryszard, siedziba rodu Yorków, przedstawia obraz nędzy i rozpacz, odkąd zaczęła się wojna kuzynów i Yorkowie pozbawieni środków mogli tylko wykorzystywać go jako bazę wypadową przeciwko śpiącemu królowi i złej królowej. Mój mąż marszczy brew na widok murów chylących się ku fosie i dachów, gdzie uwiły sobie patykowate gniazda kruki.

Księżna wita mnie ciepło, mimo że jestem trzecią z rzędu sekretną oblubienicą w rodzinie.

— Ależ zawsze chciałam, aby Ryszard cię poślubił — zapewnia. — Rozmawiałam o tym z twoją matką wiele razy i dlatego tak się ucieszyłam, gdy Ryszard trafił pod opiekę twego ojca. Chciałam, żebyście mieli okazję poznać się lepiej. Moim marzeniem było, abyś została moją snechą.

Rozmawiamy nie w wielkiej sali, tylko w mniej reprezentacyjnym pomieszczeniu zamku: wyłożonej boazerią komnacie o dwóch przeciwległych kominkach i trzech olbrzymich stołach, przy których spożywają wieczerzę służący, służące i szlachetnie urodzeni. Gospodyni, jej syn oraz ja wraz z kilkoma krewnymi księżnej zasiadamy przy wysokim stole.

— Wiedziemy tu niewyszukane życie — rzecze moja świekra, mimo że widzę co najmniej setkę służby i niemało gości. — Nie w głowie nam rywalizowanie z nią i z jej dworem. Burgundzkie zwyczaje — wzrusza ramionami z chmurną miną — i inne ekstrawagancje to nie dla nas.

— Mój brat król przesyła ci swoje najlepsze życzenia — odzywa się sztywno Ryszard, po tym jak odebrał matczyne błogosławieństwo.

— A jak się miewa Jerzy? — pyta naraz księżna, ciekawa, co słyhać u jej ulubieńca.

Ryszard mruga do mnie. Opowiadał mi, że fory okazywane przez księżną środkowemu synowi stanowiły przedmiot żartów w rodzinie przez długi czas, dopóki otwarcie nie wsparta Jerzego w walce o tron, co nawet wyrozumiały Edward uznał za przesadę.

— Doskonale — odpowiada jej Ryszard — aczkolwiek nadal nie unormowaliśmy sprawy majątku naszych żon.

— Kto to widział! — kręci głową księżna Cecylia. — Takie włości nigdy nie powinny ulec podziękowaniu. Mogłeś się z nim ułożyć, Ryszardzie. Było nie było, jesteś młodszym synem. Twoim obowiązkiem jest ustępować Jerzemu.

Tak jawne przedkładanie interesu jednego syna nad drugiego bynajmniej nie jest zabawne.

— Postępuję tak, jak uważam za słuszne — rzecze oschle Ryszard. — W końcu dojdziemy z Jerzym do porozumienia. Marny byłby ze mnie mąż, gdybym pozwolił odebrać Annie to, co się jej należy.

— Lepiej być marnym mężem niż marnym bratem — zauważa przemądrzale księżna. — Spójrz na Edwarda, którego żona trzyma pod pantoflem i który dzień w dzień postępuje wbrew interesowi własnych krewnych.

— Edward mnie popiera — przypomina matce Ryszard. — Poza tym dla mnie zawsze jest dobrym bratem.

— Nie o Edwarda się martwię — mówi z powagą księżna Cecylia — tylko o jego żonę. Poczekaj, aż twoje ambicje i jej ambicje będą zbieżne, i wtedy zobacz, po czyjej stronie stanie twój dobry brat. Ta niewiasta przywiedzie go do ruiny.

— Nie sądzę, aby tak miało się stać. Zaczniemy lepiej wieszczę, pani matko.

Motyw doprowadzenia do ruiny Yorków przez podstępna Elżbietę Woodville towarzyszy nam przez całą wizytę w Fotheringhay, mimo że Ryszard każdorazowo stara się grzecznie zamknąć usta księżnej, której po prawdzie trudno odmówić racji. Nie da się zaprzeczyć, że królowa stawia na swoim na każdym kroku, a Edward pozwala jej umieszczać swoich krewniaków i przyjaciół na urzędach zajmowanych dotąd przez

innych; do tego Elżbieta jawnie faworyzuje swe rodzeństwo i wykorzystuje do cna skarbiec królewski, prześcigając w tym nawet złą królową. Ryszard uparcie nie dopuszcza, aby padło choć jedno słowo oczerniające Edwarda, niemniej nikt tutaj nie przepada za Elżbietą Woodville — młoda promienna niewiasta, którą przed laty ujrzałam w chwili jej chwały, została dawno zapomniana i dziś już domownicy widzą w niej tylko chciwca zagarniającego wszystko pod siebie, tak jak przedstawia ją księżna Cecylia.

— Nie powinna była wkładać korony — mówi do mnie pewnego razu świekra, gdy siedzimy w jej świetlicy, starannie haftując mankiety koszuli, którą księżna prześle swemu faworytowi, Jerzemu, z okazji świąt Bożego Narodzenia.

— Ach tak? — pytam niezobowiązująco. — Tak dobrze pamiętam jej koronację... Byłam wtedy małą dziewczynką i uważałam, że jest najpiękniejszą niewiastą na świecie.

Pogardliwe wzruszenie ramion mówi mi, co ta starzejąca się piękność myśli teraz o dobrej prezencji.

— Nie powinna była wkładać korony, ponieważ jej małżeństwo z królem od samego początku nie było wiążące — szepcze, zasłaniając usta ręką. — Wszyscy w rodzinie wiedzą, że Edward zawarł małżeństwo, zanim ją w ogóle poznał. Nie mógł więc zostać jej mężem. Milczeliśmy, gdy twój ojciec planował ślub Edwarda z Boną Sabaudzką, gdyż związku zawartego w sekrecie łatwo się wyprzeć, szczególnie kiedy nadarza się taka wspaniała partia. W każdym razie Edward miał już żonę w oczach Boga, gdy składał śluby Elżbiecie...

— Ale jej matka była świadkiem na ceremonii — wtrącam.

— Ta czarownica dla swoich dzieci powiedziałyby każde kłamstwo nawet pod przysięgą.

— Mimo wszystko Edward uczynił Elżbietę swoją królową. Ich dzieci są królewskiego rodu.

Księżna Cecylia potrząsa głową, odgryzając nitkę ostrymi ząbkami.

— Z Edwarda też żaden król — rzuca niezwykle cicho.

Opuszczam robótkę na kolana.

— Ależ... — Przeraza mnie, co jeszcze mogę od niej usłyszeć. Czyżby pogłoska rozpuszczona przez pana ojca, gdy zamierzał stracić Edwarda z tronu, zatoczyła aż tak szerokie kręgi? Czyżby księżna Cecylia była

gotowa z własnej woli przyznać, że popełniła cudzołóstwo? Jakież czekają mnie kłopoty, jeśli poznam ten jej potworny sekret?

Wybuchła śmiechem, widząc moją minę.

— Och, ależ z ciebie dziecko! — rzecze nieprzyjaznym tonem. — Kto by się tobie zwierzał? Kto by chciał ci cokolwiek powiedzieć w zaufaniu? Przypomnij mi, ile to masz lat, bo nie pamiętam...

— Szesnaście — odpowiadam z całą godnością, na jaką mnie stać.

— No właśnie, dziecko — rzuca kpiąco. — Dlatego nic więcej przy tobie nie powiem. Ale możesz być pewna, że nadskakuję Jerzemu wcale nie dlatego, że jestem niemądrą staruszką. Jerzy jest moim ulubieńcem z ważnego powodu, bardzo ważnego... Urodził się, aby zostać królem. Właśnie Jerzy, nikt inny.

## ZAMEK W WINDSORZE BOŻE NARODZENIE 1472 ROKU



Boże Narodzenie zawsze jest hucznie obchodzone na dworze Edwarda, a tego roku obchody są tym huczniejsze, że król świętuje swój największy tryumf. Znalazłszy się znów w pałacu, dostajemy się z Ryszardem w wir uroczystości ciągnących się od Wigilii po dzień Trzech Króli. Co rano zaskakuje nas nowy motyw przewodni. Co wieczór wysłuchujemy nowych ballad i oglądamy nowe przedstawienia. Czas umilają nam aktorzy i żonglerzy. Co dzień odbywa się emocjonujące szczucie niedźwiedzia i polowanie nad rzeką. Przez trzy dni trwa turniej, w którym każdy wielmoża podnosi swój sztandar. Utalentowany brat królowej, Antoni Woodville, urządza bój poetycki, w którym każdy uczestnik stojący w kręgu musi wyrecytować ułożony na poczekaniu wiersz, a jeśli kto zająknie się bądź zgubi rym, wycofuje się honorowo, aż w końcu na placu zostają tylko dwie osoby — laur zwycięstwa zdobywa oczywiście baron Rivers, który posyła siostrze porozumiewawczy uśmiech. Na jednym z dziedzińców trwa pozorowana bitwa morska, możliwa dzięki temu, że służba zniosła setki cebrów wody; kiedy indziej znów tańczymy w lesistym parku przy świetle pochodni...

Ryszard nie odstępuje boku swego brata. Należy do wewnętrznego kręgu tych, którzy wraz z Edwardem zbiegli na wygnanie, by powrócić do kraju w glorii i chwale i święcić tryumfy. Najjaśniejszy pan, mój mąż, stary druh króla Wilhelm Hastings i młody baron Rivers są przyjaciółmi na śmierć i życie, towarzyszami broni, którzy nigdy nie zapomną szaleńczej konnej ucieczki przed moim ojcem ani niebezpiecznej przeprawy przez Kanał Angielski, gdy co chwilę musieli się oglądać za siebie w obawie, że dogania ich okręt Warwicka. Ilekroć wspominają dawne czasy, opowiada-

jąc, jak to cwałowali przez ciemny las ku Lynn niepewni, czy zastaną tam łódź, jaką dałoby się kupić albo ukraść, i zaśmiewając się z tego, że mieszkańcy mieli puste i Edward musiał oddać właścicielowi łódki podbijaną futrem pelerynę w charakterze zapłaty, a potem bez złamanego szelaga przy duszy musieli pokonać pieszko w znoszonych jeździeckich butach kawał drogi do najbliższego miasteczka, Jerzy szura nogami i niespokojnie rozgląda się wokół, licząc, że rozmowa rychło obierze inny obrót. Albowiem tamtej nocy Jerzy był ich wrogiem, choć teraz wszyscy udają przyjaciół. Sądzę, że żaden z mężczyzn, którzy musieli wtedy ratować skórę i z ociekającymi potem plecami nasłuchiwać tętentu pościgu, nie zapomni, że tamtej nocy Jerzy stał po przeciwnej stronie, wyparłszy się brata, zaprzędałszy rodzinę, gotów zdradzić własną krew, byle włożyć koronę Anglii. Chociaż dzisiaj się uśmiechają i udają, że zapomnieli o starych dziejach, wiedzą, że tamtej nocy to oni byli zwierzyzną, a Jerzy — myśliwy — zabiłby ich, gdyby tylko ich dopadł. Wiedzą, że tak urządzony jest ten świat: ty zabijasz albo ciebie zabijają, nawet w rodzinie, nawet w jednym królestwie.

Co do mnie, ilekroć rozmowa schodzi na te tematy, nad wyraz żywo pamiętam, że to mój ojciec był ich przeciwnikiem i że ich przyjaźń wykuła się w obliczu strachu przed nim — do tej pory dobrym opiekunem i mentorem, który nagle, z dnia na dzień, obrócił się przeciwko nim, stanowiąc śmiertelne zagrożenie. Musieli odbić koronę Anglii z jego rąk, ponieważ wcześniej pokonał ich i przepędził za morze. Czasami gdy rozmyślam o jego zwycięstwie i jego porażce, czuję się w pałacu równie obco jak moja pierwsza świekra, Małgorzata Andegaweńska, w londyńskiej Tower.

Nie mam wątpliwości co do tego, że królowa Elżbieta nigdy nie zapomina swoich wrogów. Co więcej, jestem pewna, że nadal uważa mnie i Izabelę za swe przeciwniczki. Na życzenie swojego męża i króla zwraca się do nas z oziębłą uprzejmością i znajduje dla nas miejsce na swym dworze. Jednakże jej uśmieszek, którym nas obdarza, gdy siedzimy w kręgu jej dworek w kamiennej ciszy lub gdy Edward powołuje Jerzego na świadka jakiegoś wydarzenia w bitwie, po czym urywa raptownie, przypomniawszy sobie, że Jerzy walczył po przeciwnej stronie, ten jej uśmieszek utwierdza mnie w przekonaniu, że Elżbieta ma doskonałą pamięć i żadnej litości.

Na szczęście nie muszę zostać na dworze Elżbiety, gdyż Ryszard zapowiada, że przez większość czasu będziemy mieszkali na północy kraju. Nareszcie doszło do podziału naszego spadku. Jerzy otrzymuje połowę



Izabeli, Ryszard moją i odtąd jego największym marzeniem jest przejście we władanie ziem i samodzielne nimi zawiadywanie. Pragnie zająć miejsce mego ojca i zaprzyjaźnić się z Neville'ami. Ma na to szansę przez wzgląd na mnie i na pamięć o mym ojcu, wciąż żywą na tamtych terenach. Jeśli tylko będzie traktował swych wasali sprawiedliwie, tak jak lubią być traktowani, stanie się udziałnym księciem północy z siedzibą dzieloną pomiędzy Sheriff Hutton i Middleham w hrabstwie Yorkshire. Wniosłam mu w posagu także uroczy zamek Barnarda w Durham i zgodnie z jego słowami mamy wieść spokojne życie za potężnymi murami, z których rozciąga się widok na rzekę Tees i Góry Pennińskie. Miasto York — od wieków darzące sympatią ród, który wziął od niego swoje miano — stanie się naszą stolicą. Nadamy północy królestwa sznyt wielkości i bogactwa, będziemy panowali ludziom, którzy pokochają Ryszarda, ponieważ wywodzi się z dynastii Yorków, i którzy już kochają mnie, ponieważ jestem córką Neville'a.

Edward popiera nas w całej rozciągłości. Potrzebny mu ktoś, kto utrzyma na północy pokój i będzie bronił granic Anglii przed Szkotami, a nie ma nikogo, komu mógłby ufać bardziej niż swemu najmłodszemu bratu.

Wszakże ja mam jeszcze jeden powód, aby oddalić się z dworu królewskiego — nawet lepszy powód. Dygam przed królową i mówię:

— Najjaśniejsza pani, tuszę, że zechcesz mi wybaczyć... Ja...

Kiwa chłodno głową.

— Tak, oczywiście. Wiem.

— Wiesz? — Ogarnia mnie strach, że przejrzała mnie na skroś swym okiem czarownicy, i nie potrafię powstrzymać drżenia.

— Anno, nie należę do głupców — rzecze wprost. — Wydałam na świat siedmioro dzieci. Potrafię zauważyć, gdy niewiasta nie je śniadań, a mimo to tyje. Zaczęłam się już zastanawiać, czy raczysz nam wszystkim powiedzieć. Twój mąż wie?

Brakuje mi tchu ze strachu, że Elżbieta naprawdę jest czarownicą.

— T-tak — dukam.

— Ucieszył się?

— Tak, najjaśniejsza pani.

— Z pewnością ma nadzieję na syna, przydałby mu się mały hrabia w tak rozległym majątku — dodaje nie bez satysfakcji. — Byłoby to błogosławieństwo dla was obojga.

— Jeśli urodzi się dziewczynka, zechcesz zostać matką chrzestną? — pytam, bo muszę: jest moją królową i jątrwią. Ona zgadza się, bo tak wypada. Nawet przez chwilę nie żywię do niej cieplejszych uczuć ani nie łudzę się, że życzy dobrze mnie czy mojemu dziecku. Mimo to zaskakuje mnie łagodność jej spojrzenia, gdy mówi:

— Ależ tak, z rozkoszą.

Odwracam się, aby mieć pewność, że jej dworki mnie usłyszą. Pomiędzy nimi siedzi, z głową pochyloną nad robótką, moja siostra. Usilnie stara się robić takie wrażenie, jakby ta rozmowa jej nie interesowała, ja jednak wierzę, że w środku aż się do mnie rwie. Niemożliwe, aby pozostała obojętna na wieść, że noszę w łonie swoje pierwsze dziecko.

— Jeśli to będzie dziewczynka, dam jej na chrzcie imiona Elżbieta Izabela — mówię wyraźnie, modulując głos tak, aby Izabela także usłyszała.

Moja siostra spogląda od chwili na płatki śniegu wirujące na zewnątrz i w dalszym ciągu udaje, że to, co mówię, nic jej nie obchodzi. Niemniej na dźwięk własnego imienia odwraca się.

— Elżbieta Izabela? — powtarza. Odezwała się do mnie po raz pierwszy, odkąd udzieliła mi reprimendy, gdy pojawiłam się w pałacu jako marnotrawna oblubienica.

— Tak — potwierdzam.

Na wpół podnosi się z krzesła, po czym opada na nie z powrotem.

— Zamierzasz nadać swej córce imię Izabeli?

— Tak.

Widzę, jak na jej twarz wypełza rumieniec; nareszcie wstaje i podchodzi do mnie na ubocze komnaty, z dala od królowej i reszty dworek.

— Nazwiesz swoją córkę po mnie?

— Tak — mówię z prostotą. — Będiesz jej ciotką, będziesz... mam nadzieję... kochać ją i troszczyć się o nią. A gdyby... — zaczynam i urywam; Izabela ze wszystkich znanych mi osób najlepiej wie, że mam powody obawiać się p o ł o g u . — A gdyby coś mi się stało, wychowasz ją jak rodzone dziecko... i opowiesz jej o papie... o wszystkim, co się wydarzyło. O nas... o tym, jak się od siebie oddaliłyśmy...

Izabela robi grymas, jakby chciała za wszelką cenę powstrzymać łzy, po czym otwiera szeroko ramiona i czepiamy się siebie wzajemnie, śmiejąc się i płacząc równocześnie.

— Och, Izabelo... — szepczę. — Tak mi było smutno, kiedyśmy się do siebie nie odzywały. Nie chcę z tobą wojny...

— Wybacz, wybacz mi, Anno... Nie powinnam była tak się zachowywać... Nie miałam pojęcia, jak postąpić, a wszystko działo się tak szybko. Trzeba było odzyskać majątek... a Jerzy mówił... potem zaś ty uciekłaś i...

— Ja też ciebie przepraszam — wpadam jej w słowo. — Wiem, że nie mogłaś postąpić wbrew woli męża. Teraz już to rozumiem.

Izabela tylko kiwa głową, woli nie mówić nic więcej o Jerzym. Żona jest winna mężowi posłuszeństwo, przyrzeka mu je w dzień ślubu w obliczu Boga, a mąż potrafi wyegzekwować wszystkie swoje prawa przy pomocy duchownych i świata. Izabela niewiele się różni od sługi czy wierzchowca — tak samo jest własnością Jerzego. Ja także przysięgłam wierność Ryszardowi, jak gdyby był panem lennym, a ja zwykłą służką, za którą w gruncie rzeczy byłam przebrana. Niewiasta musi słuchać małżonka we wszystkim — tak urządzony jest ten świat, takie jest prawo boskie — nawet jeśli uważa, że mężczyzna się myli. Nawet jeśli ma pewność...

Izabela delikatnie przykładła dłoń do mego nabrzmiałego brzucha ukrytego pod fałdami suto marszczonej sukni. Nakrywam jej rękę swoją, pozwalając zbadać mą poszerzającą się talię.

— Anno, nosisz tu już ładny brzuszek. Nic ci nie dolega?

— Z początku miewałam mdłości, ale to już minęło.

— Wprost nie mogę uwierzyć, że nic mi nie powiedziałaś!

— Chciałam powiedzieć ci o wszystkim — wyznaję — naprawdę chciałam. Ale nie wiedziałam jak.

Jednocześnie odwracamy się plecami do komnaty.

— Boisz się? — pyta mnie siostra.

— Trochę — odpowiadam. Widząc, że marszczy brwi, poprawiam się szybko: — Bardzo się boję.

Milczymy przez chwilę, wspominając bujający się okręt i ciasną kabinę, w której pani matka krzyczy do mnie, abym wyciągnęła dziecko, i nasze wspólne przerażenie, gdy małe ciało nagle się poddało. Ten obraz jest tak żywy, że rozstawiam szerzej stopy, jakbym znowu stała na pochyłym pokładzie i musiała się bronić przed sztormem. Kiedy Izabela ujmuje mnie za obie ręce, czuję się tak jak wtedy, zaraz po przybiciu do brzegu, gdy mówiłam jej o trumience i o tym, że pani matka kazała cisnąć ją w fale.

— Anno, na pewno wszystko potoczy się dobrze — rzecze ze szczerością w głosie Izabela. — Na pewno wszystko potoczy się lepiej niż w moim wypadku. Mnie złapały takie potworne bóle dlatego, że byłam na morzu, podczas sztormu, w poczuciu niebezpieczeństwa. Tobie nic nie będzie groziło, a twój mąż...

— Ryszard mnie kocha — mówię pewnie. — Obiecał, że zabierze mnie do zamku w Middleham i sprowadzi najlepszych medyków i najlepsze akuszerki. — Waham się, zanim zapytam: — Czy zechciałabyś... To znaczy wiem, że...

Izabela milczy. Chociaż powinna się domyślać, o co chce ją prosić.

— Nie mam nikogo innego — wyrzucam z siebie. — Podobnie jak ty. Cokolwiek między nami zaszło, Izabelo, teraz mamy tylko siebie...

Żadna z nas nie wspomina o pani matce, nadal więzionej w klasztorze w Beaulieu, ani o jej majątku rozdrapanym przez naszych mężów najpierw działających wspólnie, a później konkurujących ze sobą. Pani matka pisuje do nas obu listy pełne gróźb i skarg, zarzekając się, że przestanie pisać, jeśli nie obiecamy jej posłuszeństwa i nie dopomożemy w jej uwolnieniu. Wie, tak samo jak my, że pozwoliłyśmy, aby spotkało ją to, co ją spotkało; wie, że nie miałyśmy innego wyjścia, jak wesprzeć w staraniach naszych mężów.

— Zostałyśmy sierotami — dodaję słabym głosem. — Same skazałyśmy się na los sierot. Wybrałyśmy go świadomie. Nie mamy nikogo, do kogo mogłybyśmy zwrócić się w potrzebie, poza sobą.

— Przyjadę, gdy nadejdzie pora rozwiązania — obiecuje mi Izabela.

## ZAMEK W MIDDLEHAM, HRABSTWO YORKSHIRE WIOSNA 1473 ROKU

Sześć tygodni spędzone z Izabelą w komnacie niewieściej na wieży zamku w Middleham przypomina nam czasy dzieciństwa. Żaden mężczyzna nie ma wstępu za próg, toteż wszystko, czego nam trzeba: drewno do kominka, zastawa i posiłki, jest przekazywane u dołu schodów dogląającym mnie dworcom. Ksiądz przechodzi galerią z głównej części zamku, by odprawić mszę za drewnianym przepierzeniem i podać mi hostię, nawet na mnie nie patrząc. Praktycznie nie dochodzą nas tu żadne wieści. Izabela, która raz czy dwa wybiera się na wieczerzę do wielkiej sali, wraca z informacją zasłyszaną od Ryszarda, że mały książę Walii ma się przenieść na zamek w Ludlow. Przez moment rozmyślałam o swym pierwszym mężu; gdyby przeżył, byłby nadal księciem Walii i to my byśmy mieszkali w przepięknym Ludlow, jak zaplanowała Małgorzata Andegaweńska na wypadek naszego zwycięstwa: pobyt pary książęcej w Walii uprawomocniłby jej i Henryka VI rządu w Anglii... Otrząsam się ze wspomnień i wracam do rzeczywistości pod panowaniem dynastii Yorków; wiem, że powinnam się cieszyć, że mały książę dożył wieku, w którym może objąć we władanie swoją siedzibę, nawet jeśli znajduje się pod wpływami swego wuja, Antoniego Woodville'a, wdowca po baronowej Scales dostępującego zaszczytów, mimo iż w żaden sposób nie zasłużył na nie.

— To oznacza, że Riversowie zaczną się panoszyć również w Walii — szepcze do mnie Izabela. — Król oddał swego jedynego dziedzica pod ich pieczę: Antoni Woodville stoi na czele rady książęcej, a królowa zawiaduje wszystkim dokoła. To nie dynastia Yorków, to dynastia Woodvil-

le'ów. Sądzisz, że Walijczykom to się spodoba? Zawsze byli po stronie Lancasterów i Tudorów.

Wzruszam ramionami. Otacza mnie kokon spokoju typowy dla ostatnich tygodni brzemienności. Wyglądam przez okno na zielone pola i leżące za nimi pastwiska, nad którymi kołują i pokrzykują czajki. Londyn zdaje się na drugim krańcu świata, a Ludlow jeszcze dalej.

— Któż miałby zawiadywać życiem królewskiego syna, jak nie jego matka królowa? — pytam. — Gdzie szukać lepszego wychowawcy dla małego księcia, skoro jest pod ręką jego oddany wuj Antoni? Jakiegokolwiek masz zdanie o Elżbiecie, jej brata zalicza się do najwykwintniejszych umysłów Europy. To bardzo zżyta rodzina. Baron Scales będzie strzegł bratanka jak żrenicy oka.

— Pożyjemy, zobaczymy — rzuca Izabela wieszczy m o n e m . — Wielu zacznie się obawiać nadmiernej władzy Riversów. Niejeden przestrzeże króla przed pokładaniem zaufania w tylko jednej części rodu. Jerzy jest temu przeciwny, nawet twój mąż Ryszard niepokoi się, widząc całą Walię w ich rękach. — Urywa, po czym dodaje: — Papa zawsze powtarzał, że źli z nich doradcy.

Kiwam głową.

— To prawda — przyznaję. — Król postąpił nieroztropnie, przedkładając ich nad naszego ojca.

— A ona wciąż czuje do nas nienawiść — mówi głucho Izabela.

Ponownie potakuję.

— I chyba nigdy nie przestanie. Mimo wszystko nie jest wszechmocna. Dopóki Jerzy i Ryszard cieszą się łaskami brata, Elżbieta może co najwyżej okazywać chłód tej syreny ze sztandaru Luksemburga. Nie wolno jej nawet ignorować naszej pozycji na dworze królewskim. Zresztą po narodzinach dziecka ani myślę wracać do p a ł a c u . — Dotykam grubego muru, w którym osadzone jest okno. — Tutaj nikt nie wyrządzi mi krzywdy.

— Ja też zamierzam się trzymać z dala od dworu królewskiego — oznajmia Izabela i uśmiecha się do mnie. — A mam po temu dobry powód. Nie zauważyłaś niczego?

Podnoszę wzrok, aby przyjrzeć się jej baczniej.

— Zdajesz się... — szukam określenia, które nie będzie uwłaczające — krzepka.

Wybuchła śmiechem.

— Chciałaś powiedzieć: gruba — rzeczy radośnie. — O tak, robię się gruba jak beka. A już w sierpniu to ja poproszę ciebie o przysługę... — Obdarza mnie promiennym uśmiechem. — W zamian za tę, którą wyświadczam ci teraz.

— Izabelo... — Zrozumienie zajmuje mi chwilę. — Izabelo, spodziewasz się dziecka?

Śmieje się znowu.

— Tak, nareszcie. Już zaczynałam się bać...

— Naturalnie, naturalnie... Ale w takim razie powinnaś wypoczywać. — Ciągnę ją bliżej kominka i usadam na krześle, podsuwam podnózek pod stopy, po czym z uśmiechem wodzę po niej całej spojrzeniem. — To cudowna nowina! Odtąd nie będziesz dźwigać za mnie niczego, a opuszczając Middleham, pojedziesz powozem zamiast wierzchem.

— Nic mi nie jest — opęda się ode mnie. — Czuję się znacznie lepiej niż ostatnio. I nie boję się. To znaczy nie boję się jakoś przesadnie... Och, pomyśl tylko, Anno! Nasze dzieci będą kuzynami, i to niemal rówieśnikami!

Zapada cisza, gdy obie wspominamy papę, który nigdy nie zobaczy swoich wnuków, choć byliby oni ukoronowaniem jego ambicji, a zarazem początkiem nowych planów powziętych z chwilą, gdy niemowlęta znalazłyby się w swoich kołyskach.

— Papa już by wynalazł dla nich kandydatki na żony i kazał wyrysować herby — śmieje się Izabela.

— Ba, wystarząby się o dyspensę i pożenił je ze sobą — dodaję z uśmiechem. — Wszystko, byle zatrzymać majątek niepodzielony. — Milknę na chwilę. — Zamierzasz napisać do pani matki? — pytam.

Izabela wzrusza ramionami z zaciętą miną.

— A po co? I tak nigdy nie ujrzy wnuka. Nie wypuszczaj jej... Poza tym dała mi do zrozumienia, że jeśli nie przyczynię się do jej uwolnienia, przestanie mnie uważać za córkę. Po co więc w ogóle poświęcać jej jakieś myśli?

Bóle dopadają mnie nocą, gdy jak za dawnych czasów dzielę łożę z Izabelą. Krzyczę mimowolnie i moja siostra w okamgnieniu się budzi i jest przy mnie, wkłada pośpiesznie suknię, zapala świece od ognia w kominku, posyła służkę po akuszerki.

Dostrzegam, że martwi się o mnie, i jej pobladła ze strachu twarz oraz ostry ton, którym wydaje polecenia służbie, sprawiają, że i ja zaczynam się martwić i bać. W komnacie pojawia się monstrancja z hostią ustawiona na niewielkim ołtarzu w rogu, ktoś owiązuje mi wystający brzuch poświęconym pasem przyszykowanym swego czasu specjalnie dla Izabeli. Akuszerki każą przyrządzić piwo z korzeniami i budzą kucharki, żeby przygotowały obfitą strawę, ponieważ czeka nas wszystkie długa noc, w czasie której trzeba będzie się posilać.

Kiedy służące przynoszą frykasy z dziczyzny, pieczonego kurczaka i gotowanego karpia, zmieszane wonie jedzenia wywracają mi żołądek na nice, tak że muszę odesłać potrawy i pozostaje mi tylko przemierzać nerwowo komnatę — od okna do wezgłowia łoża i z powrotem — podczas gdy za uchylonymi drzwiami dworki, akuszerki, a nawet służące nie żałują sobie pyszności i wołają, by donieść im zagrzanego piwa. Przy mnie jest tylko Izabela, która także nie ma apetytu.

— Czy skurcze są bardzo silne? — pyta z niepokojem.

Potrząsam głową.

— Nadchodzą falami i mijają — odpowiadam. — Ale chyba stają się coraz silniejsze.

Po paru godzinach ból staje się trudniejszy do zniesienia. Akuszerki, zarumienione i rozweselone trunkiem, wpadają do komnaty sypialnej i zaczynają mnie prowadzić po pomieszczeniu. Ilekroć przystanę, zmuszają mnie do postawienia następnego kroku. Gdy chcę odpocząć i położyć się, cmokają niezadowolone i nakłaniają mnie do dalszego chodzenia. W końcu skurcze stają się częstsze i wtedy nareszcie mogę wesprzeć się na ramieniu jednej z nich i ulżyć sobie jękiem.

Jakiś czas później od strony galerii dobiega tupot stóp, po czym rozlega się pukanie do drzwi i głos Ryszarda wołającego:

— To ja, książę! Jak miewa się moja żona?

— Doskonale! — odkrzykuje jedna z akuszerek. — Księżna pani radzi sobie doskonale, mości książę!

— Ile to jeszcze potrwa?

— Wiele godzin — stwierdza akuszerka, ignorując moje przerażone spojrzenie. — Może nawet do rana. Niech się mości książę prześpi. Poślemy jak tylko położnica zlegnie.



— Czyżby teraz nie leżała? Co w takim razie robi? — pyta zaskoczony Ryszard, nie mając pojęcia, co dzieje się w środku, gdyż drzwi komnaty stoją przed nim zamknięte, a on nawet się nie domyśla sztuczek akuszerki.

— Spaceruje pod ramię z nami, mości księżę — odpowiada mu starsza z niewiast. — Ruch zmniejsza bóle — dodaje tytułem wyjaśnienia.

Nie ma sensu przerywać jej, by powiedzieć, że ruch wcale nie zmniejsza mojego cierpienia, ponieważ i tak zrobią ze mną, co będą chciały, tak jak z każdą położnicą wcześniej, a ja ich usłucham, bo sama ledwie potrafię myśleć.

— Spaceruje? — Ryszard upewnia się, że dobrze usłyszał. — I co, to jej pomaga?

— Gdyby dziecko nie śpieszyło się z przyjściem na świat, tobyśmy ją podrzucały ułożoną w kocu trzymanym za dwa końce — śmieje się szorstko młodsza akuszerka. — Księżna pani ma szczęście, że każemy jej tylko chodzić. To niewieście sprawy, mości księżę. Znamy się na rzeczy.

Słyszę, że Ryszard mamrocze jakieś przekleństwo, zaraz jednak jego kroki oddalają się i cichną, a mnie pozostaje tylko wymienić spojrzenia z Izabelą, gdy akuszerki biorą mnie pod ramię z każdej strony i zaczynają znowu wodzić od kominka do drzwi i z powrotem.

Zostaję znów sama, gdy prawie wszyscy udają się do wielkiej sali na śniadanie, a ja nie potrafię znieść widoku i zapachu jadła. Izabela siedzi przy mnie, gdy odpoczywam w pozycji leżącej na łóżku, i gładzi mnie po czole jak zawsze w przeszłości, kiedy byłam chora, a ona opiekowała się mną. Skurcze są tak częste i tak mocne, że powoli zaczynam myśleć: „Nie zniosę tego dłużej!”. Właśnie wtedy drzwi otwierają się na oścież i do środka wchodzi obie akuszerki, prowadząc ze sobą mamkę, której zadaniem jest rozstawienie kołyski i rozłożenie prześcieradeł, żebym nie pobrudziła łóżka.

— Już niedługo — obwieszcza jedna z akuszerki wesołym tonem. — Proszę — mówi, podając mi drewniany klin wygładzony od długiego użytku i poznaczony śladami po ugryzieniach. — Niech księżna pani raczy na nim zacisnąć zęby. Wiele szlachetnych dam to zrobiło i dzięki temu ocaliło język. Zacisnąć zęby na drewniku i złapać się dobrze tego...

Widzę, że tymczasem zdążyły przewiązać sznur między dolnymi słupkami baldachimu, tak że kiedy usiądę i złapię się go, mogę się zaprzeć stopami o nogi łóżka.

— Niech księżna pani prze, jak przyjdzie skurcz, i my też będziemy party. I niech księżna pani zaciska zęby mocno na drewniku. My będziemy krzyczały za księżną panią.

— Nie dacie jej nic na osłabienie bólu? — pyta Izabela.

Młodsza niewiasta wyjmuje korek z kamionkowej buteleczki.

— Księżna pani może się napić ździebko tego — rzecze, nalewając parę kropli do srebrnego pucharu. — Właściwie wszystkie możemy...

Napój pali mnie w gardło i wyciska mi łzy z oczu, ale też sprawia, że czuję się silniejsza i dzielniejsza. Widzę, że Izabela krztusi się, ale zaraz uśmiecha do mnie zawiadaczko. Pochyla się nade mną i szepcze prosto do ucha:

— A to dwie stare chciwe pijaczki. Bóg raczy wiedzieć, skąd je wytrzasnął Ryszard...

— To najlepsze akuszerki w Anglii — odpowiadam. — Niech Pan ma w opiece te położnice, które są skazane na najgorsze...

Moja siostra wybucha śmiechem, ja jej wtóruję, lecz nagle kolka w brzuchu zamienia się w ból szarpiący mi wnętrzności niczym ostrze miecza i bezwiednie wydaję z siebie wrzask. Na to obie akuszerki poważnieją, pomagają mi się podnieść do pozycji siedzącej, wkładają do obu dłoni pętle napiętego sznura, po czym każą służącej nalać gorącej wody z dzbana stojącego na palenisku. Później przez niesprecyzowany dłuższy czas pochłania mnie wyłącznie ból i odblaski ognia na ścianie dzbana, i jeszcze upał w komnacie i chłodna dłoń Izabeli na mojej twarzy. Mam takie wrażenie, jakby przemożnie chciało mi się ulżyć sobie, a zarazem jakbym nie mogła swobodnie oddychać. W moich myślach pojawia się pani matka, tak odległa, mimo że powinna być tutaj ze mną, a także pan ojciec, który całe swoje życie spędził, walcząc, i w końcu doświadczył klęski i stanął oko w oko ze śmiercią. Co dziwne, rozmyślam też o czarnym ogierze papy, rzucającym łbem, gdy serce przeszywa mu miecz. Na wspomnienie o ojcu, który spieszony ruszył w bój, by oddać życie pod Barnet, abym ja mogła zostać królową Anglii, pęka coś we mnie i mych uszu dolatuje cichy płacz oraz czyjeś słowa: „Ostrożnie, tylko ostrożnie!”, po czym widzę nad sobą twarz siostry, rozmazaną z powodu zalewających mi oczy łez, i słyszę, jak Izabela mówi:

— Anno! Anno! To chłopiec!

W tej chwili pojmuję, że udało mi się uczynić to, na czym tak zależało papie i czego tak pragnie Ryszard: dałam memu ojcu wnuka, a memu mężowi syna i dziedzica. Dobry Pan Bóg pobłogosławił mnie synem.

Mój syn okazuje się słabiutkim dzieckiem. Akuszerki próbują mnie podnieść na duchu, zapewniając, że niejedna chudzina wyrosła na silnego rycerza, mamka zaś twierdzi, że dzięki jej mleku każde dziecko raz-dwa nabiera tłuszczu i krzepy. Mimo to w tygodniach, które następują po położeniu, a przed ceremonią oczyszczenia, serce mi się kurczy, ilekroć nocami słyszę cieniutki płacz niemowlęcia czy dniami przyglądam się jego malusim dłoniom przypominającym wyblakłe listki.

Postanowiono, że Izabela wróci do męża do Londynu po ceremonii oczyszczenia i chrzcinach. Chłopiec dostaje imię Edwarda, po królu, a mój mąż Ryszard przepowiada mu wspaniałą przyszłość, jednakże uroczystość w kościele jest cicha, ponieważ król i królowa nie mogą przybyć, a pod ich nieobecność nie pojawia się wiele innych osób. Choć nikt nie mówi tego głośno, dziecko nie rokuje nadziei; pewnie niejeden uważa, że nie jest warte tyle zachodu: kosztownej sukienki do chrztu, trzech dni świątecznych na zamku i wieczerzy dla wszystkich, nie wyłączając służby.

— Nabierze sił — szepcze do mnie Izabela, wsiadając do powozu na dziedzińcu stajennym. Nie może jechać wierzchem, jest na to za gruba i za ciężka. — Nawet dziś rano wydawał się silniejszy.

Wcale nie, ale żadna z nas nie powie tego na głos.

— W każdym razie przekonałaś się, że jesteś zdolna wydać na świat dziecko... żywe dziecko — dodaje moja siostra. Myśl o martwym chłopcu na morzu, chłopcu, który nawet nie zapłakał, prześladowuje nas obie po dziś dzień.

— Ty także — mówię szybko. — Tym razem ci się uda, zobaczysz. Spotkamy się już w sierpniu, zanim schronisz się w komnacie niewieściej. Nic nie wskazuje, abyś tym razem nie miała urodzić zdrowego dziecka. Sprawisz mojemu Edwardowi kuzyna i jak Bóg da, obaj będą żwawi i kwitnący.

Izabela spogląda mi prosto w oczy, na jej twarzy maluje się strach.

— Yorkowie są znani z płodności, ale nie zapominaj, że pani matka miała tylko mnie i ciebie. A ja już straciłam jedno dziecko.

— Odwagi — mówię do niej, jakbym to ja była starszą siostrą. — Nie trać ducha, a wszystko przebiegnie dobrze. Do zobaczenia niebawem.

Izabela kiwa głową.

— Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Anno.

— I ciebie również. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Izabelo.

Po wyjeździe Izabeli opadają mnie myśli o pani matce, o tym, że prawdopodobnie nigdy nie ujrzy swego pierwszego wnuka, chłopca, którego wszyscy tak bardzo pragnęliśmy. Piszę do niej krótki list, w którym zawiadamiam, że dziecko przyszło na świat i że jak na razie dobrze sobie radzi, po czym czekam na odpowiedź od niej. Z wiadomości, którą dostaję, wylewa się gniew. W oczach pani matki mój chłopiec, mój ukochany syn, jest z nieprawego łoża; moja matka nazywa go „bękartem Ryszarda”, przypomina, że nigdy nie wyraziła zgody na nasz ślub. Wyrzuca, że zamek, na którym się urodził, nie jest jego siedzibą, tylko jej, co czyni zeń uzurpatora na podobieństwo jego rodziców. Rozkazuje mi opuścić męża i dziecko i natychmiast dołączyć do niej w Beaulieu. Albo pojechać do Londynu i wstawić się za nią u króla. Albo kazać mężowi ją uwolnić. Wszystko sprowadza się do tego, że Jerzy i Ryszard mają jej zwrócić majątek, a następnie oddać się w ręce prawa jako pospolici rabusie. Pani matka zapowiada, że jeżeli niczego dla niej nie uczynię, poczuję chłód matczynej kławy, zostanę wydziedziczona i nigdy więcej nie otrzymam od niej żadnego listu.

Powoli składam list na coraz mniejsze kwadraciki, po czym przechodzę do wielkiej sali, gdzie kominek jest wечно rozpalony, i upuszczam złożony kawałek papieru w płomień, przyglądając się, jak zajmuje się ogniem i czernieje. Ryszard, który akurat wrócił z polowania i jeszcze nie opędził się od ogarów, przystaje na widok mego spochmurniałego oblicza i zagląda za osłonę kominka.

— Co się stało? — pyta.

— Nic — odpowiadam ze smutkiem w głosie. — Nic, co by miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

**ZAMEK W MIDDLEHAM,  
HRABSTWO YORKSHIRE  
CZERWIEC 1473 ROKU**



Tę porę dnia lubię najbardziej, tuż przed wieczną, gdy Ryszard i ja robimy sobie spacer po murach otaczających nasz wspaniały zamek, udając się kolejno na wschód, południe, zachód i północ i kończąc naszą wędrówkę tam, gdzie ją zaczęliśmy, to jest w książęcej wieży, którą zajmuje mój ukochany mały Edward. Po prawej stronie mamy głęboką fosę. Wyglądając za blanki, widzę sieć połyskującą od srebrzystych rybich grzbietów. Trącam Ryszarda łokciem i mówię do niego:

— Szykuj się dziś na karpia.

Poza fosą rozciąga się małe miasteczko Middleham z jego kamiennymi i po części drewnianymi zabudowaniami, a dalej zielone pastwiska, które biegną aż hen, do wrzosowisk w oddali. Dostrzegam dojarki, które z dwojakami na szerokich barkach i trzynogimi zydłami zmierzają na pastwisko, i stojące leniwie krowy, które podnoszą łby znad trawy, gdy słyszą wołanie: „Dobra mućka, dooobra!” i widzą wolno zbliżające się mleczarki. Górzące nad polami i pastwiskami łagodne wzgórza zdają się ciemnozielone od paproci, gdzieniegdzie zaś — zwłaszcza w wyższych partiach — widać mglisty ametystowy odcień kwitnących wrzosów. To miejsce jest moim domem... domem mojej rodziny... od niepamiętnych czasów. Większość chłopców w okolicznych wsiach nosi imię Ryszarda po moim ojcu i dziadku. Większość tutejszych dziewczynek nazywa się Izabela albo Anna po mojej siostrze i po mnie. Praktycznie wszyscy przysięgli na wierność mnie i obecnie panującemu tu Ryszardowi, mojemu mężowi. Gdy skręcamy na rogu murów i zaczynamy się oddalać od miasteczka, udaje mi się zobaczyć sowę, która wyjątkowo wcześniej wyfrunęła z ja-

kiejś stodoły i niczym biały obłoczek porusza się bezszelestnie wzdłuż żywopłotu. Słońce opada za warstwę różano-złotych chmur, Ryszard i ja idziemy, trzymając się za ręce, przytuleni do siebie...

— Jesteś szczęśliwy? — pytam nagle.

Mój mąż uśmiecha się, słysząc pytanie, jakiego sam nigdy by nie zadał — nawet sobie.

— Miło tutaj być z tobą.

— Milej niż w pałacu?

Łudzę się, że powie coś o ubóstwianiu mego towarzystwa i przebywaniu ze mną i z dzieckiem w naszej najwspanialszej siedzibie. Jesteśmy młodzi, krótko po ślubie, i nadal wydaje mi się, że bawimy się w pana i panią na włościach, jak gdybym nie była wystarczająco dojrzała ani dostojna, by zająć miejsce pani matki. W wypadku Ryszarda zapewne jest inaczej. Ciężko sobie zapracował na to życie, na barkach nosi brzemień odpowiedzialności za północ kraju jako namiestnik króla. Co do mnie zaś... Spełniły się moje dziewczęce marzenia: mieszkam we własnym domu z ukochanym mężem. Czasami chcę się uszczypnąć, by się przekonać, że to wszystko prawda.

Ryszard jednak odpowiada inaczej.

— Pałac przypomina rojny ul. Riversowie zyskują na znaczeniu, Jerzy i inni wielmoże opierają się im z całych sił. To nieustająca walka. Ani piędź ziemi, ani szeląg w mieszkaniu nie są bezpieczne, dopóki jest jakiś krewniak królowej, który rozgląda się za czymś, co mógłby zdobyć dla siebie.

— Ale król...

— Edward myśli to co ostatnia osoba, z którą rozmawiał. Jest wesół i szasta obietnicami, chcąc wszystkich uszczęśliwić. Dnie spędza na polowaniach, tańcach i rozrywkach, a nocami szwenda się po ulicach Londynu z Wilhelmem Hastingsem, a nawet z przyrodnimi synami, którzy... klnę się, że to prawda... wcale nie są mu wiernymi druhami, tylko dotrzymują mu towarzystwa, by przysłużyć się matce. Łażą z nim wszędzie jak szpiedzy, prowadzają go do najpodlejszych spelunek i lupanarów, a potem wracają do niej, by zdać szczegółowy raport. Mój brat nie ma przyjaciół, otaczają go pochlebcy i zapatrzeni we własny interes chciwcy.

— Tak nie powinno być — odzywam się z surowością właściwą młodości.

— Oczywiście, że tak nie powinno być — zgadza się ze mną Ryszard.  
— Król powinien świecić przykładem. Edwarda kochają wszyscy poddani, zwłaszcza londyńczycy, ale gdy go widzą zataczającego się i uganiającego za dziewczkami... — urywa. — Zresztą to nie są rzeczy dla twoich uszu.

Dotrzymuję mu kroku, ale nie przypominam, że większość dzieciństwa spędziłam w mieście garnizonowym.

— Do tego Jerzy tylko patrzy, gdzie by tu uszczknąć coś dla siebie — podejmuje Ryszard po chwili. — Nie potrafi się opanować. Myśli wyłącznie o koronie, którą odebrał mu Edward, i o majątku, któryja mu odebrałem. Jego zachłanność nie zna granic, Anno. Bez końca stara się przyłączyć nowe ziemie, zająć nowe urzędy. Porusza się po pałacu niczym ogromny karp, otwartymi ustami połykający datki, które mu wpadają ze wszech stron. Żyje po królewsku. Bóg jeden wie, ile go kosztuje utrzymanie londyńskiej siedziby przy tej masie zauszników...

Wtem skowronek podrywa się z łąki pod zamkiem, wydając swe trele, po czym wzbija się coraz wyżej, zamiera na mgnienie, bijąc skrzydłami jak szalony, i znów się wznosi hen wysoko, bez końca, jakby leciał aż do nieba. Pamiętam, jak papa mówił mi zawsze w takiej chwili, abym przypatrywała się uważnie, bardzo uważnie, albowiem lada moment ptak złoży skrzydła i runie w dół jak kamień, a w miejscu, na które spadnie z wyżyn, będzie się znajdowało jego wymoszczone puchem gniazdko z czterema nakrapianymi jajeczkami ułożonymi promieniście, albowiem skowronek to schludny ptaszek, jak każdy, kto aspiruje do nieba.

Schodzimy krętymi stopniami wieży bramnej na główny dziedziniec zamkowy, gdy brama się otwiera i przejeżdża przez nią powóz z zaciągniętymi zastórkami i dwoma tuzinami eskorty.

— Kto to? — dopytuję. — J a k a ś dama w odwiedziny do nas?

Ryszard występuje naprzód i salutuje dowódcy gwardzistów, jakby spodziewał się go zobaczyć.

— Obyło się bez kłopotów?

Mężczyzna zdejmuje hełm i pociera spocone czoło. Poznają Jamesa Tyrrella, jednego z najzaufańszych ludzi Ryszarda. Za nim stoi Robert Brackenbury.

— Tak — potwierdza zapytany. — Nikt nas nie śledził, z tego co wiem. Nikt nie napastował po drodze.

Pociagam Ryszarda za rękaw.

— Kim jest nasz gość?

— Spisaliście się dobrze — chwali Ryszard, nie zwracając na mnie uwagi.

James Tyrrell wyciąga rękę ku drzwiczkom powozu, na co zasłonka zostaje odciągnięta. Niewiasta zrzuca z kolan koce, które zapewniały jej ciepło podczas podróży, i podaje Jamesowi drobną dłoń. Chwilę później stoi już na stopniach, niestety za Jamesem, który przesłania mi widok na nią.

— Kto to? — pytam szeptem Ryszarda. — Chyba nie twoja matka?

Sama myśl o oficjalnej inspekcji księżnej Cecylii stawia mi włosy na głowie.

— Nie — odpowiada mój mąż, przyglądając się, jak niewiasta zstępuje ze schodków i prostuje się z cichym westchnieniem.

W końcu James Tyrrell schodzi na bok. Z uczuciem bardzo bliskim zasłabnięcia konstatuje, że mam przed sobą panią matkę, której nie widziałam od dwóch długich lat — wyciągniętą z grobu, a przynajmniej zza murów klasztoru w Beaulieu, i rzeczywiście przypominającą ducha, gdy obdarza mnie upiornym tryumfującym uśmiechem: mnie, córkę, co pozwoliła jej gnić w więzieniu i przystała na to, by uznać ją za martwą w oczach prawa.

— Co ona tutaj robi? — pytam stanowczym tonem.

Jesteśmy w komnacie prywatnej całkiem sami, odcięci zamkniętymi drzwiami od towarzystwa na zewnątrz, czekającego, byśmy powiedli wszystkich domowników na wieczerzę do wielkiej sali; w kuchniach na dole służba z pewnością przeklina, gdyż mięso zdążyło się rozgotować, a paszteciki i ciasta przypiec na chrupko.

— Uwolniłem ją — odpowiada mi spokojnie Ryszard. — Sądziłem, że się ucieszysz.

Przyglądam mu się w milczeniu. Nie wierzę, aby faktycznie tak pomyślał. Mina, którą u niego dostrzegam, świadczy o tym, że mój mąż jest w pełni świadomy rozniecenia na nowo wojny toczącej się w naszej rodzinie od dwóch długich lat i przejawiającej się gniewnymi listami, wymuszonymi przeprosinami i naciąganyymi wymówkami. Pani matka zamilkła, odkąd w swym ostatnim liście do mnie nazwała mego syna,



a swego wnuka, bękartem, Ryszarda zaś złodziejskim nasieniem, i odkąd zarzuciła mi, że pohańbiłam pamięć ojca, a ją zdradziłam. Stwierdziła wprost, że od tej pory nie uważa mnie za swą córkę. Przeklęła mnie matczynym przekleństwem i zapowiedziała, że resztę życia spędzę bez jej błogosławieństwa i że ona do końca swych dni nie wypowie mego imienia. Oczywiście nie zareagowałam na to w żaden sposób — nie napisałam do niej ani jednego słowa. Wychodząc za Ryszarda, pogodziłam się z tym, że nie mam ani ojca, ani matki. Ten pierwszy poległ na polu bitwy; ta druga opuściła mnie i wysłała w samotny bój. Obydwie z Izabelą byliśmy sierotami.

Aż do tej chwili.

— Ryszardzie, na miłość Boga, co cię podkusiło?

To skłania go do szczerej odpowiedzi.

— Jerzy chciał ją zabrać do siebie — rzecze. — Nie mam co do tego wątpliwości. Zamierzał ją porwać i odwołać się do króla, oprostowując wcześniejszą decyzję o podziale majątku między nas dwóch, zażądać sprawiedliwego jej potraktowania. Odzyskać wszystko dla niej niczym jakiś błędny rycerz, po czym we właściwym momencie zagarnąć całość fortuny Warwicków dla siebie. Miał zamiar przetrzymywać ją pod swoim dachem, tak jak wcześniej przetrzymywał ciebie. Położyłby łapę na wszystkim, Anno. Zabrałby nasze ziemie, nasze zamki... Musiałem ją tu sprowadzić.

— Zatem porwałes ją, zanim on zdążył to zrobić — odzywam się suchym tonem. — Popełniłes zbrodnię, o którejjago podejrzewałes.

Ryszard spogląda na mnie poważnie.

— Żeniąc się z tobą, obiecałem, że będę cię chronić. I właśnie to robię. Chronię cię, Anno.

Wzmianka o naszym ślubie ucisza mnie.

— Nie sądziłam, że dojdzie do czegoś takiego...

— Ani ja — wpada mi w słowo Ryszard. — Niemniej jestem gotów uczynić wszystko, aby cię ochronić.

— Gdzie będzie mieszkać? — pytam, czując mętlik w głowie. — Nie może wrócić do klasztoru, prawda?

— Zamieszka tutaj.

— Tutaj? — podnoszę głos.

— Tak.

— Ryszardzie, boję się choćby na nią spojrzeć. Wyrzekła się mnie. Odmówiła mi swego błogosławieństwa. Zabroniła mi za ciebie wyjść. Wygadywała o tobie rzeczy, jakich nigdy byś nie wybaczył. Powiedziała, że nasz syn... — urywam. — Nie przejdzie mi to przez usta. Nie chcę o tym nawet myśleć.

— Nie musisz nic mówić — zapewnia mnie wesołym tonem Ryszard. — A ja nie muszę niczego wybaczać. Niepotrzebne ci jej błogosławieństwo. Będzie naszym gościem. Jeśli nie chcesz, możesz jej w ogóle nie widywać. Pozostanie w swoich komnatach i na posiłki, i na msze. Czego jak czego, ale miejsca nam nie brakuje. Może mieć własne apartamenty, własną kaplicę, własny dwór. Nie musisz się o nią martwić.

— Jak to nie muszę? To moja matka! Matka, która odwróciła się ode mnie! Zapowiedziała, że dożyje swych dni, nie wymawiając mojego imienia!

— W takim razie myśl o niej jak o swoim więźniu.

Opadam na krzesło. Przyglądając się Ryszardowi z niedowierzaniem, pytam:

— Rodzona matka ma być moim więźniem?

— Była więźniem w Beaulieu. Teraz będzie więźniem tutaj. Nigdy nie odzyska swego majątku, straciła wszystko, gdy poszukała schronienia w klasztorze na wieść o śmierci twego ojca. Postanowiła cię zostawić samą sobie bez względu na koleje wojny. Ma takie życie, jakie wybrała. Musi się z tym pogodzić. Jest uboga i zdana na łaskę innych. Przypadkiem na naszą łaskę, a nie siostrzyczek w klasztorze. Ta odmiana może jej przypaść do gustu. Jakkolwiek spojrzeć, to kiedyś był jej dom.

— Przybyła tu za mężem, założyła tu rodzinę — mówię cicho. — Każdy kamień tutaj będzie jej o tym przypominał...

— Cóż...

Nie pozwalałam mu dokończyć.

— Nie rozumiesz? Ten zamek należy wciąż do niej! — Spoglądam na młodą urodziwą twarz Ryszarda, na jego determinację, i zaczynam rozumieć, że nic, co powiem, nie zmieni jego nastawienia. — My mieszkamy tu psim śwędem. Od teraz prawowita właścicielka będzie nam patrzyła na ręce przy pobieraniu czynszu od dzierżawców, odbieraniu hołdów od wasali. To my będziemy żyli pod jej dachem, nie odwrotnie!

Ryszard zbywa moje obawy wzruszeniem ramion. Już wcześniej wiedziałam, że ma porywczą naturę i jest zdolny — zupełnie jak jego brat

— do pochopnych, gwałtownych działań. Dzieciństwo Yorków upłynęło pod znakiem rebelii przeciwko królowi; zarówno Jerzy, jak i Ryszard byli świadkami, jak najpierw ich ojciec, a potem najstarszy brat stawiają wszystko na jedną kartę, ruszając w pole. Wszystkich trzech cechuje szaleńcza odwaga i wytrzymałość granicząca z uporem. Zdawałam więc sobie sprawę, że Ryszard będzie miał zawsze na względzie własny interes i że nie będą go krępowały skrupuły. Wszelako nawet nie przypuszczałam, że będzie miał śmiałość nałożyć areszt domowy na teściową, dla pozoru traktując jak gościa, i okraść ją z majątku. Poznałam się na twardości Ryszarda, do głowy mi jednak nie przyszło, że jest zrobiony z granitu.

— Jak długo będzie tu mieszkać? — pytam zrezygnowana.

— Do samej śmierci.

Przypomina mi się król Henryk VI więziony w Tower, który wyzionął ducha tej samej nocy, gdy trzej młodzi Yorkowie powrócili zwycięscy z pola bitwy pod Tewkesbury i postanowili położyć kres dynastii Lancasterów raz na zawsze. Wyobrażam go sobie śpiącego w ciemnościach, gdy we trzech zakradli się do jego komnaty. Zasnął pod ich opieką i już nigdy się nie obudził... Otwieram usta, aby coś powiedzieć, jednakże żaden dźwięk nie wydobywa się z mego gardła. Boję się zapytać własnego męża, jak długo jego zdaniem pani matka jeszcze pożyje.

Tego samego dnia wieczorem niechętnie, czując nudności na dnie żołądka, udaję się do komnat, które przydzielono pani matce. Wcześniej zanieśiono jej tam najlepsze potrawy z wielkiej sali i podano je na kłęczkach, jak przystoi w wypadku hrabiny. Nie odmówiła posiłku, co poznaję po tym, że teraz służba wynosi puste nakrycia. Ryszard zarządził, by zajęła północno-zachodnią wieżę, możliwie najdalszą od naszych apartamentów. Nie łączy jej z główną częścią zamku galeria, tak więc gdyby nawet pani matka mogła opuszczać swoją wieżę, musiałaby pokonać długie schody na dół, wyjść na dziedziniec, przeciąć go na wskroś, po czym pokonać kolejny ciąg schodów w górę, by dotrzeć do wielkiej sali. Po drodze każdej pary drzwi strzegą gwardziści. Mogę mieć pewność, że pani matka nigdy nie złoży nam niezapowiedzianej wizyty. Ba, nigdy nie opuści swojej wieży bez pozwolenia. Przez resztę życia będzie miała ograniczony widok na świat. Z okien jej komnat widać tylko dachy okolicznego miasteczka,

przestwór szarego nieba, płaski krajobraz oraz — gdy wychylić się bardziej — mętną wodę w fosie.

Przekraczam próg i dygam — w końcu jest moją matką i muszę jej okazywać szacunek — zaraz jednak prostuję się i staję naprzeciwko niej z uniesioną głową. W głębi ducha czuję obawę, że wyglądam jak zbuntowane dziecko. Mam zaledwie siedemnaście lat i drzę przed autorytetem pani matki.

— Twój mąż zamierza mnie tu więzić — rzecze chłodno. — Czyżbyś ty, moja rodzona córka, grała rolę strażnika?

— Muszę być posłuszna małżonkowi.

— Nie wolno ci okazywać nieposłuszeństwa mnie.

— Porzuciłaś mnie — mówię. Słowa wylewają się ze mnie pod wpływem chwili. — Zostawiłaś mnie z Małgorzatą Andegaweńską, skazałaś na potworną bitwę i porażkę, w której poniósł śmierć mój pierwszy mąż. Byłam właściwie dzieckiem, a ty mnie zostawiłaś...

— Padłaś ofiarą nadmiernych ambicji — odpowiada na to. — Nadmiernych ambicji swego ojca, które doprowadziły nas wszystkich do upadku. A teraz spełniasz polecenia innego kierowanego wybujałą ambicją mężczyzny, zupełnie jak pies. Zachciało ci się być królową Anglii. Nie znałaś swego miejsca.

— Ambicja i posłuszeństwo nie na wiele mi się przydały! — protestuję gorąco. — Uwięziła mnie Izabela, moja własna siostra!... — Czuję, jak gniew i łzy zlewają się w jedno. — Nikt nie stanął w mojej obronie. Pozwoliłaś, aby Jerzy i Izabela przetrzymywali mnie wbrew mojej woli. Schroniłaś się za murami sanktuarium i zostawiłaś mnie na pastwę wroga wprost na pobojowisku! Gdzie każdy mógł mnie znaleźć, gdzie wszystko mogło mnie spotkać...

— Ty pozwoliłaś, aby Ryszard i Jerzy okradli mnie z mojego majątku.

— Jak niby miałam ich przed tym powstrzymać?

— A czy chociaż próbowałaś?

Milczę. Albowiem rzeczywiście nie próbowałam.

— Zwróćcie mi moje ziemie i uwolnijcie mnie — domaga się pani matka. — Powiedz swemu mężowi, że musi to zrobić. Powiedz królowi, jeśli trzeba.

— Pani matko, ja... ja nie mogę tego zrobić — mówię słabym głosem.

— W takim razie niech to zrobi Izabela.

— Ona także nie może. Spodziewa się dziecka, przebywa z dala od dworu królewskiego. Zresztą król nie wysłuchałby petycji przez nas zanesionej. Król słucha wyłącznie swoich braci.

— Muszę odzyskać wolność — oznajmia pani matka drżącym głosem.  
— Nie mogę dokonać żywota w więzieniu. Musisz mnie uwolnić.

Potrząsam głową.

— Nie mogę tego zrobić. Nie ma sensu nawet mnie o to prosić. Jestem bezsilna.

Przez moment przewierca mnie na wylot pałającym spojrzeniem, a ja kulę się jak niegdyś, kiedy byłam małą dziewczynką. Pani matka nadal mnie przeraża. Tym razem jednak wytrzymuję jej spojrzenie i w odpowiedzi wzruszam ramionami.

— Przegraliśmy — stwierdzam. — Zostałam żoną mężczyzny, który wyciągnął do mnie pomocną dłoń. Wszakże nie mam żadnej władzy, podobnie jak Izabela, podobnie jak ty. Nie uczynię dla ciebie nic, co by stało w sprzeczności z życzeniami mego małżonka. Musisz się pogodzić, tak jak my dwie, z tym, że przegrałaś.

**ZAMEK W FARLEIGH HUNGERFORD, HRABSTWO SOMERSET  
14 SIERPNIĄ 1473 ROKU**



Z ulgą wielką nie do opisania opuszczam zamek w Middleham z ciążącą na nim obecnością pani matki zajmującej północno-zachodnią wieżę i udaję się do Izabeli, która spodziewa się narodzin dziecka w Norton Saint Philip w hrabstwie Somerset. Moja siostra zdażyła się już schronić w komnacie niewieściej, toteż dołączam do niej w zacienionym okiennicami pomieszczeniu. Dziecko nie zwleka z przyjściem na świat i nawet trwający dwa dni połówg nie wyzuwa Izabeli ze wszystkich sił. Akuszerka jednak przekazuje noworodka w moje ręce.

— Dziewczynka — oznajmia.

— Dziewczynka! — wykrzykuję. — Izabelo, spójrz, jaką masz śliczną córeczkę!

Moja siostra ledwie zerka na uroczą twarzyczkę dziecka o gładkich, perłowych policzkach i kruczoczarnych rzęsach.

— Och, dziewczynka — mówi bez cienia zainteresowania.

— Następnym razem może się poszczęści — rzuca zdawkowo akuszerka, zbierając zakrwawione prześcieradła i wycierając ręce w poplamiony fartuch, i już rozgląda się za grzonym piwem.

— Ależ dziewczynka to także wielkie szczęście! — oburzam się. — Widzisz, jaka jest śliczniutka? Izabelo, no spójrz. Co za grzeczne dziecko, nawet nie płacze.

Maleństwo otwiera usteczka i ziewa; jest słodkie jak kociątko. Mimo to Izabela nie wyciąga po nie ramion.

— Jerzy chciał syna — rzecze krótko. — Córka go nie zadowoli. Uzna to za zawód. Uzna, że ja go zawiodłam.

— Może urodzisz chłopca następnym razem — pocieszam ją.  
— A tamta nic, tylko rodzi — denerwuje się Izabela. — Jerzy uważa, że w końcu musi ją zawieść zdrowie. Co rok, to prorok. Któreś niechybnie zabije ją w połogu?

Czynię znak krzyża w obronie przed jej złymi słowami.

— Ale to głównie dziewczynki... — próbuję zmniejszyć irytację siostry.

— Jest też jeden chłopiec. W sam raz na księcia Walii. Poza tym jeszcze tego miesiąca ma urodzić następne i kto to może wiedzieć, co będzie tym razem? Kto zagwarantuje, że to nie chłopiec? Ajak będzie miała dwóch synów, zapewni bezpieczną sukcesję po uzurpatorze, spychając Jerzego o jedno miejsce dalej od tronu. Jak niby Jerzy ma włożyć koronę, skoro tamta daje królowi synów?

— Sza! — napominam Izabelę. Wprawdzie akuszerka jest do nas odwrócona plecami, a mamka dopiero wchodzi do komnaty, służąca zaś absorbuje wnoszenie zabrudzonej pościeli, niemniej obawiam się, że któraś może nas podsłuchać. — Sza, Izabelo. Nie mów tak. Zwłaszcza przy obcych.

— Dlaczego nie? Jerzy miał być następcą Edwarda. Taka była umowa. Tymczasem Elżbieta nie przestaje rodzić, jakby była prośną maciorą. Czemu Pan Bóg daje jej synów? Czemu w ogóle daje jej dzieci? Czemu nie ześle na nią jakiejś plagi i nie zdmuchnie jej i jej pomiotu do samego piekła?

Jej nagła wrogość tuż po połogu tak mnie zdumiewa, że przez moment milczę, nie wiedząc, co mogłabym powiedzieć.

— Wcale tak nie myślisz — mówię wreszcie. — Ani ty, ani Jerzy tak nie myślicie, jestem tego pewna. Wygadywanie takich rzeczy przeciwko królowi i jego rodzinie to zdrada w czystej postaci. Zmęczył cię poród, Izabelo, grzane piwo z korzeniami zmaciło ci umysł. Nie wolno ci opowiadać takich rzeczy, nawet mnie...

Przyzywa mnie gestem, aby szepnąć mi prosto do ucha:

— Nie uważasz, że papa życzyłby sobie, by Jerzy rzucił wyzwanie swemu bratu? Nie uważasz, że byłby wniebowzięty, gdyby mój mąż sięgnął po koronę i uczynił mnie swoją królową? Dzięki temu Ryszard zostałby następcą tronu. Właśnie urodziłam córkę, która nikomu na nic się nie przyda. Twój mąż byłby następny w kolejce do tronu, Anno. Czyżbyś zapomniała, że marzeniem papy było, aby jedna z nas została królową

Anglii, a jego wnuk księciem Walii? Potrafisz sobie wyobrazić, jaki byłby dumny i szczęśliwy, gdybym włożyła koronę, a ty po mnie, i gdyby twój syn władał Anglią po nas?

Odsuwam się od niej gwałtownie.

— Takie marzenia przywiodły go do śmierci — przypominam ostro.  
— Ruszył na wojnę i przegrał. Nasza matka stała się więźniem, a my sierotami.

— Ale gdyby Jerzemu się udało, poświęcenie nas wszystkich nie poszłoby na marne — upiera się Izabela. — Gdyby Jerzy zasiadł na tronie, papa nareszcie mógłby zaznać spokoju.

Wzdrygam się na myśl, że dusza papy kołacze się gdzieś, nie zaznawszy spokoju.

— Przestań, Izabelo — ucinam, zanim moja siostra zdąży powiedzieć coś jeszcze. — Wydaję majątek na msze za jego duszę, odprawiane we wszystkich naszych kościołach. Przestań wygadywać głupstwa. Powinnaś odpocząć. Jak każda położnica jesteś pijana grzonym piwem. Nie wolno ci mówić takich rzeczy, a mnie nie wolno ich słuchać. Tego się trzymajmy. Wszystko inne to niepotrzebne ryzyko, narażanie się na klęskę. Wszystko inne to miecz prosto w serce.

Nie wspominamy o tym więcej, a gdy wyjeżdżam, Jerzy osobiście pomaga mi wsiąść się na siodło i dziękuje za opiekę nad jego żoną w połogu, ja zaś życzę im obojgu wszystkiego najlepszego, a dziecku zdrowia i sił.

— Może następny będzie chłopiec — dodaje Jerzy. Przystojną twarz ma ściągniętą w grymasie niezadowolenia, zazwyczaj uśmiechnięte wargi wygięte ku dołowi; przepadł gdzieś cały jego przyrodzony urok. Sprawia wrażenie nadąsanego malca.

Chcę mu przypomnieć, że Izabela wydała na świat chłopca, ślicznego malutkiego chłopczyka, który byłby jego upragnionym dziedzicem, teraz już dość dużym, by biegać, pucołowatym trzylatkiem, za którym musiałyby się uganiać piastunka, tylko że ten chłopiec z powodu szalejącego sztormu pośpieszył się na świat i że wtedy, na pokładzie okrętu papy, przy Izabeli nie było ani jednej akuszerki, byłam wyłącznie ja, i że później trzeba było rzucić trumienkę prosto w kotłujące się sine fale.

Zamiast tego wszystkiego mówię:



— Może. Ale twoja córka jest ładniutka i zdrowa. Ma apetyt i rośnie szybko.

— Szybciej niż twój syn? — pyta złośliwie. — Jak go nazwaliście? Edward? Czyżby w hołdzie dla twego zmarłego męża? Dziwny sposób okazywania szacunku.

— Edward po królu, oczywiście — odpowiadam, zagryzając wargę.

— Ale nasze dziecko rośnie zdrowiej niż twoje? — dopytuje Jerzy.

— Tak, tak mi się zdaje. — Przyznanie tego przychodzi mi z trudem, niemniej mała Małgorzata wygląda kwitnąco od samego początku, podczas gdy mój syn jest cichy i słaby.

Jerzy wzrusza ramionami.

— Cóż, to i tak bez znaczenia. Dziewczynka to żaden skarb. Dziewczynka nie może zasiąść na tronie — dorzuca, odwracając się.

Nie wierzę własnym uszom. Przez mgnienie oka pragnę poprosić go o powtórzenie, by potem mu przypomnieć, że tego rodzaju słowa są wystarczającą podstawą do oskarżenia o zdradę. Ostatecznie jednak zbieram w rękę wodze i uznaję, że się przesłyszałam. Tak będzie lepiej.

## ZAMEK BAYNARDA, LONDYN LATO 1473 ROKU



Z Ryszardem spotykam się na zamku Baynarda w Londynie, gdzie na szczęście nie ma akurat pary królewskiej ani dworzan, dzięki czemu w mieście panuje spokój. Elżbieta udała się do Shrewsbury, by tam oczekiwać narodzin kolejnego potomka. Dziecko okazuje się chłopcem, drugim synem, którego pojawienie się napawało taką obawą moją siostrę Izabelę. Edward jako kochający mąż i ojciec jest przy położnicy i bez wątpienia oboje radośnie świętują przyjście na świat jeszcze jednego syna, gwarantującego ciągłość dynastii. Mnie nie robi różnicy, czy królowa ma dwóch czy dwudziestu synów — Ryszard i tak znajdował się na trzecim miejscu w kolejce do tronu, więc to, że teraz jest czwarty, praktycznie niczego nie zmienia. Nie mogę tylko ścierpieć, że Elżbieta ma gromadkę zdrowych dzieci i w miarę upływu lat nic nie traci na uroku.

Król i królowa nadają nowo narodzonemu chłopcu imię Ryszarda na cześć jego dziada i stryja. Mój Ryszard cieszy się ich szczęściem — szczerze kocha najstarszego brata i winszuje mu z okazji każdego sukcesu. Ja jestem zadowolona, że zostaliśmy tutaj i nie muszę z resztą dam dworu wisieć nad kołyską i gratulować parze królewskiej drugiego zdrowego syna. Życzę matce i dziecku jak najlepiej, gdyż nie umiem inaczej. Ale naprawdę nie chcę oglądać Elżbiety w chwili największego tryumfu.

Pozostali dworzanie i wielmoże rozjechali się do domów na lato, mało kto chce przebywać w stolicy w te miesiące, w które często zagląda tu zaraza. Ryszard i ja także nie zamierzamy zostawać dłużej i już planujemy podróż do Middleham, gdzie czeka na nas nasze dziecko.

W dniu wyjazdu udaję się do Ryszarda, aby mu powiedzieć, że przygotowania zajmą mi jeszcze godzinę, jednakże zastaję drzwi jego

komnaty zamknięte. Mowa o komnacie, w której mój mąż przyjmuje potentów, ferując wyroki i szafując względami — drzwi do niej zawsze stoją otworem, zaświadczać o wielkopańskim goście Ryszarda. To swe-go rodzaju sala tronowa, gdzie wywiązuje się ze swych powinności i jest postrzegany przez wasali jako współwładca Anglii. Naciskam klamkę i przestępuję przez próg. Okazuje się, że drzwi do komnaty prywatnej również są zamknięte. Właśnie mam zamiar je otworzyć, gdy dolatuje mnie brzmienie znajomego głosu.

W środku znajduje się nie tylko Ryszard, lecz także mój swak, Jerzy książę Clarence, który mówi coś cicho tonem wielkiej perswazji. Opuszczam uniesioną rękę wzdłuż boku i wyteżam słuch.

— Ponieważ nie jest synem z prawego łóża i ponieważ poślubił ją za sprawą czarów...

— Znowu to samo? — Ryszard przerywa bratu pogardliwie. — Znowu? Ma dwóch zdrowych synów, z czego jeden dopiero się urodził, i trzy dorodne córki... które chyba wypadają lepiej na tle twoich dzieci: jednego martwego chłopca i kwilącej w kołysce dziewczynki... a ty śmiesz twierdzić, że małżeństwo naszego brata nie zostało pobłogosławione przez Boga? Ależ Jerzy, musisz chyba przyznać, że dowody świadczą przeciwko tobie?

— Twierdzą, że dzieci Elżbiety są bękartami. Edward i Elżbieta nie są małżonkami w oczach Boga, co czyni z ich potomstwa bękarty.

— I tylko ty w całym Londynie to widzisz.

— Wielu to widzi. Wielu o tym mówi. Ojciec twojej żony tak myślał.

— Ludzie wygadują bzdury z czystej złośliwości. Albo z głupoty.

Rozlega się zgrzyt krzesła przesuwanego na kamiennej posadzce.

— Nazywasz mnie głupcem?

— Na Boga, tak — przyznaje Ryszard. — I to prosto w oczy. Nie tylko głupcem, ale i zdrajcą, skoro już o tym mówimy. Złośliwcem, jeśli naprawdę chcesz znać moje zdanie. Sądziś, iż nie wiemy, że po kryjomu spotykasz się z hrabią Oksfordu, z każdym parszywcem, który wciąż ma coś do Edwarda, mimo że ten uczynił wszystko co w jego mocy, by zadowolić rozgoryczonych wielmożów, co potracili urzędy? Że knowasz za naszymi plecami z tymi, którzy z nami walczyli, i z każdym poplecznikiem Lancasterów, jakiego zdołasz znaleźć, ba, z każdym niezadowolonym

giermkciem? I że wysyłasz tajne wiadomości do Francuzów? Naprawdę sądzisz, że nie wiemy, co wyprawiasz?

— Edward wie? — Głos Jerzego stracił na dźwięczności, jakby Ryszard wymierzył mu cios w żołądek. — Powiedziałeś przed chwilą „my”. Co takiego wie Edward? Ile mu powiedziałeś?

— Oczywiście, że Edward wie. Możesz spokojnie zakładać, że nasz brat wie o wszystkim. Ale czy coś w związku z tym zrobi? Nie, raczej nie. Czy ja coś zrobię? Zaraz się przekonasz. Brak mi cierpliwości do takich gier, wolę działać otwarcie i od razu. Tymczasem Edward kocha cię braterską miłością i wciąż nie stracił do ciebie cierpliwości. Co do mnie... Dla mnie to żadne zaskoczenie, że zdradziłeś i że możesz zdradzić ponownie w przyszłości. Znam cię jak zły szeląg. Każdy cię zna...

— Nie przyszedłem tu, żeby wysłuchiwać obelg. Chcę ci tylko powiedzieć...

Znowu ten zgrzyt drewna o posadzkę, jakby ktoś zerwał się nagle na nogi. Po chwili Ryszard pyta podniesionym głosem:

— Co tu jest napisane? Czytaj! No, czytaj!...

Nie muszę otwierać drzwi, aby wiedzieć, że Ryszard pokazuje palcem na swoje motto wyryte na drewnianej obudowie kominka.

— Na miłość boską!

— „Loyaute me lie” — odczytuje na głos Ryszard. — Pęta mnie lojalność. Ty tego nawet nie rozumiesz, ale ja jestem wierny memu bratu, królowi Edwardowi. Wierzę w rycerskość, wierzę w Boga i w króla oraz w to, że namaszczony władca panuje na ziemi z woli Najwyższego, i jeszcze że moim obowiązkiem jest służyć im obu. Ani się waż kwestionować mojej lojalności. Jej siła przekracza twoje wyobrażenie.

— Przecież mówię tylko — głos Jerzego przybrał błagalną nutę — że powstały wątpliwości co do prawowitości króla i królowej i że skoro to my jesteśmy dziedzicami Ryszarda Plantageneta, nie on, może powinniśmy podzielić królestwo między siebie, sprawiedliwie tak jak w wypadku majątku Warwicka, i panować wspólnie. Edward praktycznie scedował na ciebie północ królestwa, władasz tam niczym udzielnym księżem. Dlaczego nie miałbym dostać środkowej Anglii, a on niech sobie zostawi samo południe? Jego starszy syn ma dla siebie Walię. Czy to nie uczciwy układ?

Cisza przeciąga się. Wiem, że Ryszarda kusi myśl o niepodzielnym panowaniu na północy. Przybliżam się jeszcze do drzwi, aby niczego nie uronić. W duchu modłę się, aby mój mąż zwalczył pokusę, odmówił Jerzemu, pozostał wierny królowi. Zaklinam go milcząco, ażeby nie uczynił czegoś, co ściągnie na nasze głowy wrogość Elżbiety.

— To równałoby się rozpadowi królestwa, które Edward wywalczył dla siebie na polu bitwy — rzecze prosto z mostu Ryszard. — Zdobył je całe, w uczciwej walce, przy mojej, a nawet przy twojej pomocy Nigdy nie zgodzi się na podział. To by oznaczało zaprzepaszczenie dziedzictwa jego syna.

— Aż dziw, że bronisz dziedzictwa syna Elżbiety Woodville — odzywa się Jerzy jedwabistym głosem. — Właśnie ty, który najwięcej utraciłeś wskutek poczynań jej samej i zachłannych Riversów. Byłeś Edwardowi najukochańszym bratem i najlepszym przyjacielem, ale odkąd pojawili się Riversowie, musisz ustępować miejsca jej bratu Antoniemu, chodzącemu w glorii świętego, i jej synom z pierwszego małżeństwa, zwykłym plebejuszom, którzy towarzyszą królowi wszędzie, nawet do londyńskich lupanarów. Tymczasem jakby nigdy nie wstawiasz się za młodym Woodville'em niczym jakiś rycerz, niby kochający stryj.

— Wstawiam się za Edwardem — broni się Ryszard. — Nie wypowiadam się słowem na temat Riversów. Nasz brat poślubił wybranekę swego serca. Ta decyzja nie była mi w smak tak samo jak tobie, jednakże biorę jego stronę. Teraz i zawsze.

— Nie możesz brać jej strony — zauważa Jerzy głucho. — Po prostu nie możesz...

Raz jeszcze domyślam się wahania mego męża. Wszyscy wiemy, że nie może brać strony Elżbiety Woodville.

— Wrócimy do tej rozmowy — zapowiada Jerzy na koniec. — Nie w najbliższej przyszłości, tylko nieco dalszej. Gdy syn Elżbiety Woodville zapragnie sięgnąć po koronę. Wtedy porozmawiamy, bracie. Gdy syn szlachcianki z Grafton, bękart zrodzony poza świętym związkiem małżeńskim, zechce wstąpić na tron Anglii, któryśmy zdobyli dla naszego brata i dla naszego rodu, nie dla nich. Wtedy wrócimy do tej rozmowy. Wiem, że jesteś lojalny wobec Edwarda. Ja także jestem. Ale tylko wobec niego, wobec mego brata, mego rodu, królewskiej krwi. Nie wobec jakichś plebejuszów.

Słyszę, jak okręca się na pięcie i zmierza do wyjścia. Odskakuję od drzwi i przypadam do okna. Gdy wychodzą obydwoj, odwracam się jakby przestraszona, udając zdziwienie ich obecnością. Jerzy ledwie kiwa mi głową na powitanie i już go nie ma. Ryszard długo stoi w miejscu i spogląda za odchodzącym bratem.

**ZAMEK W MIDDLEHAM,  
HRABSTWO YORKSHIRE  
LIPIEC 1474 ROKU**



Ryszard dotrzymuje słowa. Choć mieszkamy pod jednym dachem z panią matką, prawie nigdy jej nie widuję. Ona przebywa w swoich komnatach w północno-zachodniej wieży, nieopodal strażnicy, co ułatwia jej pilnowanie, i może co najwyżej podziwiać strzechy i szczyty dachów Middleham, podczas gdy nasze apartamenty mieszczą się w głównej części zamku, skąd rozciągają się bajkowe widoki na okolicę. Poza tym nie tkwimy na miejscu, tylko wiele podróżujemy: do Londynu, do Yorku, do Sheriff Hutton, na zamek Barnarda, zawsze pod liczną eskortą i w towarzystwie domowników i przyjaciół, natomiast ona praktycznie nie opuszcza swojej wieży i co dzień rano z tych samych okien obserwuje wschód słońca, wieczorem zaś ogląda jego zachód po przeciwnej stronie, nie ruszając się ze swojej komnaty.

Wydaję polecenie, aby nasz syn Edward nigdy nie był zabierany na spacer tam, gdzie mógłby spotkać swoją babkę. Nie chcę, aby miał z nią cokolwiek do czynienia. Ten chłopiec nosi królewskie nazwisko, jest wnukiem, którego tak pragnął papa. Wprawdzie obecnie znajduje się na odległym miejscu w kolejce do tronu, lecz ja i tak wychowuję go jak małego księcia — tak, jak życzyłby sobie papa; tak, jak powinna to robić pani matka. Tymczasem ona przeklęła mnie i moje małżeństwo i dlatego nawet nie ujrzy swego ślicznego wnuczka. Równie dobrze mogłaby nie żyć, skoro wyrzekła się i mnie, i jego.

W połowie lata pani matka prosi o spotkanie z Ryszardem i ze mną. Gdy wiadomość tę przynosi nam jej główna dworka, Ryszard spogląda na mnie pytająco, jakby chciał sprawdzić, czy zamierzam odmówić matczynej prośbie.

— Musimy się z nią zobaczyć — mówię. — Może jest chora?

— W takim razie powinna posłać po lekarza, nie po ciebie — odpowiada mój mąż. — Wie, że jeśli chce, może wezwać medyków z Londynu. Dałem jej wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierzam jej niczego załować.

Zerkam na baronową Worth.

— O co właściwie chodzi?

Niewiasta w odpowiedzi potrząsa głową.

— Kazała mi tylko powiedzieć, że pragnie was zobaczyć. Razem.

— Niech do nas przyjdzie — decyduje Ryszard i wydaje rozkazy gwardzistom.

Siedzimy na identycznych krzesłach, niemalże tronach, w wielkiej sali zamku w Middleham. Nie podnoszę się, gdy pani matka wchodzi i zaraz przystaje za progiem, jakby się spodziewała, że uklękne po jej błogosławieństwo. Rozgląda się w poszukiwaniu zmian, któreśmy wprowadzili w jej siedzibie, i patrząc na nowe tapiserie, unosi brew z widoczną dezaprobatą.

Ryszard strzela palcami na sługę.

— Przysuń hrabinie krzesło.

Gdy pani matka siada, zauważam sztywność jej ruchów. Starzeje się, może nawet zaczyna chorować. Pewnie chce nas prosić, abyśmy pozwolili jej zamieszkać z Izabelą na zamku w Warwick. Czekam, aż się odezwie. Pragnę usłyszeć, że musi odbyć podróż do Londynu z powodu stanu zdrowia, a następnie chciałyby przenieść się na stałe do Izabeli i Jerzego.

— Chodzi o dokument — zwraca się do Ryszarda.

Mój mąż kiwa głową.

— Tak też myślałem.

— Musiałeś wiedzieć, że prędzej czy później o nim usłyszę.

— Spodziewałem się, że ktoś ci doniesie.

— O co chodzi? — przerywam im tę wymianę zdań. — O jakim dokumencie mówicie?

— Jak widzę, utrzymujesz żonę w niewiedzy — zauważa złośliwie pani matka. — Czyżbyś się obawiał, że spróbuje cię powstrzymać przed czynieniem zła? Dziwi mnie to. Anna raczej nie jest orędowniczką mojej sprawy. Ale może się bałeś, że czegoś takiego nawet ona nie przełknie?

— Nie. Nie obawiam się reakcji Anny — odpowiada zimno Ryszard. Po czym zwracając się bezpośrednio do mnie, dodaje: — Jerzy i ja nareszcie doszliśmy do porozumienia w sprawie majątku twojej matki.



Edward wszystko zatwierdził. Parlament przegłosował uchwałę. Jedynym satysfakcjonującym wszystkie strony wyjściem było uznanie jej za martwą w oczach prawa.

— Martwą? — powtarzam, czując, że pani matka spogląda na mnie wyniośle. — Jakże można uznać ją za martwą?

Ryszard zaczyna nerwowo stukać podeszwą buta w posadzkę.

— To termin prawniczy. Dzięki uznaniu ją za martwą możemy przejąć jej ziemie. Inaczej nie byłoby to możliwe. Żadna z was, ani ty, ani Izabela, nie mogłaby odziedziczyć majątku po matce za jej życia. Dlatego została uznana za martwą, a wy jako jej spadkobierczynie dziedziczycie po niej wszystko. Nikt niczego nie kradnie. Kiedy rodzic umiera, dzieci otrzymują spadek. Oczywiście w wypadku córek, które mają mężów, majątek przechodzi na własność mężczyzny, głowy rodu.

— Ale co z nią?

Ryszard wesoło wskazuje gestem na panią matkę.

— Jak widzisz, nic jej nie dolega. Twoja matka jest żywym dowodem na niemoc czarów. Patrząc na nią, można by wręcz zwątpić w magię. Okrzyknęliśmy ją martwą, a ona siedzi sobie tutaj, cała i zdrowa, objadając nas oboje. Jakiś ksiądz powinien wygłosić na ten temat kazanie.

— Przykro mi, jeśli moje utrzymanie drogo kosztuje — zauważa z goryczą pani matka. — O ile sobie jednak przypominam, zabrałeś mi wszystko, aby mieć za co mnie utrzymywać...

— Nie wszystko, tylko połowę — poprawia ją Ryszard. — Twój drugi zięć wziął sobie pozostałe pół. Nie powinnaś mieć pretensji do Anny. Izabela również się ciebie wyparła, a zważ, że to my zapewniamy ci dach nad głową i bezpieczeństwo. Nie musisz okazywać wdzięczności.

— Nie zamierzam.

— Wolałabyś nadal przebywać za murami klasztoru? — pyta ją Ryszard. — To da się załatwić. Mogę odesłać cię do Beaulieu.

— Wolałabym mieszkać u siebie i być wolna. Wolałabym, aby nikt nie nagiął prawa w celu odebrania mi mojej własności. Jak mam żyć, skoro okrzyknięto mnie martwą? Jakie życie mi pozostało? Czy to czyściec czy już piekło?

Ryszard wzrusza ramionami.

— To była niezręczna sytuacja. Została szczęśliwie rozwiązana. Nic mogłem sobie pozwolić na oskarżenia, że okradam z majątku własną te-

ściową, poza tym w grę wchodził honor króla. Do niedawna postrzegano cię jako bezradną niewiastę, która poszukała schronienia w sanktuarium, a dobry władca nie odbiera ziem komuś takiemu. Uchwała parlamentu stanowi, że jesteś martwa, a zatem nie masz ani ziem, ani wolności, jak przypuszczam. Możesz mieszkać tutaj, możesz wrócić do klasztoru... albo przenieść się na tamten świat. Twój wybór.

— Zostanę tu, gdzie jestem — obwieszcza pani matka z westchnieniem. — Jednakowoż nigdy ci tego nie zapomnę, Ryszardzie. Troszczyłam się o ciebie w tym zamku jak o własnego syna, mój mąż nauczył cię wszystkiego, co wiesz o prowadzeniu majątku i o wojaczce. Byliśmy dobrymi opiekunami dla ciebie i dla twego przyjaciela Francisa Lovella. A ty tak mi odpłacasz?

— Hrabia Warwick uczył mnie szybko maszerować, mordować bez pardonu na polu bitwy i poza nim, nierzadko wbrew prawu, oraz zabierać dla siebie to, czego pragnę. Okazałem się pojętym uczniem. Nie uczyniłem niczego, czego on by nie uczynił na moim miejscu. Zresztą jego ambicja przerastała moją. Ja zabrałem tylko połowę twojego majątku; on zawładnąłby całą Anglią.

Pani matka nie znajduje na to odpowiedzi.

— Czuję się zmęczona — mówi, wstając. — Anno, odprowadź mnie do moich komnat.

— Niech ci się nie wydaje, że ją przekabacisz — ostrzega Ryszard. — A n n a wie, komu jest winna lojalność. Ty ją skazałaś na klęskę i porzuciłaś. Ja ją uratowałem, uczyniłem księżną i bogatą dziedziczką.

Podaję pani matce ramię, na którym wspiera się ciężko. Wbrew sobie wyprowadzam ją z komnaty gościnnej, wiodę w dół po schodach i na wskroś wielkiej sali, gdzie służący już przygotowują stoły przed wieczerzą, by wreszcie wyjść na zamkowy dziedziniec.

Pani matka przystaje przy wejściu do swojej wieży.

— Zdajesz sobie sprawę, że twój mąż cię zdradzi i że pewnego dnia poczujesz się jak ja dzisiaj? — odzywa się znienacka. — Będziesz sama, samotna, i pozostanie ci tylko zastanawiać się, czy to czyściec czy już piekło.

Wzdrygam się i najchętniej bym się odsunęła, ale pani matka trzyma mnie w zadziwiająco silnym uścisku.

— Ryszard mnie nie zdradzi — odpowiadam więc. — Jest moim mężem, ma te same pragnienia co ja i działa w naszym wspólnym inte-

resie. Kocham go, a on kocha mnie. Pobraliśmy się z miłości i nadal się głęboko miłujemy.

— A, zatem nic nie wiesz — stwierdza z cichą satysfakcją. Wzdycha, jakby właśnie otrzymała cenny podarunek. — Tak właśnie myślałam...

Najwyraźniej nie ma zamiaru zrobić ani kroku dalej, a ja czuję się przygożdżona do miejsca przez jej ciężar u mego boku. Uświadamiam sobie nagle, że właśnie o tę chwilę jej chodziło, gdy prosiła mnie o odprowadzenie tutaj. Nie zależało jej na zgodzie między nami ani nawet na paru chwilach na osobności. Nie, od samego początku zamierzała wyjawić mi coś okropnego, coś, o czym wołałabym nie wiedzieć.

— Chodźmy — mówię, ona jednak ani drgnie.

— Uchwała, która czyni mnie martwą w oczach prawa, z ciebie robi jawnoгрzesznicę.

Jej słowa tak mnie zaskakują, że nawet gdybym chciała, nie byłabym w stanie uczynić kroku.

— O czym ty mówisz? Co to za brednie?

— Tak stanowi angielskie prawo — rzecze ze śmiechem przypominającym chichot czarownicy. — Nowe angielskie prawo. A ty o niczym nie masz pojęcia.

— O czym nie mam pojęcia?

— Uchwała, która czyni mnie martwą, a ciebie dziedziczką, stanowi również, że w razie rozwodu twój mąż zatrzyma cały majątek.

— W razie rozwodu? — powtarzam, łamiąc sobie język na nieznanym słowie.

Pani matka kiwa głową.

— W razie rozwodu twój mąż zatrzyma wszystko: zamki, budynki, statki, kosztowności, kopalnie, kamieniołomy, spichrze...

— Ryszard wystąpił o rozwód? — pytam z jękaniem.

— Jakżeby mógł? Jakżeby mógł się z tobą rozwieść? — pieje niczym stary kogut. — Wasze małżeństwo zostało skonsumowane, ty wydałaś na świat dziecko, do tego syna. Nie ma podstaw, by wnosić o rozwód. Niemniej Ryszard postarał się, aby we wspomnianej uchwale parlamentu znalazła się odpowiednia wzmianka... Dlaczego to zrobił, skoro rozwód nie mieści się w głowie? Dlaczego obwarował się na wypadek niemożliwości?

W głowie mi wiruje.

— Pani matko. Skoro już musisz coś powiedzieć, mów jasno.

Spełnia moją prośbę z ochotą. Uśmiecha się do mnie promiennie, jakby przekazywała mi dobre wieści. Jest zachwycona tym, że ma nadę mną przewagę.

— Ryszard zostawił sobie otwartą furtkę na wypadek, gdyby chciał unieważnić wasze małżeństwo — rzecze. — Postarał się o to, aby dało się ciebie odprawić w zgodzie z prawem. Gdyby wasze małżeństwo było w pełni wiążące, nie można by go rozwiązać. Zgaduję więc, że nie dostaliście należytej dyspensy od papieża i pobraliście się bez niej. Mam rację? Mam rację, moja zdradziecka córko? Jesteście kuzynami, a w dodatku powinowatymi. Ja trzymałam Ryszarda do chrztu. Jak dalej poszukać, Ryszard jest też krewniakiem twego pierwszego męża. Potrzebowaliście więc dyspensy papieskiej całą gębą. Coś mi się jednak wydaje, że na nią nie zczekaliście. Coś mi podpowiada, że Ryszard nalegał na jak najszybszy ślub i obiecywał zdobycie dyspensy później. Mam rację? Myślę, że mam, czego dowodzi owa uchwała! Ryszard pokazuje w niej czarno na białym powód, dla którego się z tobą ożenił... spadek!... i zarazem zapewnia sobie możliwość jego zatrzymania w razie rozwodu. Ba, w gruncie rzeczy mówi wprost, że może cię odprawić, ot tak! Czyż wszystko to nie jest zupełnie klarowne?

— Wszystko zależy od tego, jak uchwała została sformułowana — odpowiadam gwałtownie. — Z pewnością takie samo zastrzeżenie dotyczy Jerzego i Izabeli.

— Otóż nie — zaprzecza pani matka. — Chociaż masz rację: gdyby takie samo zastrzeżenie dotyczyło twojej siostry, mogłabyś się czuć bezpieczna. Tymczasem w uchwale nie ma słowa o ewentualnym rozwodzie Jerzego i Izabeli. Jerzy wie bowiem, że nie może odprawić żony, i nawet nie zamierza się o to starać. Ci dwoje zawarli ślub po otrzymaniu stosownej dyspensy od papieża. Takiego małżeństwa nie można rozwiązać. Tymczasem Ryszard ma świadomość, że nie było żadnej dyspensy i że nie ma związanych rąk jak Jerzy. Może cię odprawić, kiedy zechce. Wiedz, że zapoznałam się z treścią tego dokumentu bardzo uważnie, jak powinna uczynić każda niewiasta czytająca swój akt zgonu. Przypuszczam, że gdyby zwrócić się do papieża z zapytaniem, odpowiedziałyby, że nikt nigdy nawet nie złożył u niego prośby o pełną dyspensę w waszym przypadku. Tak więc małżeństwo twoje i Ryszarda nie jest ważne w oczach prawa, twój syn jest bękartem, a tyś sama jawnoгрzesznicą.

Zdumienie odbiera mi mowę. Z początku myślę, że pani matce pomie-  
szało się w głowie ze zgryzoty, z czasem jednak wszystkie fakty zaczynają  
się układać w spójną całość. Przypominam sobie pośpiech, w jakim brali-  
śmy ślub, i słowa Ryszarda, który zapewniał, że do ołtarza pójdziemy bez  
dyspensy i postaramy się o nią później. A ja, niemądra, uwierzyłam, że  
takie małżeństwo jest ważne, i w ferworze przygotowań, a potem miesiąca  
miodowego zapomniałam, że przysięga złożona w obecności arcybiskupa,  
przy błogosławieństwie króla, to jeszcze nie ślub z prawdziwego zdarzenia,  
udzielony na mocy dyspensy z Rzymu. Gdy stawałam przed świekrą, gdy  
pokazywałam się w pałacu, gdy poczynałam syna i gdy dziedziczyłam  
majątek, byłam przekonana, że wszystko jest w należytym porządku, i o nic  
nie pytałam. Dopiero teraz widzę, że mój mąż o niczym nie zapomniał  
ani niczego naiwnie nie zakładał, tylko przez cały czas dążył do tego, aby  
w dogodnym momencie móc mnie oddalić na podstawie nieważności  
zawartego małżeństwa. Jeśli zapragnie mnie odprawić, wystarczy, że po-  
wie, iż nasze śluby były nieważne. Och, zgoda, złożyliśmy je w kościele,  
w obecności księdza i Pana Boga — to jednak za mało. Znalazłam się  
całkowicie na łasce i niełasce Ryszarda. Pozostaniemy małżeństwem do-  
póty, dopóki jemu to odpowiada. W każdej chwili bowiem może ogłosić,  
że to była tylko szopka, i odzyskać wolność, doprowadzając mnie do ruiny.

Z niedowierzaniem potrząsam głową. Sądziłam, że wzięłam swoje  
życie w swoje ręce, że wreszcie nie jestem niczym pionkiem, że odtąd  
stanowię o sobie... Tymczasem, jak się okazuje, znajduję się w czyichś  
rękach w większej mierze niż kiedykolwiek.

— Ryszard — mówię, jak gdybym raz jeszcze wołała go, aby wybawił  
mnie z opresji.

Pani matka obrzuca mnie spojrzeniem pełnym satysfakcji.

— Co ja mam robić? — szepczę do siebie. — Co ja teraz mogę zrobić?

— Opuść go. — Jej głos jest niczym celnie wymierzony policzek.

— Opuść go natychmiast i udaj się ze mną do Londynu, gdzie obalimy  
uchwałę, wyprzemy się nieważnego ślubu i odzyskamy mój majątek.

Naskakuję na nią.

— Jeszcze nie zrozumiałaś, że nigdy nie odzyskasz swojego majątku?  
Wciąż ci się wydaje, że możesz walczyć z królem Anglii? Uważasz, że mo-  
żesz rzucić wyzwanie wszystkim trzem, Edwardowi, Jerzemu i Ryszardowi  
działającym wspólnie? Zapomniałaś, że to wrogowie papy, wrogowie

Małgorzaty Andegaweńskiej? I że my stałyśmy po stronie papy i dawnej królowej? Zapomniałaś, że zostaliśmy pokonani? Zachowujesz się tak, jakbyś chciała trafić do Tower i pociągnąć mnie tam za sobą!

— Jako jego żona nie zaznasz spokoju — wieszczy ponuro. — Pamiętaj, że może cię odprawić w każdej chwili. Jeśli twój syn umrze, a ty nie urodzisz mu następnego, porzuci cię i weźmie sobie inną, płodniejszą niewiastę, zabierając ci cały majątek.

— Ryszard mnie kocha.

— Być może — przyznaje niechętnie. — Nade wszystko jednak pragnie twój majątku: ziem, na których stoimy, zamku, w którym mieszkamy, i dziedzica. Nie znasz dnia ani godziny, Anno.

— Nie znałam dnia ani godziny, będąc twoją córką — kontruje. — Tyle wiem na pewno. Wydałaś mnie za pretendenta do tronu Anglii i zostawiłaś na pastwę losu, gdyśmy się szykowali do walnej bitwy. A teraz znowu nakłaniasz mnie do zdrady!

— Opuść go! — szepcze natarczywie. — Tym razem będę po twojej stronie!

— A co z moim synem?

Wzrusza ramionami.

— Nigdy więcej go nie zobaczysz, ale skoro to bękart... jakie to ma znaczenie?

Ciągnę ją za ramię ku komnatom, gdzie gwardzista odstępuje na bok, aby nas przepuścić, gotów zatrzasać za nią drzwiami.

— Nie nazywaj Edwarda bękartem! — syczę. — Ani mi się waż tak go nazywać! Jestem wierna swemu synowi i swemu mężowi, a ty mnie nie obchodzisz! Możesz sobie tu gnić do samej śmierci!

Wrywa ramię z mojego uścisku.

— Strzeż się, bo zamierzam rozpowiedzieć całemu światu, że nie jesteś żoną Ryszarda, tylko jego kochanicą, i że rodzisz bękarty...

Wpycham ją za próg.

— Wcale nie! — krzyczę. — Nie dostaniesz papieru ani piór, nie zdobędziesz posłańca, który by zaniósł twoją wiadomość. Nie będziesz przyjmować żadnych gości. Pokazałaś, że jesteś moim wrogiem, więc będę cię traktować jak wroga i trzymać krótko. Wejdz do środka, pani matko. Możesz być pewna, że już nigdy nie przekroczysz tego progu ani żadne twoje słowo nie opuści tych murów. Wchodź do środka i szykuj

się na śmierć. Jesteś już martwa w oczach prawa i w moich też. Zgiń, przepadnij na wieki!

Zatrząskuję za nią drzwi i obracam się do strażnika.

— Nie wpuszczaj do niej nikogo poza jej dworkami. Żadnych posłańców, żadnych handlarzy, nawet marnego kaznodziei. Każdy wchodzący i wychodzący ma zostać przeszukany. Ta niewiasta nie może się z nikim widywać, nie może z nikim rozmawiać. Zrozumiano?

— Tak, wasza książęca mość.

— To wróg — dodaję. — Zdrajczyni i oszustka... Knowa przeciwko jego książęcej mości, przeciwko mnie, przeciwko naszemu drogiemu synkowi. Mości książę nie cacka się ze swoimi wrogami. Ty też nie musisz się z nią cackać.

**ZAMEK W MIDDLEHAM,  
HRABSTWO YORKSHIRE  
WIOSNA 1475 ROKU**



Chyba kamienieje mi serce. Niedysiejsza dziewczyna — drżąca przed matką, tuląca się do starszej siostry, miłująca swego ojca jak poddany króla — zamieniła się w osiemnastoletnią księżną wydającą rozkazy służbie, by traktowała jej matkę jak wroga rodziny, i piszącą ostrożne listy do siostry. Ryszard przestrzegł mnie, że Jerzy zaczął otwarcie krytykować króla i że Izabela go w tym popiera. W żadnym razie nie możemy być więc z nimi łączeni.

Mój mąż nie musi mnie specjalnie przekonywać. Ani myślę mieć coś wspólnego z siostrą i ze swakiem, którzy pchają się smokowi w paszczę. Kiedy zatem Izabela informuje mnie, że ponownie musi się udać do komnaty niewieściej, i pyta, czybym jej nie towarzyszyła jak ostatnio, odmawiam. Tak czy inaczej nie jestem w stanie spojrzeć jej w oczy, odkąd nasza matka zamieszkała z nami w charakterze dożywotniego więźnia. W uszach wciąż dźwięczą mi matczyne groźby, a jej słowa prześladują mnie po nocach. Izabela wie już, tak jak ja, że nasi mężowie okrzyknęli panią matkę martwą w oczach prawa, aby przejąć jej majątek. Czuję się niczym morderczyni ze świeżą krwią na rękach. Co bym miała powiedzieć Izabeli, gdyby mnie zapytała, w jakich warunkach żyje pani matka i czy znosi uwięzienie z pogodą ducha? Co bym jej odpowiedziała, gdyby poprosiła o matczyną wizytę?

Nie mogę przyznać przed nikim, że więzę własną matkę, aby nie wyjawiała prawdy o moim małżeństwie. A już z całą pewnością nie mogę przyznać przed Izabelą, że nie tylko nasi mężowie okrzyknęli panią matkę



martwą, ale też że ja sama życzę jej rychłej śmierci. Bez wątpienia bowiem życzę jej, by milczała aż po grób.

Boję się tego, co sobie myśli Izabela. Zastanawiam się, czy zapoznała się z dokumentem uznającym panią matkę za martwą w oczach prawa równie drobiazgowo jak główna zainteresowana. Zastanawiam się, czy Izabela żywi podejrzenia co do mojego małżeństwa i czy pewnego dnia Jerzy ogłosi wszem wobec, że jestem jawnogrzesznicą podobnie jak Elżbieta Woodville i że tylko jeden z braci Yorków ma prawowitą małżonkę. Nie śmiem odwiedzić siostry, gdy trapią mnie takie myśli, toteż odpisuję, że nie mogę przyjechać, gdyż czasy są ciężkie.

Izabela pisze do mnie w marcu, iż bardzo żałuje, że nie mogliśmy się spotkać, i zawiadamia, iż ma dobre nowiny. Nareszcie urodził się im syn — syn i dziedzic — który na chrzcie otrzyma imię Edwarda, z przydomkiem po dziadzie i miejscu narodzin: Edward Warwick. W ostatnich słowach swego listu prosi mnie, abym kierowała ku nim ciepłe myśli. Staram się z całych sił, nadaremno jednak. Potrafię myśleć wyłącznie o tym, że jeśli Jerzy faktycznie wyciągnie rękę po koronę, będzie mógł zaproponować swoim zwolennikom alternatywną rodzinę królewską jak się patrzy, z następcą tronu w kołysce. Odpisuję siostrze, że raduje mnie nowina o szczęśliwym położeniu i narodzinach chłopca i że życzę obojgu wszystkiego najlepszego. Jednakże ani nie posyłam podarków, ani nie pytam, czy mogę zostać matką chrzestną. Drżę na samą myśl, co Jerzy ma w planach dla tego chłopczyka, tego nowego Warwicka, wnuka słynnego Twórcy Królów.

Podczas gdy ja zamartwiałam się groźbami pani matki i stanem zdrowia syna, cały kraj zaczął się szykować do wojny z Francją, i to w zastraszającym tempie. W niepamięć odeszły pokojowe czasy, wszystko zostało podporządkowane ściąganiu wyższych podatków, zaciągowi nowych żołnierzy, wykuwaniu broni, podkuwaniu koni, szyciu mundurów i liberii... Ryszarda zajmuje wyłącznie gromadzenie armii: zbieranie do kupy wasali, dzierżawców, służących i każdego, kto przysięgał mu wierność. Szlachcice muszą się stawiać z własnymi drużynami, miasta i miasteczka muszą łożyć fundusze i przysyłać czeladników. Ryszardowi śpieszno wyszkolić armię i przyłączyć się do swoich braci — obydwóch braci — którzy przygotowują się do inwazji na Francję czekającą na nich niczym ladacznica z szeroko rozłożonymi nogami, z zamiarem wzięcia jej całej bez pardonu.

Yorkowie wyruszą w splendorze. Edward zapowiada powrót do złotych dni z czasów króla Henryka V. Obiecuje zdobycie Francji i wymazanie haniebnej klęski Anglików z czasów złej królowej i śpiącego króla, którzy raz na zawsze zostaną zapomniani. Podczas przygotowań do wymarszu mąż traktuje mnie chłodno. Nie zapomniał, że francuski król, Ludwik XI, był pomysłodawcą i organizatorem mego pierwszego ślubu, nazywał mnie swą kuzyneczką i obiecywał przyjaźń, gdy już zostanę królową Anglii. Sprawdza skrupulatnie wozy, które przetransportują do Francji wszystko co potrzebne na wyprawie wojennej, każe zbrojmistrzowi spakować dwie pełne zbroje i w końcu dosiada swego konia bojowego na czele tysiąca konnych. Reszta dołączy do niego w drodze na południe.

Wychodzę na zewnątrz, aby się z nim pożegnać.

— Wracaj cały, mój mężu. — Mrugam, ażeby przepędzić łzy z oczu.

— Jadę na wojnę — rzecze z nieobecnym uśmiechem. Głowę ma zaprzątniętą obowiązkami, które go czekają. — Wątpliwe, abym zdołał wrócić cały.

Potrząsam głową. Jakżebym chciała mu powiedzieć, jak bardzo się o niego boję i że papa w ferworze przygotowań również nie znalazł czasu na porządne pożegnanie, tak mu było śpieszno wsiąść na pokład okrętu i popłynąć na swoją wojnę. Mimowolnie wspominam swojego pierwszego męża, ściętego w kwiecie wieku na polu bitwy tak krwawej, że nikt po dziś dzień nie mówi głośno o jego śmierci.

— Chciałam powiedzieć: mam nadzieję, że wrócisz do domu, do mnie i do swojego syna Edwarda — dodaję ciszej. Podchodzę do drobiącego w miejscu wierzchowca i przykładam dłoń do kolana Ryszarda. — Daję ci moje żonine błogosławieństwo. Będę z tobą myślami przez cały czas. Sercem i modlitwą także.

— Wrócę — zapewnia mnie. — Będę walczył u boku mego brata Edwarda, który jeszcze nigdy nie przegrał w boju, a klęskę poniósł wyłącznie wtedy, gdy ktoś go zdradził. Jeśli uda nam się odbić angielskie ziemie we Francji, będzie to zwycięstwo, o którym nie przestaną mówić pokolenia.

— O tak — potwierdzam.

Ryszard pochyla się w siodle, by pocałować mnie w usta.

— Odwagi — rzuca. — Było nie było, jesteś żoną dowódcy angielskiej armii. Niewykluczone, że zdobędę na wojnie wspaniałe ziemie i zamki. Dbaj o moje ziemie i o mojego syna i czekaj na mnie.

Odstępuję od coraz bardziej niecierpliwącego się wierzchowca, a Ryszard daje znak ręką, na co jego chorąży unosi i rozwija sztandar. Na wietrze trzepocze emblemat niedźwiedzia, rozlega się wiewat tysiąca gardeł i mój mąż wyjeżdża z dziedzińca. Poluzowuje wodze, dając wierzchowcowi upragnioną swobodę, j moment później jego rumak rażno przemierza luk wieży bramnej, a następnie most zwodzony nad fosą. Słychać gęganie gęsi i kwakanie kaczek, które rozbiegają się w popłochu spod kopyt kawalkady. Oddział pod wodzą mego męża kieruje się ku Middleham i dalej na południe, gdzie połączy się z armią króla, by potem pokonać Kanał Angielski i wylądować we Francji, zaprowadzić tam znowu nasze panowanie, jak za dawnych lat, gdy angielscy królowie władali francuskimi ziemiami, które oddawali w dzierżawę angielskim wieśniakom, by uprawiali na nich oliwki i winogrona.

## LONDYN LATO 1475 ROKU



Przeprowadzam się z zamku w Middleham do naszej londyńskiej siedziby, na zamek Baynarda, aby być bliżej pałacu i słyszeć najświeższe nowiny o poczynaniach mego męża i jego braci we Francji.

Królowa Elżbieta rezyduje w Westminsterze. Jej syn, mały książę Edward, został wyznaczony na regenta pod nieobecność ojca, co sprawia, że Elżbieta pławi się w matczynej i żoninej chwale. Jej brat Antoni udał się z królem na wyprawę, toteż jest jedyną opiekunką księcia i regenta. Przewodzi jego radzie i wybiera mu doradców oraz nauczycieli. Władza teoretycznie spoczywa w rękach panów rady, ci jednak zbierają się pod przewodnictwem nowo wyznaczonego kardynała Bouchiera, który — zawdzięczając kapelusz kardynalski królowi — jest na każde jej skienienie. Okoliczności sprawiły, że Elżbieta Woodville stała się głową rodu Yorków. Praktycznie pełni funkcję regentki i sprawuje rządy. Wszystko, co osiągnęła, zawdzięcza sobie — a osiągnęła doprawdy niemało. Pokonała długą drogę: od szlacheckiego dworku do pałacu królewskiego...

Jak połowa Anglii, wprost nie potrafię sobie wyobrazić katastrofy, która by niechybnie nastąpiła, gdyby nasz król poległ we Francji i koronę odziedziczyło po nim to nieletnie dziecko. Jak połowa Anglii, nagle uświadamiam sobie, jaką niezwykłą potęgę skupiła w swoim ręku ta szlachecka rodzina z hrabstwa Northamptonshire. Gdyby Edward IV zginął podczas kampanii wojennej we Francji, tak jak stało się w wypadku króla Henryka V, Anglia wpadłaby w łapy Riversów na zawsze. Już teraz decydują o losach małego księcia Walii i stopniowo zyskują coraz większe wpływy w całym kraju, wyznaczając swoich ziomków, przyjaciół i krewniaków na każdy ważny urząd, jaki się akurat zwolni. Opiekunem i mentorem księcia Walii

jest brat królowej, Antonii Woodville hrabia Rivers; Elżbieta zawiaduje radą książęcą, którą Antonii trzyma w garści. Mały książę jest otoczony rojem braci i siostr oraz wujów i ciotek, gdyż — co podejrzane — Elżbieta nie ustępuje pod względem płodności tej czarownicy Jakobinie. Nawet rodzina króla, do której przecież się zaliczam, nie ma łatwego dostępu do księcia Walii i jego młodszego brata, Ryszarda Shrewsbury, ponieważ wokół obydwóch chłopców roi się od Riversów i ich sługusów. Mały Edward jest bratankiem mego męża, a mimo to prawie w ogóle go nie widzujemy. Mieszka samotnie na zamku w Ludlow z Antonim hrabią Rivers, a kiedy nawet zjeżdża do Londynu na jedne czy drugie święta, dostaje się pod skrzydła matki i siostr, które opadają go jak sroki i nie spuszczają z oka do końca krótkich odwiedzin.

Doprowadziliśmy do upadku dynastię Lancasterów, ale w zamian — z tego co widzę — pozwoliliśmy się wybić nowej: dynastii Riversów. Woodville'owie wszędzie, gdzie tylko mogą, umieszczają swoich krewniaków, przyjaciół i faworytów, zajmując najważniejsze urzędy w kraju, a do tego krew z ich krwi, kość z kości, młody Edward, jest następcą tronu.

Gdyby król poległ we Francji, zaiste w Anglii zapanowałaby dynastia Riversów. Ani Jerzy, ani Ryszard nie byłiby mile widziani w pałacu. A potem bez wątpienia na nowo rozgorzałaby wojna domowa. Jestem pewna, że Jerzy przeciwstawiłby się uzurpatorom, do czego miałyby święte prawo. Riversowie nie mogą się poszczycić królewskim rodowodem, nie otrzymali mandatu do pełnienia władzy. Reakcji Ryszarda mogę się tylko domyślać. Jest niezwykle kochającym i lojalnym bratem króla, jednakże jak wszyscy dostrzega zachłanność królowej i raczej nie zniósłby panowania bratowej i jej rodziny. Sądzę, że obydwaj — Jerzy i Ryszard — zwróciliby się przeciwko Riversom i Anglia znowuż pograżyłaby się w wojnie kuzynów.

Elżbieta zaprasza mnie na ucztę z okazji otrzymania dobrych wieści z kontynentu: armia Edwarda przybiła do brzegów Francji i rozpoczęła marsz w głąb kraju. Gdy pojawiaam się pośród rześistego blasku i harmideru jej komnaty gościnnej, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, ale i ku wielkiej radości dostrzegam Izabelę.

Dygam przed królową, a następnie — gdy nadstawia chłodny policzek do ucałowania — składam na jej twarzy siostrzany pocałunek, po czym cmokam wszystkie trzy księżniczki i ponownie dygam, tym razem przed pięcioletnim księciem oraz jego raczkującym braciszkiem. Dopiero

przywitawszy się z tą liczną rodziną, mogę zamienić słowo z własną siostrą. Bałam się, że Izabela będzie mi wyrzucać moje niestawienie się na czas jej połogu, jednakże ona ściska mnie serdecznie.

— Anno, tak się cieszę, że cię widzę! Gdybym sama przybyła wcześniej, złożyłabym ci wizytę w domu.

— Wybacz, że wtedy nie przyjechałam — mówię pośpiesznie, czując przepełniającą mnie radość, kiedy najpierw obejmuję ją mocno, a potem odsuwam na wyciągnięcie ręki, aby lepiej się jej przyjrzeć. — Chciałam, ale Ryszard mi nie pozwolił.

— Wiem — odpowiada. — Jerzy wolałby, abym w ogóle cię nie zapraszała. Co to, znowu się posprzeczały?

Potrząsam głową.

— Porozmawiamy później — mówię krótko. Lekkim skinieniem głowy daję siostrze do zrozumienia, że królowa Elżbieta, która nachyla się właśnie, by pozornie powiedzieć coś do syna, z całą pewnością przysłuchuje się bacznie naszej rozmowie.

Izabela obejmuje mnie w pasie i odprowadza na bok, jakby chciała mi pokazać nowe dziecko w rodzinie królewskiej: kolejną małą księżniczkę. Piastunka pokazuje nam niemowlę, po czym zabiera je z powrotem do komnaty dziecięcej.

— Mój Edward chowa się dość zdrowo — rzecze Izabela. — Ale ona ma ich tyle, a wszystkie są piękne i zdrowe... Jak twoim zdaniem to robi?

Kręcę głową. Nie zamierzam wdawać się w niebezpieczną dyskusję na temat niezwykłej płodności królowej ani jej sukcesów w wychowywaniu dzieci.

Izabela także porzuca tę kwestię i odprowadziwszy mnie jeszcze kawałek, pyta:

— No więc?... Co znowu zaszło między naszymi mężami? Posprzeczały się?

— Podsłuchałam ich rozmowę — wyznaję. — Stałam akurat pod zamkniętymi drzwiami. Tym razem nie chodzi o pieniądze, Izabelo. To coś znacznie gorszego... — Zniżam głos do szeptu. — Mam podstawy sądzić, że Jerzy zamierza dokonać zamachu stanu.

Izabela odruchowo ogląda się przez ramię, lecz w gwarnej komnacie nikt nas nie słyszy.

— Powiedział to Ryszardowi wprost? Jesteś pewna?

— To ty o niczym nie wiesz?

— Bez przerwy przychodzą do niego jacyś ludzie, zasięga porady astrologów, buduje nowe sojusze... Myślałam, że wszystko to ma związek z wyprawą do Francji. Powiodł na wojnę ponad tysięczny oddział. Tylko on i Ryszard mają za sobą tak liczną armię, przewyższającą liczebnie armię króla. Byłam pewna, że Jerzy gromadzi wojsko dla swego brata. Chyba nie myśli o zamachu stanu, skoro wsparł Edwarda w tej kampanii?

— Czy Jerzy naprawdę uważa, że Edward nie ma praw do tronu? — pytam z ciekawością w głosie. — Bo w rozmowie z Ryszardem wyraził się jasno...

Izabela wzrusza ramionami.

— To stara plotka. Edward w niczym nie przypomina ojca, przyszedł na świat poza granicami Anglii, w czasie gdy książę Yorku przebywał z dala od rodziny, walcząc z Francuzami. Wszyscy o tym wiemy. — Zerka znowu za siebie, na królową otoczoną przez gromadkę udanych dzieci i śmiejącą się z czegoś, co powiedziała jej najstarsza córka. — Poza tym ożenił się po kryjomu. Skąd można wiedzieć, że wszystko odbyło się jak należy, w obecności prawdziwego księdza?

Nie czuję się na siłach rozmawiać z Izabelą o wątpliwych związkach małżeńskich.

— Ryszard zamyka uszy na takie pogłoski — mówię nerwowo. — Nie wolno mi poruszać tego tematu.

— Rozmawiacie o nowym dziecku w rodzinie? — przerywa nam królowa, wołając z drugiego końca komnaty. — Mamy ostatnio dostatek Edwardów, nieprawdaż? Każda z nas mającego w komnacie dziecięcej.

— Edwardów jest wielu, lecz książę Walii tylko jeden — odpowiada zgrabnie moja siostra. — A w królewskiej komnacie dziecięcej nie brak także innych ślicznych dziełek.

Królowa spogląda łagodnie na księżniczki bawiące się ze swoim bratem, księciem Walii.

— Tak, niech Bóg ma je wszystkie w swojej opiece — stwierdza i dodaje miłym głosem: — Nie zamierzam na tym poprzestać. Mam nadzieję dochować się co najmniej tylu potomków, ilu wydała na świat moja matka, która urodziła mężowi czternaścioro. Obyśmy były takie jak nasze matki!

Izabela zamiera i blednie na twarzy, z której w okamgnieniu spełza uprzejmy uśmiech. Kiedy królowa odwraca się, aby zagadnąć kogoś innego, pytam natarczywie:

— Co się stało? Co się stało, siostrze?

— Rzuciła na nas klątwę — szepcze do mnie ledwie słyszalnie. — Przed chwilą rzuciła na nas klątwę, życząc nam, abyśmy byli takie jak nasza matka. Abyśmy miały same córki!

— Nieprawda — zaprzeczam. — Chodziło jej o czternaścioro dzieci Jakobiny.

Izabela potrząsa głową.

— Ona wie, że jeśli jej synowie umrą, tron odziedziczy Jerzy. Za nic w świecie nie chce, by mój syn włożył koronę. Jestem pewna, że rzuciła na nas klątwę, rzuciła klątwę na mojego syna, i to jawnie, przed wszystkimi. Pożyczyła mi, abym dochowała się tyle samo potomstwa co moja matka, która miała tylko dwie córki. Ciebie także przeklęła. Tobie także życzy dwu dziewczynek. A naszym synom życzy wszystkiego co najgorsze... życzy im śmierci...

Izabela jest tak wstrząśnięta, że muszę ją zabrać sprzed oblicza królowej, korzystając z tego, że utworzył się korowód osób chętnych nauczyć się nowego tańca. Gęsty tłumek robi mnóstwo hałasu i ćwicząc kroki, przesuwa się to w jedną, to w drugą stronę. Kiedy się wymykamy z komnaty, nikt nie zwraca na to uwagi.

Stoimy przy otwartym oknie, dopóki rumieniec nie wróci na policzki Izabeli.

— Nie powinnaś tak myśleć o królowej — napominam ją cicho. — Nie możesz słyszeć klątw i widzieć czarów we wszystkim, co mówi i robi. Nie wolno ci jej bez przerwy podejrzewać. Nie sposób żyć w ciągłym strachu. Obieśmy ułożyły sobie życie, Jerzy zyskał przebaczenie króla i ruszył na wojnę u jego boku. My dostałyśmy spadek. Ryszard i Jerzy, jak to bracia, będą się sprzeczały, lecz trzeba nam żyć w pokoju.

Izabela kręci głową, nadal wyraźnie przestraszona.

— Nie ma mowy o pokoju. Ciekawe, co dzieje się we Francji... Byłam przekonana, że mój mąż gromadzi armię, aby wesprzeć króla w zamorskiej kampanii. Prawda jest jednak taka, że ma pod sobą tysiąc ludzi, którzy zrobią to, co im każe. A jeśli Jerzy faktycznie przymierza się do zamachu stanu? Jeśli przez cały czas tylko o to mu chodziło? Co



będzie, jeśli zabije Edwarda we Francji i wróci do Anglii, by odebrać koronę Riversom?

Przez wiele tygodni żyjemy w niepokoju, zastanawiając się, czy angielscy żołnierze, którym daleko do walczenia z Francuzami, zwrócili się przeciwko sobie nawzajem. Zarówno Izabela, jak i ja obawiamy się, że Jerzy zamierza pójść w ślady naszego ojca i wysforowawszy się do przodu w awangardzie, nagle dokona zwrotu i przypuści atak. Wreszcie dostaję od Ryszarda list, w którym mój mąż pisze, że wszystkie plany obróciły się wniwecz. Nasz sprzymierzeniec, książę burgundzki, wdał się w oblężenie z dala od linii frontu, nie mające żadnego znaczenia dla prowadzonej kampanii. Księżna Burgundii, Małgorzata York — rodzona siostra Ryszarda — nie ma dość władzy nad małżonkiem, aby zmusić go do udzielenia wsparcia jej braciom, którzy wylądowali w Calais i przemaszerowali do Reims, gdzie Edward miał zostać koronowany na króla Francji. Ta nieodrodna córka rodu Yorków nie posiada się z rozpaczy. Wszystko wskazuje na to, że jej małżonek omamił Edwarda, zachęcając go do wojny z Francją, po to tylko, by na boku załatwić swoje interesy. Jak widać, nawet sojusznicy mają własne ambicje. Jedynie mój mąż Ryszard wolałby trzymać się pierwotnego planu.

*Burgundia walczy o swoje sprawy. Krewniak królowej, nasz słynny sojusznik hrabia Saint-Pol, takie. Chociaż jesteśmy gotowi do boju, mój królewski brat stracił nagle ducha, a do tego Ludwik Francuski zaoferował mu nader korzystne warunki, byleśmy tylko zostawili Francję w spokoju. Złoto i obietnica, że księżniczka Elżbieta zostanie następną królową Francji, wystarczyły, aby skłonić nas do wycofania się. Edward dał się przekupić.*

*Anno, Ty jedna rozumiesz, jakie upokorzenie czuję z tego powodu. Pragnąłem wywalczyć dla nas angielskie ziemie we Francji, pragnąłem ujrzeć nasze zwycięskie wojska na równinach Pikardii. Tymczasem zamiast żołnierzami staliśmy się kupcami, handryczącymi się o cenę. Nie jestem w stanie zapobiec podpisaniu tego traktatu przez Edwarda i Jerzego, podobnie jak nie byłem w stanie wyciągnąć moich ludzi z Amiens, gdzie król Ludwik urządził ucztę z nieprzebranym zapasem mięs i win, wiedząc, że prości żołnierze rzucą się na jadło i trunek i nie odstąpią, póki się nie pochorują z przejedzenia*

*i przepicia. Wstrętem napawa mnie to, że tacy ludzie noszą moje barwy, mój emblemat. Moje oddziały pokonało łakomstwo, ja zaś zostałem doprowadzony do mdłości przez uczucie wstydu.*

*Przysięgam, że nigdy więcej nie zaufam Edwardowi. Mój brat postąpił nie po królewsku, w niczym nie przypomina Artura z Camelotu. Tak się może zachowywać bękart po łuczniku, nie książęcy syn i król. Nie potrafię patrzeć mu prosto w oczy, gdy obżera się przy stole Ludwika Francuskiego i chowa za pazuchę złote sztucce.*

## ZAMEK BAYNARDA, LONDYN WRZESIEŃ 1475 ROKU



Jesienią wszyscy są już w domu, bogatsi, niżby mogli marzyć, obładowani srebrną zastawą, klejnotami, monetami i obietnicami kolejnych skarbów. Jeden król przywozi siedemdziesiąt pięć tysięcy koron w ramach zapłaty za zobowiązanie do honorowania traktatu przez siedem lat, dodatkowo Ludwik Francuski ma mu wypłacać pięćdziesiąt tysięcy koron za każdy rok, w którym Edward nie upomni się o swe prawo do angielskich ziem we Francji. Jerzy księżę Clarence, który nie odstąpił brata podczas jego handryczenia się i zawsze jest gotów wyciągnąć rękę po łatwe pieniądze, zostaje wyznaczony na radcę mającego dopilnować przestrzegania tej niechlubnej umowy i także otrzymuje fortunę. Jedyne Ryszard wyraża swój sprzeciw — ze wszystkich ludzi, którzy wyruszyli do Francji i wrócili bogaci, jedynie mój mąż przestrzega króla Edwarda, że nie tak prowadzi się wojnę, nie tak się wygrywa batalie. Jego zdaniem angielscy poddani uznają, że ich podatki poszły na marne, a londyńczycy i szlachcice zasiadający w parlamencie otwarcie zaprotestują przeciwko takiej hańbie. Ryszard zaklina swego brata, aby nie oddawał kawałka Anglii za parę srebrników. Jak się zdaje, jest to głos wołającego na puszczy. Wszyscy z wyjątkiem Ryszarda są zajęci przeliczaniem brzęczącej zapłaty.

— Choć wiedział, że jestem przeciwny temu traktatowi i optuję za wojną, i tak obdarował mnie tuzinem koni pod wierzch zdatnych do polowania i małym majątkiem w srebrnej zastawie! — wykrzykuje z oburzeniem Ryszard za zamkniętymi drzwiami naszych prywatnych komnat, z dala od uszu plotkarzy, z dala (chwalić Boga) od jego matki, która przebywa w Fotheringhay i nie może się przyłączyć do chóru głosów szkalujących dobre imię Edwarda.

— A ty je przyjąłeś?

— Oczywiście. Każdy brał, co mógł. Taki Wilhelm Hastings będzie dostawał dwa tysiące koron rocznie. Ale to nie wszystko... Edward obiecał uwolnić Małgorzatę Andegaweńską!

— Uwolnić królową Małgorzatę...?

— Odtąd nie będzie nazywana królową, ponieważ ma się wyrzec swego tytułu oraz praw do angielskiej korony. Ale odzyska wolność.

Zalewa mnie fala przemożnego strachu.

— Chyba nie trafi pod nasz dach? Ryszardzie, nie zniosłabym tego, gdyby miała zamieszkać w jednej z naszych siedzib.

Ryszard wybucha donośnym śmiechem po raz pierwszy, odkąd wrócił do domu.

— Na Boga, skądże... Małgorzata Andegaweńska wróci do Francji. Niech Ludwik się o nią martwi, skoro tak mu na niej zależy. Jedno jest warte drugiego. Obojgu brak honoru, oboje są zachłanni i kłamią ile wlezie, żadne nie jest godne zasiadać na tronie. Na miejscu Edwarda kazałbym ją ściąć i pokonałbym Ludwika w uczciwej walce. Nigdy bym się nie zniżył do podpisania tego haniebnego pokoju.

Kładę mu dłoń na ramieniu.

— Spełniłeś swój obowiązek. Zgromadziłeś armię i ruszyłeś w pole.

— Odnoszę wrażenie, że mój brat jest zaprzedańcem — żali mi się Ryszard. — Że obaj bracia to zaprzedańcy, gotowi oddać swą cześć za miskę soczewicy. Tylko ja jeden dbam o honor. Oni mnie wyśmiali i nazwali zapatrzonym w rycerskie ideały głupcem, marzycielem, który śni o lepszym świecie, jaki nigdy nie nadejdzie. Nawet na moment nie wyciągając ryjów z koryta... — Odwraca się do mnie i składa pocałunek na mej dłoni. — Anno...

Po chwili całuje mnie w czoło, w szyję, w usta, po czym usadza mnie sobie na kolanach. Odwzajemniam czułości, obsypując pocałunkami jego zamknięte powieki, zmarszczone brwi, ściągnięte w grymasie wargi. Kiedy kładzie mnie na pościeli, sięgam ku niemu obiema rękoma, modląc się, abyśmy poczęli kolejnego syna.

**ZAMEK W MIDDLEHAM,  
HRABSTWO YORKSHIRE  
LATO 1476 ROKU**



Mój syn Edward ma już trzy latka, opuszcza komnatę dziecięcą, zrzuca chłopięcą koszulinę i wkłada strój małego księcia, albowiem wcześniej szwaczki zdążyły uszyć miniaturową kopię eleganckich, utrzymanych w ciemnej tonacji ubiorów Ryszarda. Co dzień rano pieczołowicie odziewam swoje dziecko, uważnie przewlekając tasiemki przez dziurki w rękawach i naciągając na drobne stopy buty do jazdy konnej. Na koniec Edward zawsze zabawnie tupie, trzaskając obcasami. Niebawem przyjdzie pora ściąć jego loki, na razie jednak każdego letniego dnia czeszę miodowobrazowe włoski, kręcąc je na palcu. Co miesiąc modłę się, aby Bóg raczył dać mu brata albo choćby siostrę, jeśli taka jest Jego wola. Jednakże czas mija, a comiesięczna przypadłość nachodzi mnie regularnie i mam wyśmienity apetyt. Nie trapią mnie ani nudności, ani ta rozkoszna słabość, która mówi niewieście, że jest przy nadziei.

Składam wizytę zielarce, wzywam do swych komnat medyka. Zielarka każe mi pić przeohydne napary i nosić torebkę z ziołami zawieszoną na szyi; medyk doradza spożywać mięso nawet w piątki i zauważa, że moje humory są zimne i suche, a powinny być gorące i wilgotne. Dworki poszeptują, że jest taka jedna niewiasta, nieledwie czarownica, która zna sztuczki nie z tego świata — potrafi sprawić, że dziecko się urodzi albo umrze, potrafi wzbudzić sztorm i wywołać wiatr... Nie pozwalałam im powiedzieć nic więcej.

— Nie wierzę w takie rzeczy — ucinam. — Takie rzeczy są niemożliwe. A nawet gdyby były możliwe, byłyby wbrew woli Pana Boga i wbrew wiedzy człowieka. Tak czy owak nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

Ryszard nie skarży się ani słowem na to, że nie daje Edwardowi ro-  
dzeństwa. Wszelako wie, że wina nie leży po jego stronie; słyszałam o co  
najmniej dwojgu dzieciach, które spłodził, zanim się pobraliśmy. Król ma  
siedmioro dzieci z prawego łoża i kilkakrotnie tyle z nieprawego, rozsianych  
w trzech królestwach. Tymczasem Ryszard i ja mamy tylko jedynaka: na-  
szego najdroższego Edwarda. Nie mogę się nie zastanawiać, jak to jest,  
że Elżbieta co roku daje dziecko najstarszemu z braci, podczas gdy ja  
najmłodszemu urodziłam jedno. Czyżby znała sztuczki nie z tego świata,  
będące wbrew woli Pana Boga i wbrew wiedzy człowieka?...

Ilekoć przemierzam stałą trasę wiodącą z naszych komnat do wieży,  
którą zajmuje obecnie Edward, serce zaczyna mi szybciej bić na myśl, że  
nocą mógł zachorować. Ma już za sobą dziecięce przypadłości, wyrznięty  
mu się wszystkie zęby, przybiera na wadze, lecz ja i tak nie przestaję się  
martwić. Mój syn nigdy nie wyrośnie na grubokościstego mężczyznę,  
jakim jest jego stryj, król Edward. Wrodi się raczej w swego ojca: bę-  
dzie niewysoki, drobnej budowy ciała, smukły. Ryszard nabrał sił dzięki  
nieustającym ćwiczeniom i trudom życia, może więc nasz syn także  
będzie silny. Kocham małego Edwarda bezgranicznie i darzyłabym go  
takim samym mocnym uczuciem, gdybyśmy byli biedakami, którzy nie  
mają mu co zostawić w spadku. Tak się jednak składa, że nie jesteśmy  
biedni. Należymy do wspianego rodu, praktycznie władamy północną  
Anglią, ale mamy zaledwie jednego dziedzica. Gdyby Edward umarł,  
stracilibyśmy nie tylko dziecko — stracilibyśmy naszą przyszłość. Ma-  
jątek, który Ryszard zgromadził, przyjmując nadania od króla i wojując  
o mój spadek, przepadłby wraz z nami, rozproszony pomiędzy naszymi  
dalszymi krewnymi.

Izabela ma znacznie więcej szczęścia niż ja. Nie przeczę, że zazdroścę  
jej łatwości, z jaką poczyną z mężem kolejne dzieci, oraz tego, jakie są  
krzepkie i zdrowe. Z trudem przychodzi mi ścierpieć jej przewagę w tej ma-  
terii. Moja siostra pisze do mnie, że można żywić pewne obawy — nasza  
matka dochowała się tylko dwu dziewczynek, a i to po latach oczekiwania.  
Przypomina mi w swoim liście o kławie rzuconej przez królową Elżbietę.  
Niemniej jej najwyraźniej żadna kława nie sięgnęła. Izabela ma już dwoje  
dzieci: ładniutką Małgorzatę i młodszego od niej Edwarda, a teraz donosi  
mi z ogromną radością, że znowu jest brzemienna i że tym razem ma  
pewność, iż urodzi się chłopiec.

Ze słów skreślonych jej zamaszystym charakterem pisma i niewyraźnych z powodu kleksów, jakich pełno narobiła w pośpiechu, chcąc jak najprędzej podzielić się ze mną dobrą nowiną, dowiaduję się, że nosi dziecko w łonie wysoko, co świadczy o męskiej płci, i że skarży się na silne kopnięcia, jakie raczej nie przystoją przyszłej damie. Na jej prośbę, abym przekazała wiadomość naszej matce, odpowiadam sucho, że choć cieszę się jej szczęściem i nie mogę się doczekać narodzin następnego siostrzeńca, ani myślę odwiedzać pani matki w jej skrzydle zamku — jeśli Izabela chce ją zawiadomić, musi to uczynić osobiście. Proponuję, aby napisała list, który każę doręczyć, aczkolwiek dla porządku dodaję, że pani matce nie wolno wymieniać korespondencji, która nie przejdzie przez nasze ręce. Albowiem, jak nam obu wiadomo, pani matka jest martwa w oczach prawa. I chyba nie pora podawać to w wątpliwość.

Moja odpowiedź ucisza Izabelę, tak jak się spodziewałam. Wstydzi się — podobnie jak ja — tego, że pozwoliłyśmy uwięzić rodzoną matkę i okraść ją z majątku. Poza tym wyjątkiem nie poruszam tematu pani matki w listach do Izabeli. Wstyd mi, że mieszka całkiem sama w najdalejszej wieży niczym prawdziwy więzień i że ani ja nie pytam o nią, ani ona nie pyta o mnie.

Nie pozostaje mi nic innego, jak przetrzymywać ją z dala od ludzi, z dala od świata. Pani matka nie może wieść zwyczajnego życia wdowy po poległym hrabi, gdyż coś takiego ośmieszyłoby uchwałę parlamentu, na mocy której Ryszard i Jerzy otrzymali nasze połówki spadku. Nie można dopuścić, aby spotykała się z przyjaciółmi i skarżyła na to, że ją obrabowano. Nie można pozwolić, by korespondowała z dworakami królowej, odwołując się do ich poczucia przyzwoitości i prosząc o siostrzaną pomoc. A już na pewno nie można ryzykować tego, by wiedząc życie w szerokim świecie, podważała zasadność przejęcia spadku przeze mnie i przez Izabelę, czyli de facto podstawy naszej egzystencji, prawo własności do naszych siedzib i naszych ziem stanowiących o tym, kim jesteśmy i ile znaczymy. Zresztą z czego niby miałyby żyć, skoro Ryszard i Jerzy odebrali jej wszystko? I gdzie, skoro mój mąż pospołu z mężem Izabeli zajęli każde miejsce, które nazywała domem? A ponieważ wtedy naopowiadała mi tych strasznych rzeczy, prosto w twarz rzuciła mi, że moje małżeństwo z Ryszardem nie ma mocy prawnej, i nazwała mnie, rodzoną córkę, jawnogrzesznicą, nie chcę jej nawet oglądać na oczy.

Nigdy nie zachodzę do północno-zachodniej wieży naszego zamku. O zdrowie pani matki pytam raz w tygodniu jedną z jej dworek. Pilnuję, aby otrzymywała najlepsze kęski z kuchni, najlepsze wina z piwniczki. Pozwalam na jej spacer po otoczonym wysokim murem dziedzińcu pod wieżą, ale każę pilnować drzwi. Pani matka chadza do kaplicy i przyjmuje komunię, jednakże spowiada się wyłącznie naszemu duchownemu, który przekazuje mi wszystkie jej skargi. Właściwie nie ma na co się skarżyć, co ważniejsze jednak: poza księdzem nie ma się komu skarżyć. Dokładam starań, aby nie przebywać w kaplicy w tym samym czasie co ona, szerokim łukiem obchodzę ogrody przy tamtej wieży. Nawet gdy przypadkiem, wyglądając przez okno prywatnej komnaty, dostrzegę samotną postać drepczącą w kółko po wysypanych żwirem ścieżkach, prędko odwracam głowę. Równie dobrze mogłaby być martwa, pogrzebana żywcem. Pozo- stanie z nami... obok nas... do końca swych dni.

Nigdy nie powtarzam Ryszardowi, co pani matka powiedziała o nim; nigdy go nie pytam, czy nasze małżeństwo jest ważne, czy nasz syn urodził się z prawego łoża. Nigdy również nie pytam jej, czy faktycznie przeczytała ów dokument czy tylko kierowała się nienawiścią, aby mi dopiec. Nie zamierzam znowu usłyszeć, że jej zdaniem moje małżeństwo jest nieważne, a Ryszard podstępem nakłonił mnie do życia na kocia łapę i teraz jestem zdana na jego łaskę i niełaskę; że mojemu mężowi zależało wyłącznie na moim majątku i że jest w każdej chwili gotów mnie odprawić, gdyż jak stanowi uchwała, może zatrzymać moją część spadku, a ze mną się rozwieść. Ażeby uniknąć konieczności wysłuchania tych, a może jeszcze gorszych kalumnii, wołę z matką w ogóle nie rozmawiać. Do końca swoich dni nie wypowie nawet słowa do mnie ani do nikogo innego.

Żałuję, że to powiedziała, jeszcze bardziej żałuję, że to słyszałam, a najbardziej żałuję tego, że nie potrafię wymazać tamtych słów z pamięci. O mdłości przyprawia mnie myśl, że rodzona matka mieszała mnie z błotem, a ja nie jestem w stanie odeprzeć jej ataków. Mdli mnie świadomość, że w głębi ducha muszę jej przyznać rację. To oczywiście odbija się niekorzystnie na moim uczuciu do Ryszarda. Nie mam mu za złe, że pobraliśmy się bez dyspensy papieskiej — nie zapomniałam, jak bardzo się kochaliśmy i jak śpieszno nam było skosztować naszą miłość. Nie



rozumiem jednak, jak mógł nie zwrócić się do Rzymu w stosownym czasie ani tym bardziej dlaczego ukrył to przede mną. Wszakże najmocniej boli mnie to, że zostawił sobie otwartą furtkę i możliwość odprawienia mnie na podstawie nieważności naszego małżeństwa, równocześnie zachowując prawo do mego spadku.

Czuję się z nim silnie związana przez miłość, która nas połączyła, przez uległość, którą mu jestem winna, przez namiętność, która mnie całkiem nie odeszła, wreszcie przez to, że jest nie tylko moim panem i władcą, ale także ojcem mego syna. Czym jednak ja jestem dla niego? Chciałabym to wiedzieć, ale z powodu tego, co naopowiadała mi pani matka, nie mogę się zwrócić z takim pytaniem do Ryszarda z podniesionym czołem.

W maju Ryszard zjawia się w moich komnatach z informacją, że chciałby pozostawić Edwarda w Middleham z jego opiekunem i opiekunką, podczas gdy my udamy się do Yorku, skąd ruszy orszak żałobny do Fotheringhay zakończony ponownym, godnym pochówkiem jego ojca.

— Żołdacy Małgorzaty Andegaweńskiej ścięli mego ojca i mego brata Edmunda i zatknęli ich głowy na murach Yorku — rzecze ponuro Ryszard.  
— Oto jaką niewiastą była twoja poprzednia świekra.

— Przecież wiesz, że nie miałam nic do powiedzenia w sprawie mego pierwszego małżeństwa — odpowiadam spokojnie, choć cała się trzęsę z irytacji, że Ryszard nie może, lub nie potrafi, zapomnieć ani wybaczyć mi tego epizodu. — Gdy stało się to, o czym mówisz, byłam dzieckiem w Calais, a mój ojciec walczył po stronie yorkistów u boku twego brata.

Ryszard macha ręką.

— Tak, cóż, to już nie ma znaczenia. Teraz liczy się tylko to, abyśmy godnie pochowali mego ojca i brata. Jakie jest twoje zdanie?

— Uważam, że to bardzo ważne. Obecnie spoczywają w Pontefract, nieprawdaż?

— Owszem. Życzeniem mojej matki jest, aby spoczęli razem w krypcie na zamku w Fotheringhay. Mnie zależy, aby wszystko odbyło się z honorami. Edward powierzył mi zorganizowanie pogrzebu i towarzyszących uroczystości. Ufa mi bardziej niż Jerzemu.

— Nikt nie nadaje się do tego zadania lepiej niż ty — zapewniam go ciepłym głosem.

Uśmiecha się do mnie.

— Dziękuję, Anno. Chyba masz rację. Edward jest zbyt nieuważny, a Jerzy nie ma w poważaniu ani honoru, ani rycerskości. Napawa mnie dumą myśl, że to będzie moje dzieło. Cieszy mnie, że mój ojciec i brat nareszcie zaznają spokoju.

Przez mgnienie myślę o ciele papy ciągniętym przez pobojowisko pod Barnet: z otwartej przyłbicy leje się krew, głowa ledwie trzyma się na ramionach, nieopodal na ziemi leży wielki czarny ogier... Jednakże Edward nie miał w zwyczaju bezcześcić zwłok swoich wrogów. Wystawiał je na widok publiczny, aby wszyscy wiedzieli, że ten czy ów zginął, ale potem zawsze zezwalał na pochówek. Papa spoczął w krypcie opactwa w Bisham, złożony pod płyty posadzki, jak nakazuje rodzinna tradycja, aczkolwiek bez większej ceremonii. Ani Izabela, ani ja nigdy nie byliśmy u jego grobu. Pani matka także nie była — ani nigdy nie będzie. W Bisham zobaczają dopiero, gdy przywozę ją tam na jej własny pogrzeb, aby spoczęła obok męża: Anna de Beauchamp, lepsza żona niż matka.

— Jak mogę pomóc w przygotowaniach, Ryszardzie? — pytam.

Rozważa coś przez chwilę, po czym odpowiada:

— Możemy wspólnie zaplanować trasę orszaku i poszczególne uroczystości. Ty doradzisz mi, jakie stroje wszyscy powinni włożyć i jak najgodniej uczcić pamięć obojgu zmarłych. Takie wydarzenie nie ma precedensu. Chcę, aby wszystko przebiegło jak z płatka.

Ryszard, jego koniuszy i ja ślęczymy pospołu nad planami podróży, podczas gdy nasz ksiądz ustala wygląd mar, długość czuwania oraz listę modlitw do zmówienia na każdym postoju. Ryszard zamawia drewnianą podobiznę swego ojca, która spocznie na wieku trumny, aby każdy zobaczył, jakim wielkim był człowiekiem, a do tego srebrny posążek anioła trzymającego złotą koronę nad głową rzeźby. Korona ma symbolizować należne z urodzenia prawo Ryszarda Plantageneta do tronu Anglii oraz śmierć poniesioną w trakcie próby jego zdobycia. Raz jeszcze potwierdza się wyczucie Edwarda. Król dobrze zrobił, powierzając przygotowanie ceremonii Ryszardowi, a nie Jerzemu. Ten ostatni, gdy połączył siły z moim ojcem, zaprzeczał, jakoby ówczesnemu księciu Yorku należała się korona, a nawet odmawiał prawego pochodzenia jego pierworodnemu. Obecnie Jerzy rozpowiada to samo, tyle że w sekrecie — o czym jednak wiemy tylko ja i Ryszard.

Wspaniały orszak żałobny wyrusza z Pontefract, aby zaprowadzić jego ojca i brata na miejsce ostatniego spoczynku. Kondukt przemierza się z Yorku na południe przez siedem dni, zatrzymując się po drodze w każdym większym kościele, gdzie odbywa się czuwanie przy trumnach. Tysiące ludzi zjawiają się, aby oddać ostatni hołd królowi, który nigdy nie włożył korony, i przypomnieć sobie wspaniałą historię dynastii Yorków.

Sześć koni w czarnych czaprakach ciągnie platformę z trumnami, na przedzie sunie chorąży z rozwiniętym sztandarem księcia, jakby ów udawał się w swój ostatni bój. Za rycerzem jedzie konno zamyślony Ryszard, dalej zaś wszyscy znaczniejsi wielmoże w tym kraju. Cała Anglia skłania głowę przed założycielem i synami dynastii Yorków.

Dla mojego męża to coś więcej niż okazja do wyprawienia ojcu godnego pochówku — to jest okazja do przypomnienia wszem wobec jego praw do korony Anglii i Francji. Ryszard Plantagenet był wielkim wojownikiem, który walczył za swój kraj, był wielkim dowódcą i strategiem, wspanialszym nawet od swego syna Edwarda. Podczas tej trwającej równy tydzień uroczystości pogrzebowej Ryszard księżę Gloucester składa hołd swemu ojcu, ale też potwierdza jego prawa do tronu i przypomina Anglikom wielkość i arystokratyczne pochodzenie rodu Yorków. Jesteśmy przeciwieństwem Riversów, czego Ryszard nie omieszka dobitnie ukazać poprzez bogatą oprawę i wspaniałość uroczystości pogrzebowej.

Ryszard czuwa przy trumnach co noc; co dzień zdąża na czele konduktu, dosiadając czarnego wierzchowca w granatowym czapraku. Chorąży wiezie sztandar pochylony, zupełnie jakby mój mąż po raz pierwszy w życiu pozwolił sobie na opłakiwanie utraconego ojca i szlchetnego, honorowego świata, który przepadł razem z nim.

Spotykamy się w Fotheringhay, gdzie Ryszard ma dla mnie wiele czułości. Pamięta, że nasi nieżyjący ojcowie byli sprzymierzeńcami, a do tego powinowatymi. Księżę Yorku zginął przed tym, zanim papa przeszedł zdradziecko na stronę złej królowej, przed tym nawet, zanim jego syn Edward zdobył koronę, a Ryszard wyruszył na swą pierwszą bitwę. Tej nocy, nim Ryszard uda się na ostatnie czuwanie przy trumnie rodzica, klękamy razem do modlitwy w przepięknym rodzinnym kościółku.

— Cieszyłyby się z tego, że się pobraliśmy — rzecze cicho Ryszard, podnosząc się na nogi. — Cieszyłyby się, że pomimo wszystko zostaliśmy mężem i żoną.

Gdy tak stoi, a ja spoglądam na niego z kłęczek, na końcu języka mam pytanie: „Czy nasze małżeństwo aby na pewno jest ważne?”. Nie zadaję go jednak, widzę bowiem na obliczu Ryszarda wielki smutek, zanim w końcu odwróci się, aby zająć swoje miejsce obok trójki innych rycerzy, których z czuwania zwolni dopiero nadejście świtu.

Jerzy i Izabela także przyjeżdżają do Fotheringhay i podczas pogrzebu stoją u boku siostry. Obydwie mamy na sobie wspaniałe suknie utrzymane w tonacji granatu, który jest kolorem królewskiej żałoby. Król z królową i najbliższą rodziną przyjmuje dwie trumny na przykościelnym cmentarzu. Edward schyla się i przykładą wargi do dłoni drewnianej podobizny ojca, po czym w jego ślady idą Jerzy i Ryszard. Zwłaszcza ten pierwszy zdaje się to czynić ze szczególnym nabożeństwem, chociaż oczy wszystkich zwrócone są już na małe księżniczki. Dziesięcioletnia Elżbieta, wyjątkowej urody dziecko, kroczy na przedzie, prowadząc za rękę młodszą Marię. Za nimi podążają ambasadorowie wszystkich dworów chrześcijańskiej Europy, przysłani, by złożyć hołd założycielowi dynastii Yorków.

Odbywa się nie zwykły pogrzeb, tylko przedstawienie pełne ważkich symboli. Nikt, kto przygląda się pochówkowi człowieka będącego królem we wszystkim z wyjątkiem nazwy, nie może przeoczyć królewskiej postawy jego synów, powagi wnuków i uroku synowej oraz wnuczek. Przychodzi mi na myśl, że rodzina królewska stanowi coś w rodzaju żywego obrazu. Króla przepełnia majestat, królową dostojeństwo, a księżniczki świetnie znają swoje miejsce. Kiedy byłam w wieku małej Elżbiety, bałam się, że nieopatrznie przydepnę tren pani matki, jednakże ona kroczy z głową wysoko uniesioną, nie rozglądając się na boki, istna monarchini w załóżku.

Powinam ją podziwiać — wszyscy dokoła są pełni podziwu. Być może gdybym miała córkę, wskazywałabym teraz na księżniczkę, mówiąc jej, że powinna brać przykład ze swej kuzynki. Ponieważ jednak nie mam córki, mimo że modłę się o nią co dnia, nie potrafię patrzeć na księżniczkę Elżbietę bez irytacji i myśleć o niej inaczej jak o zepsutej i nadętej starej maleńkiej, której bliżej do duszących od kurzu komnat i ksiąg aniżeli miejsc, gdzie odbywają się oficjalne ceremonie, i nieważne, że zna swoje miejsce i kroki tego tańca, a wszyscy chłoną ją wzrokiem z zachwytem.

— Mała ladaczniczka — syczy mi na ucho Izabela, a ja spuszczam głowę, aby ukryć uśmiech.

Odkąd króluje nam Edward, nawet po uroczystościach żałobnych odbywa się huczna uczta i nie inaczej jest w tym wypadku. Ryszard siedzi obok brata, niewiele pijąc i jedząc jeszcze mniej, podczas gdy ponad tysiąc gości ucztuje na zamku, a dalsze tysiące bawią się w cudnie przystrojonych płóciennych pawilonach na zewnątrz. Nieprzerwanie gra muzyka i leje się dobre wino, pomiędzy poszczególnymi daniami rozlegają się pienia chóru śpiewającego uroczyste hymny, a służba roznosi owoce. Elżbieta z koroną na włosach przytrzymywanych przez granatową siateczkę siedzi po prawej stronie męża, jakby była panującą królową, i spogląda z podwyższenia ze spokojem niewiasty, której pozycja nie jest niczym zagrożona; która osiągnęła w życiu wszystko i niczego się nie obawia.

Gdy przyłapuje mnie na tym, że się w nią wpatruję, posyła mi lodowaty uśmiech, jaki zawsze ma w zanadru dla Izabeli i dla mnie, a ja zastanawiam się, czy przy okazji pochówku swego świekra wspomina własnego ojca, który zginął śmiercią zwykłego przestępcy z rąk papy. Hrabia Warwick zaciągnął barona Rivers na rynek w Chepstow, tam oskarżył go o zdradę i kazał stracić — bez procesu, bez obrońcy — na oczach wszystkich. Jej ukochany brat Jan zginął chwilę przed nim, tak że ostatnim, co Ryszard Woodville widział, była odrąbana głowa syna.

Izabela, która siedzi przy mnie, wzdryga się jakby tknięta trwogą.

— Widzisz, jak ona na nas patrzy? — pyta szeptem.

— Och, Izabelo — odpowiadam z naganą w głosie. — Niby jak może nas skrzywdzić? Teraz, gdy król darzy Jerzego taką miłością? Gdy Ryszard wkradł się w jego łaski? Kiedy my dwie jesteśmy księżnymi z królewskiego rodu? Nasi mężowie udali się z Edwardem na wyprawę do Francji jako jego sojusznicy i powrócili w dobrej komitywie. Nie uważam, aby nagle zapałała do nas cieplejszym uczuciem, lecz z pewnością nie może nam zrobić krzywdy.

— Może rzucić na nas urok — rzecze moja siostra bardzo cicho. — Może wzbudzić sztorm, który nas zatopi, tak jak kiedyś, pamiętasz? Plekroć mój mały Edward dostaje gorączki albo jest nieswój z powodu wyrzynającego się ząbka, zastanawiam się, czy spojrzała na nas złym okiem, czy też właśnie rozpuszcza jego woskową podobiznę albo wbija szpilkę w jego portret. — Mimowolnie zakrywa dłonią pęczniejący brzuch

pod suknią. — Noszę specjalny pas, poświęcony — dodaje. — Jerzy ma go od jednego ze swych doradców. Ten pas chroni przed złym urokiem, chroni mnie przed jej spojrzaniem...

Naturalnie natychmiast zaczynam myśleć o pozostawionym na zamku w Middleham własnym synu, który może spaść z kucyka albo skaleczyć się podczas nauki szermierki lub przeziębici czy złapać gorączkę, zjeść coś, co mu nie posłuży, wciągnąć z oddechem niezdrowe miazmaty, napić się łyk zepsutej wody. Muszę potrząsnąć głową, żeby pozbyć się obaw.

— Wątpię, aby w ogóle poświęcała nam swoją uwagę — odzywam się stanowczo. — Założę się, że myśli wyłącznie o swojej rodzinie, o swych dwóch synach i reszcie rodzeństwa. My nic dla niej nie znaczymy.

Izabela prycha pogardliwie.

— Uwierz mi, siostrze, że nie schodzimy jej z myśli. Ma szpiegów w siedzibie każdego liczącego się rodu. Słyszałam, że codziennie modli się o to, by los nie rzucił jej znowu za mury sanktuarium, by jej mąż utrzymał na głowie koronę. Modli się o upadek ich wrogów. I nie tylko się modli... Jacyś ludzie łążą wszędzie za Jerzym. Ktoś szpieguje mnie w moim własnym domu. Ciebie pewnie też...

— Daj spokój, Izabelo! Zaczynasz mówić całkiem jak Jerzy!

— Ponieważ Jerzy ma rację — rzecze gorliwie. — Nie bez kozery bacznie obserwuje króla i obawia się królowej. Jeszcze się przekonasz... Pewnego dnia dostaniesz wiadomość o moim nagłym zgonie, zupełnie bez powodu, a to dlatego, że ona źle mi życzy!

Czynię znak krzyża.

— Nie mów tak! — Zerkam na podwyższenie. Królowa właśnie zanurza czubki palców w złotej misie z wodą różaną i wyciera je w lniany ręcznik trzymany przez klęczącego sługę. Nie sprawia wrażenia niewiasty wysyłającej szpiegów do siedzib swoich jątrewi czy kłującej laleczki szpilkami. Wygląda raczej jak ktoś, kto jest wolny od wszelkich obaw. — Izabelo... — podejmuję łagodnym tonem. — Czujemy przed nią strach, gdyż wiemy, co papa uczynił jej ojcu, jak wielkie zło jej wyrządził. Jego grzech ciąży nam na sumieniu tak, że po dziś dzień drżymy przed osobami, które skrzywdził. Drżymy przed nią, ponieważ czyhałyśmy kolejno na jej tron, o czym doskonale wie, i poślubiłyśmy mężczyzn, którzy wystąpili przeciwko jej małżonkowi. Elżbieta wie, że zarówno Jerzy, jak i mój pierwszy mąż chcieli zamordować Edwarda, a ją wtrącić do Tower. A jednak kiedyśmy

przeegrali z kretesem, nie odwróciła się od nas. Nie kazała nas pojmać. Nie oskarżyła żadnej z nas o zdradę, nie wsadziła nas do lochu. Okazała nam wyłącznie kurtuazję.

— To prawda — podchwytuje Izabela. — Wyłącznie kurtuazję. Nie gniew, nie pragnienie zemsty, nie dobroć, nie zwykłe ludzkie ciepło. Czy kiedykolwiek powiedziała ci, że nigdy nie zapomni tego, co papa uczynił jej ojcu? Po tym, jak wtedy... jak jej matka czarownica wzbudziła lodowaty wichur, który zdmuchnął wszystkie świece?

— Jedną świecę — uściślam.

— Czy kiedykolwiek wyznała, że czuje wściekłość? Czy kiedykolwiek rzekła, że ci przebacza? Czy kiedykolwiek w ogóle odezwała się do ciebie jak jątraw do jątraw, jak niewiasta do niewiasty?

Niechętnie, lekkim ruchem głowy, przyznaję Izabeli rację.

— Ani do mnie — kontynuuje moja siostra. — W życiu nie usłyszałam od niej ani jednego szczerego słowa. Nie uważasz, że to świadczy o ciągłym żywieniu urazy, nieustannym hołubieniu pragnienia zemsty?... Popatruje na nas, jakby była Meluzyna, ową patronką jej rodu, na połę niewiastą, na połę rybą. Albowiem sama jest zimna i oślizgła jak ryba. Bóg mi świadkiem, że knuje, jak by się tu mnie pozbyć.

Przeczącym ruchem głowy odprawiam służę, który chce nam podać następne danie.

— Zostaw — mówi do służącego Izabela, do mnie zaś dodaje szeptem: — To ona przysłała tę potrawę od wysokiego stołu. Nie możesz odmówić skosztowania...

Unoszę do ust łyżkę z zajęczą potrawką.

— Nie obawiasz się otrucia? — pytam, próbując obśmiać strachy Izabeli.

— Drwij ze mnie, skoro musisz. Ja od jednej z dworek wiem, że Elżbieta ma sekretne puzderko, a w nim skrawki papieru z wypisanymi na nich dwoma imionami. Wypisanymi krwią. Te dwie osoby mają nie dożyć starości.

— Co to za imiona? — pytam szeptem, opuszczając rękę z łyżką, gdyż apetyt nagle mnie odszedł. Nie mam już sił udawać, że nie wierzę Izabeli, że nie boję się królowej. — Czyje?

— Nie wiem — odpowiada moja siostra. — Dworka też nie wiedziała. Mignął jej papier, nie to, co na nim napisano. Ale co będzie, jeśli to są

nasze imiona, Anno? Twoje i moje? Co będzie, jeśli królowa wypisała krwią imię Izabeli i Anny, życząc nam obu śmierci?

Izabela i ja spędzamy w Fotheringhay równy tydzień, zanim razem z dworzanami wrócimy do Londynu. Moja siostra urodzi swe następne dziecko w londyńskiej siedzibie księcia Clarence, a mnie wolno będzie jej towarzyszyć w komnacie niewieściej. Ryszard nie ma nic przeciwko temu, abym dotrzymywała towarzystwa siostrze, pod warunkiem że od czasu do czasu pokażę się w pałacu u jego boku dla podtrzymania dobrych stosunków z królową oraz że będę puszczać mimo uszu wszystkie niepochlebne wzmianki o rodzinie królewskiej.

— Miło będzie znów być razem przez dłuższy czas — stwierdza Izabela. — Bardzo lubię mieć cię przy sobie.

— Ryszard pozwolił mi przyjechać tylko na ostatnie tygodnie — mówię uczciwie. — Nie chce, abym przebywała pod waszym dachem zbyt długo. Jego zdaniem Jerzy zaczął znowu wygadywać na króla. Nie chce dopuścić, aby padł na mnie choć cień podejrzenia.

— Co podejrzewa król? Co ona podejrzewa?

Wzruszam ramionami.

— Nie wiem. Wszakże Jerzy otwarcie ją postponuje. Coraz bardziej otwarcie od dnia pogrzebu.

— To Jerzy powinien był zorganizować ponowny pochówek swojego ojca, ale oczywiście król nie powierzył mu tego zadania — rzecze z wyrzutem Izabela. — To Jerzy powinien zasiadać po prawicy króla, ale oczywiście nikt mu tego nie proponuje. Sądziś, że mój mąż nie widzi tych obelg? Jest łżony na każdym kroku.

— Nie powinni obrażać Jerzego — przyznaję. — Niemniej sytuacja robi się coraz bardziej niezręczna. Twój mąż popatruje na królową z ukosa, poszeptuje o niej za jej plecami, znieważa króla i źle się obchodzi z przyjaciółmi rodziny królewskiej.

— Dlatego, że ona wiecznie okupuje miejsce przy królu, zanim ktokolwiek inny zdąży się dopchać, a jeśli nawet nie ona, to któryś z jej synów z pierwszego małżeństwa albo Wilhelm Hastings! — żali się Izabela. — Edward powinien trzymać się braci, obu braci. Tak naprawdę jednak... Choć zapewnia, że przebaczył Jerzemu i puścił w niepamięć



jego sprzymierzenie się z papą, nigdy mu nie przebaczy, nigdy nie zapomni... Bo gdyby nawet mu się to udało, królowa pierwsza przypomni mu o wszystkim.

Milczę. Królowa, oziębła w stosunku do mnie i Izabeli, jest jawnie wroga wobec Jerzego. A jej zausznik, jej brat Antoni Woodville, przybiera twarz w uśmiezek na widok przechodzącego obok Jerzego, jak gdyby wybuchowy charakter mego dziewierza, jako niewart uwagi, bardzo go bawił.

— Tak czy owak mogę być z tobą przez trzy ostatnie tygodnie — wracam do głównego tematu naszej rozmowy. — A l e poślij po mnie koniecznie, jeśli gorzej się poczujesz. W takim wypadku przyjadę natychmiast, nie oglądając się na czyjekolwiek zdanie. Muszę być przy jego narodzinach.

— Powiedziałaś: jego. A więc też myślisz, że to będzie chłopiec!  
— cieszy się Izabela.

— Jakżebym mogła tak nie myśleć, skoro ty bez przerwy mówisz o kolejnym synu? Jakie imię zamierzasz mu nadać?

Izabela uśmiecha się szeroko.

— Ryszard, oczywiście. Po dziadku — o d p o w i a d a . — Mamy nadzieję, że twój mąż zechce być jego ojcem chrzestnym.

Odwzajemniam uśmiech.

— Edward i Ryszard, całkiem jak książęta — zauważam.

— Jerzy powiedział to samo! — piszczy cienkim głosem. — Mówi, że gdyby król i królowa z całą rodziną zniknęli nagle z powierzchni ziemi, w dalszym ciągu byłby książę Edward Plantagenet, który mógłby zasiąść na tronie, i książę Ryszard Plantagenet mogący panować po nim!

— To prawda, lecz raczej trudno sobie wyobrazić, jaka katastrofa mogłaby spowodować zniknięcie pary królewskiej — odzywam się zniżonym z ostrożności głosem.

Izabela chichocze.

— A ja myślę, że mój mąż nie ma problemów z wyobrażaniem sobie tego, i to codziennie!

— Któż więc tutaj źle życzy i komu? — pytam, sądząc, że jestem górą.  
— Chyba nie królowa!

Izabela natychmiast poważnieje i odwraca spojrzenie.

— Jerzy nie życzy źle bratu — oznajmia spokojnie. — Coś takiego byłoby zdradą. Ja tylko się przekomarzałam.

## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN JESIEŃ 1476 ROKU



Tamta rozmowa powinna była dać mi do myślenia, tymczasem kiedy zjeżdżamy do Londynu, zdumiewa mnie sposób, w jaki Jerzy zachowuje się w pałacu, oraz to, że Izabela tylko z rzadka opuszcza swoje prywatne komnaty, by dołączyć do reszty dworzan, co wygląda tak, jak gdyby chciała dać prztyczka królowej i jej świcie. Jerzy krąży otoczony własnymi przyjaciółmi, nie chadza nigdzie sam, zupełnie jakby obawiał się ataku w murach Westminsteru.

Przychodzi na wieczerzę do wielkiej sali, jak my wszyscy, jednakże gdy już zasiądzie na widoku, nawet nie markuje posilania się. Słudzy ustawiają przed nim kolejne dania, a on tylko marszczy czoło, jakby spotkała go obraza, po czym nie sięga ani po nóż, ani po łyżkę. Na podstolich patrzy tak, jakby dosypali mu trucizny do potraw, i ostentacyjnie kosztuje wyłącznie tego, co przygotował jego własny kucharz, w zaciszu prywatnych apartamentów.

Bez względu na porę dnia drzwi do przydzielonego mu skrzydła pałacu pozostają zamknięte na cztery spusty, a strzegą ich podwojone straże, jakby istniała obawa, że ktoś wdrze się do środka i porwie Izabelę. Ilekroć ją odwiedzam, muszę czekać przed zamkniętymi drzwiami, aż ktoś wykrzyknie moje imię, po czym rozlega się odpowiedź z wewnątrz i dopiero wtedy gwardziści opuszczają halabardy, ja zaś mogę przejść dalej.

— Zachowuje się jak głupiec — obwieszcza mój mąż. — Ta maskarada jawnie świadczy o podejrzliwości i nieufności, a to, że Edward na nią pozwala, dowodzi jego lenistwa i pobłażania temu błaznowi Jerzemu. W przeciwieństwie do króla Elżbieta nie jest ani leniwa, ani pobłażliwa.

— Ale Jerzy chyba nie myśli naprawdę, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo?

Ryszard marszczy brwi.

— Anno, nie mam pojęcia, co myśli Jerzy. Nie rozmawia ze mną o Edwardzie, odkąd dałem mu do zrozumienia, że jego słowa ocierają się o zdradę. Wiem jednak, że w obecności innych osób kłapie jadaczką na lewo i prawo. Wyraża się źle o królowej...

— Co o niej mówi?

— ...i rzuca kalumnie na króla.

— Ale co mówi, Ryszardzie?

Mój mąż odwraca się ode mnie i wygląda przez szprosowe okno.

— Nie zamierzam powtarzać jego słów — rzecze. — Nie zniżę się do tego. Musi ci wystarczyć to, że opowiada o nich najgorsze rzeczy, jakie można powiedzieć o mężczyźnie i niewieście.

Nie naciskam, poznawszy już wcześniej jego silne poczucie honoru. Poza tym właściwie nie musi mi nic mówić, potrafię sama domyślić się szczegółów. Jerzy rozpowiada, że jego brat Edward jest bękartem — skazuje i hańbi rodzoną matkę, aby udowodnić, że to on powinien być królem. Utrzymuje, że Elżbieta wkradła się do królewskiego łóża za pomocą czarów i że to małżeństwo nie ma mocy prawnej, co czyni z potomstwa tej pary bękarty jak ich ojciec.

— Obawiam się jeszcze, że Jerzy bierze pieniądze od Ludwika Francuskiego.

— Wszyscy biorą od niego pieniądze.

Ryszard wybucha krótkim śmiechem.

— Nie wyłączając króla — kiwa głową. — Ale nie, nie chodzi mi o sumy zagwarantowane przez traktat pokojowy, tylko o to, że Ludwik w sekrecie napycha kabzę Jerzemu, aby postępował tak, jak postępuje, to znaczy aby zgłaszał swoje roszczenia do tronu oraz gromadził armię. Francuzom zależy na tym, by Anglia od nowa pograżyła się w wojnie domowej. Nie pytaj mnie więc, co myśli sobie Jerzy, bo tego nie wiem. Tylko Bóg może to wiedzieć...

Milczę, choć mogłabym powiedzieć, że Jerzy myśli to co zawsze: mianowicie jak wyciągnąć największą korzyść z danej sytuacji.

— A co na to wszystko król? — pytam.

— Król zbywa to śmiechem — rzecze Ryszard. — Powiada, że z Jerzego jest zdrajczyk i że pani matka natrze mu uszu. Uważa, iż Jerzy nie może zrobić wiele więcej ponad pieklenie się i rzucanie obrażonych spojrzeń.

— A królowa? Co mówi królowa? — Mam pewność, że Elżbieta nie pozwoli kazać swojej rodziny i będzie walczyć do upadłego o dziedzictwo swego syna. I że bez wątpienia to jej rady ostatecznie posłucha król.

— Nic nie mówi — odpowiada Ryszard oschle. — A przynajmniej nie mówi nic do mnie. Podejrzewam jednak, że jeśli Jerzy nie przestanie się tak zachowywać, potraktuje go jak wroga swojego i swoich synów. Za żadne skarby nie chciałbym, aby widziała wroga we mnie — wzdyga się.

Przed oczyma staje mi puzderko z dwoma kawałkami papieru, na których wypisane krwią są dwa imiona.

— Ani ja — szepczę.

Gdy ponownie udaję się do apartamentów swaka i siostry, drzwi zastaję otwarte na oścież, a służbę zajęłą wnoszeniem skrzyń i pakunków, w dół po stopniach wieży i na dziedziniec stajenny. Izabela siedzi przy kominku z peleryną narzuconą na ramiona i dłońią na wydatnym brzuchu.

— Co się dzieje? — pytam, przekraczając próg jej komnaty. — Co robicie?

Wstaje na mój widok.

— Wyjeżdżamy. Odprowadź mnie na dziedziniec.

Łapię ją za rękę, powstrzymując przed wyjściem.

— Nie możesz podróżować w takim stanie. Dokąd chcecie się udać? Czas w komnacie niewieściej miałaś przecież spędzić w L'Erber.

— Zdaniem Jerzego powinniśmy się trzymać z dala od pałacu, z dala od stolicy — rzecze. — Tak będzie dla nas bezpieczniej. Dziecko urodzę w opactwie w Tewkesbury.

— Zamierzasz pokonać połowę drogi do Walii? — wykrzykuję przeżona. — Izabelo, nie wolno ci tego zrobić!

— Tak trzeba — wzrusza ramionami. — No dalej, Anno. Pomóż mi.

Podaję jej ramię, a ona wspiera się o mnie i tak schodzimy na dół, prosto w jasne światło dziedzińca. Znalazłszy się na chłodnym powietrzu, Izabela przykłada dłoń do brzucha i stęka głośno, jakby coś ją zabolało. W żadnym razie nie powinna udawać się w drogę.

— Izabelo, nie jedź nigdzie. Nie ruszaj się stąd, póki nie urodzisz dziecka. Zamieszkać u nas, skoro nie chcesz zostać pod własnym dachem.

— W Londynie grozi nam niebezpieczeństwo — szepcze. — Ona... ona próbowała otruć Jerzego i mnie. Przysłała zatrute potrawy do naszych komnat.

— Nie!

— Tak. Jerzy uważa, że nie znamy dnia ani godziny w pałacu, w Londynie... Uważa, że wrogość królowej przekracza wszelkie granice. Anno, ty także powinnaś wyjechać. Poproś Ryszarda, żeby cię odwiózł do Middleham. Jerzy mówi, że ona nastawia Edwarda przeciwko braciom. Że przypuści atak jeszcze w te święta. Gdy wszyscy ściagną na bożonarodzeniową ucztę, oskarży Jerzego i Ryszarda i każe ich aresztować.

Prerażenie odbiera mi mowę. Ujmuję siostrę za obie ręce.

— Izabelo, to jakieś szaleństwo. Jerzy prowadzi tę wojnę we własnej głowie, mamrocze o swym prawie do tronu, oczernia króla, rzuca oszczerstwa na królową. Zagrożenie, o którym mówi, jest urojone.

Izabela parska śmiechem pozbawionym wesołości.

— Naprawdę tak uważasz?

Koniuszy Jerzego sprowadza dla niej powóz zaprzężony w parę identycznych mułów. Jej dworki odciągają zasłonki, a ja pomagam się jej umościć pośród miękkich poduch. Służące podkładają pod stopy Izabeli rozgrzane cegły, a pacholek przynosi tacę z żarzącymi się czerwienią węgielkami z kuchni.

— Naprawdę — potwierdzam. — Naprawdę... — Robię, co mogę, by stłumić obawę o nią, tak bliską rozwiązania, telepiącą się w powozie błotnistymi traktami na wskroś kraju. Nazbyt dobrze pamiętam, że raz w przeszłości też udała się w podróż bliska rozwiązania i że skończyło się to tragedią, smutkiem i utratą pierworodnego syna. Nachylam się ku otwartym drzwiczkom powozu i szepczę: — Król i królowa zamierzają obchodzić te święta wesoło, chwając się nowymi strojami i czeredką dzieci. Są pijani luksusem i próżnością. Nikt z nas nie musi się ich bać, ani my, ani nasi mężowie. Jerzy i Ryszard to rodzeni bracia króla, księżęta z królewskiego rodu. Edward ich obu miłuje. Nic nam nie grozi.

Twarz Izabeli jest blada jak prześcieradło.

— Zdechł mój piesek, który wykradł kawałek kurczaka z dania przeznaczonego dla mnie — mówi cicho. — Powiadam ci, że królowa czyha na moje życie i na twoje też.

Czuję się tak, jakbym dostała obuchem w głowę. Nakrywam dłonie Izabeli swoimi, aby choć trochę ją rozgrzać.

— Izabelo, proszę...

— Jerzy nie ma wątpliwości, możesz mi wierzyć. Ani cienia wątpliwości. Dostał ostrzeżenie od kogoś z jej świty. Elżbieta zamierza oskarżyć obu braci i kazać ich aresztować, a potem stracić.

Całuję Izabelę w obie dłonie po kolei, potem w każdy policzek.

— Izabelo, najdroższa...

Obejmuje mnie rękami za szyję i przytula mocno.

— Jedź do Middleham — szepcze mi do ucha. — Zrób to dla mnie, zrób to, dlatego, że ja cię proszę. Wysłuchaj mojej przestrogi, uważaj na siebie... Uważaj na swego syna. Musisz go ochronić za wszelką cenę. Na miłość Boga, nie zwlekaj, tylko jedź. Opuść to miejsce, Anno. Klnę się, że inaczej wszystkich nas pozabijają. Ona nie spocznie, póki obaj nasi mężowie i my dwie nie będziemy martwi.

Całymi dniami, coraz chłodniejszymi, ciemniejszymi i bardziej zimowymi, wypatruję wieści od Izabeli, myślami będąc przy niej, oczekującej połogu w gościnnych komnatach opactwa w Tewkesbury. Wiem, że Jerzy zapewnił jej najlepsze akuszerki i że w razie potrzeby nie zabraknie przy niej lekarza, a czas spędzany w dobrze ogrzanych pomieszczeniach umilają jej szlachetnie urodzone towarzyski, mamka zaś czeka w pogotowiu. Mimo to żałuję, że nie mogę być z siostrą. Narodziny dziecka pary książęcej z królewskiego rodu to ważne wydarzenie i Jerzy bez wątpienia nie poskapił żonie niczego. Jeśli na świat przyjdzie chłopiec, książę Clarence odtąd będzie miał dwóch dziedziców i zapewnioną ciągłość rodu, podobnie jak król Edward. Nawet to jednak mnie nie pociesza. Żałuję, że nie mogłam pojechać do Tewkesbury. Żałuję, że Izabela nie mogła zostać w Londynie.

Kierowana niepokojem udaję się do komnaty prywatnej Ryszarda, by poprosić go o pozwolenie udania się do siostry. Ryszard odmawia.

— Siedziba Jerzego to gniazdo zdrady — rzecze głucho. — Na własne oczy widziałem teksty kazań i pamfletów pisanych pod jego patronatem. We wszystkich podważa się prawe pochodzenie mego brata króla, nazywa moją matkę księżną ladaczną, a ojca rogaczem. We wszystkich imputuje się, że małżeństwo króla i królowej jest nieważne, że

ich dzieci są bękartami. To, co wyprawia Jerzy, jest godne pożałowania. Nie wybaczę mu tego, a Edward nie puści płazem. Podejmie przeciwko niemu działania.

— Czy Izabela jest bezpieczna?

— Oczywiście, że tak — odpowiada ostrym tonem Ryszard. — Czemu nie miałyby być? Co ona ma z tym wszystkim wspólnego?

— W takim razie dlaczego nie wolno mi do niej pojechać?

— Nie możemy być z nimi kojarzeni — stwierdza Ryszard stanowczo.

— Jerzy jest nieprzewidywalny. Lepiej, aby nas tam nie widziano.

— Ale to moja siostra! I nic złego nie uczyniła!

— Może zobaczysz ją po świętach. O ile Edward nie zrobi swego ruchu do tej pory.

Odwracam się do drzwi, lecz z ręką na klamce pytam jeszcze:

— Możemy przynajmniej pojechać do domu, do Middleham?

— Na pewno nie przed Bożym Narodzeniem. Nasze zniknięcie obraziłoby króla i królową. Wystarczy, że Jerzy zabrał się z miasta bez uprzedzenia. Nie zamierzam pogarszać sprawy dodatkowo. — Waha się z dłońią uniesioną nad dokumentem czekającym na jego podpis. — A o co chodzi? Czyżbyś stęskniła się za małym Edwardem?

— Boję się... — odpowiadam szeptem. — Boję się... Izabela powiedziała coś, udzieliła mi pewnej przestrogi...

Nie śpieszy z zapewnieniem, że wszystko będzie dobrze. Nie pyta, czego dotyczyła przestroga Izabeli. Po prostu kiwa głową.

— Nie masz się czego bać — zbywa mnie. — Jestem przy tobie. Poza tym nasz wyjazd byłby dowodem naszych obaw... lub naszej winy.

W listopadzie otrzymuję list od Izabeli. Papier jest poplamiony od długiej podróży na wskroś zalanej deszczem Anglii. Wiadomość została napisana rozwlekłym charakterem pisma mojej siostry i zajmuje aż trzy strony.

*Nie myliłam się. Urodził mi się syn. Jest całkiem duży i ciężki, ma długie zgrabne nóżki i włosy jasne jak jego ojciec. Ssie pierś mamki aż miło, a i mnie dopisują zdrowie i apetyt. Chodzę o własnych siłach już od dłuższego czasu. Poród przebiegł szybko i gładko. Zapowiedziałam Jerzemu, że dam mu kolejne dziecko z równą łatwością. Dam mu tyle dzieci, ile tylko będzie chciał!*

*Napisałam już do króla i królowej i dostałam od niej w odpowiedzi liścik z gratulacjami oraz belę przedniego lnu.*

*Jerzy spędzi jednak Boże Narodzenie w pałacu, ponieważ nie chce sprawiać wrażenia tchórza. Potem, już po świątecznej uczcie przy stole króla, dołączy do mnie na zamku w Warwick. Koniecznie musisz do nas przyjechać po Trzech Królach, żeby zobaczyć małego Ryszarda. Jerzy twierdzi, że nie ma żadnych przeszkód, abys odwiedziła nas w drodze do Middleham, i że masz to przekazać mężowi od niego.*

*Było tu tak dżdżyscie, że przebywanie w komnacie niewieściej nawet mi nie przeszkadzało, aczkolwiek zaczynam powoli mieć dosyć zamknięcia. W grudniu przejdę ceremonię oczyszczenia, po czym udamy się do domu. Nie mogę się doczekać wprowadzenia nowego Ryszarda w mury zamku papy! Nasz ojciec byłby taki szczęśliwy, miałby mnie znowu za swą ulubienicę, skoro dałam mu drugiego wnuka, i z pewnością od razu zaczęłby snuć wspańiałe plany co do przyszłości niemowlęcia.*

I tak dalej, i tak dalej w ten deseń przez trzy wygniecione kartki, z dopiskami pstrzącymi marginesy. Odkładałam list na bok i przykładałam dłoń do wklęsłości brzucha, jak gdyby ciepło mogło sprawić, że pocznie się tam nowe życie niczym kurczątko w jajku. Izabela ma prawo czuć dumę i szczęście z wydania na świat kolejnego chłopca, a ja jestem z nią całą duszą. Niemniej mogła ostrożniej dobierać słowa, kiedy pisała do swej młodszej siostry, zaledwie dwudziestoletniej, tylko z jednym potomkiem w komnacie dziecięcej, i to po czterech... nie, prawie pięciu latach małżeństwa.

Nie z całego jej listu bije duma i chwalipięctwo. Pod koniec pisze coś, co mówi mi, że nie przestała obawiać się królowej.

*Uważaj na to, co będziesz jadła w Boże Narodzenie, Siostrzo. Wiesz, co mam na myśli.*

*Izabela.*

Drzwi mojej komnaty prywatnej otwierają się z impetem i do środka wchodzi Ryszard z półtuzinem kompanów, aby powieść mnie i moje dworki na wieczerzę do wielkiej sali. Wstaję i uśmiewam się do swojego męża.

- Dobre wieści? — pyta Ryszard, patrząc na list leżący na stoliku.
- O tak! — odpowiadam, zmuszając się do uśmiechu. — Bardzo dobre.



## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN BOŻE NARODZENIE 1476 ROKU



Przychodzą święta i rodzina królewska znów lśni klejnotami i żywymi barwami tkanin sprowadzonych za małą fortunę z Burgundii. Edward odgrywa rolę monarchy w złotogłowiach i szkarłacie, Elżbieta zaś nie odstępuje jego boku, jakby urodziła się królową, a nie zwykłą szlachcianką bez krztyny honoru.

W ten najświętszy dzień w roku wstajemy wcześnie, aby zdążyć na mszę, która zostanie odprawiona w kaplicy królewskiej. W mojej komnacie, naprzeciwko kominka, czeka na mnie wielka drewniana balia wyłożona przednim lnem i napełniona przez służące dzbanami gorącej wody, którą panny dworskie polewają mi głowę i ramiona, gdy myję włosy i skórę mydełkiem z płatków róży, jakie Ryszard zakupił specjalnie dla mnie od Maurów.

Następnie, owinięta w zagrzane prześcieradła, czekam, aż przyniosą mi suknię przewidzianą na ten dzień. Włożę ciemnoczerwone aksamity lamowane futrem kuny, ciemnym i błyszczącym i w niczym nie gorszym od futer królowej. Głowę ozdobię nowym kornetem, który przytrzymują na swoim miejscu złote druciki zatknięte za uszy. Dworki czeszą mi włosy, aż są zupełnie suche, po czym zaplatają warkocze i zwinąwszy je ciasno, ukrywają pod kornetem. Bezpośrednio na ciało nakładam nowiuteńkie gieżło z najcieńszego lnu haftowanego przez całe lato pod moim okiem, po czym otwieram szkatułkę przyniesioną z mego skarbczyka i wyjmuję krwiste rubiny konwenujące z kolorem sukni.

Ryszard, który po mnie przychodzi przed mszą, odziany jest jak zwykle na czarno. Prezentuje się nadzwyczaj przystojnie i zdaje się szczęśliwy, a ja gdy go witam, czuję pulsowanie znanej namiętności.

Być może dzisiejszej nocy Ryszard nawiedzi mnie w łóżnicy i poczniemy następne dziecko. Jaki inny dzień w roku, poza tym, w którym przyszedł na świat Syn Boży, jest lepszy, by powołać do życia jeszcze jednego dziedzica księstwa Gloucester?

Mój mąż podaje mi ramię, a rycerze z jego świty stanowią eskortę dla moich dworek w drodze do kaplicy. Na miejscu ustawiamy się w szeregu i czekamy; przywykliśmy, że król Edward często każe nam czekać. Wreszcie rozlega się chóralne sapnięcie i szelest sukien, gdy stojące najbliżej drzwi damy dworu dostrzegają króla, odzianego w biel i srebro, oraz ją — królową. Podobnie jak małżonek ma na sobie srebrnobiały strój i zdaje się rozświetlać wnętrze kaplicy zimnym księżycowym blaskiem. Spod złotej korony wystającej jasnozłociste włosy, szyję ma odsłoniętą aż do ramion sukni, której dekolt wycięto głęboko w kwadrat i zakryto najdelikatniejszą koronką. Za nimi postępują ich dzieci: najpierw mały książę Walii, obecnie sześćioletni, który rośnie jak na drożdżach i nosi strój będący kopią stroju ojca; dalej piastunka prowadząca za rączkę młodszego księcia, wciąż noszącego niemowlęcy strój ze srebrno-białej koronki; następnie niezwykle poważna księżniczka Elżbieta w tych samych barwach co jej rodzice i bracia i z mszałem w oprawie z kości słoniowej, uśmiechająca się na lewo i prawo, opanowana i sztywna jak zawsze; wreszcie na końcu gromadka ślicznych królewskich córek porażających bogactwem stroju w liczbie trzech, nie licząc najmłodszej niesionej na rękę przez mamkę.

Dokładam starań, by się uśmiechać, tak jak uśmiechają się wszyscy dworzanie na widok tej wyjątkowej i okazałej rodziny kroczącej nawą. W pewnym momencie omiata mnie spojrzenie królowej, czuję na sobie chłód jej wzroku i baczna ocenę, której mnie poddaje, wiedząc, że jestem zazdrosna i zarazem przerażona. Na szczęście rychło wchodzi książdz i mogę uklęknąć, pochylić głowę i zamknąć oczy, oszczędzając sobie patrzenia na Edwarda Yorka, Elżbietę Woodville i czeredę ich dzieci.

Kiedy wracamy do naszych apartamentów, przed zamkniętymi drzwiami komnaty gościnnej stoi mężczyzna w stroju podróżnym. Jego ubłocona, ociekająca wodą peleryna, rzucona niechłujnie, leży na kamiennym parapecie. Gwardziści nie wpuścili go dalej, czekając na nasz powrót.

— O co chodzi? — pyta Ryszard.

Nieznajomy opada na jedno kolano, wyciągając rękę z listem. Dostrzegam pieczęć z czerwonego wosku. Ryszard łamie ją i odczytuje kilkunijną wiadomość. Widzę, że oblicze mu ciemnieje. Zerka na mnie przelotnie, po czym znów spogląda na list.

— Co się stało? — Nie potrafię wypowiedzieć na głos swoich obaw. Oczywiście natychmiast opada mnie strach, że to wiadomość z Middleham dotycząca naszego syna. — Co się stało, Ryszardzie? Mężu mój...? Zaklinam cię... — Chwytam łąpczywie powietrze. — Powiedz mi. Powiedz mi prędko.

Nie odpowiada od razu. Przez ramię zwraca się do jednego z dworzaków ze swojej świty.

— Zostaniesz tutaj. Zatrzymasz posłańca, będę chciał z nim zamienić słowo. Do tego czasu z nikim ma nie rozmawiać.

Następnie ujmuję mnie za rękę i wprowadza za próg naszej komnaty gościnnej, by powieść kolejno przez komnatę prywatną i sypialną do alkierza, gdzie nikt nie może nam przeszkodzić.

— Co się stało? — szepczę. — Ryszardzie, na miłość Boga, co się stało? Czy coś przytrafiło się naszemu synowi?

— Chodzi o twoją siostrę... — mówi wreszcie głosem tak cichym, że zdaje się pytać, nie stwierdzać. Jak gdyby nie potrafił uwierzyć w to, co właśnie przeczytał. — Chodzi o twoją siostrę.

— Izabelę?

— Tak. Najdroższa... nie mam pojęcia, jak ci to powiedzieć... Jerzy napisał do mnie... bo to list od niego... napisał do mnie z prośbą, abym ci przekazał, że... Naprawdę nie wiem, jak to ująć.

— Ale co? Co z Izabelą?

— Najdroższa... Moje biedactwo... Izabela nie żyje. Jerzy pisze mi, że twoja siostra nie żyje.

W pierwszej chwili nie słyszę jego słów. Docierają do mnie dopiero po chwili, jakby z opóźnieniem rozległy się echem we wnętrzu komnaty, gdzie przed paroma godzinami wkładałam suknię i klejnoty w barwie krwi.

— Izabela nie żyje?

— Tak. Jerzy donosi, że twoja siostra umarła.

— Jak to umarła? Przecież czuła się wybornie, pisała mi niedawno, że poród przebiegł gładko. Dostałam od niej list pełen przechwałek. Czuła się wybornie, doskonale, i zapraszała mnie, abym przyjechała zobaczyć...

Ryszard otwiera usta i zamyka je zaraz, jakby znał odpowiedź na moje pytanie, lecz wolał nie ubierać jej w słowa.

— Nie wiem, jak umarła. Dlatego zamierzam porozmawiać z posłańcem.

— Czyżby zachorowała na coś?

— Nie wiem.

— Dostała gorączki połogowej? Albo krwawienia?

— Jerzy nic na ten temat nie pisze.

— W takim razie co pisze?

Przez moment myślę, że mój mąż odmówi mi wyjaśnień, lecz on w końcu prostuje kartkę, układa ją na blacie stołu i przesuwając w moją stronę, po czym przygląda mi się uważnie, gdy czytam treść.

*22 grudnia 1476 roku*

*Moja ukochana żona zmarła dziś rano, niech Bóg czuwa nad jej duszą. Mam absolutną pewność, że została otruta przez szpiega królowej. Chroń swoją żonę, Ryszardzie, i siebie samego. Mam absolutną pewność, że wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo ze strony rodziny tej uzurpatorki, którą nasz brat uczynił królową. Mój nowo narodzony syn jeszcze żyje. Modlę się za Ciebie, Bracie, i za Twoich bliskich. Spal ten list zaraz po przeczytaniu.*

Ryszard sięga po papier i ciska go prosto w ogień, po czym stoi chwilę przed kominkiem, patrząc, jak kartka czernieje i zwija się od gorąca, aż w końcu zajmuje się płomieniem.

— Przeczywałaś to... — Trzęsę się cała, od stóp do głów, jak gdyby słowa skreślone ręką Jerzego wzbudziły lodowaty wicher w zacisku komnaty. — Mówiła, że to przeczywała...

Ryszard obejmuje mnie i usadza na łóżku tuż przed tym, zanim nogi odmówią mi posłuszeństwa.

— Jerzy także, lecz ja zbagatelizowałem jego słowa — rzecze.

— Izabela twierdziła, że królowa umieściła pod ich dachem szpiega, i pod naszym też...

— W to nie wątpię. To niemal na pewno jest prawda. Królowa nikomu nie ufa i przekupuje służbę, aby donosiła jej o wszystkim. Jak my wszyscy. Ale dlaczego miałyby otruć Izabelę?

— Z zemsty — odpowiadam żałosnym głosem. — Ponieważ trzyma nasze imiona wypisane na skrawkach papieru zamkniętych w puzderku ukrytym pośród jej klejnotów...

— Co takiego?

— Izabela przeczuwała to, a ja nie chciałam jej słuchać. Mówiła, że królowa poprzysięgła zemstę mordercy swego ojca... czyli naszemu papie. Utrzymywała, że królowa wypisała krwią nasze imiona i schowała je dobrze. Przepowiedziała, że pewnego dnia usłyszę o jej śmierci z powodu otrucia.

Ryszard sięga ręką do pasa, gdzie powinna znajdować się głowica miecza, jak gdyby uważał, że przyjdzie nam walczyć o życie tutaj, w murach Westminsteru.

— Nie słuchałam jej! — Zaczynam łkać, gdy dociera do mnie ogrom straty. — Nie słuchałam! A teraz... teraz jej nowo narodzony syn i starszy od niego Edward, i jej córka Małgorzata będą musieli dorastać bez matki! Nie pojechałam do niej. Wmawiałam jej, że jest bezpieczna!...

Ryszard rusza ku drzwiom.

— Pójdę porozmawiać z posłańcem — oznajmia.

— Ty nie pozwoliłeś mi do niej pojechać! — rzucam na niego oskarżenie.

— I chyba dobrze — odpowiada suchym tonem, naciskając klamkę. Podnoszę się niezgrabnie na nogi.

— Pójdę z tobą.

— Nigdzie nie pójdziesz, jeśli nie przestaniesz płakać.

Przecieram twarz grzbietem dłoni, pozbywając się z grubsza łez.

— Będę spokojna. Przysięgam, że będę spokojna.

— Nie chcę, by ta wiadomość się rozniosła, choćby przez przypadek. Jerzy musi napisać również do króla, poinformować go o śmierci w rodzinie. Nie mogę pozwolić, żebyś rzucała oskarżenia na prawo i lewo i zanosila się łzami. Musisz zachować spokój. Musisz milczeć. Nawet w obecności królowej musisz zaciskać zęby, żeby coś ci się nie wymsknęło. Nadal będziemy się zachowywać tak, jakbyśmy nic przeciwko niej nie mieli.

Zgrzytam zębami.

— Jeśli Jerzy się nie myli, królowa zamordowała moją siostrę. — Ani nie drzę, ani nie płaczę. Jestem opanowana. — Jeśli podejrzenia Jerzego są słuszne, królowa zamierza pozbyć się i mnie. A skoro tak, jest moim

śmiertelnym wrogiem. My zaś mieszkamy pod jej dachem i kosztujemy potraw pochodzących z jej kuchni. Widzisz, mój mężu? Nie ronię łez ani nie rzucam oskarżeń. Mam jednak zamiar chronić siebie i swoich bliskich. Jeśli to wszystko prawda, zapłacisz za śmierć mojej siostry i sieroctwo moich siostrzeńców.

— Jeśli to prawda — powtarza głucho Ryszard.

Oboje mówimy uroczystym tonem, jak gdybyśmy składali przysięgę.

## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN STYCZEŃ 1477 ROKU



Dwór przywdziewa granat w oznace żałoby po mojej siostrze, ja zaś trzymam się swoich komnat, które opuszczam wyłącznie wtedy, gdy muszę. Nie potrafię znieść widoku królowej. Jestem szczerze przekonana, że jej piękna twarz stanowi oblicze mordercy Izabeli. Boję się o własne bezpieczeństwo. Ryszard odmawia snucia dalszych domysłów do czasu, aż spotkamy się z Jerzym i dowiemy czegoś więcej. Na szczęście przynajmniej wysłała do Middleham umyślnego, zaufanego Jamesa Tyrrella, aby strzegł naszego syna i przyjrzał się bacznie domownikom, szczególnie tym, którzy nie wywodzą się z hrabstwa Yorkshire. Wszystkie posiłki Edwarda mają być kosztowane przez kogoś innego, zanim zostaną podane do stołu.

Zarządzam, aby nasze posiłki przygotowywano w naszych apartamentach, i spożywam je w komnacie prywatnej. Prawie wcale nie dotrzymuję towarzystwa królowej. Ilekroć ktoś zapuka głośniej do drzwi, zrywam się na równe nogi i chwilę trwa, zanim dojdę do siebie, nierzadko wspierając się o stół przy kominku. Za którymś razem gwardzista otwiera oba skrzydła na oścież i do środka wkracza Jerzy.

Jest odziany w najciemniejszy odcień granatu, jaki widziałam; twarz ma ściągniętą smutkiem. Ujmuje mnie za obie dłonie i całuje najpierw w jeden, potem w drugi policzek. Gdy się odsuwa, ma łzy w oczach. Zniknęła cała jego buta, żałoba uszlachetniła go i wyszczupliła.

— Och, Jerzy... — szepczę.

Mój swak staje obok kominka, zwiesza głowę.

— Wciąż nie mogę w to uwierzyć — rzecze cicho. — Jak to możliwe, że ty tu jesteś, a jej już nie ma...

— Zapewniała mnie w liście, że nic jej nie dolega.

— Bo nie dolegało — potwierdza. — Była zdrowa jak ryba. I taka szczęśliwa! Dziecko urodziło się śliczne, tak jak wszystkie nasze dzieci. Ale potem nieoczekiwanie zaczęła tracić siły, zmarniała praktycznie przez noc, a nad ranem już nie żyła.

— Gorączka połogowa? — pytam, mając nadzieję, że Jerzy przytaknie.

— Jej język szcerniał — odpira.

Spoglądam na niego wstrząśnięta. Szcerniały język to widomy dowód otrucia.

— Kto mógł to zrobić?

— Nasz medyk na moje polecenie wypytuje służbę, kucharki. Z tego co wiem, w komnacie niewieściej znajdowała się jedna dworka przysłana przez królową, która chciała pierwsza wiedzieć, czy urodził nam się syn czy córka.

Wydaję sapnięcie z przerażenia.

— Och, to nic takiego. Wiedziałem o niej zawczasu. Jestem pewien, że pod twoim dachem też jest ktoś taki. I jeszcze jakiś mężczyzna, może stajenny, który przekazuje jej, kiedy zamierzasz udać się w podróż, i ktoś, kto pilnie nadstawia ucha na wszystkie rozmowy. Królowa ma nas na oku, odkąd pojawiliśmy się w pałacu. Ciebie nie mniej niż Izabelę. Nie ufa nikomu.

— Ale król ma zaufanie do Ryszarda — kontruję. — Miłują się wzajemnie, są wobec siebie lojalni...

— A królowa?

Gdy odpowiada mu moje milczenie, wybucha krótkim śmiechem.

— Porozmawiasz o tym z Edwardem? — pytam. — Wskażesz na królową jako winną?

— Sądzę, że spróbuje mnie przekupić. Domyślam się nawet czym. Zechce mnie uciszyć, może nawet pozbyć się... Nie pozwoli, abym nazywał jego żonę trucicielką, a jego dzieci bękartami.

— Ciii — syczę, ogłądając się na drzwi. Zbliżam się do kominka, gdzie nachylamy ku sobie głowy niczym spiskowcy, wydychając słowa prosto w komin, aby uleciały niczym dym.

— Edward zechce się mnie pozbyć, wyśle mnie gdzieś, gdzie nie będę mógł mu zaszkodzić.

Włosy stają mi dęba na głowie.

— Co zrobi? Chyba cię nie uwięzi?



Jerzy krzywi się, maskując to uśmiechem.

— Każe mi się powtórnie ożenić — przewiduje. — Czuję, że właśnie to ma w planie. Wyśle mnie do Burgundii, żebym poślubił Marię Burgundzką. Jej ojciec nie żyje, toteż nasza siostra Małgorzata jako wdowa po nim ma prawo wydać ją za męża. Maria jest jej pasierbicą, nic nie stoi na przeszkodzie naszemu małżeństwu. Edward postrzega to jako doskonały sposób na usunięcie mnie z Anglii.

Łzy zaczynają mi płynąć po twarzy.

— Przecież Izabela umarła przed niespełna miesiącem — szlocham. — Miałbyś tak od razu o niej zapomnieć? Jeszcze dobrze nie ostygła, a ty masz wziąć sobie nową żonę? I co z moimi siostrzeńcami? Zabierzesz ich ze sobą do Flandrii?

— Nie przyjmę jego propozycji — oświadcza Jerzy. — Żadną miarą nie zostawię swoich dzieci i nie opuszczę swego kraju, a już na pewno nie pozwolę, aby morderczyni mojej żony chodziła wolno.

Łkam, gdyż ból po stracie siostry jest przemożny, a myśl o tym, że Jerzy miałby grzać łożo innej niewiasty, i to zaledwie parę tygodni po pochowaniu Izabeli, wydaje mi się oburzająca. Czuję się taka zagubiona na dworze królewskim, na którym nie stało Izabeli. Jerzy obejmuje moje drżące ramiona.

— Siostro — zwraca się do mnie c z u l e . — Moja droga siostro. Izabela darzyła cię wielkim uczuciem, starała się ciebie chronić za wszelką cenę. Kazała mi przyjechać do ciebie z przestrogą. Możesz być pewna, że nie pozwolę cię skrzywdzić...

W końcu nie mogę się dłużej ukrywać w swoich komnatach i jak zwykle muszę spędzić prawie godzinę w obecności królowej, gdy czekamy na pojawienie się króla i jego dworzan, którzy powiodą nas do wielkiej sali na wieczerzę. Dworki zakładają, że jestem milkliwa z powodu żałoby, i dają mi spokój. Jedynie Małgorzata Stanley, która niedawno pojawiła się w pałacu ze swym nowym mężem, Tomaszem, bierze mnie na stronę i zapewnia, że modli się za duszę mojej siostry oraz za jej dziatki. Ten przejaw pamięci i dobrej woli wzrusza mnie do tego stopnia, że staram się odpowiedzieć uśmiechem i podziękować jej za modlitwy. Zwłaszcza że sama odesłała swego syna, Henryka Tudora, za morze w trosce o jego

bezpieczeństwo, ponieważ nie ufa królowi dostatecznie, aby powierzyć mu potomka. Młody Henryk Tudor należy do rodu Lancasterów i zapowiada się bardzo obiecująco. Jego matka nie chce, aby wychowywał się na dworze Yorków, i choć obecnie jest zamężna z jednym z yorkistowskich wielmożów i cieszy się względami zarówno króla, jak i królowej, żywi co do nich wystarczająco wiele wątpliwości, ażeby nie ściągać syna z powrotem do Anglii. Ze wszystkich dworzan najlepiej rozumie, co to znaczy: obawiać się panującego władcy, i jak to jest: dygać nisko przed królową, nie mając pewności, czy aby na pewno dobrze życzy.

Gdy zjawia się król ze świtą, cały w uśmiechach, i gdy zmierzamy do wielkiej sali, nachylam się do idącego u mego boku Ryszarda i szepczę mu, że przyjechał jego brat Jerzy, który obiecuje wykryć mordercę Izabeli.

— Ciekawe, jak chce to zrobić aż z Flandrii... — komentuje kąśliwie mój mąż.

— Jerzy nigdzie się nie wybiera. Zamierza odrzucić propozycję.

Ryszard wybucha śmiechem tak głośnym, że ściąga na siebie spojrzenie króla, który posyła w naszą stronę szeroki uśmiech.

— Co cię tak rozbawiło? — pyta.

— Nic, nic — odkrzykuje Ryszard do brata. — Moja żona właśnie opowiedziała mi anegdotę na temat Jerzego.

— Naszego Jerzego? — dopytuje król, nie przestając się uśmiechać.

— Naszego księcia Burgundii? Naszego księcia Szkocji?

Królowa także się śmieje i trąca małżonka w ramię, jakby udzielała mu reprimendy i wzbraniała kpić z młodszego brata, chociaż oczy aż jej lśnią z uciechy. Z całego towarzystwa tylko ja zdaję się nie rozumieć dowcipu. Ryszard pociąga mnie na bok, pozwalając, by stołownicy przechodzili mimo nas.

— To nieprawda — oznajmia mi. — Wręcz zaprzeczenie prawdy. Jerzy osobiście domaga się wysłania do Burgundii. Ma nadzieję poślubić Marię Burgundzką i zostać księciem najbogatszej krainy w Europie. Jego drugą wybranką jest szkocka księżniczka. Nie ma w tym względzie sprecyzowanych preferencji, zależy mu tylko, aby jego przyszła żona była bogata i nosiła złoty otok.

Kręcę głową.

— Mnie mówił, że nie chce opuszczać Anglii. Wciąż opłakuje Izabelę. Nie ciągnie go do Flandrii. To król pragnie zmusić go do wyjazdu, zamknąć mu usta...

— Bzdura. Edward nigdy by na to nie pozwolił. Nie ufa Jerzemu dostatecznie, aby pozwolić mu na władanie Flandrią. Ziemie książąt burgundzkich są rozległe. Nikt z nas nie mógłby się czuć bezpiecznie, gdyby Jerzy dostał do ręki taką władzę i takie bogactwo.

Nabieram podejrzeń.

— Od kogo to słyszałeś?

Ponad jego ramieniem widzę, jak królowa zajmuje swoje miejsce za wysokim stołem, skąd rozciąga się widok na całą wielką salę. Gdy podnosi głowę, jej wzrok pada na mnie i na Ryszarda, nachylonych ku sobie i konferujących cicho. Po chwili odwraca się do króla i mówi do niego jedno czy dwa słowa, na co i on odszukuje nas w tłumie. Czuję się tak, jakby pokazała mi palcem, jakby ostrzegała Edwarda przede mną. Pod spojrzzeniami obojga przebiega mnie zimny dreszcz.

— Co się stało? — niepokoi się Ryszard.

— Od kogo słyszałeś, że Jerzy myśli o wyjeździe do Flandrii lub do Szkocji i że król nie zamierza na to pozwolić?

— Od brata królowej, Antoniego Woodville'a, barona Rivers.

— Aha — odpowiadam. — W takim razie to rzeczywiście musi być prawda.

W tym samym momencie królowa Elżbieta obdarza mnie swym pięknym, nieprzeniknionym uśmiechem.

Pałacowe plotki zataczają coraz szersze kręgi i wkrótce wszyscy zdają się mówić o mnie, Izabeli i Jerzym. Publiczną tajemnicą jest, że moja siostra zmarła nagle, po szczęśliwie zakończonym połogu, i nie sposób się nie zastanawiać, czy ktoś przypadkiem nie dopomógł jej w zejściu z tego świata, na przykład dosypując trucizny, a jeśli tak — któż to był. Plotki przybierają na sile, są coraz bardziej szczegółowe i wiarygodne, gdy Jerzy odmawia posilania się przy wspólnym stole, nabiera wody w usta w obecności królowej i co najwyżej zdejmuje przed nią nakrycie głowy, nie kłaniając się jej, kiedy przechodzi. Do tego krzyżuje palce za plecami, tak że każdy widzi, iż obawia się uroku, jaki może na niego rzucić bratowa.

To z kolei wywołuje jej strach. Błędnie na jego widok i szuka spojrzeniem męża, jakby chciała zapytać, jak powinna się zachować w obliczu

tej niewymownej obrazy. Zerka na swego brata, Antoniego Woodville'a, który całkiem niedawno zbywał śmiechem fanaberie Jerzego krążącego po galerii z zadartym nosem, by teraz mierzyć go zaniepokojonym wzrokiem w próbie oszacowania sił przeciwnika. Na dworze królewskim nastąpił rozłam: po jednej stronie są ci, którzy na dojściu Riversów do władzy skorzystali i wiele im zawdzięczają, natomiast po drugiej ludzie gotowi podejrzewać ich o najgorsze. Coraz więcej osób przygląda się królowej tak, jakby chciało przejrzeć jej tajemne moce i zorientować się, do czego jeszcze jest zdolna.

Jerzego widuję codziennie, ponieważ zostajemy w Londynie, mimo że bardzo chciałabym wrócić do Middleham. Niestety naszą rodową siedzibę zasypało, a trakty są nieprzejezdne. Muszę przebywać w pałacu, chociaż ilekroć składam ukłon królowej, patrzy na mnie z jawną wrogością, księżniczka Elżbieta zaś zbiera fałdy sukni, naśladowując zabobonny gest swojej babki czarownicy.

Zaczęłam się bać królowej, o czym ona doskonale wie. Nie znam siły jej potęgi i nie mam pojęcia, co może mi uczynić. Nie wiem, czy odegrała jakąś rolę w śmierci mojej siostry czy też Izabela popuściła wodze wybujałej wyobraźni, a ja teraz idę w jej ślady. Co najgorsze, w pałacu czuję się wyobcowana, wszędzie ścigają mnie szept i echa plotek. Nie mogę nawet poskarżyć się Ryszardowi, który nie pozwala powiedzieć złego słowa na swego brata Edwarda, nie śmiem zaś zwrócić się ze swymi obawami do Jerzego, który podczas jednego z naszych spotkań powtarza, że wykryje morderczynię Izabeli i przywiedzie ją do upadku — ilekroć mówi o potencjalnym mordercy, używa rodzaju żeńskiego — dzięki czemu wszyscy się dowiedzą, do czego potrafi doprowadzić niewieścia zawiść i złe moce.

Jerzy zjawia się w naszej londyńskiej siedzibie, ażeby pożegnać się ze swoją matką, która nazajutrz wyjeżdża do Fotheringhay. Dłuższy czas spędza za zamkniętymi drzwiami komnaty księżnej Cecylii — jest jej ukochanym synem, a poza tym księżna słynie z wrogości do królowej Elżbiety. Moja świekra wiele przeżyła i niejedno widziała i teraz zarzeka się, że Edward został przywiedziony do ołtarza za pomocą czarów, a Elżbieta — odkąd zasiadła na tronie — nieprzerwanie korzysta ze sztuki czarnej magii.

Wyszedłszy z matczynej komnaty, Jerzy dostrzeża mnie przy drzwiach prowadzących do naszych apartamentów i pośpiesznie się zbliża.

— Miałem nadzieję, że cię tu zobaczę.

— Też się cieszę, że cię widzę, bracie — odpowiadam.

Wycofuję się za uchylone drzwi, a on podąża za mną. Dworki robią nam przejście i wszystkie kłaniają się Jerzemu — mój swak jest przystojnym mężczyzną, a do tego teraz znowu wolnym, co uzmysławiam sobie z ukłuciem żalu. Aż się muszę podeprzeć o parapet, gdy nachodzi mnie myśl, że być może już wkrótce zobaczę u jego boku inną niewiastę zamiast mojej siostry. Moi siostrzeńcy będą do niej podbiegać z okrzykiem „mamo!”. Są tak mali, że rychło zapomną, jak Izabela ich kochała, jakie plany dla nich snuła... Potrząsam głową i mówię cicho:

— Od Ryszarda słyszałam, że nie poślubisz Marii Burgundzkiej.

— Nie — przyznaje. — A wiesz może, kto poślubi siostrę szkockiego króla? To ja miałem dostać jej rękę, jednakże król upatrzył sobie innego kandydata.

— Nie ciebie? — dziwię się.

Jerzy wybucha śmiechem.

— Mój brat najwyraźniej uznał, że lepiej będzie trzymać mnie blisko. Nie zamierza mnie puścić ani do Flandrii, ani do Szkocji. A szkocka księżniczka wyjdzie za ni mniej, ni więcej, tylko Antoniego Woodville'a!

Ogarnia mnie zdumienie. Brat królowej, syn zwykłego giermka, chyba nie może marzyć o poślubieniu córy królewskiego rodu? Czyżby ambicja Elżbiety nie znała granic? Czy pozostaje nam tylko godzić się z wybrykami Riversów i zagarnianiem przez nich wszystkich zaszczytów?

Jerzy kiwa głową na widok mojej miny.

— Córka szlachcica z Grafton na tronie Anglii, jej brat na tronie Szkocji — stwierdza oschle. — Ta wspinaczka na szczyty nie ma końca. Elżbieta powinna nosić ze sobą swój sztandar i zatykać go na każdym zdobytym wierzchołku. Co jeszcze nas czeka? Któryś z jej braci na stolcu biskupim? A może Piotrowym? Kiedy to się skończy? Gdy ona włoży na głowę koronę cesarzowej Świętego Cesarstwa Rzymskiego?

— Jak jej się to udaje?...

Uśmiezek Jerzego utwierdza mnie w przekonaniu, że oboje dobrze wiemy, jak Elżbieta sobie radzi. Bezwiednie potrząsam głową.

— Król spełnia jej zachcianki, ponieważ kocha ją ogromnie — mówię.  
— Zrobiłby dla niej wszystko...

— Zastanów się lepiej, jak ta niewiasta, właśnie ona, zdobyła serce mego brata — rzuca złowieszczym tonem Jerzy.

## ZAMEK BAYNARDA, LONDYN STYCZEŃ 1477 ROKU



Święta mijają, lecz wiele osób pozostaje w Londynie dłużej, gdyż aura nie sprzyja dalekim podróżom. Trakty na północ są nieprzejezdne, a Middleham nadal stoi odcięte od świata przez śniegi. Rozmyślam o bezpieczeństwie naszego domu, strzeżonego przez błyskawice i gromy, otoczonego szerokimi rzekami, zasłoniętego przez zawieje i zamiecie, oraz o moim synu przebywającym za grubymi murami w ciepłe zacisznych komnat, w których płonie wesoło ogień, i bawiącym się zabawkami, które przesłałam mu zawczasu w prezencie.

W połowie stycznia do drzwi mojej komnaty prywatnej rozlega się ciche pukanie. Stuku-puku-puk, charakterystyczne dla Jerzego. Zwracam się do moich dworaków.

— Pójdę do kaplicy — mówię. — Sama.

Wstają i dygają przede mną, gdy ruszam do wyjścia, zabierając po drodze mszał i różaniec. Za drzwiami raczej czuję, niż widzę, że Jerzy podąża za mną, i po paru chwilach oboje wślizgujemy się do pustej i mrocznej kaplicy. W jednym rogu ksiądz wysłuchuje czyjeś spowiedzi, w kolejce czeka drugi młody giermek przepowiadający sobie w głowie listę grzechów do wyznania. Nie zauważeni przez nikogo wsuwamy się do jednej z wnęk, gdzie wreszcie podnoszę wzrok na Jerzego.

W ciemnościach wydaje się błądy jak trup, z jego zapadniętej twarzy wyzierają chorobliwie błyszczące oczy. Przepadł gdzieś cały jego szyk, cała wytworność. Sprawia wrażenie kogoś, na kogo spadł ostateczny cios.

— Co się dzieje? — pytam szeptem.

— Mój syn... — rzecze łamiącym się głosem. — Mój syn...

Myślami natychmiast biegnę ku własnemu synowi, ku mojemu Edwardowi. Zanoszę krótką modlitwę do Boga, aby zachował go całego i zdrowego na zamku w Middleham, pozwolił mu się cieszyć jazdą na saniach, oglądaniem pantomim i popijaniem słabego świątecznego piwa zaprawionego korzeniami. Odżegnuję się od trucicieli i zarazy.

— Twój syn? Edward?

— Młodszy syn, Ryszard. Mój ukochany maty Ryszard...

Przykładam dłoń do ust, czując pod palcami drżące wargi.

— Ryszard?

Osierocone przez Izabelę niemowlę dostało się pod pieczę mamki, tej samej niewiasty, która wychowała zarówno Małgorzatę, jak i Edwarda i której mleko syciło ich w dzieciństwie niczym matczyne. Dlaczego nie miałyby sobie poradzić z odchowaniem najmłodszego z trojga rodzeństwa?

— Ryszard? — powtarzam. — Co z nim?

— Nie żyje — odpowiada Jerzy ledwie słyszalnie. — Nie żyje...

— Słowa dławią go w gardle. — Właśnie dostałem list z zamku w Warwick. Nasz syn, mój i Izabeli, nie żyje. Pan Bóg zabrał go do siebie, tak jak wcześniej Izabelę. Niech anieli czuwają nad jego duszyczką.

— Amen.

W gardle mnie piecze, pod powiekami palą łzy. Mam chęć rzucić się twarzą na łóżko i szlochać przez tydzień, oplakując od nowa siostrę i małutkiego siostrzeńca, złorzecząc okrutnemu losowi, że odbiera mi kolejno tych, których kocham najbardziej.

Jerzy szuka mojej dłoni, miażdży mi palce w uścisku.

— W liście piszą, że zmarł nagle, niespodziewanie.

Choć żal ściska mi serce, wrywam się i cofam pod samą ścianę. Nie chcę usłyszeć tego, co zaraz mi powie.

— Niespodziewanie?...

Potakuje skinieniem.

— Chował się zdrowo. Miał apetyt, przybierał na wadze, powoli zaczynał przesympać całą noc. Opiekowała się nim nasza mamka, Bessy Hodges. Nie zostawiłbym go pod opieką nikogo innego przez wzgląd na niego i na jego matkę. Nie wyjechałbym, gdyby wszystko nie było w najlepszym porządku. Kiedy opuszczałem Warwick, mój syn był zdrow, Anno. W przeciwnym razie nigdy bym nie wyjechał.



— Niemowlęta często chorują — mówię bez przekonania. — Przecież wiesz...

— Wiem, że byt zdrow jak ryba, gdy kładł się spać, a rano już nie żył.

Wzdrygam się.

— Wiele niemowląt umiera we śnie. Widać Bóg tak chce.

— Owszem, tak też się zdarza — przyznaje. — Niemniej muszę mieć pewność, że mój syn zasnął niewinnie, że nikt nie maczał palców w jego śmierci. Zamierzam udać się do domu niezwłocznie. Dojdę prawdy, a jeśli znajdę mordercę, tego, kto wlał mu po kropli truciznę do usteczek rozchylonych we śnie, zabiję go własnoręcznie bez względu na to, kim jest, jaką ma pozycję, jakie nosi nazwisko. Przysięgam, Anno. Pomszczę śmierć mojej żony i mojego syna.

Chce odejść, ale ja łapię go za ramię.

— Napisz do mnie — szepczę. — Przyślij mi coś, owoce albo cokolwiek innego, załączając liścik. Sformułuj wiadomość tak, abym tylko ja domyśliła się jej znaczenia. I koniecznie upewnij mnie, że Małgorzacie i Edwardowi nic nie grozi.

— Tak zrobię — obiecuje. — A w razie potrzeby ostrzeżę cię.

— Ostrzeżesz? — Wolę nie dopuszczać do siebie tej myśli.

— Wy też jesteście w niebezpieczeństwie, ty i twój syn. Mam absolutną pewność, że to atak nie tylko na mnie. To atak na potomkinie Twórcy Królów i jego wnuczęta, nawet jeśli moje serce najbardziej krwawi z tego powodu.

Martwięię, słysząc wypowiedziane wreszcie na głos obawy. Blednę tak jak on i odtąd we wnęce kaplicy poszeptują dwa duchy kryjące się w cieniu.

— Atak na potomkinie Twórcy Królów i jego wnuczęta? — powtarzam. — Kto miałby nas atakować? — pytam, mimo że znam odpowiedź na to pytanie. — Papa nie żyje od sześciu lat. Jego wrogowie dawno o nim zapomnieli.

— Ktoś, jak widać, nie zapomniał. Ktoś trzyma w puzderku dwa imiona wypisane krwią na skrawkach papieru. — Nie musi mówić, kim jest ów ktoś. — Wiedziałaś o tym?

Kiwam ze smutkiem głową.

— Wiesz, czyje to imiona?

Milczy, czekając, aż dla odmiany pokręć głową, i dopiero wtedy mów:

— Napis krwią głosi: „Izabela i Anna”. Izabela nie żyje. Mam absolutną pewność, że ty będziesz następna.

Zaczynam drżeć ze strachu.

— To jej zemsta?

— Tak, tak się mści za śmierć ojca i brata — potwierdza Jerzy. — Wypełnia daną im obietnicę. Folguje swemu jedynemu pragnieniu. Twój papa odebrał jej ojca i brata. Ona odebrała mi Izabelę i syna. Mam absolutną pewność, że zamierza zabić ciebie i twojego syna.

— Wróć szybko, Jerzy — błagam go. — Wróć do Londynu, do pałacu. Nie zostawiaj mnie tutaj samej...

— Wróć — przyrzeka. Całuje mnie w dłoń i wymyka się z kaplicy.

— Nie chcę opuszczać zamku Baynarda — obwieszczam Ryszardowi, który stoi przede mną odziany w ciemne aksamity, gotów udać się do pałacu westminsterskiego, dokąd zostaliśmy zaproszeni na wieczerzę. — Nigdzie nie pojadę. Zrozum, nie mogę.

— Zawarliśmy umowę — przypomina mi. — Umówiliśmy się, że dopóki nie poznamy prawdy kryjącej się za krążącymi pogłoskami, nie będziemy unikać wizyt w pałacu. Zaproszona przez królową, miałaś zachowywać się jakby nigdy nic.

— Coś się wydarzyło — mówię mu. — Chyba słyszałeś, że najmłodsze dziecko Jerzego zmarło?

Ryszard kiwa głową.

— Twój bratanek chował się zdrowo. Urodził się silny, lecz zmarł nagle trzy miesiące potem. Dlaczego miałyby umrzeć we śnie bez żadnego powodu?

Mój mąż odwraca się do kominka i wpycha nogą polano w płomień.

— Niemowlęta często umierają — rzuca.

— Ryszardzie, moim zdaniem ona go zabita. Nie mogę udać się do pałacu jakby nigdy nic, siedzieć w jej obecności, pozwolić, by na mnie patrzyła, zastanawiając się, ile wiem. Nie mogę zasiąść z nią do stołu i kosztować potraw przyrządzonych w jej kuchniach. Nie mogę się z nią spotkać.

— Dlatego, że jej nienawidzisz? — pyta. — Nienawidzisz żony mego najdroższego brata i matki jego dzieci?

— Dlatego, że się jej boję — odpowiadam. — Być może ty także powinieś się jej bać. Być może powinien się jej bać nawet król...

## LONDYN KWIECIEŃ 1477 ROKU

Jerzy wraca do Londynu i bezzwłocznie stawia się w domu matki, aby spotkać się z Ryszardem. Od dworek dowiaduję się, że bracia zamknęli się w komnacie, gdzie mój mąż przyjmuje swoich doradców. Po jakimś czasie zjawia się paż z pytaniem, czy zechcę zaszczyścić jego książęcą mość swoją obecnością. Zostawiam podekscytowane damy dworu i na wskroś wielkiej sali udaję się do apartamentów Ryszarda.

Już w progu zdumiewa mnie wygląd Jerzego. Mój swak wychudł z dala od Londynu, oblicze ma zapadnięte i szare i w ogóle sprawia wrażenie kogoś, kto podjął się zadania ponad jego siły. Ryszard podnosi na mnie spojrzenie, gdy wchodzę, i wyciąga do mnie rękę. Po chwili stoję obok niego, splatając z nim palce.

— Jerzy przywozi złe wieści z Warwick — informuje mnie mąż bez wstępów.

Czekam, nic nie mówiąc.

Jerzy ma ponury wyraz twarzy, wygląda na znacznie starszego niż w rzeczywistości — a ma dopiero dwadzieścia siedem lat.

— Odkryłem, kto zamordował Izabelę. Kazałem ją pojmać i wytoczyłem jej proces. Została uznana za winną i skazana na śmierć. Wyrok wykonano.

Czuję, że nogi pode mną miękną, na szczęście Ryszard podrywa się w porę z krzesła i usadza mnie na nim szybko.

— Odwagi — mówi. — To nie wszystko.

— Jest coś jeszcze?... — pytam szeptem.

— Odkryłem też, kto zamordował mojego syna — kontynuuje Jerzy monotonnym głosem. — Sprawca również został uznany za winnego przez

zwołany sąd i skazany na stryczek. Przynajmniej ci dwoje nie stanowią już dla nas zagrożenia.

Ściskam mocniej palce Ryszarda.

— Śledztwo rozpocząłem zaraz po śmierci Izabeli — mówi dalej Jerzy. — Morderczyni nazywała się Ankarette, Ankarette Twynho, i była służącą mojej żony. Usługiwała przy stole Izabeli i podawała jej wino w połogu.

Na moment przymykam oczy, wyobrażając sobie siostrę z wdzięcznością przyjmującą uwagę służki i nawet nie podejrzewającą, że ta jest jej śmiertelnym wrogiem. Powinnam była wtedy do niej pojechać. Na pewno przejrzałabym prawdziwe zamiary tej służącej.

— Niewiasta ta była na usługach królowej — dodaje Jerzy. — Bóg raczy wiedzieć, od jak dawna. W każdym razie gdy Izabela zaczęła rodzić, przekonana, że to będzie następny chłopiec, królowa rozkazała podać jej proszek.

— Proszek?

— Włoski proszek. Truciznę.

— To pewne?

— Mam dowody. Poza tym sędziowie uznali ją za winną i skazali na karę śmierci.

— Ankarette przyznała się, że szpiegowała dla królowej — wtrąca się Ryszard. — Nie możemy wiedzieć, czy królowa zleciła morderstwo.

— Kto inny chciałby skrzywdzić Izabelę? — pyta Jerzy, rozkładając ręce. — Czyż nie była umiłowana przez wszystkich, którzy ją znali?

Potakuję z oczyma zamglonymi przez łzy.

— A mały Ryszard?...

— Ankarette wyjechała do hrabstwa Somerset zaraz po śmierci Izabeli i rozwiązaniu jej dworu — opowiada Jerzy. — Zostawiła jednak truciznę swemu znajomemu, Johnowi Thursby'emu, będącemu na służbie w zamku w Warwick. To on podał proszek niemowlęciu. Sąd udowodnił im obojgu winę, a wyroki wykonano.

Wzdrygam się z westchnieniem i popatruję na Ryszarda.

— Strzeżcie się — rzecze cicho Jerzy. — Nie bierzcie do ust niczego, co przyrządzono w jej kuchniach, pijcie wino wyłącznie z własnej piwniczki i każcie otwierać butelki na waszych oczach. Nie ufajcie zbyt słuźbie. Tylko tyle można zrobić. Nie jesteśmy w stanie zapobiec

czarom, chyba że wynajmiemy inną czarownicę. Skoro królowa używa przeciwko nam czarnej magii, sam nie wiem, jak moglibyśmy się przed nią obronić.

— Nikt nie dowiedział winy królowej — powtarza z uporem Ryszard. Jerzy śmieje się na to.

— Straciłem żonę, niewinną niewiastę, do której królowa pałała nienawiścią. Nie trzeba mi więcej dowodów.

Ryszard potrząsa głową.

— Nie możemy zwrócić się przeciwko sobie — mówi z przekonaniem. — Jesteśmy trzema synami rodu Yorków. Edward dostał znak z nieba, trzy słońca na firmamencie. Pokonaliśmy daleką drogę, nie możemy tego zaprzepaścić.

— Pozostaję lojalnym bratem Edwarda i twoim — zapewnia Jerzy. — Ale uważam, że żona Edwarda jest wrogiem moim i twojej żony. Odebrała mi niewiastę, o jakiej marzy każdy mężczyzna, odebrała mi syna, którego spłodziły moje lędźwie. Nie pozwolę, aby wyrządziła więcej szkód. Nie pozwolę, aby mnie dosięgła. Wezmę na służbę ludzi do kosztowania moich potraw, wzmocnię strażę i najmę czarnoksiężnika, który mnie obroni przed arkanami jej mrocznej sztuki.

Ryszard odrywa wzrok od płomieni migoczących w kominku i spogląda na zewnątrz, jakby mógł znaleźć odpowiedź pośród padającego z nieba deszczu ze śniegiem.

— Udam się do Edwarda i powiem mu o wszystkim — oznajmia Jerzy. — Nie widzę innego wyjścia.

Ryszard zwiesza głowę, jak zawsze lojalny przede wszystkim wobec własnego rodu.

— Pójdę do niego razem z tobą.

Ryszard nie zdradza mi, co właściwie zaszło pomiędzy trzema braćmi na spotkaniu, gdy Edward oskarżył Jerzego o złamanie prawa, przekupienie sędziów, postawienie nieprawdziwych zarzutów i stracenie dwójga niewinnych ludzi, na co Jerzy odpowiedział zarzutem, że Elżbieta Woodville nasłała morderców na Izabelę i jego syna. Słyszę od męża tylko tyle, że rozłam pomiędzy Jerzym i Edwardem zrobił się tak głęboki, iż nie sposób go zasypać, oraz że jego lojalność wobec jednego brata została

nadwerżona z powodu uczucia do drugiego. Mój mąż żywi poważne obawy, dokąd nas to wszystko zaprowadzi.

— Możemy wrócić do domu, do Middleham? — pytam.

— Udamy się do pałacu — oznajmia z ponurą miną. — Tak trzeba. Edward musi widzieć, że jestem po jego stronie. Królowa nie może się domyślić, że czujesz przed nią strach.

Ręce zaczynają mi drżeć, więc chowam je za plecami.

— Ryszardzie, proszę...

— Musimy udać się do pałacu.

Królowa pojawia się na wieczerzy blada, zagryzająca wargę. Spojrzenie, które posyła Jerzemu, powaliłoby na ziemię słabszego mężczyznę. Jerzy odpowiada ukłonem do samej ziemi, przepełnionym ironią, zupełnie jakby był aktorem, który szydzi w dworskim przedstawieniu. Królowa odwraca się bokiem do stołu, przy którym siedzi Jerzy, i zajmuje króla rozmową, jakby nie chciała, aby choć zerknął na brata; pochyla się ku Edwardowi bez końca, nie odstępując jego boku podczas następujących po posiłku rozrywkach, nie dopuszcza doń nikogo, a zwłaszcza Jerzego. Ów podpira ścianę i patrzy na królową tak, jakby ją pragnął oddać pod sąd. W pałacu aż iskrzy od napięcia, skandal jest na ustach wszystkich. Antoni Woodville przechadza się z kciukami zatkniętymi za pas, stąpając lekko, jakby w każdej chwili był gotów rzucić się, by bronić honoru siostry. Nikt już nie natrząsa się z Jerzego, nawet żadni Riversowie, którzy znani są z lekkiego podejścia do większości spraw. Ta sprawa zrobiła się poważna. Wszyscy czekamy na decyzję króla; wszyscy chcemy się przekonać, czy pozwoli tej morderczej czarownicy ponownie wodzić się za nos.

## ZAMEK BAYNARDA, LONDYN MAJ 1477 ROKU



— Nie boję się — mówi mi Jerzy.

Siedzimy przy kominku w mojej komnacie prywatnej na zamku Baynarda. Po oknach sływa nietypowy jak na tę porę roku deszcz, a niebo na zewnątrz jest ołowianoszare. Jednakże my, nachylając się ku sobie, szukamy nie ciepła, jeno otuchy. Ryszard udał się do pałacu na rozmowę z Edwardem w próbie pogodzenia obu braci, położenia kresu kapiącym bez końca jadowitym radom królowej, ukrócenia plotek rodzących się w L'Erber, gdzie pod dachem Jerzego nieustannie mówi się o bękarcie rozpierającym się na tronie królewskim, o królu znajdującym się pod urokiem czarownicy i o trucicielce w szeregach rodziny panującej. Mój mąż wierzy, że zgoda między Edwardem i Jerzym jest możliwa. Wierzy, że dynastia Yorków wyjdzie z tego z honorem pomimo działań Riversów, pomimo sięjącej śmierć Elżbiety Woodville.

— Nie boję się — powtarza Jerzy. — Też dysponuję mocami.

— Mocami?

— Najałem czarnoksiężnika, który mnie chroni przed jej urokami. Mam na swoich usługach maga nazwiskiem Thomas Burdett i dwóch innych mężczyzn, astronomów z uniwersytetu w Oksfordzie. Ci niezwykle uzdolnieni i poważnie podchodzący do nauki uczeni przepowiedzieli śmierć króla i upadek królowej. Burdett prześledził wpływy królowej, dostrzega je w naszym życiu niczym srebrzysty śluz. Wiem od niego, co się wydarzy, mogę mieć pewność, że Riversowie doznają upadku na własną prośbę. Królowa osobiście przekaze synów w ręce ich mordercy. Unicestwi swój ród.

— Wbrew prawu jest stawiać horoskopy królowi, wieszczyc jego śmierć — szepczę.



— Wbrew prawu jest również otruć księżną, a królowa uczyniła to całkiem bezkarnie. Tylko czekam, aż zwróci się przeciwko mnie. Teraz, gdy wiem, jak się przed nią bronić, już się jej nie boję. — Podnosi się do wyjścia. Na odchodnym pyta jeszcze: — Nosisz zawsze krucyfiks? I amulet, który ode mnie dostałaś? Nie rozstajesz się z różańcem?

— Mam je zawsze przy sobie.

— Poproszę Burdetta, aby sprawił ci zaklęcie ochronne, coś silnie magicznego, co będzie jej broniło przystępu do ciebie.

Kręcę głową.

— Nie wierzę w podobne rzeczy. Nie mam zamiaru w nie wierzyć. Moim zdaniem nie powinniśmy sięgać po magię, by się przed nią bronić; to by znaczyło, że wcale nie jesteśmy lepsi od niej. Co niby mielibyśmy zrobić? Jak daleko mielibyśmy się posunąć? Przywołać Szatana? Wezwać diabelskie siły?...

— Nie wahałbym się ani chwili, gdybym w ten sposób mógł ocalić Izabelę — rzecz z goryczą Jerzy. — A tak utraciłem żonę, którą miłowałem; otruła mi ją trucicielka naślana przez królową. Utraciłem maleńkiego syna, którego zamordował wspólnik trucicielki. A jeszcze wcześniej straciłem pierworodnego podczas sztormu na morzu, niechybnie wzbudzonego przez czary. Elżbieta używa magii. Czarnej magii. Skoro tak, nie mamy wyjścia. Trzeba nam odpowiedzieć tym samym.

Ktoś puka do drzwi.

— Wiadomość dla księcia Clarence! — woła gwardzista.

— Wejść! — odpowiada Jerzy donośnie i do środka wkracza posłaniec, za którym pojawia się mój mąż Ryszard.

— Nie wiedziałem, że tu jesteś — rzuca do Jerzego, marszcząc brwi. Ryszard uważa, że powinniśmy zachować neutralność w przepychankach między jego starszymi braćmi.

Jerzy milczy, raz po raz odczytując treść listu. W końcu podnosi spojrzenie.

— A o tym wiedziałeś? — pyta. — Należysz do spisku? Przyszedłeś, by mnie aresztować?

— Aresztować ciebie? — powtarza Ryszard. — Dlaczego miałbym cię aresztować? No, chyba że wieczny brak ogłady, wieczna ponurość i wieczne plotki są zbrodnią. W takim razie faktycznie powinienem to zrobić.

Jerzy nie zwraca uwagi na żart.

— Ryszardzie, zadałem ci pytanie. Wiedziałeś o tym czy nie?

— Ale o czym? Co za wiadomość dostałeś?

— Król kazał pojmać Thomasa Burdetta, mego przyjaciela, mego obrońcę, mego doradcę... Pojmać i oskarżyć o zdradę i uprawianie czarnej magii.

Ryszard poważnieje w mgnieniu oka.

— A niech to! Naprawdę to zrobił?

— Pojmał i oskarżył mojego najbliższego doradcę? Tak. Uczynił to po to, abym poczuł się zagrożony.

— Nie mów tak. Nie pogarszaj sprawy. A co do twojego pytania... Wiedziałem jedynie, że rozważy ten krok. Doprowadziłeś go do ostateczności, Edward sam już nie wie, co ma z tobą począć.

— A ty mnie nie ostrzegłeś?

— Ostrzegałem cię, że rzucanie oskarżeń na prawo i lewo, rozpowszechnianie oszczerstw i obraźliwe zachowanie narobią ci kłopotów.

— Jerzy stracił żonę! — włączam się. — Podejrzewa, że ją zamordowano! Jak twoim zdaniem ma się zachowywać?

— Ryszardzie, musisz udzielić mi swego wsparcia — zwraca się do niego Jerzy. — To zrozumiałe, że najałem ludzi, którzy mają mnie chronić przed złym spojrzeniem królowej, przed trucizną i urokami. Czemu nie miałbym tego zrobić? Skoro wszyscy wiedzą, co Elżbieta Woodville uczyniła mojej żonie? Poza tym ty nie jesteś ode mnie lepszy.

— Hola! Ja nie oskarżam królowej o popełnienie morderstwa!

— Nie. Ale przyznasz, że wzmocniłeś strażę? Że pilnujesz żony i syna? Że nie pozwalasz obcym kręcić się po kuchniach?

Ryszard zagryza wargę.

— Jerzy...

— Bracie, musisz wziąć moją stronę. Ta niewiasta odebrała mi żonę, a teraz tylko czeka okazji, by skrzywdzić mnie. Potem zabierze się do ciebie i twojej żony. Ona pała nienawiścią i żądzą zemsty. Ryszardzie, bracie mój, zaklinam cię: nie bierz jej strony, nie porzucaj mnie na pastwę jej wrogości. Ona nie poprzestanie na mojej śmierci, zgładzi nas wszystkich, jak tu stoimy, a później jeszcze nasze dzieci.

— Niewiasta, o której mówisz, jest królową — przypomina mu Ryszard. — Zresztą bredzisz. Bóg świadkiem, że Elżbieta jest zachłanna i że ma nadmierny wpływ na Edwarda, lecz...

Jerzy rzuca się w kierunku drzwi.

— Gdyby Edward miał ostatnie słowo, temu niewinnemu człowiekowi nie spadłby włos z głowy. To wszystko jej sprawka. Tak chce mi odpłacić za śmierć Ankarette. Zamierza pozbawić życia mego uczciwego sługę w odpowiedzi na wyrok wykonany na podstępnej trucicielce. Ale przekona się, że nie może mnie sięgnąć. Jestem bratem króla. Tylko jej się wydaje, że wolno jej wtrącać mych doradców do lochu.

Jerzy wybiega w pośpiechu, by ratować Burdetta, jednakowoż nie jest w stanie go ocalić. Królewskie dochodzenie w sprawie Burdetta i jego współników — albowiem Jerzy najął także dwóch innych doradców, może nawet więcej — ujawnia spisek, w którym padały zaklęcia, przepowiednie, groźby i blady strach. Wiele świątłych osób nie daje temu wiary, wszakże Thomas Burdett, doktor John Stacey i Thomas Blake, jego kapelan, zostają uznani za winnych i skazani na śmierć przez ścięcie. Thomasa Blake'a ratuje przed szafotem apelacja zaniesiona do Edwarda, wszelako pozostałych dwóch mężczyzn spotka śmierć pomimo ich protestów do ostatniej chwili. Obydwaj odmawiają przyznania się do winy, które zyskuje skazańcowi lżejszą śmierć i zapewnia jego potomkom spadek. Zamiast przyznać się do wszystkiego, kładą głowy pod topór jako niewinni ludzie, którym nikt i nic nie zamknie ust. Wykrzykują, że całe życie poświęcili nauce, że nigdy nie złamali prawa i że to królowa, opacznie pojmując ich badania, każe ich zabić dla uciszenia na zawsze.

Jerzy wdziera się na spotkanie rady królewskiej w Westminsterze, zapewniając o niewinności swojej i ściętych mężczyzn, i każe swemu sekretarzowi odczytać słowa skazańców wygłoszone z szafotu — pełne mocy słowa ludzi, którzy wkrótce się przeniosą na łono Abrahama, a jednak utrzymują, że są niewinni.

— To wypowiedzenie wojny — stwierdza Ryszard.

Jedziemy obok siebie przez londyńskie ulice, zmierzając na wieczerzę do pałacu. Królowa niebawem znowu zniknie w komnacie niewieściej, aby przygotować się do narodzin kolejnego potomka; dzisiejsza uczta odbędzie się na jej cześć. Elżbieta opuści dwór brzęczący od plotek o magii, czarnoksiężnikach i trucicielkach. Z pewnością odnosi wrażenie, że spokój i wytworność, o które tak zabiegała, obracają się w gruzy na jej oczach. Być może czuje się zdemaskowana, jak gdyby jej prawdziwa natura, rybia skryta pod niewieścią, podnosiła łuskowatą głowę i próbowała przebić na wylot skórę.

Jest upalne majowe popołudnie, a ja mam na sobie liczne warstwy mięsistego czerwonego jedwabiu. Dosiadam wierzchowca przystrojonego rzędem z czerwonej skóry. Ryszard włożył nowy dublet z czarnego aksamitu, a pod spód misternie wyszywaną białą lnianą koszulę. Choć udajemy się na wieczerzę, nie czuję głodu, gdyż posiłkałam się przed wyjściem z domu. Od dawna nie biorę do ust niczego, co zostało przygotowane w kuchniach Elżbiety. Kiedy na mnie patrzy w wielkiej sali, widzi w moim ręku uniesiony widelec, kromkę chleba, z której sypią się okruszki, łyżkę polewającą sztukę mięsa sosem... Po kryjomu jednak odsuwam talerz na bok. Zachowuję pozory, że jem przy jej stole, a ona udaje, że niczego nie zauważa. Obie wiemy, że moim zdaniem chce mnie otruć. I że nie przypominam ani siostry, ani swaka: nie mam odwagi rzucić jej otwartego wyzwania. Mój mąż za wszelką cenę chce pozostać z nią na dobrej stopie. Czuję się więc wystawiona na jej atak, zdana na jej łaskę.

— Wypowiedzenie wojny? — powtarzam. — Dlaczego?

— Jerzy głośno rozpowiada, że Edward nie jest dzieckiem z prawego łóża, że został przywiedziony do ołtarza za pomocą czarów i że jego dzieci są bękartami. Jego zdaniem Edward nie wyraził zgody na jego małżeństwo z Marią Burgundzką z obawy, że spróbowałby z pomocą jej armii odbić koronę Anglii dla siebie. Utrzymuje nawet, że ma więcej zwolenników i jest bardziej ukochany przez lud niż król. Jednym słowem mówi otwarcie wszystko to, co wcześniej tylko poszeptował. Jak to nazwiesz, jeśli nie wypowiedzeniem wojny? Edward nie ma wyjścia, musi zamknąć mu usta.

Wjeżdżamy na dziedziniec pałacu westminsterskiego, herold obwieszcza nasze przybycie i rozlegają się dźwięki trąb na powitanie.

Chorażowie pochylają sztandary na pojawienie się pary książęcej, czyli nas. Wierzchowiec stoi bez ruchu, gdy zsiadam na ziemię przy pomocy dwóch służących w liberiach, po czym kieruję się ku Ryszardowi, który czeka na mnie w progu.

— Jakże król może uciszyć Jerzego? — pytam, wracając do tematu naszej rozmowy. — Zresztą połowa Londynu mówi to samo co on. Ich także Edward zamierza uciszyć?

Ryszard podaje mi ramię i uśmiecha się w stronę ludzi tłoczących się w krążankach wokół dziedzińca. Do mnie mówi szeptem:

— Edward zdoła go uciszyć. Na moje oko został doprowadzony do ostateczności. Udzieli mu jeszcze jednej przestrogi, a następnie oskarży Jerzego o zdradę.

Oskarżenie o zdradę jest równoznaczne ze śmiercią. Król Edward rozważa zamordowanie rodzonego brata. Zatrzymuję się wstrząśnięta, czując, że kręci mi się w głowie. Ryszard nakrywa moją dłoń swoją ręką. Przez moment stoimy w miejscu, jak gdybyśmy czepiali się siebie wzajemnie pośród zawieruchy tego nowego przerażającego świata. Nie widzimy śpieszących dokądś sług ani mijających nas dworzan. Gdy Ryszard spogląda mi w oczy, pojmuję, że ponownie jesteśmy niczym dzieci, które musiały wykuć swój własny los w niezrozumiałym dla nich świecie.

— Królowa poinformowała Edwarda, że nie będzie się czuła bezpiecznie w komnacie niewieściej, jeśli Jerzy pozostanie na wolności. Zażądała jego aresztowania dla swego spokoju. Edward spełni jej życzenie. Królowa zmusiła go do wybrania między dzieckiem a bratem.

— To tyrania!

Ten jeden raz Ryszard nie stara się bronić króla. Młodą twarz ma ściągniętą niepokojem.

— Bóg jeden wie, co z tego wszystkiego będzie. Bóg jeden wie, do czego doprowadzi królowa. My trzej jesteśmy synami rodu Yorków, Edward otrzymał od niebios znak: trzy słońca na firmamencie. A ona jest jedna, do tego niewiasta...

Wchodzimy w mury pałacu i Ryszard unosi rękę, ażeby podziękować za wiwaty wznoszone na nasz widok w wielkiej sali i na galeriach, gdzie zbierają się ciekawscy żądni zobaczyć szlachetnie urodzonych z bliska.

- Będziesz jadła? — pyta mnie cicho mąż.  
Kręcę przecząco głową.
- Nie tknęłam niczego z jej kuchni, odkąd Jerzy nas przestrzegł
- odpowiadam szeptem.
- To tak jak ja — rzecze z westchnieniem Ryszard. — W końcu potraktowałam jego ostrzeżenia poważnie.

## ZAMEK W MIDDLEHAM, HRABSTWO YORKSHIRE LATO 1477 ROKU

Opuszczamy Londyn, gdy losy Jerzego wciąż się ważą. Mogłabym właściwie powiedzieć, że uciekamy z Londynu. Udajemy się we dwoje na północ, byle dalej od stolicy dudniącej od plotek i nabrzmiałej podejrzaniemi, byle nareszcie znaleźć się znów w domu, gdzie powietrze jest czyste, a ludzie mówią prosto z mostu, nie kierując się własną korzyścią, i gdzie pod północnym niebem napierającym na omszone pagórki można zaznać wytchnienia z dala od pałaców, z dala od Riversów i ich popleczników i z dala od śmiertelnie niebezpiecznej tajemnicy, jaką jest królowa Anglii.

Nasz synek wita nas radośnie i ma nam mnóstwo do pokazania, co też czyni z rozpierającą go dumą czterolatka. Edward nauczył się jeździć na kucyku i trafiać w turka ustawionego specjalnie dla niego w szrankach. Kucyk jest wyjątkowo zrównoważonym zwierzakiem, który potrafi truchtać z odpowiednią prędkością i pod odpowiednim kątem, aby dziecko mogło trafić krótką włócznią w cel. Opiekun Edwarda chwali malca z uśmiechem i zerka na mnie, aby sprawdzić, czy też pęcznieję z dumy. Chłopiec dobrze radzi sobie z nauką i powoli zaczyna poznawać łacinę i grekę.

— Czy to nie za wcześnie? — pytam z niepokojem opiekuna.

— Im wcześniej zaczniesz, tym łatwiej przyjdzie mu nauka — zapewnia mnie mężczyzna. — Już teraz potrafi zmówić modlitwę i śledzić przebieg mszy odprawianej po łacinie. Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Jednakże gdy jesteśmy na miejscu, Edward nie musi tak ciężko pracować i może wybierać się ze mną na przejażdżki. Sprawiam mu młodego białozora, aby mógł jeździć z nami na polowania z własnym ptakiem. Mój syn wygląda jak idealna kopia wielmoży, tyle że w miniaturze, gdy dosiada

przysadzistego kuczka i trzyma ładniutkiego sokoła na wyciągniętym ręku; potrafi się tak uganiać za zwierzyną całymi dniami i zaprzecza, jakoby był zmęczony, chociaż dwukrotnie zasypia w trakcie powrotu do domu i Ryszard musi go wieźć przed sobą w siodle, prowadząc za sobą kuczka.

Wieczorami spożywa wspólnie z nami posiłek, siedząc w wielkiej sali przy wysokim stole między Ryszardem i mną i spoglądając z góry na zebranych rycerzy, gwardzistów i służących. Z całego Middleham schodzą się zwykli ludzie, aby patrzeć, jak jemy, i wynosić resztki z naszego stołu; nieraz dolatują mnie przyjazne komentarze na temat postawy i uroku panicza: mojego syna Edwarda. Po wieczerzy, kiedy Ryszard udaje się do swej komnaty prywatnej, gdzie często czyta przy kominku, ja prowadzę Edwarda do komnaty w wieży i dopilnowuję jego wieczornej toalety i układania go do snu. Gdy już pachnie słodko czystością, gdy twarzyczkę ma jasną jak powłoczka poduszki, składam na jego czole pocałunek, przekonując się, co to znaczy: kochać kogoś nad życie.

Przed snem Edward zmawia modlitwę, parę zdań po łacinie, których nauczyła go opiekunka, ledwie pojmując ich znaczenie. Bardzo się przykłada, wymieniając w swej modlitwie ojca i matkę, przez co — kiedy już leży pod przykryciem i ciemne rzęsy muskają mu gładkie policzki — sama opadam na kolana przy jego łóżku, aby się pomodlić. Proszę Boga, żeby pozwolił mojemu synowi wyrosnąć na dużego i silnego mężczyznę oraz żebyśmy byli w stanie zapewnić mu bezpieczeństwo. Albowiem nie ulega kwestii, że w całym hrabstwie Yorkshire, ba, na całym świecie, nigdy nie było droższego chłopca.

Każdy letni dzień spędzam z synkiem, przysłuchując się, jak czyta w skąpanej słońcem komnacie, zabierając go na konne przejażdżki po wrzosowiskach, wędkując z nim w rzece i bawiąc się w odbijanie piłki na wewnętrznym dziedzińcu, dopóki nie pada ze zmęczenia i nie zasypia z głową złożoną na mym podołku, kiedy czytam mu historyjkę na dobranoc. Czas upływa mi niezwykle miło; mam apetyt i łatwo zasypiam w łożu z wymyślnym baldachimem, ciasno przytulona do Ryszarda, jakbyśmy byli zauroczonymi sobą kochankami w pierwszym roku małżeństwa. Rankami budzą mnie krzyki czajek krążących nad wrzosowiskiem i nieprzerwany rejwach, jaki czynią jaskółki, które ulepiły swoje gniazda pod kroksztynami.

Wszelako Edward pozostaje jedynakiem. Rozkoszuję się każdą chwilą z nim spędzoną, lecz pragnę drugiego dziecka, kolejnego niemowlęcia



w ramionach. Drewniana kołyska zbiera kurz pod schodami wieży. Edwardowi przydałoby się rodzeństwo: braciszek albo siostrzyczka, z którymi mógłby się bawić, tymczasem moje łono pozostaje jałowe. Wolno mi spożywać mięso w postne dni, nawet w Wielki Post za specjalnym pozwoleniem papieża udzielonym na piśmie. Przy wieczerzy Ryszard odkrawa najlepsze kawałki jagnięciny, biały tłuszcz, chrupiącą skórę kurczaka, wszakże w dalszym ciągu z ciała nie powstaje ciało. Nocami wijemy się w namiętności, przyciągani do siebie czymś w rodzaju desperackiej nadziei, wszystko nadaremno jednak. Nie czuję pod sercem nowego życia.

Sądziłam, że spędzimy na północy całe lato i jesień, być może przenosząc się na zamek Barnarda bądź doglądając przebudowy w Sheriff Hutton, jednakże Ryszard dostaje pilną wiadomość od króla, który wzywa nas z powrotem do Londynu.

— Muszę jechać, Edward mnie potrzebuje.

— Jest niezdrów? — Dopada mnie strach o króla i przez mgnienie rozważam niewyobrażalne: czyżby Elżbieta była w stanie zaszkodzić własnemu mężowi?

Ryszard jest blady jak ściana.

— Czuje się dobrze, ale posunął się za daleko. Stwierdził, że musi położyć kres niekończącym się oskarżeniom Jerzego, i postanowił oskarżyć go o zdradę.

Przykładałam dłoń do gardła, czując pod palcami, że serce wali mi jak młot.

— Chyba nie... chyba nie mógł... chyba nie wyda rozkazu egzekucji?

— Nie, nie, tylko zarzuci mu zdradę, a potem będzie go trzymać w zamknięciu. Oczywiście zażądam, aby Jerzy trafił do swych zwykłych komnat w Tower, gdzie będą mu usługiwać jego ludzie i gdzie w wygodzie doczeka kompromisu. Rozumiem, że Edward musi zamknąć mu usta. Jerzy wymknął się spod kontroli. Najwyraźniej zamierzał ożenić się z Marią Burgundzką po to, aby z Flandrii przypuścić atak na Anglię. Edward ma na to dowody. Jerzy przyjmował pieniądze od Francuzów, tak jak podejrzewaliśmy. Spiskował przeciwko ojczyźnie, układał się z francuskim królem.

— To nieprawda, jestem w stanie przysiąc, że wcale nie chciałem jej poślubić — mówię ze szczerością w głosie. — Izabela jeszcze dobrze nie ostygła, Jerzy nie posiadał się z rozpaczy. Chyba pamiętasz, jak wyglądał, kiedy przyszedł do nas, aby nam o tym powiedzieć. Był przekonany, że to plan Edwarda, który chce się go pozbyć z kraju, udaremniony przez królową, która upatrzyła Marię na żonę swego brata Antoniego.

Twarz Ryszarda przypomina maskę zmartwienia.

— Nie wiem! Nic już nie wiem! Nie umiem odróżnić prawdy od kłamstwa! Edward mówi jedno, Jerzy drugie... Na Boga, jakżebym chciał, żeby królowa i jej krewni trzymali się z dala od rządów! Dlaczego nie może skupić się na rodzeniu dzieci i pozwolić Edwardowi rządzić? Wtedy wszystko wyglądałoby inaczej.

— Naprawdę musisz jechać? — pytam z błaganiem w głosie.

Ryszard kiwa głową.

— Muszę przypilnować, żeby Jerzemu nie stała się krzywda — rzecze.  
— Skoro królowa zwróciła się przeciwko memu bratu, kto ma go bronić, jak nie ja?

Odwraca się i wchodzi do naszej komnaty sypialnej, gdzie służący już pakują jego ubrania.

— Kiedy wrócisz? — dopytuję.

— Tak szybko, jak się da. — Z jego oczu wyziera zgrzyzota. — Muszę mieć pewność, że na tym się skończy. Muszę uchronić Jerzego przed gniewem królowej.

**ZAMEK W MIDDLEHAM,  
HRABSTWO YORKSHIRE  
JESIEŃ 1477 ROKU**



Lato przechodzi w jesień, kiedy to posyłam do Yorku po krawca, żeby wziął miarę i sprawił Edwardowi zimowe ubrania. Mój syn podrośł w letnich miesiącach i w czasie mierzenia rozlega się wiele ochów i achów, zwłaszcza gdy przychodzi do długości nogawki. Pojawia się też szewc z nowymi butami jeździeckimi, a ja — wbrew własnym obawom — wyrażam zgodę, aby Edward przesiadł się na większego konika, dzięki czemu kucyk może zostać wysłany na zieloną trawkę.

Nie dziwota, że mam wrażenie, iż na moją głowę spadł wyrok, kiedy Ryszard wraca do domu i oznajmia, że spodziewają się nas w Londynie na święta. Królowa Elżbieta opuściła komnatę niewieścią z kolejnym synem na rękę, już trzecim, i jakby dla podkreślenia swego sukcesu doprowadziła do zaręczyn Ryszarda Shrewsbury z najbogatszą obecnie dziedziczką Anglii, Anną Mowbray, moją bliską kuzynką ze strony matki, mającą na własność połowę hrabstwa Norfolk. Anna Mowbray stanowiłaby doskonałą partię dla mojego Edwarda. Ich małżeństwo zapoczątkowałoby potężny sojusz między naszymi rodzinami, ich włości sąsiadowałyby ze sobą, majątek pozostałby w rodzinie. Troszczyłabym się o Annę niczym o rodzoną córkę. Jednakże nawet nie wysunęłam kandydatury Edwarda. Wiedziałam, że królowa Elżbieta nie popuści dziedzicze takiej fortuny. Domyślałam się, że uczyni wszystko, by spadek Anny trafił w ręce Riversów. Dojdzie do ślubu małych dzieci dla zaspokojenia chciwości Elżbiety Woodville.

— Ryszardzie, dlaczego nie możemy tutaj zostać? — pytam męża. — Dlaczego choć raz nie spędzimy Bożego Narodzenia w domu?

Odpowiada zdecydowanym ruchem głowy.

— Edward potrzebuje mnie u swego boku. Odkąd Jerzy tkwi w Tower, pozostałem mu tylko ja. Zgoda, ma Wilhelma Hastingsa, ale Wilhelm Hastings nie jest jego krewnym, choć nazywają go prawą ręką króla. Edwarda otaczają Riversowie. Którzy mówią zgodnym głosem, wszyscy jak jeden mąż doradzają, ażeby skazał Jerzego na banicję. Król konfiskuje ruchoomości Jerzego, dzieli jego ziemie. Wygląda na to, że podjął już decyzję.

— Ale co z dziećmi?! — wykrzykuje, mając na myśli Małgorzatę i Edwarda, dzieci mojej siostry Izabeli. — Kto się nimi zajmie, jeśli ich ojciec zostanie wygnany z kraju?

— Nikt. Będą sierotami — odpowiada ponurym tonem Ryszard. — Właśnie dlatego musimy ściągnąć do Londynu na święta, aby bronić ich oraz Jerzego. — Waha się, zanim doda: — Poza tym muszę się spotkać z Jerzym, muszę okazać mu wsparcie. Nie chcę, aby czuł się opuszczony. Siedzi w Tower, gdzie prawie nikt go nie odwiedza, i zaczyna mieć czarne myśli. Jestem pewien, że nawet jej nie uda się namówić Edwarda, aby wyrządził krzywdę bratu, niemniej... czuję obawy.

— Obawy? Jakie obawy? — podchwytuję szeptem, mimo że znajdujemy się za grubymi murami zamku.

Ryszard wzrusza ramionami.

— Sam nie wiem. Czasami wydaje mi się, że zrobiłem się przesądny jak niewiasta albo jak Jerzy z tą jego ciąglą gadką o sztuce nekromancji i czarnoksięstwie, i Bóg wie jakich jeszcze mrocznych siłach. Ale... ale tak naprawdę boję się o Jerzego.

— Boisz się o niego? Dlaczego?

Potrząsa głową, jakby nie potrafił nazwać własnych strachów.

— Wypadek? — rzuca. — Choroba? Przypadkowe zatrucie? Śmierć z przepicia? Wolę nawet nie myśleć, co... A może ona po prostu będzie wzmagać jego smutek i strach, aż w końcu Jerzy zacznie myśleć o odebraniu sobie życia, i ktoś w dogodnym momencie przyniesie mu sztylet?

Coś takiego nie mieści mi się w głowie.

— Jerzy nigdy by się nie targnął na swoje życie — oświadczam. — To grzech tak potworny...

— Jerzy bardzo się zmienił — rzecze Ryszard z żalem. — Jego pewność siebie, jego urok... przecież go znasz... wszystko to gdzieś przepadło. Martwię się, że zsyła na niego sny, że odbiera mu odwagę. Jerzy twierdzi,

że gdy budzi się w nocy zlany zimnym potem, widzi, jak ona wyślizguje się z jego komnaty; utrzymuje, że zakrada się do niego i wlewa mu lodowatą wodę do serca. Powiada, że odczuwa ból, jakiego żaden lekarz nie uleczy, ból w klatce piersiowej, za żebrami, w głębi trzewi.

— To niemożliwe — zaprzeczam stanowczo. — Nawet ona nie jest w stanie wpływać na czyjś umysł. Jerzego wciąż dręczy żałoba, tak jak mnie, a do tego znalazł się pod kluczem, co napełniłoby strachem serce każdego człowieka.

— Tak czy owak muszę się z nim widzieć.

— Nie chcę zostawiać Edwarda znów samego.

— Wiem. Ale on spędza tutaj dzieciństwo, o jakim marzy każdy chłopiec. Wiem, co mówię, gdyż sam miałem podobne. Nasz Edward pozostanie z osobami, które zna i którym ufa: ze swoją opiekunką i ze swym opiekunem. Rozumiem to, że kocha cię i tęskni za tobą, jednakże lepiej dla niego będzie, jeśli zostawimy go na miejscu, zamiast ciągnąć ze sobą do stolicy. — Waha się ponownie. — Anno, zgódź się. Za żadne skarby nie chcę zabierać naszego syna do Londynu.

To mi wystarczy. Mimowolnie się wzdrygam na myśl, że królowa obrzuciłaby mojego Edwarda swoim lodowatym spojrzeniem.

— Oczywiście, że nie zabierzemy go ze sobą — zapewniam szybko.  
— Edward zostanie w Middleham.

## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN BOŻE NARODZENIE 1477 ROKU



Uczta świąteczna jest wspaniała jak co roku; królowa promienieje po wyjściu z komnaty niewieściej, jej trzeci syn — na rękę mamki — przyciąga spojrzenia wszystkich dworzan i nie schodzi z ich ust. Ja na jego widok i na widok sześciorga wcześniejszych dzieci Elżbiety czuję w ustach posmak goryczy.

— Zamierza mu nadać imię po Jerzym — informuje mnie Ryszard.  
Wciągam głośno powietrze.

— Po Jerzym? Naprawdę?

Ryszard robi jeszcze bardziej ponurą minę.

— Naprawdę. Sama mi powiedziała. I uśmiechnęła się tak, jakbym powinien się ucieszyć.

Jej czarny humor mnie oburza. Wtrąciła stryja swego dziecka do Tower za to, że rzekomo źle o niej mówił, sprawiła, że zawisła nad nim groźba oskarżenia, za które jedyną karą jest śmierć, i śmie nadać temu niewinnemu dziecięciu imię po nim?! To świadczy o jej złośliwości albo szaleństwie, a może o jednym i drugim naraz.

— Czy może być coś gorszego? — pyta mnie ze smutkiem Ryszard.

— Może. Jeśli na przykład sądzi, że zastąpi jednego Jerzego drugim — odpowiadam ściszoneg głosem i prędko odwracam się od skurczonego bólem oblicza męża.

Wszystkie dzieci królowej świętują Boże Narodzenie z nami. Chwali się nimi gdzie rusz, a one nie odstępują jej ani na moment, drobiąc tancznym krokiem w ślad za nią. Najstarsza córka, księżniczka Elżbieta, ma już jedenaście lat, sięga Elżbiecie do ramienia i jest smukła i strzelista niczym żonkil, ulubienica całego dworu, oczko w głowie ojca. Księżę

Walii znowu wyrósł, ale jest opiekuńczy wobec młodszego brata, który choć niewysoki, zdaje się silniejszy i postawniejszy niż mój własny syn. Przyglądam się temu orszakowi, który zamyka mamka z niemowlęciem na rękę, i muszę sobie nakazywać w duchu uśmiech podziwu.

Królowa z pewnością zdaje sobie sprawę, że mój uśmiech jest równie ciepły i szczery jak jej lodowate spojrzenie, którym mnie obdarza, nadstawiając policzek do pocałowania. Gdy się witamy, zastanawiam się, czy wyczuwa mój strach i czy wie, że myślami jestem przy swaku uwięzionym przez nią w Tower; czy pojmuje, że widząc jej szczęście, wspominam zmarłą siostrę i martwię się o syna.

Pod koniec uczyty dochodzi do żenującego przedstawienia: zaledwie czteroletni książę Ryszard zostaje zaręczony ze starszą od niego o dwa lata Anną Mowbray. Ta dziewczynka, jako jedyna spadkobierczyni, w przyszłości odziedziczy całą fortunę książąt Norfolk. Czy też raczej odziedziczy ją książę Ryszard, tak czy inaczej, ponieważ sporządzony przez królową kontrakt małżeński stanowi, że jej syn przejmie majątek, nawet jeśli naręczona umrze w dzieciństwie, nie osiągnąwszy dorosłości. Kiedy słyszę to od swoich dworek, całą siłą woli powstrzymuję wzdrygnięcie. Wbrew sobie bowiem myślę, że Norfolkowie właśnie wydali wyrok śmierci na jedynaczkę. Skoro królowa ma położyć rękę na spadku Anny, jak długo dziewczynka pożyje po podpisaniu kontraktu małżeńskiego?

Zaręczyny także hucznie świętujemy. Oboje dzieci niesionych przez opiekunki zostaje postawione na wysokim stole niczym dwie lalki. Nikt, kto jest świadkiem tego spektaklu chciwości, nie może wątpić, że królowa Elżbieta znalazła się u szczytu władzy i przeprowadza własną wolę według swego widzimisie.

Rzecz jasna Riversowie są zachwyceni i wyprawiają uczyty, tańce, maskarady i turnieje w celu uczczenia zaręczyn małego księcia. Antoni Woodville, ukochany brat królowej, walczy w szrankach w przebraniu pustelnika, które bielą habitu odcina się od czarnego aksamitnego czaprakajego wierzchowca. Ja i Ryszard występujemy w swoich najlepszych strojach i robimy co w naszej mocy, aby wyglądać na uszczęśliwionych. Wszelako stół, przy którym zazwyczaj siadywali Jerzy i Izabela, pozostaje pusty. Moja siostra nie żyje, a jej mąż gnije w Tower, nie mogąc się doprosić uczciwego procesu. Ilekroć królowa spogląda na mnie od wysokiego

stołu, uśmiecham się do niej miło, jednakże pod stołem krzyżuję palce, odżegnując zły urok.

— Nie musimy być na turnieju — zawiadamia mnie Ryszard wieczorem. Przyszedł do mojej komnaty sypialnej w pałacu i teraz siedzi w samej koszuli przy kominku. Ja okrywam się staranniej w łożu.

— Dlaczego nie musimy?

— Edward rzekł mi, że nie będzie miał nic przeciwko temu.

Zadaję pytanie coraz częściej powtarzane w pałacu ostatnimi czasy.

— A ona? Czy ona też nie będzie miała nic przeciwko temu?

— Tak myślę. Jednym z walczących będzie jej syn z pierwszego małżeństwa, drugim jej brat Antoni. Odbędzie się turniej Riversów. Nawet nie zauważy naszej nieobecności.

— Ale dlaczego Edward tak ci powiedział? — Przemawia przeze mnie ostrożność. Ostatnio wszyscy boimy się własnego cienia.

Ryszard wstaje, zrzuca koszulę i odciągawszy przykrycie, kładzie się do łóżka obok mnie.

— Dlatego, że widzi mój smutek z powodu uwięzienia Jerzego i mój strach co do przyszłości — odpowiada. — On sam też nie ma głowy do rozrywek, kiedy nasz brat tkwi w Tower, a królowa Anglii domaga się jego śmierci. Przytul mnie, Anno. Przemarzłem na kość.



## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN STYCZEŃ 1478 ROKU



Do końca roku przetrzymują Jerzego w Tower, odmawiając mu procesu i gości, aczkolwiek przynajmniej w wygodnych apartamentach. Dopiero w styczniu Elżbiecie udaje się w pełni przeforsować swoją wolę i doprowadzić do tego, że król stawia brata przed sądem, oskarżając go o zdradę. Poplecznicy Riversów odnaleźli sędziów, którzy wydali wyrok na trucicielkę Ankarette, i nakłonili ich do zeznania, że przez cały czas mieli ją za niewinną, nawet wtedy gdy wysyłali ją na szafot. Sędziowie obwieszają poniewczasie, że moja siostra zmarła śmiercią naturalną. Nagle twierdzą, że dostała gorączki popołożowej, chociaż przedtem utrzymywali, że została otruta. Dodają, że Jerzy przekroczył swoje uprawnienia, rzucając oskarżenia i ferując wyroki niczym król; próbują zrobić z niego zdrajcę za to, że ukarał morderczynię własnej żony. Jednym sprytnym ruchem zaciemnili sprawę morderstwa, oczyścili z winy morderczynię oraz stojącą za nią mocodawczynię oraz zrzucili całą winę na Jerzego.

Królowej wszędzie pełno: doradza mężowi, udziela przestroóg, słodkim głosem przypomina, że Jerzy nie może odgrywać roli sędziego i kata w Warwick, nazywa zachowanie dziewierza uzurpacją. Skoro zwołuje sądy, skoro feruje wyroki, do czego jeszcze jest zdolny? Czy nie ma dla niego granic? Czy nie powinno się go powstrzymać?

Koniec końców król wpada w jej sidła i urządza Jerzemu proces, na którym nikt — ani jeden człowiek — nie przemówi w obronie oskarżonego. W ostatni dzień przesłuchań Ryszard wraca do domu zgarbiony i poszarzały na twarzy. Jego matka i ja wychodzimy mu na spotkanie do wielkiej sali, a on prowadzi nas do swojej komnaty prywatnej, gdzie zamyka drzwi przed nosem ciekawskich domowników.

— Edward oskarżył Jerzego o próbę zniszczenia rodziny panującej i podważanie jego praw do korony. — Ryszard zerka na matkę. — Udowodniono, iż Jerzy opowiadał każdemu, kto chciał słuchać, że król urodził się z nieprawego łoża. Przykro mi.

Księżna Cecylia zbywa jego przeprosiny machnięciem dłoni.

— To stara plotka. Oszczerstwo. — Rzuca mispójrze nie. — Kłamstwo wymyślone przez Warwicka. Chcesz kogoś winić, wiń jego.

— Udowodniono również, że Jerzy płacił ludziom, aby jeździli po kraju i rozpowiadali, że Thomas Burdett był niewinny i że został zamordowany przez króla za przepowiedzenie mu śmierci. Edward wysłuchał świadków i nie był w stanie podważyć ich zeznań. Jest pewne, że Jerzy płacił ludziom, aby oczerniali króla. Zdaniem Jerzego król korzysta z czarnej magii, co jak wszyscy podejrzewają, jest próbą oskarżenia królowej o czary. No i najgorsze: Jerzy brał pieniądze od Ludwika Francuskiego z myślą o wywołaniu powstania przeciwko Edwardowi. Zamierzał wznieść bunt i przeprowadzić zamach stanu.

— Niemożliwe — rzecze księżna Cecylia.

— Są listy od Ludwika Francuskiego do Jerzego.

— Sfałszowano je.

Ryszard wdycha.

— Kto to może wiedzieć? Ja na pewno tego nie wiem. Obawiam się jednak, że część, może nawet większość, jest prawdą. Jerzy zapłacił dzierżawcy za syna i podmienił nim rodzonygo, Edwarda Warwicka, którego chciał wysłać do Flandrii, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo.

Zachłystuję się powietrzem. Mowa o synu Izabeli, moim siostrzeńcu. Jerzy chciał wysłać go do Flandrii...

— Dlaczego nie do nas?

— Twierdzi, że w Anglii jego syn nie byłby bezpieczny, ponieważ królowa uwzięła się i na niego. Podniesiono to jako dowód na jego spiskowanie.

— Gdzie Edward przebywa obecnie? — pytam.

— Dziecku grozi niebezpieczeństwo ze strony królowej — wtrąca się księżna Cecylia. — To dowodzi winy królowej, nie Jerzego.

Ryszard nie zwraca na nią uwagi i odpowiada na moje pytanie.

— Szpiedzy króla przechwycili go w porcie, zanim zdążył wsiąść na statek, i odwieźli do Warwick.

— Gdzie znajduje się teraz?

— Na zamku w Warwick, ze swą siostrą Małgorzatą.

— Musisz rozmówić się z królem — oznajmia księżna Cecylia. — Musisz mu przetłumaczyć, że Elżbieta Woodville doprowadzi naszą rodzinę do upadku. Mam absolutną pewność, że to ona otruła Izabelę i że pragnie zniszczyć Jerzego. Musisz pomóc Edwardowi przejrzeć na oczy. Musisz ocalić Jerzego, musisz chronić moje wnuki. Edward Warwick to twój bratanek, nie zapominaj o tym. Jeśli w Anglii grozi mu niebezpieczeństwo, musisz otoczyć go opieką.

Ryszard przenosi spojrzenie na matkę.

— Wybacz — rzecze krótko. — Starałem się, ale królowa określiła sobie Edwarda wokół palca. Nie posłucha mnie. Nie przyjmie ode mnie rady. Nie przyjmie ode mnie rady przeciwko niej.

Księżna zaczyna się przechadzać ze zwieszoną głową. Po raz pierwszy przypomina staruszkę przygiętą do ziemi przez brzemień smutku.

— Czy Edward skaże brata na śmierć? — p y t a . — Czy stracę Jerzego, tak jak wcześniej straciłam Edmunda? Czy mój drugi syn zginie niechlubną śmiercią? Czy ta niewiasta każe zatknąć jego głowę na włócznie? W Anglii rządzonej przez wilczycę nie lepszą od Małgorzaty Andegaweńskiej? Czy król zapomniał, skąd się wywodzi? Zapomniał o rodzonych braciach?

Ryszard kręci głową.

— Nie wiem. Edward pozbawił mnie urzędu lorda stewarda, ażebym nie musiał wydać wyroku śmierci.

Jego matka natychmiast wyostrza uwagę.

— Kogo mianował na twoje miejsce?

— Księcia Buckingham. On postąpi tak, jak mu każą Riversowie. Udasz się do Edwarda, matko? Odwołasz się do jego uczuć do ciebie?

— Naturalnie. Udam się do jednego ukochanego syna, aby błagać go o darowanie życia drugiemu. Tak się nie godzi. To wszystko przez tę wszetecznicę, przez tę złą niewiastę, przez tę czarownicę w koronie...

— Sza! — upomina ją jak zawsze przezorny Ryszard.

— Nie uciszaj mnie. Stawię jej czoło i ocalę Jerzego.

## ZAMEK BAYNARDA, LONDYN LUTY 1478 ROKU



Pozostaje nam tylko czekać. My czekamy, a styczeń przechodzi w luty. Członkowie obu izb parlamentu wysyłają delegacje do pałacu, by zaniósł do króla prośbę o zakończenie procesu przeciwko księciu Clarence i wydanie takiego lub innego wyroku. Wreszcie zapada wyrok: Jerzy zostaje uznany za winnego zdrady. Zwyczajową karą za zdradę jest śmierć, jednakże Edward w dalszym ciągu się wstrzymuje z poleceniem wykonania egzekucji na bracie. Nikt nie ma dostępu do Jerzego w Tower, który odwołuje się ze swego więzienia i domaga prawa do rozstrzygnięcia wszystkiego w pojedynku, co stanowiłoby rycerskie zakończenie mato rycerskiej sprawy. To ostatnia deska ratunku dla niego. Król wszakże, mający się za kwiat angielskiego rycerstwa, odmawia prośbie brata. Przypadek Jerzego, jak widać, nie mieści się ani w ramach honoru, ani w ramach prawa.

Księżna Cecylia zgodnie z obietnicą udaje się do Edwarda, przekonana, że zdoła nakłonić króla do zamiany kary śmierci na karę banicji. Gdy wraca z pałacu na zamek Baynarda, trzeba jej pomagać przy wysiadaniu z powozu. Twarz ma bladą i przezroczyście jak muślin i ledwie trzyma się na nogach.

— Jakie wieści? — pytam.

Chwyta mnie kurczowo za ręce na stopniach swej wspaniałej londyńskiej siedziby. Moja świekra nigdy wcześniej nawet mnie nie dotknęła.

— Anno — mówi tylko. — Anno...

Wołam swoje dworki, by wspólnymi siłami zaprowadzić księżną wdowę do jej komnat, usadzić ją na krześle przed kominkiem, podać kielich małmazji. Księżna Cecylia gwałtownym ruchem odtrąca pełne naczynie, które uderza o kamienną posadzkę i rozpryskuje się w drobny mak.

— Nie! Nie! — broni się energicznie starsza przecież niewiasta. — Nie pokazujcie mi tego na oczy!

— Ale o co chodzi? Na Boga, opanuj się, matko!

Przebywała na dworze, gdy jej mąż planował największą rebelię przeciwko królowi, jaką widziała Anglia. Stała u miejskiego krzyża w Ludlow, gdy jej mąż uciekł, a lancasterscy żołdacy plądrowali miasto. Nie ma w zwyczaju tracić kontroli nad sobą ani godzić się z porażką. Jednakże teraz patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem, z obliczem zalanym Izami. W końcu ze szlochem, który wstrząsa całym jej ciałem, mówi:

— Edward rzekł, że co najwyżej mogę wybłagać dla Jerzego rodzaj śmierci. Rzekł, że jego brat musi umrzeć. Ona była tam przez cały czas, nie pozwoliła mi powiedzieć ani jednego słowa w jego obronie. Osiągnęłam tylko tyle, że Jerzy odda życie w swoich komnatach w Tower, w sposób przez siebie wybrany.

Zakrywa twarz dłońmi i łka nieprzerwanie, jakby już nigdy nie miała przestać. Oglądam się na swoje dworki. Tak nas zdumiewa widok załamanej księżnej wdowy, że stoimy wokół niej bez ruchu, bezradne w obliczu matczynej rozpaczki.

— Mój ukochany syn, moje jedyne szczęście... — szepcze do siebie księżna Cecylia. — A teraz musi umrzeć...

Nie mam pojęcia, co robić. Delikatnie kładę jej dłoń na ramieniu.

— Może jednak napijesz się czegoś, matko?

Podnosi na mnie spojrzenie, odsłaniając niegdyś piękną twarz spustoszoną przez żal.

— Jerzy wybrał śmierć przez utopienie... w beczce małmazji.

— Proszę?

Kiwa głową.

— Dlatego nie przyjęłam kielicha. Nie tknę małmazji, pókim żywa. Nie chcę jej widzieć w swoim domu. Każę opróżnić piwniczkę jeszcze d z i ś . — Wybuchu gorzkim, suchym śmiechem, który we wnętrzu komnaty o grubych murach przypomina dźwięki pogrzebowego karylionu. — To ostatnie, co może zrobić. Sprawić, by Edward go podjął jeszcze ten jeden raz, pić do woli na koszt Edwarda. Wyszdydzi królewską sprawiedliwość, zażyczyć sobie ulubionego wina Elżbiety Woodville. Pokazać, że wszystko to jej sprawka, że królowa otruje go, tak jak otruła Izabelę. Szydzi z procesu, szydzi z wyroku śmierci. Szydzi z samej śmierci.

Odwracam się ku oknu.

— Moi siostrzeńcy będą sierotami — stwierdzam. — Mały Edward i Małgorzata.

— Sierotami i biedakami — uściśla księżna Cecylia, osuszając łzy z pomarszczonej przebiegłej twarzy.

Rzucam jej szybkie spojrzenie.

— Słucham?

— Ich ojciec umrze zdrajcą. Majątek zdrajcy przepada. Jak sądzisz, komu przypadnie w udziale?

— Królowi — odpowiadam głucho. — Królowi. A właściwie królowej i jej niezliczonym krewnym.

Choć nasza rodzina jest pogrążona w żałobie, nie możemy przywdziać granatu. Jerzy — przystojny i niesforny książę — nie żyje. Umarł śmiercią własnego wyboru, utopiony w beczce ulubionego wina królowej. Był to ostatni, przepełniony goryczą genialny gest skierowany przeciwko niewieście, która doprowadziła jego ród do upadku. Elżbieta nigdy więcej nie sięgnie po małmazję z obawy, że w zwykłej słodyczy wyczuje śluz wycharczany przez niego z dławiących się płuc. Bardzo bym chciała spotkać Jerzego w czyścicu, by mu powiedzieć, że zdołał osiągnąć przynajmniej tyle. Zniechęcił królową do ulubionego trunku. Wielka szkoda, że nie mógł jej też w nim utopić.

Udaję się do pałacu i czekam na okazję rozmowy z królem. Przesiaduję w komnatach królowej i gawędzę z jej dworkami, dyskutując o pogodzie i zastanawiając się, czy jeszcze spadnie śnieg. Podziwiam koronkę, której wzór rozrysowała królowa we własnej osobie, i komentuję jej artyzm. Gdy Elżbieta mnie zagaduje, odpowiadam z kurtuazją. W żaden sposób nie daję jej poznać po sobie — ani z twarzy, ani z żadnego gestu, ani nawet z ułożenia stóp obutych w skórzane pantofelki — że uważam ją za mordczynię mojej siostry i swaka: tej pierwszej za pomocą trucizny; tego drugiego za pomocą mataczenia. Królowa Elżbieta w mojej opinii jest zabójczynią, a być może również czarownicą; odebrała mi wszystkich, których kochałam — oprócz mego męża i syna. Nie mam wątpliwości, że chętnie obrabowałaby mnie i z nich, gdyby nie pozycja Ryszarda na dworze brata. Tak czy owak nigdy jej tego nie wybaczę.

Kiedy pojawia się król i z uśmiechem, wesoło wita dworki, kolejno zwracając się do nich po imieniu, jak ma w zwyczaju, by w końcu dotrzeć do mnie i ucałować mnie w oba policzki, jak wypada dziewierzowi, odzywam się do niego cicho:

— Wasza królewska mość, czy mogę cię prosić o przysługę?

Natychmiast obraca się ku niej i wymieniają szybkie spojrzenia. Królowa zaczyna się podnosić, jakby chciała mi przerwać, jednakże ja jestem na to przygotowana. Wiem, że bez zgody tej czarownicy nie ugram wiele.

— Pragnę cię prosić o przyznanie mi prawa do opieki nad dziećmi mej siostry — mówię prędko, nie czekając na jej reakcję. — Obecnie przebywają na zamku w Warwick. Małgorzata ma cztery latka, Edward prawie trzy. Szczerze miłowałam swoją siostrę i chciałabym zatroszczyć się o sieroty po niej.

— Oczywiście — odpowiada gładko Edward. — Wiesz jednak, że nie mają żadnego majątku?

O tak, doskonale o tym wiem, mówię w duchu. Obrabowałeś Jerzego ze wszystkiego pod zarzutem zdrady. Gdyby te dzieci miały cokolwiek, twoja żona już dawno położyłaby na nich swoją łapę. Gdyby były majątne, już dawno sporządziłaby kontrakt małżeński z którymiś ze swoich potomków.

— Będę na nie łożyc — zapewniam.

Ryszard popiera mnie, zajmując miejsce u mojego boku.

— Będziemy na nie łożyc.

— Wychowam je w Middleham z ich kuzynem, moim synem — kontynuuję. — Za pozwoleniem waszej królewskiej mości. To największa przysługa, jaką możesz mi wyświadczyć, miłośniwy panie. Kochałam swoją siostrę i przyrzekłam jej, że w razie czego zaopiekuję się sierotami po niej.

— Och, czyżby spodziewała się, że umrze młodo? — wtrąca królowa z udawaną troską, podchodząc do króla i biorąc go pod ramię. Piękne oblicze ma poważne i zafrasowane. — Bała się połogu?

Przypominam sobie Izabelę i to, jak mi mówiła, że jednego dnia usłyszę, iż zmarła niespodziewaną śmiercią, i że będę mogła mieć wtedy pewność, iż otrują ją ta wielkiej urody niewiasta, która teraz stoi przede mną w pozie arogancji i władzy i ma czelność sztydzić z przyczyny jej zgonu.

— Każda niewiasta winna się bać połogu — odpieram, zaprzeczając prawdzie o śmierci Izabeli. — Wszyscy o tym wiedzą. Każda z nas przekracza próg komnaty niewieściej z drżeniem serca i modlitwą na ustach.

Elżbieta spogląda mi prosto w oczy, jakby zamierzała rzucić mi wyzwanie, jakby chciała się przekonać, czy zdoła nakłonić mnie do wypowiedzenia słów ocierających się o zdradę albo choćby bunt. Czuję, że Ryszard sztywnieje, jak gdyby szykował się do odparcia ataku, i przybliża się do brata, jak gdyby chciał odwrócić jego uwagę od wilczycy, która trzyma go wciąż pod ramię. W końcu jednak Elżbieta przyobleka twarz w ten swój uroczy uśmiech i zwraca się do męża zwykłym dla siebie uwodzicielskim sposobem.

— Myślę, że powinniśmy przystać na to, aby dzieci Clarence'a zamieszkały ze swoją ciotką, zgodzisz się ze mną, najjaśniejszy panie? — pyta słodkim głosem. — Być może to przyniesie im choć odrobinę ulgi po takiej stracie. Nie mam wątpliwości, że moja jątrew Anna zaopiekuje się dobrze swymi siostrzeńcami.

— Zgadzam się całkowicie — potwierdza król i kiwa głową Ryszardowi. — Z radością wyświadczę twojej żonie tę przysługę.

— Informuj mnie, jak się chowają — zwraca się do mnie królowa, odchodząc. — J a k i e t o przykre, że najmłodsze umarło. Jak miało na imię?

— Ryszard — odpowiadam cicho.

— Nazwała go tak po waszym ojcu? — pyta, odnosząc się do mordercy jej ojca i brata, oskarżyciela jej matki i wieloletniego wroga jej samej.

— Tak — przyznaję, nie wiedząc, jak inaczej mogłabym odpowiedzieć.

— Wielka szkoda — stwierdza.



## ZAMEK BAYNARDA, LONDYN MARZEC 1478 ROKU



Wydaje mi się, że odniosłam zwycięstwo. Tamtego wieczora oraz w następane dni po cichu świętuję swój tryumf. Straciłam siostrę, lecz zaopiekuję się jej dziećmi, które będę kochać jak rodzone. Opowiem im, że ich macierz była pięknoscią, ich ojciec zaś był bohaterem, i że to na prośbę Izabeli roztoczyłam nad nimi opiekę.

Wysłałam list na zamek w Warwick z rozkazami, aby gdy tylko trakty zrobią się znów przejezdne, oboje dzieci zostało przewiezione do Middleham. Z powodu silnych opadów śniegu i zamieci dopiero po kilku tygodniach dociera do mnie odpowiedź z Warwick, z której wynika, że Małgorzata i Edward wyruszyli w drogę, okutani ciepło w swoich powozach, w towarzystwie opiekunek. Tydzień później otrzymuję wiadomość, że cali i zdrowi przybyli do Middleham. Oddycham z ulgą, że moi siostrzeńcy znaleźli bezpieczne schronienie za grubymi murami naszego zamku, i poprzysięgam, że pod moją opieką nie spadnie im włos z głowy.

Udaję się do komnaty audiencyjnej mego męża, gdzie czekam cierpliwie, kiedy on wysłuchuje zanoszonych do niego petycji i wylewanych przed nim żalów, a następnie rozsądza mądrze spory i podejmuje sprawiedliwe decyzje. Ryszard jest dobrym panem. Rozumie — tak jak papa — że każdy człowiek ma prawo do przedstawienia własnego punktu widzenia i że lojalność poddanych zaskarbia się uwagą i sprawiedliwością. Zdaje sobie sprawę, że prawdziwym bogactwem nie jest ziemia, tylko ludzie, którzy ją uprawiają. Nasza zamożność i nasza władza jest uzależniona od uczuć, jakie żywią do nas wasale. Jeżeli są gotowi uczynić dla Ryszarda wszystko — tak jak to miało miejsce w wypadku papy — wówczas mój mąż ma sporą armię na swoje skinienie. Na tym polega prawdziwa moc.

Gdy wreszcie ostatni z petentów kończy przedstawiać swoją sprawę, wysłuchuje odpowiedzi i zgina przed Ryszardem kolano, dziękując za jego troskę i ochronę, mój mąż podnosi spojrzenie znad podpisywanych dokumentów i zauważa mnie.

— Ty tutaj, Anno?

— Ja także pragnę cię o coś prosić.

Ryszard uśmiecha się i zstępuje z podwyższenia, na którym zasiadał.

— Ty możesz prosić mnie o cokolwiek, gdziekolwiek i o jakiegokolwiek porze. Nie musisz przychodzić tutaj.

Obejmuje mnie w pasie, po czym podchodzimy do okna z widokiem na dziedziniec rozciągający się przed budynkami. Zza otaczającego go muru dobiegają odgłosy codziennego życia Londynu; dalej — w pałacu westminsterskim — urzęduje królowa Elżbieta spowita aurą władzy i tajemnicy. Za naszymi plecami klerkowie Ryszarda zbierają dokumenty, które przynieśli petenci, wynoszą pulpity do pisania, kałamarze, pióra i laski wosku. Nikt nie przysłuchuje się naszej rozmowie.

— Przyszłam zapytać, czy możemy pojechać do Middleham.

— Chciałabyś być blisko siostrzeńców?

— I blisko naszego syna. Ale nie tylko o to chodzi...

— A o co?

— Przecież wiesz.

Ryszard ogląda się przez ramię, aby sprawdzić, czy na pewno nikt nas nie podsłuchuje. Oto oddany królowi lojalny brat, który czuje strach nawet pod własnym dachem.

— Chodzi o to — odpowiadam na jego pytające spojrzenie, nie owijając w bawełnę — że moim zdaniem Jerzy się nie mylił w sprawie Ankarette, która była na usługach królowej i otruła Izabelę. Uważam, że Elżbieta umieściła swoich szpiegów w Warwick, kazała otruć moją siostrę, a być może również niemowlę, ponieważ nienawidziła Izabeli i pragnęła zemsty. To waśń rodowa wymierzona w potomków mego ojca: Izabelę i małego Ryszarda. Nie mam wątpliwości, że ja będę następną, a po mnie wszystkie dzieci...

Ryszard nie spuszcza ze mnie wzroku.

— To bardzo poważne oskarżenie, do tego rzucone na królową.

— Toteż rozmawiam z tobą na osobności. Nigdy nie oskarżyłabym królowej publicznie. Wszyscy widzieli, co spotkało Jerzego, który to zrobił.

— Jerzy był winny zdrady wobec króla — przypomina mi Ryszard. — Jego wina nie ulegała kwestii. Miał zdradzieckie myśli, wypowiadał je na głos, także w rozmowach ze mną. Przyjmował zapłatę od króla Francji, snuł plany rebelii...

— Może faktycznie zawinił, lecz w przeszłości król zawsze mu wybaczał — wytykam. — Edward sam z siebie raczej nie wytoczyłby procesu własnemu bratu. Dobrze wiesz, że uczynił to za poduszczeniem królowej. Gdy wasza matka poszła błagać go o łaskę, zrozumiała, że to królowa nakłania męża do wydania wyroku śmierci. Elżbieta postrzegając Jerzego jako zagrożenie, nie zamierzała pozwolić, aby ją oczerniał. On nazwał ją morderczynią, a ona aby zamknąć mu usta, musiała go zabić. Wcale nie chodziło o bunt przeciwko królowi, chodziło o wrogość w stosunku do niej.

Ryszard nie jest w stanie tego podważyć.

— Zatem żywisz obawę...? — pyta cichym głosem.

— Izabela opowiedziała mi o szkatułce królowej, w której spoczywają skrawki papieru z dwoma imionami wypisanymi krwią, trzymanej w skarbczyku.

Skinieniem głowy daje mi znak, że słucha uważnie.

— Izabela uważała, że są to nasze imiona: jej i moje. Wierzyła, że królowa zamorduje nas obie, aby pomścić śmierć ojca i brata, których zabił papa. — Łapię go za rękę. — Ryszardzie, jestem przekonana, że królowa planuje moje morderstwo. Nie wiem, jak zamierza mnie uśmiercić, czy przez otrucie, czy przez sfingowany wypadek, czy może nasyłając zbirów, którzy napadną na mnie na ulicy. Nie mam jednak wątpliwości, że chce mnie pozbawić życia. Boję się...

— Izabela umarła w Warwick — rzecze. — Odległość od Londynu nie uchroniła jej przed trucizną.

— Wiem. Mimo to sądzę, że w Middleham będę bezpieczniejsza niż tutaj, gdzie widuje mnie prawie codziennie i gdzie ty rywalizujesz z nią o względy króla. Z pewnością przypominam jej papę, ilekroć przekraczam próg jej komnaty.

Ryszard nadal się waha.

— Sam mnie przestrzegłeś, abym nie jadła niczego, co wyszło z jej kuchni — argumentuję. — Przed aresztowaniem Jerzego. Przed naciskami z jej strony, które doprowadziły do jego śmierci. Sam mnie ostrzegałeś...

Mój mąż jest poważny jak nigdy.

— Owszem — przyznaje. — Myślałem, że grozi ci niebezpieczeństwo. Teraz też tak myślę. Zgadzam się z tobą, że powinniśmy wyjechać do Middleham i trzymać się z dala od dworu królewskiego. Na północy czeka mnie wiele pracy, Edward przekazał mi wszystkie majątki Jerzego na terenie hrabstwa Yorkshire. Zatem dobrze. Pojedziemy do Middleham, a w pałacu będziemy się pokazywali wyłącznie wtedy, gdy będzie to konieczne.

— A co z twoją matką? — pytam, domyślając się, że księżna Cecylia nigdy nie wybaczy śmierci Jerzego.

Ryszard potrząsa głową.

— Ociera się o zdradę, wygaduje, że Edward nie powinien był wkładać korony, skoro uczynił królową taką niewiastę. Nazywa Elżbietę czarownicą nie lepszą od rodzonej matki. Też zamierza opuścić Londyn i zamieszkać na stałe w Fotheringhay. Nie śmie pozostać w stolicy.

— Zamieszkamy na północy — mówię, wyobrażając sobie życie, jakie przyjdzie nam wieść z dala od Londynu, z dala od ciągłego strachu, z dala od dworu królewskiego i podszytych niepokojem rozrywek, które ostatnimi czasy coraz częściej sprawiają wrażenie werniksu mającego ukryć podchody i knowania królowej i jej rodzeństwa. Pałacowe życie utraciło swoją niewinność, przestało nieść radość. W pałacu do władzy doszli skrytobójcy, chętnie więc stąd wyjadę: im dalej, tym lepiej.

## ZAMEK W MIDDLEHAM, HRABSTWO YORKSHIRE LATO 1482 ROKU



Nasze życie nie upływa w pokoju, na co tak liczyłam. Król wzywa Ryszarda do poprowadzenia armii przeciwko Szkotom, a gdy zostaje złamany rozejm między Anglią i Szkocją i Antoni Woodville pozostaje z pustymi rękami zamiast ze szkocką księżniczką w roli oblubienicy, na mojego męża spada obowiązek wywarcia pomsty Riversów na obecnym wrogu. Ryszard zbiera niewielką armię, składającą się głównie z mieszkańców północnej Anglii, i prowadzi ją do zwycięstwa: zdobywa Berwick, a następnie wkracza do Edynburga. To wielki tryumf, lecz zdaniem tych, co pozostali w Londynie, nawet on nie świadczy o waleczności Ryszarda, godnego następcy księcia Yorku. Zanim minie miesiąc, Riversowie skarżą się, że mój mąż powinien był wdrzeć się głębiej w szkockie ziemie, podbić rozleglejsze tereny.

Oczywiście domyślałam się, że Elżbieta maczała w tym palce, i że złości aż zgrzytam zębami. Skoro zdołała przekonać męża, że to wspaniałe zwycięstwo nad Szkotami jest żalosną porażką, doprowadzi też do tego, że Ryszard zostanie wezwany do Londynu, aby się wytłumaczyć z kłeski. A nie można zapominać, że poprzedni królewski brat, na którego padło oskarżenie o zdradę, został skazany bez uczciwego procesu i zakończył życie, dławiąc się ulubionym winem królowej.

Dla zaznania spokoju ducha udaję się do komnaty, gdzie odbywają się lekcje, i usiadłszy z tyłu, przysłuchuję się, jak dzieci móżolą się z łacińską gramatyką, recytując słówka, które Izabela i ja poznawałyśmy przed tyłoma laty w Calais. Chociaż upłynęło tyle czasu, słyszę cieniutki głos mojej siostry, nieomal piejącej z zachwytu, kiedy udaje się jej szczęśliwie dobrnąć

do końca recytacji bez jednej pomyłki. Mój syn ma już dziewięć lat i siedzi w szkolnej ławie obok swojej kuzynki Małgorzaty, też dziewięcioletniej, i kuzyna Edwarda, którego nazywamy zdrobniale, ponieważ ma dopiero siedem lat.

Ich nauczyciel przerywa lekcję i pozwala im się ze mną przywitać, na co cała trójka zrywa się od razu i otacza mnie półkręgiem. Małgorzata łączy się do mnie, toteż obejmuję ją ramieniem, przyglądając się dwóm urodziwym chłopcom. Wiem, że być może będę się musiała zadowolić tylko tym trojgiem dzieci. Wprawdzie mam zaledwie dwadzieścia sześć lat, powinnam więc wydać na świat jeszcze co najmniej tuzin, lecz z jakiegoś powodu żadne z oczekiwanych dzieciątek nie pojawia się, choć tak tego pragnę, i nikt — ani lekarze, ani akuszerki, ani nawet księża — nie są w stanie mi powiedzieć dlaczego. Chucham zatem na tych troje, w tym szczególnie na Małgorzatę, która równie śliczna i żywiołowa jak jej matka, najpewniej pozostanie moją jedyną córką.

— Dobrze się czujesz, pani matko? — pyta mnie słodkim głosem.

— Tak, kochanie — odpowiadam, odgarniając jej z oczu niesforne kosmyki ciemnych włosów.

— Możemy się pobawić w dwór królewski? — prosi. — Udawaj, że jesteś królową, a my przychodzimy cię odwiedzić w pałacu.

Powtórka zabawy, w którąśmy się kiedyś bawili razem z siostrą, dzisiejszego dnia okazuje się ponad moje siły.

— Może innym razem — mówię. — Zresztą niewykluczone, że wcale nie musicie ćwiczyć, jak należy się zachować w pałacu. Niewykluczone, że żadne z was nigdy nie pojedzie do Londynu. Być może wszystkie będziecie wiodły życie tutaj, jako wielcy panowie i wielkie panie północy, z dala od dworu królewskiego i królowej.

— Nie musimy jechać do Londynu na święta? — pyta mnie Edward z marsem na czole. — Papa powiedział, że pojedziemy tam we trójkę w Boże Narodzenie.

— Nie — składam obietnicę. — Papa i ja pojedziemy tam, jeśli będziemy musieli. Wy jednak, wszyscy troje, zostanieie tutaj, w Middleham.

## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN ZIMA 1482



— Nie mamy innego wyjścia — rzecze Ryszard, kiedy zatrzymujemy się przed drzwiami królewskiej komnaty gościnnej. — Musimy się pokazać na świątecznej uczcie. I tak źle się stało, że dzieci zostały w domu. Ktoś może pomyśleć, że nie chcesz ich sprowadzić do Londynu.

— Bo nie chcę — mówię bez o g r ó d e k . — Nigdy ich tutaj nie sprowadzę, póki ona zasiada na tronie. Nie pozwolę, aby jej wzrok padł na dzieci Izabeli. Zapomniałeś już, co spotkało Annę Mowbray? — pytam. — Biedna Anna... Zaręczona z księciem Ryszardem, pozbawiona całej fortuny na rzecz Riversów i martwa przed dziewięcymi urodzinami.

Ryszard marszczy czoło.

— Ani słowa więcej — upomina mnie.

Podwójne odrzwia przed nami otwierają się na oścież i dźwięki trąb obwieszczają nasze przybycie. Ryszard krzywi się nieznacznie — dwór z każdą naszą wizytą staje się wspanialszy i bardziej olśniewający. Od niedawna pojawieniu się każdego gościa towarzyszą fanfary i rozwlekłe introdukcje, jak gdybyśmy wszyscy nie wiedzieli doskonale, że połowa najzamożniejszych osób w Anglii to rodzeństwo królowej.

Spostrzegam, że Edward krąży między dworzanami, przewyższając tłum o głowę — góruje nie tylko wzrostem, ale i tuszą: z każdym rokiem robi się krągłejszy, by nie rzec: spaślejszy — królowa zaś zasiada na swoim tronie ze złota. Dzieci pary królewskiej, poczynając od najmłodszej Brygidy, która raczkuje u matczynych stóp, a kończąc na najstarszej księżniczce Elżbiecie, obecnie szesnastoletniej młodej niewieście, wszystkie są szycownie odziane i usadzone wokół matki. Liczący dwanaście lat książę Edward, jasnowłosy i przystojny jak ojciec, przyjechał aż z Walii

i teraz rozgrywa partię szachów ze swym wujem i opiekunem, Antonim Woodville'em, który odwrócony do mnie profilem spogląda z namysłem na szachownicę.

Nikt nie zaprzeczy, że to najwspanialsza rodzina w całej Anglii. Rysy twarzy słynącej z urody Elżbiety wyostają się z każdym rokiem, zamieniając zwykły urok w prawdziwe piękno. Utraciła piętnastoletnią córkę, księżniczkę Marię, tego roku, a trzeciego z kolei syna, Jerzego, rok po tym, jak doprowadziła do egzekucji jego imiennika i stryja. Ciekawi mnie, czy te straty powstrzymały jej pęd do zaszczytów i zemsty. Smutek przyprawił ją o samotne srebrzyste pasmo w płowozłotych włosach, a żałoba uczyniła cichszą i bardziej skłonną do zadumy. W dalszym ciągu odziewa się niczym cesarzowa, nosząc suknie ze złotogłowi i grube złote łańcuchy opasujące ją w wiotkiej talii. Gdy przekraczam próg, szepcze coś do Antoniego Woodville'a, który podnosi spojrzenie, dzięki czemu oboje równocześnie obdarzają mnie szerokim nieszczerym uśmiechem. Pod sutą materią rękawów sukni dłonie mi martwieją, jak gdyby jej zimny wzrok dmuchnął w moją stronę lodowatym wichrem.

— Nie przystawaj — poucza mnie Ryszard szeptem.

Przechodzimy dalej i stanąwszy przed parą królewską, kłaniamy się zgodnie obojgu, odbierając radosne powitanie, jakie Edward ma dla swego umiłowanego brata, oraz chłodne przyjęcie, jakim ona obdarza mężczyznę, którego w sekrecie nazywa zdrajcą.

Dla wszystkich pozostałych dworzan ucztą bożonarodzeniowa to okazja do przypomnienia się rodzinie królewskiej, jak również do prób nawiązania przyjaźni i flirtów, które mogą się opłacić w przyszłości. Króla nie odstępuje zwarty tłum, jako że w posiadaniu Korony nadal jest wiele fortun czekających na rozdanie, a Edward — gdy w dobrym humorze — ma dodatkowo w zwyczaju szastać przywilejami. Niemniej rzuca się w oczy, iż to królowa i jej bliscy: bracia i siostry, a nawet synowie z pierwszego małżeństwa, stoją u steru i decydują o tym, kogo spotka zaszczyt rozmowy z monarchą. Elżbieta pozwala mężowi na branie sobie kochanic, nie zważa na jego buńczuczne przechwałki w tej materii, nie ma nawet nic przeciwko temu, że przychylnym okiem patrzy na obcych. Być może dlatego, że największe zaszczyty i najwyższe urzędy i tak przypadły w udziale jej krewniakom. Królowa nie czyni nic, by podkreślić swą pozycję. Nie zabiera głosu w dyskusjach, nie zrywa się na równe nogi ani nie



podnosi głosu — niemniej skupia całą władzę w swoim ręku, a jej bracia Antoni, Leon i Edward mają na oku wszystko, co dzieje się w pałacu, niczym szulerzy stolik do gry, tylko czekający, kiedy pojawi się jakiś nicpoń, aby można go było oskubać. Jej synowie z pierwszego małżeństwa, wyniesieni do godności szlacheckiej przez króla, uposażeni przez niego bogato, pilnują wstępu do królewskich komnat. Nic nie odbywa się bez ich wiedzy, nic nie jest możliwe bez ich przyzwolenia.

Stroje rodziny królewskiej porażają pięknem, komnaty królewskie migoczą od błyskotek. Edward, zaniedbując flotę i warownie, porty i falochrony, wydaje pieniądze na przebudowę i wystrój pałaców, zwłaszcza wspaniałych komnat dla królowej wszędzie tam, gdzie akurat jej się podoba najbardziej. Pozostawiając Ryszarda samemu sobie z niewielkimi siłami naprzeciw szkockiej armii, Edward wydaje małą fortunę na nową zbroję turniejową, która nigdy nie zobaczy prawdziwego oręza. Mój swak jest królem uroku — i to wszystko, jak teraz mi się wydaje. Nosi się po królewsku i ma królewski gest, jednakże nie dzierży królewskiej władzy. Ta pozostaje w rękach królowej, która nic się nie zmieniła: nadal jest piękna, zakochana w mężczyźnie, którego poślubiła z miłości, szczerze oddana dzieciom i czarująca dla przyjaciół. Elżbiecie, jak zwykle, nie sposób się oprzeć. Nikt, kto jej dobrze nie poznał, nie powie, że za tą fasadą kryje się intrygantka pierwszej wody, pozbawiona skrupułów córka znanej czarownicy, niewiasta o rękach splamionych krwią.

Tegoroczne obchody Bożego Narodzenia przerosłyby wszystko, co Anglia widziała do tej pory, gdyby nie to, że tuż po najświętszym dniu w roku, upamiętniającym przyjście na świat Zbawiciela, docierają do nas wieści z Burgundii mówiące, że krewniak królowej, książę Maksymilian, wystawił ją do wiatru. Dbając o własny interes, tak jak ona zawsze dba o swój, zawarł pokój z Ludwikiem Francuskim, oddał rękę swej córki synowi króla Francji, darując w posagu Burgundię i Artois.

Ryszard wychodzi z siebie z gniewu i zmartwienia — Burgundia stanowiła potęgę, która pomagała zrównoważyć moc Francji. Krainy, które dostał Ludwik Francuski — Burgundia i Artois — tak naprawdę były własnością Anglii, co zrozumiały więc, od teraz przestaną płynąć francuskie pieniądze, którym Edward i jego dwór zawdzięczali bogactwo.

W tej smutnej dla Anglii chwili ja śmieję się w kułak, gdyż najstarsza córka królowej zaręczona z francuskim delfinem właśnie dostała kosza.

W tym wyścigu ubiegłą ją kuzynka ze strony jej matki. Dziewczyna wydaje się nieporuszona takim obrotem sprawy, jakby nigdy nic bawi się z rodzeństwem w zaśniewanych ogrodach pałacu bądź wyprawia się nad rzekę na polowania z resztą dworu, nie mam jednak wątpliwości, że w głębi ducha czuje się upokorzona, ponieważ utraciła szansę na włożenie korony Francji i zawiodła ojcowskie ambicje. Tak, to drugie jest nawet gorsze — młoda Elżbieta nie odegrała swojej roli w planach ojca.

Podczas tego kryzysu to Ryszard doradza postępowanie, gdyż królowa nie ma pojęcia, co należy uczynić. Mój mąż informuje też króla, że już na wiosnę wyruszy ponownie przeciwko Szkocji. Gdyby udało się pokonać i przymusić do sojuszu Szkotów, wsparliby nas na wojnie przeciwko Francji, umożliwiając inwazję. Nie kto inny jak Ryszard znosi tę propozycję przed parlament. W zamian otrzymuje znaczące nadanie: całość olbrzymiego hrabstwa Kumberlandii. Dodatkowo będzie mógł dla siebie zatrzymać wszystkie ziemie podbite w południowo-zachodniej Szkocji. Cokolwiek zdobędzie, będzie jego. To niebagatelny dar, zgoła księstwo, na jakie zasługuje. Edward po raz pierwszy dostrzega, co brat dla niego zrobił do tej pory, i wynagradza go ziemiami na północy kraju, gdzie Ryszard jest powszechnie miłowany i szanowany i gdzie mieści się nasz dom.

Edward czyni obwieszczenie na spotkaniu rady, jednakże my dowiadujemy się o wszystkim dopiero, gdy obaj bracia, ramię w ramię, przychodzą do komnat królowej. Na wieść, że życzeniem króla jest, aby mój mąż ustanowił radę północy, dzięki czemu będzie mógł sprawniej zawiadywać podległymi mu ziemiami, Elżbieta blednie i rzuca szybkie spojrzenie w stronę swego brata. Widać wyraźnie, że król nie uzyskał jej błogosławieństwa w tej sprawie i że jej pierwszą myślą jest, jak uchylić jego postanowienie. Oczywiście Antoni Woodville to jej zażarty sojusznik i dlatego do niego biegnie spojrzeniem w pierwszej kolejności. Wszakże baron Rivers okazuje się lepszym dyplomatą niż jego siostra; występuje naprzód i składa gratulacje Ryszardowi, uśmiecha się doń i poklepuje go po plecach, obejmując w uścisku, po czym odwraca się, by ucałować moją dłoń, i powiedzieć, że zostanę księżniczką lodu. Uśmiecham się i mruczę niezrozumiałe słowa podziękowania, jednakże w duchu myślę sobie, że oto wydarzyło się coś ważnego. Widziałam to na własne oczy i wyciągnęłam właściwe wnioski. Przekonałam się, że król nie we wszystkim ufa królowej i że ona chętnie by mu pokrzyżowała szyki z pomocą

Antoniego Woodville'a, który wyraźnie jest gotów wystąpić przeciwko namaszczoneму władcy. Ale to nie wszystko. Dowiedziałam się jeszcze, że żadne z rodzeństwa — ani Elżbieta, ani Antoni — nie przepada za Ryszardem i nie ufa mu bardziej niż on im. Co więcej, oboje żywią co do niego podejrzenia i obawy.

Edward zdaje sobie sprawę, że jego żona nie jest zadowolona. Ujmuje ją za rękę i rzecze:

— Ryszard obroni dla mnie północ, a nawet, jak Bóg da, dzięki swej młodzieńczej sile dopomoże mi w powiększeniu tego królestwa.

Odpowiada mu uśmiechem słodkim jak zawsze.

— Pod twą wodzą — dopowiada.

Kątem oka widzę, że baron Rivers porusza się niespokojnie, jakby chciał coś dodać, jednakże ostatecznie tylko potrząsa głową, dając znak siostrze, która zaraz milknie.

— Ryszard będzie strażnikiem Marchii Zachodnich. Agdy panowanie obejmie mój syn, Ryszard... nieprzerwanie strzegąc północnych granic, posłuży mu radą i ochroną, na co ja będę spoglądał z uśmiechem z niebios w górze.

— Ach! Mój panie! Nawet tak nie mów! — wykrzykuje Elżbieta.  
— Twój syn nie zasiądzie na tronie jeszcze bardzo długo!

Zastanawiam się, czy tylko ja jedna czuję na te słowa ukłucie niepokoju, dreszcz strachu.

Wydała na niego wyrok śmierci, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, jestem gotowa to przysiąc. Elżbieta uznała, że królewskie względy okazywane Ryszardowi niebezpiecznie wzrosły i że zależność króla od brata stała się większa niż jego zależność od jej krewniaków, na którą tak długo pracowała. Co z tego, że uczyniła swego brata Antoniego opiekunem księcia Walii, a tym samym walijskim władcą, skoro ostatnie nadanie Ryszarda okazało się jeszcze znaczniejsze. Ryszard dostał na własność praktycznie całą północ, a do tego miał pod sobą wojsko. Mogła się spodziewać, że gdyby Edwardowi zebrało się na sporządzenie testamentu, wyznaczyłyby na regenta swego brata. Jej zdaniem przyznanie Ryszardowi północy było początkiem podziału kraju: Walia i południe dla Riversów, północ dla Ryszarda. Przypuszczam, że zaczęła się bać

utrąty dotychczasowej władzy, że strachem napawało ją zaufanie króla okazywane bratu, który jak wszystko wskazywało, miał bronić granicy ze Szkocją i utrzymać północ dla Anglii. Sądzę, że widziała w Ryszardzie prawowitego następcę Edwarda i nie miała zamiaru pozwolić, aby mój mąż poszerzył swoje wpływy na północy. Dlatego otruła króla, własnego męża, ojca swoich dzieci. Żeby nie mógł dalej obsypywać Ryszarda zaszczytami; żeby Ryszard nie zdążył zyskać większej władzy i zagrozić jej.

Oczywiście pojmuję to dopiero po jakimś czasie. Najpierw, wyjeżdżając z Londynu, czuję zwyczajową ulgę, która ogarnia mnie za każdym razem, gdy zostawiam za plecami Bramę Biskupią i ruszam na północ do domu, do mego synka i mych siostrzeńców, rozpierana radością. Nie mogę się uwolnić od poczucia, że szybka wymiana spojrzeń między królową i jej bratem oznacza coś niedobrego dla nas, w gruncie rzeczy dla każdego, kto nie jest tymi dwójgiem. Jednakże to wszystko, co myślę podczas podróży do Middleham.

**ZAMEK W MIDDLEHAM,  
HRABSTWO YORKSHIRE  
KWIECIEŃ 1483 ROKU**



Znajduję się na łące poza zamkowymi murami, przyglądając się, jak dzieci uczą się jeździć konno. Dosiadają trzech przysadzistych koników, wyhodowanych z dzikich kuców hasających na wrzosowiskach, i zmuszając je do coraz szybszego kroku, biorą kolejne przeszkody. Chłopcy stajenni podnoszą gruby kijek wyżej i wyżej, ilekroć całej trójce uda się pokonać poprzednią wysokość. Do mnie należy decyzja, kiedy zabronić dalszych skoków najmłodszemu Edwardowi, jednakże mój syn i Małgorzata mogą próbować dalej. Na koniec ogłaszam zwycięzcę. Uzbierałam naręcze kwitnących naparstnic i spletałam coś na kształt wieńca laurowego. Małgorzata bierze przeszkodę gładko i posyła mi promienny uśmiech; jest bardzo dzielna i czuje się pewnie w siodle. Mój syn idzie w jej ślady, skacze może w gorszym stylu, lecz z jeszcze większą determinacją. Sądzę, że już niedługo przesiądzie się na zwykłego wierzchowca i zacznie ćwiczyć w szrankach dla dorosłych.

Wtem rozlega się bicie dzwonów na wieży kaplicy. Kruki opuszczają swoje kryjówki pod kalenicami z furkotem czarnych skrzydeł i przeraźliwym krakaniem, a ja odwracam się zaalarmowana. Dzieci ściągają wodze i zerkają na mnie.

— Nie mam pojęcia — odpowiadam na ich zdumione spojrzenia.  
— Wracamy na zamek, ale już.

Jednakże to nie dzwony na trwogę, tylko podzwonne. Umarł ktoś z rodziny. Ale kto? Przez mgnienie myślę, że to moją matkę znaną martwą w jej komnacie i teraz bicie w dzwony obwieszcza śmierć, którą ogłoszono wiele lat wcześniej. Z pewnością jednak ktoś przybiegłby od

razu, aby poinformować mnie pierwszą. Zbieram fałdy sukni i unosząc jej skraj nad ziemię, by nie płatał mi się pod nogami, pędzę kamienną ścieżką ku zamkowej bramie śladem dzieci na wewnętrznym dziedzińcu.

Ryszard wyszedł na stopnie wiodące do wielkiej sali, wokół niego zgromadził się tłum domowników. W rękę trzyma kartkę, już z daleka dostrzegam królewską pieczęć i w pierwszej chwili mam nadzieję, że moje wieloletnie modlitwy zostały wysłuchane i królowa nareszcie umarła. Wbiegam po schodach na górę, gdzie słyszę, jak Ryszard mówi głosem zdławionym przez żałość:

— To Edward. Edward, mój brat.

Wciągam powietrze ze świstem, nic jednak nie mówię, podczas gdy dzwony cichną, a domownicy wpatrują się w mego męża. Troje dzieci przybiega od stajni i staje na stopniach obok nas, jak się od nich wymaga. Edward już zdjął nakrycie głowy, a Małgorzata właśnie pomaga młodszemu bratu ściągnąć czapkę z kręconych włosków.

— Smutne nowiny z Londynu — rzecze Ryszard donośnie, aby wszyscy, nawet wieśniacy z pól, którzy przybiegli ostatni, go usłyszeli. — Najjaśniejszy pan, mój ukochany brat król Edward, nie żyje. — Przez tłum przechodzi szmer. Ryszard kiwa głową, jakby rozumiał niedowierzanie poddanych. Odchrząkuje. — Zachorował przed paroma dniami i otrzymał ostatnie namaszczenie, zasnął w Panu. Będziemy się modlić za jego nieśmiertelną duszę.

Wiele osób czyni znak krzyża, jakaś kobieta zaczyna płakać i zaraz ociera oczy fartuchem.

— Jego syn Edward, książę Walii, dziedziczy koronę Anglii — dodaje Ryszard. Podnosząc głos, woła: — Umarł król, niech żyje król!

— Niech żyje król! — powtarzamy wszyscy.

Ryszard ujmuje mnie za ramię i wprowadza do wielkiej sali, gestem nakazując dzieciom, aby poszły za nami.

Ryszard odsyła dzieci do kaplicy, aby się pomodliły za duszę swego stryja. Jest konkretny i stanowczy, napędzany wizją tego, co należy zrobić. Chwila jest przełomowa, a on wywodzi się z Plantagenetów, którzy najlepiej sobie radzą w sytuacjach kryzysowych stwarzających nowe możliwości. Chłopiec wychowany w czasach wojny, żołnierz, dowódca,

strażnik Marchii Zachodnich — Ryszard wspinał się po kolejnych stopniach w szeregach armii swego ojca i brata, szykując się na ten właśnie moment, gdy zabrakło króla i trzeba bronić jego dziedzictwa.

— Najdroższa, muszę wyjechać. Muszę udać się do Londynu. Edward wyznaczył mnie na swego regenta, moim zadaniem jest dopilnować spokoju w królestwie.

— Kto może mu zagrażać?

Mój mąż nie odpowiada: „Niewiasta, która stanowi nieustanne zagrożenie od pamiętnego majowego dnia, w którym oczarowała i uwiodła mego brata”. Zamiast to powiedzieć, spogląda na mnie i rzecze:

— Między innymi obawiam się inwazji Henryka Tudora.

— Syna Małgorzaty Stanley? — pytam z niedowierzaniem. — Dziedzica Beaufortów i Tudorów? Chyba się go nie boisz?

— Edward się go bał i czynił starania, aby sprowadzić go do kraju po dobroci. Henryk Tudor to również dziedzic Lancasterów, aczkolwiek jego genealogia jest dość mglista. Przebywa na wygnaniu, odkąd mój brat zasiadł na tronie. Nie mam pojęcia, jakie sojusze zawarł przeciwko nam, Yorkom. Ale nie, nie boję się go, Anno. Mimo to wyruszam do Londynu, aby utrzymać koronę Anglii na głowie syna Yorków, tak żeby nie było żadnych wątpliwości, kto sprawuje rządy.

— Będziesz musiał współpracować z królową — zauważam.

Uśmiecha się do mnie.

— Jej również się nie boję. Nie zdoła mnie ani oczarować, ani otruć. Zresztą z chwilą śmierci króla straciła wszelkie znaczenie. Co najwyżej może wygadywać o mnie złe rzeczy, lecz nikt, kto choć trochę się liczy, nie będzie jej słuchał. Odejście Edwarda to dla niej wielki cios, aczkolwiek zrozumie to dopiero, gdy przekona się o własnym upadku. Elżbieta jest teraz królową wdową, nie prawą ręką władcy. Współpracować będę z młodym królem, który jest tyleż jej synem, co dziedzicem Edwarda i dynastii Yorków, i po prostu musi uznać władzę swojego stryja. Mym obowiązkiem jest przejąć kontrolę nad nim, uchronić jego dziedzictwo, dopilnować, by zasiadł na tronie Anglii, jak życzył sobie mój brat. Zostałem regentem, opiekunem małoletniego monarchy, lordem protektorem królestwa. Po drodze do Londynu wezmę go pod swoje skrzydła.

— Czy mam pojechać z tobą?

Ryszard potrząsa głową.

— Nie. Wyruszę natychmiast z moimi zaufanymi przyjaciółmi. Robert Brackenbury pojechał przodem, aby załatwić dla nas wierzchowce na zmianę. Ty zaczekasz tutaj, dopóki nie odeślę Elżbiety Woodville i wszystkich Riversów do Windsoru, gdzie będą mogli się pogrzyżyć w żałobie, schodząc mi z drogi. Po ciebie poślę, kiedy przejmę władzę. — Ponownie obdarza mnie uśmiechem. — To dla mnie chwila smutku, ale i wielkości. Przez pewien czas, aż do osiągnięcia pełnoletności przez tego chłopca, będę praktycznie władał Anglią. Zakończę wojnę ze Szkocją i ułożę się z Francją. Poczynię starania, żeby w kraju zapanowała sprawiedliwość i żeby najwyższe urzędy objęli prawi ludzie... ludzie, którzy nie są krewniakami Riversów. Tych ostatnich zdejmę ze wszystkich stanowisk, wyruguję z nadanych im ziem. W najbliższych latach odcisnę na Anglii piętno, przejdę do historii jako troskliwy opiekun bratanka i uczciwy lord protektor. Pokażę królowi, jakim wielkim człowiekiem był jego ojciec i że o wiele większym mógłby być, gdyby nie ta niewiasta...

— Przybędę do Londynu na twoje pierwsze wezwanie — obiecuję mu.  
— Do tego czasu wszyscy tutaj będziemy się modlić za duszę Edwarda. Był z niego grzesznik, ale przeuroczy.

Ryszard kręci głową.

— Został zdradzony przez niewiastę, którą wyniósł do najwyższej godności w tym kraju. Miłość go zaślepiła. Wszakże ja się postaram, aby jego syn korzystał wyłącznie z dobrego dorobku ojca. Uczynię go godnym następcą Plantagenetów. — Milknie na chwilę. — Co do niej, odeślę ją do wioski, z której się wzięła — zarzeka się z niespotykaną u niego złośliwością. — Trafi do klasztoru, gdzie dokona żywota. Dość się naoglądaliśmy jej i jej licznego rodzeństwa. Nadszedł kres Riversów, moja w tym głowa.

Ryszard wyjeżdża tego samego dnia. Zatrzymuje się w Yorku, ażeby ze wszystkimi mieszkańcami złożyć przysięgę na wierność swemu bratankowi. Ogłasza, że najlepszym sposobem na uhonorowanie zmarłego króla jest okazanie lojalności jego synowi i następcy, po czym kieruje się do Londynu.

Później długo nie mam od niego żadnych wieści. Nie dziwi mnie ta cisza, wiem bowiem, że czeka go długa i żmudna droga. O czym miałyby do mnie pisać na postojach? O błocie królującym tej wiosny na traktach? Dochodzą mnie słuchy, że spotkał się z księciem Buckingham, młodym Henrykiem Staffordem, który wbrew woli rodziców jako dziecko ożeniony



został z Katarzyną Woodville, siostrą królowej, a następnie wbrew własnemu sumieniu podpisał się pod wyrokiem śmierci na Jerzego, by zadowolić żonę i świeć. Wiem też, że Wilhelm Hastings, oddany przyjaciel zmarłego króla, napisał do Ryszarda z wezwaniem, aby stawił się bezzwłocznie, i przestrzegł go przed wrogością królowej wdowy. Z pewnością niejeden wielmoża zechce wziąć młodego Edwarda pod swoją opiekę, a już bez wątpienia uczynią to Riversowie pragnący utrzymać kontrolę nad następcą tronu. Któż jednak śmiałby odmówić tego prawa Ryszardowi, bratu Edwarda IV, lordowi protektorowi Anglii?

**ZAMEK W MIDDLEHAM,  
HRABSTWO YORKSHIRE  
MAJ 1483 ROKU**

Nareszcie w połowie maja otrzymuję od męża list, spisany przezeń własnoręcznie i opatrzony jego prywatną pieczęcią. Zabieram wiadomość do swej komnaty, z dala od zgiełku domostwa, i odczytuję w jasnym świetle wpadającym przez przejrzyste szklane okno.

*Dojdą Cię słuchy, że koronacja mego bratanka odbędzie się 22 czerwca, wszelako nie ściągaj do Londynu, jeśli nie otrzymasz ode mnie własnoręcznego wezwania. W stolicy niebezpieczeństwo grozi każdemu, kto nie stoi po stronie Riversów i ich popleczników. Królowa w końcu zrzuciła maskę i pokazała prawdziwą twarz, przez co spodziewam się najgorszego. Nie zadowala jej rola królowej wdowy, pragnie sprawować władzę! Przyjdzie mi stawić jej czoło jak każdemu innemu wrogowi, a nie zapomnę przy tym, co spotkało mojego brata Jerzego, Twoją siostrę Izabelę i jej bezbronne dziecię w kołysce.*

Udaję się do kuchni, gdzie ogień płonie dniem i nocą, tam mnę list w kulce, a tę wpycham pod żarzące się kłody, po czym czekam, aż papier całkiem się spali. Nie pozostaje mi nic innego, jak czekać na dalsze wieści od męża.

Na dziedzińcu stojącym dzieci przyglądają się, jak kowal podkuwa ich koniki. Wszystko jest tak jak zawsze. Gorąc bije od kuźni, w powietrzu kłębi się dym, czuć nieprzyjemny zapach przypalonego kopyta. Mój mały Edward trzyma postronek swego nowego wierzchowca, podczas gdy kowal, trzymając końską nogę między kolanami, wbija podkowiaki. Krzyżując palce w obronie przed urokiem, wzdrygając się na chłodny przeciąg tuż przy drzwiach serowarni. Skoro królowa zrzuciła maskę, a mój mąż

spodziewa się najgorszego, wrogość Elżbiety do mnie i do moich bliskich jest nieunikniona. Niewykluczone, że w tej samej chwili, gdy o niej myślę, wzbudza wiatr, który przywieje tutaj zarazę. Niewykluczone, że w tej samej chwili, gdy o niej myślę, obrzuca kłutwą prawe ramię mego męża, odbiera mu siły, przekupuje jego sojuszników, zatrzuwa umysły reszty ludzi, by zwrócili się przeciwko niemu.

Odwracam się i kieruję do kaplicy, padam na klęczki i modłę się o to, aby Ryszard wykazał się siłą w starciu z Elżbietą Woodville i jej krewniakami oraz poplecznikami, jakich zgromadziła wokół siebie. Modłę się, aby postępował zdecydowanie i z mocą, sięgając po każdą broń w zasięgu jego ręki, gdyż ona na pewno nie ulegnie i za wszelką cenę zachowa kontrolę nad synem, strącając nas w niebyt. Przypominam sobie Małgorzatę Andegaweńską i jej słowa o tym, że czasami trzeba być gotowym na wszystko w obronie samego siebie i pozycji, na jaką się zasługuje, i mam nadzieję, że mój mąż nie cofnie się przed niczym w razie potrzeby. Nie mogę wiedzieć, co dzieje się w Londynie, boję się jednak, że to początek nowej wojny: tym razem pomiędzy wiernym królewskim bratem i podstępna królewską żoną. Zwycięstwo musi — po prostu musi — być nasze.

Czekam. Potem wysłałam jednego z gwardzistów do Ryszarda z listem, w którym błagam go o wiadomość. I przestrzegam przed królową.

***Jak wiesz, dysponuje mocami, miej się więc na baczności. Czyń, co konieczne, by ochronić dziedzictwo swego brata i nasze bezpieczeństwo.***

Pozostawiona sama sobie na zamku w Middleham spędzam każdą chwilę z dziećmi, jak gdyby poświęcana im ciągła uwaga była w stanie je uchronić przed wiejącymi od Londynu niezdrowymi miazmatami, powstrzymać w locie wystrzeloną nie w porę strzałę czy zapewnić, że nowy konik Edwarda okaże się niezbyt narowisty. Gdybym mogła trzymać swego syna na rękę jak wtedy, gdy był niemowlęciem, robiłabym to bez wahania. Mam absolutną pewność, że szare oczy królowej wdowy są zwrócone na nas. Nie wątpię, że zawzięła się na mego męża i że knowa, jak by tu pozbawić nas wszystkich życia. Koniec końców wyszła na jaw jej prawdziwa natura. Koniec końców jesteśmy swoimi otwartymi wrogami. A zwycięzca może być tylko jeden. Ona albo my.

**ZAMEK W MIDDLEHAM,  
HRABSTWO YORKSHIRE  
CZERWIEC 1483 ROKU**



Co rano po mszy udaję się na szczyt południowej wieży, ażeby obrzucić spojrzeniem trakt wiodący na południe, do stolicy, i wypatrywać powrotu męża. Pewnego dnia dostrzegam tuman kurzu wzbijany przez oddział liczący pół tuzina konnych. Do towarzyszącej mi dworki wołam:

— Zaprowadź dzieci do wielkiej sali i wezwij strażę! Ktoś nadjeżdża!

Jej strwożone spojrzenie i tupot stóp na schodach mówią mi, że nie ja jedna zdaję sobie sprawę z tego, iż mój mąż, któremu daleko do zapewnienia sukcesji bratanka, znajduje się w niebezpieczeństwie, tak samo jak my tutaj, na północy, w najpilniej strzeżonej z naszych siedzib.

Słyszę, że krata bramna opada i most zwodzony podnosi się ze skrzypieniem i że obsada zamku zajmuje swoje pozycje na murach. Kiedy wpadam do wielkiej sali, dzieci czekają tam na mnie. Małgorzata trzyma kurczowo rączkę młodszego brata, Edward dzierży swój mieczyk i ma zaciętą minę. Wszystkie klękają, aby odebrać moje błogosławieństwo, a ja — przykładając kolejno dłoń do ich ciepłych głów — jestem bliska szlochowi, tak bardzo zależy mi na bezpieczeństwie całej trójki.

— Nadjeżdżają konni — informuję z takim spokojem, na jaki mnie stać. — Mogą to być posłańcy przywożący wieści od waszego ojca, ale w ten trudny dla Anglii czas nie zamierzam ryzykować. Dlatego po was posłałam.

Edward podnosi się z klęczek pierwszy.

— Nie wiedziałem, że w Anglii panują trudności — mówi rezolutnie. Potrząsam głową.

— Źle się wyraziłam. W kraju panuje pokój, wszyscy czekają na objęcie władzy przez waszego ojca jako regenta — poprawiam się. — Trudności panują tylko w pałacu, gdzie jak myślę, królowa stara się przejąć władzę w imieniu swego syna. Bardzo możliwe, że chce się ogłosić regentką. Martwię się o waszego ojca, zobowiązuje go bowiem obietnica dana królowi Edwardowi, wedle której ma się zaopiekować księciem i wdroić go do panowania, aby we właściwym czasie mógł zasiąść na tronie. Skoro matka księcia sprzeciwia się temu, wasz ojciec będzie musiał działać szybko i zdecydowanie.

— Ale co może zrobić królowa? — pyta mnie Małgorzata. — Co może zrobić nam, co może zrobić memu wuj... panu ojcu?

— Nie wiem — odpowiadam. — Właśnie dlatego jesteśmy gotowi do obrony na wypadek, gdyby nas zaatakowano. Jednakże tutaj, za murami, nic nam nie grozi. Mamy dobrze wyszkolonych żołnierzy, którzy są nam wierni. Wszyscy mieszkańcy północy poprą waszego ojca, uznając w nim króla. — Próbuję się uśmiechnąć. — Zapewne jestem przesadnie ostrożna. Tego nauczył mnie papa, który też zawsze był gotów do obrony i kazał podnosić most zwodzony na widok nieznanym.

Zamieramy w oczekiwaniu, nasłuchując. W końcu dociera do mnie okrzyk dowódcy i niewyraźna nań odpowiedź. Po chwili słyszę, że most zwodzony opada, z hukiem uderzając o przeciwległy brzeg fosy. Krata bramna unosi się ze zgrzytem.

— Wszystko dobrze — uspokajam dzieci. — To przyjaciele z nowinami.

Na kamiennych stopniach wiodących do wielkiej sali rozlega się tupot stóp, strażę otwierają drzwi i do środka wpada Robert Brackenbury, przyjaciel Ryszarda jeszcze z dziecięcych lat. Uśmiecha się.

— Wybacz, jeśli cię przestraszyłem, wasza książęca mość — rzecze, klękając i podając mi list. — Z tego pośpiechu nie pchnąłem przodem gońca, który by zawiadomił, że nadjeżdża mój oddział.

— Uznałam, że ostrożności nigdy za wiele — tłumaczę się. Odbieram od niego list i gestem polecam dworce, aby poczęstowała gościa domowym piwem. Potem, zwracając się do dzieci i dworak, mówię: — Możecie już iść. Rozmówię się z sir Robertem na osobności.

Edward zwleka z odejściem.

— Czy wolno mi spytać sir Roberta, czy papa jest cały i zdrow?

Brackenbury odwraca się do niego i przykuca, aby znaleźć się twarzą w twarz z dziesięcioletkiem. Odzywa się łagodnie do trojga dzieci:

— Kiedy wyjeżdżałem z Londynu, wasz ojciec czuł się doskonale. Miał pod swą pieczę księcia Edwarda i dokładał wszelkich starań, aby wasz kuzyn mógł zasiąść na tronie, gdy nadejdzie właściwy moment.

Dzieci kłaniają się nam i wychodzą z wielkiej sali. Czekam, aż znajdą się za drzwiami, po czym dopiero otwieram list. Ryszard jak zwykle pisze zwięźle.

*Riversowie spiskują przeciwko nam i przeciwko całej starej angielskiej arystokracji. Zamierzają zastąpić Plantagenetów własną krwią. Odkryłem skład broni i nabrałem przekonania, że myślą o buncie i uśmierceniu nas wszystkich. Poprzysięgłem obronić kraj przed ich zakusami. Przybądź do Londynu, potrzebuję Cię teraz u swego boku. Dzieci zostaw pod dobrą opieką, pilnie strzeżone.*

Starannie składam list i chowam go w fałdach sukni. Robert Brackenbury stoi naprzeciwko mnie, czekając, co powiem.

— Chcę usłyszeć o ostatnich wydarzeniach — mówię doń.

— Królowa gromadziła siły i zamierowała usadzić swego syna na tronie samodzielnie, negując protektorat mości księcia i przekreślając regencję. Naonczas w Anglii mielibyśmy panowanie Elżbiety Woodville i Antoniego Woodville'a.

Kiwam głową, wstrzymując oddech.

— Mości książę przechwycił następcę tronu, którego wieźli do Londynu krewniacy królowej. Mości książę pojmał brata królowej, Antoniego barona Rivers, oraz jej młodszego syna z pierwszego małżeństwa, a księcia Walii wziął pod swoją opiekę. Gdyśmy dotarli do stolicy, okazało się, że królowa wdowa zbiegła do sanktuarium.

Wypuszczam wstrzymywane w płucach powietrze.

— Uciekła się do ochrony Kościoła?

— Co tylko potwierdza jej winę — potakuje Brackenbury. — Zabrała ze sobą dzieci. Mości książę umieścił następcę tronu w królewskich apartamentach Tower, gdzie trwają przygotowania do koronacji. Rada królewska obwołała mości księcia lordem protektorem, zgodnie z życzeniem zmarłego króla. Królowa wdowa odmawia uczestnictwa w koronacji, jak również wypuszczenia reszty potomstwa, żeby dołączyło do swego brata w królewskich apartamentach.

— Co ona tam robi?... — zastanawiam się na głos.

Robert Brackenbury krzywi się.

— Bez wątpienia knuje, jak by tu uchylić protektorat z za murów sanktuarium. Jej brat wydał flocie rozkaz wypłynięcia w morze, więc możemy się spodziewać ataku od strony rzeki. — Zerka na mnie niespokojnie, zanim doda: — Zdaniem mości księcia Elżbieta Woodville para się magią pod osłoną murów świątyni.

Czynię znak krzyża i dotykam palcami amuletu, który Jerzy podarował mi dla ochrony przed urokami.

— Mości księżę twierdzi, że odczuwa ból w prawym ramieniu, mrowienie i rwanie. Jest zdania, że to Elżbieta Woodville stara się mu odebrać siły.

Zauważam, że od dłuższej chwili zaciskam dłonie w pięści.

— Jak może się przed tym bronić?

— Nie wiem — odpowiada Brackenbury z bezradnością w głosie. — Nie wiem... W dodatku następca tronu nieustannie dopytuje o matkę i swego opiekuna, Antoniego Woodville'a. To więcej niż pewne, że zaraz po koronacji zażąda obecności matki i wuja, oddając władzę w ich ręce. Ja widzę to tak, że mości księżę musi za wszelką cenę zatrzymać księcia Walii w swojej pieczy, odwołując koronację do czasu, aż ułoży się z jego krewnymi. Tylko w ten sposób zapewni sobie bezpieczeństwo. Z chwilą gdy młody księżę zostanie koronowany, cała władza przejdzie znów w ręce Riversów. Nie ma wątpiwości co do tego, że wtedy Elżbieta Woodville wystąpi przeciwko mości księciu, a także przeciwko tobie, wasza książećca mość, i przeciwko paniczukowi. Jak tylko Riversowie dorwą się do władzy, postawią na mości księciu krzyżuk.

Na myśl, że króluka wdowa knuje w sekrecie przeciwko Ryszardowi, przeciwko mnie i przeciwko naszym dzieciom, nogi mięknią mi w kolanach, aż muszę się wesprzeć o obramowanie kominka.

— Nie trać nadziei, wasza książećca mość — pociesza mnie Robert Brackenbury. — Jesteśmy świadomi zagrożeń, zbieramy siły. Mości księżę wydał rozkaz zgromadzenia armii na północy i wysłania jej do Londynu. Ma w swoich rękach następcę tronu i domyśla się planów królukiej wdowy. Ani myśli koronować bratanuka, póki nie dojdzie do porozumienia z jego krewniakami. Będzie przetrzymywał chłopca w Tower dopóty, dopóki Elżbieta Woodville nie przystanie na jego warunki.

- Mój mąż pisze, żebym do niego przyjechała.
- Mam rozkazy dowieść cię bezpiecznie na miejsce — potwierdza.
- Możemy wyruszyć jutro z rana?
- Tak — zgadzam się. — O brzasku.

Dzieci wychodzą na dziedziniec, aby mnie pożegnać przed odjazdem. Składam pocałunek na głowie każdego z nich, a one kolejno klękają przede mną, aby odebrać moje błogosławieństwo. Opuszczenie ich przychodzi mi z wielkim trudem, zdaję sobie jednak sprawę, że przywiedzenie tych trojga do Londynu wystawiłoby nas wszystkich na nieznane zagrożenia. Mój syn Edward prostuje się i zapewnia:

— Zaopiekuję się kuzynką i kuzynem, pani matko. Nie martw się o nas. Utrzymam nasz zamek w imieniu pana ojca, cokolwiek się wydarzy.

Uśmiecham się, ażeby widziały, jak bardzo jestem z nich dumna, jednakże odwracając się do wierzchowca, muszę otrzeć grzbietem urękawiczonej dłoni kapiące łzy.

— Przyślę po was najszybciej, jak się da — obiecuję. — Co dzień będę przy was myślałmi, co noc będę się za was modlić...

Robert Brackenbury daje znak i nasza mała kawalkada przejeżdża pod łukiem bramy z podniesioną kratą, przez most zwodzony i na drugą stronę fosy, kierując się ku traktowi wiodącemu do Londynu.

Na każdym postoju wysłuchujemy świeżych, przeczących sobie plotek. W Pontefract ktoś mówi, że koronację przesunięto, ponieważ wyszedł na jaw sekretny i zdradziecki spisek doradców z królową wdową. Na zamku w Nottingham, gdzie spędzamy jedną noc, powiadają, że królowa wdowa zamierzała usadzić na tronie Anglii swego brata Antoniego albo przynajmniej uczynić go lordem protektorem królestwa. Na obrzeżach Northampton krążą słuchy, że królowa wdowa wysłała wszystkie dzieci do swojej żelwy Małgorzaty we Flandrii, gdyż obawia się inwazji i przejęcia władzy przez Henryka Tudora.

Tuż za Saint Albans przyłącza się do nas wędrowny handlarz, który jadąc obok mnie przez parę mil, opowiada, że zasięgnął języka u swych najbardziej zaufanych klientów, dowiadując się, iż królowa to żadna królowa, tylko zwykła czarownica, która omotała czarami świętej pamięci króla Edwarda, a jej dzieci to wcale nie prawdziwe dzieci, tylko podmieńce



powołane do życia za pomocą magii. Wśród swoich towarów wiezie najnowszą balladę: historię Meluzyny, rusałki, która udawała śmiertelniczkę, ażeby począć dzieci z mężczyzną, po czym ujawniła swoją naturę wodnej nimfy, syreny. Nie przystoi mi słuchać tęsknej, przepełnionej namiętnością ballady ani plotek, które tylko podsycają mój strach przed królową wdową, niemniej nie potrafię się opanować. Co gorsza, wszyscy w Anglii zdają się zachowywać podobnie — wszyscy wysłuchujemy plotek i zastanawiamy się, co uczyni Elżbieta Woodville. Wszyscy się modlimy, aby Ryszardowi udało się ją powstrzymać przed usadzeniem na tronie młodego Edwarda, aby Antoni Woodville nie przejął nad chłopcem kontroli, ponieważ to znowu doprowadziłoby kraj do wojny domowej.

Kiedy mijamy Barnet, gdzie papa wciąż jest żywo pamiętany za walkę, którą stoczył z tą królową i jej rodziną, skręcam do kapliczki wzniesionej na polu bitwy, by zapalić mu świeczkę. Gdzieś tam, na zewnątrz, pod dojrzewającymi kłosami zboża, spoczywają ciała żołnierzy pogrzebanych w miejscu, w którym padli, oraz bieleją kości czarnego rumaka Ryszarda Neville'a — konia, który poświęcił swoje życie dla naszego rodu. Zaczynam rozumieć, że czeka nas kolejna bitwa i że tym razem to mój mąż — zięć mego ojca — będzie Twórcą Królów.

## ZAMEK BAYNARDA, LONDYN CZERWIEC 1483 ROKU



Zeskakuję z siodła, wbiegam po schodach i pędzę w stronę naszych komnat, by w parę chwil znaleźć się w ciasnych objęciach Ryszarda, z którym Igniemy do siebie niczym rozbitkowie po katastrofie statku. Tulimy się niczym dzieci, którymi nieledwie byliśmy, uciekając i pobierając się w sekrecie przed wszystkimi. Gdy tak trzyma mnie uścisku, jakbym była jedyną niewiastą na świecie, której kiedykolwiek pragnął, upewniam się, że właśnie on jest człowiekiem, co jako jedyny w świecie dał mi poczucie bezpieczeństwa.

— Tak się cieszę, że już jesteś — szepcze mi do ucha.

— Tak się cieszę, że jesteś cała i zdrow — odpowiadam.

Odstępujemy od siebie, aby przyjrzeć się sobie nawzajem uważniej, jakbyśmy nie dowierzali własnym oczom, że obojgu nam udało się przetrwać te niebezpieczne dni.

— Co się dzieje? — pytam.

Ryszard ogląda się, aby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte.

— Odkryłem część spisku — mówi. — Klnę się, że ogarnia cały Londyn, ale przynajmniej wiem, od czego zacząć. Kochanka Edwarda, niejaka Jane Shore, służy za pośrednika między Elżbietą Woodville i doradcą króla, Wilhelmem Hastingsem...

— Wydawało mi się, że to Hastings nakłaniał cię do najrychlejszego przybycia — przerywam mu. — Że zależy mu na wyrwaniu księcia Walii spod wpływów Riversów.

— Bo tak było. Zaraz po moim przybyciu do stolicy wyznał, że obawia się wzrostu potęgi Riversów. Później jednak przeszedł na ich stronę. Nie mam pojęcia, jak do tego doprowadziła, ale domyślam się, że czary miały

z tym coś wspólnego. Prędzej czy później każdy wpada w jej uwodzicielskie sidła. Grunt, że dowiedziałem się o wszystkim w porę. Królowa wdowa wystąpiła przeciwko ostatniej woli swego męża i przeciwko mnie. W spisku znaleźli się: Hastings, zapewne arcybiskup Rotherham, bez wątpienia biskup Morton oraz prawdopodobnie baron Stanley.

— Mąż Małgorzaty Beaufort?

Potakuję skinieniem. To dla nas naprawdę zła wiadomość, jako że baron Stanley jest znany z opowiadania się po zwycięskiej stronie. Skoro teraz jest przeciwko nam, nie mamy wielkich szans na zwycięstwo.

— Nie chcę dopuścić do koronacji chłopca i tego, abym był mu głównym doradcą. Pragną, żeby pozostał w ich pieczy, nie mojej. Zamierzają mi go odebrać, przywrócić władzę Riversów, a mnie aresztować za zdradę. Potem koronują Edwarda albo wyznaczają Antoniego Woodville'a na regenta i lorda protektora. Mój bratanek stał się pionkiem, przem, który trzeba zdobyć.

Kręcę głową z niedowierzania.

— Co poczniesz?

Ryszard uśmiecha się smętnie.

— Jak to co? Wtrącę ich do lochu za zdradę stanu. Spiskowanie przeciwko lordowi protektorowi to zdrada równa zdradzie panującego króla. Już teraz mam w swym ręku barona Rivers i jego siostrzeńca. Wystarczy, że pojnę jeszcze biskupów i Stanleya.

Rozlega się pukanie do drzwi i do środka wchodzi moje dworki, a za nimi służący niosący skrzynie z moimi rzeczami.

— Nie tutaj — rzuca krótko Ryszard. — J e książęca mość i ja zajmiemy komnaty na tyłach.

Wszyscy wycofują się, kłaniając w pas.

— Dlaczego nie nasze zwykłe komnaty? — pytam. Zazwyczaj zajmujemy bowiem cudne apartamenty z widokiem na rzekę.

— Na tyłach jest bezpieczniej — odpowiada mój mąż. — Brat królowej wysłał flotę w morze. Jeśli pojawi się od strony Tamizy i rozpocznie bombardowanie, unikniemy najgorszych skutków ostrzału. Nasza siedziba nigdy nie została ufortyfikowana, nikt się nie spodziewał ataku rodzimej floty od strony rzeki.

Zerkam za okna na ulubiony widok — na barki, szalandy i promy, i małe łódeczki z parą wiosł, które wszystkie suną spokojnie po wodach Tamizy.

— Brat królowej może przypuścić na nas atak? Od strony Tamizy? Na naszą siedzibę?

Ryszard kiwa głową twierdząco.

— Nastał czas cudów — rzecze. — Budząc się co dzień rano, zastanawiam się, co nowego przygotowała dla nas ta diablica.

— Kogo mamy po swojej stronie? — Takie pytanie zadawał zawsze papa.

— Buckingham okazał się lojalnym stronnikiem; nienawidzi żony, którą mu wmuszono, i wszystkich Riversów. Stoi za nim spora fortuna i niemała armia. Naturalnie mogę także liczyć na wszystkich moich ludzi z północy: Johna Howarda, krewnych pani matki i twoich krewniaków, a zatem praktycznie całą rodzinę Neville'ów.

Przysłuchuję się z wielką uwagą.

— To za mało — stwierdzam. — W dodatku większość sił stacjonuje z dala od Londynu. Ona ma na swoje skinienie wszystkich dworzan, krewnych i powinowatych, których pousadzała na ważnych urządach. Może się odwołać do pomocy Burgundii i reszty rodziny na kontynencie. Kto wie, czy nie zawarła już sojuszu z królem Francji? Francuski król poprze raczej ją niż ciebie, choćby po to, aby przysporzyć Anglii problemów z niewiastą u władzy. Poza tym Szkoci powstaną, jak tylko dotrze do nich wieść, że przebywasz w Londynie.

— Wiem — zgadza się ze mną Ryszard. — Jednakże mam pewien atut. Księżę Walii wciąż pozostaje w moim ręku. Pamiętasz, jak to było w wypadku króla Henryka? Ten, kto miał króla, był górą.

— Chyba że koronuje innego króla — przypominam mu. — To właśnie uczynił papa z twoim bratem. Przetrzyzymał Henryka, ale koronował Edwarda. Co będzie, jeśli Elżbieta usadzi na tronie swego młodszego syna? Mimo że ty przetrzymujesz prawowitą następcę tronu...

— O tym też pomyślałem — uspokaja mnie Ryszard. — Dlatego muszę dostać w swe ręce również jej młodszego syna. I każdego, kto ma jakiegokolwiek prawo do korony.

Księżna Cecylia i ja siedzimy w jednej z tylnych komnat zamku Baynarda, dotrzymując sobie wzajemnie towarzystwa. Uporczywy hałas uliczny wdiera się przez otwarte okna, na falach upalnego powietrza

dociera do nas smród miasta, jednakże stosujemy się do poleceń Ryszarda i unikamy zacienionych ogrodów schodzących nad samą rzekę, a nawet okien z widokiem na wodę. Nie wolno nam opuszczać domu bez zbrojnej eskorty. Ryszard nie ma pewności, czy nie wynajęto skrytobójców, którzy teraz czują na nasze życie. Jego matka zmizerniała ze zgryzoty, w dłoni trzyma robótkę, lecz stawia ściegi tylko od czasu do czasu, opuszczając tamborek na kolana, ilekroć zza okna dobiegnie głośniejszy hałas.

— Na Boga, dlaczego po prostu nie każe jej ściąć? — pyta nagle.  
— Jej i tych jej bękartów?

Milczę. Słowa księżnej Cecylii tak się pokrywają z moimi własnymi myślami, że nie śmiem choćby potaknąć.

— Nie było ani jednego spokojnego dnia, odkąd rzuciła czar na mego syna Edwarda — kontynuuje księżna Cecylia. — To przez nią utraciłam miłość twego ojca i szansę na godne małżeństwo, dzięki któremu między Anglią i Francją zapanowałby pokój. Ugodził w honor własnej rodziny, płodząc z nią plugawe potomstwo, nie myśląc o dniu, w którym ona spróbuje usadzić na tronie jednego ze swoich podmieńców. To ona kazała mi pozbyć się Jerzego, wiem to na pewno, byłam przy ich rozmowie. Edward nigdy nie wydałby wyroku śmierci na swego brata. To jej szpiedzy zamordowali ci siostrę i siostrzeńca. A teraz ta czarownica planuje zamach na mego ostatniego syna, Ryszarda. Jeśli i on straci życie przez jej czary, pozostanę bez żyjącego potomka.

Kiwam głową. Nie mam odwagi dobyć głosu.

— Ryszard słabuje — mamrocze księżna Cecylia. — Klnę się, że to jej sprawka. Mówi mi, że czuje ból w ramieniu i źle sypia. A co będzie, jeśli zaciska sznur wokół jego serca? Powinniśmy ją przestrzec, że jeśli Ryszardowi spadnie choć włos z głowy, zabijemy jej syna.

— Elżbieta ma dwóch synów — odzywam się. — To daje jej dwie szanse na koronę. Zabijając księcia Edwarda, otworzylibyśmy drogę do tronu księciu Ryszardowi.

Księżna Cecylia rzuca mi zdumione spojrzenie. Nie spodziewała się po mnie tak bezlitosnych słów. Nie wie jednak, że patrzyłam, jak moja siostra wije się z bólu, usiłując wydać na świat dziecko podczas wywołanego czarami sztormu, i musiałam się pogodzić z tym, że umarła od trucizny zadanej ręką czarownicy. Jeśli kiedykolwiek miałam miękkie serce, zostało po wielekroć złamane. Poza tym mam syna, którego muszę bronić

za wszelką cenę, mam jego kuzynów. Mam męża, który przemierza tam i z powrotem komnatę sypialną nocną porą, łapiąc się za prawe ramię z bólu nie pozwalającego mu zmrużyć oka.

— Ryszard musi odebrać jej drugiego syna — rzecze księżna Cecylia.  
— Musimy mieć ich obu.

Tego wieczora Ryszard zjawia się później niż zwykle i zamyślony wita matkę i mnie. Udajemy się do wielkiej sali na wieczerzę, gdzie domownicy wstają i wiwatują na jego widok, co kwituje posępną miną. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, czujemy się niczym w trakcie oblężenia. Gdy podpira się o ławę, aby wejść po stopniach na podwyższenie, prawe ramię nie utrzymuje ciężaru całego ciała i Ryszard zatacza się, chwytając za bark.

— Co się stało? — szepczę.

— Moje ramię — odpowiada. — Tracę w nim siły. To jej sprawka. Czuję to.

Ukrywam starannie swój strach i uśmiecham się promiennie na użytek stołowników. Są wśród nich ludzie, którzy doniosą królowej chowającej się w cieniach katakumb opactwa westminsterskiego. Powiedzą jej, że przeciwnik Riversów traci siły. Elżbieta jest tuż-tuż, nieopodal, kawałek drogi w dół rzeki. Prawie czuję jej obecność w naszej wielkiej sali, lodowaty oddech śmierci.

Ryszard zanurza palce w srebrnej misie z wodą, którą służący podsuwa mu w przykłęku, po czym wyciera dłonie w czysty lniany ręcznik. Podstolowie zaczynają wnosić dania z kuchni i obnosić je po wielkiej sali.

— Zły dzień — mówi do mnie Ryszard. Siedząca po jego drugiej stronie księżna Cecylia nachyla się, aby lepiej słyszeć. — Zdobyłem dowód na spisek, który podejrzewałem, zawiązany między Hastingsem i królową wdową. Ta jego kochanica, Jane Shore, służyła za pośrednika. Morton też był w tym umoczony. Oskarżyłem ich w komnacie rady i kazałem pojmać.

— Brawo — chwali go matka.

— Wytoczysz im proces? — pytam.

Ryszard potrząsa głową.

— Nie — odpowiada krótko. — Nie ma na to czasu. Takie są koleje wojny. Hastings został już ścięty w Tower. Morton dostanie się pod skrzy-

dla Henryka Stafforda, księcia Buckingham. Na Rotherhama i Stanleya będę miał oko osobiście. Rozkazałem już rewizję w ich domach, zostaną ścięci, jeśli znajdę jakikolwiek dowód na to, że spiskowali przeciwko mnie.

Nie odzywam się ani słowem, gdy służący serwuje nam potrawkę z drobiu. Kiedy przechodzi z tacą dalej, szepczę:

— Ścięty? Wilhelm Hastings? I to bez procesu? Ot, tak?

Księżna Cecylia posyła mi miazdzące spojrzenie.

— Ot, tak! — p o w t a r z a . — Dlaczego by nie? Może sądzisz, że królowa domagała się uczciwego procesu dla mego syna? Uważasz, że Jerzy miał uczciwy proces, kiedy zażądała jego głowy?

— Nie — odpowiadam, przyznając rację jej słowom.

— Cóż... tak czy owak, stało się — rzecze Ryszard, przełamując bochenek białego chleba. — Nie mogłem koronować chłopca na króla, kiedy Hastings knuł za moimi plecami z królową. Jak tylko by poczuł koronę na skroniach, zażądałby własnych doradców, co skończyłoby się odsunięciem mnie od niego i podłożeniem mu do podpisania mojego wyroku śmierci. Który by podpisał, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ilekroć z nim rozmawiam, czuję, że został przez nich całkowicie przekabacony. Teraz muszę jeszcze ściąć brata i syna królowej oraz Thomasa Vaughana, ich krewniaka. Ci trzej odebraliby mi władzę nad księciem. Gdy zginą, nareszcie poczuję się bezpiecznie. — Widząc, że jestem wstrząśnięta, dodaje: — Tylko wtedy będę mógł go koronować bez obaw. Gdy już zniszczę popleczników jego matki. Edward zostanie królem, a ja jego jedynym doradcą. Po śmierci tych trzech przyjdzie mi stawiać czoło wyłącznie jej. Spisek zostanie zduszony w zalążku.

— Będziesz brodził w krwi niewinnych ludzi — zauważam głucho.

Ryszard bez wahania patrzy mi prosto w oczy.

— Po to, by oczyścić mu drogę do tronu. Po to, aby mógł być dobrym królem, a nie marionetką w ich rękach. Owszem, Anno, będzie, jak mówisz.

W mrokach katakumb królowa wdowa rzuca na nas zaklęcia i szepcze inkantacje przeciwko nam. Wiem, że to robi. Niemalże czuję, jak jej złe myśli napierają niczym rzeczna mgła na zabezpieczone okna tylnych komnat zamku Baynarda. Dochodzą mnie wieści, że królowa

wdowa oddała swego drugiego syna pod opiekę kardynała Bourchiera. Kardynał złożył jej przysięgę, że chłopcu nie stanie się krzywda, i zabrał od niej Ryszarda Shrewsbury do jego starszego brata Edwarda zajmującego królewskie apartamenty w Tower, gdzie trwają przygotowania do koronacji.

Nie potrafię uwierzyć, że to wszystko się dzieje. Nawet jeśli zatrzymamy obydwóch chłopców pod naszymi skrzydłami, nawet jeśli zabierzemy ich do zamku w Middleham i będziemy traktowali jak własne dzieci, książę Walii nie jest zwykłym dzieckiem. Nie może być traktowany jak zwykły podopieczny. To dwunastolatek, który był przygotowywany do bycia królem. Przepada za swoją matką i nigdy jej nie zdradzi. Wychowywał go i uczył Antoni Woodville, nigdy więc nie przeniesie uczuć, które żywi do wuja, na nas, my jesteśmy mu całkiem obcy, być może nawet uważa, że wrodzy. Trzymali go w swych szponach od niemowlęctwa, jest do szpiku ich i nic tego teraz nie zmieni. Ta czarownica zdobyła go dla siebie, tak jak wcześniej zdobyła swego męża, odbierając go braciom. Ryszard zamierza koronować chłopca, który dorósłszy, stanie się jego najzagorzalszym wrogiem — bez względu na łagodne traktowanie, jakim chcielibyśmy go obdarzyć. Ryszard zamierza uczynić Elżbietę Woodville królową matką. To ona przejmie tytuł po papie i będzie się zwać Twórczynią Królów. Mam absolutną pewność, że robi to, co zawsze robił papa: nieśpiesznie wyeliminuje wszystkich przeciwników po kolei.

— Co innego mogę zrobić? — Ryszard domaga się ode mnie odpowiedzi. — Co innego poza koronowaniem chłopca, którego wychowano tak, aby żywił do mnie nienawiść? Jest synem mego brata, jest moim bratankiem. Nawet jeśli w moim odczuciu jest mi wrogi, co mogę uczynić, nie plamiąc swego honoru?

Księżna Cecylia siedząca przy kominku podnosi głowę i nadstawia ucha. Czuję na sobie spojrzenie jej ciemnoniebieskich oczu. To niewiasta, która stała na rynku w Ludlow, czekając, aż za bramy wdrze się nieposkromiona armia złej królowej. Nie ktoś, kto łatwo ulega strachowi. Skinieniem głowy daje mi znak, że mam jej przyzwolenie, aby powiedzieć to, co samo się nasuwa na usta; oczywistość.

— Powinieneś sięgnąć po koronę.

Ryszard spogląda na mnie. Jego matka uśmiecha się i odkłada na bok robotkę. Od wielu dni nie pojawił się na niej równy ścieg.



— Pójdź w ślady brata — kontynuuję. — Edward odebrał koronę Henrykowi w walce, i to dwukrotnie, choć Henryk miał o wiele silniejsze prawa do tronu niż chłopiec Riversów. Który ani nie był koronowany, ani namaszczoney. Jest tylko pretendentem do tronu, podobnie jak ty. Co z tego, że jest synem króla, skoro to nadal tylko dziecko. Być może z nieprawego łoża. Jeden z wielu bękartów. Ty zaś jesteś bratem króla, do tego mężczyzną mogącym ująć ster władzy w ręce. Odbierz mu tron. To najlepsze, co może spotkać Anglię, co może spotkać naszą rodzinę, co może spotkać ciebie. — Czuję nagle, jak wzbiera we mnie ambicja, ojcowska ambicja: mimo wszystko będę królową Anglii!

— Edward wyznaczył mnie na lorda protektora, nie swego następcę — zauważa sucho Ryszard.

— Edward nigdy nie poznał się na królowej — mówię z pasją w głosie. — Spoczął w grobie spętany jej urokiem. Padł jej ofiarą.

— A w żyłach tego chłopca nie płynie nawet kropla krwi Yorków — do rozmowy włącza się niespodziewanie księżna Cecylia.

Ryszard unosi rękę, aby jej przerwać.

— Anna nic nie wie...

— Pora, żeby się dowiedziała — rzuca dziarsko staruszka. Odwraca się do mnie. — Edward był żonaty z pewną damą, twoją krewniaczką: Eleonorą Butler. Słyszałaś o niej?

— Była jego... — szukam odpowiedniego słowa — faworytą.

— Nie jakąś tam ladacznicą. Pobrali się po kryjomu — informuje prosto z mostu księżna. — Uciekł się do tego samego sposobu, co w wypadku Elżbiety Woodville. Obiecał małżeństwo, dopełnił ceremonii w obecności pierwszego lepszego klechy...

— No, nie pierwszego lepszego — przerywa jej Ryszard ze swego miejsca, oparty o obramowanie kominka i wpatrzony w ogień. — Ślubu Edwardowi i Eleonorze udzielił sam biskup Stillington.

Jego matka zbywa ten wtręt wzruszeniem ramion.

— W każdym razie odbył się ślub. A w wypadku Elżbiety Woodville prawdopodobnie nie było nawet zwykłego księdza, a jeśli jakiś jednak był, to nikt znany, a być może bez święceń. Zatem małżeństwo Edwarda z Elżbietą Woodville nie było ważne...

— Co takiego? — wpadam jej w słowo. — Pani matko, co ty wygadujesz?

— Spytaj męża — odpowiada. — Ostatecznie biskup Stillington sam to wszystko wyznał, prawda? — zwraca się do Ryszarda. — Milczał, gdy Edward odtrącił Eleonorę, która skończyła w klasztorze. Król sownie wynagrodził go za milczenie. Jednakże widząc, że Riversowie starają się osadzić na tronie tego chłopca, bękarta, hierarcha poszedł po rozum do głowy i wyznał twemu małżonkowi wszystko, co wiedział. Edward był już żonaty, kiedy zawierał sekretny związek z Elżbietą Woodville. Nawet jeśli ślubu udzielił im wyświęcony ksiądz, nawet jeśli odbyła się ceremonia ślubna z prawdziwego zdarzenia, to nadal nic nie znaczy. Edward był żonaty z kim innym. Te dzieci, wszystkie co do jednego, urodziły się z nieprawego łoża. Nie ma żadnej dynastii Riversów. Nie było żadnej królowej Elżbiety. Elżbieta Woodville była zwykłą kochanicą króla, a jej synowie są zwyczajnymi uzurpatorami. Ot co.

Zdumiona kieruję wzrok na Ryszarda.

— Czy to prawda?

Posyła mi udręczone spojrzenie.

— Nie wiem — odpowiada krótko. — Biskup twierdzi, że udzielił ślubu mojemu bratu i Eleonorze Butler w obliczu Boga. Obecnie oboje nie żyją. Edward miał Elżbietę za żonę, a swoich synów za następców tronu. Czyż nie powinienem uszanować jego woli?

— Nie — zaprzecza księżna Cecylia obcesowo. — Szczególnie jeśli jego wola może wyrządzić ci szkody. W żadnym razie nie powinienes koronować bękarta, zamiast samemu sięgnąć po koronę.

Ryszard staje plecami do ognia. Jedną dłońią trzyma bolące ramię.

— Dlaczego nigdy wcześniej o tym nie mówiłaś? Dlaczego usłyszałem o wszystkim dopiero od biskupa Stillingtona?

Księżna Cecylia bierze do ręki robótkę.

— A co miałam mówić? Wszem wobec wiadomo, że jej nienawidzę i że ona nienawidzi mnie. Póki Edward był żyw i nazywał ją żoną, uznając jej dzieci za swoje, póty to, co miałam do powiedzenia, nie uczyniłoby żadnej różnicy. Zresztą czy ktokolwiek inny się odzywał w tej sprawie? Uciszył nawet biskupa, jakże ja mogłam cokolwiek pisać?

Ryszard potrząsa głową.

— Skandaliczne plotki o Edwardzie krążyły, odkąd objął panowanie...

— A o tobie nie krąży ani jedna — podkreśla jego matka. — Sięgnij po koronę dla siebie. W całej Anglii nie znajdzie się człowiek, który by

bronił Elżbiety Woodville i nie był jej krewniakiem albo przekupnym łajdakiem. Wszyscy pozostali ją przejrzeni i wiedzą, że to zwykła kusicielka i czarownica.

— Uczynię z niej swojego wroga na całe życie — zauważa Ryszard.

— Możesz umieścić ją w klasztorze — odpowiada mu matka z uśmiechem, sama niewiele się różniąca od w i e d ź m y . — Niech siedzi na święconej ziemi, w mrocznych katakumbach, i trzyma pod bokiem te swoje córki, będą mogły odprawiać sabat, jeśli zechcą. Pojmij ją i uwięź za grubym murem, tę okrutnicę, która potrafiła tylko się kocić bez końca.

Ryszard przenosi spojrzenie na mnie.

— A co ty o tym sądzisz?

W komnacie panuje idealna cisza, jakby nawet powietrze czekało na moją decyzję. A ja wspominam papę, który zabił swego wspaniałego wierzchowca, a potem sam oddał życie w boju, ażebym mogła zostać królową Anglii. Rozmyślam o Elżbiecie Woodville, która była zmorą moich dni i nemezis mojej siostry.

— Sądzę, że przysługują ci większe prawa do tronu niż jej synowi — oznajmiam głośno. Dodając w myślach: „Sądzę, że mnie przysługują większe prawa do tronu niż jej. Jednak będę, tak jak chciał papa, królową Anglii!”.

Ryszard w dalszym ciągu się waha.

— To poważna sprawa, sięgnąć po koronę.

Podchodzę do niego i ujmuję go za rękę. Wyglądamy teraz tak, jakbyśmy mieli splecione dłonie i odnawiali złożoną sobie przysięgę. Czuję, że się uśmiecham i że na policzkach mam rumieniec. W tej przełomowej chwili, w której decyduje się nasza przyszłość, zaiste jestem nieodrodną córką swego ojca.

— To twoje przeznaczenie — mówię mu głosem dźwięczącym od pewności. — Z racji urodzenia, z racji predyspozycji będziesz najlepszym królem dla Anglii w czasach, które nastały. Zrób to, Ryszardzie. Wykorzystaj swoją szansę. Obojgu nam się należy. Sięgnijmy po koronę, mężu. Sięgnijmy po nią razem.

## TOWER, LONDYN LIPIEC 1483 ROKU



Raz jeszcze znajduję się w królewskich apartamentach w Tower, skąd przez strzeliste okienka wyglądam na księżyc malujący srebrzysty ślad na ciemnych wodach rzeki. Raz jeszcze słyszę ciszę nocy oraz odległe dźwięki muzyki. Nazajutrz ma się odbyć nasza koronacja. Wysłałam z uroczystej uczty wcześniej specjalnie, ażeby pomodlić się i przyjrzeć bystremu nurtowi Tamizy zmierzającej do morza. Wkrótce będę królową Anglii. Raz jeszcze powtarzam szeptem obietnicę złożoną mi po raz pierwszy przez papę. Zostanę królową Anglii... Jutro na moich skroniach spocznie złota korona.

Domyślam się, iż tamta tkwi przy swoim okienku, wyglądając prosto w ciemność poza mury sanktuarium z twarzą skurczoną żałością, i modli się za synów ze świadomością, że obaj trafili w nasze ręce i że żaden nie zostanie królem. Domyślam się, że nas przeklina, wykręca w dłoniach nasączoną krwią szmatkę, odlewa z wosku jakąś figurkę, rozdrabnia w moździerzu zioła i ciska je w płomienie. Całą swą uwagę kieruje na Tower, podobnie jak księżyc tej nocy, który zaznacza na wodzie srebrzysty ślad wiodący prosto ku ich komnacie.

Komnacie chłopców; jej synów. Są tutaj obydwaj, w Tower razem ze mną, piętro wyżej. Gdybym pokonała zaledwie jeden ciąg krętych kamiennych schodów i rozkazała strażnikom odstąpić od drzwi, mogłabym wejść do środka i zobaczyć ich pogrążonych we śnie, przytulonych do siebie: każdego z dziecięcą bladą twarzą opromienioną przez światło księżyca, z długimi ciemnymi rzęsami, z ciepłą małą pierśią, zakrytą białą lnianą koszulką lamowaną koronką, miarowo wznoszącą się i opadającą w spokojnym, ufnym śnie właściwym dla dzieci. Księżę Walii liczy sobie tylko dwanaście lat, ma ledwie meszek na górnej wardze i długie szczu-

płe kończyny upodabniające go do żrebaka. Jego brat niebawem ma obchodzić swoje dziesiąte urodziny, jest rówieśnikiem mego syna. Czy będę w stanie patrzeć na nich i nie myśleć o swoich dzieciach? Zwłaszcza młodszy jest wesołego usposobienia, często uśmiecha się przez sen, jakby pod zamkniętymi powiekami widział zabawne obrazy. Obydwa trafili pod nasze skrzydła, wkroczą w wiek męski jako nasi podopieczni. Będziemy musieli ich przetrzymywać na zamku w Middleham albo w Sheriff Hutton, w którejś z naszych północnych siedzib, gdzie mamy ludzi zaufanych dostatecznie, by powierzyć im ścisłą opiekę nad książętami. Wiem, że nie możemy ich nigdy wypuścić z rąk. Pod naszym oknem przeistoczą się z dzieci w więźniów. Nigdy ich nie wypuścimy.

Albowiem zawsze będą nam zagrażać. Będą ogniskiem niezadowolenia, wszystkich tych, którzy zechcą podważyć nasze panowanie. Elżbieta Woodville spędzi resztę życia na próbach odebrania nam swoich synów i osadzenia jednego z nich na tronie. Największe niebezpieczeństwo będzie czyhało na nas pod naszym własnym dachem. Ojciec tych chłopców, świętej pamięci król Edward, nigdy by nie pozwolił, aby wisiał nad nim podobny miecz Damoklesa. Ani papa. Po tym jak mój ojciec raz schwytał króla Edwarda, ten zaś wymknął mu się i jakby nigdy nie wrócił do pałacu, papa stwierdził, że następnym razem będzie musiał go nie tylko pojmać, ale i zabić. Edward był pojętym uczniem. Gdy miał w ręku starego króla Henryka, utrzymywał go przy życiu dopóty, dopóki po świecie chodził następca tronu z dynastii Lancasterów. Śmierć mego pierwszego męża, księcia Edwarda, była równoznaczna z wyrokiem śmierci na jego ojca. Jak tylko Edward zrozumiał, że może raz na zawsze wyplenić dynastię Lancasterów, uczynił to bez wahania pierwszej nocy: zamordował śpiącego króla przy pomocy swych braci, Jerzego i Ryszarda. We trzech dopuścili się królobójstwa. Zrozumieli bowiem, że król Henryk żyw zawsze będzie im zagrażał, skupiając wokół siebie buntowników. Martwy mógł być co najwyżej opłakiwany. Mam absolutną pewność, że Edward Woodville żyw stanowi dla nas zagrożenie. Tak naprawdę obydwóch trzeba by wysłać na tamten świat. Wyłącznie mojej łagodnej naturze i szczerzej miłości Ryszarda do brata zawdzięczają to, że żyją. Jestem pewna, że ani mój ojciec, ani mój swak nie okazaliby takiej słabości.

Opatulałam się futrem szczelniej, choć noc jest ciepła; bryza dolatująca przez otwarte okno ciągnie rzeczonym chłodem. Wyobrażam sobie, że moja

siostra wybuchnęłyby śmiechem na widok mnie w gronostajach Elżbiety Woodville — tych samych, które niegdyś przełożyła do swojej skrzyni, a potem musiała zwrócić właścicielce. Izabela cieszyłaby się z naszego tryumfu. Koniec końców zwyciężyliśmy. Kiedyś w tym samym miejscu jako mała dziewczynka bawiłam się w królową w dzień koronacji Elżbiety Woodville; jutro sama włożę jej koronę.

Wątpliwości wysunięte przez panią matkę nie mają już dla mnie żadnego znaczenia. Bez względu na to, jak zostało zawarte moje małżeństwo, nazajutrz zostanę namaszczona krzyżem przez arcybiskupa. Włożę koronę Anglii i nareszcie zaznam spokoju. Ryszard uczynił mnie swą żoną w obliczu Boga, a teraz uczyni mnie swą królową w obliczu poddanych. Nie muszę się więcej zastanawiać, czy mnie kocha. Kiedyś obdarował mnie pierścieniem podczas skromnej ceremonii ślubnej, a jutro w trakcie szumnej uroczystości podaruje mi koronę. Tak jak pragnął papa, odtąd będę się podpisywać: Anna Regina.

Zrzucam z ramion futro, jakby było pozbawione jakiegokolwiek wartości. Moja garderoba pęka w szwach od futer, ze skarbczyka wysypują się drogocenne klejnoty, co roku będę dostawać fortunę na pokrycie wydatków mego dworu, jak wypada królowej. Będę wiodła wspaniały żywot, będę nosiła suknie Elżbiety Woodville skrojone na moją miarę. Wślizguję się między zagrzaną jedwabną pościel wielkiego łóża z baldachimem ciężkim od złotogłowiu i czerwonych aksamitnych zasłon. Od tej pory wszystko, na co spojrzę, będzie przedniej jakości. Od tej pory będą mnie otaczać luksusy. Urodziłam się córką Twórcy Królów, którego plany i marzenia nareszcie się spełniły. Po śmierci mego męża nasz syn Edward, wnuk Twórcy Królów, zasiądzie na tronie i w Anglii zapanuje dynastia Warwicków.

## LETNI OBJAZD KRÓLESTWA LATO 1483 ROKU



Wiwaty, jakimi jesteśmy witani na każdym postoju, utwierdzają nas w przekonaniu, że postąpiliśmy słusznie, że podjęliśmy właściwą decyzję. Poddani nieomal szaleją z radości na myśl, że wojna została zażegnana i że król Ryszard zaprowadził w kraju pokój. Mój mąż zgromadził wokół siebie osoby, którym ufa. Henryk Stafford ksiązę Buckingham zostawił w domu swoją żonę i jako lord wielki szambelan poprowadził Ryszarda do wnętrza katedry. John Howard, który odzyskał dla nas flotę uprowadzoną przez Riversów, zostaje pierwszym księciem Norfolk i w nagrodę może zatrzymać okręty jako lord wielki admirał. Mój krewniak hrabia Northumberlandii otrzymuje namiestnictwo północy kraju na równy rok. Podróżujemy tylko z lekką eskortą, pewni, że nie ma w Anglii człowieka, który nie byłby nam przychylny. Nasi wrogowie albo padli trupem, albo ukryli się za murami sanktuariów. Synowie Elżbiety Woodville nadal przebywają w Tower. W każdym kolejnym mieście, w jakim się zatrzymujemy — czy jest to Reading, Oksford czy Gloucester — czekają na nas żywe obrazy i uroczystości wyprawione na naszą cześć, zaświadczające o lojalności wasali i poddanych.

Riversowie byli tak znienawidzeni, że lud przyjąłby z otwartymi ramionami praktycznie każdego silnego władcę zamiast chłopca, którego krewni rozszarpaliby Anglię. A tutaj na dodatek koronę włożył Plantagenet: mój mąż, który pod każdym względem przypomina swego imiennika i ojca; którego brat wyzwolił kraj spod panowania śpiącego króla i złej królowej; i który teraz wzorem poprzedników ocala nas wszystkich przed jeszcze jedną nazbyt ambitną niewiastą.

Nikt nawet nie pyta o książęta, których zostawiliśmy w Tower w Londynie. Nikt nie pamięta ani o nich, ani o ich matce, która nadal ukrywa się w katakumbach opactwa. Jest tak, jakby wszyscy chcieli zapomnieć o miesiącach niepewności i strachu, o tygodniach, w których ważyły się losy Anglii. Ten czas przeminął. Obecnie mój mąż jest prawowitym władcą, królem koronowanym w obliczu Boga i ludzi. I we dwoje objeżdżamy królestwo w szczycie lata, zatrzymując się na popas w cieniu drzew, gdy robi się zbyt upalnie, i przekraczając granice jednego miasta za drugim, wszędzie ciesząc się renomą zbawców.

Tylko jeden człowiek wymienia imiona chłopców przetrzymywanych w głębi Tower i dopytujących o matkę, która przebywa zaledwie parę mil w górę rzeki — Robert Brackenbury, mianowany mincerzem królewskim i komendantem Tower, na którym spoczywa odpowiedzialność za nich. Zwraca się do mnie w typowy dla mieszkańców hrabstwa Yorkshire sposób:

— Co będzie z bękartami Riversów, wasza królewska mość? Skoro już znaleźli się w naszych rękach i w mojej pieczy?

Robert Brackenbury to uczciwy człowiek, ufam mu bezgranicznie. Ujmuję go pod ramię podczas przechadzki po dziedzińcu jednego z kolegów w Oksfordzie.

— Nie mają przed sobą przyszłości — mówię. — A n i jako mężczyźni, ani jako książęta. Będziemy ich musieli wiecznie przetrzymywać. Miłoścywi pan wie równie dobrze jak ja, że póki oni żyją, póty nie możemy czuć się w pełni bezpiecznie. Wystarczy sam fakt ich istnienia. Będą nam zagrażać do końca swoich dni.

Brackenbury przystaje i odwraca się, wbijając we mnie szczere spojrzenie.

— Niech Bóg ma cię w swojej opiece, najjaśniejsza pani, ale czy życzysz sobie ich śmierci? — pyta wprost.

Potrząsam głową mocno wstrząśnięta.

— Nie mogę im życzyć śmierci — odpowiadam. — Nie mogę życzyć śmierci dwóm chłopcom, dwóm niewinnym chłopcom...

— Ha, miękkie serce u najjaśniejszej pani.

— Nie mogę im życzyć śmierci, lecz jeśli się zastanowić, jakie życie ich czeka? Po kres swoich dni będą więźniami. Nawet gdyby rzekli się swoich praw do tronu, znajdzie się ktoś, kto upomni się za nich. Czy więc może być mowa o bezpieczeństwie dla nas?



Udajemy się do Yorku, gdzie nasz syn — ksiązę Edward, jak teraz jest nazywany — otrzyma inwestyturę na księstwo Walii. Jest to ukłon w stronę miasta, które nigdy się nie odwróciło od Ryszarda i w którym jest najbardziej umiłowany. W miejskich murach spotyka nas powitanie wspanialsze od wszystkiego, co widzieliśmy przedtem. We wnętrzu wysoko sklepionej archikatedry Edward zmierza nawa odprowadzany wzrokiem przez swych kuzynów i przy ołtarzu ujmuje w dłonie złote berło i złoty otok księcia Walii. Wiwaty, które rozbrzmiewają, gdy wychodzi na zewnątrz pozdrowić czekające tłumy, posyłają chmury ptaków w niebo. Czynię znak krzyża i szeptem dziękuję Bogu. Wiem, że papa spogląda z niebios na swego wnuka i oddycha z ulgą, widząc, że jego walka narreszcie dobiegła kresu i zakończyła się zwycięstwem. Twórca Królów doczekał się następcy tronu w rodzinie. Na tronie Anglii w przyszłości zasiądzie Warwick.

Zamierzamy jakiś czas spędzić na północy, która na zawsze pozostanie naszym domem, miejscem, gdzie czujemy się najszczęśliwi. Przebudujemy pałac w Sheriff Hutton i tam zamieszkają dzieci, bezpieczne — mam nadzieję — z dala od niezdrowego powietrza stolicy, z dala od rozpamiętującej ostatnie wypadki królowej wdowy tkwiącej wciąż w zawilgoconych katakumbach opactwa westminsterskiego. To będzie nasza główna siedziba w północnej Anglii, nie gorsza od Windsoru czy Greenwich, skąd na naszych zwolenników i przyjaciół będą się rozlewać zaszczyty i bogactwa, umacniając zadzierzgnięte więzi. Północ rozkwitnie i będzie mogła śmiało konkurować z resztą kraju, a jej miasta w niczym nie będą ustępowały Londynowi. Serce Anglii zacznie bić tutaj, pośród zielonych wzgórz bliskich królowi i królowej, którzy wywodzą się z tych ziem i darzą je ciepłym uczuciem.

Tymczasem jadę z trojgiem dzieci do Middleham. Podróż upływa nam miło, jak gdybyśmy wybrali się na krótką przejażdżkę dla przyjemności. Spędzę w Middleham resztę lata — jako królowa Anglii w domowych pieleszach i pani własnego czasu. Zimą przeniesiemy się wszyscy do Londynu, gdzie wraz z dziećmi zamieszkam w Greenwich. Edwardem zajmą się nowi nauczyciele, w tym jazdy konnej i szermierki, gdyż musi nabrać sił — jak dotąd wciąż jest słabowitym chłopcem, a musi się zacząć

szkować do roli króla. Za parę lat wyślemy go do Ludlow, gdzie będzie przewodził własnej radzie i władał Walią.

Gdy skręcamy na trakt wiodący prosto do Middleham, Ryszard żegna się z nami i kontynuuje podróż na południe w otoczeniu niewielkiej eskorty, pośród której znajdują się jego oddani przyjaciele: James Tyrrell, od niedawna mistrz paziów, Francis Lovell, Robert Brackenbury i inni. Ryszard całuje dzieci na pożegnanie i udziela im ojcowskiego błogosławieństwa. Mnie bierze w ramiona i szepcze, że powinnam do niego dołączyć, jak tylko skończy się lato. Czuję ogarniającą mnie falę miłości do niego. Oto jesteśmy nareszcie zwycięscy, Pan Bóg patrzy na nas przychylnie. Ryszard zapewnił mi koronę, do której się urodziłam, a ja dałam mu upragnionego syna i dziedzica. Wspólnie urzeczywistniliśmy ambicje papy, Twórcy Królów. To prawdziwy triumf.

W drodze na południe Ryszard wysłał do mnie napisany w pośpiechu list.

*Anno,*

*Riversowie niczym rozjuszony wąż są jeszcze niebezpieczniejsi niż przedtem. Przypuścili atak na Tower z zamiarem uwolnienia chłopców i ledwie zostali odepchnięci dzięki zacieklej obronie. Nie został nam w ręku żaden winowajca, wszyscy rozwiali się jak dym. Anno, powiadam Ci, kazałem ją bardzo dobrze pilnować, nie sądziłem, że ktokolwiek się do niej prześlizgnie, a tymczasem proszę, udało się jej zgromadzić całkiem spory oddział przeciwko nam. Jej ludzie pozbawieni liberii i emblematów pojawili się i zniknęli na podobieństwo duchów; nikt nie wie, gdzie się podzieli. Ktoś musiał zebrać ich do kupy i opłacić — pytanie, kto to był.*

*Dzięki Bogu, chłopcy są nadal w naszym ręku. Dla pewności kazałem ich przenieść do wewnętrznych komnat Tower. Niemniej nie posiadam się ze zdumienia. Cóż za moc ma ta niewiasta! Potrafi się przyczaić, po czym niespodzianie uderzyć. Ilu ma zwolenników? Czy ci, którzy wiwatowali na naszej koronacji, udostępnili jej swoich ludzi i broń? Czuję się zdradzony, sam już nie wiem, komu mogę ufać. Koniecznie spal ten list.*

— Czy coś się stało, pani matko? — Małgorzata staje przy mnie, przypatrując mi się bacznie granatowymi oczyma. Obejmuję ją ramieniem, a ona, ciepła i taka miękka, poddaje się memu dotykowi i przywiera do

mnie ciałem. Nawzajem czerpiemy z siebie otuchę w tej chwili niepewności. — Złe wieści? Chyba nie dotyczą najjaśniejszego pana?

— Najjaśniejszy pan ma wiele zmartwień — mówię, rozmyślając o podstępnej niewieście, która teraz ukrywa się w mrocznych katakumbach, a w przeszłości uczyniła tę dziewczynkę sierotą. — Ma wielu wrogów. Jednakże jest silny i odważny i stoją za nim murem przyjaciele, którzy wesprą go w walce ze złą królową i tak zwanymi książętami, jej bękartami.

## ZAMEK W MIDDLEHAM, HRABSTWO YORKSHIRE PAŹDZIERNIK 1483 ROKU



W rozmowie z Małgorzatą markuję pewność siebie, która jak się okazuje, jest bezpodstawna. Mój mąż ma mniej przyjaciół, niż myślałam... niż on myślał.

Kilka dni później do moich rąk dociera nabazgrana wiadomość:

*Księżę Buckingham to najfałszywszy przyjaciel, najpodstępniejszy zdrajca, najniewierniejsza istota, jaka chodziła po ziemi.*

Opuszczam rękę z listem, bojąc się czytać dalej.

*Sprzymierzył się z dwiema podszytymi złem niewiastami, z których jedna jest warta drugiej. Elżbieta Woodville zwabiła go urokiem na swą stronę i zawarła pakt z tą wiedźmą Małgorzatą Beaufort, która niosła Twój tren na koronacji i okazywała Ci zawsze tyle dobroci i serca, żoną mego przyjaciela, spolegliwego barona Stanleya, któremu uczynił lordem wielkim szambelanem.*

*Wszystko to zdrajcy i szarlatani.*

*Małgorzata Beaufort zaręczyła swego syna, Henryka Tudora, z najstarszą Riversówną Elżbietą i teraz hurmem zbroją się przeciwko nam, nakłaniają młodego Tudora do postawienia żagli i odbicia od brzegów Bretanii. Henryk Stafford księżę Buckingham, jedyny człowiek, któremu niedawno powierzyłbym swoje życie, zmienił barwy i przeszedł na ich stronę. Obecnie gromadzi siły w Walii, przymierzając się do ataku na Anglię. Bezwłocznie wyruszę do Leicester.*

*Najgorsze zaś — wyobraź sobie: gorsze jeszcze od tego, co Ci przed chwilą napisałem — jest to, że księżę Buckingham rozgłasza śmierć książąt, którzy jakoby zginęli z mojej ręki. To oznacza, że Riversowie za wszelką cenę będą chcieli doprowadzić do osadzenia na tronie Tudora i księżniczki Elżbiety. To oznacza, że cały kraj — i historia — okrzyknie mnie mordercą, zabójcą niewinątek, tyranem, który zwrócił się przeciwko synowcowi i odebrał mu życie. Nie mogę pozwolić, aby coś takiego zaległo plamą na moim honorze. Takiej plamy, jeśli przylgnie na dobre, nie wywabi nikt ani nic. Módl się za mnie i za naszą sprawę.*

*Twój Ryszard.*

Czynię, o co prosisz. Nie mówiąc nikomu ani słowa, udaję się prosto do kaplicy, gdzie opadam na klęczki i zadartszy głowę, spoglądam na krucyfik wiszący nad ołtarzem. Nie mrugam przy tym, jak gdybym chciała odegnać sprzed oczu wspomnienie listu, dzięki któremu poznałam prawdę o naszych tak zwanych przyjaciółach: przystojnym i czarującym księciu Buckingham, wiecznym zwycięzcy baronie Stanleyu, jego żonie Małgorzacie, która tak miło mnie powitała, gdy przyjechałam do Londynu, i osobiście zawiodła do pałacowej garderoby, by pomóc mi w wyborze sukni koronacyjnej. Wszyscy oni okazali się zdrajcami. Nawet biskup Morton, którego szczerze kochałam i podziwiałam od wielu lat. Wszelako najbardziej uwiera mnie jedno zdanie z listu, które dźwięczy mi w uszach, nawet gdy raz po raz mamrocze Ave Maria, aby je zagłuszyć. „Księżę Buckingham rozgłasza śmierć książąt, którzy jakoby zginęli z mojej ręki”.

Gdy wstaję z klęczek, panują ciemności, choć porajak to jesienią wcale nie jest późna. Czuję chłód do szpiku, gdy w kaplicy zaczyna się krzątać ksiądz, za którym pojawiają się domownicy na kompletę. Skłaniam głowę, kiedy duchowny mnie mija, jednakże zaraz opuszczam kaplicę, wychodząc prosto w zimne wieczorne powietrze. Puszczyk przelatuje mi nisko nad głową z pohukiwaniem, a ja odskakuję, jakby napastował mnie duch, jakbym dostała przestrożę od czarownicy, która gromadzi siły przeciwko nam.

„Księżę Buckingham rozgłasza śmierć książąt, którzy jakoby zginęli z mojej ręki”.

Sądziłam, że jeśli zabraknie książąt, nikt nie będzie mógł uzurpować sobie prawa do tronu i mój mąż będzie panował niepodzielnie przez długi

czas, po nim zaś koronę włoży mój syn, gdy Pan Bóg uzna za stosowne wezwać nas do siebie. Teraz rozumiem, że każdy może być Twórcą Królów. Tron nigdy nie stoi pusty, zawsze znajdzie się jakiś pretendent. Jak tylko rozejdzie się wieść, że ten, kto nosił koronę, szczerł, zewsząd wyskakują kolejni książęta, których nie sposób się pozbyć, tak jak nie można się pozbyć chwastów z pola.

„Książę Buckingham rozgłasza śmierć książąt, którzy jakoby zginęli z mojej ręki”.

Jeszcze jeden młodzieniec, zwący się następcą tronu, pojawia się znikąd. Henryk Tudor, syn Małgorzaty Beaufort z dynastii Lancasterów i Edmunda Tudora, latami przebywający z dala od kraju, w ogóle nie powinien zaprzętać naszych myśli. Nie postawił stopy w Anglii, odkąd matka wysłała go za granicę, aby uchronić przed bazyliżkowym wejściem Yorków. Dopóki Edward IV zasiadał na tronie, dopóty młodzik nawet nie mógł pomarzyć o objęciu panowania, zresztą mój swak i tak byłby go wtrącił do Tower i dopilnował jego śmierci. Dlatego właśnie Małgorzata Beaufort wysłała go hen daleko i z wielką ostrożnością prowadziła rozmowy o możliwym powrocie. Współczułam jej tęsknoty za synem, a ona składała mi wyrazy współczucia, gdy Jerzy przymierzał się do odesłania syna. Sądziłam, że połączyło nas pewne porozumienie. Sądziłam, że jesteśmy przyjaciółkami. Tymczasem ona tylko czekała na sposobną chwilę. Czekwała, aż jej syn będzie mógł wrócić i rzucić wyzwanie królowi Anglii — czy to Edwardowi IV, czy to jego bratu, a mojemu małżonkowi Ryszardowi.

„Książę Buckingham rozgłasza śmierć książąt, którzy jakoby zginęli z mojej ręki”.

A zatem Henryk Tudor upomniał się o tron z ramienia dynastii Lancasterów, jego matka zaś odrzuciła pozory przyjaźni i maskę posłuszeństwa, przeistaczając się w wojowniczkę. Zamierza ni mniej, ni więcej, tylko wypowiedzieć nam wojnę. Podchwyci słowa Buckinghama i zacznie wszystkich przekonywać, że obaj książęta nie żyją i że winę za ich śmierć ponosi Ryszard. Ogłosi, że jedynym prawowitym następcą tronu jest jej syn, i poradzi Anglikom, by pozbyli się tyrana i królobójcy.

Wspinam się mroczną klatką schodową na północną wieżę, na której tyle razy w przeszłości stawałam z Ryszardem w zachodzącym świetle dnia, aby rozmawiać o radości z dzieci, z ziemi, z życia na północy. Lato

się skończyło, jest ciemno i zimno, nad horyzontem wstaje błądy różek księżycyca.

„Książę Buckingham rozgłasza śmierć książąt, którzy jakoby zginęli z mojej ręki”.

Nie wierzę, by mój mąż wydał rozkaz zamordowania swoich bratanków. Nigdy w to nie uwierzę. Czuł się bezpiecznie na tronie, uznał chłopców za dzieci z nieprawego łóża. W czasie letniego objazdu królestwa nikt nawet o nich nie wspominał. Poszli w niepamięć, a nas przyjęto bez zastrzeżeń. Wyłącznie ja, rozmawiając z komendantem Tower, powiedziałam, że choć nie mogę im życzyć śmierci, muszę się z nią liczyć. I tenże komendant Tower, ich strażnik, zauważył, że mam miękkie serce. Ryszard nigdy nie kazałby zabić chłopców, co do tego mam absolutną pewność. Z równą pewnością wiem jednak, że nie jestem jedyną osobą, która miłuje Ryszarda i chce zagwarantować mu bezpieczeństwo. Oczywiście więc nie byłam jedyną osobą, która rozważała śmierć książąt.

Czyżby któryś z naszych wiernych sług zniżył się do tego haniebnego czynu i pozbawił życia śpiące bezbronne dzieci, podczas gdy znajdowały się w naszej pieczy? Czyżby pomyślał, że w ten sposób wyświadczy nam przysługę? Czyżby opacznie zrozumiał moje słowa? Czyżby uznał, że przechadzając się z nim po dziedzińcu oksfordzkiego kolegium, poprosiłam go, aby to uczynił?

**ZAMEK W MIDDLEHAM,  
HRABSTWO YORKSHIRE  
ZIMA 1483 ROKU**



Wyczekujemy wieści. Na szczęście Ryszard pisze do mnie prawie codziennie, domyślając się mego niepokoju. Opowiada mi o gromadzeniu armii — zwykli ludzie ściągają pod jego sztandar, a wielmoże obiecują mu wsparcie w walce z księciem, który niegdyś stal po jego stronie. Przyjaciel Ryszarda z dzieciństwa, Francis Lovell, nie odstępuje jego boku; baron Stanley, którego żona uknuła spisek z Elżbietą Woodville, przyłącza się do niego i przyrzeka lojalność. To moim zdaniem świadczy, że królowa wdowa nie jest w stanie przekabacić uczciwych osób. Udało jej się przeciągnąć na swoją stronę Małgorzatę Beaufort — żywiącą ambicje w imieniu syna i ostrzającą sobie zęby na koronę — jednakże już nie jej męża, który pozostał wierny nam. Nie zapominam, że baron Stanley kieruje się owczym pędem. Wszelako to, że opowiedział się za nami, może pokazywać, iż wróży nam zwycięstwo. Nasz dobry przyjaciel John Howard również nas nie opuszcza — od Ryszarda wiem, że trzyma w ryzach rebeliantów w południowych hrabstwach, Sussex i Kent, zapobiegając pospolitemu ruszeniu przeciwko nam.

W końcu naszą stronę bierze sam Pan Bóg. Tak, Stwórca udziela nam wsparcia. Zsyła na poddanych deszcz, który wymywa z ich głów myśli o zdradzie i wypłukuje gniew z ich serc, padając nieprzerwanie przez wiele dni z rzędu i lodowacząc w powietrzu. Buntownicy w hrabstwie Kent, zamiast ruszać na wojnę, rozchodzą się do domów pilnować ognisk, ci w hrabstwie Sussex, gotowi do wymarszu, przekonują się, że trakty są rozmyte i nigdzie ich nie doprowadzą, natomiast londyńczycy, którym Tamiza podmyła domostwa położone nad rzeką, potrafią myśleć wyłącznie



o podnoszącym się poziomie wód, zagrażającym także Elżbiecie Woodville w sanktuarium, gdzie musi czekać odcięta od wszelkich nowin na temat powstania, ponieważ jej posłańcy utknęli gdzieś po drodze, na traktach przemienionych w bagniska, i jedyne co może, to stopniowo tracić nadzieję.

Pan Bóg zsyła deszcz na Walię, gdzie górskie strumyki — które latem tak cudnie szemrzą, płynąc przez łąki i pastwiska — nabierają wartości i siły, w miarę jak z wyżyn spadają masy szarobrunatnej wody, zamieniając je w rwące potoki i rzeki. Strumienie łączą się z rzeką Severn, której poziom podnosi się coraz bardziej, aż po same brzegi, a w końcu woda przelewa się, rozprzestrzeniając po całej dolinie, odcinając od świata miasteczka, zatapiając wsie i co najlepsze — zatrzymując zdradzieckiego księcia Buckingham w Walii, gdzie szeregi jego ludzi topnieją, jakby były ulepione z cukru, gdzie jego płonne nadzieje gasną, a on sam wymyka się armii, którą miał poprowadzić, po to tylko, by wydał go jakiś służący za niewielką zapłatę.

Pan Bóg zsyła deszcz na Kanał Angielski, wzbudzając sztorm, przez co Henryk Tudor nie może postawić żagli. Och, dobrze wiem, jak to jest: czekać w porcie i wpatrywać się we wzburzone morze. Bezpieczna za suchymi murami położonego w głębi łądu zamku w Middleham śmieje się na myśl o młodym Tudorze stojącym na przystani i modlącym się o poprawę pogody, podczas gdy deszcz pada na jego kasztanową głowę nieprzerwanie, tak że nawet niewiasta, która wedle jego nadziei ma być mu teściową, ta czarownica Elżbieta Woodville, nie może nic dla niego zrobić.

Gdy wiatr cichnie, a fale stają się mniejsze, Henryk Tudor odbija od brzegu, lecz przedłużające się oczekiwanie ostudziło jego zapał i koniec końców flota nie dociera do Anglii. Rzuca spojrzenie na wybrzeże, które ma nadzieję nazywać własnym, i nie znajduje w sobie odwagi, by postawić stopę na mokrym piasku. Refuje przemoknięte żagle i zawraca, pchany porywistym wichrem prosto do Bretanii, skąd nie powinien wychylać nosa, jeśliby zechciał posłuchać mojej rady, i gdzie powinien oddać ducha jak wszyscy wygnani pretendenci przed nim. Z Londynu otrzymuję list od Ryszarda.

***Już po wszystkim. Pozostało tylko wymienić zdrajców z nazwiska i ukarać ich przykładowie. Raduje mnie myśl, że Walia pozostała mi wierna, a południowe hrabstwa nie przyjęły Henryka Tudora z otwartymi ramionami; ani jedno miasto nie otworzyło bram przed siłami rebeliantów, ani jeden baron ni hrabia***

*nie zwrócił się przeciwko mnie. Anglia jest lojalna wobec mnie, zamierzam więc wymierzyć łagodne kary bądź zupełnie od nich odstąpić w wypadku tych, których nakłoniono do wzięcia udziału w tym ostatnim zrywie Riversów i ich nowego, doprawdy błędnie dobranego sojusznika, Henryka Tudora. Po matce młodzieńca, Małgorzacie Beaufort, nikt się nie spodziewa, że zarzuci sprawę swego syna, toteż resztę życia przepędzi w areszcie domowym pod kuratelą swego małżonka, barona Stanleya. Oddałem mu całą jej majątek, co dla takiej zachłannej i ambitnej niewiasty z pewnością okaże się wystarczającą karą. Stanley będzie trzymał ją krótko, odbierając jej sługi i przyjaciół, ba, nawet spowiednika. Złamałem jej sojusz, podobnie jak wcześniej rozproszyłem knowających Riversów.*

*Zatryumfowałem, nawet nie dobywając miecza. Wszakże to nie tylko łatwe zwycięstwo, to również moja zemsta. Nikt w Anglii nie chce powrotu Riversów do władzy, a już na pewno nikt nie chce widzieć na tronie jakiegoś przybłądy, Henryka Tudora. Małgorzata Beaufort i Elżbieta Woodville są postrzegane jako zdesperowane matki, które spiskują ze sobą dla dobra swoich dzieci, nic poza tym. Księżę Buckingham jest powszechnie pogardzany jako zdrajca i fałszywy przyjaciel. W przyszłości będę starannie dobierał sobie przyjaciół. Przyjmij, Anno, że to, co się wydarzyło — kilka ostatnich trudnych tygodni — było częścią naszego dochodzenia do władzy. Prośmy Boga, żeby na tym się skończyło i żebyśmy później mogli wspominać wszystko z rozrzewnieniem.*

*Przybywaj do Londynu, gdzie urządzimy obchody Bożego Narodzenia równie wspaniałe jak za panowania Edwarda i Elżbiety, tyle że ze szczerymi przyjaciółmi i oddanymi sługami.*

## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN LISTOPAD 1483 ROKU



Kiedy szykujemy się do świątecznej uczy — wedle zapowiedzi Ryszarda mającej przebić wszystko, co Londyn widział do tej pory — kiedy goście zaczynają się zjeżdżać do pałacu i zajmować przydzielone im komnaty, zapoznając się z czekającymi ich rozrywkami i ucząc nowych tańców, właśnie wtedy Ryszard odszukuje mnie w pałacowej garderobie, gdzie przeglądam stroje, które należały do poprzednich królowych, teraz zaś są moją własnością. Zamierzam kazać szwaczkom, by popruły dwie staromodne suknie: jedną ze złotogłowi, a drugą w kolorze intensywnej purpury, i przesyły je w nową wedle obowiązującej mody, ze złotym stanem i z purpurowymi rękawami rozciętymi głęboko, aby wyzierało spod nich złoto. Dokoła walają się bele tkanin, futra i aksamity — wszystko przeznaczone na nowe stroje dla mnie i Ryszarda. Mój mąż wydaje się niespokojny, co niespecjalnie mnie dziwi, jako że ostatnimi czasy niepokój to jego drugie imię. Korona mu ciąży, nikomu nie może ufać...

— Możesz to na chwilę zostawić? — pyta, obrzucając powątpiewającym wzrokiem góry drogich materiałów.

— O tak — odpowiadam lekko, unosząc suknię i stąpając ostrożnie pomiędzy wykrojami na podłodze. — Moja garderobiana zna się na tym znacznie lepiej niż ja.

Ryszard ujmuje mnie pod ramię i wiedzie do małego pomieszczenia przy garderobie, gdzie zazwyczaj urzędująca tu dama dworu prowadzi rejestr futer, sukni, peleryn i pantofli. Ogień płonący w kominku daje miłe ciepło. Mój mąż zajmuje miejsce za stołem, a ja przysiadam na kamiennej ławie pod oknem i zamieram w oczekiwaniu.

— Podjąłem decyzję — odzywa się z westchnieniem Ryszard. — Nie przyszło mi to łatwo i chciałbym jeszcze rozmówić się z tobą.

Milczę. Domyślam się, że chodzi o Elżbietę Woodville. To jasne, zważywszy, że Ryszard, mówiąc, trzyma się za prawe ramię pomiędzy łokciem a barkiem. Odjakiegoś czasu cierpi ciągły ból, któremu nie umie zaradzić żaden medyk. Mam absolutną pewność, że to jej sprawka. Nie potrzebuję dowodów, aby oczyma wyobraźni widzieć, jak obwiązuje sobie ciasno własne ramię, czując mrowienie, a w końcu odrętwienie, i równocześnie życzy Ryszardowi, żeby poczuł to samo.

— Chodzi o Henryka Tudora — dodaje Ryszard po chwili ciszy.

Sztynnieję. Tego się nie spodziewałam.

— Planuje zaręczyny w katedrze w Rennes. W trakcie ceremonii zamierza ogłosić się królem Anglii i przyrzec małżeństwo Elżbiecie.

Przez mgnienie nie pamiętam o młodej dziewczynie, mając przed oczyma jej matkę czarownicę.

— Zamierza przyrzec małżeństwo Elżbiecie Woodville?

— Nie jej, tylko jej córce, księżniczce Elżbiecie York.

Gdy w przytulnym pomieszczeniu pada imię ulubionej córki Edwarda, przed oczyma staje mi obraz dziewczęcia o cerze gładkiej niczym perła i wdzięcznym uroku odziedziczonym po ojcu.

— Mój brat często powtarzał, że to jego najukochańsze dziecko — kontynuuje Ryszard cichym głosem. — Kiedyśmy walczyli o powrót z Flandrii do domu, powiadał, że musi wrócić dla niej, choćby wszyscy go opuścili. Że jeden jej uśmiech jest wart każdego ryzyka.

— Rozpieszczali ją, odkąd pamiętam — zauważam. — Zawsze była na świeczniku.

— Wyrosła na prawdziwą piękność, a sięga mi już do ramienia. Szkoda, że Edward nie może jej zobaczyć. Coś mi mówi, że jest piękniejsza od swojej matki, gdy ta była w jej wieku. Właściwie jest już dojrzałą niewiastą. Prawdopodobnie byś jej nie poznała...

Ogarnia mnie gniew, kiedy uświadamiam sobie, że Ryszard opowiada o obecnej księżniczce Elżbiecie, co znaczy, że ją widział. Złożył wizytę Elżbiecie Woodville i miał okazję spotkać jej córkę. Podczas gdy ja dopilnowywałam przygotowań do obchodów Bożego Narodzenia, które zarazem mają uświetnić nasze dojście do władzy, on wymknął się do tej ciemnej nory, w której obydwie się zamknęły na własną prośbę.

— Widziałeś się z nią?

Wzrusza ramionami, jakby to nie miało wielkiego znaczenia.

— Musiałem zobaczyć się z królową — rzecze.

Ja jestem królową! Wygląda na to, że wystarczyła jedna wizyta u Elżbiety Woodville, aby mój mąż zapomniał o wszystkim, co dla nas drogie. O wszystkim, o co walczyliśmy...

— Musiałem spytać ją o chłopców.

— Nie! — wykrzykuję, po czym natychmiast zakrywam sobie ręką usta, ażeby nikt nie usłyszał, jak sprzecam się ze swoim mężem, królem Anglii. — Najjaśniejszy panie, doprawdy... Jak mogłeś uczynić coś podobnego? Dlaczego?

— Muszę znać prawdę. — Spojrzenie ma nawiedzone. — W jednym czasie dowiedziałem się o rebelii Buckingham'a i jego słowach. Trudno powiedzieć, co było gorsze. Pisałem ci o tym, pamiętasz?

„Książę Buckingham rozgłasza śmierć książąt, którzy jakoby zginęli z mojej ręki”.

Kiwam głową.

— Pamiętam. Ale...

— Natychmiast wysłałem do Tower swoich ludzi. Wtedy już wszyscy mówili głośno, że książęta nie żyją. Odkryłem tylko tyle, że zniknęli. Potem, zaraz po powrocie do Londynu, udałem się do Tower osobiście. Na miejscu był Robert...

— Robert? — wpadam mu w słowo, jakbym zapomniała miano komendanta londyńskiej Tower, Roberta Brackenbury'ego, który popatrzył na mnie swymi uczciwymi oczyma i rzekł: „Ha, miękkie serce u najjaśniejszej pani”, po tym jak nie wprost wyraziłam na głos przekonanie, że chłopcy powinni zginąć, obłudnie zastrzegając, że nie mogę życzyć śmierci bratankom własnego męża.

— Brackenbury — dodaje Ryszard. — Prawdziwy przyjaciel. Człowiek, któremu mogę ufać. Człowiek, który zrobiłby dla mnie wszystko.

— Ach tak... — bąkam, czując chłód, jak gdybym napiła się lodowatej wody. — Wiem, że Robert Brackenbury zrobiłby dla ciebie wszystko.

— Nawet on jednak nie ma pojęcia, co przytrafiło się chłopcom. Mimo że jest komendantem Tower. Potrafi powiedzieć tylko tyle, że gdy tam wkroczył, nie zastał ich. Strażnicy utrzymywali, że położyli dzieci spać

wieczorem, po czym pilnowali dobrze drzwi, a nazajutrz rano w komnacie nikogo nie było.

— Jak to możliwe?

Ryszard odzyskuje wigor.

— Cóż, najwyraźniej ktoś mija się z prawdą. Pewnie strażnicy zostali przekupieni...

— Ale przez kogo?

— Sądziłem, że królowa wykradła synów. Modliłem się o to. Właśnie w tej sprawie do niej poszedłem. Obiecałem jej, że nie będę ich szukał, że nie wyślę za nimi pościgu. Jeśli zdołała ich przeszmuglować, pozwolę im pozostać w ukryciu. W zamian zażądałem prawdy o ich losie.

— I co usłyszałeś? Od Elżbiety Woodville?

— Płacz. Padła przede mną na klęczki i zaczęła łkać, jak ktoś, komu pękło serce. To przekonało mnie, że straciła synów i również nie ma pojęcia, co się z nimi stało. Zapytała mnie bez ogródek, czy to ja ich porwałem. Zagroziła, że rzuci klątwę na tego, kto odebrał im życie, jeśli nie żyją; i że ta klątwa sięgnie synów i wnuków mordercy, pozostawiając go bezpotomnym i wygaszając jego ród. W pewnym momencie przyłączyła się do niej córka... obie były takie przerażające.

— Elżbieta Woodville rzuciła na nas klątwę? — pytam zmartwiałymi wargami.

— Nie na nas! Ja nie miałem nic wspólnego ze śmiercią książąt, jeśli to właśnie ich spotkało! — wrzeszczy na mnie w nagłym wybuchu wściekłości, a jego słowa odbijają się echem od wyłożonych drewnem ścian małego pomieszczenia. — Nie miałem nic wspólnego z ich śmiercią! Mimo że wszyscy tak uważają. Ty również, żono? Myślisz, że byłbym do tego zdolny? Myślisz, że byłbym zdolny do zamordowania bratanków znajdujących się w mojej pieczy? Myślisz, że popełniłbym tak wielki grzech, tak poważną zbrodnię, tak niegodny czyn? Masz mnie za tyrana o rękach splamionych krwią? Ty? Właśnie ty, która znasz mnie najlepiej ze wszystkich ludzi na ziemi? Która jedyna wiesz, że całe swoje życie poświęciłem w służbie honoru? Masz mnie za mordercę, Anno?

— Nie, nie, nie, Ryszardzie. — Chwytam go za ręce, potrząsam głową i zapewniam, że moim zdaniem nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

Jąkam się na widok jego pałającego gniewem oblicza, nie potrafię powstrzymać płaczu, nie mogę mu powiedzieć — na Boga, nie mogę! — że

to nie on przyłożył rękę do zabójstwa książąt, tylko być może ja... Być może moje nieostrożne słowa, moje nieroztropnie wyrażone na głos myśli spowodowały tę lawinę wypadków. A zatem to mój grzech ściągnie na naszego syna Edwarda i na naszych wnuków klątwę Elżbiety Woodville, sprawiając, że dynastia Yorków... dynastia Warwicków... wymrze. Wystarczył moment, abym myśląc, że wyświadczam nam przysługę, rzucając słówko na ucho Robertowi Brackenbury'emu, przekreśliła naszą przyszłość i wszystko, na co pracował papa. Ściągnęłam na głowę ukochanego syna zasłużony gniew najgroźniejszej czarownicy w całej Anglii. Jeśli Brackenbury usłyszał z moich ust rozkaz, jeśli wykonał go, uważając, że spełnia moją wolę, jeśli zrobił to, co jego zdaniem było najlepsze dla Ryszarda, jeśli... wówczas to ja zamordowałam jej synów i muszę się liczyć z jej okrutną zemstą. To ja zniszczyłam naszą przyszłość.

— Nie miałem powodów ich zabijać — odzywa się znów Ryszard. W moich uszach brzmi to jak rozpaczliwe kajanie się. — Byli w moim ręku. Ogłosiłem ich nieprawę pochodzenie. Nasza koronacja przebiegła bez przeszkód. Letni objazd królestwa okazał się sukcesem. Zostaliśmy uznani przez wielmożów, przez lud. Zamierzałem odesłać obojgu do Sheriff Hutton i roztoczyć nad nimi opiekę. Po cóż inaczej kazałbym odnawiać tamtejszą siedzibę? — pyta retorycznie. — A po paru latach, gdy już weszliby w wiek męski, uznałbym w nich swoich bratanków, wezwałbym ich do Londynu, traktowałbym jak królewskich krewniaków... — urywa. — Zamierzałem być im dobrym stryjem, nie gorszym niż dla dzieci Jerzego. Zamierzałem o nich dbać.

— To by się nie udało! — wykrzykuję. — Przez nią, przez ich matkę! Dzieci Jerzego to jedno, ich matką była Izabela, moja ukochana siostra. Ale potomstwo Elżbiety Woodville to zupełnie co innego! Wszyscy Riversowie to nasi zaprzysięgli wrogowie!

— Tego nigdy się nie dowiemy — rzecze spokojnie Ryszard. Podnosi się z krzesła, rozcierając ramię, jakby stracił w nim czucie. — Teraz już nigdy się nie dowiemy, na jakich mężczyzn wyrosliby ci dwaj chłopcy.

— Elżbieta Woodville to nasz najgorszy wróg — powtarzam, nie mogąc uwierzyć, że zapomina o sprawie tak oczywistej. — Zaręczyła swoją córkę z Henrykiem Tudorem. Który, pozwól, że ci przypomnę, planował inwazję i zamierzał uczynić swoją królową zwykłą bękarcię! Elżbieta

Woodville to nasz wróg i dlatego powinieneś kazać ją wywlec z sanktuarium i wtrącić do lochów Tower, a nie spotykać się z nią po kryjomu. Jakbyś nie był zwycięzcą, jakbyś nie był królem. A już na pewno nie powinieneś widywać się z tą rozpuszczoną pannicą, jej córką! — Przerzywam na widok jego ciemniejącego z gniewu oblicza, lecz zaraz powtarzam wyzywająco: — Tak, z rozpuszczoną pannicą! Bo chyba nie chcesz mi powiedzieć, że to księżniczka z prawdziwego zdarzenia?

— Elżbieta Woodville już nam nie zagraża — rzecze spokojnie mój mąż, jak gdyby cały gniew wyparował z niego w mgnieniu oka. — Zwróciła się przeciwko Małgorzacie Beaufort. To ją podejrzewa o porwanie i zamordowanie synów. Na ich śmierci najwięcej korzysta Henryk Tudor, który staje się następcą tronu z dynastii Lancasterów. Z chwilą gdy królowa wdowa dała wiarę moim słowom, musiała zacząć winić młodego Tudora i jego matkę. Dlatego wycofała się z rebelii i wkrótce zerwie zaręczyny. Zrobi wszystko, aby uniemożliwić mu objęcie tronu.

Otwieram usta ze zdziwienia.

— Elżbieta Woodville zmienia barwy?

Ryszard uśmiecha się drwiąco.

— Możemy zawrzeć rozejm, ona i ja — stwierdza. — Obiecałem jej wolność poza murami sanktuarium, pod kluczem w jakiejś siedzibie jej własnego wyboru, a ona przyjęła moją propozycję. Przecież nie mogła się ukrywać w katakumbach do końca życia. Pragnie wyjść do ludzi. Jej córki zrobiły się wszystkie przezroczyście niczym wodne lilie chowane bez światła słonecznego. One także muszą znaleźć się na zewnątrz. Najstarsza z nich jest doprawdy wyjątkowa, całkiem jak posąg wykuty w perle. Na wolności rozkwitnie niczym róża.

Czuję w ustach gorycz zazdrości, podobną w smaku do żółci, która podchodzi przełykiem, gdy zbiera mi się na wymioty.

— I gdzie niby ma rozkwitnąć? — pytam zjadliwie. — Chyba nie pod moim dachem? Nie chcę jej widzieć w swoim domu!

Ryszard, który do tej pory patrzył na ogień w kominku, zwraca swe drogie oblicze na mnie.

— Pomyślałem, że moglibyśmy przyjąć na nasz dwór przynajmniej trzy najstarsze dziewczęta — rzecze. — Że mogłyby zostać twoimi dworkami, gdybyś się zgodziła. To córki Edwarda, z rodu Yorków, nasze bratanice. Powinnaś darzyć je takim samym uczuciem jak małą Małgorzatę. Mogłabyś



mieć je pod swoją pieczęcią, a gdy przyjdzie właściwy moment, znajdziemy im mężów i pomożemy się ustatkować.

Odchylam się do tyłu, aż czuję chłód wykutej w kamieniu ambrazury.

— Chcesz, aby zamieszkały pod moim bokiem? — pytam. — Córki Elżbiety Woodville?

Potakuje skinieniem, jak gdyby ten plan był całkiem rozsądny, jak gdybym ja mogła na niego przystać.

— Nigdzie nie znajdziesz urokliwszej panny dworskiej niż księżniczka Elżbieta — stwierdza.

— Lady Elżbieta — poprawiam go przez zaciśnięte zęby. — Okrzyknąłeś jej matkę ladacznicą, a ją samą dzieckiem z nieprawego łoża.

Ryszard wybucha śmiechem, jakby całkiem o tym zapomniał.

— No tak.

— Co stanie się z jej matką?

— Odeślę ją na prowincję. Oddam pod opiekę Johna Nesfielda, do którego mam pełne zaufanie, ją i jej młodsze córki. Będzie je miał dla mnie na oku.

— Znajdą się pod kluczem?

— Na pewno będą dobrze pilnowane.

— Trzymane w czterech ścianach? — naciskam. — Pod strażą?

Wzrusza ramionami.

— W takich warunkach, jakie Nesfield uzna za stosowne.

Z tego wnoszę, że Elżbieta Woodville raz jeszcze będzie panią jakiegoś dworku, a jej córki spotka zaszczyt służenia na moim dworze. Wszystkie będą w gruncie rzeczy wolnymi niewiastami, radosnymi jak ptaszęta w przestworzach, a tym samym Elżbieta Woodville raz jeszcze zatryumfuje.

— Kiedy? — pytam krótko, mając nadzieję, że w odpowiedzi usłyszę „wiosną”. — W kwietniu? A może w maju?

— Myślałem raczej, że dziewczęta mogłyby przyjechać do pałacu już teraz.

Zrywam się na równe nogi i napadam na niego.

— To nasze pierwsze święta w pałacu! — Głos mi drży z emocji. — Chcemy, aby odcisnęły się w pamięci poddanych; chcemy, aby w świat poszły opowieści o nas obojgu w koronach na głowie i strojnych szatach, bawiących się wesoło. Dzięki tym obchodom powstanie nasza

legenda, ludzie zaczną mówić, że nasz dwór w niczym nie ustępuje Camelotowi. A ty zamierzasz zaprosić tutaj córki Elżbiety Woodville, aby zasiadły z nami przy jednym stole? W te święta? W nasze pierwsze święta? Może lepiej od razu wszystkim powiemy, że nic się nie zmieniło? Objąłeś panowanie po Edwardzie, lecz Riversowie trzymają się mocno, a ta czarownica nie popuszcza i choć ma ręce splamione krwią mojej siostry i twojego brata, i ich nowo narodzonego dziecka, nikt niczego jej nie zarzuca.

Ryszard podchodzi do mnie i ujmuję pod łokieć, bez wątpienia czując, że drzę z rozgoryczenia.

— Nie. Oczywiście, że nie. Głupiec ze mnie. Powinienem był wiedzieć, że to się nie uda. Teraz pałac nie należy do niej, tylko do ciebie. To zrozumiałe. Teraz to ty jesteś królową, Anno. Nie denerwuj się. Nikt nie zepsuje ci świątecznych dni. Dziewczęta mogą się pojawić dopiero po Bożym Narodzeniu, kiedy wszystkie ustalenia zostaną dopięte na ostatni guzik. Nie trzeba nam ich tutaj zbyt wcześnie, po co miałyby popsuć zabawę.

Jego słowa i ton głosu wywierają na mnie zbawienny wpływ, jak zawsze.

— Popsuć zabawę?...

— Bo popsują ją, prawda? — Obłaskawia mnie słodyczą w głosie.

— Nie chcę ich tutaj widzieć. Chcę widzieć tylko ciebie. Niech siedzą w katakumbach do nowego roku, do czasu, aż uznasz, że pora je uwolnić.

Uspokajam się pod jego dotykiem niczym nerwowa klacz.

— Doskonale — ulegam jego propozycji. — Mogą się pojawić po Bożym Narodzeniu. Ani dnia wcześniej.

— Naturalnie — zapewnia mnie. — Dopiero wtedy, gdy uznasz za stosowne. Do ciebie będzie należało ostatnie słowo. Jesteś królową Anglii i w swoim otoczeniu nie będziesz mieć nikogo, kto byłby ci niemiły. Będziesz się otaczać wyłącznie starannie dobranymi niewiastami. Nigdy bym cię nie przymusił do przyjęcia na swój dwór kogoś, kogo się boisz albo komu nie ufasz.

— Nie boję się ich — oponuję. — Nie jestem o nie zazdrosna.

— Skądże — zgadza się ze mną. — Przecież nie masz powodu. Zaprosisz je, gdy twoim zdaniem przyjdzie pora.

Boże Narodzenie spędzamy w Londynie, z dala od dzieci. Do ostatnich dni listopada miałam gorącą nadzieję, że się zjawia. Edward miewa się dobrze, lecz nasz lekarz odradził dłuższą podróż w złą pogodę w jego wypadku, ponieważ chłopiec nadal nie jest zbyt silny. Lepiej, aby pozostał w Middleham, gdzie medycy, którzy go znają, mogą go mieć pod swoją opieką. Lepiej nie nadwężać jego skromnych sił męczącą podróżą. Mimowolnie wspominam księcia Ryszarda z czasów, gdy ostatnio go widziałam — choć jest rówieśnikiem mego syna, był co najmniej o głowę od niego wyższy, bardziej rumiany na twarzy i w ogóle zwawszy. Mój Edward nie kipi życiem, nie rwie się, by biegać i harcować. Często przesiaduje z książką na kolanach i udaje się na spoczynek bez kłótni. Rankami jednak ciężko mu się wstaje.

Ma przyzwoity apetyt, aczkolwiek kucharze bardzo się starają i przygotowują wymyślne dania z nęcącymi dodatkami i sosami. Ani razu nie widziałam, aby wraz z kuzynami wyprawił się na dół do kuchni, gdzie dzieci odwiecznym zwyczajem podkradają ścinki ciasta ze stołu albo gorące bułeczki prosto z pieca. Nigdy nie łasuchuje w serowni, prosząc o śmietankę, ani nie wałęsa się koło rusztu, chcąc oderwać chrupiącą skórkę.

Robię co mogę, aby się o niego nie martwić. Wiem, że przykłada się do nauki i chętnie wyprawia na konne przejażdżki z kuzynami, grywa z nimi w *jeu de paume*, strzela z łuku, rzuca kule, aczkolwiek zwykle jest pierwszy do zakończenia zabawy, a nierzadko odwraca się i odchodzi, aby usiąść gdzieś z boku, mówiąc ze śmiechem, że musi złapać chwilę oddechu. Nie jest krzepki, nie jest silny — w gruncie rzeczy jest dokładnie taki, jaki powinien być chłopiec, na którego padła kłątwa życzącej mu źle czarownicy.

Oczywiście nie mam pewności, czy Elżbieta Woodville kiedykolwiek przeklęła mego syna. Jednakże ilekroć w przeszłości siadywałam z Edwardem przytulonym do mnie i dotykałam jego miękkich włosów, zastanawiałam się, czy przypadkiem kłątwa, która zatruła moje życie, nie spadła też na mego syna. Teraz zaś, gdy ona i jej pierworodna córka połączyły siły, przeklinając mordercę książąt, tym bardziej się boję, że nienawiść Riversów skierowana jest na mnie i na mą latorośl.

Nakazuję medykwowi z Middleham pisać do mnie co trzy dni z informacjami na temat dzieci. Listy przemierzają zaśniewaną północ i błotniste południowe drogi, niosąc zapewnienia, że Edward czuje się wybornie.

żywo bawi z kuzynami, cieszy zimowym krajobrazem, jeździ na saniach i ślizga się po lodzie. Nic mu nie dolega. Mogę być spokojna. Mój syn Edward jest zdrow.

Pomimo nieobecności dzieci Ryszard zamierza miło spędzić świąteczny czas w Londynie. Celebруемy Boże Narodzenie, ale też własne zwycięstwo; każdy, kto przybywa do pałacu, aby ucztować, tańczyć lub choćby się przyglądać, widzi tryskającą z nas radość, tym większą, że kiedy rzucono nam wyzwanie — i to już w pierwszych tygodniach naszego panowania, gdy zwróciła się przeciwko nam królowa wdowa i nieopierzony młodzik śmiący zwać się królem — otrzymaliśmy poparcie ze wszech stron. Anglia nie chce Henryka Tudora na tronie, Anglia zapomniała o chłopcach Riversów, Anglia nie ma współczucia dla królowej wdowy odciętej od świata za murami sanktuarium. Elżbieta Woodville jest skończona. Jej panowanie dobiegło kresu, obecne święta stanowią początek naszych rządów.

Każdego dnia trwają rozrywki, polowania, przejażdżki po rzece, zawody, turnieje i tańce. Ryszard zaprasza do pałacu najlepszych artystów: grajków, aktorów, poetów; w komnatach rozbrzmiewają skoczne melodie i dźwięki ballad napisanych specjalnie dla nas, w kaplicy zaś pobożne pieńia zawodzi chór. Każdego dnia ma miejsce jakaś atrakcja i każdego dnia otrzymuję od Ryszarda jakiś upominek — drogocenną perłową broszkę, parę wypachnionych skórzanych rękawiczek, trzy wierzchowce do zabrania na północ dla dzieci bądź też wielki luksus: skrzynkę pomarańczy z Hiszpanii. W dzień mój mąż obsypuje mnie podarkami, natomiast nocą odwiedza we wspaniałej komnacie i obejmuje ramionami tak mocno, jakby tylko wtedy był w stanie uwierzyć, że zaiste uczynił ze mnie swoją królową.

Czasami budzę się w środku nocy i patrzę na zawieszoną nad łóżem tapiserię, której splot ukazuje sceny z życia bóstw i boginek zamieszkujących chmury i wyraźnie szczęśliwych. Myślę sobie, że ja też powinnam odczuwać szczęście. Znalazłam się wysoko, tam, gdzie zawsze widział mnie papa. Zostałam pierwszą damą królestwa i już nie muszę się obawiać, że przydepnę czyjś tren, albowiem teraz kroczę zawsze przodem. Jednakże właśnie kiedy zaczynam się uśmiechać, moje myśli biegną ku Edwardowi zgubionemu pośród zaśnieżonych dolin hrabstwa Yorkshire, ku jego drobnej sylwetce i ku bladej twarzy jego cery. Przypominam sobie czarownicę czającą się w katakumbach opactwa westminsterskiego, którą po Bożym Narodzeniu czeka uwolnienie, i przywieram ciałnie do śpiącego

Ryszarda, sięgając dłonią do jego prawego ramienia, aby je delikatnie objąć palcami i sprawdzić, czy faktycznie marnieje i chudnie, jak mu się wydaje. Nie potrafię tego ocenić. Nie wiem, kim obecnie jest dla mnie Elżbieta Woodville. Czy pokonaną wdową, której powinnam żałować, czy też raczej najzaciętszym wrogiem moim i mojej rodziny?

## PAŁAC W GREENWICH, LONDYN MARZEC 1484 ROKU



Wiosna do Londynu przychodzi wcześniej, parę tygodni przed tym, zanim dotrze na północ Anglii, toteż rano zaczyna mnie budzić pianie kogutów i muczenie krów prowadzonych na pastwiska nad rzeką. Wiosna przynosi również obrady parlamentu, który przegłosowuje uchwałę, że Edward — zanim poślubił w sekretnej ceremonii Elżbietę Woodville — był już żonaty z inną niewiastą, co czyni dzieciznego i królowej bękartami. Tak stanowi prawo, zatem musi to być prawda. Elżbieta Woodville znowu jest tylko Elżbietą Woodville — ewentualnie, jeśli chce, może używać nazwiska swego pierwszego męża. Swego jedynego męża. Jej córki również mogą przyjąć jego nazwisko. Ryszard dochodzi z nią do porozumienia i oddaje ją razem z dwiema najmłodszymi dziewczynkami pod opiekę Johna Nesfielda. Wszystkie trzy udają się do Heytesbury w hrabstwie Wiltshire, gdzie zamieszkują w pięknym wiejskim dworku.

John Nesfield przesyła Ryszardowi regularne raporty, z których jeden wpada mi w oko — Elżbieta Woodville (wskutek przejęzyczenia na piśmie nazwana królową, jak gdybym ja nie istniała, jak gdyby parlament nie przegłosował uchwały) jeździ konno i tańczy, sprasza trupę muzykantów, chadza do miejscowego kościółka, kształci swoje córki i wtrąca się do gospodarzenia, wydając instrukcje w serowni i każąc poprzestawiać ule, a nawet czyniąc uwagi na temat wystroju i domagając się obsadzenia kawałka ogrodu jej ulubionymi roślinami. Autor listu sprawia wrażenie podekscytowanego i zachwyconego. Jego podopieczna wydaje się czerpać zadowolenie z prostego wiejskiego życia. Jej córki dżiczają, można by rzec — dostały od swego opiekuna kucyki i galopują po okolicy. John Nesfield okazuje wyrozumiałość, jakby nie przeszkadzało

mu postawienie życia w domu na głowie przez tę piękną niewiastę i jej żywiolowe dzieci. Dla mnie liczy się głównie to, że codziennie odwiedza kaplicę i nie otrzymuje żadnych sekretnych wiadomości. Powinam się cieszyć, że przestała spiskować i rzucać zaklęcia, lecz i tak żałuję, że nie gnije w katakumbach albo nawet w lochach Tower, jak jej synowie, z którymi — jeśli o mnie chodzi — mogła zniknąć równocześnie. Wiem, że zaznałabym spokoju — że cała Anglia by go zaznała — wyłącznie wtedy, gdyby Elżbieta Woodville wyzionęła ducha razem z mężem bądź rozplynęła się w powietrzu jak dwaj książęta.

Trzy starsze Riversówny pojawiają się w pałacu z głowami wysoko uniesionymi, jakby ich matka nie była winna zdrady przeciwko nam. Od Ryszarda słyszę, że złożą mi pokłon później tego ranka, po mszy i po śniadaniu, toteż aranżuję wszystko tak, że gdy mają przede mną stanąć, znajduję się w swych pięknych apartamentach pałacu w Greenwich, na tle ostrego światła wpadającego z okna za moimi plecami, w ciemnoczerwonej sukni i wysokim koronczym przystrojonym rubinową koronką. Otaczają mnie moje dworki, których twarze — kiedy odwracają się do otwieranych drzwi — bynajmniej nie są przyjazne. Żadna niewiasta nie potrzebuje obok siebie trzech młodek, z którymi może być porównywana, a te Riversówny wzorem ciotek tylko będą patrzeć, jak tu złapać męża. Poza tym połowa dworu kłaniała się im w pas, druga połowa zaś całowała ich niemowlęce piąstki, zarzekając się, że nie ma cudniejszych księżniczek na całym świecie. Obecnie te same dziewczęta, bez najmniejszych szans na koronę, mają być dworkami nowej królowej. Wszyscy zarazem obawiają się, że Riversówny zdają sobie sprawę ze swego upadku — od wielkości do małości — oraz mają cichą nadzieję, że źle odebrały sygnały i ośmieszają się przy pierwszej okazji. Dworzanie potrafią być okrutni bez względu na miejsce i czas, a zresztą nikt z mojego otoczenia nie ma powodu darzyć miłością córek Elżbiety Woodville, która swego czasu ucierała nosa wszystkim.

Wreszcie drzwi otwierają się na oścież i trzy młode niewiasty wkraczają do środka. Natychmiast pojmują, dlaczego Ryszard wybaczył ich matce i zaprosił je do pałacu. Uczynił to z miłości do brata. Najstarsza z dziewcząt, Elżbieta — obecnie osiemnastoletnia — to uosobienie matczynej wyjątkowej urody i ojcowskiego ciepła. Gdziekolwiek bym ją zobaczyła, wiedziałabym, że to córka Edwarda IV. Ma nawet podobny sposób bycia

jak on: teraz także uśmiecha się do wszystkich w komnacie, jak gdyby przysłała na spotkanie z przyjaciółmi. Odziedziczyła po nim wzrost: jest wysoka i smukła jak sadzonka dębu, pod którym został zauroczony; i włosy. O ile Elżbieta Woodville ma włosy tak jasne, że niemal srebrzyste, włosy jej córki są ciemniejsze, jak u ojca. Zdają się mienić płowo, złoto i brązowo, a jeden kosmyk, który się wymknął spod czepka, kręconą falą opada na ramię. Przypuszczam, że rozpuszczone wyglądają jak rozlany gęsty miód.

Młodziutka Elżbieta ma na sobie zielony strój, jakby personifikowała wiosnę, wchodząc na ten dwór steranych życiem dorosłych. Jej suknia jest prosta, z długimi rękawami skrywającymi dłonie, a zamiast złotego pasa na smukłej talii dziewczyny spoczywa, opierając się o zgrabne biodra, zwykły skórzany pas farbowany także na zielono. Domyślam się, że zabrakło pieniędzy, by którąkolwiek wyposażyć w złoto i klejnoty przed przybyciem do pałacu. Co z tego, że Elżbieta Woodville zrabowała większość kosztowności ze skarbcza, skoro powstanie to droga zabawa i musiała wydać wszystko na armię ludzi. Jej córka, księżniczka Elżbieta — nie, nie księżniczka, muszę pamiętać, aby jej tak nie nazywać! — ma na głowie niziutki czepek w niczym nie przypominający kornetów udających koronę, kiedy jako ulubiona córka króla i oblubienica obiecana delfinowi Francji defilowała po pałacach folgujących jej we wszystkim rodziców. Za nią kroczącej siostry. Cecylii również nie brak urody, tyle że jest ciemnowłosa i ciemnooka. Przywdziała czerwień, która bardzo jej pasuje, i uśmiecha się szeroko i z wielką pewnością siebie. Najmłodsza, moja imienniczka, jest podobna do Elżbiety, chociaż niknie w białych błękitach i turkusach, i w przeciwieństwie do tamtych dwu wydaje się nadspodziewanie dobrze ułożona.

Stają naprzeciwko mnie w szeregu, jakby należały do gwardii i miały zaprezentować broń, na co nachodzi mnie myśl, że jak Bóg mi świadkiem, najchętniej odesłałabym je do strażnicy. Jednakże są tutaj i mają zostać powitane nie jako krewne, lecz jako podopieczne. Powstają z tronu, w moje ślady idą wszystkie dworki, aczkolwiek szelest tuzina kosztownych sukni bynajmniej nie peszy Elżbiety. Dziewczyna przenosi spojrzenie od jednej do drugiej, jakby szacowała ich koszt. Czuję, że się czerwienię. To dziewczę wychowało się na dworze królowej znanej ze swej piękności i jest gotowe uśmiechnąć się z politowaniem na widok naszego byle jakiego szyku.



Podejrzewam, że nawet ja w intensywnie czerwonej sukni jestem tylko cieniem przy wspomnieniu urody jej matki. Mam absolutną pewność, że dla niej pozostanę co najwyżej cieniem królowej.

— Witam was wszystkie w moim pałacu — mówię. — Lady Elżbieto, lady Cecyljo, lady Anno. — Spostrzegam, że najstarsza strzela oczyma, słysząc użyty przeze mnie tytuł. Cóż, będzie musiała do niego przywyknąć. Uchwałą parlamentu małżeństwo jej rodziców zostało uznane za niebyłe, a one wszystkie utraciły prawo do używania nazwiska ojca i dawnych tytułów. Odtąd nikt nie powie do żadnej z nich „wasza książęca mość”. — Przekonacie się, że nie jestem wymagającą panią — kontynuuję miłym tonem, jakbyśmy się wcześniej nie spotkały, jakbym dziesiątki razy nie cmokała je w nadstawiony chłodny policzek — i że na moim dworze panuje przyjemna atmosfera.

Siadam i wyciągam rękę, a one — jedna po drugiej — dygają przede mną i całują moje lodowate palce.

Mam nadzieję, że powitanie przebiegło gładko, i uznaję, że może już zostać zakończone, lecz w tej samej chwili drzwi otwierają się ponownie i próg przekracza mój małżonek, jakby nie mógł z tym zaczekać do sposobniejszej chwili. Chociaż oczywiście wiedział, że zastanie je tutaj tego ranka. Być może przyszedł celowo, aby się upewnić, że wszystko przebiega bez zgrzytów. Starannie ukrywam swoją irytację i uśmiecham się na powitanie.

— A oto i najjaśniejszy pan...

Ale nikt na mnie nawet nie patrzy. Na dźwięk otwieranych drzwi Elżbieta pierwsza okręca się na pięcie i zobaczywszy, kto to, prostuje się z ukłonu, by tanecznym krokiem podejść do Ryszarda.

— Wasza królewska mość... stryju! — wita go.

Jej siostry, szybkie jak łasice, truchtają za nią, powtarzając unisono:

— Wasza królewska mość... stryju!

Ryszard odbarza je uśmiechem, przyciąga Elżbietę do siebie i całuje ją w oba policzki.

— Wyglądasz tak pięknie, jak się spodziewałem — orzeka. Pozostałe dwie siostry muszą się zadowolić cmoknięciem w czoło. — A jak się miewa twoja matka? — zwraca się do Elżbiety lekkim tonem, jakby co rano dopytywał o zdrowie i samopoczucie tej czarownicy i zdrajczyni. — Podoba się jej w Heytesbury?

W odpowiedzi mizdrzy się do niego.

— O tak, stryju, bardzo! — zapewnia. — Dostałam od niej list, w którym pisze, że zmienia umeblowanie i układ ogrodu. Sir John może uznać, że jest wymagającą współmieszkanką.

— Sir John powinien się cieszyć, że ktoś zechciał zająć się jego ruderą! — śmieje się Ryszard, najwyraźniej ignorując jej impertynencję. Zwracając się w moją stronę, mówi: — Z pewnością raduje cię widok mych bratanic w pałacu? — Ton jego głosu wymusza na mnie potaknięcie.

— Jestem zachwycona — odpowiadam ozięble. — Przeszcześliwa.

Nie mogę odmówić im uroku. Cecylia jest gadatliwa i niezdarna, Anna ciekawa świata i pilnie się ucząca greki i łaciny co rano, z tego co mi wiadomo. Elżbieta to wcielenie ideału. Gdyby ktoś sporządził rys angielskiej księżniczki, pasowałaby do niego znakomicie. Jest czytanna, o co zadbali jej matka i wuj, Antoni Woodville — pierwsze książki dostała już w kołysce, gdy ich księgarz Caxton zadedykował jej swoje wydania. Biegłe posługuje się trzema językami w mowie i czterema w piśmie. Grywa na instrumentach muzycznych i zadziwiająco ładnie śpiewa swoim słodkim, niskim głosem. Potrafi ślicznie wyszywać i z tego co słyszałam, nie sprawia jej kłopotu obrębianie koszuli. Wprawdzie nie widziałam jej przy piecu — jako córka najznacześniejszego hrabiego w Anglii, a obecnie królowa tego kraju nie mam potrzeby zaglądać do kuchni — ale zostałam przez nią poinformowana, że umie piec mięsa i gotować potrawy, a nawet przyrządzać wymyślniejsze frykasy. Cóż, w końcu jest córką szlachcianki wychowanej na wsi i sporo czasu musiała sobie radzić w murach sanktuarium... Kiedy tańczy, mało kto potrafi od niej oderwać wzrok; porusza się w rytm melodii tak, jakby nuty były inspiracją dla jej ciała, z przymkniętymi oczyma. Wszyscy rwą się, aby stać z nią w parze, ponieważ przy niej nawet największa lebioda wydaje się zgrabna i powabna. Gdy bierze udział w przedstawieniu, oddaje się mu całą duszą, pilnie ucząc się swojej kwestii i recytując ją potem z takim przekonaniem, jakby wierzyła w to, co mówi. Jest dobrą siostrą dla pozostałych dwu dziewcząt, nad którymi sprawuje pieczę z dala od domu, i często posyła podarki najmłodszym siostrzyczkom mieszkającym w hrabstwie Wiltshire. Jest też dobrą córką, pisuje co tydzień do

matki. Jako dworka sprawuje się wyśmienicie, nie mogę wysunąć pod jej adresem żadnych zarzutów.

Dlaczego więc, pomimo wszystkich tych zalet, szczerze jej nienawidzę?

Mam na to odpowiedź. Po pierwsze dlatego, że — co za wstyd, co za grzech! — jestem o nią zazdrosna. Widzę, jak patrzy na nią Ryszard: jak gdyby odzyskał brata, tyle że w postaci, pełnej nadziei, wesołej i ślicznej młódki. Nie pada z jego ust ani jedno słowo, które mogłabym poddać krytyce; wyraża się o niej wyłącznie jako o swojej bratanicy. Niemniej mój mąż — a właściwie cały dwór — patrzy na nią tak, jakby jej widok zachwycał i radował serce.

Po drugie moim zdaniem miała łatwe życie, tak łatwe, że może śmiać się przez cały boży dzień, jakby wszystko, co ją spotyka, było zabawne i niegroźne. Takiemu życiu zawdzięcza swoją urodę: nie przeżyła bowiem nic, co by wyrysowało choć zmarszczkę na jej czole, nie doświadczyła rozczarowań, które żłobią głęboko twarz i zalegają brzemieniem na barkach. Tak, wiem — straciła ojca i stryja, straciła dwóch ukochanych braci, została odsunięta od tronu. Jednakże nie sposób to poznać, gdy się na nią patrzy, jak gra w kocią kołyskę czy biega nad rzeką albo spleta kwietne wianki na głowę swoją i sióstr, jakby żadna z nich nie musiała drzeć na samą myśl o koronie. Sprawia wrażenie całkowicie beztroskiej, co wzbudza we mnie zazdrość o radość życia, która tak łatwo jej przychodzi.

Po trzecie nigdy bym nie pokochała córki Elżbiety Woodville. Nigdy jej nie pokocham. Matka tej dziewczyny wisi na horyzoncie mego życia niczym złowróbna kometa — od momentu poznania, gdy jako dziecko uznałam ją za najpiękniejszą niewiastę chodzącą po ziemi, po chwilę, w której zrozumiałam, że jest moim zaprzysiężonym wrogiem i morderczynią mej siostry i mego swaka. Jakichkolwiek sztuczek użyła Elżbieta Woodville, aby sprowadzić córki do mojego pałacu, ja nie dałam się omamić i nigdy nie zapomnę, że goszczę pod swoim dachem dzieci mego wroga — a w wypadku lady Elżbiety wroga we własnej osobie.

Mam pewność, że ta dziewczyna służy za szpiega i ma odwrócić uwagę. Jest zaręczona z Henrykiem Tudorem (rozgłoszona szeroko zmiana w nastawieniu Elżbiety Woodville dla mnie nic nie znaczy, podobnie jak dla niego i jak sądzę, dla niej). Lady Elżbieta to córka naszego wroga i naręczona naszego wroga. Dlaczego nie miałabym widzieć w niej swojej przeciwniczki?

Tym właśnie dla mnie jest.

Gdy śniegi na północy schodzą i możemy pojechać do domu, opuszczamy Londyn. Tak się cieszę z wyjazdu, że muszę udawać niechęć na użytek londyńskich kupców i mieszczan, aby ich nie urazić, gdy przychodzą do pałacu, aby się pożegnać. Przybieram smutną minę, jadąc ulicami, na które wyległy tłumy londyńczyków, w głębi ducha jednak uważam, że zawsze sprzyjali Riversom i że wiwaty, które słyszę, są przeznaczone nie dla mnie, tylko dla trzech córek Elżbiety Woodville jadących obok mnie. Londyńczycy cenią urodę, toteż śliczna buzia młodej Elżbiety wzbudza w nich przyjazne uczucia dla dynastii Yorków. Uśmiecham się i macham ręką, przyjmując komplement, chociaż wiem, że mnie poddani darzą szacunkiem należnym monarchini, nie uczuciem, jakie może wywołać tylko piękna księżniczka.

Na trakcie daję koniowi ostrogę, aby wysforować się do przodu, zostawiając dworki w tyle. Ani myślę przysłuchiwać się szczebiotowi jej i jej sióstr. Melodyjny słodki głos lady Elżbiety przyprawia mnie o zgrzytanie zębów. Galopuję przed siebie, w otoczeniu tylko gwardzistów, i jestem wolna od jej widoku i jej głosu.

Gdy Ryszard zawraca od czoła kawalkady, zrównuje się ze mną i od-tąd zmierzamy równym krokiem w miłej atmosferze, jak gdybyśmy oboje zapomnieli na chwilę o ich obecności. Zerkam na skupiony profil męża i zastanawiam się, czy natęży słuch i czy zaraz spowolni wierzchowca, ażeby zrównać się z nią. Kiedy nagle się odzywa, uzmysławiam sobie, że z zazdrości zrobiłam się podejrzliwa i strachliwa, zamiast radować się towarzystwem Ryszarda.

— Zatrzymamy się w Nottingham na miesiąc — oznajmia. — Zamierzam przypilnować przebudowy twoich apartamentów na tamtejszym zamku, aby były wygodniejsze. Edward zostawił plany... Potem będziesz mogła pojechać prosto do Middleham, jeśli zapragniesz. Ja wyruszę jakiś czas po tobie. Domyślam się, że śpieszno ci zobaczyć dzieci.

— Upłynęło tyle czasu... — potakuję. — Ale w dzisiejszym liście medyk donosi mi, że wszystkie pozostają w dobrym zdrowiu.

Żadne z nas nie zauważa głośno, że Małgorzata nigdy nie choruje, a jej młodszy brat jest równie wytrzymały — i mądry — jak ogar. Natomiast nasz syn dojrzeła powoli, nadal jest mały jak na swój wiek i bardzo szybko się męczy.

— To dobrze — kiwa głową Ryszard. — Gdy lato dobiegnie końca, będą mogły wrócić do Londynu z nami. Królowa Elżbieta zawsze trzymała dzieci blisko siebie, a od księżniczki Elżbiety wiem, że uważa swoje dzieciństwo w pałacu za niezwykle szczęśliwe.

— Od lady Elżbiety — poprawiam go z uśmiechem.

## ZAMEK W NOTTINGHAM MARZEC 1484 ROKU



Na zamek w Nottingham zajeżdżamy wieczorem, akurat kiedy zachodzące słońce sprawia, że wieże zdają się czarne na tle brzoskwinowozłotego nieba. Z blanek dolatują fanfary na nasze powitanie, a ze strażnicy wysypują się gwardziści, którzy tworzą szpaler prowadzący na most zwodzony. Ryszard i ja jedziemy obok siebie, przyjmując wiwaty załogi zamku i okolicznych poddanych.

Czuję ulgę, zsiadając z wierzchowca i kierując się ku swoim komnatom. Za plecami słyszę gwar rozmów moich dworek, nie potrafię jednak wychwycić głosów trzech Riversówień. Przypominam sobie, że powinnam je ignorować, że w żadnym razie nie wolno mi pozwolić, aby wywierały na mnie tak silny wpływ. Gdybym przestała o nie dbać, wtedy nie musiałabym się oglądać, aby sprawdzić, czy Ryszard na nie patrzy i czy najstarsza z nich, Elżbieta, uśmiecha się do niego.

Jesteśmy w Nottingham już od kilku dni, na przemian polując we wspaniałych lasach i jedząc dziczyznę, którąśmy ustrzelili, gdy pewnego wieczoru w moich komnatach pojawia się posłaniec. Jest tak zdrożony i poważny, że natychmiast domyślam się potwornych wieści. Dłoń, w której trzyma list, trzęsie się mocno.

— Co się stało? — pytam go, na co on tylko kręci głową niezdolny wydobyć z siebie słów.

Rozglądam się i moje spojrzenie pada na lady Elżbietę, która patrzy prosto na mnie; przez krótką mrozącą krew w żyłach chwilę wspominam klątwę rzuconą wspólnie przez nią i przez jej matkę na tego, kto uśmiercił

dwóch książąt w Tower. Próbuję się do niej uśmiechnąć, lecz czuję, że moje wargi wywijają się, odsłaniając zęby, i wiem, że czynię tylko straszny grymas.

Bezwłocznie do mnie podchodzi z młodym obliczem przepełnionym współczuciem.

— Czy mogę jakoś pomóc? — pyta.

— Nie, nie, to tylko wiadomość z domu — odpowiadam.

Być może zmarła moja matka i ktoś napisał, aby mnie o tym poinformować. Być może któreś z dzieci Izabeli — Małgorzata albo młodszy Edward — spadło z siodła i złamało rękę. Nagle dociera do mnie, że trzymam list w dłoni, nadal nieotwarty. Młoda niewiasta, która stoi przy mnie, czeka, aż to zrobię, nie odrywając ode mnie wzroku. Nachodzi mnie dziwna myśl, że ona zna treść wiadomości, że wie, co się stało w Middleham; wiodę spojrzeniem po reszcie dworek, które zrozumiałem, że dostałam list z domu i boję się go otworzyć, milkną po kolei i gromadzą się wokół mnie.

— To pewnie nic takiego — mówię w ścichłej nagle komnacie.

Posłaniec unosi głowę i patrzy na mnie tak, jakby chciał coś powiedzieć, po czym zakrywa oczy dłonią, jak gdyby wiosenne światło zbyt go raziło, i ponownie spuszcza głowę.

Nie mogę dłużej tego odwlekać. Wsuwam paznokiec pod wosk, który odchodzi bez trudu. Rozkładam kartkę i od razu widzę, że list został napisany przez naszego medyka. Wiadomość składa się z zaledwie paru linijek tekstu.

***Wasza Królewska Mość!***

***Zgłębokim żalem donoszę, że syn Waszej Królewskiej Mości, książę Edward, zasnął tej nocy w Panu z powodu gorączki, której nie zdołaliśmy zbić, mimo że robiliśmy co w naszej mocy. Po jego odejściu pogrążyliśmy się w wielkim smutku. Będę się modlił za Ciebie, Wasza Królewska Mość, i za Najjaśniejszego Pana, osieroconych z woli Boga.***

***Charles Rhymner.***

Podnoszę wzrok, lecz nic nie widzę. Uświadamiam sobie, że to przez łzy, i kilkakrotnie mrugam, lecz w dalszym ciągu czuję się jak ślepa.

— Poślijcie po miłościwego pana — rzucam.

Ktoś dotyka mojej dłoni, w której kurczowo trzymam list. Czuję ciepło palców lady Elżbiety. Potrafię myśleć tylko o tym, że od teraz następcą tronu jest syn Izabeli, zabawny mały Edward. Po nim zaś na tronie ma szanse zasiąść stojąca przy mnie dziewczyna. Cofam rękę, aby nie mogła do niej sięgnąć.

Ryszard zjawia się w okamgnieniu i opada przede mną na jedno kolano, aby zjrzeć mi w twarz.

— O co chodzi? — pyta szeptem. — Ponoć dostałaś list?

— Edward — mówię tylko. Czuję, że żalność zaraz weźmie nade mną górę, jednakże udaje mi się zaczerpnąć tchu i przekazać mężowi najgorszą wiadomość z możliwych. — Umarł od gorączki. Nasz syn nie żyje.

Dni mijają, a ja dalej nie jestem w stanie dobrać głosu. Chodzę do kaplicy, ale nie mogę się modlić. Wszyscy przywdziali granat tak ciemny, że prawie czarny, nikt nie śmie urządzać zabaw ani polowań, nikt nie śpiewa ani się nie śmieje. Jesteśmy odrętwiali, znaleźliśmy się pod zaklęciem żałoby. Ryszard wydaje się o dekadę starszy, ja nawet nie patrzę w lustro, nie widzę więc bruzd smutku przecinających mi twarz. Nie dbam o to. Nie mam sił na przejmowanie się swoim wyglądem. O świcie moje dworki ubierają mnie, jakbym była lalką, wieczorem ściągają ze mnie ubranie, abym mogła się położyć i czuć łyzy ciekące mi spod zamkniętych powiek na powłóczkę poduszki.

Tak mi wstyd, że dopuściłam do jego śmierci. Jakby to była moja wina albo jakbym mogła w jakiś sposób jej zaradzić. Wstydzę się, że nie urodziłam silnego chłopca jak syn Izabeli albo jak dwaj książęta, którzy zniknęli z Tower. Wstydzę się, że dałam Ryszardowi tylko jednego syna, jedynego dziedzica cenniejszego niż złoto, który miał przedłużyć naszą dynastię i być świadectwem naszego tryumfu. Mieliśmy wyłącznie jednego księcia, nie dwóch, ale i on zniknął.

Opuszczamy Nottingham w pośpiechu i kierujemy się do Middleham. Jakby nasz rychlejszy powrót mógł sprawić, że zastaniemy naszego drogiego syna takim, jakim go zostawiliśmy. Na miejscu znajdujemy małe ciałko w trumnie umieszczonej w kaplicy i dwoje pozostałych dzieci kłęczących obok, zagubionych bez kuzyna, nie umiejących się odnaleźć bez zwykłej codziennej rutyny. Małgorzata rzuca mi się w ramiona i szepcze:

— Tak mi przykro, tak mi przykro...



Zupełnie jakby dziesięcioletnia dziewczynka mogła go uratować.

Nie zdobywam się na zapewnienie siostrzenicy, że w tym, co się stało, nie ma jej winy. Nie znajduję w sobie cienia otuchy dla kogokolwiek. Brak mi jakichkolwiek słów. Ryszard wydaje polecenie, że odtąd dzieci będą mieszkały w Sheriff Hutton. Żadne z nas nie zechce nigdy wrócić do Middleham. Wyprawiamy skromny pogrzeb i asystujemy przy opuszczeniu trumienki do krypty. Nie odczuwam ulgi pomimo modlitw za duszę Edwarda, pomimo odprawianych za niego dwa razy dziennie mszy. Planujemy wzniesienie kapliczki ku jego czci. Mimo to nie ogarnia mnie upragniony spokój. Boję się, że już nigdy nie poczuje nic oprócz bólu.

Wyjeżdżamy z Middleham tak szybko, jak to możliwe. W Durham modłę się za zmarłego syna w ogromnej katedrze. Nic się nie zmienia. W Scarborough patrzę na wzburzone fale na morzu i wspominając pierwsze dziecko Izabeli utracone w połogu, myślę, że utrata niemowlęcia to nic — nic! — w porównaniu z utratą podrośniętego syna. Zawracamy do Yorku. Wszystko mi jedno, gdzie jedziemy. Wszyscy wszędzie patrzą na mnie tak, jakby nie wiedzieli, jak się zachować w mojej obecności. Niepotrzebnie się przejmują. Niczego od nich nie oczekuję. Nie ma nic, co mogliby zrobić. Ojca straciłam na polu bitwy, siostrę przez szpiega nasłanego przez Elżbietę Woodville, swaka z ręki kata wyznaczonego przez tę samą niewiastę, która otruła też mojego siostrzeńca i obłożyła klątwą mojego syna.

Dni stają się jaśniejsze i cieplejsze, a suknia, którą przerzucają mi przez głowę pewnego dnia, jest uszyta z jedwabiu, nie z wełny. W wielkiej sali, gdy już usadzą mnie za wysokim stołem niczym kukiełkę, podają mi jagnięcinę i nowalijki. Z każdym dniem przy stole robi się gwarniej, aż w końcu któregoś wieczoru rozlegają się znów dźwięki muzyki — po raz pierwszy od czasu, gdy przyszedł list. Spostrzegam, że Ryszard zerka na mnie, aby sprawdzić, czy mam coś przeciwko temu, i że aż się cofa na widok pustki w moich oczach. Nie mam nic przeciwko. Nie mam nic przeciwko niczemu. Jeśli chcą, mogą przygrywać nawet do skocznych tańców. Dla mnie nic już nie ma znaczenia.

Tego samego wieczora Ryszard zachodzi do mojej komnaty. Nie odzywa się, tylko obejmuje mnie ciasno i trzyma mocno w ramionach, jakby cierpienie dwojga ludzi mogło zelżeć przez zetknięcie dwóch złamanych

serc. To też nie pomaga. Ogarnia mnie uczucie, że moja komnata sypialna stała się ośrodkiem naszej żałoby, gdy tak leżymy obok siebie, cierpiąc razem, zamiast znajdować się w przeciwległych skrzydłach zamku i cierpieć z osobna.

Nad ranem budzę się, kiedy Ryszard próbuje się ze mną kochać. Leżę pod nim niczym kamień, ani się nie ruszając, ani nic nie mówiąc. Domyślałam się, że jego zdaniem musimy począć następne dziecko, nie wierzę jednak, aby to było możliwe. Takie błogosławieństwo po dziesięciu latach jałowości? Jakże mogłabym począć syna teraz, gdy czuję się martwa, skoro drugie dziecko nie pojawiło się wtedy, gdy czułam się pełna życia, nadziei i miłości? Nie. Dano nam i odebrano jedyne go syna.

Riversówny taktownie opuściły nasz dom, udając się z odwiedzinami do matki, i cieszy mnie to, że nie muszę ich oglądać: trzech z jej pięciu udanych córek. Nie potrafię myśleć o niczym innym, jak o kłątwie, którą rzuciły w obecności Ryszarda, obie: matka i córka, przysięgając, że ktokolwiek odebrał ich rodowi syna i dziedzica, straci też swojego. Zastanawiam się, czy to dowód, że Robert Brackenbury jednak usłyszał w mych słowach rozkaz i udusił dwóch uroczych zdrowych chłopców podczas snu, aby tytuł następcy tronu mógł bezpiecznie przejść na mojego syna. Zastanawiam się, czy to dowód, że mój mąż — bez cienia wstydu, za to z wielkim przekonaniem — nakłamał mi prosto w oczy. Czy to możliwe, że kazał ich zabić, nie mówiąc mi ani słowa? Czy to możliwe, że kazał ich zabić i wyparł się tego przede mną? Czy tak samo okłamał ich matkę? Czy dzięki swym mocom Elżbieta Woodville przejrzała jego kłamstwo i z zemsty odebrała mi syna? Czyż kłątwa rzucona przez czarownicę nie jest jedynym wyjaśnieniem niespodziewanej śmierci mojego Edwarda — na wiosnę, w roku, w którym zakończył dzieciństwo?

Chyba tak. Chyba tak. Dochodzę do takiego wniosku po wielu nieprzespanych nocach. Edward był słabowity, drobny, delikatny, lecz nie miał skłonności do zapadania na gorączkę. Jestem pewna, że to jej złe myśli go dopadły, zaogniły mu krew w żyłach, osłabiły jego płuca, jego biedne serduszko... Jestem pewna, że Elżbieta Woodville i jej najstarsza córka uśmierciły mego syna, mszcząc się za utratę dwóch książąt.

Ryszard przychodzi znów do mnie przed wieczera, aby poprowadzić nas do wielkiej sali, jakby nic się nie zmieniło, jakby świat wciąż był ten sam. Jednakże mnie wystarczy na niego spojrzeć, aby wiedzieć, że wszystko

się zmieniło. Jego oblicze, niegdyś zdecydowane, teraz jest zacięte, ponure nawet. Od nosa do kącików ust biegną głębokie bruzdy, a na czole pojawiły się nowe zmarszczki tuż nad brwiami. Przestał się też uśmiechać. Gdy zwraca swą ponurą twarz ku mojej pobladłej, myślę, że żadne z nas już nigdy się nie uśmiechnie.

## ZAMEK W NOTTINGHAM LATO 1484 ROKU



W pełni lata Riversówny wracają kawalkadą pewnych siebie piękności na dwór królewski, gdzie spotykają się z radosnym powitaniem. Wszystko wskazuje na to, że zwłaszcza dworzanie Ryszarda bardzo za nimi tęsknili. Cała trójka zjawia się w mych komnatach i oddaje mi pokłon z uśmiechem, jak gdybym ja również mogła je powitać z otwartymi ramionami. Zdobywam się na zapytanie ich o podróż oraz o zdrowie matki, jednakże nawet w mych własnych uszach brzmienie mojego głosu dźwięczy słabością i nienaturalnością. Nie dbam o to, jak upłynęła im podróż ani jak czuje się ich matka. Wiem, że młoda Elżbieta napisze zaraz do matki, aby donieść o mej bladości i odrętwieniu, które mnie nie opuszcza. Domyślam się też zawartej w liściku uwagi, że czary, które doprowadziły do śmierci mego syna, niemalże zatrzymały serce w mojej piersi. O to także nie dbam. Obydwie Elżbiety nie są już w stanie mi zaszkodzić. Wszyscy, których kochałam, odeszli z ich powodu; pozostał mi na tym świecie jeno mój mąż, Ryszard. Czy i jego mi odbiorą? Moja rozpacz jest tak głęboka, że właściwie wszystko mi jedno.

Wszelako chyba tak będzie. Elżbieta z Ryszardem przechadzają się po ogrodzie wieczorami, gdy powietrze staje się przyjemnie chłodne. Ryszard lubi mieć ją u swego boku, a dworzanie, którzy są wyczuleni na to, z jakiej strony wieje wiatr, obsypują faworytę króla komplementami, chwając jej roztropność i wdzięczny krok.

Obserwuję ich z okien mojej komnaty w wieży zamkowej, przez co znajdują się hen w dole i idąc nad rzeką, sprawiają wrażenie namalowanego widoczku ilustrującego balladę o rycerzu i damie jego serca. Elżbieta jest wysoka, teraz już prawie tak wysoka jak mój mąż, co widzę wyraźnie,

gdź przechadzają się tuż obok siebie. Zastanawiam się od niechcienia, o czym rozprawiają z takim ożywieniem i co rozbawia ją do tego stopnia, że przystaje i przykłada dłoń do odkrytej szyi, by zaraz znów ująć Ryszarda pod ramię i ruszyć dalej. Z tej wysokości wydają się przystojną i dobrze dobraną parą. Nie dzieli ich zbyt duża różnica wieku: Elżbieta ma lat osiemnaście, a Ryszard ledwie trzydzieści jeden. Oboje są pełni przyrodzonego uroku, który obecnie kierują na siebie nawzajem. Elżbieta ma włosy złociste jak jego brat, a Ryszard jest ciemnowłosy jak ojciec ich dwóch. W pewnym momencie Ryszard chwytą ją za rękę i przyciąga bliżej do siebie, aby szepnąć jej coś na ucho. Elżbieta odwraca głowę, śmiejąc się perliście — jest kokietką jak każda osiemnastoletnia dziewczyna. Oddalają się od dworzan, którzy podążają za nimi w stosownej odległości, aby zapewnić im wrażenie intymności.

Pamiętam, że tak ostrożnie drepzczących dworzan ostatnio widziałam wtedy, gdy król Edward IV przechadzał się ze swą nową kochanicą Jane Shore, a królowa Elżbieta znajdowała się w komnacie niewieściej, oczekując rozwiązania. Z chwilą opuszczenia przez królową komnaty niewieściej ładacznica zniknęła z pałacu i nigdy więcej o niej nie usłyszeliśmy — uśmiecham się na wspomnienie nieśmiałej, przepraszającej w wymowie czułości, którą król potem okazywał żonie, oraz pewnego spojrzenia jej szarych oczu. To dziwne uczucie, patrzeć znów na dworzan starannie odmierzających kroki, szczególnie że tym razem to mój mąż dąży do chwili prywatności, przechadzając się pod rękę ze swoją bratanicą.

Dlaczego tak się zachowują? pytam samą siebie, przyciskając czoło do zimnej szyby okna. Dlaczego dworzanie trzymają się taktownie w tyle? Czyżby sądzili, że może zostać jego kochanicą? Czyżby uważali, że król podczas tych wieczornych przechadzek na świeżym powietrzu uwodzi własną bratanicę, że zapomniał, co jest winien własnemu rodowi, do czego go zobowiązują śluby mi złożone — nie tylko jako małżonce, lecz również osieroconej matce jego syna?...

Czy to możliwe, iż dworzanie przede mną zrozumieli, że Ryszard podźwignął się już z żałoby, poskładał do kupy złamane serce i wrócił do świata żywych: jest zdolny oddychać pełną piersią, patrzeć na świat szeroko otwartymi oczyma i dostrzec w nim ładniutką młodą dziewczynę, która gorliwie trzyma go za rękę i spija słowa z jego ust, zaśmiewając się z rzucanych przezeń żarcików? Czy to możliwe, iż dworzanie już wiedzą,

że Ryszard zamierza ją pojąć? Czy naprawdę sądzą, iż mój mąż tak się pogubił, że myśli o zdeflorowaniu córki rodzonego brata?

Rozważam ten koncept, obracając w myślach słowa „zdeflorować” i „córka rodzonego brata”, lecz nie potrafię dłużej się na nim skupić, podobnie jak na jutrzejszym polowaniu czy dzisiejszej wieczerzy. Dziewictwo Elżbiety oraz jej szczęście nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Dosłownie wszystko dociera do mnie jakby z daleka, własne odczucia zdają się odczuciami kogoś innego. Nie nazwałabym się osobą nie-szczęśliwą, to określenie nie oddaje stanu mego umysłu. Już raczej powiedziałabym o sobie, że umarłam dla świata. Nie obchodzi mnie, czy Ryszard próbuje zwieść bratanicę na manowce czy to ona uwodzi go swym dziewczęcym urokiem. Tak czy owak jest dla mnie jasne, że Elżbieta Woodville, odebrawszy mi syna za pomocą kłatwy, teraz usiłuje odebrać mi męża przy pomocy swojej córki. Wiem, że nie mogę temu w żaden sposób zapobiec. Czarownica postawi na swoim jak zawsze. Co najwyżej mogę mocniej przycisnąć rozgrzane czoło do zimnej szyby i żałować, że muszę być tego świadkiem. Że muszę być świadkiem czegokolwiek...

Dworzanie nie w zupełności oddają się hipokryzji królewskiego flirtu i mojej żałobie. Ryszard co rano spotyka się ze swymi doradcami, wyznacza komisarzy mających przeprowadzić zaciąg w hrabstwach na wypadek inwazji Henryka Tudora stacjonującego w Bretanii, szykuje flotę do wojny ze Szkocją, nęka francuskie statki krążące po Kanale Angielskim. Opowiada mi o swoich planach, a ja czasami służę mu radą, jako że dzieciństwo spędziłam w Calais, on zaś idzie w ślady papy, który hołdował polityce pokoju z naszymi północnymi sąsiadami oraz ograniczonego zaufania w wypadku Francuzów.

W lipcu wybiera się do Yorku, aby ustanowić radę północy, co ma być potwierdzeniem tego, że północ pod wieloma względami różni się od południowej części Anglii i w dużej mierze stanowi osobny kraj, którego Ryszard jak zawsze jest dobrym władcą. Przed wyjazdem zachodzi do mej komnaty i gestem odprawia towarzyszące mi dworki. Elżbieta, wychodząc, rzuca mu uśmiech, którego ten jeden raz mój mąż nawet nie zauważa. Przysuwa sobie zydzel i zasiada tuż przy mnie.

— O co chodzi? — pytam bez szczególnego zainteresowania.

— Pragnę porozmawiać z tobą o twojej matce — mówi.

Czuję lekkie zdziwienie, któremu jednak daleko do ciekawości. Ostatnimi czasy jestem zupełnie wyzuta z ludzkich cech. Dokańczam ścieg, który zaczęłam, wbijam igłę w jedwabną poduszeczkę i odkładam całość robótki na bok.

— Słucham.

— Myślę, że można ją już uwolnić spod naszej pieczy — powiada Ryszard. — I tak nie wrócimy do Middleham...

— Nie, nigdy — wpadam mu w słowo.

— Tak więc możemy zapomnieć o tej siedzibie. Twoja matka dostałaby własną, a do tego rentę na niezbędne wydatki. Po co łożyć na wielki zamek, w którym mieszka tylko jedna osoba.

— Nie boisz się, że będzie nas obgadywać?

Nawet teraz nie chcę poruszać tematu legalności naszego małżeństwa. Niech Ryszard myśli, że całkowicie mu ufam, jak wtedy gdy się pobierałiśmy. Zresztą wszystko mi jedno.

W odpowiedzi na moje pytanie wzrusza ramionami.

— Ja jestem królem, a ty jesteś królową Anglii. W tym kraju obowiązuje prawo zabraniające obgadywania pary panującej. Twoja matka musi o tym wiedzieć.

— A nie boisz się, że zechce odzyskać swoje ziemie?

Na to tylko się uśmiecha.

— Raczej nie ma szans przeforsować swojej woli, skoro jako się rzekło, jestem królem. Nawet gdyby sąd przyznał jej część utraconego majątku, stać mnie na to, aby go poświęcić. Zresztą i tak wszystko odzyskasz po jej śmierci.

Kiwam głową. Co za różnica, skoro sama nie mam spadkobiercy.

— Chciałem się tylko upewnić, że nie masz nic przeciwko temu, abym ją uwolnił. I zapytać, czy wskażesz może jakieś miejsce, gdzie powinna zamieszkać.

Teraz to ja wzruszam ramionami. W Middleham zimą mieszkało czworo ludzi: Małgorzata i jej brat Edward, mój syn i moja matka. Jak to możliwe, że śmierć zabrała wnuka, a nie jego babkę?

— Straciłam syna — mówię głucho. — Dlaczego miałabym się przejmować matką?

Ryszard odwraca głowę, nie dość szybko jednak, abym nie spostrzegła grymasu cierpienia na jego twarzy.

— To prawda... Niezbadane są ścieżki Pana...

Podnosi się na nogi i wyciąga do mnie rękę. Ujmuję ją i także wstaję, wygładzając kosztowny jedwab sukni.

— Ładny kolor — zauważa. — Masz może więcej tego materiału?

— Chyba tak — odpowiadam zaskoczona. — Jak mi się zdaje, przywieziono z Francji całą belę. Życzysz sobie, aby uszyto ci z niego dublet?

— Byłoby w nim do twarzy naszej bratanicy Elżbiecie — rzuca lekkim tonem.

— Proszę?

Uśmiecha się na widok mojej miny.

— W tym kolorze byłoby Elżbiecie do twarzy, nie uważasz?

— Chcesz, żeby miała taką samą suknię jak ja?

— Będzie ją wkładać tylko od czasu do czasu... pod warunkiem, że zgodzisz się ze mną, iż to dla niej twarzowy kolor.

Ten godny pożałowania pomysł wyrывa mnie z letargu.

— Co ty sobie myślisz? Wszyscy uznają, że jest twoją kochanicą, jeśli włoży jedwabie nie ustępujące jakością moim! Ba, gorzej nawet! Nazwą ją ladacnicą na twoich usługach! A ciebie starym lubieżnikiem...

Ryszard kiwa głową nieporuszony moimi słowami.

— Pewnie tak.

— Naprawdę tego chcesz? Chcesz zhańbić ją, zhańbić mnie i pozbawić honoru siebie samego?

Ujmuje moją dłoń.

— Anno, ukochana Anno. Jako król i królowa musimy zapomnieć o sobie samych. Musimy pamiętać, że znajdujemy się pod ciągłą obserwacją i że nasze czyny mają takie znaczenie, jakie przypiszą im ludzie. Naszym obowiązkiem jest ciągle udawać.

— Nie rozumiem — mówię bezradnie. — Co niby mamy udawać?

— Czy ta dziewczyna przypadkiem nie jest zaręczona?

— Owszem, z Henrykiem Tudorem, o czym doskonale wiesz od zesłych świąt Bożego Narodzenia.

— Kto w takim razie wyjdzie na głupca, jeśli świat uzna ją za moją kochanicę?

Powoli zacznę rozumieć, do czego zmierza Ryszard.



— Jak to kto? Henryk Tudor oczywiście.

— I wtedy wszyscy ci, którzy poparli nieznanego nikomu Walińczyka, urodzonego w ostępach Walii syna Małgorzaty Beaufort, dlatego że obiecał małżeństwo księżniczce Elżbiecie, ulubionej córce największego angielskiego króla, wszyscy oni pójdą po rozum do głowy. Powiedzą: jeśli nawet wesprzemy Tudora, nie doprowadzimy do osadzenia na tronie księżniczki z dynastii Yorków, bo księżniczka Elżbieta York stanowi ozdobę dworu króla Ryszarda, tak jak wcześniej zdobiła dwór swego ojca, króla Edwarda, i jest dla króla Ryszarda pełna podziwu, i okazuje mu swoje poparcie...

— Będą tacy, co powiedzą, że zwykła jawnogrzesznicza z niej. Zostanie zhańbiona.

Mój mąż wzrusza ramionami.

— To samo powiadali o jej matce. Ba, parlament przegłosował uchwałę, w której została tak nazwana. Poza tym nie myślałem, że cię to obejdzie.

Ryszard ma rację. Nic mnie nie obchodzi. A już najmniej upokorzenie Riversówny.

## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN ZIMA 1484 ROKU



Groźba inwazji z Bretanii niepokoi nas wszystkich. Henryk Tudor to młodziak i każdy król czujący się pewniej na tronie zlekceważyłby jego wątłe prawo do korony Anglii, odziedziczone po kądzieli. Jednakże na tronie zasiada Ryszard III York, który obawia się ataku pretendenta szukającego poparcia u bretońskiego księcia, co od dawna udziela mu gościny, i francuskiego króla — odwiecznego wroga Anglii.

Małgorzata Beaufort, jego matka, a moja niegdysiejsza przyjaciółka, dąsa się na prowincji trzymana pod kluczem przez własnego męża na rozkaz Ryszarda, natomiast jego rzekoma narzeczona, księżniczka Elżbieta, panoszy się na dworze królewskim, tańcząc co noc w pałacu, w którym się wychowała, olśniewając klejnotami na dekolcie i nadgarstkach i złotą siateczką na włosach. Niemal codziennie otrzymuje prezenty, gdy siedzimy przed południem w komnatach z widokiem na szaroburą Tamizę. Co rano rozlega się pukanie do drzwi i paż wchodzi z podarkiem dla dziewczyny, którą wszyscy nauczyli się nazywać księżniczką Elżbietą, mimo że Ryszard doprowadził do przegłosowania uchwały obwołującej ją bękartem i przywracającej jej nazwisko pierwszego męża matki. Młódka otwiera podarunki z chichotem, rzucając mi ukradkowe spojrzenie pełne winy. Nigdy nie ma liściku, który by mówił, kto jest darczyńcą, aczkolwiek wszyscy i tak dobrze znają jego tożsamość. Wspominam ubiegły rok, gdy Ryszard obsypywał mnie prezentami każdego dnia od Bożego Narodzenia do Trzech Króli — choć robię to z obojętnością. Przestałam dbać o dary i klejnoty.

Uczta świąteczna wieńczy jej szczęście. Przed rokiem Elżbieta była odartą z wszelkich godności podopieczną na dworze królewskim, okrzyk-

niętą bękartem przez parlament i nazywaną narzeczoną przez zdrajcę i uzurpatora, do tego czasu jednak zdążyła wznieść się na szczyt niczym tani korek miotany falami. Od jakiegoś czasu chodzimy na przymiarki razem, jak matka i córka albo jak siostry. Stoimy w pomieszczeniu pałacowej garderoby, podczas gdy szwaczki wbijają szpilki w jedwabie i złotogłów i narzucają na nasze ramiona futra. Spoglądam w taflę wielkiego posrebrzanego zwierciadła i widzę swoją zmęczoną twarz i wyblakłe włosy na tle tych samych żywych kolorów, w które przybrana jest uśmiechnięta ślicznotka obok mnie. Ma o dziesięć lat mniej niż ja, co rzuca się jaskrawo w oczy dopiero, gdy jesteśmy razem, ubrane identycznie.

Ryszard otwarcie podarowuje jej klejnoty jak moje, Elżbieta nosi na głowie kornecik przypominający koronę, diamenty w zgrabnych uszkach i szafiry na dekolcie. Dwór olśniewa w to Boże Narodzenie: wszyscy występują w swych najlepszych strojach, co dzień trwają rozrywki, gry i zabawy. Elżbieta tańczy do upadłego, jest królową krotochwil, mistrzynią gier, panią uczyty. Ja zasiadam na swoim tronie pod baldachimem, czując na skroniach ciężar korony, i przybieram twarz w pełen wyrozumiałości uśmiech, gdy mój mąż wstaje i rusza do tańca z najpiękniejszym dziewczęciem w pałacu albo ujmuje ją za rękę i odprowadza na stronę, by zamienić parę słów, po czym przyprowadza z powrotem do wielkiej sali zaróżowioną i rozczochraną. Elżbieta zerka na mnie przeprasząco, jak gdyby miała nadzieję, iż nie przeszkadza mi to, że dworzanie, a powoli także wszyscy Anglicy uważają ich za kochanków, sądząc, że Ryszard zamierza mnie odprawić. Ma dość przywoitości, by zrobić skruszoną minę, lecz poznać po niej, że namiętność nie pozwala jej się wycofać. Nie potrafi mu odmówić, nie umie zaprzeczyć samej sobie. Być może jest szczerze zakochana.

Ja również tańczę. Gdy rozlega się powolna i stateczna melodia, pozwalam Ryszardowi powieść się na środek sali i wkrótce ustawiają się za nami liczne pary, sunące miarowymi krokami. W naszej parze to Ryszard prowadzi; ja nie mam głowy do zważania na takty muzyki. Zaledwie przed rokiem nasz dwór oszałamiał — nowy król, nowe bogactwo do rozdania, nowe skarby do zaskarwienia, nowe suknie do pokazania — a potem mój syn nagle zachorzał i umarł od zwykłej, lekkiej gorączki, kiedy mnie nie było przy jego łóżku. Nie było mnie

nawet na zamku w Middleham. Świątowałam nasz sukces, polowałam w lasach Nottingham. Dziś nawet nie potrafię sobie przypomnieć, coż to była za okazja do świętowania.

W samo Boże Narodzenie, najświętszy dzień w roku, udajemy się do kaplicy kilkakrotnie. Elżbieta jest wcieleniem pobożności: z zielonym muślinem na jasnych włosach trzyma oczy skromnie spuszczone. Ryszard wychodzi z kaplicy ze mną u boku, trzymając mnie za rękę.

— Wydajesz się zmęczona — stwierdza.

Zaiste, czuję się zmęczona życiem.

— Skądże — odpowiadam. — Z niecierpliwością wypatruję kolejnych dni obchodów.

— Krażą nieprzyjemne plotki. Nie zważaj na nie, nie są tego warte.

Zatrzymuję się i wszyscy dworzanie za nami także przystają.

— Odejdźcie — rzucam przez ramię. Tłum się rozchodzi w okamgnieniu, tylko Elżbieta posyła mi takie spojrzenie, jakby miała zamiar nie posłuchać polecenia. Ryszard jednak potrząsa lekko głową w jej stronę, na co ona dyga płytko przede mną i znika. — Jakie plotki? — zwracam się do męża.

— Jak mówiłem, nie powinnaś na nie zważać.

— W takim razie lepiej będzie, jeśli usłyszę je od ciebie zamiast od kogoś innego.

Ryszard wzrusza ramionami.

— Ludzie szepczą, że zamierzam cię odprawić i poślubić księżniczkę Elżbietę.

— Zatem twoja szarada odniosła sukces — zauważam. — Albo w i e m była to tylko dworska szarada? A może raczej prawdziwe konkury?

— Jedno i drugie — odpowiada Ryszard z ponurą miną. — Musiałem zdyskredytować zaręczyny między nią i Tudorem. Który najpewniej zaatakuje już tej wiosny. Musiałem do niego zniechęcić zwolenników rodu Riversów.

— Uważaj, żebyś nie zniechęcił do siebie zwolenników rodu Neville'ów — rzucam cierpko. — Jestem córką Twórcy Królów, nie zapominaj. Na północy niejeden cię wspiera przez wzgląd na mnie. Nawet w dzisiejszych czasach moje nazwisko ma swoją moc. Nie będziesz mógł liczyć na ich poparcie, jeśli mnie obrazisz.

Ryszard całuje moją dłoń.

— O niczym nie zapominam, Anno. I nie zapomnę. Poza tym nigdy bym cię nie obraził. Jesteś moją miłością, serce moje. Złamane serce, co prawda...

— Czy to już wszystko?

Waha się z odpowiedzią.

— Krążą też pogłoski o truciznie.

Na wzmiankę o broni używanej przez Elżbietę Woodville stają jak przykuta.

— Na jakiej podstawie?

— W kuchniach zdechł pies, który zlizął wychlapane danie. Być może to nic poważnego. W pałacu strach ma wielkie oczy.

— Dla kogo było przeznaczone to danie?

— Dla ciebie.

Nic nie mówię. Nic nie czuję. Nawet zdziwienia. Elżbieta Woodville jest moim wrogiem od lat. Teraz, gdy żyje wolno i w spokoju na prowincji, także czuję na sobie spojrzenie jej szarych oczu. Dla niej pozostałam córką człowieka, który zamordował jej ukochanego ojca i brata. Ostatnio zaś stałam się dodatkowo niewiastą, która stoi na drodze jej córce. Gdybym umarła, Ryszard uzyskałby dyspensę od papieża i mógłby poślubić swoją bratanicę. Dynastia Yorków zjednoczyłaby się ponownie, ta stara czarownica znów byłaby nazywana królową wdową i miałyby szanse zostać babką następnego króla Anglii.

— Nie daje za wygraną... — mówię pod nosem.

— Kto? — pyta zdumiony Ryszard.

— Elżbieta Woodville. Gdyż jak się domyślam, to ona usiłowała mnie otruć?

Wybucha głośnym śmiechem, nagłym i nieopanowanym jak kiedyś. Dawno nie słyszałam tego śmiechu. Uspokoiwszy się, unosi mą dłoń do ust i składa na niej pocałunek.

— Nie, akurat jej nikt nie podejrzewa — zaprzecza. — Ale to bez znaczenia. Ochronię cię. Będę cię strzegł. Powinnaś jednak więcej odpoczywać. Naprawdę wyglądasz na zmęczoną. Wszyscy tak mówią.

— Czuję się całkiem dobrze — odpowiadam.

W duchu zaś dodaję: „Czuję się wystarczająco dobrze, aby przeszkodzić jej córce we włożeniu korony!”.

## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN STYCZEŃ 1485 ROKU



Obchody Bożego Narodzenia dobiegają końca. Nadchodzi Święto Objawienia Pańskiego, ostatni dzień niekończącego się ciągu trwających dwanaście dni uroczystości. Odziewam się z nadzwyczajną uwagą w karminowo-złotą suknię, a Elżbieta, ubrana tak samo jak ja, zmierza za mną do sali tronowej, gdzie staje obok mnie, jak gdyby chciała pokazać całemu światu różnicę między starą królową i młodą faworytą. Najpierw odbywa się maskarada, której motywem przewodnim jest uczta świąteczna i epifania, potem zaś rozpoczynają się tańce. Ryszard i Elżbieta tańczą razem, tak zgrani, że nie myślą ani jednego kroku. Dziewczyna odziedzi-czyła wdzięk po matce, wszyscy wodzą za nią wzrokiem jak zauroczeni. Dostrzegam czułość Ryszarda wobec niej i ponownie się zastanawiam, gdzie kończy się dworska szarada, a gdzie zaczynają prawdziwe konkury.

Epifania to jedyny dzień w roku, kiedy kształty rozmywają się na konturach i niczyja tożsamość nie jest przesądzona. Niegdyś byłam córką Twórcy Królów, wychowaną w wiedzy, że pewnego dnia zostanę jedną z pierwszych dam królestwa. Obecnie jestem królową. To powinno zadowolić i papę, i mnie, jednakże gdy myślę o cenie, jaką przyszło nam zapłacić za tę przemianę, zaczynam myśleć, że opatrność nas oszukała. Podnoszę głowę z uśmiechem, pokazując, jaka jestem szczęśliwa, gdy mój mąż tańczy ze swoją bratanicą, nie mogąc oderwać spojrzenia od jej zarumienionej twarzy. Muszę pokazać wszystkim, że czuję się dobrze i że regularnie zadawana podstępna ręką szpiega Elżbiety Woodville kropla trucizny w przeznaczony dla mnie potrawie czy w podanym mi kielichu wina, a może nawet w perfumach, którymi są nasączone moje rękawiczki, nie zabija mnie powoli.

Melodia cichnie i Ryszard wraca na swoje miejsce obok mnie. Elżbieta szczebiocze ze swoimi siostrami. Oboje z mężem mamy na głowach swoje korony dla uczczenia ostatniego dnia świąt, dla pokazania wszystkim, że to my panujemy w Anglii, dla zapewnienia przybyszów z najdalszych hrabstw, że nasz dwór nadal olśniewa. Wtem otwierają się boczne drzwi i wchodzi przez nie posłaniec z wiadomością dla Ryszarda. Mój mąż czyta pośpiesznie treść i kiwa mi głową, jakby zakład, w którym postawił, przyniósł mu wygraną.

— Co się stało?

Odpowiada ściszym głosem:

— Wieści o Tudorze. W te święta nie potwierdził swych zaręczyn. Wygrałem tę rundę. Stracił swoją narzeczoną i stracił poparcie zwolenników rodu Riversów. — Uśmiecha się do mnie. — Zrozumiał, że nie może się z nią ożenić, że Elżbieta znajduje się w mojej pieczy i jest moją kochanicą. Ograbiłem go z narzeczonej i z armii popleczników.

Rzucam spojrzenie na drugą stronę komnaty, gdzie Elżbieta ćwiczy kroki jakiegoś tańca razem z siostrami, niecierpliwie wyczekując chwili, aż muzyka rozbrzmi na nowo. Otacza je grupka młodych mężczyzn, z których każdy ma nadzieję, że Elżbieta wybierze go sobie na partnera.

— Przywiodłeś ją do ruiny, skoro na całym świecie ludzie mają ją za przechodzony towar, królewską klaczkę.

Mój mąż wzrusza ramionami.

— Każdy, kto zbliży się do tronu, wiele ryzykuje. Wiedziała o tym Elżbieta, a już na pewno wiedziała o tym jej matka — zamyka temat. — To jednak nie wszystko.

— Jest coś więcej?

— Znam datę planowanej inwazji Tudora.

— Naprawdę? Kiedy?

— Tego lata.

— Jakim cudem to wiesz? — szepczę.

Ryszard obdarza mnie uśmiechem.

— Mam na jego udawanym dworze szpiega.

— Kto nim jest?

— Starszy syn Elżbiety Woodville z pierwszego małżeństwa. Jak widać, Riversowie bardzo nam się przydają ostatnimi czasy...

## PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN MARZEC 1485 ROKU



Ryszard gotuje się do odparcia inwazji. Ja gotuję się na śmierć. Elżbieta gotuje się na wesele i koronację, chociaż nic w jej pełnej szacunku postawie na to nie wskazuje w oczach wszystkich poza mną. Zmysły mam wyostrzone do granic. Tylko ja dostrzegam zatem lśnienie jej źrenic, gdy wraca z przechadzki po ogrodzie, sposób, w jaki poprawia włosy, jak gdyby ktoś ją do siebie przyciągnął i przekrzywił jej czepek; tylko ja dostrzegam, że tasiemki jej peleryny są rozwiązane, jak gdyby rozchyliła ją. aby pozwolić jego ręką objąć się w talii i przyciągnąć bliżej.

Wino piję, dopiero gdy ktoś go spróbuje; posilam się dopiero po tym, jak ktoś skosztuje mych dań. Mimo to nieprzerwanie tracę siły, chociaż dzień się wydłuża, a słońce przygrzewa mocniej i kos wije sobie gniazdo w konarach jabłoni za oknami mojej komnaty, co rano budząc mnie radosnymi trelami. Mam kłopoty z zaśnięciem — czy to w nocy, czy za dnia. Rozmyślam o dziewczęcych latach, kiedy Ryszard uratował mnie przed biedą i upokorzeniem; rozmyślam o dzieciństwie, kiedy Izabela i ja bawiłyśmy się w królowe. Wprost nie mogę uwierzyć, że mam dwadzieścia osiem lat, Izabela umarła, a mnie odechciało się być królową.

Przyglądam się bacznie księżniczce Elżbiecie i w pewnym sensie jej współczuję. W jej opinii umieram — aczkolwiek, przyznając, to nie jej ręka przyprósza powłóczkę mojej poduszki trucizną, która odbiera mi siły. Elżbieta myśli, że umieram na jakąś wyniszczającą chorobę i że kiedy w końcu umrę, Ryszard z miłości do niej uczyni ją swoją królową, po czym jej życie będzie usłane różami: każdy dzień będzie dniem świątecznym, każdego dnia będzie na nią czekać nowa suknia, każda pora roku przywita



ją w pałacu albo zamku zapamiętanym z lat dziecińczych i słusznie jej się należącym jako córce Elżbiety Woodville i jej następczyni na tronie Anglii.

Myśli, że mój mąż mnie nie kocha, być może nawet nigdy mnie nie kochał. Myśli, że jest pierwszą niewiastą, jaką kiedykolwiek pokochał, i że odtąd będzie ją kochał nieprzerwanie, ona zaś przetańczy resztę życia, zawsze podziwiana, zawsze piękna — królowa ludzkich serc tak samo jak jej matka.

Te wyobrażenia są tak dalekie od prawdy o byciu królową Anglii, że aż chce mi się śmiać. Chichoczę, dopóki nie zacznę kasłać i nie poczuję kłucia w boku. Dobrze znam Ryszarda. Wiem, że może być nią zauroczony w tej chwili, że może nawet już ją uwiódł i we wspólnym łożu czerpał radość z jej spazmów w jego ramionach, lecz wiem też, że Ryszard nie jest głupcem, który by dla niej zaryzykował koronę i królestwo. Odebrał ją Henrykowi Tudorowi, zgodnie z planem. Nigdy by jednak nie naraził się moim krewniakom, którzy obrazę mnie potraktowaliby jak obrazę siebie samych, tak samo jak nasi dzierżawcy i poddani. Nigdy mnie nie odprawi, aby wziąć sobie za żonę ją. Nie posadzi Riversówny na moim tronie. Wątpię, ażeby nawet ta czarownica Elżbieta Woodville miała podobne złudzenia.

Dochodzę do wniosku, że pora pogodzić się ze śmiercią. Nie czuję strachu. Odkąd straciłam syna, duszę mam tak udręczoną, że gdy wreszcie nadejdzie mój koniec, po prostu zasnę, nie martwiąc się o koszmary ani o konieczność przebudzenia. Jestem gotowa na śmierć. Jestem zmęczona życiem.

Wszelako zanim umrę, muszę jeszcze coś zrobić. Posyłam po Roberta Brackenbury'ego, dobrego przyjaciela Ryszarda. Wezwany stawia się w mych komnatach rankiem, kiedy wszyscy dworzanie są na polowaniu. Dotrzymująca mi towarzystwa panna dworska otwiera mu drzwi, po czym znika odprawiona moim gestem.

— Mam do ciebie pewne pytanie — zaczynam.

Zdaje się wstrząśnięty moim wyglądem.

— Pytaj, o co zechcesz, najjaśniejsza pani — mówi. Ja jednak widzę, jak przez twarz przemyka mu zwątpienie, i domyślam się, że nawet zaпытany nie powie mi wszystkiego.

— Pamiętasz, rozmawialiśmy kiedyś o książętach... — Zmęczenie nie pozwala mi owijać w bawełnę. Poza tym chcę jak najszybciej poznać

prawdę. — O chłopcach Riversów przetrzymywanych w Tower. Powiedziałam wtedy, że tylko ich zabicie zagwarantuje memu mężowi bezpieczne panowanie. Ty stwierdziłeś, że mam zbyt miękkie serce.

Brackenbury klęka przede mną i zamyka moje drobne dłonie w swoich wielkich jak bochny rękach.

— Pamiętam, najjaśniejsza pani.

— Umieram, sir Robercie — mówię bez ogródek. — Wolałabym wiedzieć, jakie grzechy mam do wyznania, kiedy przyjdzie pora odebrać ostatnie namaszczenie. Możesz mi wyznać prawdę. Czy spełniłeś wypowiedziane przeze mnie życzenie? Czy uchroniłeś Ryszarda przed niebezpieczeństwem, jak zawsze? Czy uznałeś, że w ten zawołowany sposób wydałam ci rozkaz?

Cisza przedłuża się. W końcu Brackenbury potrząsa dużą głową.

— Nie mogłem tego zrobić — rzecze cicho. — Za nic bym tego nie zrobił.

Cofam dłonie z jego uścisku i prostuję się na krześle. Brackenbury unosi kolana i teraz kuca przede mną.

— Książęta żyją czy nie? — pytam prosto z mostu.

Brackenbury wzrusza potężnymi ramionami.

— Najjaśniejsza pani, nie wiem. Gdybym jednak miał ich szukać, szukałbym wszędzie, tylko nie w Tower. Tam ich nie ma.

— Gdzie rozpoczęłybyś poszukiwania?

Spojrzenie ma wbite w kamienną posadzkę.

— Gdzieś we Flandrii — odpowiada. — W pobliżu którejś z siedzib ich ciotki, Małgorzaty York. Tam, gdzie rodzina twego męża zawsze wysyłała dzieci, gdy coś im groziło. Król Ryszard i jego brat Jerzy mieszkali przez jakiś czas we Flandrii. Książę Clarence też zamierował odesłać tam syna. To stary zwyczaj Plantagenetów, którzy często musieli chronić swoje latorośle.

— Twoim zdaniem uciekli z kraju? — szepczę.

— Wiem, że nie ma ich w Tower, i wiem, że nie zginęli pod moim okiem.

Przykładam dłoń do szyi, czując przyśpieszony puls. Trucizna zageśzcza moją krew, sprawia, że płuca mam ciężkie i ledwie mogę oddychać. Gdybym zdołała złapać odrobinę tchu, roześmiałabym się na myśl, że synowie króla Edwarda żyją, choć moje dziecko szczyło. Że gdy Ryszard zacznie się rozglądać za następcą tronu, powinien zwrócić wzrok nie na

księżniczkę Elżbietę, tylko na dwóch młodszych od niej chłopców, którzy upomną się o koronę swego ojca.

— Jesteś tego pewien?

— Nie są pochowani w Tower — rzecze. — Co do tego mam pewność. I ja ich nie zabiłem. Nie odebrałem twoich słów jako rozkazu. Zresztą nawet gdyby tak się stało, nigdy bym nie wykonał podobnego polecenia.

Z drzeniem wypuszczam wstrzymywany oddech.

— A zatem moje sumienie jest czyste?

Robert Brackenbury skłania głowę.

— Równie czyste jak moje.

Przechodzę do komnaty sypialnej, słysząc, że wszyscy wracają z polowania. Nie byłabym w stanie znieść rozgwaru ich rozmów ani promieniających obliczy. Panny dworskie pomagają mi się położyć, a kiedy już leżę w łóżku, otwierają się drzwi i do środka wślizguje się księżniczka Elżbieta.

— Przyszłam sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz — mówi.

Kręcę głową spoczywającą na ozdobnie wyszywanych poduszkach.

— Nie — odpowiadam. — Niczego mi nie trzeba.

Mimo to waha się z odejściem.

— Mam cię zostawić samą? Czy raczej posiedzieć z tobą?

— Możesz zostać — mówię jej. — Jest coś, co powinnaś usłyszeć.

Zamiera w oczekiwaniu, stojąc obok łoża. Dłonie ma splecione, wyraz twarzy uważny, lecz spokojny.

— Chodzi o twych braci...

Jej oblicze natychmiast się rozjaśnia.

— Tak? — pyta na wydechu.

Nikt, kto by ją zobaczył, nie pomyślałby, że jest pogrążoną w żalobie osieroconą siostrą. Elżbieta coś wie, czuję to. Jej matka poczyniła jakieś kroki, zdołała coś zrobić, jakoś ich uratować... Być może do czasu miała obu synów za zmarłych i dlatego przeklęła człowieka, który pozbawił ich życia. Jednakże to dziewczę wygląda jak ktoś, kto spodziewa się usłyszeć dobre nowiny na temat braci. Z pewnością nie jak ktoś, kto przeżył ciężką stratę. Wiem już, że zdaniem księżniczki Elżbiety obydwaj chłopcy są bezpieczni.

— Obawiam się, że nie wiem więcej niż ty — mówię przebiegle.  
— Uzyskałam jednak zapewnienie, że nie zginęli w londyńskiej Tower ani nie są tam przetrzymywani.

Ledwie zauważalnie kiwa głową, jakby nie śmiała potwierdzić moich słów w żaden inny sposób.

— Przypuszczam, że obiecałaś dochować tajemnicy?

Elżbieta powtarza wcześniejszy gest; ktoś mniej uważny w ogóle by się nie zorientował, że się poruszyła.

— Zatem prawdopodobnie ujrzysz jeszcze swojego Edwarda tutaj, na ziemi. Ja zaś zobaczę swojego w niebiesiech.

Elżbieta opada na klęczki przy moim łożu.

— Najjaśniejsza pani, modlę się, abys wróciła do zdrowia! — wota ze szczerością w głosie.

— W każdym razie możesz przekazać swojej matce, że nie miałam swego udziału w zniknięciu jej synów — dodaję. — Możesz jej przekazać, że to koniec waśni między nami. Mój ojciec zabił jej ojca, moja siostra nie żyje, mój siostrzeniec i syn także nie żyją, a mnie już pozostało niewiele czasu.

— Przekażę jej, skoro o to prosisz. Ale wiedz, że moja matka nie żywi do ciebie wrogości. Jestem tego pewna.

— Miała szkatułkę — odzywam się c i c h o . — A w niej skrawki papieru... z wypisanymi krwią dwoma imionami!

Dziewczyna patrzy mi prosto w oczy.

— Nic mi o tym nie wiadomo — rzecze bez drżenia w głosie.

— Czy to były imiona moje i mojej siostry? — pytam. — Czy twoja matka była wrogiem moim i Izabeli? Czy słusznie się jej obawiałam przez te wszystkie lata?

— Na papierze widniało: „Jerzy” i „Warwick” — wyznaje niespodziewanie Elżbieta. — Papier pochodził z ostatniego listu mego dziadka. Tego, który napisał do mojej babki w noc przed egzekucją. Moja matka poprzysięgła zemstę Jerzemu i twemu ojcu, którzy doprowadzili do jego śmierci. To były ich imiona. Żadne inne. Śmierć mego dziadka została w końcu pomszczona.

Odchylam się na poduszki z uśmiechem. Izabela nie zmarła z powodu klątwy Elżbiety Woodville. Mój ojciec zginął w walce, Jerzy został stracony. Nie muszę się jej obawiać. Prawdopodobnie od dawna wie, że jej

synowie są bezpieczni. Zapewne więc mój syn nie umarł przez jej klątwę. Nie sprowadziłam na niego klątwy czarownicy. Strach mnie odchodzi. Być może nie umieram, zabijana małymi dawkami trucizny.

— Oto koleje życia — powiadam sentencjonalnie do księżniczki Elżbiety. — Małgorzata Andegaweńska uczyła mnie, jak być królową, a ja chyba pokazałam tobie, jak nią zostać. Koło fortuny doprawdy zatoczyło okrąg. — Palcem wskazującym kreślę w powietrzu kółko, znak koła fortuny. — Można wznieść się bardzo wysoko i upaść bardzo nisko, lecz mało komu się udaje wpłynąć na to, kiedy i jaki obrót obierze los.

W komnacie zrobiło się mroczno. Zastanawiam się, gdzie podziały się godziny od przyjścia Elżbiety.

— Czy to już noc? — pytam.

Wstaje i podchodzi do okna.

— Nie. To nie noc. Ale dzieje się coś bardzo dziwnego...

— Opowiedz, co widzisz.

— Może pomogę ci podejść do okna?

— Nie, nie, jestem zbyt zmęczona. Po prostu opowiedz, co widzisz.

— Widzę słońce, które coś przesłania... zupełnie jakby ktoś zakrył je talerzem. — Przykłada dłoń do czoła. — Tarcza jest jasna tak jak zawsze, ale przemieszcza się po niej coś ciemnego. — Odwraca się do mnie, mrugając. — Co to może oznaczać?

— Ruch planet? — podsuwam.

— Rzeka zrobiła się bardzo spokojna. Rybacy wiosłują do brzegu i wyciągają łódki z wody, jakby się obawiali nadejścia wysokiej fali. W ogóle panuje niezwykajna cisza. — Nasłuchuje przez moment. — Ptaki przestały śpiewać, nie słychać nawet pokrzykiwania mew. Jest tak, jakby lada moment miała zapaść noc.

Patrzy w dół na ogrody.

— Pachołkowie powychodzili ze stajni, z kuchni... wszyscy patrzą w niebo, starając się zrozumieć. Może to kometa?

— Jak wygląda?

— Teraz słońce jest złotym pierścieniem, a ów ciemny talerz zakrywa je całe z wyjątkiem samego brzeżku, który płonie niczym ognisko, zbyt rażące, aby na nie patrzeć. Poza tym wszystko jest czarne.

Odstępuje od okna, a ja widzę, że szybki w kształcie diamentu zaiste są ciemne jak sama noc.

— Zapalę świece — rzuca nagle Elżbieta. — Jest za ciemno. Jak w środku nocy.

Wyciąga płonące drewnisko z kominka i kolejno przytyka je do ogarków w świecznikach stojących na kamiennym obramowaniu i na stoliku obok mojego łóżka. W sztucznym blasku oblicze ma niezdrowo blade.

— Co to może oznaczać? — dopytuje. — Czy to znak, że Henryk Tudor nadciąga? Czy raczej zapowiedź zwycięstwa najjaśniejszego pana? Bo chyba nie jest to koniec świata, prawda?

Zastanawiam się nad tym, co właśnie powiedziała: czy to możliwe, aby to był koniec świata? Czy Ryszard Plantagenet będzie ostatnim królem, jakiego nosiła angielska ziemia, i czy jeszcze tej nocy spotkam się w niebie z moim ukochanym synem Edwardem?

— Nie wiem — odpowiadam.

Elżbieta wraca na posterunek przy oknie.

— Ależ zrobiło się ciemno — relacjonuje dalej. — Choć oko wykol. Rzeka poczerniała, wszyscy przybili do brzegu i zapalają pochodnie. Podkuchenni wrócili do środka. Te ciemności potrafią przerazić każdego... — Milknie na dłuższą chwilę. — Och, chyba zaczyna się przejaśnić! Nie wygląda to jak świt, blask jest straszliwy, brudnożółty, nigdy takiego nie widziałam o poranku. Jakby zmieszać żółtą i szarą farbę... — Ponownie urywa i znalazłszy trafniejsze porównanie, dodaje: — Jakby słońce zamarzło. Ale robi się jaśniej, promienniejsze, słońce powoli się wyłania... Teraz już widzę drzewa i nawet przeciwległy brzeg. — Przez chwilę nic nie mówi, nadstawiając ucha. — I ptaki zaczynają znów śpiewać.

Rzeczywiście, zza okna dobiega przeraźliwy, pytający w tonie trel kosa.

— Całkiem jakby świat się odradzał — rzecze z cichym zachwytem Elżbieta. — Co za zdumiewające wydarzenie. Talerz zsuwa się ze słońca, które znowu płonie na niebie i ogrzewa świat, jak zwykle wiosną. — Podchodzi do mojego łóżka. — Odnowa... — rzecze w zamyśleniu. — Tak! Wszyscy możemy zacząć od nowa...

Kwituję uśmiechem jej optymizm, jej młodzieńczą, niemądrą nadzieję.

— Chyba się teraz prześpię — mówię na głos.

Śnię. Śnię, że znajduję się na polu bitwy pod Barnet i że papa przemawia do swoich ludzi. Siedzi wysoko na grzbiecie swego czarnego ogiera, z hełmem pod pachą, aby każdy mógł widzieć jego śmiałą, szczerą twarz i jego pewność siebie. Mówi żołnierzom, że powiedzie ich do zwycięstwa i że prawowity następca tronu tylko czeka, by pożeglować do Anglii od brzegów Francji, sprowadzając ze sobą Annę, przyszłą królową; zapewnia, że panowanie tych dwojga upłynie pod znakiem pokoju i bogactwa, albowiem obojgu sprzyja Bóg, który będzie przychylnie patrzył, jak Edward i Anna zasiadają na swoich tronach. Wymawia moje imię z taką miłością i dumą... Ogłasza, że jego córka Anna zostanie królową Anglii i że będzie ona najlepszą królową, jaką Anglicy kiedykolwiek mieli.

Widzę go jak żywego, uśmiecha się w poczuciu władzy i pewności siebie, obiecując ludziom, że nadchodzą lepsze czasy, dobre czasy, że muszą tylko zewrzeć szyki, walczyć dzielnie i wygrać.

Przerzuca nogę przez siodło i zeskakuje na ziemię. Klepie po szyi ogiera, który obraca potężny czarny łeb z ufnością, gdy ręka jego pana wędruje w górę i w końcu sięga czarnych ruchliwych uszu, strzelających na każde słowo człowieka.

— Inni dowódcy żądają waleczności, domagają się walki do ostatniej kropli krwi — rzecze papa. — Wiem to. Sam wiele razy to słyszałem. Stoczyłem mnóstwo bitew i nieraz byłem świadkiem, jak dowódcy każą swoim ludziom walczyć do upadłego, ale sami uciekają w porę z pola, gdy szala zwycięstwa przechyla się na korzyść wroga.

W szeregach rozlega się pomruk aprobaty. Ci żołnierze także brali udział w bitwach, w których dowódcy właśnie tak zdradzili swoich podwładnych.

— Inni dowódcy żądają waleczności, domagają się walki do ostatniej kropli krwi — powtarza z emfazą papa — ale gdy przychodzi co do czego, wysyłają swoich giermków po swoje wierzchowce i tyleście ich widzieli. Pozostaje wam stawić czoło przeciwnikowi i zginać w otoczeniu wiernych druhów, podczas gdy wasi dowódcy galopują przed siebie, aż się za nimi kurzy. Wiem to. Naoglądałem się tego samego co wy.

Żołnierze, którzy jakimś cudem przeżyli coś podobnego, kiwają głowami, wspominając tych kompanów, którym nie było dane wyjść cało z opresji.

— Niechaj to będzie moja przysięga wam złożona. — Wyciąga z pochwy miecz i ostrożnie, macając boki konia, przytyka ostry czubek pomiędzy żebrami, mierząc prosto w serce. Otaczający go mężczyźni mruczą w sprzeczanie, a ja we śnie wykrzykuję: „Nie, panie ojczel! Nie!”. — Niech to będzie moja przysięga... Nie odjadę z pola bitwy i nie zostawię was na pastwę wroga, albowiem nie będę miał na czym odjechać. — To mówiąc, wbija ostrze głęboko w końską pierś i Północ opada najpierw na przednie, potem na tylne nogi. Odwraca łeb i spogląda na mego ojca swymi ciemnymi pięknymi oczyma, jakby rozumiał, jakby wiedział, że to poświęcenie jest konieczne. Tak wygląda przysięga mego ojca złożona jego ludziom: będzie walczył do ostatka razem z nimi.

I oczywiście zginął razem z nimi, tamtego dnia pod Barnet; zginął, abym mogła zostać królową. Dopiero później, już całkiem sama, poznałam prawdziwą wagę korony. Przewracając się na drugi bok i ponownie opuszczając powieki, myślę, że jeszcze dziś ujrzę swego ukochanego ojca, Warwicka Twórcę Królów, i mego małego księcia, Edwarda, i jeszcze być może — na pastwisku zieleńszym, niż jestem sobie w stanie wyobrazić, ogiera imieniem Północ, który skubie soczystą niebiańską trawę.



## OD AUTORKI

„Córka Twórey Królów” to powieść historyczna traktująca o postaci, którą jej własny biograf uznał za niemożliwą do opisanego ze względu na znikomość dostępnych informacji na jej temat. Na szczęście dla nas wszystkich historykowi Michaelowi Hicksowi udało się zebrać wystarczająco dużo materiałów o Annie Neville mimo zwyczajowego pomijania kobiet milczeniem na kartach historii.

Od Hicksa i innych historyków wiemy, że Anna Neville była spokrewniona z większością znaczących aktorów na scenie Wojny Kuzynów (nazwanej Wojną Dwu Róż stulecia później, w dziewiętnastym wieku). W niniejszej powieści wysuwam teorię, że sama była pełnoprawną aktorką na tej scenie.

Anna Neville była córką hrabiego Warwick, już za życia nazywanego Twórcą Królów z uwagi na szczególną rolę, jaką odegrał w roli mentora pretendentów do korony Anglii. Najpierw popierał on Ryszarda księcia Yorku, potem jego syna i dziedzica Edwarda, następnie jego drugiego syna Jerzego, a wreszcie wroga ich wszystkich, Henryka VI. Warwick zginął, walcząc za dynastię Lancasterów, przeżywszy całe życie w służbie dynastii Yorków.

Anna, choć była tylko młodą kobietą, dzielnie sekundowała ojcu i wraz z nim zmieniała barwy. Wzięła udział w uczcie koronacyjnej nowej królowej z dynastii Yorków, po czym patrzyła, jak wpływy jej ojca na dworze królewskim maleją wraz ze wzrostem znaczenia rodziny Riversów i ich popleczników. Tak jak przedstawiłam to w swojej powieści, Anna w towarzystwie ojca zbiegła z Anglii do Francji, po czym na czele armii Lancasterów wróciła do kraju jako następczyni tronu, zamężna z księciem Walii. Wreszcie, nieco ponad rok później, wzięła się w konkurencyjną

dynastię Yorków. W tym miejscu do mojej opowieści zakrada się fikcja: sugestia, że młoda kobieta, która straciła ojca i męża i którą porzuciła rodzona matka, postanowiła wziąć własne życie w swoje ręce. Nikt tak naprawdę nie wie, jak Annie udało się wymknąć spod przymusowej kuratelii jej siostry i szwagra. Nie istnieje rzetelny przekaz na temat konkurów, zaręczyn i ślubu z Ryszardem — jedyne, czym dysponujemy, to upiękkszzone wersje wydarzeń. Moja wersja zasadza się na tym, że Anna stała u steru wypadków.

Dla mnie jako powieściopisarki bardzo interesująca okazała się próba ukazania dworu Yorków jako sceny intryg i źródła strachu dwu córek Warwicka. Radość pisania tego cyklu, opartego na rywalizacji i wzajemnych stosunkach między odwiecznymi wrogami, wynika głównie z możliwości postawienia wszystkiego na głowie, by tak rzec, i ujrzenia całkowicie odmiennego obrazka. Nawet dla historyka, którym jestem, zmiana punktu widzenia (zamiast mojej ulubionej Elżbiety Woodville w centrum wydarzeń umieściłam Annę Neville) zaowocowała innym odbiorem znanych faktów. Niejasne okoliczności śmierci Izabeli oraz zasłużona egzekucja Jerzego nabierają nagle mroczniejszych odcieni, gdy odium winy pada na Elżbietę.

Nieuniknienie na drugiego bohatera mojej powieści wyrósł Ryszard III. Podobnie jak w „Białej królowej”, tutaj także nie ulegam szekspirowskiej parodii, która na stulecia oczerniła tego monarchę. Zarazem jednak nie wybielam go i nie uwalniam od zarzutu uzurpacji. Być może Ryszard III nie zamordował księżąt z Tower, lecz pozostaje faktem, że gdyby nie on, ci dwaj chłopcy nigdy nie znaleźliby się w londyńskiej twierdzy pozbawieni opieki matki. Moja wersja zdarzeń wiążących się z losami małego Edwarda i Ryszarda Yorków zostanie przedstawiona w kolejnym tomie cyklu o Wojnie Dwu Róż, opowiadającym historię ich siostry i kochanki Ryszarda III, księżniczki Elżbiety York, a noszącym tytuł „The White Princess”.

## BIBLIOGRAFIA

Oto lista książek, które najbardziej mi pomogły przy pisaniu „Córki Twórcy Królów”:

- Amt Emilie, *Women's Lives in Medieval Europe*, Routledge, New York 1993.
- Baldwin David, *Elizabeth Woodville: Mother of the Princes in the Tower*, Sutton Publishing, Stroud 2002.
- Baldwin David, *The Kingmaker's Sisters: Six Powerful Women in the Wars of the Roses*, History Press, Stroud 2009.
- Baldwin David, *The Lost Prince: The Survival of Richard of York*, Sutton Publishing, Stroud 2007.
- Barnhouse Rebecca, *The Book of the Knight of the Tower: Manners for Young Medieval Women*, Palgrave Macmillan, Basingstoke 2006.
- Castor Helen, *Blood and Roses: The Paston Family and the Wars of the Roses*, Faber and Faber, London 2004.
- Cheetham Anthony, *The Life and Times of Richard III*, Weidenfeld & Nicolson, London 1972.
- Chrimes S. B., *Lancastrians, Yorkists, and Henry VII*, Macmillan, London 1964.
- Cooper Charles Henry, *Memoir of Margaret: Countess of Richmond and Derby*, Cambridge University Press, Cambridge 1874.
- Duggan Anne J., *Queens and Queenship in Medieval Europe*, Boydell Press, Woodbridge 1997.
- Field P. J. C., *The Life and Times of Sir Thomas Malory*, D. S. Brewer, Cambridge 1993.
- Fields Bertram, *Royal Blood: King Richard III and the Mystery of the Princes*, Regan Books, New York 1998.
- Gairdner James, *Did Henry VII Murder the Princes ?*, „English Historical Review” VI (1891).
- Goodman Anthony, *The Wars of the Roses: Military Activity and English Society, 1452-97*, Routledge and Kegan Paul, London 1981.
- Goodman Anthony, *The Wars of the Roses: The Soldiers' Experience*, Tempus, Stroud 2006.
- Gregory Philippa, Baldwin David, Jones Michael, *The Women of the Cousins' War*, Simon

- & Schuster, London 2011 (wyd. pol. *Kobiety Wojny Dwu Róż*, przeł. Urszula Gardner, Wydawnictwo „Książnica”, 2013).
- Griffiths Ralph A., *The Reign of King Henry VI*, Sutton Publishing, Stroud 1998.
- Grummitt David, *The Calais Garrison, War and Military Service in England, 1436-1558*, Boydell and Brewer, Woodbridge 2008.
- Hammond P. W., Sutton Anne E., *Richard III: The Road to Bosworth Field*, Constable, London 1985.
- Harvey Nancy, *Elizabeth of York: Tudor Queen*, Arthur Barker, London 1973.
- Haswell Jock, *The Ardent Queen, Margaret of Anjou and the Lancastrian Heritage*, Peter Davies, London 1976.
- Hicks Michael, *Anne Neville: Queen to Richard III*, Tempus, Stroud 2007.
- Hicks Michael, *False, Fleeting, Perjur'd Clarence: George, Duke of Clarence, 1449-78*, Sutton Publishing, Stroud 1980.
- Hicks Michael, *Richard III*, rev. ed., Tempus, Stroud 2003.
- Hicks Michael, *The Prince in the Tower: The Short Life & Mysterious Disappearance of Edward V*, Tempus, Stroud 2007.
- Hicks Michael, *Warwick the Kingmaker*, Blackwell Publishing, London 1998.
- Hipshon David, *Richard III and the Death of Chivalry*, The History Press, Stroud 2009.
- Hughes Jonathan, *Arthurian Myths and Alchemy: The Kingship of Edward IV*, Sutton Publishing, Stroud 2002.
- Hutchinson Robert, *House of Treason: The Rise and Fall of a Tudor Dynasty*, Weidenfeld & Nicolson, London 2009.
- Jones Michael K., *Bosworth 1485: Psychology of a Battle*, Sutton Publishing, Stroud 2002.
- Jones Michael K., Underwood Malcolm G., *The King's Mother: Lady Margaret Beaufort, Countess of Richmond and Derby*, Cambridge University Press, Cambridge 1992.
- Karras Ruth Mazo, *Sexuality in Medieval Europe: Doing unto Others*, Routledge, New York 2005.
- Kendall Paul Murray, *Richard the Third*, Norton, New York 1955 (wyd. pol. *Ryszard III*, przeł. Krystyna Jurasz-Dąbska, Seria „Biografie Sławnych Ludzi”, PIW, Warszawa 1980).
- Laynesmith J. L., *The Last Medieval Queens: English Queenship, 1445-1503*, Oxford University Press, Oxford 2004.
- Lewis Katherine J., Menuge Noel James, Phillips Kim M. (eds.), *Young Medieval Women*, Palgrave Macmillan, Basingstoke 1999.
- MacGibbon David, *Elizabeth Woodville (1437-1492): Her Life and Times*, Arthur Barker, London 1938.
- Mancini Domenico, *The Usurpation of Richard the Third: Dominicus Mancinus Ad Angelum Catonem De Occupatione Regni Anglie per Riccardum Tercium Libellus*, 2nd ed., translated by C. A. J. Armstrong, Clarendon Press, Oxford 1969.

- Markham Clements R., *Richard III: A Doubtful Verdict Reviewed*, „English Historical Review" VI (1891).
- Mauer Helen E., *Margaret of Anjou: Queenship and Power in Late Medieval England*, Boydell Press, Woodbridge 2003.
- Mortimer Ian, *The Time Traveller's Guide to Medieval England*, Vintage, London 2009.
- Neillands Robin, *The Wars of the Roses*, Cassell, London 1992.
- Phillips Kim M., *Medieval Maidens: Young Women and Gender in England, 1270-1540*, Manchester University Press, Manchester 2003.
- Plowden Alison, *The House of Tudor*, Weidenfeld & Nicolson, London 1976.
- Pollard A. J., *Richard III and the Princes in the Tower*, Sutton Publishing, Stroud 2002.
- Prestwich Michael, *Plantagenet England, 1225-1360*, Clarendon Press, Oxford 2005.
- Reed Conyers, *The Tudors: Personalities & Practical Politics in Sixteenth Century England*, Oxford University Press, Oxford 1936.
- Ross Charles Derek, *Edward IV*, Eyre Methuen, London 1974.
- Ross Charles Derek, *Richard III*, Eyre Methuen, London 1981.
- Royle Trevor, *The Road to Bosworth Field: A New History of the Wars of the Roses*, Little Brown, London 2009.
- Rubin Miri, *The Hollow Crown: A History of Britain in the Late Middle Ages*, Allen Lane, London 2005.
- Seward Desmond, *Richard III: England's Black Legend*, Country Life Books, London 1983.
- Seward Desmond, *The Last White Rose*, Constable, London 2010.
- Simon Linda, *Of Virtue Rare: Margaret Beaufort, Matriarch of the House of Tudor*, Houghton Mifflin Company, Boston 1982.
- St. Aubyn Giles, *The Year of Three Kings: 1483*, Collins, London 1983.
- Storey R. L., *The End of the House of Lancaster*, Sutton Publishing, Stroud 1999.
- Vergilio Polidoro, *Three Books of Polydore Vergil's English History: Comprising the Reigns of Henry VI, Edward IV, and Richard III*, ed. Henry Ellis, 1844, reprint Whitefish, Kessinger Publishing, MT 1971.
- Ward Jennifer, *Women in Medieval Europe, 1200-1500*, Pearson Education, Essex 2002.
- Weinberg S. Carole, *Caxton, Anthony Woodville and the Prologue to the „Morte D'Arthur"*, „Studies in Philology" 102, no 1 (2005), s. 45-65.
- Weir Alison, *Lancaster and York: The Wars of the Roses*, Cape, London 1995.
- Weir Alison, *The Princes in the Tower*, Bodley Head, London 1992.
- Williamson Audrey, *The Mystery of the Princes: An Investigation*, Sutton Publishing, Stroud 1978.
- Wilson Derek, *The Plantagenets: The Kings That Made Britain*, Quercus, London 2011.
- Wolffe Bertram. *Henry VI*, Eyre Methuen, London 1981.